NORMAN

DAVIES

SERCE EUROPY

Norman Davies

Serce Europy

Polska: przeszłość we współczesności

Przekład
Elżbieta Tabakowska

Wydawnictwo Znak
Kraków 2014

Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce.
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!

Adam Mickiewicz, *Romantyczność*

Spis treści

Przedmowa *11*
Przedmowa do pierwszego wydania *14*
Przedmowa do drugiego wydania *19*
Przedmowa do wydania poprawionego *22*

Rozdział 1
DZIEDZICTWO UPOKORZENIA
Od końca wojny do kryzysu PRL, 1944–1983 *25*

Rozdział 2
DZIEDZICTWO KLĘSKI
Doświadczenia wojenne Polski, 1939–1947 *85*

Rozdział 3
DZIEDZICTWO ROZCZAROWANIA
Polski eksperyment z niepodległością, 1914–1939 *133*

Rozdział 4
DZIEDZICTWO MISTRZOSTWA DUCHOWEGO
Polska w epoce rozbiorów, 1795–1918 *181*

Rozdział 5
DZIEDZICTWO DAWNEJ KULTURY
Polska przed rokiem 1795 *301*

Rozdział 6
ECHA
Przeszłość Polski w polskiej teraźniejszości *373*

Rozdział 7
POZA HISTORIĄ
Refleksje z połowy lat osiemdziesiątych XX wieku *463*

Rozdział 8
WYZWOLENIE: 1983–1999 *483*

DODATKI
Dodatek I. Władcy Polski *517*
Dodatek II. Tabele genealogiczne *524*
Dodatek III. Nazwy geograficzne *528*

Indeks osób *530*
Spis map i rysunków *543*

Przedmowa

Po ogromnym sukcesie *Bożego igrzyska*, wydanego w grudniu 1981 roku, mój wydawca w Oxford University Press zaczął mnie usilnie namawiać do napisania kolejnej książki. Myślał o książce krótszej, jednotomowej, zawierającej skrót tej samej tysiącletniej historii, ale napisanej w bardziej popularnej formie. Nazwałem tę propozycję – w hollywoodzkim stylu – „córką *Bożego igrzyska*".

Ale prawdę mówiąc, nie bardzo mi się ta propozycja podobała. Więcej – myślałem o niej zdecydowanie bez entuzjazmu. Po pierwsze, rozmiary *Bożego igrzyska* wynikały ze strategii polegającej na tym, że przeciwwagą dla obiektywnej narracji były obszerne cytaty z oryginalnych źródeł; wszelka próba streszczania czy wprowadzania skrótów po prostu unicestwiłaby klimat książki. Po drugie, już wcześniej zobowiązałem się napisać biografię Józefa Piłsudskiego. Pod koniec długiego okresu prac związanych z redagowaniem, wydawaniem i promowaniem *Bożego igrzyska* niezbyt się rwałem do zaczynania czegoś zupełnie nowego.

I właśnie wtedy nadeszła wiadomość, że dostałem zaproszenie na roczny pobyt w japońskim Narodowym Centrum Slawistycznym na Uniwersytecie Hokkaido w Sapporo. Był rok 1982; przez minione dziesięć pochłaniała mnie praca nad *Bożym igrzyskiem*. Okazja, żeby zamieszkać w Japonii jako *visiting research professor*, była zbyt atrakcyjna, żeby ją zaprzepaścić. Ale warunki w Sapporo, gdzie nie ma dużej polskiej biblioteki, zniweczyły moje nadzieje na pracę nad planowaną biografią. Musiałem szybko wymyślić jakiś nowy projekt.

Rozwiązaniem było zaproponowanie wydawnictwu OUP „Krótkiej historii Polski", jakiej sobie życzyło, a jednocześnie skonstruowanie książki na zupełnie innej zasadzie i oparcie się na materiałach innych niż te, które wykorzystywałem, pisząc *Boże igrzysko*. Po pierwsze, ograniczyłem się do tych historycznych i kulturowych wątków, które pozwoliłyby naświetlić bieżącą sytuację w Polsce: konflikt między państwem i narodem, wywołany ogłoszeniem stanu wojennego. Po drugie, zamierzałem szukać tych wątków w każdym z głównych okresów tysiącletniej historii Polski. Po trzecie wreszcie, aby uwypuklić wagę współczesnych wydarzeń, postanowiłem pisać narrację w porządku odwrotnym do chronologicznego, zaczynając od czasów współczesnych, a potem cofając się, rozdział po rozdziale przechodzić przez okresy rozbiorów, Pierwszej Rzeczypospolitej,

Jagiellonów i Piastów aż do chrztu Polski za czasów Mieszka, żeby wreszcie, na samym końcu, powrócić do punktu wyjścia. Książka stała się – jak mówią Anglicy – „traktatem na nasze czasy".

Wątki, które wybrałem, wymagały sięgania do licznych tekstów z literatury polskiej, które były nieosiągalne w Sapporo. Internetu jeszcze nie było, więc zdałem się w tej mierze głównie na Myszkę, która została w Europie i która co tydzień przysyłała mi pakiet propozycji oraz odbitek kserograficznych. Z tego też powodu po ukończeniu książki zadedykowałem ją „Myszce, która ryknęła".

W latach osiemdziesiątych XX wieku żadnej mojej książki nie wolno było oczywiście rozpowszechniać w Polsce. *Serce Europy* zawierało niektóre z najśmielszych komentarzy na temat ustroju komunistycznego, jakie kiedykolwiek wyszły spod mojego pióra – zwłaszcza w długim podrozdziale zatytułowanym *Pajęcze sieci i galernicy*. Państwowi cenzorzy w PRL doznaliby szoku, gdyby im go przedstawiono jako tekst przeznaczony do publikacji. Byłem tego w pełni świadomy i zadowoliłem się próbą zaszczepienia pełniejszego zrozumienia Polski czytelnikom na całym świecie, do których docierają autorzy piszący po angielsku.

Na szczęście pod koniec lat osiemdziesiątych udało mi się zainicjować pracę nad polskim przekładem książki w Anglii, dzięki przyjaciołom, których spotkałem w polskiej sekcji Radia BBC. Genek i Nina Smolarowie założyli niewielkie, ale wpływowe polskie wydawnictwo Aneks, i dzięki ich staraniom *Serce Europy* ukazało się drukiem w polskim przekładzie jeszcze przed wydaniem *Bożego igrzyska*. Jestem im winien wielką wdzięczność.

Niestety – mimo moich protestów – wielu recenzentów i komentatorów z uporem określało *Serce Europy* mianem „skróconej wersji *Bożego igrzyska*". Nic podobnego! Autorzy muszą się jednak godzić z faktem, że z chwilą wejścia na rynek ich książki zaczynają żyć własnym życiem.

Piszę te słowa w Szkocji w tygodniu, w którym odbywa się szkockie referendum; gdyby zaledwie o sześć procent jego uczestników więcej zagłosowało na „tak", Zjednoczone Królestwo przestałoby istnieć. Ta okoliczność każe się mocno zastanowić nad sensem pytania „co by było, gdyby..." i postawić następne, czysto teoretyczne: „Co by się stało, gdybym nie napisał *Serca Europy*?". Jedną z odpowiedzi mogłoby być, że znacznie ucierpiałaby moja reputacja pryncypialnego przeciwnika komunizmu. Można by też powiedzieć, że polscy czytelnicy musieliby nieco później poznać moje nazwisko. A po trzecie, zapewne oddałbym się

pisaniu biografii Józefa Piłsudskiego, która przyniosłaby mi ogromną przyjemność, ale która nigdy nie została napisana. Mógłbym też może nawet przyczynić się do wyleczenia ze złudzeń pewnych współczesnych prawicowych polityków, którzy twierdzą, że idą śladami Piłsudskiego, a których Marszałek prawdopodobnie wsadziłby pod klucz.

Ta myśl przywodzi mi na pamięć dwa popularne angielskie powiedzenia. Jedno brzmi: *The best-laid plans of mice and men often go awry*, czyli: Nawet najlepsze plany mogą spalić na panewce; a drugie, *When men make plans, God chuckles*, czyli: Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

Norman Davies
Glasgow, 21 września 2014

Przedmowa do pierwszego wydania

Nie ma takiego momentu, który byłby właściwy do napisania książki stawiającej sobie za cel odniesienie przeszłości do teraźniejszości. Zanim przemyślenia autora ukażą się drukiem, teraźniejszość zawsze zrobi krok do przodu i zmieni się perspektywa czytelnika. Praca współczesnego historyka przypomina pod tym względem raczej dynamicznie zmieniające się zadania dziennikarza piszącego wstępniaki do gazet niż pracę beznamiętnego analityka zakończonych dziejów. Mimo to marzec 1983 roku może się okazać nie najgorszym momentem do zbadania korzeni obecnego polskiego kryzysu: wydaje się, że wydarzenia w Polsce utknęły w martwym punkcie. Może się okazać mniej nieodpowiedni niż, powiedzmy, listopad 1981 roku, kiedy rozmaici obserwatorzy przepowiadali zbliżające się rozwiązanie kryzysu – albo w wyniku zwycięstwa Solidarności, albo dzięki takiemu czy innemu sowieckiemu *démarche*. Teraz przynajmniej burza przycichła i w wojnie między ludźmi i rządem z powodu obustronnego wyczerpania nastąpił rozejm. Ale nie rozwiązano żadnej z zasadniczych kwestii. Można mieć pewność, że lata 1983, 1984 i 1985 przyniosą nowe niespodzianki i nowe punkty zwrotne, aż w wyniku konfliktu Polska albo zostanie na jakiś czas zdruzgotana, albo ruszy naprzód nowym kursem.

Próba umieszczenia bieżących wydarzeń w historycznym kontekście jest jednak bardzo spóźniona. Jak zawsze w przypadku poważniejszego wydarzenia na międzynarodową skalę kryzys polski doprowadził do wyłonienia się grupy ekspertów natychmiast gotowych do wyrażania opinii, ludzi, którzy wcześniej nie zwracali żadnej uwagi na sprawy polskie i których świadomość wydarzeń sprzed roku 1980 (a przynajmniej z lat 1970 i 1968) pozostawia wiele do życzenia. Politolodzy, którzy analizują „systemy w sowieckim stylu" bez odwoływania się do czwartego wymiaru, są mocni, jeśli idzie o wady oficjalnej polityki, ale słabi w sprawach szczególnych cech charakterystycznych dla polskiego społeczeństwa. Ekonomiści, którzy poprawnie rozpoznali zwiastuny katastrofy w Polsce, często przypisywali polityczny wybuch z lat osiemdziesiątych błędnej polityce z lat siedemdziesiątych, nie zdając sobie sprawy, że sam w sobie upadek gospodarczy był tylko zewnętrzną oznaką o wiele bardziej długotrwałych konfliktów politycznych. Wielu życzliwych reporterów, którzy w latach osiemdziesiątych byli świadkami poruszających scen w Stoczni

im. Lenina albo którzy obserwowali zwycięstwo ZOMO w latach 1981–1982, niejasno uświadamiało sobie, że Polacy mieli dojmujące poczucie działania historii, nie umieli oni natomiast rozpoznać ech przeszłości i symboliki. Po dwóch latach stawiania zapory mediom informacyjnym opinia publiczna Zachodu rzeczywiście uświadomiła sobie, że w Polsce idzie o coś więcej niż tylko o cenę mięsa czy o błędy skorumpowanego ustroju totalitarnego. Ale tylko nieliczni mieszkańcy świata zewnętrznego mieli możliwość zajrzeć pod powierzchnię i choćby rzucić okiem na głębię i długi rodowód toczących się spraw.

I właśnie w tym momencie, w grudniu 1981 roku, Oxford University Press miało szczęście i wykazało się dobrym wyczuciem, wydając *God's Playground: A History of Poland* (*Boże igrzysko*) – książkę, której początki sięgają wcześniejszych mrocznych lat i która powstawała bez większych nadziei na to, iż może się okazać aktualna. Nic zatem dziwnego, że skoro dwa tomy obejmujące okres tysiąca lat zostały uznane za zbyt obszerne, zażądano wersji krótszej i bardziej skondensowanej. Nic zatem dziwnego, że skoro praca naukowa musi przyjąć proporcje odpowiadające zasięgowi i treści, autor nie wyraził zgody. *Boże igrzysko* jest nadal dostępne – nieugięte i nieskrócone – dla wszystkich, którzy odważą się je przeczytać. Stanowiąc pewien kompromis, niniejszy tom został pomyślany jako książka na ten sam temat, ale pisana w innym celu.

Serce Europy: krótka historia Polski nie rości sobie pretensji do bycia pełnym i zrównoważonym przeglądem elementów historii Polski minionego tysiąca lat. Chociaż każdy rozdział przynosi krótką narrację historyczną, duży nacisk położyłem na te elementy przeszłości Polski, które miały największy wpływ na kształtowanie się dzisiejszych postaw. Z tego powodu liczne wątki wysunięte na pierwszy plan w *Bożym igrzysku* – polska reformacja, handel w rejonie Morza Bałtyckiego, polscy Żydzi, uwłaszczenie chłopów, polityka Prus i Turków otomańskich i tak dalej – tu zostały tylko pokrótce wspomniane. Innym elementom, zwłaszcza czysto polskim, o charakterze narodowym, jak Kościół, literatura polska, inteligencja, stosunki z Rosją i ogólnie rzecz biorąc, wydarzenia ostatnich dwóch stuleci, poświęciłem szczególną uwagę.

Z takich samych powodów główne rozdziały zostały napisane w porządku odwrotnym do chronologicznego. Rozdział pierwszy dotyczy współczesności, rozdział drugi – II wojny światowej, rozdział trzeci – okresu przedwojennego i tak dalej. Następnie, odbiwszy się od fundamentów średniowiecza i prehistorii, tekst zatacza pełny okrąg: rozdział szósty traktuje o „przeszłości w polskiej teraźniejszości". W ten sposób narracja prowadzi czytelnika od spraw bardziej znanych do spraw

znanych mniej. Nakreśliwszy w zarysie kształt dzisiejszej Polski i zszedłszy, warstwa po warstwie, w głąb przeszłości, próbuję odnieść każdy z głównych wątków wcześniejszych dziejów Polski do późniejszych wydarzeń. Takie podejście można chyba porównać do pracy archeologa, który zagłębia się w swój przedmiot, zaczynając od najbardziej zewnętrznych warstw leżących na powierzchni, i schodzi kolejno coraz niżej, sięgając warstw leżących coraz głębiej. Dla większości czytelników będzie to podróż od tego, co znane, do tego, co nieznane, i z powrotem. Z punktu widzenia historycznego puryzmu słabą stroną takiego układu jest obawa, że przez implikację precedensy i „postcedensy" zostaną pomylone z przyczynami i skutkami oraz że zostanie umniejszona względna waga czynników, które dziś mają istotne znaczenie, a które były może mniej istotne w przeszłości. Natomiast siła takiej narracji polega na tym, że – mam nadzieję – uwypukla ona te wątki, które są szczególnie ważne dla zrozumienia podstaw teraźniejszości. Podobnie jak kartograf, który wie, że każdy rzut trójwymiarowej Ziemi na dwuwymiarową powierzchnię mapy musi za sobą pociągnąć pewne zniekształcenia, historyk nie może zrekonstruować przeszłości w sposób absolutnie dokładny. Może tylko zaufać własnemu osądowi i uznać, że taki czy inny szczególny sposób rzutowania został właściwie dobrany do szczególnego celu, jaki się założyło.

W serii tabelarycznych zestawień podano informacje faktograficzne i uzupełniające – ich umieszczenie w tekście głównym niepotrzebnie obciążyłoby narrację nadmiarem materiału.

Chociaż *Serce Europy* jest zupełnie inne niż *Boże igrzysko*, autor – celowo lub przypadkiem – dokonał na tekście niejednego aktu piractwa. Tym razem jednak plagiator nie musi przepraszać. Przeciwnie – zachęca on czytelników do szukania źródeł plagiatów i poszerzania w ten sposób zakresu lektury tam, gdzie ich ona szczególnie zainteresowała.

W czasie, jaki dzieli od siebie obie książki, opinie ukształtowane podczas pisania *Bożego igrzyska* nie uległy żadnym radykalnym zmianom. Przekonanie, że Polska Ludowa zmierza ku katastrofie, nie było szczególnie oryginalne, okazało się jednak słuszne, podobnie jak prognoza, że opozycja zostanie bezlitośnie zdławiona, zatopiona powodziową falą milicyjnych i wojskowych represji. Ogólnie rzecz biorąc, umocniło się przywiązanie do romantycznej wizji historii Polski, podobnie jak świadomość długiej i uporczywej egzystencji podziałów politycznych w Polsce. W sumie ostatnie wydarzenia potwierdziły przekonanie, że polscy romantycy wykazywali głębsze zrozumienie swojej własnej natury i natury kraju niż ich pozytywistyczni rywale oraz że w ostatecznym rozrachunku ich postawa była bardziej realistyczna niż postawa ludzi, którzy sami określali

się jako „realiści". Stąd obok dedykacji znalazł się cytat z ballady Mickiewicza *Romantyczność*. Polscy czytelnicy będą wiedzieli, co autor chciał przez to powiedzieć.

Tytuł książki – *Serce Europy* – przyszedł mi do głowy podczas pisania ostatnich rozdziałów, kiedy szczególnie dotkliwie dały się odczuć rozmiary tragedii Polski i śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie niesie za sobą obecny kryzys. Obraz Polski jako jednego z najważniejszych narządów organizmu, jakim jest nasz kontynent, tradycyjne siedlisko najintymniejszych uczuć i emocji, wydał mi się szczególnie stosowny. Co więcej, szczęśliwym trafem zbiegał się on z katolickim symbolem Najświętszego Serca Pana Jezusa, przedmiotu powszechnego uwielbienia w Polsce; jego oficjalne uznanie przez Watykan w 1765 roku było w znacznej mierze odpowiedzią na prośby polskich zakonów. Po zbadaniu sprawy okazało się, że ten tytuł odpowiada także położeniu geograficznemu Polski dokładnie w środku kontynentu europejskiego (choć, jak mój pozbawiony wyobraźni wydawca czuł się w obowiązku stwierdzić, ludzkie serce jest nieco przesunięte w lewo). Okazało się oczywiście, że pomysł bynajmniej nie jest oryginalny. Już w 1836 roku Juliusz Słowacki rozwinął tę metaforę w sposób o wiele bardziej ironiczny i bardziej elegancki:

> Jeśli Europa jest nimfą – Neapol
> Jest Nimfy okiem błękitnym – Warszawa
> Sercem – cierniami w nodze Sewastopol,
> Azof, Odessa, Petersburg, Mittawa –
> Paryż jej głową – a Londyn kołnierzem
> Nakrochmalonym – a zaś Rzym szkaplerzem[1].

Oczywiście w atmosferze gorzkich następstw powstania listopadowego, kiedy Słowacki poszukał schronienia na południu Włoch, a Watykan razem z zachodnimi mocarstwami odwrócił się plecami do problemów Polski, poeta oburzał się na rezerwę jej małodusznych przyjaciół niemal tak samo jak na brutalny ucisk ze strony Rosjan. Ta myśl także nie jest zbyt oryginalna.

Winien jestem podziękowania i wyrazy wdzięczności wielu pomocnikom i dobroczyńcom. *Serce Europy* powstawało, kiedy jako stypendysta i *visiting fellow* przebywałem w Ośrodku Słowianoznawstwa w Hokkaido University w Japonii. Serdecznie dziękuję za wsparcie, jakiego mi

[1] Juliusz Słowacki, *Podróż na wschód*, w: *Dzieła wybrane*, oprac. Julian Krzyżanowski, t. 2: *Poematy*, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1983, s. 9.

udzielali dyrektor – profesor Takayuki Ito, i jego przemili pracownicy. Szczególną wdzięczność chciałbym w tym miejscu wyrazić moim najbliższym kolegom z Hokkaido, profesorowi Jesse Zeldinowi i doktorowi Yutace Akino, których zachęta i osobiste wsparcie bardzo mi pomagały utrzymywać pióro w ruchu. Dług wdzięczności mam także wobec kilku osób ze świata akademickiego, z którymi prowadziłem korespondencję – wobec pewnego pracownika Instytutu Badań Literackich w Warszawie, pewnego naukowca z Australijskiego Uniwersytetu Narodowego w Canberze, a zwłaszcza pewnego nauczyciela akademickiego z Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego za wyczerpujące i szczegółowe odpowiedzi na pytania dotyczące polskiego romantyzmu i kultury, odpowiedzi, które przerodziły się w prawdziwy korespondencyjny kurs literatury polskiej. Pierwsi recenzenci *Bożego igrzyska* dostarczyli mi zarówno mnóstwo podnoszących na duchu opinii, jak i listy poprawek, które wykorzystałem wszędzie tam, gdzie to było możliwe. Wydruk przygotowała panna Shiori Takakura, a Danuta Garton Ash wykonała korektę polskojęzycznych fragmentów tekstu. Indeks został przygotowany z pomocą pana Andrzeja Suchcitza. Stypendium przyznała mi Fundacja Lanckorońskich z Brzezia.

Norman Davies
1 marca 1983

Przedmowa do drugiego wydania

W ciągu dwóch lat, jakie minęły od ukończenia pierwszej wersji *Serca Europy,* zaszło niewiele wydarzeń, które mogłyby zasadniczo zmienić zamykające książkę konkluzje. Polska nadal trwa w stanie hibernacji. Generał Jaruzelski wciąż sprawuje władzę. Aparat partyjny pozostaje ponury i bliski upadku. Opozycja jest wprawdzie mniej skłonna do podejmowania aktów jawnego protestu, ale wciąż się buntuje. Chociaż stan wojenny został odwołany, reżim znalazł sobie inne narzędzia ucisku. Siły bezpieczeństwa nadal wykonują swoją codzienną pracę polegającą na nękaniu ludzi i na represjach. Chociaż Lech Wałęsa formalnie pozostaje wolnym obywatelem, wielu jego kolegów spośród przywódców Solidarności – w tym Michnik, Lis, Frasyniuk i, jeśli wierzyć oficjalnym źródłom, 196 innych osób – znalazło się z powrotem w więzieniach. Hierarchia kościelna pod przywództwem kardynała Glempa nadal zajmuje postawę wymijającą. Gospodarka wciąż jest w stanie stagnacji i wykazuje niewiele oznak zdecydowanego powrotu do zdrowia. Ludzie, znużeni i coraz bardziej apatyczni, nadal dźwigają swój krzyż. Nie było żadnych poważnych prób ani „normalizacji" kraju według modelu sowieckiego lub czechosłowackiego, ani podjęcia autentycznego narodowego dialogu. Martwota martwego punktu jest większa niż kiedykolwiek wcześniej.

Społeczne skutki przedłużającego się kryzysu najlepiej określa termin „pauperyzacja Polski". Bogaty kraj został doprowadzony do nędzy, a konsekwencje ponoszą przede wszystkim ludzie. Standardy życiowe spadają, natomiast rosną ceny i wszystkie inne wskaźniki katastrofy gospodarczej. Według ocen z 1985 roku jedna trzecia ludności żyje poniżej poziomu minimum socjalnego, przy zarobkach poniżej 6000 złotych miesięcznie. Czas oczekiwania na mieszkanie waha się od 15 lat w Warszawie do 26 lat we Wrocławiu. Spożycie alkoholu wynosi ponad 10 litrów na osobę (1982) – kwitnie alkoholizm, nawet wśród młodzieży. Pojawiły się uzależnienia od narkotyków. Jedno z największych w Europie zanieczyszczeń powietrza – zwłaszcza w okręgach przemysłowych na południowym zachodzie kraju – spowodowało alarmujący wzrost śmiertelności niemowląt, liczby zachorowań na schorzenia związane z zanieczyszczeniem środowiska oraz ogólnego poziomu śmiertelności. Spada średnia długość życia. Służba zdrowia, przeciążona do granic wytrzymałości, przez całe lata utrzymywana przy życiu dzięki pomocy medycznej

z Zachodu i zmuszona do zamykania sal operacyjnych z powodu braku elementarnego wyposażenia, musi się przysłuchiwać oświadczeniom polskiego ambasadora zapowiadającego „dar bratniej pomocy" w postaci środków medycznych, przeznaczony dla Nikaragui. Jednocześnie zaś – według danych z Instytutu Badań Strategicznych w Londynie – wydatki na uzbrojenie wzrosły w Polsce w latach 1980–1982 o 30 procent. Priorytety władzy są oczywiste.

Jedną z długotrwałych sensacji stał się proces księdza Popiełuszki, a ściśle mówiąc, czterech milicjantów oskarżonych o zamordowanie prosolidarnościowego księdza. W październiku 1984 roku Jerzy Popiełuszko, kapelan Huty Warszawa, którego comiesięczne msze za ojczyznę rozsławiły nawet poza granicami Polski, został porwany, pobity, torturowany i zamordowany w ramach tajnej akcji zorganizowanej przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. W kraju komunistycznym uciszenie upartego opozycjonisty mogło uchodzić za działanie rutynowe, natomiast zamordowanie księdza było czymś wyjątkowym, a już publiczne oskarżenie i wyrok na komunistycznych funkcjonariuszy jako kara za zbrodnię popełnioną w ramach wykonywania obowiązków służbowych były czymś jedynym w swoim rodzaju. Niektórzy obserwatorzy mieli poczucie, że milicjantów karze się po prostu za niekompetencję, a rządowi apologeci zarówno na sali sądowej, jak i poza nią powtarzali sugestię, jakoby buntowniczy ksiądz swoim zachowaniem sprowokował los, który go słusznie spotkał. Główną zagadką było jednak wyjaśnienie, dlaczego w ogóle zezwolono na jawny proces, który w dodatku był mocno nagłośniony. Biorąc pod uwagę atak na Jaruzelskiego, nie tylko ze strony zwolenników dialogu, ale także ze strony popieranego przez Moskwę betonu, ludzi przekonanych, że jego postępowanie wobec opozycji jest zdecydowanie zbyt łagodne, można argumentować, iż generał starał się w pełnym świetle pokazać granice, których represjom nie będzie wolno przekroczyć. Raz jeszcze zademonstrowano, że – według standardów bloku sowieckiego – *terrore alla polacca* jest beznadziejnie pozbawiony entuzjazmu i niejednoznaczny.

Bez względu na wszystko ważnym powodem przedłużającego się bezwładu na polskiej scenie była wciąż niedokończona saga o sowieckim następstwie tronu. Bez zdecydowanych instrukcji z Moskwy Warszawa oczywiście musiała się wahać. Jak się okazało, śmierć Breżniewa w listopadzie 1982 roku nie rozwiązała problemu walki o władzę. Schorowany Andropow zdążył zaledwie zabrać się do umacniania swojej pozycji, kiedy i jego dotknęła choroba, a na fotel pierwszego sekretarza trafił kolejny śmiertelnie chory inwalida. Konstantin Czernienko przetrwał zaledwie

przez trzynaście miesięcy. Te trzy zgony na Kremlu poprzedziły o wiele spóźnione pojawienie się – 11 marca 1985 roku – najwidoczniej cieszącego się dobrym zdrowiem i ufnego we własne siły przywódcy w osobie Michaiła Gorbaczowa, co położyło kres dziesięcioleciu gerontokracji. Te *trois coups* zapowiadały podniesienie kurtyny na moskiewskiej scenie po najdłuższym interwale bezruchu w dziejach Sowietów.

W tym świetle uwagi zawarte w ostatnim rozdziale *Serca Europy*, początkowo odnoszące się do perspektyw i opcji związanych z rządami Andropowa, można sensownie odnieść do początków epoki Gorbaczowa. Albowiem podczas gdy Czernienko był ostatnim członkiem koterii Breżniewa, Gorbaczow niewątpliwie wszedł w buty Andropowa, stwarzając zapowiedź energicznych, autorytarnych zmian. Spokojna Polska nie była może głównym priorytetem przywódcy na liście pilnych spraw do załatwienia, ale wcześniej czy później musiała go postawić w obliczu niektórych z jego najważniejszych decyzji. Po prostu nie wiadomo, co zostało powiedziane, kiedy 25 czerwca Gorbaczow spotkał się z Jaruzelskim w polskiej stolicy, aby odnowić Układ Warszawski na następne dwadzieścia lat, można jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że padły rozkazy mające utrzymać polską fortecę do czasu, kiedy będzie jej można narzucić jakieś długoterminowe plany. Gdy nadejdzie czas nowej polityki – a nadejść musi – skończą się długie lata niezdecydowania Sowietów i będzie można oczekiwać, że polski kryzys, który się zaczął w sierpniu 1980 roku, wkroczy w decydująca fazę.

Jestem szczerze wdzięczny tym czytelnikom pierwszego wydania, którzy pisali do mnie z wyrazami uznania, a czasem także przysyłali mi listy poprawek. Bardzo często proponowane ulepszenia okazywały się jeszcze bardziej nieścisłe niż oryginalne pomyłki. Natomiast większość zauważonych błędów – między innymi niewybaczalne pomylenie Tukidydesa z Ksenofontem, a także przedziwny akt oddelegowania „polskiej kawalerii" na mury Baru, czyli polskiej „nowej Kalwarii ludów" – już poprawiono, zarówno w tekście oryginalnym, jak i w przygotowywanych właśnie wersjach francuskiej i polskiej.

Norman Davies
14 lipca 1985

Przedmowa do wydania poprawionego

Przygotowując nowe poprawione wydanie, chciałbym wyrazić moją wdzięczność redaktorom z Oxford University Press, a zwłaszcza Catherine Humphries; Rogerowi Moorhouse, który pracował nad tekstem, przygotowując go zarówno do tego wydania, jak i do wydania niemieckiego w CH Beck Verlag; a także Gillian Boston, która tak solidnie pomogła przy korektach.

Jak większość moich książek *Serce Europy* ma podwójną karierę. Kiedy zostało wydane po raz pierwszy, w latach osiemdziesiątych, spotkało się z życzliwym przyjęciem w anglojęzycznym świecie; odniósł także sukces francuski przekład, *Histoire de Pologne*, który się ukazał w wydawnictwie Fayard. Natomiast w Polsce komunistyczni cenzorzy potraktowali książkę bardzo surowo, powodując spore problemy dla ludzi złapanych na jej posiadaniu. Była regularnie konfiskowana przez państwowe służby celne, stając się przedmiotem niejednego przesłuchania sądowego, po którym decydowano, że jest „szkodliwa dla interesów Rzeczypospolitej Ludowej". Nie było wtedy mowy o jej wydaniu w Polsce, z wyjątkiem szeroko rozpowszechnianych podziemnych wydawnictw Solidarności, gdzie krążyły przekłady i wyjątki poszczególnych partii książki. Wytrwałe wysiłki świętej pamięci Jerzego Giedroycia, aby ją wydać po polsku za granicą, zakończyły się niepowodzeniem z powodu trudności ze znalezieniem w Polsce tłumaczy.

Natomiast po roku 1989 wszystko się zmieniło. *Serce Europy* nadal miało szeroki krąg czytelników w Wielkiej Brytanii i Ameryce, ale teraz mogło zostać także udostępnione publiczności najbliżej związanej z jego treścią. W końcu wydano je w polskim przekładzie – w 1995 roku, w wydawnictwie Aneks.

Polacy oczywiście czytali książkę z o wiele szerszą wiedzą i z większą przenikliwością niż Brytyjczycy czy Amerykanie. Wobec tego z wielką satysfakcją przyjąłem fakt, że wydanie tekstu na łaskę licznych recenzentów i komentatorów nie przyniosło uszczerbku jej reputacji. W odróżnieniu od większości prac napisanych w latach osiemdziesiątych przez zachodnich politologów i sowietologów *Serce Europy* okazało się absolutnie do przyjęcia zarówno przed upadkiem komunizmu, jak i po nim.

Było jednak coś, co okazało się niezbędne. Narracja kończyła się w roku 1983, kiedy blok sowiecki pozostawał jeszcze nienaruszony,

a komuniści wciąż trzymali się władzy. Trzeba było ją uaktualnić, dodając opis upadku komunizmu w latach 1989–1990 i bolesnego, lecz udanego „procesu transformacji", który nastąpił potem. Jestem zatem bardzo szczęśliwy, że mogę nie tylko oddać w ręce czytelników nowe wydanie, ale także przedstawić im nowy rozdział zatytułowany *Wyzwolenie*, który podejmuje wątek i doprowadza narrację do końca drugiego tysiąclecia.

Trudno uwierzyć, że sterowany przez Sowietów przytłaczający reżim, którego nieprawości stworzyły ponury klimat stanowiący tło pierwszego wydania, sam przeszedł do historii. Można tylko pogratulować Polakom w pełni zasłużonego zwycięstwa i podziwiać zręczność oraz determinację, z jaką stawili czoło nowej epoce. Albowiem mimo problemów Polska cieszy się dziś lepszym zdrowiem niż przez ostatnie kilka stuleci. Dostarcza wspaniałego przykładu zwycięstwa ludzkiego ducha nad długotrwałymi przeciwnościami. I w tym sensie Polskę wypada uznać za wielkie bogactwo Europy – kontynentu, w którego sercu zawsze miała swoje miejsce.

Norman Davies
Oxford, styczeń 2001

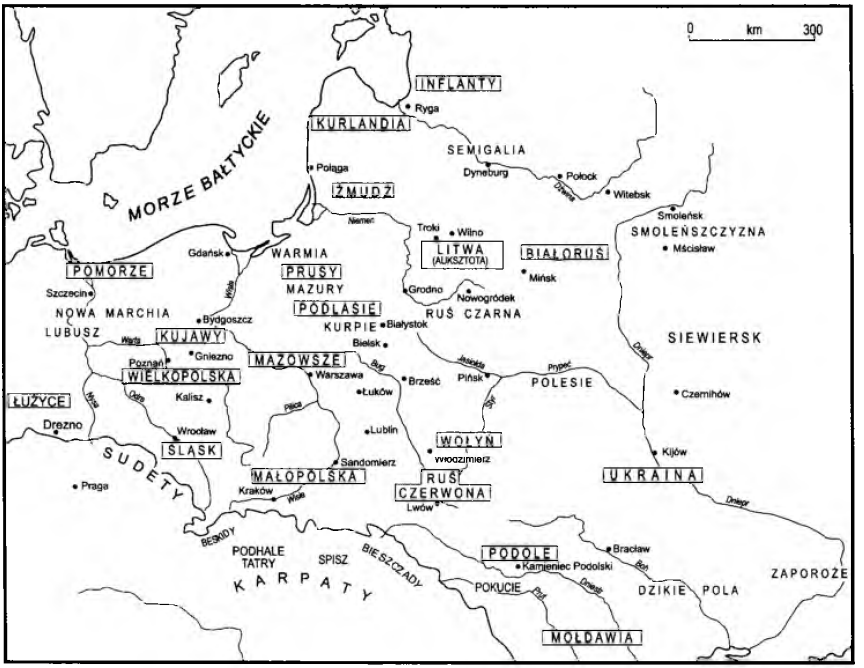

Mapa 1. Historyczne ziemie polskie

ROZDZIAŁ 1

DZIEDZICTWO UPOKORZENIA

Od końca wojny do kryzysu PRL, 1944–1983

Niewiele jest chyba na świecie państw, w których system rządzenia byłby tak bardzo pozbawiony powszechnego szacunku, jak to miało miejsce w Polsce. Bez względu na poglądy dotyczące wydarzeń z lat 1980–1981 żaden rozsądny obserwator nie zaprzeczy, że pojawienie się niezależnego ruchu Solidarność ostatecznie dowiodło, iż reżim komunistyczny w Polsce stracił zaufanie wszystkich, z wyjątkiem swoich własnych elit. W gruncie rzeczy ogłoszenie 13 grudnia 1981 roku stanu wojennego trzeba uznać za milczące przyznanie, że komuniści mogą zachować władzę, tylko stosując brutalną siłę. Niektórzy krytycy byliby skłonni twierdzić, iż reżim tracił kredyt zaufania stopniowo w ciągu minionych dziesięciu czy piętnastu lat. Inni mogliby się upierać, że od samego początku nigdy nie cieszył się wystarczającym poparciem społecznym. Z pozycji klasycznego liberalizmu, który utrzymuje, iż rządy powinny rządzić za zgodą rządzonych, Polska Rzeczpospolita Ludowa z pewnością nie była jedynie politycznym trupem: ona po prostu nigdy nie powinna się urodzić.

Polska nie była oczywiście jedynym krajem na świecie, w którym rządziła dyktatura, i mimo wszystkich cierpień i niedoli trudno uznać, że władza uprawiała tam jakąś wyjątkową przemoc. Wśród członków ONZ było wówczas więcej dyktatur niż demokracji, a jeśli oceniać według panujących tam standardów reżim komunistyczny w Polsce, wypada uznać, że konsekwentnie powstrzymywał się on od bardziej skrajnych form politycznej przemocy. Polski nie można oskarżać o takie zbrodnie, jakich dokonywano na nieszczęsnych *desaparecidos* w Argentynie czy na ofiarach fanatycznych rządów Pol Pota w Kambodży i szalonego marszałka polnego Idi Amina „Dada" w Ugandzie. A co zapewne istotniejsze, komunistyczna Polska odmówiła pójścia za przykładem swojego patrona i mentora, Związku Sowieckiego, gdzie liczba ofiar reżimu sięgnęła dziesiątków milionów, i to w okresie jednego tylko pokolenia. Ucisk polityczny w Polsce, choć z bliska wyglądał dość paskudnie i choć okazał się wielce niekomfortowy dla tysięcy osób przetrzymywanych w obozach dla internowanych, był mniej straszny z powodu fizycznego okrucieństwa niż z powodu moralnego zepsucia i intelektualnych absurdów. Bo z punktu

widzenia dominujących prądów i aspiracji polskiego społeczeństwa nie miał żadnej istotnej *raison d'être*.

Większość dyktatur rodziła się przecież w wyniku wyraźnie określonych warunków wewnętrznych. Niektóre – szczególnie w Afryce – można usprawiedliwić potrzebą rozdzielenia zwalczających się nawzajem plemion albo nie dającymi się pogodzić interesami społeczności żyjących w jednym państwie. Wiele – na przykład w Hiszpanii w latach trzydziestych XX wieku – powstaje w wyniku wojny domowej. Niektóre – jak w przypadku rewolucji komunistycznych w Chinach czy na Kubie – są akceptowane z powodu nieznośnego ucisku społecznego, panującego tam wcześniej. Inne – jak w hitlerowskich Niemczech – zostały demokratycznie wybrane przez większość obywateli gotowych poświęcić swoje osobiste prawa na rzecz obronności narodu czy wzrostu narodowej potęgi. Jeszcze inne – zwłaszcza w tradycjonalistycznych monarchiach Trzeciego Świata w rodzaju Arabii Saudyjskiej – istnieją dlatego, że ich narody nigdy nie miały żadnych innych doświadczeń. Kilka – na przykład Państwo Watykańskie czy Tybet Dalajlamy – funkcjonuje dzięki silnej pozycji religijnej swojego władcy. Nawet w najbardziej godnych ubolewania przypadkach imperializmu europejskiego czy japońskiego używano argumentów, że Indie lub Angola, lub Meksyk, lub też Korea musiały przejść stadium kolonialnego wyzysku po to, aby w odpowiednim czasie móc odnosić korzyści płynące z kontaktów z ich bardziej rozwiniętymi ciemiężcami. Innymi słowy, dyktatury bywają czasem złem koniecznym i nie muszą działać niekorzystnie na wszystkie formy postępu.

Ale w Polsce nie było takiego lokalnego uzasadnienia. Gdyby pod koniec II wojny światowej zostawiono ją w spokoju, mogłaby wytworzyć swoją własną formę demokracji, jak w roku 1921, albo swoją własną odmianę dyktatury, jak w roku 1926. Biorąc pod uwagę utrwalone tradycje i zobowiązania Polaków, trudno sobie wyobrazić, żeby mogli sami przez się stworzyć jakiś reżim komunistyczny. Rodzimych polskich komunistów z trudem wystarczyłoby na to, aby zarządzać jedną fabryką, nie mówiąc już o zarządzaniu krajem liczącym około trzydziestu milionów mieszkańców. W dziedzinie gospodarczej Polska miała bardzo dużo do zyskania dzięki powiązaniom z wysoko rozwiniętymi gospodarkami Europy Zachodniej i Ameryki Północnej, natomiast bardzo niewiele korzyści mogła jej przynieść zależność od zacofanego i pustoszonego wojnami ZSRR.

Tymczasem w latach 1944–1948 Związek Sowiecki siłą narzucił Polsce ustrój komunistyczny w sowieckim stylu, nie zważając ani na wolę narodu, ani na niezależne interesy kraju. Cytując słowa samego wielkiego

Stalina, wprowadzanie komunizmu do Polski było jak „wkładanie krowie na grzbiet siodła". Właśnie ten groteskowy brak harmonii między poglądami rządzącego establishmentu komunistycznego i tradycjami narodu jako całości leżał u podstaw wszystkich powracających kryzysów, jakie następowały w Polsce od czasu wojny. To doświadczenie obcej tyranii, tak dobrze znane Polakom we wcześniejszych okresach ich historii, ukształtowało postawy powojennego pokolenia.

* * *

Pięć etapów

Mimo wizji harmonii i dobrobytu, do której – jak się sądzi – aspirują wszyscy komuniści, w gruncie rzeczy nigdzie na świecie nie dawali oni żadnych sygnałów wskazujących, że udaje im się te ideały wcielać w życie. Początkowe stadium „budowy socjalizmu", nie mówiąc już o ostatnim stadium prawdziwego komunizmu, potrzebowało bardzo długiego czasu, aby się urzeczywistnić. Szczególnie w Polsce ideał uparcie pozostawał w bardzo dużym oddaleniu od rzeczywistości. Prawdę mówiąc, ponieważ w myśl własnej teorii komunistów potrzebny był ostateczny uwiąd państwa i partii, można świetnie zrozumieć, że nie mieli oni ochoty zbyt szybko posuwać się do przodu. Polacy powtarzali sobie pewną zagadkę: na pytanie „Jaka jest najlepsza droga do socjalizmu?", odpowiedź – wyrażająca chyba punkt widzenia wszystkich zainteresowanych – brzmiała: „Najdłuższa".

Sześćdziesiąt lat temu, kiedy polskim komunistom po raz pierwszy mogło się zamarzyć przejęcie władzy, nie ustalali oni żadnego harmonogramu realizacji tych marzeń, jest jednak oczywiste, że mieli nadzieję na stworzenie solidnych podstaw pod budowę bezklasowego i cieszącego się dobrobytem społeczeństwa w ciągu dziesięcioleci raczej niż stuleci. Tymczasem między początkami rządów komunistycznych w okresie wyzwalania kraju przez Sowietów w latach 1944–1945 a wojskowym zamachem stanu z roku 1981 przeprowadzili swój kraj przez pięć kolejnych niełatwych etapów – od ruin wojny po ruiny komunistycznego pokoju.

1. Przejęcie władzy przez komunistów: od wyzwolenia przez Sowietów do państwa jednopartyjnego. Lipiec 1944 – grudzień 1948

Kiedy armia sowiecka rozpoczęła okupację terenów, które Sowieci przeznaczyli na terytorium powojennej Rzeczypospolitej Ludowej, przed sowieckimi specjalistami od inżynierii politycznej stanęło zadanie przeprowadzenia długiego procesu politycznej rekonstrukcji. Prawdę mówiąc, nie wydaje się prawdopodobne, że od początku wiedzieli, co właściwie chcieli skonstruować. Sam proces wyzwalania trwał blisko rok, a wycofująca się armia niemiecka zażarcie walczyła o każdy metr ziemi. Stettin (przyszły Szczecin) bronił się do 26 kwietnia 1945 roku, Breslau (przyszły Wrocław) – do 6 maja, a Hirschberg (przyszła Jelenia Góra) – do 9 maja, czyli do kapitulacji Niemiec. Potem trzeba było uruchomić kilka gigantycznych operacji cywilnych. Niemal każde polskie miasto – z wyjątkiem Krakowa, który miał szczęście – trzeba było odbudować z wojennych gruzów; trzeba było pochować trupy, na nowo wybrukować ulice, uruchomić elektrownie, przywrócić transport. Około pięciu milionów Niemców i nieco mniej Ukraińców trzeba było poddać kontroli, zebrać i wyrzucić z kraju na mocy deklaracji poczdamskiej. Mniej więcej tyle samo uchodźców, repatriantów i osób przemieszczających się na terytorium kraju – w tym ćwierć miliona Żydów w drodze do Palestyny – zapełniało drogi i dworce kolejowe. Ziemiom Zachodnim, świeżo przyłączonym po ich odebraniu Niemcom, trzeba było zapewnić minimum administracji i całkowicie zaludnić w dużej mierze Polakami przesiedlanymi z terenów przyłączonych do Związku Sowieckiego. Cały przemysł kraju trzeba było przeorganizować według ustawy o nacjonalizacji ze stycznia 1946 roku. Ponad milion chłopów trzeba było zainstalować na nowych gospodarstwach, w myśl dekretu o reformie rolnej z 6 września 1946 roku. A na domiar wszystkiego, przez ponad dwa lata trzeba było prowadzić zaciekłą wojnę domową, aby zgnieść resztki wojennego ruchu oporu. Nic dziwnego, że wydarzenia polityczne przebiegały powoli.

W tym początkowym okresie władze sowieckie nie bardzo ufały polskim komunistom. Polegały przede wszystkim na swoich własnych służbach bezpieczeństwa, które pracowicie czyściły wszystkie polskie miasta i wsie z działających tam „elementów antysocjalistycznych". Obficie korzystały z usług tych nielicznych polskich niekomunistów, których udało się nakłonić do współpracy i którzy pełnili funkcje figurantów w nowych instytucjach rządowych. W końcu w 1945 roku minęło dopiero siedem lat od czasu, gdy Stalin zarządził całkowitą likwidację Komunistycznej Partii Polski (KPP) i egzekucję około pięciu tysięcy jej aktywistów; zaledwie

trzy lata wcześniej założono Polską Partię Robotniczą (PPR), która zajęła miejsce KPP. Nawet gdyby polscy komuniści chcieli na tym etapie przejąć władzę, było ich o wiele za mało, żeby się to mogło udać.

W okresie bezpośrednio po zakończeniu wojny rządy w Polsce zmieniały się szybko i często. Pierwszy z nich, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN), był tworem sowieckim, sprowadzonym do Polski w lipcu 1944 roku, aby pod opieką Armii Czerwonej przejąć władzę na wyzwolonych terytoriach. 31 grudnia 1944 roku zmienił nazwę na „Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej", ale jako taki był uznawany tylko przez ZSRR. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej powstał z połączenia istniejącego pod sowieckim protektoratem ciała z grupą ludzi kojarzonych z przywódcą ruchu chłopskiego, Stanisławem Mikołajczykiem, jedynym przedstawicielem legalnego polskiego rządu na uchodźstwie z siedzibą w Londynie, który zgodził się wrócić do kraju. Istniał od 28 czerwca 1945 roku do stycznia 1947 roku. Pierwszy rząd pochodzący z wyboru rozpoczął działalność 8 lutego 1947 roku w okolicznościach, które Wielka Brytania, Francja i USA uznały za nieodpowiadające ustaleniom deklaracji poczdamskiej w sprawie „wolnych i nieskrępowanych wyborów". Na jego czele stanął kandydat nadzorowanego przez Sowietów Bloku Demokratycznego, socjalista i były więzień Auschwitz, Józef Cyrankiewicz. W odpowiednim czasie Cyrankiewicz pokierował procesem przekształcenia swojego pseudodemokratycznego rządu w pełnowymiarowe jednopartyjne państwo w sowieckim stylu, za co spotkała go nagroda w postaci dwudziestopięcioletniej kariery. Mikołajczyk miał szczęście. Obrzucony w sejmie brutalnymi oskarżeniami o szpiegostwo na rzecz obcych państw, ratując życie, w październiku 1947 zbiegł z powrotem do Londynu.

W tym czasie Kreml przygotowywał się już do zepchnięcia w cień polskich komunistów. Zaczynała się zimna wojna, rozpoczęto blokadę Berlina i Stalin był coraz bardziej zniecierpliwiony prowizorycznymi rozwiązaniami. W marcu 1948 roku Cyrankiewicz pojechał do Moskwy, gdzie otrzymał instrukcje w sprawie utworzenia nowej partii rządzącej z połączenia jego własnej kadłubowej Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) z komunistyczną PPR. Prokomunistyczny odłam partii chłopskiej, Zjednoczone Stronnictwo Ludowe (ZSL), oraz tak zwane Stronnictwo Demokratyczne (SD) miały istnieć nadal pod patronatem partii. W tym samym czasie krnąbrna postawa Tity wobec Związku Sowieckiego szczególnie zdenerwowała Stalina, wściekłego na nieposłusznych komunistów, a Władysław Gomułka, od roku 1943 ustanowiony jako pierwszy sekretarz PPR, z pewnością należał do ludzi, którzy się kierują własnym

rozumem. Wobec tego Gomułka musiał odejść. We wrześniu 1948 roku zmuszono go do upokarzającego publicznego przyznania się do własnych pożałowania godnych błędów, a następnie wtrącono do więzienia. Oznaczało to, że założycielski zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR) w grudniu 1948 roku przekształcił się w triumf rywala Gomułki, Bolesława Bieruta, byłego urzędnika Kominternu, do tego momentu udającego osobę „bezpartyjną". Bierut, który sprawował już urząd prezydenta Rzeczypospolitej, wyszedł ze zjazdu jako osoba pełniąca o wiele ważniejszy urząd pierwszego sekretarza. Polska – imitacja Związku Sowieckiego, dostała swoją imitację Stalina. Nowa Polska stworzyła swój Nowy Ład.

2. Polski stalinizm. Grudzień 1948 – październik 1956

Tak jak rewolucja stalinowska z 1929 roku rozpoczęła okres kształtowania się współczesnego Związku Sowieckiego, tak też szczególnie bliskie powiązania Polski z ZSRR w ostatnich latach epoki Stalina odcisnęły trwałe piętno na Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. I tak jak potępiając starannie wybrane zbrodnie Stalina przeciwko partii, Związek Sowiecki nigdy nie próbował ani zreformować, ani zastąpić głównych instytucji Rosji Stalina, tak też *gros* stalinowskich innowacji w Polsce przetrwało w nienaruszonym stanie do roku 1989. Przyjęcia marksizmu-leninizmu jako jedynej ideologii, ustanowienia przesadnie licznego wojska z poboru, gospodarki opartej na centralnym planowaniu, obsesji na punkcie przemysłu ciężkiego, konstytucji z 1952 roku i – przede wszystkim – monopolu władzy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nigdy skutecznie nie zakwestionowano. Komunistyczna Polska, podobnie jak reszta obozu, do którego należała, była tworem z gruntu stalinowskim. Praktycznie rzecz biorąc, okres stalinowski zbiegł się z panowaniem w Warszawie Konstantego Rokossowskiego, sowieckiego marszałka polskiego pochodzenia, który pełnił funkcje wicepremiera, ministra obrony, członka Biura Politycznego i psa łańcuchowego prezydenta Bieruta.

Konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ogłoszono 22 lipca 1952 roku, w ósmą rocznicę sowieckiego panowania w Polsce. Mogło się zdawać, że w dużym zakresie wprowadza ona modelową demokrację, gwarantując swobody obywatelskie, powszechne prawo wyborcze, rząd parlamentarny złożony z prezydenckiej Rady Państwa, obieralny sejm i Radę Ministrów odpowiedzialną przed sejmem. W praktyce ta „Ludowa Demokracja" była zalegalizowaną fikcją. „Masy pracujące miast

i wsi", które konstytucja ustanowiła beneficjentem władzy politycznej, były w gruncie rzeczy jej bezbronnymi ofiarami. Nie miały prawa wysuwać własnych kandydatów do władz centralnych i miejscowych ani żadnego wpływu na działania rządzącej partii, roszczącej sobie prawo do rządzenia państwem w ich imieniu. Cała rzeczywista władza spoczywała w rękach Biura Politycznego partii, jej pierwszego sekretarza i uprzywilejowanej elity z nomenklatury, którą sekretarz ten mianował. Rzeczywistość oznaczała dyktaturę partii nad narodem.

Mechanizm polityki stalinowskiej napędzała paranoja emanująca z najwyższych kręgów w Moskwie, a zrodzona z przekonania, że blok sowiecki zaraz zostanie zaatakowany przez rozbuchane siły amerykańskiego imperializmu, uzbrojonego w bombę wodorową. Rezultatem było szaleństwo zbrojeń i gigantyczne projekty konstrukcyjne. Wojsko Polskie rozrosło się dzięki poborowi do rozmiarów regularnych sił liczących 400 000 żołnierzy. Upolitycznianie korpusu oficerskiego prowadziła Akademia Wojskowo-Polityczna założona w 1951 roku. W odpowiednim czasie, w roku 1955, Polska zajęła miejsce członka założyciela Układu Warszawskiego – reakcji bloku sowieckiego na NATO. Na froncie gospodarczym Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG) – reakcja na Wspólny Rynek – powstała w roku 1949 w celu ułatwienia wspólnego planowania. Bezwzględny priorytet przyznawano przemysłowi ciężkiemu – przede wszystkim węgla, żelaza i stali – oraz przemysłowi zbrojeniowemu. Naprędce budowano nowe miasta i nowe przedmieścia, aby dostarczyć mieszkań robotnikom napływającym ze wsi. Żeby zapewnić dostawy żywności, rolnictwo poddawano przymusowej kolektywizacji. Chłopów wypędzano z ich działek, przekazywanych Państwowym Gospodarstwom Rolnym (PGR-om), które tylko nazwą różniły się od radzieckich kołchozów. Aby zniszczyć tradycyjne przywiązanie ludności do religii, otwarcie atakowano Kościół katolicki. W 1950 roku cały majątek Kościoła poddano konfiskacie. Masowo aresztowano księży. W 1953 roku prymas, arcybiskup Stefan Wyszyński, został wywieziony na zesłanie do odległego klasztoru.

Obserwatorowi z zewnątrz najbardziej niezwykła wydaje się mentalność stalinizmu. Oficjalną modę dyktowała ksenofobia. Wszelkie kontakty ze światem zewnętrznym natychmiast stawały się przedmiotem donosów, stwarzając atmosferę społeczną, w której procesy polityczne wydawały się czymś normalnym, a niewinnych ludzi można było dowolnie skazywać jako obcych szpiegów. Zachęcano Polaków do życia w komunach i do kolektywnego myślenia. Nie należeli już, jako indywidualne jednostki, ani do siebie, ani do swoich rodzin, ale do swojej brygady

roboczej, do zespołu przodowników pracy lub do jednostki wojskowej. Do fabryk i szkół wprowadzono rosyjski system donosicielstwa. Stachanowców – bohaterów pracy – wychwalano jako przykład dla mas. Popierano konformizm w sposobie ubierania się i myślenia. Zapanowała szczególnego rodzaju megalomania. Wszystkie publiczne dzieła musiały być kolosalne. „Większe" oznaczało „lepsze". Dobrem najwyższym było zwiększanie produkcji. Statystyki nabrały magicznej wartości. Robotnicy stawali się niewolnikami bezustannie zwiększanych norm pracy. W sztuce bezapelacyjnie zapanował socrealizm – powieści o traktorzystach, malowidła przedstawiające fabryki z betonu. Bez względu na to, jak bardzo nieszczęśliwi i stłamszeni naprawdę czuli się pisarze, kazano im emanować optymizmem. W budownictwie publicznym nastała moda na marmur, na niebosiężne fasady z ciężkimi kolumnami i topornymi pinaklami. Symbolami epoki stały się Pałac Kultury i Nauki w Warszawie – nieproszony prezent od ZSRR – oraz nowe miasto Nowa Huta pod Krakowem, które szczyciło się największą w kraju hutą żelaza, kilometrami pozbawionych charakteru tandetnych bloków dla robotników oraz brakiem kościoła.

Przypochlebianie się Związkowi Sowieckiemu było wymogiem etykiety. Przybywało pomników Stalina. Katowice przemianowano na Stalinogród. Podjęto próbę modyfikacji języka polskiego, wprowadzając rosyjski zwyczaj zwracania się do ludzi w drugiej osobie liczby mnogiej, *per* „wy" – zamiast standardowej polskiej formy trzeciej osoby liczby pojedynczej „pan"/„pani". (Zwyczaj ten utrzymał się w kręgach partyjnych).

Jednak mimo wszystko stalinizm nigdy nie osiągnął w Polsce takich szczytów zajadłości jak w krajach sąsiednich. Procesy polityczne nie przemieniały się w pokazówki ani w masowe czystki. Klasę średnią i intelektualistów nękano, ale ich nie likwidowano. Nie stłamszono Kościoła. Chłopów nie wysiedlano ani nie doprowadzano do klęski głodu. Kolektywizacja przebiegała powoli i nie objęła wszystkich.

Prawdę mówiąc, Polska tak bardzo się ociągała, że stalinowskie szaleństwo zaczęło przycichać jeszcze przed śmiercią Wielkiego Wodza w 1953 roku. W grudniu 1954 roku zniesiono znienawidzone Ministerstwo Bezpieczeństwa (choć oczywiście nie Urząd Bezpieczeństwa). W roku 1955 cenzura zelżała na tyle, że zezwolono na pierwsze zawoalowane słowa krytyki. Gomułkę ukradkiem zwolniono z więzienia. Cichcem zarzucono kolektywizację. Kiedy w lutym 1956 roku podczas XX Zjazdu KPZR Nikita Chruszczow przypuścił atak na Stalina, polska odwilż zmieniała się już w potop. To polscy towarzysze zorganizowali przeciek „tajnego referatu". Na domiar wszystkiego w Moskwie ogłoszono, że Bierut zmarł na atak serca.

Polska zareagowała na nagły zwrot Chruszczowa w Moskwie próbą pójścia w jego ślady. Polska partia chciała odzyskać kontrolę nad swoimi sprawami, wydzierając ją z rąk wojska i służb bezpieczeństwa, ponieważ dobrze wiedziała, że fali powszechnego rozgoryczenia nie uda się zbyt długo powstrzymać. W czerwcu 1956 roku w Poznaniu w wyniku rozruchów „o chleb i wolność" zginęło siedemdziesięciu czterech robotników i milicjantów. Oczywistym posunięciem było mianowanie szefa partii, który cieszyłby się większym zaufaniem ludzi i który miałby bardziej pragmatyczne podejście do problemów polskiego narodu. Oczywistym kandydatem był Gomułka – ofiara wydarzeń z 1948 roku. Niestety Chruszczow nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Od bratnich partii nie oczekiwano niezależnych inicjatyw, nawet jeśli tylko próbowały naśladować Chruszczowa. W październiku, kiedy zwołano VIII Plenum PZPR w celu wyboru nowego pierwszego sekretarza, Chruszczow przyleciał niezapowiedziany na warszawskie lotnisko, pieniąc się z wściekłości. Armia Czerwona wyszła z koszar, a koło Gdańska pojawiły się okręty sowieckiej floty. Zaczęły się plotki, że marszałek Rokossowski szykuje *coup* i że już przygotował listę proskrypcyjną. W końcu jednak sprawa zakończyła się pokojowo. Zarówno Chruszczow, jak i Gomułka byli twardo stojącymi na ziemi komunistami i obaj zdawali sobie sprawę, że największe bezsensy stalinizmu muszą się skończyć. Kiedy Chruszczow przekonał się, iż Gomułka jest z gruntu lojalny, przestał się sprzeciwiać. Rokossowskiemu i jego doradcom kazano wracać do domu. PZPR miała objąć bezpośrednią odpowiedzialność za Rzeczpospolitą Polską. W ten sposób „polska wiosna rozkwitła w październiku" i skończył się stalinowski koszmar.

3. Narodowy komunizm: szczytowy rozkwit PZPR. Październik 1956 – sierpień 1980

Nieposłuszeństwo Gomułki wobec ZSRR w październiku 1956 roku stało się siłą napędową mechanizmu, który miał kierować życiem politycznym Polski przez następne dwadzieścia pięć lat. Gomułka dowiódł, że polscy komuniści potrafią kierować swoimi sprawami, nie podlegając bezpośredniemu nadzorowi rosyjskich doradców, a jednocześnie zachowywać lojalność wobec Związku Sowieckiego. Zgodnie z biegiem zdarzeń w innych częściach komunistycznego świata, Gomułka wyznawał pogląd, że „do socjalizmu prowadzi wiele dróg". Odrzucał wszelkie niewolnicze naśladownictwa sowieckiego modelu i był silnie przekonany, że szczególne tradycje Polski wymagają szczególnej narodowej odmiany

komunizmu. Jednocześnie zaś, będąc świadkiem losu, jaki spotkał jego węgierskiego kolegę Imre Nagya, który życiem przypłacił doprowadzenie takich samych pomysłów do logicznej konkluzji, a także dostąpiwszy zaszczytu osobistego oglądania sowieckiej próby broni nuklearnej, świetnie zdawał sobie sprawę z własnych ograniczeń. Co więcej, mimo początkowej fali popularności był zbyt doświadczonym zawodnikiem, żeby wierzyć, iż Polacy naprawdę kochają swoich komunistów. Rodzimy „czerwony" mógł być lepszy od importowanego z Rosji komisarza, ale w ostatecznym rozrachunku wszyscy doskonale wiedzieli, że reżim komunistyczny w Polsce opiera się na sowieckiej władzy. Wobec tego dobito targu: autonomiczna, narodowa odmiana komunizmu w zamian za dalszą służalczość wobec ZSRR. Polska Rzeczpospolita Ludowa przestała być państwem marionetkowym i została państwem satelickim.

W efekcie swojego porozumienia z Sowietami – przypieczętowanego w czasie pobytu w Moskwie w listopadzie 1956 roku – Gomułka zdobył możliwość wprowadzenia szeregu strategicznych ustępstw wobec powszechnych żądań i uzyskał zgodę na zachowanie trzech szczególnych elementów polskiego ładu: niezależnego Kościoła katolickiego, wolnego (nieskolektywizowanego) chłopstwa i przedziwnej odmiany fikcyjnego pluralizmu politycznego. Z perspektywy czasu widać, że te ustępstwa były pomyślane jako tymczasowe środki, które zamierzano zlikwidować, jak tylko PZPR poczuje się na tyle silna, żeby rozpocząć marsz w kierunku bardziej ortodoksyjnego modelu socjalistycznego społeczeństwa. Żaden szczery komunista nie byłby skłonny przyznać, że w ostatecznej wizji wyobrażano sobie Polskę jako kraj katolicki z wolnym chłopstwem i otwartą areną polityczną. W rzeczywistości PZPR nigdy nie zyskała ani dość siły, ani dość zaufania, aby wyjść poza te kompromisy. Przeciwnie – gdy partia przedzierała się przez coraz częściej występujące kryzysy, Kościół, chłopi i dysydenci polityczni rośli w siłę. W końcu, po dwudziestu pięciu latach uprawiania tej strategii, wywróciła się partia, a nie jej przeciwnicy.

Pozycja Kościoła katolickiego w Polsce po II wojnie światowej była silniejsza niż w jakimkolwiek wcześniejszym okresie jego tysiącletniej misji. Fenomen tej siły można wyjaśnić częściowo cierpieniem z lat wojny, które kazało ludziom szukać pociechy w religii, a częściowo prawem ludzkiej przekory, którego wynikiem była większa lojalność ludzi wobec Kościoła tylko dlatego, że ich rząd im jej zabraniał. W dużej mierze jednak był to efekt etnicznych i kulturowych przekształceń polskiego społeczeństwa w czasie wojny i po wojnie. W roku 1773, po pierwszym rozbiorze, polscy katolicy stanowili zaledwie 50 procent ogółu

ludności; w roku 1921 w granicach międzywojennej Polski żyło ich 66 procent; w roku 1946, w następstwie wymordowania polskich Żydów przez hitlerowców i wypędzenia Niemców i Ukraińców, stanowili aż 96 procent. Pierwszy raz w historii Polska była krajem naprawdę katolickim, i akurat temu przesyconemu katolicyzmem społeczeństwu narzucono ateistyczny, komunistyczny rząd. Ładna recepta! Jeśli dodać do tego serię wybitnych osobistości, które stały na czele spraw Kościoła, łącznie z dwoma wieloletnimi prymasami, kardynałem Augustem Hlondem (1926–1948) i kardynałem Stefanem Wyszyńskim (1948–1981), oraz dwoma wybitnymi kardynałami, arcybiskupami krakowskimi – księciem Adamem Stefanem Sapiehą (1911–1951) i Karolem Wojtyłą (1965–1978) – nietrudno dostrzec, że w walce o umysły Polaków partia była beznadziejnie przegrana, zarówno pod względem jakości swoich generałów, jak i pod względem liczebności swoich sił. Wobec tego partia wybrała ostrożną drogę i zaproponowała kompromis. Krótko mówiąc, partia zobowiązywała się nie atakować Kościoła, jeśli Kościół zobowiąże się nie podważać pozycji państwa. Kościół został wykluczony ze szkół i z mediów, ale miał korzystać ze swobodnych kontaktów z Watykanem, sprawować pełną kontrolę nad obsadzaniem kościelnych urzędów, nad swoim majątkiem i finansami oraz zachować absolutną wolność praktyk religijnych. Zachował swoje seminaria, własne stowarzyszenia społeczne i kluby intelektualne oraz własny uniwersytet – Katolicki Uniwersytet Lubelski (KUL). Był jedynym w pełni niezależnym Kościołem w całym bloku sowieckim. Decydujące porozumienie z grudnia 1956 roku szczegółowo potwierdzała konstytucja apostolska z 26 czerwca 1972 roku. Dobijając tego targu, komuniści najwidoczniej czuli, że czas pracuje na ich korzyść. Socjologowie przepowiadali, że szybka industrializacja i urbanizacja doprowadzą do przełamania kulturowych wzorców tradycyjnego społeczeństwa i osłabią więź narodu z jego Kościołem. Byli w błędzie. Nowy przemysłowy proletariat okazał się tak samo żarliwie katolicki jak dawne chłopstwo. Polska nie poszła drogą religijnego indyferentyzmu, tak popularnego w Europie Zachodniej. Niestrudzona dwudziestoletnia walka mieszkańców Nowej Huty o budowę własnego kościoła – we wzorcowej przemysłowej dzielnicy, gdzie początkowo kościoła nie projektowano – jest symbolem triumfu Kościoła w całym współczesnym polskim społeczeństwie. W 1978 roku wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża – Jana Pawła II – stał się ostatecznym aktem nadania polskiemu Kościołowi tytułu Kościoła triumfującego.

Przetrwanie polskiego chłopstwa także stało się zaprzeczeniem wcześniejszych przepowiedni. Odwołując kampanię kolektywizacyjną okresu

stalinowskiego, Gomułka kierował się własnym doświadczeniem sprzed dwudziestu lat, kiedy jako młody czeladnik ślusarski na Ukrainie był naocznym świadkiem masowych mordów i masowego głodu. Nie chciał podobnych straszliwych nieszczęść dla Polski. Pegeery zachowano tylko w tych niewielu okręgach, gdzie rzeczywiście miały sens – na przykład na terenach ogromnych poniemieckich majątków ziemskich na Ziemiach Odzyskanych. Sporo ponad 60 procent ziemi uprawnej powróciło do pojedynczych chłopskich rodzin. Podobnie jak w przypadku polityki religijnej i tym razem komuniści czuli, że czas pracuje na ich korzyść. Nie kochali chłopów, których uważali za społeczny anachronizm o „antysocjalistycznych" skłonnościach. Ale i w tym przypadku eksperci wierzyli, że na przestrzeni mniej więcej jednego pokolenia niezależne chłopstwo po prostu zniknie. Nie miało sensu niszczyć ich siłą *à la russe*, jeśli ich status mógł ulegać stopniowej erozji za sprawą monopolu państwa na ceny produktów rolnych, maszyn rolniczych i nawozów, biurokratycznych sztuczek prawnych oraz ogromnych inwestycji w sektorze publicznym. Okazało się, że taka polityka była katastrofalna. Prześladowania dotknęły grupy społecznej, która żywiła naród. Pozbawiły sektor prywatny środków, które pozwoliłyby na stosowanie nowoczesnych metod uprawy, ponosząc jednocześnie fiasko w próbach podnoszenia tragicznie niskiej wydajności państwowych gospodarstw. Po czterdziestu latach postępu Polska stanęła na krawędzi klęski głodu. Kraj posiadający część najrozleglejszych i najżyźniejszych terenów uprawnych w Europie, który powinien płynąć mlekiem i miodem, cierpiał z powodu niedostatków żywności. Rozruchy spowodowane niedoborem chleba stawały się zarzewiem powtarzających się kryzysów politycznych. Racjonowanie żywności i kolejki przed sklepami spożywczymi stały się elementem życia codziennego. Ale prywatni chłopi przetrwali.

Jeśli idzie o politykę, tak bardzo wychwalana pluralistyczna forma socjalizmu, choć w gruncie rzeczy fikcyjna, mimo wszystko pozostawiała sporo miejsca na zróżnicowanie i eksperyment. Każdego przybysza z Zachodu zachęcano do zachwytów nad systemem wielopartyjnym, współpracą „postępowych katolików" z władzami komunistycznymi i obecnością „posłów niezrzeszonych" w sejmie. Owym przybyszom nigdy nie mówiono, że wszystkie mniejsze partie i stowarzyszenia polityczne były poddawane ścisłej kontroli przez obowiązkowe podporządkowanie się kierowanemu przez partię rządzącą Frontowi Jedności Narodu (FJN); że najważniejszy element ruchu postępowych katolików – organizacja PAX – był wyklęty przez hierarchów Kościoła katolickiego; że wszyscy kandydaci nienależący do partii musieli być starannie weryfikowani przez par-

tyjną komisję wyborczą, zanim uzyskali pozwolenie na kandydowanie. Nie trzeba być wybitnym ekspertem, żeby zrozumieć, iż od roku 1947 nie pozwalano funkcjonować żadnym niezależnym ciałom politycznym. Jednakże trzeba przyznać, że w granicach narzuconych przez partię otwarcie wyrażano opinie o wielu różnych odcieniach, licznym frakcjom i grupom nacisku pozwalano prężnie działać, zarówno w łonie partii, jak i poza nią, oraz że wynikająca z tej sytuacji polityczna debata w Polsce była o wiele bardziej złożona i wyrafinowana niż w większości innych krajów komunistycznych. Wprowadzając taką strategię, Gomułka niewątpliwie był przekonany, że nieposłusznemu narodowi trzeba sporo popuścić cugli, żeby móc nim skutecznie kierować. Fasada swobód politycznych zmniejszy prawdopodobieństwo czynnej opozycji, a tymczasem partia zewrze szeregi. Jako lojalny wyznawca leninizmu, Gomułka nigdy nie oddałby partyjnego monopolu władzy, natomiast jako wierzący marksista wierzył zapewne, że sukces społecznej i gospodarczej polityki partii z czasem zacznie sprzyjać legitymizacji, której reżimowi tak rozpaczliwie brakowało. To była uczciwa gra, i na początku wyglądało na to, że się opłaca. Wielu Polaków było skłonnych interpretować swoje wątpliwości na korzyść Gomułki i z radością witało oczywiste korzyści – większą swobodę dyskusji, ożywienie prasy, możliwość zagranicznych wyjazdów. Dopiero po długim okresie narastającego rozczarowania Gomułka i jego następca Edward Gierek przekonali swoich poddanych, że reżim komunistyczny tylko się bawił w polityczną liberalizację i nie miał szczerego zamiaru wprowadzać żadnych trwałych ustępstw. Czynna opozycja wyłoniła się po raz pierwszy w marcu 1968 roku, a kolejne wybuchy nastąpiły w latach 1970, 1976 i – bardziej zdecydowanie – w roku 1980, kiedy pojawienie się Solidarności stało się zapowiedzią szybkiego upadku panującego systemu.

W ciągu dwudziestu czterech lat po ustanowieniu przez Gomułkę narodowego reżimu komunistycznego rządząca PZPR przeżyła dwie kolejne fale wzlotu i upadku. Pierwsza zbiegła się z okresem rządów Gomułki i trwała do grudnia 1970 roku; druga nadeszła za rządów Edwarda Gierka i objęła okres od grudnia 1970 roku do września roku 1980. Przebieg karier obu przywódców był niezwykle podobny. Każdy z nich przeżył początkowy „okres miodowego miesiąca", kiedy to wydawało się, że honorowo uratował naród od losu gorszego niż śmierć (od sowieckiej inwazji). Miesiąc miodowy Gomułki trwał przez trzy lub cztery lata, miesiąc miodowy Gierka – przez mniej więcej dwa. Potem każdy z nich wkroczył w okres, w którym nadzieje na nową strategię gospodarczą równoważyły rozczarowania na froncie politycznym. Gomułka osiągnął swoją „małą stabilizację" w latach 1960–1967; Gierek zaczął wprowadzać

swój odważny plan modernizacji w roku 1972, wśród oznak rosnącego dobrobytu. Obaj przeżyli gwałtowne wyzwanie dla własnego autorytetu – Gomułka podczas wydarzeń 1968 roku, Gierek – z powodu wydarzeń z czerwca roku 1976. Obaj przetrwali pewien czas na gruzach swojej polityki – do czasu gdy kolejny wstrząs uwolnił ich od nieszczęścia. O usunięciu Gomułki zadecydowały rozruchy na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku; o odejściu Gierka – strajki z roku 1980. Obaj próbowali rozwiązać polską kwadraturę koła i obaj ponieśli klęskę.

Klęska Gierka jest szczególnie pouczająca, ponieważ ujawniła fatalny brak zdolności reżimu komunistycznego do wyciągania wniosków z własnych błędów. Chociaż Gierek spędził młodość górnika-emigranta w szeregach dwóch najbardziej doktrynerskich partii stalinowskich w Europie (partii komunistycznych we Francji i w Belgii) i chociaż zdobył sobie na Śląsku reputację twardego szefa partii twardej górniczej społeczności, w fazę kryzysu z lat 1970–1971 wkroczył jako trybun ludowy. Odwiedzał stocznie w bałtyckich portach, gdzie przelano krew, fabryki tekstyliów w Łodzi, gdzie strajkom przewodziły kobiety, pokazywano go, jak rozmawia z robotnikami i ze współczuciem słucha ich pełnych gniewu skarg. Obiecywał dochodzenia, reformy i kary dla winnych. Ale zamiast wierzyć w polityczne ustępstwa, całą wiarę pokładał w nowej strategii gospodarczej, która – co dość istotne – miała się opierać nie na mocno zapóźnionych reformach strukturalnych w przemyśle i rolnictwie, ale na handlu zagranicznym i zagranicznych kredytach. Komunistyczny reżim odwrócił się plecami do robotników i chłopów i próbował szukać ocalenia u kapitalistycznych przedsiębiorców na dekadenckim Zachodzie. Zaciągnięto ogromne pożyczki w bankach napęczniałych od arabskich petrodolarów; zamawiano kosztowne nowoczesne technologie, aby przywrócić witalność następnej generacji polskiego przemysłu. Procenty od pożyczek miały być spłacane pieniędzmi uzyskanymi ze sprzedaży produktów tego nowego przemysłu na światowych rynkach. Niestety! W roku 1976 było już oczywiste, że dotknięty depresją rynek światowy nie potrzebuje polskiego eksportu niskiej jakości, a polski przemysł jest zbyt mało wydajny, żeby mógł towary te w ogóle dostarczyć. Co więcej, stworzywszy fikcyjny dobrobyt przez podniesienie płac i zamrożenie cen żywności dzięki nadmiernym dotacjom państwowym, Gierek odkrył, że nie jest już w stanie dłużej sprostać zobowiązaniom podjętym na arenie krajowej. W efekcie musiał popełnić ten sam błąd, jaki przed nim popełnił Gomułka: powziął arbitralną decyzję podniesienia cen żywności z dnia na dzień, wywołując wybuch powszechnych zamieszek – przede wszystkim w fabryce traktorów w Ursusie pod Warszawą i w zakładach zbrojeniowych w Radomiu.

Szybko się wycofał. Decyzję uchylono. Ale jedynym sposobem na zachowanie polskiej gospodarki przy życiu było zaciągnięcie jeszcze większych kredytów, aby móc pokryć koszty zarówno procentów od wcześniej pożyczonych sum, jak i gwałtownie rosnących dotacji. Zagraniczny dług Polski przyspieszył, przekraczając granicę dwudziestu miliardów dolarów – tyle, ile wynosił całkowity dług ZSRR; załamanie było już tylko kwestią czasu. Gierek, ogarnięty gorączką hazardzisty, nie miał żadnych realnych nadziei na wygraną. Dziwne, że reżim przetrwał aż tak długo. W lipcu 1980 roku, kiedy podjęto kolejną rozpaczliwą próbę podniesienia cen żywności bez konsultacji czy przygotowań, trzeba było stawić czoła już nie sporadycznym zamieszkom, ale zdecydowanemu sprzeciwowi zjednoczonego narodu. Reżim komunistyczny, ślepy na potrzebę zmian politycznych, jako stawkę w grze o wygraną zaoferował gospodarczy paliatyw i zebrał żniwo, na jakie zasłużył. Zbliżały się narodziny Solidarności.

4. Karnawał Solidarności. Sierpień 1980 – grudzień 1981

Przez trzydzieści sześć lat w polskiej polityce nie zwracano żadnej uwagi na ludzi, w których imieniu rządziła partia. Trzydziestosześciomilionowy wówczas naród był biernym przedmiotem polityki. W roku 1980 powstał, postanawiając zostać jednym z jej aktywnych podmiotów. Ruch Solidarność stał się ucieleśnieniem tej determinacji. Partii rządzącej zadano cios, po którym trudno się jej było podnieść.

Rozwój skonsolidowanej i zorganizowanej opozycji – w odróżnieniu od nieformalnej, niezorganizowanej opozycji narodu, która istniała zawsze – odbywał się stopniowo przez kilkanaście lat. W wyniku wydarzeń z 1968 roku i ich paskudnych antysemickich podtekstów wyłoniła się grupa dysydenckich intelektualistów, z których kilku – jak Adam Michnik czy Jacek Kuroń – miało za sobą lewicową lub marksistowską przeszłość. Rozruchy na Wybrzeżu w 1970 roku stały się przyczyną narodzin pokolenia gniewnych i rozczarowanych robotników, szczególnie w Gdańsku i Szczecinie. Podejmowane w latach 1975–1976 machinacje partii w sprawie poprawek do konstytucji, oficjalnie potwierdzające zależność Polski od ZSRR, doprowadziły do powstania grupy nacjonalistycznie nastawionych dysydentów, znanych później pod nazwą Konfederacji Polski Niepodległej (KPN). Wydarzenia z czerwca roku 1976 w Radomiu i w fabryce traktorów w Ursusie pod Warszawą, gdzie robotników ukarano za udział w protestach, przyniosły pierwsze oznaki konsolidacji. Komitet Obrony Robotników (KOR), założony przez między

innymi Lipińskiego i Kuronia oraz innych działaczy, otwarcie funkcjonował jako centrum informacyjne i ośrodek łączności. Wybór Karola Wojtyły na papieża w 1978 roku, a w jeszcze większym stopniu jego triumfalna pielgrzymka do ojczyzny w czerwcu 1979 roku stały się źródłem otuchy, zrywając łańcuchy oraz przełamując strach i niepokój, które nie pozwalały Polakom być sobą. Papież otwarcie nie komentował kształtu sceny politycznej, ale uderzający kontrast między prawdziwym, spontanicznym autorytetem Kościoła a sztucznie rozdmuchiwanym autorytetem partii z całą ostrością uwidocznił się w świetle telewizyjnych kamer. Potem kości zostały rzucone. Rozwarło się pęknięcie w skorupie świata polskich komunistów. Trzeba było zaledwie jednego drobnego spięcia, aby wyzwolić wybuch powszechnego rozgoryczenia.

Iskrą zapalną stała się ostatecznie zarządzona przez partię nowa podwyżka cen żywności. Na początku – w lipcu – zdawało się, że fala lokalnych strajków zmierza w tym samym kierunku co poprzednie fale z lat 1970 i 1976. Protesty z powodu niedostatków żywności stały się źródłem niezliczonych drobniejszych skarg na wszelkiego rodzaju niedole i nadużycia. Można było oczekiwać, że partia odpowie stosowną listą obietnic i podwyżek płac, kosmetyczną zmianą rządu, próbą uzyskania dalszych pożyczek z zagranicy, a w najlepszym razie nową strategią podejmowania reform. Ale tym razem szybko stało się jasne, że robotnicy nie dadzą się zbyć byle czym. W połowie sierpnia komitet strajkowy, ukonstytuowany w ogromnej Stoczni im. Lenina w Gdańsku, odrzucił korzystną propozycję spełnienia ich własnych lokalnych żądań, twierdząc, że byłaby to zdrada towarzyszy strajkujących w innych miejscach kraju. Nadeszła chwila prawdy. Komunistom zaczęło świtać, że wyzwaniem dla partyjnego monopolu władzy jest działanie robotników w całym kraju, zjednoczonych pod ironicznym hasłem „robotnicy wszystkich zakładów pracy, łączcie się!". 31 sierpnia w porozumieniu gdańskim, a potem w odrębnym porozumieniu podpisanym przez przedstawicieli górników w Jastrzębiu na Śląsku, negocjatorzy rządowi musieli przyjąć najważniejsze postulaty strajkujących. W zamian za potwierdzenie wiodącej roli politycznej partii oficjalnie przyjęli długą listę ustępstw, łącznie z prawem robotników do strajku, prawem zrzeszania się w związkach zawodowych, prawem wzniesienia pomnika towarzyszom zabitym w 1970 roku oraz zgodą na rozluźnienie cenzury. Bezpośrednim skutkiem tych porozumień było utworzenie przez delegatów komitetów strajkowych ze wszystkich części Polski Krajowej Komisji Porozumiewawczej Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego (NSZZ), któremu nadano nazwę Solidarność. Na przewodniczącego wybrano trzydziestosiedmioletniego bez-

robotnego elektryka, który przeskoczył przez ogrodzenie Stoczni Lenina, aby stanąć na czele najważniejszego strajku w Gdańsku – Lecha Wałęsę.

Piętnaście miesięcy legalnej działalności związku Solidarność wypełniły projekty reform, dyskusje, konflikty, spory i porozumienia, obawy i alarmy, które następowały po sobie w oszałamiającym tempie. Po raz pierwszy za czasów tego pokolenia życie polityczne nabrało wigoru i spontaniczności. W listopadzie przeżywano udręki niepewności, bo warszawski Sąd Okręgowy wahał się w sprawie prawnej rejestracji związku. W grudniu, podczas manewrów Armii Czerwonej, pojawiła się pierwsza otwarta groźba sowieckiej interwencji. Wiosną trwała długa walka o legalizację NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność" – związku chłopów, przy akompaniamencie wrzawy, jaka wybuchła, gdy w marcu oddziały milicji zaatakowały działaczy Solidarności w Bydgoszczy. Tylko dzięki nadludzkim wysiłkom Wałęsy uniknięto strajku generalnego. Przez całe lato trwały gorączkowe przygotowania do Pierwszego Krajowego Zjazdu Solidarności, którego dwie sesje odbyły się w Gdańsku we wrześniu 1981 roku i na którym przyjęto uchwały i postanowienia ruchu. Jesienią wszystkie polskie uniwersytety i szkoły wyższe przyłączyły się do strajku świata akademickiego w sprawie reformy studiów. Wreszcie frustracja zrodzona z niemożności uzyskania od władz jakichkolwiek istotnych zobowiązań w sprawie licznych propozycji dotyczących reform doprowadziła do zwołania posiedzenia zarządu związku; odbyło się ono 3 grudnia 1981 roku w atmosferze gniewu; wysunięto żądania wolnych wyborów i ogłoszenia referendum w sprawie sojuszu Polski ze Związkiem Sowieckim. Mikrofony, które władze umieściły w tajemnicy na sali obrad, zarejestrowały głos zdenerwowanego Wałęsy, mówiącego, że szukanie porozumienia z oporną i nieustępliwą partią jest rzeczą beznadziejną. Zbliżał się dzień rozliczenia.

Dużo można powiedzieć – i dużo napisano – o złożonej naturze ruchu Solidarność, skupiającego działaczy robotniczych, doradców wybranych spośród intelektualistów, katolików, studentów, chłopów, rencistów i pieczeniarzy wszelkiego autoramentu. Wiele można powiedzieć na temat codziennej walki Wałęsy o zachowanie równowagi między radykałami i umiarkowanymi doradcami. Wiele jeszcze pozostaje do zbadania, jeśli idzie o kolosalny dorobek intelektualny Solidarności – jej prasy, ulotek, debat, akcji wspierających badania historyczne, pomysłów reform gospodarczych i społecznych[1]. Są jednak dwa fakty, które nie wymagają komentarza. Po pierwsze, skupiając niemal dziesięć milionów członków,

[1] Zob. Neal Ascherson, *The Polish August – What happened in Poland?*, London 1981.

Solidarność reprezentowała niemal każdą polską rodzinę i wobec tego była wyrazicielką woli przeważającej większości narodu. Po drugie, pozostała wierna swoim ideałom pokojowych metod. Nie podjęto żadnych kroków, aby ją wyposażyć w środki obronne. Kiedy 13 grudnia 1981 roku została zaatakowana przez komunistyczne siły bezpieczeństwa przy użyciu czołgów, karabinów i pałek milicyjnych, nie miała ani broni, ani niezależnej sieci łączności, ani planu kampanii. I to właśnie było źródłem jej trwałego moralnego zwycięstwa.

Nikt nie może zaprzeczyć, że Solidarność stała się potężną siłą polityczną. Trzeba też przyznać, iż bardzo niechętnie prężyła swoje polityczne muskuły. Choć jej indywidualnym członkom zdarzało się wyrażać podgrzewające atmosferę opinie, choć licznym lokalnym oddziałom związku zdarzało się wysuwać żądania natychmiastowego działania w celu ukrócenia nadużyć, nigdy nie podjęto żadnych skonsolidowanych akcji zmierzających do obalenia partii czy sprowokowania powstania. Broni w postaci strajku generalnego, której można było w każdej chwili użyć, w rzeczywistości nigdy nie użyto. Wbrew krytyce płynącej z kręgów partyjnych i powtarzanej przez co bezmyślniejsze odłamy zachodniej prasy Solidarność rozpaczliwie walczyła o polityczny kompromis. Konkretnym rozwiązaniem, zrodzonym z dysput, jakie się toczyły w 1981 roku, byłaby jakaś forma rady porozumienia narodowego, w którym mogliby się znaleźć przedstawiciele wszystkich trzech głównych sił na arenie politycznej: Kościoła, partii i Solidarności. Co więcej, przywódcy Solidarności mieli słuszne powody, aby przypuszczać, że taki kompromis byłby nie tylko osiągalny, ale i opłacalny. W takim przekonaniu utwierdzali ich zarówno prymas Polski kardynał Wyszyński, jak i jego następca – od czerwca 1981 roku – arcybiskup Józef Glemp, a także zwolennicy ówczesnej polityki partii, która przyjęła dodające otuchy hasło „odnowy". Przyczyn upadku tego wyczekiwanego kompromisu trzeba szukać raczej w motywach postępowania partii niż Solidarności.

Wydarzeniem wybijającym się na pierwszy plan w latach 1980–1981 był bowiem gwałtowny paraliż, a następnie ostateczny upadek PZPR. W pewnym sensie za ten upadek partii odpowiadał oczywiście rozwój Solidarności. Ale to był tylko ostateczny cios. Partia upadła w szczytowym punkcie długiego procesu rozkładu, który od lat podkopywał szacunek dla jej zdemoralizowanych przywódców, jej nieudanej polityki i jej nietrafionej ideologii. Przecież gdyby partia była albo godna szacunku, albo dość silna, aby wymusić na ludziach propagowany przez siebie komunizm, Solidarność w ogóle nie mogłaby powstać. Teraz, gdy nadeszło wyzwanie, partia, która upierała się przy utrzymaniu swojej „wio-

dącej roli" w każdych okolicznościach, okazała się niezdolna do sprawowania przywództwa. Nieprzypadkowo po nieuchronnym odsunięciu od władzy Gierka 5 września jego następcą został Stanisław Kania – zwolennik kompromisu i ostrożności. Jako wieloletni szef Wydziału Administracyjnego KC PZPR, odpowiedzialny za wojsko, bezpieczeństwo i wewnętrzne sprawy polityczne, najlepiej wiedział, jak wielka była słabość partii. Jedna trzecia spośród trzech milionów jej członków przystąpiła do Solidarności; byli to głównie ludzie wywodzący się z niższych warstw aktywu; macki partyjnej machiny przestały reagować na sygnały z centrum. Układ nerwowy partii uległ zniszczeniu. Dyrektywy partii nie były już bezzwłocznie wykonywane, ale je ignorowano lub – co gorsza – otwarcie kwestionowano. W odpowiednim czasie towarzysze z Torunia włączyli się w panujący nastrój, nawołując do „ruchu poziomego", który połączyłby wszystkie komórki partyjne niższego szczebla, odrzucając tradycyjny system „pionowego" posłuszeństwa. Nadzwyczajny zjazd partii, zwołany w lipcu 1981 roku, okazał się rzeczywiście nadzwyczajny, ponieważ wybory do Komitetu Centralnego zorganizowano według demokratycznej zasady głosowania na otwartą listę kandydatów, a nie – jak dotychczas – na listę zamkniętą, ustaloną z góry przez wyższe organy partii. W efekcie 90 procent członków starego Komitetu nie zostało ponownie wybranych i musiało odejść – rzecz zgoła niesłychana! Postanowienia polityczne zjazdu okazały się mniej zadziwiające, ponieważ wiele palących problemów pozostawiono w wygodnym zawieszeniu, odkładając rozwiązania do przyszłych decyzji.

W tym momencie grupa ludzi tworzących jądro komunistycznego establishmentu była już chyba bliska rozpaczy. Z jednej strony musieli żyć pod stałą presją sowieckich towarzyszy, których wojsko ćwiczyło desant u wybrzeży Bałtyku, po raz kolejny delikatnie demonstrując zdecydowane stanowisko Moskwy. Z drugiej strony zaś utracili pewność, że partyjna machina potrafi sensownie zareagować na jakikolwiek plan działania. Twardogłowi krzykacze z nowego Biura Politycznego – w rodzaju Albina Siwaka – oczywiście uparcie sprzeciwiali się wszelkim planom kompromisu z Solidarnością, a także Radzie Porozumienia Narodowego. Nowi zwolennicy miękkiej linii – jak profesor socjologii z Krakowa Hieronim Kubiak – sprzeciwialiby się zapewne wszelkim planom zdławienia Solidarności siłą. Wśród szeregowych członków partii nastąpiłby beznadziejny rozłam – bez względu na wybrany kurs. Wobec tego nadszedł czas, aby działać bez nich. Dowództwo wojskowe i siły bezpieczeństwa poddano kwarantannie, żeby je uchronić przed wirusem demokracji, ale żądania ustanowienia oddziału związku w łonie milicji pokazały,

że zaraza szybko się rozszerza, ogarniając ważne organy ciała politycznego. Partia utraciła zdolność samoleczenia. Nieliczne elementy, które jeszcze zachowały wolę działania, musiały ratować same siebie i, jeśli możliwe, także to, co pozostało z dawnego ładu.

Geneza i przebieg grudniowego zamachu stanu pozostają przedmiotem żywych spekulacji. Ale główne zarysy są oczywiste. Wykluczone, żeby wielką operację wymagającą przemieszczenia wojsk i zapewnienia logistycznego wsparcia setkom tysięcy żołnierzy oraz koordynacji różnych służb dało się zaplanować w ciągu kilku dni czy nawet tygodni. W ogólnych zarysach plany awaryjne zostały niewątpliwie przygotowane z dużym wyprzedzeniem przez tajne wydziały, których obowiązkiem było mieć plan działania na każdą okoliczność. Ale zebranie szczegółowych informacji z terenu, potrzebnych do aktualizacji tych schematycznych planów, wymagało czasu. A co najważniejsze, posunięcia, dzięki którym architekci zamachu stanu mogliby się ustawić w pozycji pozwalającej na tajne przeprowadzenie tej operacji, trzeba było wykonać zdecydowanie i z największą ostrożnością. Jest prawdopodobne, że w grudniu 1980 roku zagrożenie sowiecką inwazją zostało odwołane tylko w wyniku zobowiązania, iż Sowietów wyręczy Wojsko Polskie. Pierwsze posunięcie wykonano w lutym 1981 roku, kiedy ministra obrony generała Wojciecha Jaruzelskiego awansowano na stanowisko premiera. Posunięcie drugie nastąpiło we wrześniu: pozbawiono władzy Kanię, żywe odbicie paraliżu partii, ponownie awansując Jaruzelskiego na najwyższy urząd pierwszego sekretarza. Posunięcie trzecie zrobiono w październiku, kiedy Jaruzelski wziął udział w spotkaniu z Wałęsą i prymasem, stwarzając iluzję starań o kompromis. W wyniku posunięcia czwartego, także w październiku, w miastach i wsiach pojawiły się tysiące niewielkich patroli wojskowych – oficjalnie po to, aby ułatwić rozdział żywności, ale także w celu zbierania informacji i propagowania wizerunku wojska jako przyjaciela narodu. Posunięciem piątym było zdyskredytowanie przywódców Solidarności – zadanie, którego z radością podjął się *Dziennik telewizyjny*, realizując je przez całą jesień – i jeśli się tylko dało, zmuszając ich do coraz bardziej ekstremalnych oświadczeń. A potem można już było tylko czekać, aż przeszkolone oddziały staną w gotowości. Idealnie by było, gdyby Solidarność została popchnięta do jakiegoś aktu otwartego buntu, ale spreparowane taśmy z gwałtownym wystąpieniem Wałęsy w Radomiu świetnie spełniły zadanie. Zamachu stanu dokonano w nocy, dziewięć dni później.

Pozostaje tylko intrygujące pytanie, kim właściwie byli jego autorzy. Czym właściwie był „główny ośrodek komunistycznego establishmentu",

który najwyraźniej mógł działać niezależnie od głównego aparatu partyjnego i – gdyby to się okazało konieczne – obalić go lub przyznać sobie prawo pełnienia jego funkcji? Odpowiedzią nie był po prostu generał Jaruzelski i jego najbliżsi współpracownicy – generał Siwicki czy generał Kiszczak – którzy we wrześniu weszli po cichu do Biura Politycznego i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. To byli ci ludzie – w mundurach lub bez mundurów – którzy zajmowali kluczowe stanowiska we wszystkich wrażliwych obszarach rządu i przemysłu, a zwłaszcza w wojsku, służbach bezpieczeństwa i w wywiadzie, i którzy byli winni lojalność w pierwszym rzędzie agendom sowieckim, ponieważ to one im te stanowiska zapewniły. Nie powinno to dziwić. Kiedy zlekceważono Kościół, kiedy zdławiono i zawieszono Solidarność, kiedy samą partię „obalono" i zepchnięto na drugi plan, rzeczywistość ukazała prawdziwe oblicze. „Główny ośrodek komunistycznego establishmentu" składał się ze służalczych agentów Związku Sowieckiego.

5. Dyktatura wojskowa. Grudzień 1981–1983

Zamach stanu generała Jaruzelskiego z 13 grudnia 1981 roku zaskoczył niemal wszystkich. Zaskoczył zachodnich ekspertów, którzy – z bardzo nielicznymi wyjątkami – utrzymywali, że struktura sowieckiego systemu wyklucza przejęcie władzy przez wojsko. Zaskoczył członków Rady Państwa, którym zaledwie z kilkugodzinnym wyprzedzeniem kazano zalegalizować stan wojenny. Z pewnością zaskoczył przywódców Solidarności, z których większość wyciągnięto z łóżek i aresztowano już pierwszej nocy. 13 grudnia większość Polaków obudziła się rano i zobaczyła czołgi na ulicach, wojskowe punkty kontrolne na wszystkich skrzyżowaniach i ogłoszenia o stanie wojennym (wydrukowane wcześniej w ZSRR) wiszące na każdym rogu. W następnym tygodniu większość zorganizowanych w proteście spontanicznych strajków w kopalniach, stoczniach i fabrykach na terenie całego kraju stłumiły lotne oddziały ZOMO[2], działające pod osłoną kordonów wojskowych. Niektóre tereny kilkakrotnie okupowano. W dwóch śląskich kopalniach węgla, w „Wujku" i „Piaście",

[2] Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej – elita paramilitarnych oddziałów prewencyjnych – liczące około 10 000 funkcjonariuszy. Silnie uzbrojeni i wspierani pojazdami opancerzonymi i lotnictwem transportowym, nie mieli odpowiedników w innych krajach i nie podejmowali regularnej służby policyjnej, co upodobniłoby ich do francuskiej CRS.

podjęto długotrwałe podziemne strajki okupacyjne. W kopalni „Wujek" z powodu stawiania oporu zabito siedmiu górników. Ale ogólnie rzecz biorąc, opór szybko stłumiono. Element zaskoczenia okazał się bardzo skuteczny. Do końca roku siły zbrojne niewątpliwie przejęły kontrolę nad całym krajem.

Przez cały 1982 rok oficjalne rządy w Polsce sprawowała Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (WRON), powszechnie zwana „wroną". Generał Jaruzelski przewodził grupie złożonej wyłącznie – według jej własnego oświadczenia – z polskich oficerów w służbie czynnej. Dziesiątki tysięcy niewinnych obywateli aresztowano bez postawienia zarzutów. Około dziesięciu tysięcy zamknięto w 49 obozach internowania. Mówiono o pobiciach i przypadkach śmiertelnych. Całe mnóstwo ludzi zmuszono do podpisania „deklaracji lojalności" (czyli nielojalności wobec związku Solidarność) pod groźbą utraty środków do życia lub wolności. Wszystkie oficjalne instytucje – od ministerstw po dworce kolejowe i biblioteki publiczne – podporządkowano rozkazom komisarzy wojskowych i oczyszczono z „niepożądanych elementów". Główne zakłady przemysłowe zmilitaryzowano. Załogi poddano wojskowej dyscyplinie. Prawa stanu wojennego zezwalały władzom na narzucenie wieczornej godziny milicyjnej, ograniczenie całego transportu i ruchu pasażerskiego, nagrywanie wszystkich rozmów telefonicznych, zakazanie wszelkich zgromadzeń i karanie najmniejszych oznak sprzeciwu ściąganą na miejscu grzywną lub natychmiastowym aresztem. Jak pośrednio wynikało z własnych oświadczeń WRON-u, wypowiedział on wojnę polskiemu społeczeństwu. Bo komuż innemu? Odrzucono wszelkie pozory legalności. Przez całe tygodnie oficjalni rzecznicy zaprzeczali, jakoby Wałęsa, przywódca Solidarności, został internowany lub osadzony w areszcie. „Pomagał władzom", ale tak się składało, że nie mógł udzielać komentarzy. W końcu wręczono mu antydatowany nakaz internowania, gdy zagraniczne głosy protestu wymusiły na władzach wyjaśnienia w jego sprawie. Jeśli sądy były na tyle nierozważne, aby zwolnić osoby oskarżone o rzekome wykroczenia przeciwko stanowi wojennemu, obwinionych można było uznać za „zagrożenie porządku publicznego" i zamknąć w szpitalu psychiatrycznym. Ministerstwo Sprawiedliwości nie dostrzegało niczego wstydliwego w takich bezprawnych posunięciach i publicznie je ogłaszało zapewne w celu zastraszenia i tak już przerażonej ludności.

Mimo ponawianych prób niedobitki Solidarności nie potrafiły rzucić wyzwania zaciskającemu żelazny uścisk wojsku. Rok 1982 rozpoczął się pod hasłem, które zwolennicy Solidarności wypisywali wszędzie kredą na murach: „Zima wasza, wiosna nasza". Ale wiosna nie nadeszła. Tłu-

miono drobne demonstracje i nieliczne strajki, organizowane zazwyczaj 13 każdego miesiąca. Poważniejsze rozruchy 31 sierpnia – w drugą rocznicę porozumień gdańskich, i 10 listopada – w rocznicę rejestracji związku Solidarność, nie stanowiły dla oddziałów ZOMO większego problemu. W miastach kilku województw – w Nowej Hucie, w Lubinie na Śląsku i przede wszystkim we Wrocławiu – wybuchy pełnego determinacji oporu trwały aż do jesieni. Ale cała logistyka prześladowań, zdrady i dezinformacji była po stronie „wrony". 8 października władze poczuły się dość silne, aby ogłosić, że Solidarność, a także wszystkie inne niezależne związki zostają nie po prostu „zawieszone", ale zlikwidowane; w listopadzie zwolniono bezsilnego Wałęsę. W grudniu uwolniono większość internowanych; zwolnienia nie objęły więźniów politycznych. W tym czasie rzecznicy rządu mówili już z lekceważeniem o członkach Solidarności, nazywając ich „kryminalistami" i chełpiąc się, że „wiosna też będzie nasza".

Komuniści krok po kroku dokonywali podsumowania swojego cudownego ocalenia, próbując jednocześnie odzyskać kontrolę nad organizacjami, które się ich wcześniej wyrzekły. Najpierw wzięli na celownik inteligencję – z ich punktu widzenia niepoprawne źródło, z którego brały początek sprzeciw i nieposłuszeństwo. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich (SDP) zostało zniesione w marcu, Związek Artystów Scen Polskich (ZASP), który prowadził odważny bojkot oficjalnych mediów, rozwiązano w grudniu. Czystkę musiał przejść nawet PAX – ulubione przez partię zrzeszenie „postępowych katolików". Być może WRON uważał, że podcina korzenie kryzysu, w istocie jednak były to zaledwie rysy na jego powierzchni. Dla sprawy komunistów nie zdołano pozyskać żadnego liczącego się sektora polskiego społeczeństwa.

Wszystkie podejmowane przez Jaruzelskiego próby konstruktywnej polityki skończyły się niepowodzeniem. Mimo początkowych dążeń prymasa do kompromisu generał nie podjął na nowo żadnego prawdziwego dialogu z Kościołem. Jego pięknie brzmiący Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego (PRON) był pełen ludzi zależących od niego samego i przemawiających wyłącznie nawzajem do siebie. Jego nowe oficjalne związki zawodowe bojkotowali ci wszyscy, których nie dało się zmusić do wstąpienia. Deklarację o „zawieszeniu" stanu wojennego pod koniec grudnia uznano za pusty gest.

Stan gospodarki nadal się pogarszał. Wbrew stwierdzeniom oficjalnej propagandy, która winą za wszystko obarczała Solidarność, zdławienie Solidarności nie przyniosło żadnej ogólnej poprawy. Mimo niewielkiego wzrostu w jednym czy dwóch sektorach, na przykład w wydobyciu

węgla, w gruncie rzeczy produkcja przemysłowa spadła. W czwartym kolejnym roku PKB Polski jeszcze bardziej katastrofalnie się zmniejszyło – o ponad 15 procent. Rosnący dług zagraniczny osiągnął niemal trzydzieści miliardów dolarów; trzeba było zmienić nawet plan bieżącej spłaty odsetek. Zapotrzebowanie na żywność zmalało dzięki drakońskim i znacznie opóźnionym podwyżkom cen sięgającym 300 procent i wprowadzonym w lutym; większość Polaków w dalszym ciągu egzystowała na granicy ubóstwa. Sposobem na życie nadal było wystawanie w kolejkach. Rząd wyraził nadzieję, że do roku 1990 kraj będzie żywnościowo samowystarczalny. Stopa życiowa gwałtownie spadła. Ogromna przepaść między siłą nabywczą przeciętnej rodziny a cenami towarów, które można było kupić, stale się pogłębiała; realne płace obniżyły się o ponad 25 procent. Wobec deficytu budżetowego, rosnącego o kolejne setki miliardów złotych, finanse rządowe wymykały się spod kontroli. Brak równowagi w handlu zagranicznym można było wyrównać tylko przez szybkie ograniczenie importu, od czego zależałoby ożywienie przemysłu. Polska – bogaty kraj obdarzony wielkimi zasobami naturalnymi – popadała w stan skrajnej nędzy, nieznanej nigdzie indziej w Europie.

W następstwie grudniowego zamachu stanu Polska straciła na scenie międzynarodowej wszelkie pozory szacunku. Rząd wojskowy postrzegano często jako namiastkę Związku Sowieckiego i tak też go traktowano. USA dały znaczący sygnał, wprowadzając sankcje ekonomiczne przeciwko ZSRR i przeciwko Polsce, żądając zniesienia stanu wojennego, uwolnienia internowanych i zainicjowania szczerego dialogu. Chociaż polityka USA wywołała tarcia wśród zachodnich sojuszników Ameryki, którzy w tym czasie usiłowali zakończyć pertraktacje z Moskwą w sprawie projektu gazociągu syberyjskiego, nie ulegało wątpliwości, kto ostatecznie ponosi odpowiedzialność za niedole Polski. Obalenie kontrolowanej przez Sowietów cywilnej dyktatury przez kontrolowaną przez Sowietów dyktaturę wojskową trudno byłoby uznać za istotną zmianę równowagi sił na scenie międzynarodowej, była to jednak odpowiednia okazja, aby udzielić światu lekcji na temat wschodnioeuropejskiej rzeczywistości. Wszystkim tym pełnym dobrych intencji ekspertom, którzy zdążyli odzyskać dawne złudzenia co do spodziewanej „konwergencji" świata sowieckiego i świata Zachodu, wymierzono brutalny cios. Dwóch polskich ambasadorów, w Waszyngtonie i w Tokio, zbiegło i wykonując z dnia na dzień godną pożałowania woltę od roli żarliwego komunistycznego lojalisty do roli żarliwego demokraty, ujawniło nieszczęsne morale stanowiące fundament, na którym wyrosła komunistyczna elita. Świece, które w wigilię Bożego Narodzenia zapalono w oknach zarówno w Bia-

łym Domu, jak i w Watykanie, stały się symbolem długiego czuwania, jakiego się spodziewali zagraniczni przyjaciele Polski. Rząd polski zareagował gniewem, kiedy się okazało, że zastosowane przez niego ograniczone środki odprężenia nie przyniosły oczekiwanego zniesienia zachodnich sankcji. Jak zwykle w takich przypadkach zakładano, że ceniący komfort przywódcy zachodnich demokracji wykonają ostrzegawczy gest, po czym szybko zapomną o swojej miłości do Polski.

Trzeba jednak powiedzieć, że choć przeciwko wojskowemu reżimowi w Polsce wypowiedziano wiele ostrych słów, nie wykazano szczególnej dbałości o precyzyjne namierzenie celu. W gruncie rzeczy jest zupełnie oczywiste, że polskie władze bardzo się starały ukryć, na co się naprawdę zanosi, i pewnie byłyby z radością przyjęły ogłuszającą salwę niecelnej obcej krytyki. Ponieważ, mimo wszystko, polityce prowadzonej w Polsce brakowało nie tylko wielu charakterystycznych elementów składowych obecnych w przewrotach wojskowych w innych miejscach świata, ale także znanych programów „normalizacji" w sowieckim stylu. Represje miały charakter bardzo wybiórczy i były przedziwnie pozbawione entuzjazmu. Brak im było bezinteresownego okrucieństwa Afganistanu czy Salwadoru, z którymi walczyły o miejsce na nagłówkach światowej prasy. Nie było terroru społecznego na szeroką skalę, który zapanował na Węgrzech Kádára po 1956 roku, ani też systematycznych czystek towarzyszących „normalizacji" Husáka w Czechosłowacji po roku 1968. Nie uciekały się do masowych deportacji, które byłyby nieomylną oznaką sowieckiej inicjatywy, i nie pobrzmiewała w nich żadna nuta gwałtownego pośpiechu w dążeniu do przywrócenia rządów partii. Przede wszystkim zaś nie było w nich żadnego bezpośredniego zaangażowania personelu sowieckiego. Z jakiegoś powodu, który do końca stanu wojennego nie był całkiem jasny, reżim wojskowy nie miał ochoty w pełni wykorzystać swojej całej nowo zdobytej władzy. Okazał się dziwnie powściągliwy i jak na sowieckie standardy niewiarygodnie wyważony. Jego bezruch pozostał niewyjaśnioną tajemnicą. Dużo można przypisać paraliżowi partyjnej machiny, która przechodziła stan odpowiadający w polityce załamaniu nerwowemu i która nie byłaby zdolna do ponownego przejęcia władzy, nawet gdyby jej kazano to zrobić. Ale to jeszcze nie wszystko. Chodziły słuchy, że zakulisowa walka Jaruzelskiego przeciwko własnym towarzyszom i niedoszłym sojusznikom była jeszcze ważniejsza niż jego publiczna konfrontacja z Solidarnością. Trzeba sobie zadać pytanie, co się działo podczas tajnych zmagań poszczególnych odłamów w obozie polskich komunistów. Trzeba zapytać, dlaczego tak wielu zachodnim dziennikarzom pozwolono zostać w Warszawie,

choć ich od czasu do czasu nękano – zapewne wtedy, kiedy przekazywali nie to, co powinni. Trudno sobie wyobrazić – chyba że obecność dziennikarzy zachodnich telewizji służyła czyimś interesom – dlaczego wszechpotężne państwo policyjne po prostu ich wszystkich bezapelacyjnie nie wyrzuciło. A co najciekawsze, trzeba sobie zadać pytanie o rolę Jaruzelskiego w wyścigu do sukcesji po Breżniewie w Moskwie. Jaruzelski brał z pewnością udział w grze na zwłokę. Jednak – przynamniej w oczach świata – nie było od razu oczywiste, na co lub na kogo czeka.

Bo Jaruzelski nie był po prostu człowiekiem Moskwy w Polsce. Służył wojskowym interesom w sowieckim aparacie, był Batmanem sowieckich marszałków. Przejmując osobiście rządy w Rzeczypospolitej Polskiej, uchronił Armię Czerwoną przed bardzo nieprzyjemnym zadaniem. Równocześnie zaś, rozstawiając polskie siły zbrojne, podniósł stawki w grze przeciwko ewentualnej inwazji sowieckiej na Polskę. Był pierwszym polskim przywódcą od czasu wojny, który ustawił Polskę na pozycjach, z jakich mogła się bronić. Jego *démarche* stało się bronią obosieczną. Zdławił nadzieje Solidarności, ale równocześnie zahamował perspektywę zemsty na Polsce bardziej doktrynersko nastawionych towarzyszy w Moskwie i w Warszawie. Nikt nie miał się dowiedzieć, które z tych dwóch przeciwstawnych niebezpieczeństw uznał za bardziej groźne i w jakim stopniu – jeśli w ogóle – marszałek Kulikow się z nim nie zgadzał. Można tylko powiedzieć, że był instruowany przez sowieckich wojskowych na wypadek politycznej interwencji w Polsce cały czas od chwili usunięcia Rokossowskiego w 1956 roku. Przejął obowiązki ostatniego sowieckiego oficera w stopniu generała, który jeszcze został w Polsce – w roku 1960 jako szef Wydziału Politycznego Wojska Polskiego, a w roku 1965 jako szef Sztabu Generalnego. Jako minister obrony, przez piętnaście lat był z urzędu zastępcą dowódcy połączonych sił Układu Warszawskiego, w najściślejszym powiązaniu z sowiecką wierchuszką. W latach 1981–1982, kiedy do kolekcji swoich urzędów dodał stanowiska premiera, pierwszego sekretarza i przewodniczącego WRON, zyskał pewność, że – przynajmniej w najbliższym czasie – nikt się nie dopcha do polskiej sceny politycznej. I właśnie w tym momencie u sterów bloku sowieckiego pojawił się Jurij Andropow, ale brak było najmniejszych oznak, które mogłyby świadczyć, że jego awans jakoś się wiąże – lub nie wiąże – z ambicjami marszałków. Dwanaście miesięcy po grudniowym zamachu stanu losy Polski Ludowej wróciły do punktu wyjścia sprzed niemal czterdziestu lat – znalazły się w rękach sowieckich wojskowych i ich polskich wojskowych pomocników i zupełnie nie było wiadomo, dokąd ją ostatecz-

nie doprowadzą. I nie można było tego wiedzieć. Kształt sowieckiej polityki po śmierci Breżniewa, podobnie jak dalszy przebieg polskiej rewolucji wciąż znajdowały się w stanie zawieszenia.

Pajęcze sieci i galernicy

W świecie zdominowanym przez międzynarodowe układy dwóch nuklearnych supermocarstw wiele krajów dobrowolnie przyjęło ograniczenia narodowej niezawisłości. W interesie wspólnej obrony i wzajemnej pomocy gospodarczej członkowie zarówno NATO, jak i Układu Warszawskiego, europejskiego Wspólnego Rynku i Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej musieli honorować porozumienia, które ograniczały ich absolutną swobodę działania. Nawet kraje niezaangażowane uznały za stosowne powołać własną organizację w celu ochrony swojego statusu i stworzenia wspólnego frontu. Pełna niezawisłość już praktycznie zniknęła. Normą stała się ograniczona suwerenność. Jednak według liberalnych poglądów na Zachodzie istotą ograniczonej suwerenności jest dobrowolność, a więc i możliwość jej anulowania. Pod tym względem należy ją starannie odróżniać od innych form niedobrowolnych stowarzyszeń, które trafniej da się porównać do staroświeckiej relacji między panem i jego psem.

Jak można było oczekiwać, dwa rywalizujące ze sobą supermocarstwa dokładały wszelkich starań, aby zdyskredytować cechy ustroju przeciwnika i wyolbrzymić zalety własnego. Te naturalne uprzedzenia wspierała oficjalnie przyjęta terminologia. Nieodmiennie okazywało się, że „potencjalny przeciwnik" jest w – wątpliwym – posiadaniu „satelitów", „tajnej policji", „wojsk okupacyjnych", „środków propagandy" i „szpiegów", podczas gdy druga strona jest wyjątkowo obdarzona „sojusznikami", „siłami obrony", „służbami informacyjnymi" i „personelem gromadzącym dane wywiadowcze". Jeśli wierzyć każdemu słowu Radia Wolna Europa, blok swiecki składał się wyłącznie ze „zniewolonych narodów" pod rządami Moskwy. Jeśli wierzyć Radiu Moskwa lub Radiu Warszawa, zarówno NATO, jak i Wspólny Rynek były po prostu organizacjami podlegającymi ekspansjonistycznym siłom światowego kapitalizmu, a więc „amerykańskiemu imperializmowi".

A zatem, próbując zdefiniować status i pozycję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, trzeba się przedrzeć przez gąszcz słów i przyjrzeć

Mapa 2. Polska Rzeczpospolita Ludowa (1983)

szczegółowo naturze powiązań między Polską i Związkiem Sowieckim. Podkreślając, że „sojusz z ZSRR" jest podstawą pozycji Polski w świecie, oficjalni rzecznicy w Warszawie zawsze starali się równocześnie podkreślać, iż ten sojusz jest w gruncie rzeczy dobrowolnym związkiem wolnych i równych partnerów. W ich oczach etykieta „sowiecki satelita" była równie nieprecyzyjna, jak obraźliwa. Pojęcia ograniczonej suwerenności używali także po to, aby stworzyć wrażenie, że relacje Polski z Układem Warszawskim i Radą Wzajemnej Pomocy Gospodarczej są w zasadzie takie same jak relacje Wielkiej Brytanii czy Niemiec Zachodnich z NATO lub Wspólnym Rynkiem. W odpowiedzi na uwagi dotyczące obecności armii sowieckiej w Polsce wskazywali bardzo słusznie, że w Wielkiej Brytanii czy w Niemczech Zachodnich jest więcej baz amerykańskich niż baz sowieckich w Polsce. Takie umowy między sojusznikami są, jak się zdaje, czymś absolutnie normalnym. Gdy pojawiało się pytanie o wyzysk

gospodarczy, oświadczali całkiem słusznie, że Związek Sowiecki dostarczał i dostarcza Polsce znacznej pomocy finansowej i handlowej. Co naiwniejsi turyści z Zachodu, którzy sobie wyobrażali, że w Warszawie na rogu każdej ulicy z pewnością stoją rosyjskie czołgi, byliby oczywiście bardzo rozczarowani. Ale jednocześnie tylko dlatego, że sowieckie wojsko trzymało się w cieniu, nie należało myśleć, iż Związek Sowiecki nie ma skutecznych środków sprawowania kontroli nad swoimi sojusznikami. W gruncie rzeczy narzędzia tej kontroli były o wiele bardziej różnorodne i bardziej rozbudowane, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

Od samego początku ramy geopolityczne powojennej Europy zostały skonstruowane tak, żeby trwale związać Polskę z sowiecką kuratelą. Nowe granice Polski pozbawiały ją wszelkiego bezpośredniego kontaktu z krajami niekomunistycznymi, a także z jej jedynymi współczującymi sąsiadami sprzed wojny: Rumunią i Węgrami. Istniało małe prawdopodobieństwo, że kraj otoczony z trzech stron sowiecką siłą będzie skłonny do awanturniczych zachowań. Co więcej, nalegania Rosji, aby przyznano Polsce tereny należące dawniej do Niemiec i sięgające daleko poza granice ziem, które Polacy uważali wcześniej za polskie, zapewniały długi okres zależności. Bo posiadanie przez Polskę Ziem Zachodnich, stanowiących aż 32,4 procent całej powierzchni kraju, musiało przywoływać widmo niemieckiego rewanżyzmu i wobec tego potrzebna była sowiecka ochrona przed Niemcami. Już samo to wyjaśnia, dlaczego wielu Polaków – mimo wrogości wobec Związku Sowieckiego – musiało się pogodzić z sowiecką supremacją. Nie malała ona do chwili podpisania 7 grudnia 1970 roku traktatu między Polską a Niemcami Zachodnimi i faktycznego uznania przez Federalną Republikę Niemiec zachodniej granicy Polski na linii Odry i Nysy. W efekcie sowieckie siły okupacyjne były o wiele mniejsze, niż wymagałyby tego inne okoliczności.

Rola wojskowego garnizonu sowieckiego w Polsce była jednak poważniejsza, niż mogłaby wskazywać jego skromna liczebność. Z jednej strony jest rzeczą absolutnie prawdziwą, że oddziały sowieckie stacjonowały w Polsce przez cały czas, poczynając od 1945 roku, na mocy porozumienia państw alianckich, które upoważniało ZSRR do ochrony swoich linii łączności z okupowanymi Niemcami. Było też prawdą, że dwie dywizje stacjonujące w bazie sowieckiej z kwaterą główną w Legnicy[3] na Dolnym Śląsku, podobnie jak mniejsze jednostki rozmieszczone na wybrzeżu Bałtyku w pobliżu Szczecina i w porcie w Świnoujściu, nie

[3] Legnica była także kwaterą główną Północnej Grupy Wojsk Układu Warszawskiego – jednym z trzech takich ośrodków dowodzenia w Europie Wschodniej.

stanowiły bezpośredniego zagrożenia. Z drugiej strony trzeba sobie zdawać sprawę, że ten maleńki garnizon był pozostałością ogromnej sowieckiej armii okupacyjnej, która w pierwszych latach po wojnie dokonywała w Polsce straszliwych represji, oraz że mógł on w jednej chwili podjąć funkcję awangardy oddziałów rozpoczynających inwazję, a rekrutujących się spośród dywizji sowieckich stale stacjonujących w pobliżu, w Niemczech Wschodnich, w Czechosłowacji i w sowieckich obwodach wojskowych – w Kaliningradzie, na Białorusi i na Ukrainie. Najbardziej wymowne są chyba dowiedzione fakty. Przy kilku okazjach w momentach kryzysu politycznego w Polsce – na przykład w październiku 1956 roku czy w grudniu roku 1980 – rząd sowiecki nie zawahał się przed takim rozmieszczeniem swoich sił, także floty bałtyckiej, które było demonstracją jego politycznych zamiarów. Losy Węgier w 1956 roku i Czechosłowacji w 1968 roku pokazały, że to były poważne zamiary. Sojusznicy Związku Sowieckiego nie mogli mieć złudzeń, że jeśli się odważą wykorzystać swoją ograniczoną suwerenność w sposób, który nie spodoba się na Kremlu, zaryzykują miażdżącą karę wojskową. Sowieckie przywództwo bynajmniej nie robiło tajemnicy ze swojej pozycji. Nieprzypadkowo w listopadzie 1968 roku Leonid Breżniew wybrał Warszawę na podium, z którego ogłosił doktrynę ochrzczoną potem jego imieniem i potwierdzającą zobowiązanie wszystkich bratnich partii do zbrojnej interwencji w obronie „zdobyczy socjalizmu". W tym kontekście nie może być żadnych wątpliwości, że obecność wojsk sowieckich w Polsce została pomyślana w pierwszym rzędzie jako zachęta dla Polski do dobrego sprawowania, a jeśli zajdzie taka potrzeba – jako przypomnienie, że w odwodzie znajdują się o wiele potężniejsze środki przymusu.

Co więcej, własny establishment wojskowy Polski był bezpośrednio zależny od Związku Sowieckiego. Piętnaście dywizji wojska, pięćdziesiąt pięć eskadr lotnictwa, flota złożona ze 158 okrętów wojennych oraz zasoby ludzkie liczące ponad milion przeszkolonych żołnierzy stanowiły siłę, z którą wszelką miarą należało się liczyć. Natomiast zakres jej bezpośredniego działania był bardzo nikły. Siły zbrojne Rzeczypospolitej Polskiej, utworzone w 1943 roku na terytorium Związku Sowieckiego, zostały skonstruowane na wzór i podobieństwo modelu ich sowieckich panów i władców. Główna rezerwa strategiczna należała do Układu Warszawskiego pod sowieckim dowództwem. Niemal cały korpus oficerski wstąpił do partii komunistycznej, a wszyscy starsi rangą oficerowie przeszli szkolenie w sowieckich akademiach wojskowych. Do roku 1981 Sztab Generalny działał jako wydział podległy sekretariatowi Komitetu Centralnego partii. Agendy partyjno-wojskowe były zobowiązane do absolut-

nego posłuszeństwa wobec Związku Sowieckiego, a młodym poborowym wpajano przekonanie, że polski patriotyzm jest równoznaczny z podziwem dla ZSRR. Cały sprzęt wojskowy odpowiadał sowieckim normom, a większość – łącznie z zapasami paliwa, sieciami łączności i magazynami amunicji – dostarczały i kontrolowały agendy sowieckie. Kontrola elementów wyposażenia o kluczowym znaczeniu – głowice rakiet czy samoloty przeznaczone do transportu brygad spadochronowych – była na ogół zastrzeżona dla Sowietów. Jak dowiodły wydarzenia z grudnia 1981 roku, polskiego wojska można było bardzo skutecznie użyć do obrony sowieckich interesów; trzeba też pamiętać, że od chwili narodzin pozbawiano je woli i środków obrony Polski przed Związkiem Sowieckim.

Na zapleczu regularnego wojskowego frontu państwo komunistyczne miało swoje wyspecjalizowane organy bezpieczeństwa, których rozmiary i zasoby o wiele przewyższały to, czym dysponował jakikolwiek kraj na Zachodzie. W Polsce działał elitarny korpus Wojska Obrony Wewnętrznej (WOWew) – dawne KBW, liczące około 65 000 żołnierzy, Wojska Ochrony Pogranicza (WOP) w sile 20 000 żołnierzy, silnie uzbrojone ZOMO, tworzące oddziały szturmowe jednolitych państwowych sił milicyjnych (MO) – około 80 000 ludzi, wspieranych przez jeszcze liczniejsze oddziały Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej (ORMO) i Ligę Obrony Kraju (LOK). Za nimi stała Wojskowa Służba Wewnętrzna (WSW) – specjalna partyjna jednostka kontroli wojska, wywiad wojskowy, służby kontrwywiadu i wszechobecna Służba Bezpieczeństwa (dawniej UB) – lokalny polski podwładny sowieckiego KGB. Wszystkie te formacje – zarówno służby mundurowe, jak i cywilne – ustanowił po wojnie Związek Sowiecki; przez kilka pierwszych lat ich personel składał się głównie z Rosjan, importowanych do Polski specjalnie w tym celu. Po roku 1956 uwolniono je od sowieckich doradców – przynajmniej na niższych szczeblach. Podczas wydarzeń Polskiego Października jesienią tego samego roku pojawiły się sygnały świadczące o tym, że KBW, którego oddziały pokazały się w Warszawie w pełnym rynsztunku bojowym, mogły stawić opór sowieckiej interwencji. Potem nie było już żadnych oznak nieposłuszeństwa. Kiedy w grudniu 1981 roku nadszedł czas niszczenia Solidarności, łamania strajków i dławienia wewnętrznej opozycji, siły bezpieczeństwa stanęły wyżej niż na wysokości swojego zadania. Nie trzeba było nawet odwoływać się do wojskowych elementów aparatu bezpieczeństwa, który mógł się ograniczyć jedynie do sprawowania nadzoru.

Wojsko i siły bezpieczeństwa wzywa się oczywiście do działania tylko w wyjątkowych okolicznościach. Pod tym względem można je porównać

do parasola Anglików, który się wprawdzie nosi zawsze, ale z nadzieją, że z chmur nad głową jednak nie spadnie deszcz. Między okresowymi ulewami parasol bezpieczeństwa nad państwem w sowieckim stylu pozostawał złożony. W gruncie rzeczy, ponieważ komunistyczni przywódcy mieli także do dyspozycji ogromny arsenał środków kontroli cywilnej i organizacyjnej, mogli na ogół liczyć, że uda się stworzyć pozory stabilizacji politycznej i spokoju społecznego. Za pomocą charakterystycznego połączenia środków przymusu i kontroli instytucjonalnej reżim mógł z wielką dokładnością stopniować swoje reakcje na wszelkie wewnętrzne wyzwania i uniknąć wielu otwartych pokazów terroru i przemocy, typowych dla mniej wyrafinowanych dyktatur, które opierają się wyłącznie na brutalnych metodach wywierania presji.

Istotą dobrej polityki nie jest wymierzanie kar, lecz prewencja, i to samo można powiedzieć o ogólnym systemie kontroli aparatu biurokratycznego. Zwyczajni obywatele komunistycznego państwa byli tak uwikłani w sieć drobnych przepisów i reguł, że pokora i posłuszeństwo wobec władz stały się jedynym sposobem zapewnienia sobie spokojnego życia. Niemal wszystkie codzienne czynności wymagały pozwoleń, licencji i oficjalnych pieczątek. Przybywało przepustek, dokumentów tożsamości i pisemnych zezwoleń. Chociaż Polska Ludowa nie wprowadziła systemu paszportów wewnętrznych, jakie obowiązywały w ZSRR, system zezwoleń na pobyt skutecznie umożliwiał milicji śledzenie ruchu ludności. Paszportów na wyjazdy zagraniczne nie wydawano rutynowo, lecz tylko w celach zaakceptowanych przez władze. Jednostki były zmuszone do ograniczenia własnych zwyczajów i aspiracji tak, aby pasowały do ciasnych parametrów określonych przez rządzący establishment.

W definiowaniu tych parametrów wielką rolę odgrywała polityka personalna. Aksjomat sowieckiej praktyki głosił, że każde ważne stanowisko w każdej sferze życia publicznego ma być obsadzone przez osobę zdaną na łaskę i względy partii rządzącej. Wszyscy urzędnicy państwowi i partyjni podlegali ścisłej hierarchicznej dyscyplinie, zbliżonej do dyscypliny wojskowej. Członkowie wyższych stopni tej drabiny tworzyli zamkniętą elitę – nomenklaturę – sprawując monopolistyczną władzę i mając wyłączny dostęp do ustalonej listy najbardziej wpływowych i lukratywnych stanowisk. Organy partyjne i państwowe na szczeblu regionów, miast czy dzielnic podlegały tym samym procedurom co wysokiej rangi członkowie rządu centralnego. Samo ustanowienie tego monopolu wymagało dużej bezwzględności i zaciekłych walk. W Polsce zadanie to podjęły służby bezpieczeństwa w latach 1944–1947, kiedy jakakolwiek oficjalna oznaka najmniejszej niesubordynacji kończyła się natychmiastową dymisją, degrada-

cją lub deportacją. Potem machinę można już było utrzymywać w ruchu przy minimum jawnej przemocy. Wszystkie stanowiska były obsadzane osobami nominowanymi przez partię, szkolonymi w partyjnych akademiach i trzymanymi w ryzach przez służby bezpieczeństwa oraz przez zagrożenie okresowymi czystkami. Wszystko to tworzyło sieć patronatu politycznego takich rozmiarów, jakie byłyby nie do pomyślenia w społeczeństwach pluralistycznych. Przynamniej teoretycznie nikt, kto byłby zdolny do podjęcia decyzji wrogiej wobec panującego establishmentu, nie mógł nawet zdobyć pozycji, która by mu to umożliwiła.

Cały system rządowy był skonstruowany tak, aby zapobiec wszelkim formom niezależnej inicjatywy. Polska odmiana leninowskiej zasady demokratycznego centralizmu tylko nieznacznie różniła się od sowieckiego wzorca. Po pierwsze, w myśl zasady „podwójnej władzy" wszystkie urzędy państwowe miały „cienie" w postaci równoległych urzędów w aparacie partyjnym. Z tego powodu Rada Państwa i Rada Ministrów były podporządkowane Biuru Politycznemu partii, prezydent Rzeczypospolitej (od 1952 roku przewodniczący Rady Państwa) i premier dostawali polecenia od pierwszego sekretarza KC, minister spraw zagranicznych odpowiadał przed szefem Wydziału Spraw Zagranicznych partii, a burmistrz miasta – przed sekretarzem komitetu miejskiego. „Państwo socjalistyczne" nie było niczym innym, jak administracyjną odnogą rządzącej partii komunistycznej. Po drugie, pojedynczych członków nomenklatury zachęcano do obejmowania stanowisk jednocześnie w instytucjach państwowych i partyjnych. Jest więc bardziej niż prawdopodobne, że ważni ministrowie byli równocześnie sekretarzami partii lub członkami jej Komitetu Centralnego. Organy partii zwyczajowo mianowały towarzyszy z własnego grona na urzędy państwowe zależne od nich samych. Po trzecie, urzędnicy każdego szczebla partyjnej drabiny byli oficjalnie zobowiązani do wykonywania rozkazów wydawanych przez urzędników ze szczebla wyższego. Każdy członek partii musiał wykonywać polecenia swoich zwierzchników. W efekcie powstała sytuacja, w której partia wydawała polecenia państwu, Biuro Polityczne wydawało polecenia całej partii, a pierwszy sekretarz – z chwilą objęcia stanowiska – Biuru Politycznemu. Centralizm demokratyczny polegał na układzie, w którym centralizację doprowadzono do ekstremum, a demokracja pędziła na wstecznym biegu[4].

[4] Thomas Lowit, *Y a-t-il des États en Europe de l'Est?*, „Revue française de sociologie" 1974, t. 20, s. 431–466. Ten dający do myślenia esej zawiera cenny dodatek, w którym podano spis głównych urzędów i stanowisk centralnej polskiej nomenklatury.

Z punktu widzenia Związku Sowieckiego taki układ zapewniał maksimum kontroli przy minimum wysiłku. Dopóki pierwszy sekretarz bratniej partii był utrzymywany w lojalności wobec sowieckich interesów, dopóty całą państwowo-partyjną piramidę zbudowaną pod nim można było uznać za równie lojalną. (Przypomina to dawne dobre czasy rządów monarchicznych, kiedy, umieszczając na tronie państwa satelickiego własnego kandydata, można było być pewnym uzależnionego od siebie sojusznika). Ale nawet w tym kontekście wydaje się, że bardzo niewiele pozostawiono losowi. Jest sto powodów, dla których sekretarze bratnich partii, uwarunkowani wieloletnią służbą w atmosferze uwielbienia dla wszystkiego, co sowieckie, powinni unikać kąsania ręki, która ich karmiła. Zdarzały się jednak potężne lapsusy. Moskwa nie potrafiła zapomnieć Tity, Imre Nagya, Mao czy Dubćeka. Wobec tego – tylko na wszelki wypadek – byłoby rzeczą ze wszech miar rozsądną włączyć bratnich sekretarzy w ramy tajnej polityki kadrowej partii komunistycznej samego Związku Sowieckiego. Istnienia zintegrowanej nomenklatury całego sowieckiego bloku można się jedynie domyślać, ale taka idea byłaby zgodna z oczekiwaniami i odpowiadałaby podobnym środkom, które dały się zauważyć w innych obszarach sowieckiego ustroju państwowego.

Ideologię nie zawsze uważa się za narzędzie kontroli; sądzi się raczej, że jest usprawiedliwieniem systemów kontroli; tu jednak służyła ona bardzo praktycznym celom. Ideologia była bronią używaną do rozbrajania potencjalnej opozycji. Gdyby się udało przekonać wystarczająco licznych członków społeczeństwa, że historią rządzą prawa naukowe, że socjalizm w sowieckim stylu jest koniecznym produktem historycznego postępu oraz że Związek Sowiecki jest ucieleśnieniem wszystkich najwyższych socjalistycznych ideałów pokoju, równości i sprawiedliwości, rozsądni ludzie nie byliby zdolni do nieposłuszeństwa wobec rządu sowieckiego i jego wybranych sojuszników. W Polsce – podobnie jak w innych krajach bloku sowieckiego – to nie bardziej wyrafinowane tezy marksizmu-leninizmu czy marksizmu, ale właśnie takie ordynarne propozycje polityczne zyskiwały sobie oficjalne poparcie w funkcjonowaniu skomplikowanej machiny propagandowej w oświacie, mediach i siłach zbrojnych.

Aby skutecznie działać, propaganda musiała oczywiście znaleźć wsparcie w surowej cenzurze – instytucji, która w komunistycznej rzeczywistości znacznie wykraczała poza granice obyczajów przyjętych w tym zakresie na całym świecie po to, aby rządzące establishmenty mogły tłumić szkodliwe lub kłopotliwe informacje. Działając pod nadzorem Sowietów, polscy cenzorzy nie tylko usuwali „negatywne dane", ale także systematycznie produkowali „dane pozytywne", które udaremniały

możliwość racjonalnej krytyki. Stąd też wziął się termin „cenzura prewencyjna". Najwyższym priorytetem cenzorów była obrona prestiżu i bezpieczeństwa ZSRR. Byłoby rzeczą zrozumiałą – choć godną ubolewania – gdyby po prostu starali się stłumić ataki przeciwko polityce sowieckiej, ciekawość dotyczącą wojskowych spraw Sowietów czy wiedzy o sowieckich katastrofach, zbrodniach wojennych lub zanieczyszczeniach środowiska. Ale posuwali się o wiele dalej. Przerabiali statystyki i przepisywali historię tak bardzo, że nie było już żadnych godnych zaufania informacji, o których można by sensownie dyskutować, nie mówiąc już o krytyce. Od czasu gdy w 1977 roku w Londynie opublikowano spis szczegółowych instrukcji, przekazany do wiadomości publicznej przez pewnego zbiegłego na Zachód cenzora, wszystkie te sprawy stały się dobrze znane[5]. Wdaje się jednak, że mogło to odnieść skutek odwrotny. Przeciętny Polak, pozbawiony wiarygodnych informacji o polityce sowieckiej, wierzył w każdą zasłyszaną plotkę i przeklinał Rosjan za wszystko. Niedoszli reformatorzy nie mieli żadnej solidnej wiedzy, na której mogliby oprzeć propozycje reform.

System polskiej gospodarki nie był niezależny. Gospodarka planowa, zorganizowana na obraz i podobieństwo sowieckiej na zasadzie centralnego planowania, została pomyślana tak, aby utrzymywać wszystkie zakłady produkcyjne, całą dystrybucję i dostawy pod ścisłą monopolistyczną kontrolą partii. Co więcej, ponieważ komisje planowania Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej musiały przestrzegać zasad własnego planowania RWPG i ponieważ RWPG przyjęła strategię przydzielania szczegółowych zadań gospodarczych, żadne państwo członkowskie, z wyjątkiem ZSRR, nie mogło aspirować do samowystarczalności. (Rumunia podjęła w latach sześćdziesiątych próbę odmowy pełnej integracji z RWPG, ale została zmuszona do wycofania się). Może się to wydać dziwne, ale kryzys gospodarczy Polski mógł doprowadzić do dezorganizacji zintegrowanych gospodarek całego bloku sowieckiego. Deficyty polskiej produkcji i zaopatrzenia musiały spowodować skutki uboczne. Ponadto, skoro dwie trzecie polskiego handlu zagranicznego przypadało na strefę RWPG, a 80 procent ropy naftowej i rudy żelaza pochodziło z ZSRR, było rzeczą niewyobrażalną, żeby Polska mogła przez jakiś dłuższy czas prowadzić jakąkolwiek odrębną politykę gospodarczą bez poparcia i uprzedniej aprobaty ZSRR.

Ograniczenia prawne stały się wręcz wszechobecne. Konstytucja polska z 1952 roku nie zawierała wśród zasad naczelnych zapisu

[5] *Czarna księga cenzury PRL*, cz. 1, red. Tomasz Strzyżewski, Aneks, Londyn 1977.

o „kierowniczej roli" partii rządzącej i sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Ale te braki zostały uzupełnione w formie kontrowersyjnych poprawek z lutego 1976 roku, które prawdopodobnie stanowiły sygnał, że sowieccy towarzysze zaczynają odczuwać niepokój z powodu wydarzeń zachodzących w Polsce. Implikacje wyglądały poważnie. Każda próba pozbycia się monopolu komunistów, będących sojusznikami Związku Sowieckiego w Polsce, i każdy ruch zmierzający do wycofania się z instytucji bloku sowieckiego mogły zostać doniesione władzom jako niekonstytucyjne i sprzeczne z prawem. Związek Sowiecki był w pełni uprawniony do interweniowania w Polsce i do ochrony *status quo*, zgodnie z deklaracjami już nie tylko sowieckich interesów, ale polskiego prawa. To właśnie jest punkt, w którym niezaprzeczalne umocowania prawne polskiego reżimu trzeba przeciwstawić jego niewątpliwej nielegalności.

Ograniczeń dyplomatycznych także się często nie docenia. Przedziwne zachowanie ambasadora sowieckiego w Warszawie, który cieszył się przywilejem bezpośrednich kontaktów z sekretarzem partii, od dawna stanowiło przedmiot komentarzy, ale nie zawsze było jasne, na mocy jakiego prawa mógłby uzasadnić ten niedostępny dla innych członków korpusu dyplomatycznego wyjątkowy przywilej. Odpowiedzi należało szukać, między innymi, w polsko-sowieckim traktacie o przyjaźni, wzajemnej pomocy i współpracy, podpisanym 21 kwietnia 1945 roku i w roku 1965 przedłużonym na dalsze dwadzieścia lat. Traktat, podpisany nie przez uznawany rząd polski, ale jedynie przez sterowany z Moskwy Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej, zobowiązywał Polskę do przyjęcia sowieckiej opinii na temat polskich granic, roli ZSRR jako gwaranta wewnętrznego bezpieczeństwa Polski oraz sowieckiego nadzoru w sprawach polityki zagranicznej. Od tego czasu wszelkie polskie inicjatywy, które Kreml uznał za „nieprzyjazne", można było przedstawiać jako pogwałcenie traktatu oraz jako okazję do przywołania odpowiednich artykułów polskiej konstytucji albo doktryny Breżniewa. Sowiecki ambasador miał przy wszystkich możliwych okazjach przypominać polskiemu pierwszemu sekretarzowi o tych aspektach rzeczywistości.

A co najważniejsze, działał tu czynnik psychologiczny – strach. W niemal każdej polskiej rodzinie żywe są wspomnienia o przyjaciołach czy krewnych, których w latach 1939–1940 wywieziono na Syberię, zamordowano podczas wojny w sowieckiej niewoli, którzy padli ofiarą ataków sowieckich wyzwolicieli lub zostali aresztowani przez sowieckie służby bezpieczeństwa za przynależność do wojennego ruchu oporu albo – w latach pięćdziesiątych – jako „szpiedzy" czy „prowokato-

rzy". Chociaż okropieństwa okupacji niemieckiej były jeszcze straszniejsze, przetrwały właśnie wspomnienia o zbrodniach sowieckich, po prostu dlatego, że sowieckie zagrożenie nie zmalało. Żaden Polak znający historię swojego kraju, usianą wojnami i powstaniami przeciwko Rosji, nie mógł żywić wątpliwości, jaka będzie kara. To paraliżujący strach dławił wszelką myśl o niepodległości i wolności. Używając eufemizmu typowego dla partyjnego żargonu, stan ten określano mianem „niezbędnej świadomości obiektywnej rzeczywistości".

Klimatowi strachu i towarzyszących mu spisków, milczenia, zakłamania i pochlebstwa sprzyjała nieobecność reguły prawa. Bezprawie jest bowiem kamieniem węgielnym leninizmu. Leninowska idea *partijnosti* (zwierzchności partii) stawiała partyjnych bonzów ponad prawem i oddawała wszystkich i wszystko na łaskę partyjnego widzimisię. Przeważała nad wszelkim poczuciem konstytucjonalności, nad wszystkimi swobodami, wszelkim prawem do własności, nawet „własności społecznej". Paraliżowała wszelką myśl o niezależnej sprawiedliwości, równości wobec prawa, nawet o socjalizmie, ponieważ środki produkcji – podobnie jak system sądownictwa – pozostawały do dyspozycji nie społeczeństwa jako całości, lecz partyjnych bossów. Konstytucje, kodeksy prawne i systemy prawa oczywiście istniały, i na papierze mogły robić wrażenie bardzo światłych. I rzeczywiście: jeśli taki był nakaz partii, można je było skłonić do działania łagodnego i humanitarnego, a społeczeństwo mogło się cieszyć okresem „socjalistycznej legalności". Ale nic, co miało zasadnicze znaczenie, nie mogło ulec zmianie. Ponieważ prawo pozostawało na służbie partii, kiedy działo się coś złego, prawo nie mogło ochronić nikogo przed niezadowoleniem partii. Na tej samej zasadzie konstytucja i formalne traktaty Polski Ludowej nie mogły uchronić Polski przed Związkiem Sowieckim. Udziałem przywódców bratnich partii była bowiem taka sama bezprawna bezsilność wobec partii sowieckiej, jakiej doświadczali ich właśni podwładni względem ich samych. Wszyscy byli wystawieni na jednakowe kapryśne rozkazy zwierzchników. Nie mieli żadnej gwarancji swojego stanowiska, żadnego tytułu do swojego statusu czy zakresu działania, żadnej obrony przed szykanami, żadnej możliwości odwołania, żadnej nadziei na obronę za pomocą środków prawnych, żadnego poczucia przekonania, że ci, którzy nimi rządzą, także muszą ponosić odpowiedzialność przed jakąś władzą zwierzchnią. W leninizmie nie było władzy wyższej niż partyjne przywództwo. W bloku sowieckim nie było władzy wyższej niż Kreml. Aktualny dyktator pozostawał ponad wszelkim prawem. Chruszczow mógłby oczywiście zarządzić koniec panowania stalinowskiego terroru, tak samo jak jakiś inny

sowiecki przywódca mógłby nakazać jego przywrócenie. Jakiś Breżniew lub Andropow mógł wydać rozkaz zwiększenia lub zmniejszenia kontroli – zgodnie ze swoją prywatną oceną konsekwencji. Gomułka mógłby nakazać dekonstrukcję stalinizmu w wersji Bieruta, tak jak na mocy dyktatu Gierka czy Jaruzelskiego kontrolę partii należało sprawować za pośrednictwem rozmaitych połączeń konsumeryzmu, pobłażliwości i represji. Ale w systemie sowieckim nie istniała żadna koncepcja ani żadna instytucja poza arbitralną sukcesją nowego dyktatora, która mogłaby rozliczyć działania partii. W odróżnieniu od rosyjskich carów czy Ludwika XIV, partyjny bonza nie miał nawet spowiednika. Nie był po prostu autokratą czy absolutnym „Królem-Słońce" z boskiego nadania; był despotą pozbawionym wszelkich moralnych hamulców, współczesnym następcą Nabuchodonozora lub Czyngis-chana. Był jedynym wolnym człowiekiem w całym układzie i mógł sobie być chytry jak Lenin, paranoiczny jak Stalin, nieprzewidywalny jak Chruszczow, tępy jak Breżniew. Co więcej, w relacjach z postawionymi niżej od niego śmiertelnikami jego szczególną odmianę „dyktatury proletariatu" mogli naśladować wszyscy ci, którzy tworzyli hierarchiczną drabinę mniejszych despotów – cały biegnący z góry na dół, niekończący się polityczny łańcuch złożony z niezliczonych ogniw. Od najwyższej pajęczej sieci sowieckiej nomenklatury z Wielkim Pająkiem w centrum rozchodziły się kolejne splątane sieci; od Kremla po najdalsze zakątki sowieckiego imperium – sieci komitetów centralnych, komitetów poszczególnych republik, komitetów wojewódzkich, komitetów miejskich i komitetów wiejskich, pajęcze sieci braterskich partii, sieci komitetów braterskich partii, sieci komórek partyjnych od Kuby do Kamczatki, od Archangielska po Angolę, od Zatoki Lubeckiej po Jużno-Sachalinsk. Każda sieć miała swojego pająka i żaden pająk – nawet najbardziej dobrotliwy – nie uznawał żadnych praw, które by stały ponad nim.

Państwo oficjalnego bezprawia było tak obce Ameryce i Europie Zachodniej (nie mówiąc już o Japonii), że najpoważniejsze próby jego opisów instynktownie odrzucano jako wytwory fantazji. Nic więc dziwnego, że zachodnia opinia publiczna z największą życzliwością przyjmowała tych analityków, którzy próbowali wyjaśniać mechanizmy działania reżimów komunistycznych, mówiąc o obumarłych zasadach nauk politycznych czy koncepcjach społecznych lub politycznych opartych na doświadczeniach Zachodu. Takie etykiety jak „państwo jednopartyjne" czy „proletariackie fundamenty władzy" partii lub „grupy interesów w społeczeństwie komunistycznym" były zrozumiałe, choć nie w pełni stosowały się do ustroju leninowskiego. Każde stanowisko, które musiało się

odwołać do metafor czy porównań, można było zignorować jako „poetyckie" lub „nienaukowe". Mimo to zachodni komentatorzy przyglądający się sowieckiemu światu stawali przed murem niezrozumienia, który wznosił się zarówno przed nimi, jak i za nimi. Było im trudno wyobrazić sobie ustrój, w którym oficjalne bezprawie nie pozostawało wyjątkiem, lecz normą, a jeszcze trudniej – przekonać sceptyczną zachodnią publiczność, od lat kształtowaną przez system dokładnie odwrotnych zasad. Mogli dobrze zrozumieć ideę państwa bezprawia, które według Hobbesa poprzedzało powstanie rządów, nie umieli natomiast pojąć rządu, który działał bez Hobbesowskiej fikcji umowy społecznej między rządzącymi i rządzonymi. Wysuwaliby argument, że przecież Hobbes wymyślił tę umowę społeczną po to, aby usprawiedliwić rządy absolutne, a nie demokratyczne (tak jakby ktokolwiek w Rosji kiedykolwiek brał pod uwagę to, co mówił Hobbes...). Najeżali się na samą myśl o państwie, którego strażnicy mogli z dnia na dzień zmieniać zasady własnej ideologii, dla własnej wygody i ku osłupieniu wszystkich innych. Dostrzegali sztywne struktury transmisji, ale nie bezgraniczną elastyczność w centrum. Być może po prostu nie dysponowali językiem, którym mogliby opisać to, co zobaczyli. (Tak samo jak usunięcie z urzędu amerykańskiego prezydenta czy perspektywa postawienia go w stan oskarżenia *à la* Cromwell dosłownie odebrało mowę rosyjskim komentatorom).

W gruncie rzeczy jednak zachodni analitycy mieli pod ręką odpowiedni zasób słów. Bezprawie – w odróżnieniu od zwykłego łamania prawa – nie jest czymś nieznanym społeczeństwom Zachodu. Może być obce zachodniej teorii politycznej, zachodniej (rzymskiej) myśli prawnej i demokratycznym praktykom Zachodu, ale z pewnością stanowiło podstawę porządku społecznego na dawnym amerykańskim Pograniczu i było czymś aż za dobrze znanym w bardziej podejrzanych okolicach wielkich miast Zachodu. Świat przestępczy, ze swoimi mafijnymi powiązaniami, syndykatami i sojuszami, bandami i przekrętami, gangsterami i płatnymi zabójcami, odpowiada kulturze politycznej, w której bezprawie jest sposobem życia, a uczciwi ludzie drogo płacą za protest. Dla członka mafii – jak i dla leninowca – władza *Cosa Nostra* jest najwyższym dobrem, któremu trzeba podporządkować wszystkie inne zasady. Może się wydać dziwne, że w tym samym roku, w którym Andropow rozpoczął kampanię walki z przestępczością w ZSRR, zdaniem Breżniewa nieistniejącą, reżim w Polsce, który prawnie zarejestrował Solidarność, nazywał jej działaczy „kryminalistami". Ale dla ludzi Zachodu, wychowanych w poszanowaniu prawa i jego autorytetu, wszystko, co się mówi o „rządach bezprawia", brzmi jak paradoks, a porównanie kultury politycznej

największego imperium świata z kulturą polityczną Ganglandii jest tak samo dziwaczne jak mówienie o pająkach.

Istnieje oczywiście wiele innych aspektów sowieckiego państwa – w szczególności elementów marksistowskich – które nie miały nic wspólnego z mafią, a leninizm nie jest jedyną ideologią, która utrzymuje, że rządzący idealnym społeczeństwem mają prawo stać ponad prawem. Filozofowie polityki wysuwali takie propozycje i debatowali o nich od czasów Sokratersa i Platona. Jeśli chce się je zastosować do współczesnych ustrojów, trzeba tylko pamiętać o zasadniczej różnicy między pojęciami prawa stosowanymi przez komunistów a liberalnymi ustrojami Zachodu. Zakładanie, że pozycja prawa w ustroju w sowieckim stylu była taka sama jak w demokracjach konstytucyjnych na Zachodzie, oznacza przyjmowanie już na wstępie fałszywych przesłanek.

Żaden krótki przegląd powiązań Polski ze Związkiem Sowieckim nie może wynikać z zamiaru stworzenia bilansowego zestawienia strat i korzyści. Celem jest po prostu wskazanie głównych faktów, na których można oprzeć ocenę charakteru tych relacji. Nie ma też sensu spierać się o etykiety. Jeśli sowieccy i polscy komuniści upierali się, aby się nawzajem nazywać „sojusznikami", to mieli prawo tak się nazywać. Tyle że większość ludzi nie tak rozumiała sojusz.

Inna tradycyjna metafora to obraz państwa jako okrętu płynącego przez nieprzyjazne morza ku nieistniejącemu na mapach oceanowi przyszłości. Idąc za tą linią rozumowania, trzeba widzieć Polskę Ludową jako galerę należącą do wielkiej floty komunizmu, dowodzonej sponad pokładu przez korpus nadzorców, napędzaną przez zmuszaną do pracy załogę galerników przykutych do ław pod pokładem i wiosłujących w takt wojskowego bębna. Płynęła za rufą wielkiego sowieckiego okrętu flagowego, przywiązana do niego ciężkim, pajęczynowatym łańcuchem. Niestety większość polskich nadzorców podchodziła do pracy bez entuzjazmu; załoga składała się z dawnych wolnych obywateli, którzy nadal tęsknili za wolnością i byli synami nie Kserksesa, lecz Temistoklesa, nikt też nie chciał słuchać rytmu bębna. W efekcie polska galera przechylała się z jednej burty na drugą. Pokład już zalewała woda. Gdyby się wywróciła do góry dnem, mogłaby za sobą pociągnąć na dno swoich sąsiadów. Wobec tego trzeba było szybko działać. Albo nadzorcy zdołają zmusić skazańców do wiosłowania w jednym rytmie, albo okręt flagowy będzie musiał im wysłać na pomoc własnych marynarzy. Jeszcze lepszym wyjściem byłoby oddać galerę w ręce załogi i pozwolić im wiosłować jako ochotnikom. A już najlepiej, gdyby sowiecki admirał zgodził się spisać galerę na straty, przeciąć łańcuch i pozwolić „Polsce" płynąć własnym kursem.

Społeczeństwo polskie było bowiem wewnętrznie podzielone. Nadzorcy i galernicy, biurokraci i szarzy obywatele żyli wprawdzie na jednej łodzi, ale kierowali nią w różnych kierunkach. A dopóki byli podzieleni, ich okręt nie mógł popłynąć równym kursem.

Dwa narody

Ze zdziwieniem można zauważyć, że podstawowa idea Karola Marksa (w myśl której konflikt społeczny wynika z podziału społeczeństwa na dwa przeciwne obozy, uciskających i uciskanych) po raz pierwszy doczekała się upowszechnienia w powieści *Coningsby*, opublikowanej w roku 1844 przez Benjamina Disraelego. Disraeli nadał zjawisku miano „dwóch narodów". Dwadzieścia lat później, jako konserwatywny premier Wielkiej Brytanii, w czasie gdy Marks pracował jeszcze nad swoim *Kapitałem* w czytelni Muzeum Brytyjskiego, Disraeli zaatakował rozrywane klasowymi podziałami współczesne sobie społeczeństwo, wprowadzając powszechne prawo wyborcze obejmujące wyłącznie mężczyzn i tworząc początki dzisiejszej brytyjskiej demokracji. Ze zdziwieniem można także zauważyć – po stu latach postępu – że samozwańczym uczniom Karola Marksa we wschodniej Europie udało się zbudować społeczeństwo podzielone wewnętrznie nie mniej niż wiktoriańska Anglia Disraelego. Można oczywiście argumentować, że leninizm nie dawał się pogodzić z marksizmem albo że marksiści-leniniści nie byli porządnymi marksistami; można też się spierać, czy dokładnie rzecz biorąc, stosunek komunistycznej elity do środków produkcji pozwalał jej czy też nie pozwalał na status prawdziwej „klasy rządzącej" w znaczeniu marksistowskim. O tym muszą zadecydować marksiści. Nie da się jednak zaprzeczyć, że to, co Milovan Dżilas nazwał „nową klasą", a inni określali mianem „biurokratycznego Lewiatana", stanowiło najbardziej charakterystyczną cechę rzekomo bezklasowych społeczeństw Europy Wschodniej[6]. W ojczyźnie Dżilasa, w Jugosławii, albo w ZSRR, gdzie reżimy komunistyczne naprawdę cieszyły się pewnym poparciem społecznym, istnienie tych dwóch narodów – biurokratów oraz poddanych biurokratów – dawało sporo do myślenia. W Polsce, z jej całkowicie nieprawomocnym reżimem, było to źródłem powszechnego ucisku.

---

[6] Maria Hirszowicz, *The Bureaucratic Leviathan – A Study in the Sociology of Communism*, Oxford 1980.

Pierwszą rzeczą, jaką Polacy musieli sobie uprzytomnić, był bowiem fakt, że ludzie tworzący ten ucisk nie są dziwacznie wyglądającymi cudzoziemcami w pikielhaubach czy tatarskich czapach z baraniego futra. Ich ciemiężcy byli takimi samymi Polakami jak oni, wprawdzie natychmiast rozpoznawalnymi po stroju, zachowaniu i sposobie mówienia, ale pochodzącymi w znacznej części z ich własnych miast i wsi, należącymi do ich własnych rodzin. Granica, która oddzielała gnębionych od gnębiących, przecinała żywą tkankę polskiego społeczeństwa i często – w przypadkach podzielonej lojalności – biegła przez serce i duszę pojedynczego człowieka. Jednym z głównych wytworów pokolenia komunizmu był właśnie ten podział na „władzę" i „społeczeństwo", na bossów i naród, na „nas" i „ich".

We wczesnym okresie powojennym nowy establishment sklecono z bardzo zróżnicowanych elementów. Było kilkuset ocalałych członków przedwojennej partii komunistycznej – a wśród nich Gomułka – którzy mieli szczęście podczas stalinowskiej czystki w szeregach KPP znaleźć się w polskim więzieniu. Bardziej licznie reprezentowani byli obywatele sowieccy polskiego pochodzenia, dawny personel rozmaitych sowieckich agend. Do tej grupy należeli: Bolesław Bierut, który stał na czele polskiej sekcji sowieckiego Zjednoczonego Państwowego Zarządu Politycznego (OGPU) i który uprzednio pracował dla Kominternu, Jakub Berman, Stanisław Radkiewicz, zastępca Berii w Polsce, Aleksander Zawadzki, następca Bieruta na stanowisku prezydenta Polski, który jako „zdegradowany" pułkownik NKWD odbywał swego czasu wyrok w obozie Oneglag w okręgu archangielskim, Karol Świerczewski (pseudonim „Walter"), generał polskiego pochodzenia w Armii Czerwonej, który walczył w wojnie domowej w Hiszpanii, i Wanda Wasilewska, córka wybitnego polityka z okresu przedwojennego, a w roku 1944 już żona byłego komisarza do spraw zagranicznych Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Byli tam także komuniści polscy sprowadzeni z Zachodu – intelektualiści, jak Oskar Lange z Ameryki, albo polscy robotnicy – działacze europejskiego ruchu oporu, jak Edward Gierek. Najliczniejsi byli jednak „pełniący obowiązki Polaka", czyli tak zwane POP-y – głównie Rosjanie lub Ukraińcy ubrani w polskie mundury i tysiącami sprowadzani do Polski. Źródłem rubasznego humoru bywały okazje, kiedy okazywało się, że jakiś oficer czy dyrektor oficjalnie przedstawiany jako czynny „polski patriota" nie potrafił poprawnie mówić po polsku. Byli też Polacy rekrutowani – a potem szkoleni – spośród rzeszy wojennych uchodźców i osób deportowanych w ZSRR. Niektórzy – jak Wojciech Jaruzelski – wstąpili do wojska, inni wybrali kariery jako cywile. Tu najliczniej nadrepre-

zentowaną pojedynczą grupę tworzyli polscy Żydzi, których uważano za niezdolnych do sympatyzowania z całą polską ludnością i których masowo werbowano jako urzędników organów bezpieczeństwa. Stali się oni najistotniejszą przyczyną późniejszych antysemickich nastrojów w partii. Wreszcie była też duża liczba reprezentacyjnych figurantów, wybranych z powodu nazwisk albo prestiżowych koneksji – prawdziwych lub zmyślonych – z przedwojennymi instytucjami. Edward Osóbka-Morawski wystąpił z Polskiej Partii Socjalistycznej w czasie wojny i utworzył jej prokomunistyczny odłam, Robotniczą Partię Polskich Socjalistów. Michał Rola-Żymierski, przedwojenny legionista i generał, który studiował w École Supérieur de Guerre w Paryżu, odbywał karę więzienia za nadużycia finansowe. Generał Zygmunt Berling, podpułkownik przedwojennego Wojska Polskiego, był jedynym starszym rangą polskim oficerem w służbie czynnej, który zgodził się pełnić służbę w czasie wojny pod sowieckim dowództwem. Andrzej Witos, przyrodni brat przywódcy przedwojennego ruchu chłopskiego, wyszedł z tego ruchu w 1928 roku. Bolesław Piasecki był przywódcą przedwojennej faszystowskiej Falangi. Doktor Emil Sommerstein działał jako poseł syjonistyczny w sejmie. Ludzie ci, z których niemal nikt nie miał godnego szacunku politycznego polskiego rodowodu, tworzyli awangardę nowej elity. Nie był to zbyt dobrze rokujący początek.

W ciągu czterdziestu lat tamta pierwsza awangarda oczywiście nieproporcjonalnie się rozrosła dzięki lokalnym rekrutacjom. Liczba członków partii osiągnęła w roku 1948, który był rokiem utworzenia PZPR, milion i prawie trzy miliony w roku 1980, co stanowiło około 12 procent ogółu dorosłej ludności. Nowi członkowie rekrutowali się w przeważającej większości spośród ambitnych synów i córek ubogiego chłopstwa, z rodzin niemających wcześniejszej orientacji politycznej. Dla nich przynależność do partii stała się szansą na wykształcenie i szybki awans społeczny – mówiąc po prostu, szansą, żeby przestać być chłopami. Rekrutacja członków pochodzących z przemysłowej klasy robotniczej także była wysoka w latach pięćdziesiątych, natomiast potem zaczęła stopniowo maleć. Liczba osób wywodzących się z inteligencji – w odróżnieniu od wewnętrznej rekrutacji dzieci wykształconych członków partii – była zawsze marginalna. W ostatnich latach istnienia partii jej tendencja do dostarczania własnych rekrutów znacznie wzrosła, pogłębiając przepaść między elitą a resztą społeczeństwa i zmierzając ku tworzeniu samonapędzającej się kasty rządzącej. Prawdą jest, że synowie i córki wysokich urzędników, zbrzydzeni zepsuciem i cynizmem starszych, zasilali stały strumień pryncypialnych dysydentów, ale jest też prawdą, że – ze względu na status

rodziców – mieli oni dostęp do najlepszego wykształcenia, najbardziej komfortowe warunki materialne, a przed sobą – najatrakcyjniejsze, najbardziej obiecujące kariery.

Nic więc dziwnego, że z samej swej natury system komunistyczny napędzał mechanizmy negatywnej selekcji. Po pierwsze, ponieważ podstawowym wymogiem wobec wszystkich nowo przyjmowanych członków było niekwestionowane posłuszeństwo partyjnej dyscyplinie, jednostki przedsiębiorcze, pełne wyobraźni lub ekscentryczne od początku znajdowały się w niekorzystnej sytuacji. Nawet jeśli tacy ludzie wstępowali do partii, to było mało prawdopodobne, żeby zrobili tam karierę. Po drugie, ponieważ młodzi towarzysze nie mogli kwestionować dogmatów oficjalnej ideologii, nie było zbyt wiele miejsca dla umysłów otwartych, mądrych i dociekliwych. Nadmiar mądrości łatwo mógł zostać nagrodzony wydaleniem z szeregów. Po trzecie, ponieważ partyjny system awansów opierał się na patronacie sprawowanym przez organy wyższe nad organami niższymi, awans zależał nie tyle od przywiązania do zasad partii, ile od umiejętności zaspokajania chwilowych kaprysów przełożonego. Skrupuły zazwyczaj przywiązywały skrupulanta na stałe do niższych szczebli drabiny. Ale to nie wszystko. Absurdalne byłoby sugerować, że ciało złożone z około trzech milionów wykształconych ludzi mogłoby być całkowicie pozbawione inteligencji. Inteligentni towarzysze naprawdę się zdarzali i naprawdę bywali awansowani, ale mogli awansować tylko wtedy, kiedy ukrywali osobiste poglądy, krytyczne nastawienie wobec ustroju i pogardę wobec mniej utalentowanych kolegów. Innymi słowy, aspirujący do awansu towarzysz mógł być albo inteligentny, albo uczciwy, ale nie jedno i drugie. Jeśli dodać do tego szczególne warunki panujące w Polsce, gdzie przynależność do władz partii komunistycznej niosła ze sobą społeczny stygmat, pojawia się jeszcze jedna bariera: bariera wrażliwości społecznej. Nie było sensu wstępować do partii, jeśli się miało zamiar zbytnio zwracać uwagę na odczucia przyjaciół i rodziny. W sumie obraz był niezwykle ponury. Działanie mechanizmu negatywnej selekcji przez okres całego pokolenia doprowadziło do powstania społeczeństwa kierowanego przez jego najbardziej bezwartościowe elementy. Byłoby zapewne uproszczeniem twierdzić, że polityczny establishment w Polsce składał się z przywódców rekrutowanych spośród nieuczciwych oportunistów, nieczułych łobuzów i członków charakteryzujących się brakiem wyobraźni, głupotą i lizusostwem albo że reszta polskiego społeczeństwa była bez wyjątku twórcza, bystra, pełna skrupułów, uczciwa i świadoma społecznie. To z pewnością przesada. Inną cechą komunistycznej machiny była jej nieskuteczność, i nie można zagwarantować, że wyprodukó-

wałaby taki gatunek przywódców, na jaki niewątpliwie zasługiwała. Jedno jest jednak niezaprzeczalne. Przeciętny poziom kultury, inteligencji i uczciwości w łonie polskiego komunistycznego establishmentu zdecydowanie nie dorównywał standardom panującym wśród wykształconych Polaków w innych kręgach społecznych – w Kościele, w świecie nauki i w wolnych zawodach. To spory zarzut, także pod adresem krajów demokratycznych, że najwybitniejsze talenty nie zawsze należą do przywódców narodu. Jest natomiast zniewagą dla narodu, jeśli rządzą nim ludzie mniejszego kalibru – na zawsze i bez nadziei na poprawę.

Rozkwit niewielkiej grupy intelektualistów, którzy się przyłączyli do ruchu komunistycznego, nie trwał zbyt długo, ponieważ szybko zaczęli oni działać przeciwko swoim komunistycznym panom. W pierwszych latach po wojnie pewna liczba zwolenników marksizmu-leninizmu wykorzystała okazję i zabrała się do rewolucjonizowania polskiego życia kulturalnego i gospodarczego, realizując przyznane sobie samym zadanie. Oskar Lange i jego uczniowie w dziedzinie ekonomii, Adam Schaff i błyskotliwy młody Leszek Kołakowski w dziedzinie filozofii, Stanisław Arnold i Celina Bobińska w dziedzinie historii, Stefan Żółkiewski, Paweł Hoffman, Jan Kott, Mieczysław Jastrun, Kazimierz Brandys i Adam Ważyk w literaturze, Roman Werfel i Jerzy Borejsza w dziedzinie zarządzania kulturą – wszyscy oni starali się przystosowywać nową ideologię do polskich warunków. Zdawali sobie sprawę, że w środowisku osób wykształconych stanowią maleńką mniejszość, mieli jednak poczucie, że tworzą przyszłość. Byli wśród nich ludzie zdolni się pojawić na posiedzeniu komitetu do spraw kultury z odą na cześć Stalina w jednej ręce i z symbolicznym pistoletem w drugiej. Przed największym wyzwaniem stanęli zapewne w dziedzienie literatury, ponieważ literatura polska była najlepiej rozwiniętą gałęzią kultury narodowej, a pismo Żółkiewskiego „Kuźnica", założone w 1945 roku, stało się okrętem flagowym nowych prądów. Nazwa pisma – wzięta od nazwy grupy działaczy społecznych i politycznych skupionych wokół Hugona Kołłątaja w okresie polskiego oświecenia – pokazuje, że jego autorzy uważali się za wybraną, racjonalistyczną elitę ludzi walczących z pozostałościami reakcyjnego idealizmu i klerykalnego fanatyzmu. Byli apostołami nowej odmiany komunistycznego pozytywizmu, żarliwymi przeciwnikami romantycznego patriotyzmu, przekonanymi, że postęp polityczny zależy od gruntownej przebudowy polskiej kultury. Traktat Jana Kotta *Mitologia a realizm* (1946) wytyczał kierunek zmierzający do stworzenia z marksistowskich „praw historycznych" fundamentu wszystkich wartości literackich i kulturowych. Żółkiewski, awansowany na stanowisko szefa Wydziału Kultury

PZPR, założył w 1948 roku wpływowy Instytut Badań Literackich (IBL), a w roku 1957 został pierwszym redaktorem naczelnym „Polityki". Ignorując słabo zamaskowaną wrogość tradycyjnej polskiej inteligencji, ludzie ci upierali się przy swojej „łagodnej rewolucji", która miała zmienić postawy Polaków metodami perswazji i dobrego przykładu. W efekcie, głosząc swoją najważniejszą zasadę „utrzymywania poprawnej postawy politycznej w stosunku do obecnej rzeczywistości", szybko utracili zainteresowanie społeczne i przekształcili się w zwykłych powierników polityki partii. Odkryli też, że przywódcy partii są podejrzliwi wobec ich eksperymentów i błyskotliwych pomysłów. Ci spośród nich, którzy próbowali utrzymać niezależny kurs, zostali zadenuncjowani i wydaleni jako „rewizjonistyczni" renegaci. Partia nie kierowała się wdzięcznością. Jeden po drugim wypadali z łask, opuszczali kraj albo dołączali do rosnących szeregów dysydentów. W ciągu dwudziestu lat ruch komunistyczny w Polsce doprowadził do alienacji niemal wszystkich wybitnych intelektualistów, którzy na początku próbowali mu służyć.

Mimo otwartego przywiązania partii do idei „dyktatury proletariatu", podstawowa instytucja tej dyktatury, nomenklatura, była objęta ścisłą tajemnicą[7]. W gruncie rzeczy w świetle polskiej konstytucji, która gwarantowała równość wszystkich obywateli, była absolutnie nielegalna. Po reorganizacji z roku 1972 polską nomenklaturą kierował Wydział Kadr Komitetu Centralnego PZPR; obejmowała dwie listy: na jednej wymieniano zarezerwowane dla niej stanowiska w państwie i w partyjnym aparacie biurokracji, na drugiej zaś – nazwiska ludzi mających wyłączne prawo do zajmowania tych stanowisk. Pierwsza była znana i publikowana poza granicami Polski, drugiej nigdy nie ujawniano, ale sądzi się, że znalazło się na niej od dwustu do trzystu tysięcy nazwisk ze wszystkich wyobrażalnych dziedzin życia. To właśnie byli dyktatorzy, samozwańczy biurokraci, którzy zbiorowo kontrolowali środki produkcji, środki przymusu i środki przekazu w całym kraju. W praktyce, ponieważ to oni mianowali sekretarzy partii na poziomie komitetów wojewódzkich, miejskich i gminnych, kontrolowali także odpowiednie listy nomenklatury na niższych szczeblach drabiny. Chociaż można by słusznie uznać nomenklaturę za magiczny krąg najwyższych bossów, nie było w kraju

[7] Zob. Takayuki Ito, *Controversy over Nomenklatura in Poland: twilight of a monopolistic instrument for social control*, „Slavic Research Centre", Sapporo, Japan, maszynopis (1981), s. 50. Referat wygłoszony na konferencji The Western Slavic Association, University of Hawaii, Honolulu, w marcu 1982, ukazał się w: „Acta Slavica Iaponica" (Sapporo) 1983, t. 1, s. 57–103.

żadnej kierowniczki ekipy sprzątaczek ani żadnego dozorcy parku, którego praca – bezpośrednio lub pośrednio – nie mieściłaby się w zasięgu jej kompetencji. Przynależność do magicznego kręgu oznaczała bardzo istotne przywileje: wyższe pensje, korzystniejsze emerytury, specjalne dokumenty tożsamości, dostęp do edukacji, prywatne partyjne kliniki i szpitale, domy wczasowe, luksusowe mieszkania, zagraniczne podróże i obcą walutę oraz – rzecz najbardziej lukratywna – możliwość bezkarnego egzekwowania wszystkich tych korzyści. Według przepisów opublikowanych w Dzienniku Ustaw z 1972 roku wiele z tych przywilejów przysługiwało nie tylko samym urzędnikom, ale także ich małżonkom i rodzinie.

Żadnego opisu komunistycznego establishmentu nie można jednak ograniczać do członków partii *per se*; należy także uwzględnić liczne ugrupowania. W słynnym sektorze „niepartyjnym" koniecznie trzeba odnotować najbliższych sojuszników partii z Frontu Jedności Narodu (FJN), przywódców Stronnictwa Demokratycznego (SD) i Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego (ZSL), kierownictwo sponsorowanych przez partię i niemających statusu partii organizacji społecznych w rodzaju Ligi Kobiet (LK), Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD) zrzeszającego kombatantów, organizacji postępowych katolików PAX, szerokich rzesz bezpartyjnych profesorów, specjalistów i postaci ze świata kultury, którzy zawdzięczali swoją pozycję partii i otrzymywali ją w zamian za oddawane usługi. Należy też wymienić – jeśli w ogóle ktoś dorównywał prezydentowi Bierutowi – grupę zakamuflowanych urzędników sowieckich, którzy mogli pozostawać w ukryciu jako bezpartyjni „uśpieni agenci", dopóki nie wezwała ich ojczyzna. Na arenie politycznej ugrupowania patronackie miały zapewne większe znaczenie niż bardziej oczywiste interesy instytucjonalne czy płynna przynależność do ośrodków ideologii. Z natury systemu wynikało, że ludzie, którzy zawdzięczali kariery patronatowi określonego przywódcy – Gomułki, Gierka, Jaruzelskiego – albo też może jakiemuś konkretnemu członkowi komitetu wojewódzkiego czy Politbiura, mieli najwięcej powodów, żeby się trzymać razem. Do nadejścia dyktatury wojskowej w 1981 roku ambitni członkowie sił zbrojnych lub organów bezpieczeństwa z równym prawdopodobieństwem mogli ze sobą rywalizować o względy zwierzchników, jak i jednoczyć siły we wspólnym działaniu. W procesie narzucania partyjnej dyscypliny w wyniku każdego poważniejszego kryzysu ośrodek ideologiczny związany z tym czy innym przegrywającym ugrupowaniem na ogół podlegał czystce. A jednak, mimo tych okresowych czystek, pewnym tendencjom udało się zachować odrębną tożsamość. Polscy stalinowcy, swego czasu związani z grupą natolińską z roku 1956, a później

z katowickim Forum czy dziennikiem „Rzeczpospolita", zawsze znajdowali poparcie. Ich radykalni krewniacy, komunistyczni nacjonaliści, wywodzący się spośród wojennego partyzanckiego odłamu generała Moczara, w roku 1968 dokonali nieudanej próby przejęcia władzy. Ponosili odpowiedzialność za powtarzające się antysemickie kampanie w łonie partii – nawet wtedy, gdy nie było już w kraju znaczącej liczby Żydów – i ponownie wypłynęli na powierzchnię jako Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald". Wyznając dogmatyczną wersję marksizmu-leninizmu, podobnie jak stalinowcy, wykazywali jednak skłonność do przyjmowania postaw skrycie antysowieckich i domagali się przede wszystkim polskiej partii dla polskich komunistów. Poparcie znajdowali wśród anonimowych przedstawicieli niższych szczebli, których zjadliwe resentymenty gorliwie podsycali. W odróżnieniu od nich łagodniejsze, intelektualne ugrupowania reformatorskie (często błędnie określane na Zachodzie jako „liberalne") dogodnie jest podzielić na reformatorów fałszywych i reformatorów autentycznych. Pierwsi, starannie przestrzegający granic partyjnej dyscypliny, wyrośli w cieniu gomułkowskiego października i kierowali nimi arcylawiranci, których najlepszym przedstawicielem był Mieczysław Rakowski, w swoim czasie premier i przez dwadzieścia pięć lat redaktor naczelny „Polityki". Drudzy, strażnicy grzesznych sumień towarzyszy, oskarżali partię o porzucenie własnych zasad. W latach sześćdziesiątych byli wśród nich tacy buntownicy jak Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, Władysław Bieńkowski – swego czasu minister edukacji, czy były prezes Związku Dziennikarzy Stefan Bratkowski. W późniejszym okresie podobną pozycję zajęło ugrupowanie Doświadczenie i Przyszłość (DiP). Za swoją odwagę płacili zazwyczaj wykluczeniem z partii.

Zwykłe postawy tego rozległego i zróżnicowanego establishmentu skupiały się więc nie tyle na polityce w wąskim tego słowa znaczeniu, ile na kwestiach społecznych. Po pierwsze, wszyscy upierali się przy swoim bezwzględnym prawie do rządzenia. Zachowywali się tak, jakby państwo, a także jego mieszkańcy byli ich prywatną własnością. Kiedy w roku 1981 w publicznej debacie dotyczącej natury „wiodącej roli" partii zakwestionowano nomenklaturę, oficjalny rzecznik w sposób bardzo charakterystyczny oświadczył, że „na dyskusję na ten temat nie ma miejsca". Po drugie, instynktownie zwierali szeregi w obliczu każdego zagrożenia z zewnątrz. Choć zdarzało im się toczyć między sobą skandaliczne walki, przeprowadzać czystki i zwracać się przeciw towarzyszom, którzy nie chcieli się podporządkować, absolutnie odmawiali zgody na jakikolwiek niezależny wgląd w ich sprawy. Błędy przeszłości zawsze przypisywano niedociągnięciom jednostek, nigdy zaś zgniliźnie całego systemu. Było

rzeczą typową, że w latach osiemdziesiątych rozmaite śledztwa i trybunały w sprawie stwierdzonych zbrodni i przypadków korupcji z czasów Gierka zawsze prowadziły do jednostkowych śledztw i nigdy nie kończyły się wnioskami ogólniejszej natury. Po trzecie, traktowali pojedynczych obywateli z nieświadomą i jednocześnie bezgraniczną pogardą. Myśl, że prowadząc swoje roztrząsania, partia mogłaby się kierować życzeniami i aspiracjami zwykłych ludzi, uderzała ich jako dziwaczny pomysł. Bo jak to ujawnił Rakowski w jednym ze swoich opublikowanych *post mortem* wywiadów, po grudniowym zamachu stanu podstawowym błędem Solidarności było wyobrażanie sobie, że zdoła wysadzić partię z siodła. W oczach ludzi pokroju Rakowskiego polskie społeczeństwo było koniem – zwierzęciem, na które trzeba wsiąść i jechać, a partia była jeźdźcem (metafora Stalina). Po czwarte, przyjęli obyczaje dawnej klasy rządzącej, odgraniczając się w ten sposób od reszty społeczeństwa. Nosili troszkę niemodne formalne garnitury, przywodzące na pamięć starzejących się biznesmenów z Zachodu, zwracali się do siebie *per* „wy", a do innych – wyświechtanym żargonem, wozili ich kierowcy – prywatnymi limuzynami z przyciemnionymi szybami i koronkowymi firaneczkami, a ich ulubioną rozrywką było polowanie – w prywatnych, należących do partii lasach i rezerwatach. Po piąte, wstydzili się samych siebie. Załatwiali swoje sprawy za zamkniętymi drzwiami, polecenia przekazywali przez telefon, nie pozostawiając żadnych śladów w aktach, akta zaś trzymali w ukryciu, za ciasnymi murami cenzury; nigdy też nie odważyli się swoich przywilejów zalegalizować. Według wyznania, do którego zmuszono Bieńkowskiego, byli agentami działającymi „w obcym otoczeniu" i w głębi serca sami o tym wiedzieli. Musiało to być ogromnie stresujące.

Po grudniu 1981 roku tradycyjny komunistyczny establishment usunęła na bok nieliczna w ich łonie grupa wojskowych, która jeszcze nie straciła woli działania. Musiało ich denerwować wspomnienie własnej porażki, z drugiej strony jednak ulgę przynosiła im świadomość, że uniknęli zemsty narodu. Nigdy nie było prawdopodobne, że zechcą utwierdzić swoją pozycję wobec nowego władcy, i dobrze by im zrobiło, gdyby się zastanowili nad hasłem „nomenklator" w *Wielkiej encyklopedii powszechnej*:

> W starożytnym Rzymie niewolnik stale towarzyszący swemu panu i mający obowiązek przypominania mu nazwisk spotykanych osób, z którymi pan jego powinien był wymienić pozdrowienie; było to szczególnie ważne przy ubieganiu się o urząd w okresie republiki.

Być może jeszcze lepiej byłoby się zastanowić nad znaczeniem słowa „nomenklatura", tak jak go używano w języku polskim. Jest to wyraz łaciński odnoszący się do rejestrów posiadłości ziemskich należących do wielkich feudalnych magnatów i na zasadzie rozszerzenia – do dzierżawców, którzy te majątki posiadali[8]. Można tu dostrzec prawdziwe kulturowe pochodzenie komunistycznego społeczeństwa. Trudno byłoby znaleźć coś bardziej odległego od socjalizmu, tak jak go sobie wyobrażała reszta świata. Partyjni bonzowie traktowali państwo jak swoją prywatną własność, na modłę średniowiecznych baronów, a szarych obywateli – jak niewolników w swoich lennach. Rządzącą elitę dzieliła od mas głęboka przepaść. Istnienie „dwóch narodów" było rzeczywistością.

* * *

Skutki emocjonalne tej społecznej schizmy były naprawdę dalekosiężne. Pewien socjolog porównał polskie społeczeństwo do pary małżonków, która nawet po rozwodzie musiała dalej mieszkać w jednym domu. Jeśli mieli uniknąć niekończących się kłótni i ciągłego piekła, konieczny był jakiś rodzaj umowy społecznej, a przynajmniej zawieszenia broni. Porównanie jest przekonujące, dopóki się nie zastanowić, jaka logika nakazywała im przymus tego wspólnego mieszkania. Jeśli wziąć pod uwagę ich interesy, można by nie bez powodu rozważyć separację. Przymusowe małżeństwo nigdy przecież nie było związkiem zawartym z prawdziwej miłości. A upierać się przy mieszkaniu razem na zawsze, bez względu na ludzkie uczucia, oznaczało prowokowanie tragedii, która w końcu musiała się wydarzyć.

Osiodłane przez swój panujący establishment polskie społeczeństwo reagowało jednak z niezwykłą powściągliwością. Chociaż przemoc mogłaby być odpowiedzią zdesperowanego narodu na przemoc władz, trzydzieści trzy miliony ludzi nie obróciły się w gniewie przeciwko trzem milionom żyjących wśród nich biurokratów. Mimo powtarzających się starć – w latach 1956, 1968, 1970, 1976 i 1980–1981 – lista ofiar najprawdopodobniej nie przekroczyła pięciuset czy sześciuset

[8] Hasło „Nomenklator" w: *Wielka encyklopedia powszechna*, Warszawa 1966, t. 7, s. 822; cyt. w Ito, dz. cyt., s. 50. Zarówno *WEP*, jak i *Encyklopedia powszechna PWN*, Warszawa 1975, t. 1–4, pomija znaczenia hasła „Nomenklatura", nawet jako terminu naukowego odnoszącego się do klasyfikacji gatunków biologicznych. Zob. *Wielka ilustrowana encyklopedia powszechna*, Kraków 1892–1914, t. 11, i *Słownik języka polskiego*, wyd. J. Karłowicz i in., Warszawa 1904, t. 3, s. 405.

osób w ciągu 36 lat; to bardzo smutna liczba, ale według norm panujących w innych częściach świata bynajmniej nie ogromna. Ktoś, kto zamierza powtarzać odwieczne oszczercze pomówienia Polaków o to, że są narodem wichrzycieli skłonnych do politycznego samobójstwa, powinien przyjrzeć się historii. Istniały oczywiście powody po temu, aby pokolenie powojenne zachowywało powściągliwość. Wpływ Kościoła na masy był bardzo silny, a Kościół konsekwentnie zalecał chodzenie drogą duchowego cierpienia zamiast ścieżkami zemsty. Warstwy ludzi wykształconych, które znacznie się rozrosły, miały tradycyjną pociechę w postaci literatury narodowej, z jej gotowym do użytku światem marzeń czekającym na pragnących ucieczki; był też pełen życia świat polskiej sztuki – od awangardowego teatru po scenę muzyczną, bardzo kompetentny i bardzo zróżnicowany. Szczególnie lata powojenne pełne były różnego rodzaju przełomowych wydarzeń. Nawet gdyby Polska prowadziła spokojną egzystencję, trzeba by dziesiątków lat, żeby się podnieść po straszliwych cierpieniach i przelewie krwi z okresu II wojny światowej; tym, którzy przeżyli, nie było jednak dane szybko odzyskać stabilizację. Plany przesiedleńcze z lat 1945–1947 zapędziły miliony ludzi do miast i województw, w których byli zupełnie obcy. Projekty masowego uprzemysłowienia w ramach planu sześcioletniego z lat 1950–1955 i następnie planów pięcioletnich spowodowały jeszcze potężniejszy zalew milionów ludzi, napływających do nowych miast i fabryk z okręgów wiejskich. W ciągu ćwierćwiecza, jakie minęło od 1945 roku, społeczeństwo w przeważającej części rolnicze zostało przekształcone w społeczeństwo w przeważającej części miejskie: mieszkańcy miast stanowili w 1971 roku 52 procent, i to w czasie gdy bezprecedensowy powojenny przyrost ludności wzrósł do 30,7 promila, wypełniając polskie domy dziećmi. Innymi słowy, typowa polska rodzina w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych składała się z dwojga młodych rodziców, pracujących do późnych godzin za marne wynagrodzenie i zmagających się – bez pomocy dziadków – z wychowaniem dwójki lub trójki małych dzieci w ciasnym i zagraconym mieszkaniu w na wpół wykończonym bloku, w nowym mieście lub na nowym przedmieściu, gdzie zdążyli się zaledwie trochę zaaklimatyzować. Była to sceneria odpowiednia nie dla skarg i buntów, lecz dla bohaterskiej walki o przetrwanie. Dopiero w latach siedemdziesiątych, kiedy zaludniono ponownie Ziemie Odzyskane, kiedy spadł przyrost naturalny i zmniejszył się napływ ludności do miast, a wzrost wynagrodzeń przyniósł okres względnego dobrobytu, powojenne pokolenie mogło się zastanowić nad swoim trudnym położeniem. Dopiero pod sam koniec tego okresu, kiedy nadszedł

gwałtowny kryzys gospodarczy, zdało sobie sprawę, jak wiele z jego poświęceń poszło na marne.

Trzeba także wziąć pod uwagę przytłaczające poczucie bezradnej zależności, które zwykli ludzie odczuwali w stosunku do komunistycznego państwa i jego partyjnych szefów. We wszystkich głównych sektorach zatrudnienia państwo to było monopolistycznym pracodawcą. Było właścicielem wszystkich zakładów produkcyjnych, wszystkich usług, całego transportu, wszystkich urzędów administracyjnych. Co gorsza, ci sami partyjni bonzowie, którzy kierowali miejscami zatrudnienia, kontrolowali także dostęp do mieszkań i oświaty, system emerytur i ubezpieczeń oraz różnych służb społecznych; milicję, która sprawowała nadzór nad obowiązkowym meldunkiem; sądy, w których teoretycznie można było wydawać wyroki we wszystkich wątpliwych sprawach. Pojedynczy robotnik miał niewielkie szanse obrony przed tak potężnie skoncentrowaną władzą społeczną. W starych złych czasach przedwojennych, kiedy okrutni dziedzice i młynarze o sercach z kamienia sprawowali analogiczne monopole, zniechęcony robotnik mógł przynajmniej pójść sobie i poszukać pracy gdzie indziej. Za komunistów nie miał nawet takiej możliwości. Bo w innym mieście, w innym województwie znalazłby dokładnie taką samą organizację partyjną, te same kierowane przez partię związki, tę samą milicję prowadzącą te same rejestry miejsc zamieszkania, miejsc zatrudnienia i wykroczeń. Krótko mówiąc, musiał przy każdej okazji zginać kark przez partyjnymi władzami albo ryzykować, że zostanie pozbawiony już nie tylko środków do życia, ale także wszystkich innych dóbr socjalnych. Za zdenerwowanie majstra czy narażenie się dyrektorowi on i jego rodzina mogli z dnia nadzień zostać wypchnięci poza granice prawa. A gdy już ktoś raz dostał „wilczy bilet", mógł zacząć swobodnie przemierzać lasy niby ścigane zwierzę. Stawał się pariasem. Liczba zawodów, w których można było pracować na własny rachunek, była w Polsce bardzo ograniczona. Istniała pewna liczba wykwalifikowanych rzemieślników – zegarmistrzów, mechaników samochodowych; pewna liczba punktów detalicznej sprzedaży – małych prywatnych restauracyjek i stoisk z pamiątkami, byli prywatni artyści – pisarze, malarze, rzeźbiarze, muzycy; byli słynni „badylarze", którzy często popisywali się swoim bogactwem. Poza nimi, jeśli ktoś szukał niezależności, miał niewielki wybór: wstąpić do zakonu albo zająć się uprawą ziemi. Ale nawet w swoich własnych gospodarstwach chłopi żyli w strachu przed urzędnikiem państwowej registratury, państwowej komisji cen, urzędu podatkowego czy kierownika państwowego parku maszyn rolniczych lub państwowego magazynu. W najlepszym położeniu byli zapewne tak zwani chłopo-

robotnicy, którzy starali się zachować rodzinną działkę, nie tracąc jednocześnie pracy w fabryce. Wiele takich rodzin, żyjąc na obrzeżach wielkich rejonów przemysłowych, piekło dwie pieczenie przy jednym ogniu: wysoki dochód w gotówce przez cały rok, własnoręcznie wyhodowana tania żywność, plus niezależna baza materialna. Dobrze im się powodziło i byli względnie bezpieczni.

Jednak w ostatecznym rozrachunku w komunistycznym społeczeństwie nikomu nie udało się uniknąć tyranii niewymienialnej waluty. Ci sami partyjni planiści, którzy ustalali wysokość zarówno płac, jak i cen, a wobec tego także wysokość stopy życiowej, zadekretowali, że ani jedna polska złotówka nie ma trafić do zagranicznego obiegu i podlegać swobodnej wymianie. Władze państwowe kupowały pracę robotników za miękką walutę – za złotówki, natomiast owoce tej pracy mogły swobodnie sprzedawać na światowych rynkach za twardą walutę – dolary, niemieckie marki, funty szterlingi czy jeny. W ten sposób władze określały nie tylko oficjalny kurs walutowy, którym dawało się w nieograniczony sposób manipulować, ale także realny koszt siły roboczej. Górnikowi ze Śląska, którego węgiel eksportowano do Niemiec Zachodnich za zachodnie marki, nie płacono w walucie łatwo wymienialnej na te marki. Nawet gdyby harował przez pięćdziesiąt lat, nie uzbierałby dość, aby zamówić sobie w Niemczech volkswagena w zamian za wydobywanie Niemcom węgla. Polskim robotnikom płacono w walucie, za którą można było kupować wyłącznie towary wyprodukowane, wycenione i rozprowadzane przez państwo. Krótko mówiąc, stali się oni ofiarami masowego oszustwa polegającego na tym, że płacono im nie prawdziwymi pieniędzmi, lecz bonami, za które mogli kupować w przyfabrycznym sklepie. Jeśli wierzyć podręcznikom, system „bon za pracę" był jednym z najobrzydliwszych nadużyć wczesnego kapitalizmu. W Anglii odrzucono go jako bezzasadną formę wyzysku: parlament zniósł go na mocy ustawy *Truck Act* z 1831 roku. Był natomiast jednym z filarów polityki płacowej krajów komunistycznych. Kiedy za czasów Solidarności śląscy górnicy ośmielili się zażądać, aby wypłacano im wynagrodzenie nie w złotówkach, lecz w dolarach, była to bardzo praktyczna propozycja. Ale jednocześnie stanowiła wyzwanie dla samych fundamentów ustroju, który wykorzystywał swoich pracowników niemal w każdej dziedzinie.

Mimo to Solidarność nie zdecydowała się realizować swoich celów gwałtownymi czy drastycznymi środkami. Od samego początku widziała swoje działania jako „samoograniczającą się rewolucję" w pełni odpowiadającą ograniczeniom wynikającym ze szczególnej sytuacji politycznej w Polsce. Trzymała się z daleka od interesów sowieckich, gwarantując

na przykład, że linie łączności ZSRR z Niemcami Wschodnimi nie zostaną ani razu przerwane. W ramach pierwszych porozumień przyjmowała „wiodącą rolę" partii. Po upadku dawnej Centralnej Rady Związków Zawodowych (CRZZ) w grudniu 1980 roku nie starała się utworzyć dla siebie podobnej monopolistycznej instytucji, pozwalając na powstanie konkurencyjnych wobec niej innych zdominowanych przez partię związków zawodowych – Branżowych Związków Zawodowych (BZZ) i Autonomicznych Związków Zawodowych (AZZ). Podobnie w kręgach akademickich nowy prosolidarnościowy Niezależny Związek Studentów (NZS) zaczął działać niezależnie od dotąd monopolistycznego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich (SZSP). Solidarność wiejska istniała obok mniejszych, rywalizujących z nią organizacji na terenach wiejskich. Na początku Solidarność nie wykazywała zainteresowania istotną kwestią samorządności, której nie było na liście 21 postulatów wynegocjowanych w Gdańsku. To rządowy plan reform gospodarczych, przedstawiony w styczniu 1981 roku, zawierał pierwsze propozycje w sprawie samorządu. Jak można było przewidzieć, proponowano nie tyle kontrolę, ile „udział" robotników. W tamtym czasie Solidarność nie zadbała o odpowiedź. Ale w marcu spontaniczne powstanie rad pracowniczych w zakładach pracy i utworzenie odrębnej sieci lokalnych przyzakładowych organizacji oznaczało postęp w sprawie, a w maju narodowe kierownictwo Solidarności przyjęło w zasadzie ideę samorządu pracowniczego. Trwały lokalne rozgrywki sparringowe, brak było jakiegokolwiek ogólnego kompromisu, odwrót partii przyspieszał, i – wbrew sobie – Solidarność została zapędzona na święte terytorium nomenklatury. Na wiosnę wolne wybory na wyższych uczelniach przyniosły plon w postaci bezpartyjnej kadry dziekanów i rektorów. W Bielsku-Białej skorumpowanego wojewodę przepędzono w wyniku nieoficjalnego strajku połączonych załóg. W lipcu cały personel Polskich Linii Lotniczych LOT, łącznie z wewnętrzną organizacją partyjną, rozpoczął strajk w proteście przeciwko narzuceniu mu przez ministerstwo oficera wojsk lotniczych jako zwierzchnika ich demokratycznie wybranego prezesa. W sierpniu w wyniku referendum w ogromnej Hucie Katowice usunięto mianowanego przez wyższe instancje dyrektora, który zamknął zakładową gazetę. W październiku w fabryce Ponar w Żywcu ustanowiono groźny precedens, głosując za usunięciem z terenu zakładów całej organizacji partyjnej. Wciąż jednak nie było żadnych sygnałów ze strony rządu. Zatwardziali partyjniacy upierali się przy zasadzie „wszystko albo nic" i blokowali wszelkie gesty zmierzające do ustępstw i wszystkie jasne deklaracje na temat oficjalnej polityki. Rosnący chaos bardzo sprzyjał ich celom. Stanowił pa-

rasol dla zamachu stanu, do którego przygotowania postępowały z dnia na dzień. A Solidarność, doprowadzona do rozpaczy, ani razu nie sięgnęła po środki przemocy.

Kościół też skwapliwie szukał kompromisu. Kardynał Wyszyński z radością powitał narodziny Solidarności i udzielił jej swojego błogosławieństwa, ale pomógł też partii w czasie jej niedoli. W pełnych napięcia sierpniowych dniach 1981 roku, kiedy apele pierwszego sekretarza Gierka nie znalazły posłuchu, właśnie wyważone słowa prymasa uspokoiły nastroje ludzi. Po tym istotnym przekazie Kościołowi przyznano prawo nadawania w telewizji niedzielnej mszy, o co od dawna się ubiegał, a co partia konsekwentnie blokowała od chwili przejęcia telewizji publicznej w 1956 roku. (Podobnej prośby Solidarności o własny cotygodniowy program telewizyjny nigdy nie uwzględniono). Związki Kościoła z Solidarnością były bardzo bliskie. Sam Wałęsa demonstracyjnie podkreślał swoją katolickość we wszystkim, co robił. Porozumienia Gdańskie podpisywał ogromnym długopisem ozdobionym portretem papieża Jana Pawła II. Wśród jego bezpośrednich doradców było wielu wybitnych katolików – na przykład Tadeusz Mazowiecki, swego czasu redaktor naczelny katolickiego pisma „Więź" i redaktor własnego tygodnika związku Solidarność. Złożył papieżowi żywiołowy hołd podczas bardzo nagłośnionej wizyty w Rzymie w styczniu 1981 roku. Jednocześnie Kościół starał się nie odcinać nici porozumienia z partią. Jest rzeczą bardzo istotną, że papież przyjął szlagierowe hasło „Odnowa", które było w tym czasie głównym sloganem partii. Następca kardynała Wyszyńskiego Józef Glemp dążył do tych samych celów, choć nie zawsze tak samo pewnie. Pierwsza reakcja Glempa na grudniowy zamach stanu, która zdaniem niektórych brzmiała jak błaganie o pokój za wszelką cenę, została przeformułowana w późniejszych oświadczeniach. Osobiste konsultacje prymasa u papieża i u następcy Wojtyły w Krakowie, kardynała Franciszka Macharskiego, niewątpliwie pomogły przywrócić równowagę. Kościół tęsknił do społecznej zgody i pojednania. Był przeciwny wszelkim pomysłom obalenia państwa przy użyciu siły. Ale jako strażnik sumień narodu nie mógł przypieczętować zgody na reżim, który przed rokiem 1980 z takim cynizmem wykorzystywał naród, a w grudniu 1981 tak brutalnie go zaatakował.

W latach 1980–1981 między komunistycznym establishmentem i resztą narodu w każdej niemal sprawie, która stawała się przedmiotem dyskusji, otwierała się głęboka przepaść. Mało entuzjastyczny ateizm partii zgrzytał w zetknięciu z pobożnością katolickiego narodu; jego leninowska autokracja zgrzytała w zderzeniu z żywiołowo chaotyczną demokracją zgromadzeń Solidarności. Wyzwaniem dla poglądu partii na

edukację jako na boisko treningowe dla posłusznych robotów były żądania nieograniczonego dostępu do wiedzy i harmonijnego rozwoju osobowości. Jej wizja historii Polski jako bohaterskiego marszu klasy robotniczej ku nieuchronnemu stworzeniu Rzeczypospolitej Ludowej ostro kontrastowała z powszechną świadomością następujących po sobie nieszczęść i ucisku. Partyjne media nadal pokazywały stare wojenne filmy i wydawano wyświechtane książki o walce narodu z faszyzmem; dziesiątki tysięcy ludzi słuchało organizowanych przez Solidarność wykładów o wszystkim, o czym mieli prawo usłyszeć: o cudzie nad Wisłą, o Józefie Piłsudskim, o masakrze w Katyniu, o powstaniu warszawskim. Pogląd na sztukę jako na nośnik oficjalnej kultury, pogląd na sport jako na sposób dowodzenia wyższości socjalizmu, pogląd na turystykę i podróże zagraniczne jako na działalność grupową podejmowaną w oficjalnie akceptowanych celach – wszystko to w najmniejszym stopniu nie przypominało społecznej idei wolności wypowiedzi. W niemal każdej sprawie roszczenia partii okazywały się pozorne, podczas gdy ludzie chcieli czegoś, co byłoby autentyczne. Partia głosiła, że jest „demokratyczna", „socjalistyczna" i „patriotyczna", a jej członkowie wywodzą się spośród „najwartościowszych przedstawicieli klasy robotniczej". Ludzie natomiast żądali prawdziwej demokracji, prawdziwego socjalizmu, prawdziwego patriotyzmu i prawdziwej reprezentacji.

Na tle tych konfliktów moralne wymiary tragedii Polski uwidoczniały się z całą wyrazistością. Nie chodzi o to, że Polacy są z natury bardziej wrażliwi na kwestie moralne niż inne narody, a jeszcze mniej o to, że ich postępowanie jest w jakimś stopniu lepsze pod względem moralnym. Bynajmniej. Jeśli już, to stresy i napięcia związane z życiem w Polsce zaowocowały wyższą proporcją moralnych porażek, drobnej przestępczości i społecznego zła niż w innych, szczęśliwszych krajach. Ale to jest dopiero stwierdzenie istnienia problemu. Obywatele kraju, w którym tak wielka była rozbieżność między wartościami moralnymi wyznawanymi przez społeczeństwo i wartościami propagowanymi przez monopolistyczne państwo, musieli być poddawani ogromnym moralnym naciskom. W komunistycznym państwie trzeba było mieć niezwykle mocny charakter, żeby zachować lojalność wobec przyjaciół i norm wychowania kosztem kariery, aby się powstrzymać od podkradania państwowego mienia (a pod tym względem partia dawała naprawdę piękny przykład), aby odrzucić przyjęte normy nagminnego pijaństwa i alkoholizmu. Na każdym rogu czekała pokusa, aby uzyskać awans, donosząc na kolegów, przezwyciężyć braki na rynku mieszkaniowym, dając łapówkę kierownikowi państwowej budowy, czy poddać się rozpaczy nad butelką wódki.

Nawet wielbiciele Polski muszą przyznać, że wszystkie drobniejsze formy nieuczciwości, przekupstwa i braku odpowiedzialności społecznej można było spotkać dosłownie wszędzie. W takiej obezwładniającej atmosferze uczciwemu człowiekowi nie było łatwo wiedzieć, wobec czego i kogo powinien zachować lojalność. Jeśli ojciec rodziny chciał jej zapewnić lepsze warunki życia, wiedział, że może to zrobić, wstępując do partii i zapominając wszystko, czego jego pobożna matka nauczyła go o duszy i sumieniu. Jeśli żona chciała pomóc mężowi, wiedziała, komu ma się przypochlebić. Jeśli nauczyciel chciał zachować pracę, musiał przekazywać informacje, o których wiedział, że są nieprawdziwe, albo to, co wiedział, zatrzymać dla siebie. Jeśli student chciał zdać egzaminy, musiał ograniczyć komentarze do tego, co jego egzaminatorzy mieli prawo zaakceptować. Jeśli robotnik czuł, że ma ochotę zrobić coś ponad wyznaczone minimum, musiał się pogodzić, że płynąca z tego tytułu korzyść wzbogaci nie jego, lecz majstra lub dyrektora fabryki. Jeśli funkcjonariusz partyjny wstąpił do partii ze szczerym zamiarem służenia swoim towarzyszom i ideałom, musiał się zdecydować na odrzucenie wszelkiego wyrażania owych ideałów w interesie dyscypliny partyjnej. Cóż za okrutny świat! Komu więc należało wierzyć? W niektórych dyktaturach, gdzie wszystkie kanały informacyjne są skutecznie kontrolowane lub gdzie osiągnięto zgodę społeczną, ludzie nie cierpią aż tyle z powodu agonii ścierających się ze sobą władz. Ale w Polsce, gdzie Kościół mówił jedno, a państwo mówiło drugie, gdzie babka w domu nieodmiennie mówiła co innego niż nauczyciel w szkole, gdzie rodzice ukrywali przed dziećmi poglądy swoich zwierzchników, każdemu przypominano o tym, co złe, a co dobre, częściej i z większą siłą. Z powodu tragicznych losów swojej ojczyzny Polacy stawali w obliczu liczniejszych moralnych wyborów, i to stawali drastyczniej nie tylko w porównaniu z obywatelami krajów demokratycznych – którzy się na ogół zdają na własne sumienie – ale także w porównaniu z obywatelami innych państw komunistycznych. Moralna agonia Polski brała się nie tyle z samej komunistycznej dyktatury, ile z faktu, że sowiecka odmiana komunizmu była pomyślana tak, aby oderwać Polskę od wszystkich najcenniejszych dla niej wartości i tradycji. I to niewątpliwie dlatego Polska zrodziła tak wielu oszustów i łajdaków, a z drugiej strony – najwspanialszych ludzi, jakich można było mieć nadzieję spotkać na swojej drodze.

Skala emocji rozbudzonych przez tragedię Polski przebiegała od gniewu i frustracji do cynizmu i rozpaczy. Polacy musieli patrzeć, jak ich kraj jest bez żadnego powodu rozrywany na kawałki, a ich nadzieje raz za razem zostają rozwiane. Dostali się pod rządy przywódców nie cieszących

się dobrą sławą. Żyli w coraz większej nędzy mimo bogatych zasobów ludzkich i naturalnych. Godzinami stali w kolejkach po codzienny chleb. Po czterdziestu latach morderczej odbudowy patrzyli, jak ich ojczyzna bankrutuje. Raz jeszcze musieli słuchać dowcipów o *polnische Wirtschaft*, o chaotycznej polskiej gospodarce i zastanawiać się, czy naprawdę są aż tak niekompetentni, jak utrzymują ich superwydajni niemieccy sąsiedzi. Cierpieli poniżenie jako adresaci obcej pomocy charytatywnej – jak najuboższe kraje Azji czy Afryki – a co najgorsze, winą za ten stan rzeczy obarczano ich samych. Jedyna możliwa odpowiedź na pytanie, dlaczego Polska musiała znosić takie poniżenia, brzmi, że wymagały tego interesy sowieckie. Istotą nowożytnych doświadczeń Polski było upokorzenie.

ROZDZIAŁ 2

DZIEDZICTWO KLĘSKI

Doświadczenia wojenne Polski, 1939–1947

2078 dni i potem

W splocie wielkich łańcuchów wydarzeń, które sprawiły, że II wojna światowa rozszerzyła się na wszystkie kontynenty świata, poza Antarktyką, łatwo było stracić z oczu jej polską uwerturę. Brytyjskim żołnierzom na pustyniach Afryki Północnej i w birmańskiej dżungli, amerykańskim oddziałom piechoty morskiej na wzgórzach Iwo Jimy czy Rosjanom wśród ruin Stalingradu niełatwo byłoby sobie wyobrazić, że walczą – między innymi – o losy Polski. Tymczasem Polska była pierwszym ogniwem pierwszego łańcucha, a sprawa jej niepodległości nigdy nie spadła z agendy wojennych celów aliantów. Po krótkiej kampanii z września 1939 roku ambicje państw Osi zaczęły się oczywiście rozszerzać, obejmując coraz rozleglejsze obszary stref wojennych – w Europie Zachodniej, w rejonie Morza Śródziemnego i w Azji Południowo-Wschodniej. Po utworzeniu w roku 1941 Wielkiej Koalicji, złożonej z Wielkiej Brytanii, USA i ZSRR, uwaga skupiła się na potężnych wojennych zmaganiach w Rosji i na zachodnim Pacyfiku. Dla całej koalicji państw sojuszniczych sprawą najważniejszą było teraz zmuszenie hitlerowskich Niemiec i cesarstwa Japonii do bezwarunkowej kapitulacji. Natomiast dla Polaków taką najważniejszą sprawą była nadal przyszłość ich własnego kraju. Przez blisko sześć lat Polacy walczyli, ginęli i czekali w nadziei, że z plątaniny sprzecznych roszczeń i interesów wydobędą i odzyskają tę samą niepodległą Rzeczpospolitą, którą im tak brutalnie zniszczono na początku wojny w 1939 roku.

Czas wojny trwał w Polsce dłużej niż w jakimkolwiek innym kraju Europy (z wyjątkiem Niemiec). Między początkiem ataku hitlerowskich Niemiec o świcie 1 września 1939 roku a ostateczną kapitulacją hitlerowskiej Rzeszy w dniu zwycięstwa 9 maja 1945 roku ciągnęło się długie pasmo ponad dwóch tysięcy dni przemocy i cierpienia. W stosunku do swych rozmiarów Polska poniosła o wiele większe zniszczenia i straty w ludziach niż jakikolwiek inny kraj na świecie.

Strata ponad sześciu milionów obywateli oznaczała – wobec całkowitej liczby ludności, która w 1939 roku wynosiła trzydzieści pięć

milionów – 18 procent; w USA było to 0,2 procent, w Wielkiej Brytanii 0,9 procent, w Japonii 2,5 procent, w Niemczech 7,4 procent, w Jugosławii 11,1 procent, a w ZSRR 11,2 procent. Polska stała się polem śmierci Europy, nową Golgotą. Ale nawet w 1945 roku pokój nie został w pełni przywrócony. Walki w lasach trwały jeszcze przez dwa lata. Ostatni strzał odbił się w Polsce echem wojny dopiero w lecie 1947 roku.

Przez cały czas tej długiej agonii trudne położenie Polski określał w znacznym stopniu charakter relacji między jej dwoma potężnymi sąsiadami. Kiedy Niemcy zdobyły przewagę nad Rosją, Polska popadła w hitlerowskie jarzmo. Kiedy Rosja zdobyła przewagę nad Niemcami, Polska popadła w jarzmo sowieckie. Kiedy Niemcy i Rosja postanowiły ze sobą współpracować, co nastąpiło podczas dwóch pierwszych lat wojny, Polska dostała się pod władzę podwójnej tyranii.

1. Okres paktu hitlerowsko-sowieckiego, 1939–1941

Wybuch wojny stał się możliwy dzięki tajnemu protokołowi do paktu o nieagresji, zawartego między hitlerowską Rzeszą i Związkiem Sowieckim, podpisanego w Moskwie przez Ribbentropa i Mołotowa 23 sierpnia 1939 roku. Na mocy protokołu obie układające się strony przewidywały wspólny atak na Polskę i kraje bałtyckie oraz podział między siebie ich terytorium[1]. Nie mając pewności co do zmowy z Sowietami, Wehrmacht nie mógłby zaryzykować jednostronnego ataku na Polskę. Bez względu na to, jakie były w tym czasie motywy Stalina, ponosił on odpowiedzialność za wybuch wojny w stopniu nie mniejszym niż Hitler.

Kampania wrześniowa w Polsce była zajadła, ale krótkotrwała. Oderwane od bezpośredniej pomocy swoich francuskich i brytyjskich sojuszników, otoczone z trzech stron przez siły niemieckie w Prusach Wschodnich i na Słowacji, a także na zachodniej granicy, w obliczu sił znacznie przeważających pod względem liczby żołnierzy i wyposażenia, Wojsko Polskie nie mogło mieć zbytnich nadziei na zwycięstwo. Zagrożone także – jak się okazało – przez sowiecką Armię Czerwoną na wschodzie nie mogło mieć szans nawet na dłuższy opór. A mimo to polskie wojsko dobrze się

[1] *Nazi-Soviet Relations, 1939–1941: Documents from the Archives of the German Foreign Office*, red. Raymond James Sonntag, James Stuart Beddie, Washington 1948, s. 38. Pominięcie tego i innych podobnych dokumentów w serii zatytułowanej *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, t. 7, Warszawa 1973, wydanej równocześnie w Moskwie i w Warszawie, jest jednym ze skandali historiografii ostatniego okresu.

spisało. Z nawiązką wypełniło swój pierwszy cel, jakim było powstrzymywanie pochodu Wehrmachtu przed dwa tygodnie – do czasu, kiedy Francja zmobilizuje swoje siły na Linii Maginota i rozpocznie inwazję w Nadrenii. W wielu miejscach – na Westerplatte w pobliżu Gdańska, podczas dziewiętnastodniowego oblężenia Warszawy czy w zaczepno-obronnej bitwie pod Kutnem walczyło umiejętnie i bohatersko. Barwne opowieści o wymachujących szablami kawalerzystach pędzących do ataku na stalowe kadłuby niemieckich czołgów nie oddają Polakom sprawiedliwości. Polacy zadali Wehrmachtowi 50-tysięczne straty i wciąż jeszcze zaciekle walczyli, gdy 17 września wkroczenie Rosjan ostatecznie przypieczętowało ich los. Ich osiągnięcia były z pewnością bardziej godne uznania niż zasługi wojsk brytyjskich i francuskich, którym osiem miesięcy później przyszło stawić czoło niemieckiemu blitzkriegowi. Tymczasem we wrześniu zachodni sojusznicy nie oddali w obronie Polski ani jednego strzału. Ostania walcząca polska jednostka skapitulowała 6 października pod Kockiem.

W wyniku kampanii wrześniowej cała Polska dostała się pod okupację wojsk hitlerowskich i sowieckich. Polski rząd i Naczelne Dowództwo schroniły się w Rumunii, a 30 września za granicą ukonstytuował się nowy rząd pod przywództwem generała Sikorskiego – najpierw we Francji, a potem w Londynie. Na zachód od hitlerowsko-sowieckiej linii demarkacyjnej na Bugu i Sanie Niemcy ustanowili Generalne Gubernatorstwo z siedzibą władz w Krakowie. Liczne okręgi przedwojennej Polski – Suwałki, Pomorze, Wielkopolskę, Górny Śląsk – wcielono bezpośrednio do Rzeszy. Na wschód od linii demarkacyjnej, w zachodniej Białorusi i na zachodniej Ukrainie władze sowieckie zaaranżowały fikcyjny plebiscyt, aby dowieść, że ludność chce przyłączenia do ZSRR. Okręg wileński wspaniałomyślnie przekazano Litwie, w przewidywaniu mającego nastąpić tam za osiem miesięcy najazdu Armii Czerwonej. Polskę sprawnie poddano rozbiorowi. W opinii zdobywców, którą tak trafnie wyraził sowiecki komisarz spraw zagranicznych Mołotow, „przestała istnieć". Ukoronowaniem układów był niemiecko-sowiecki traktat przyjaźni z 28 września 1939 roku, który przewidywał także wspólną akcję przeciwko spodziewanemu polskiemu ruchowi oporu[2].

W tym okresie bliskiej współpracy między hitlerowcami i Sowietami obaj partnerzy stosowali wobec swoich polskich podopiecznych podobną

[2] *Niemiecko-sowiecki traktat o granicach i przyjaźni*, Moskwa, 28 września 1939, z dodatkowymi protokołami. Zob. *Documents Relating to Polish-Soviet Relations, 1939–1945*, Instytut Sikorskiego, Londyn 1961, t. 1, nr 52–55, i *Documents on German Foreign Policy*, t. 8, nr 157–160.

politykę. Obie strony dopuszczały się straszliwych okrucieństw. Niemcy w samej tylko Bydgoszczy rozstrzelali 20 000 zakładników spośród cywilnej ludności i spalili synagogi; Rosjanie dokonali masakry na więźniach obozu NKWD w Winnicy. Obie strony poddawały ludność policyjnej kontroli i rejestracji, segregując mieszkańców według skali określającej, jak bardzo są niepożądani. Gestapo trzymało się wytycznych w sprawach rasy, wysyłając około dwóch milionów polskich Żydów do zamkniętych *Reservaten,* czyli gett, a ludność aryjską dzieląc na *Reichsdeutschów* (obywateli niemieckich urodzonych w Rzeszy), *Volksdeutschów* (osoby narodowości niemieckiej) i *Nichtdeutschów* (wszystkich pozostałych). W Nadzwyczajnej Akcji Pacyfikacyjnej (*AB-Aktion*) z 1940 roku około 15 000 polskich księży, nauczycieli i przywódców politycznych wywieziono do Dachau lub rozstrzelano między innymi w Palmirach. Podejmowano pierwsze doświadczenia z eutanazją, selekcją dzieci do programów zachowania czystości rasy, organizacją pracy niewolniczej, komorami gazowymi. Trzymając się własnych reguł, opartych na własnym pojęciu analizy klasowej, NKWD wytypowało około dwóch milionów ludzi z przygotowaniem zawodowym lub piastujących przed wojną posady państwowe do przymusowej wywózki. Obie strony dokonały aresztowań, wsadzając za kraty wiele tysięcy więźniów politycznych, i wymieniając ich, kiedy im to było na rękę. Gestapo dostawało niemieckich „kryminalistów" i żydowskich agitatorów w zamian za komunistów i Ukraińców. Obie strony zajęły się handlem – rosyjska ropa popłynęła do Niemiec przez terytorium Polski, wspierając inwazję na Francję i bitwę o Wielką Brytanię. Obie strony z wielką ochotą dokonywały korekty granic – na przykład Sowieci kupili Suwałki – i z równie wielką niechęcią unikały mieszania się nawzajem w swoje wojenne eskapady. Hitler nie interweniował, kiedy Stalin dokonał inwazji na Finlandię, kraje bałtyckie i Rumunię. Stalin nie interweniował, kiedy Hitler podbił Danię, Norwegię, Holandię, Belgię, Luksemburg i Francję. Każda strona organizowała potężne kampanie propagandowe, wychwalając osiągnięcia drugiej. Obie strony z jednakowym zapałem starały się sprowadzić Polaków do pozycji narodu pozbawionego przywództwa i przyjaciół.

W gruncie rzeczy w świetle mającego nastąpić zwrotu w polityce można twierdzić, że na tym etapie terror sowiecki na wiele sposobów przewyższał terror hitlerowski. Reżim stalinowski miał nad hitlerowcami przewagę pod względem technik i logistyki terroru, ponieważ zbudował sobie potrzebną do tego machinę podczas wcześniejszych czystek we własnym kraju. W czasie gdy Niemcy wciąż jeszcze ulepszali przygotowania do uruchomienia Auschwitz i Treblinki, Sowieci mogli stosunkowo

łatwo pomieścić dodatkowe kilka milionów Polaków i mieszkańców zachodniej Ukrainy w swoim „archipelagu Gułag". Chociaż chętniej skazywali swoje ofiary na powolną śmierć z zimna i głodu, w odróżnieniu od hitlerowskich metod masowego mordu – a kto potrafiłby powiedzieć, co jest bardziej humanitarne? – skutki były mniej więcej takie same. Ocenia się, że spośród dwóch milionów polskiej ludności cywilnej, wywiezionej w arktyczne rejony Rosji, na Syberię i do Kazachstanu w straszliwych kolejowych konwojach z lat 1939–1940, przynajmniej połowa umarła w ciągu roku od aresztowania[3].

Zbrodnie sowieckie tego okresu symbolizuje budząca lęk nazwa „Katyń", która wywołuje tyle samo poczucia winy w Związku Sowieckim, co odrazy w świecie poza jego granicami. Las Katyński w pobliżu Smoleńska jest miejscem masowego grobu, w którym niemieccy śledczy odkopali w kwietniu 1943 roku ciała czterech i pół tysiąca polskich oficerów. Była to zaledwie część o wiele większej grupy ponad 20 000 polskich jeńców – oficerów, przedstawicieli różnych zawodów i rezerwistów, którzy zniknęli z sowieckich obozów wiosną 1940 roku i o ich losach nic nie było wiadomo. Byli to niemal bez wyjątku ludzie wykształceni w różnych zawodach – lekarze, urzędnicy państwowi, nauczyciele – każdy miał ręce związane na plecach i niemiecką kulę w potylicy. Sowieci oświadczyli, że zbrodnia została popełniona przez hitlerowców. Ale żaden bezstronny obserwator, który byłby gotów rozważyć oprócz znanych faktów także to, o czym świadczyły okoliczności, nie mógł na podstawie żadnych rozumowych przesłanek wątpić, iż odpowiedzialność ponoszą Sowieci. Możliwe, że tę zbrodnię zorganizowały NKWD i SS, w jakiś sposób ze sobą współpracując, co mogłoby wyjaśniać powściągliwość Związku Sowieckiego w wymienianiu Katynia na liście wielu innych „błędów" Stalina, do których się przyznano[4]. Mogło nawet być prawdą, że był to skutek jakiegoś straszliwego błędu biurokratycznego, co przy pewnej okazji sugerował Stalin. Ale reakcje Sowietów po wojnie nie budziły zaufania. Usunięcie Katynia z listy śledztw w sprawie zbrodni hitlerowskich podczas

---

[3] Anglojęzyczne pamiętniki Polaków deportowanych w latach 1939–1940 obejmują następujące pozycje: Anon., *The Dark Side of the Moon* (przedmowa T.S. Eliot), New York 1947; Maria Hadow, *Paying Guest in Siberia*, London 1959, i najbardziej wzruszający tekst, *War through Children's Eyes: The Soviet Occupation of Poland and Deportations, 1939–1940*, red. Irena Grudzińska-Gross, Jan Tomasz Gross, Stanford 1981. Zob. też Stanisław Skrzypek, *Rosja, jaką widziałem. Wspomnienia z lat 1939–1942*, Newton, Mon., 1949, i Maria Januszkiewicz, *Kazachstan*, Paryż 1981.

[4] Według postanowień niemiecko-sowieckiego traktatu o przyjaźni agentom Trzeciej Rzeszy wolno było działać na terytorium sowieckim (zob. przyp. 2).

procesów norymberskich, a także przedziwny wybór pobliskiej wsi Chatyń (*sic!*) na miejsce narodowego pomnika ofiar Białorusi wskazywały na skomplikowaną akcję maskującą. Tak długo jak zbrodnia w Katyniu pozostanie niewyznana, niewyjaśniona i nieodpokutowana, Polacy będą ją pamiętać jako symbol sowieckiego ucisku[5].

2. Wszechwładza hitlerowców, 1941–1943

Operacja „Barbarossa" – inwazja Hitlera na Związek Sowiecki – którą rozpoczęto z pozycji wojsk Wehrmachtu na terytorium Polski 22 czerwca 1941 roku, zakończyła pakt hitlerowsko-sowiecki jednym potężnym i zdradzieckim ciosem. W ciągu dwóch tygodni Niemcy przepędzili Sowietów z obszarów na wschodzie Polski i rozszerzyli swoje włości na tereny leżące w głębi Rosji. Przez następne dwa lata hitlerowcy trzymali całą wschodnią Europę w żelaznym uścisku, a potem powoli go zwalniali. Niemiecki Nowy Ład można było budować w Polsce bez poważniejszych trudności. Generalne Gubernatorstwo, powiększone teraz o dystrykt Galicja z miastem Lemberg (Lwów), miało służyć hitlerowcom jako główne laboratorium do przeprowadzania daleko idących eksperymentów społecznych.

Zgodnie z ogólnymi założeniami *Generalplan-Ost*, hitlerowcy planowali zmianę rozmieszczenia całej ludności zamieszkującej tereny między Odrą i Dnieprem. Zamierzano sprowadzić miliony niemieckich osadników. Polaków miano albo poddać germanizacji, tam gdzie to Niemcom odpowiadało, albo wysiedlić za Ural. Niedobitki Słowian miały się stać masą słabo wykształconych robotników, przeznaczonych do niewolniczej pracy. Ludzie bezużyteczni lub gorszego gatunku – Żydzi, Cyganie, krnąbrni jeńcy wojenni, niedorozwinięci umysłowo albo kalecy – mieli zostać wyeliminowani.

Z punktu widzenia Polaków w polityce Sowietów zaszła jedna zachęcająca zmiana. Po okresie współpracy z Hitlerem w niszczeniu wszystkiego, co polskie, Stalin zwrócił się do Polaków o utworzenie wspólnego frontu przeciwko Niemcom i zaproponował sojusz z Sikorskim. Stosunki dyplomatyczne nawiązano 30 lipca 1941 roku, a 12 sierpnia podpisano umowę wojskową. ZSRR zadeklarował gotowość utworzenia w Rosji

[5] Żaden z dokumentów dotyczących Katynia nie mówi tyle, ile pozbawiony komentarzy *Spis katyński* i związany z nim dokument *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów* z przedmową generała Władysława Andersa, wyd. 9, Londyn 1982.

Mapa 3. Okupacja niemiecka (1939–1945)

Wojska Polskiego, udzielenia amnestii wszystkim internowanym Polakom (za nigdy niepopełnione przestępstwa) i anulowania postanowień paktu Ribbentrop-Mołotow w sprawach dotyczących Polski. Moskiewska „Prawda" doniosła nawet, że zachodnia granica ZSRR, ustanowiona w 1939 roku w porozumieniu z Hitlerem, niekoniecznie jest granicą ostateczną. W każdej prostej kwestii dotyczącej relacji polsko-sowieckich nieustannie powstawały problemy – zwłaszcza związane z sytuacją Polaków na terenie Rosji, a w sprawie pytań o losy zaginionych 20 000 oficerów nie udzielano żadnych zadowalających wyjaśnień. Ale w szczytowym okresie arogancji Niemców w Polsce dla Polaków było teraz o wiele korzystniej walczyć tylko z jednym wrogiem niż z dwoma.

Niemieckie plany przesiedleń realizowano już na Pomorzu, skąd wysiedlono niemal 200 000 polskich chłopów, robiąc miejsce dla Niemców sprowadzanych z krajów bałtyckich. Teraz te same metody zaczęto stosować w centralnej Polsce, zwłaszcza w rejonie Zamościa. W latach 1942–1943 w samej tej okolicy opróżniono z mieszkańców ponad 300 wsi. 400 innych pozostało nietkniętych, ale tylko dlatego, że SS nie miało ludzi, którzy mogliby się tą sprawą zająć. Wypędzeniom towarzyszyły straszliwe akty okrucieństwa – podpalenia, bicie, rzezie. Dobrze znany los jednej czeskiej wsi Lidice, w której na rozkaz hitlerowców w akcji odwetowej zamordowano 143 mężczyzn, w Polsce powtarzał się setki razy.

Sieć hitlerowskich obozów koncentracyjnych rozprzestrzeniała się na całe Generalne Gubernatorstwo, gdzie SS i Gestapo mogły działać z całkowitą bezkarnością, poza prawem Rzeszy i poza wpływami Wehrmachtu w strefach wojskowych na linii frontu. Oprócz licznych obozów jenieckich, w których śmiertelność także była wysoka, istniały obozy karno-śledcze, obozy pracy różnych typów, a od roku 1941 – obozy śmierci. Do tej ostatniej kategorii należy zaliczyć Majdanek, Sobibór, Treblinkę, Bełżec, Chełmno i przede wszystkim Birkenau – rozszerzenie pobliskiego Auschwitz. Jedynym przeznaczeniem każdej z tych potężnych machin było zabijanie ludzi *en masse* jak najskuteczniejszymi metodami, a ich działalność wspierały ośrodki, w których na terenie całej Polski gromadzono więźniów. W porównaniu z nimi obozy koncentracyjne na terenie samej Rzeszy – w Dachau czy Buchenwaldzie – wypadały wręcz blado. Obozy śmierci stały się ostatnim miejscem pobytu dla być może dziewięciu lub dziesięciu milionów ludzi, z czego ponad połowę stanowili Żydzi, zwożeni na miejsce śmierci ze wszystkich zakątków okupowanej Europy. Za drutami kolczastymi obozów szalało wszelkiego rodzaju niewyobrażalne bestialstwo. Na zewnątrz, w polskich miastach i wsiach, hitlerowski terror sprawiał, że uliczne egzekucje, zbioro-

we akcje odwetowe i mordy popełniane dla czystej przyjemności stawały się codziennością[6].

Ostateczne rozwiązanie tak zwanego problemu żydowskiego to jedyny dokładnie zarejestrowany i udokumentowany element całego zestawu zbrodni przeciwko ludzkości popełnionych w wojennej Polsce[7]. Gdyby inne zbrodnie i akty ludobójstwa zostały równie dobrze poznane i upublicznione, świat byłby lepiej poinformowany. Ale choć to może się wydać dziwne, sama decyzja o rozpoczęciu ostatecznego rozwiązania, którą podjęto pod koniec 1941 roku, nigdy nie została dokładnie udokumentowana. Jej skutki były natomiast doskonale widoczne. Społeczność żydowska, którą od kilku lat izolowano w gettach, już i tak ginęła z powodu chorób, niedożywienia i głodu. Teraz ludzi ładowano do bydlęcych wagonów, wysiedlając ulicę za ulicą i miasto za miastem, i wysyłano do komór gazowych. Od przybycia kolejnego transportu na miejsce, gdzie więźniów rozbierano i „dezynfekowano", do pojawienia się członków specjalnego komanda, którzy obdzierali martwe ciała z włosów, wyciągali im z ust złote zęby i zdejmowali z nich biżuterię przy bramie krematorium, mijało zaledwie dwadzieścia minut. Materace wypchane ludzkimi włosami, nawóz z ludzkich kości i mydło z ludzkiego tłuszczu z pruską dokładnością przekazywano na potrzeby niemieckiego przemysłu. Do banków Rzeszy tonami wysyłano złoto. Ostatnie zlikwidowane getto w Litzmannstadt (w Łodzi) zostało opróżnione do sierpnia 1944 roku. A wtedy polskich Żydów praktycznie już nie było. Chociaż kilkaset tysięcy zbiegło do ZSRR, w Polsce ocaleli tylko ci, którzy albo się ukrywali w piwnicach i na strychach, albo żyli na fałszywych papierach w ciągłym strachu, że zostaną wydani.

W szczytowym okresie masowych mordów powstanie w ruinach warszawskiego getta w kwietniu 1943 roku dowiodło, że polscy Żydzi nie pójdą na śmierć niedoceniani i niepomszczeni. Jak mężna postawa ich przodków podczas ostatniej obrony Masady przed Rzymianami, tak bohaterstwo Żydowskiej Organizacji Bojowej było przykładem, któremu trzeba oddać cześć i szacunek. Garstka chłopców i dziewcząt uzbrojonych w pistolety, granaty i wyrzutnie bomb domowej produkcji przez trzy tygodnie stawiała opór brygadzie piechoty SS. Siedem tysięcy bojowników zginęło, mniej więcej tyle samo żywcem spłonęło w kryjówkach,

---

[6] Zob. Jan Tomasz Gross, *Polish Society under German Occupation, 1939–1944*, Princeton 1979; Janusz Gumkowski, Kazimierz Leszczyński, *Poland under Nazi Occupation*, Warszawa 1961.

[7] Zob. Yehudah Bauer, *The Holocaust in Historical Perspective*, London 1978.

pozostałe pięćdziesiąt sześć tysięcy wywieziono do Treblinki. Był to największy pojedynczy akt oporu do chwili wybuchu powstania warszawskiego piętnaście miesięcy później[8].

Często pada pytanie, dlaczego w godzinie nieszczęścia polskim Żydom udzielono tak niewiele pomocy. Pytanie to mogą zadać tylko ludzie, którzy nie mają pojęcia o sytuacji w okupowanej Polsce, mało przypominającej stosunkowo łagodne warunki panujące w okupowanej Danii, Francji czy Holandii. Antagonizmy między chrześcijanami i Żydami, które niewątpliwie w Polsce istniały, nie miały większego znaczenia. Segregację Żydów przeprowadzono zimą 1939–1940, i od tego czasu wszelkie kontakty między obydwoma społecznościami zostały zerwane. Polska ludność żyła w obliczu zagrożenia natychmiastową egzekucją całej rodziny osoby przyłapanej na ukrywaniu, żywieniu lub pomaganiu Żydom. W tym kontekście tak samo nie ma sensu pytać o to, dlaczego Polacy zrobili niewiele, aby pomóc Żydom, jak o to, dlaczego Żydzi nie zrobili nic, żeby pomóc Polakom[9].

W każdym razie polski ruch oporu z konieczności kształtował się powoli. Chociaż fundamenty pod zorganizowany podziemny ruch oporu zostały położone jeszcze przed końcem kampanii wrześniowej 1939 roku, cywilne i wojskowe odłamy ruchu zaczęły funkcjonować na szerszą skalę dopiero pod koniec roku 1942. W ramach ugrupowań wojskowych Armia Krajowa i jej główni sojusznicy – Bataliony Chłopskie (BCh) i nacjonalistyczna Narodowa Organizacja Wojskowa (NOW) – osiągnęły liczebność około 400 000 przeszkolonych i uzbrojonych żołnierzy – o wiele więcej niż jej komunistyczna rywalka, Gwardia Ludowa (GL). Rosnąca liczba zasadzek, akcji wysadzania pociągów i aktów sabotażu doprowadziła w swoim czasie do otwartych konfrontacji z niemieckimi oddziałami wojskowymi w okolicach wiejskich, gdzie kontrolę nad rozległymi wzgórzami i lasami sprawowali dowódcy partyzantów. W ramach ruchu oporu ze strony cywilnej pełnomocny delegat rządu polskiego koordynował działania przedstawicieli ugrupowań politycznych i kierował pracą agend działalności społecznej, oświatowej, propagandowej i wywiadowczej. Pol-

---

[8] Najwięcej informacji o życiu w warszawskim getcie zawiera *The Warsaw Diary of Adam Czerniaków, 1939–1942*, red. Raul Hilberg, Stanisław Staroń, Joseph Kermisz, New York 1979; o samym powstaniu w getcie zob. Leonard Tushnet, *To Die with Honour: The Uprising of the Jews of the Warsaw Rising*, New York 1965.

[9] *Righteous among Nations: How Poles helped the Jews 1939–1945*, red. Władysław Bartoszewki, Zofia Lewin, London 1959; Władysław Bartoszewski, *Warsaw Death Ring, 1939–1944*, Warszawa 1968; Kazimierz Iranek-Osmecki, *He Who Saves One Life*, New York 1971.

ska zorganizowała godne podziwu podziemne państwo funkcjonujące pod nosem okupantów. Kwitła podziemna prasa. Potrzebującym obywatelom udzielano pomocy w naturze lub w postaci podwójnych kartek żywnościowych. We wrześniu 1942 roku utworzono Radę Pomocy Żydom (RPŻ). Nauczanie w języku polskim, zabronione na poziomie powyżej szkoły podstawowej, prowadziła Tajna Organizacja Nauczycielska (TON). Zajęcia uniwersyteckie odbywano w ramach latającego uniwersytetu. Przyznawano stopnie naukowe. Podziemne sądy wydawały orzeczenia w sprawach o kolaborację i spekulację; wyroki wykonywała konspiracyjna żandarmeria. Skarby sztuki narodowej potajemnie wynoszono i ukrywano w bezpiecznych miejscach. Na murach malowano polskie hasła i wieszano polskie plakaty. Przekazywano do Londynu informacje wywiadu wojskowego. Bezustannie zakłócano produkcję przemysłową. Agenci podziemia docierali nawet do obozów, przekazując informacje i planując kolejne akcje[10]. Mimo że polski ruch oporu był odcięty od alianckich dostaw, mógł się słusznie ubiegać o tytuł największego i najlepiej zorganizowanego ruchu tego rodzaju w Europie.

3. Napór Sowietów, 1943–1945

Wieści o zwycięstwie Sowietów pod Stalingradem i zmiana układu sił na froncie wschodnim były jak podzwonne dla hitlerowskiego imperium. W Europie Wschodniej, tęskniącej do dnia wyzwolenia, zapanował nastrój pełnego nadziei oczekiwania. Ale w Polsce perspektywa wyzwolenia przez sowiecką armię budziła mieszane uczucia. Z jednej strony Rosjanie byli jej dawnymi wrogami, a to, co wiedziano o ich metodach i mentalności, musiało budzić wątpliwości. Wciąż jeszcze świeże były wspomnienia wojny polsko-bolszewickiej z lat 1919–1920. Z drugiej strony Stalin znów poczuł się silny i pewny siebie i wykorzystał pierwszą okazję, aby zerwać stosunki z rządem polskim. 5 kwietnia 1943 roku, gdy tylko pojawiły się wieści o masakrze w Katyniu, zerwał porozumienie zawarte dwa lata wcześniej z Sikorskim. W Polsce, jak się okazało, tchnął nowe życie w polski ruch komunistyczny, który odmówił koordynowania swoich działań z głównymi organizacjami ruchu oporu. Plany Stalina bynajmniej nie były jasne, ale od tego momentu stało się już oczywiste, że pochód wojsk sowieckich będzie oznaczał poważne komplikacje.

---

[10] Józef Garliński, *Fighting Auschwitz: The Resistance Movement in the Concentration Camp*, London 1970.

Każdy Polak musiał oczywiście z radością powitać upadek hitlerowców. Tylko niewielu oczekiwało sowieckiego wyzwolenia bez uczucia głębokiego niepokoju.

Na domiar złego w tym właśnie czasie, kiedy sytuacja polityczna wkraczała w fazę krytyczną, Polska pozbawiana została najzdolniejszego i najbardziej szanowanego przywódcy. 4 lipca 1943 roku generał Sikorski wracał do Anglii po wizytacji polskich wojsk w Afryce Północnej. Jego liberator, pilotowany przez Czecha porucznika Prchala, wylądował na planowany postój w Gibraltarze. Około 11 wieczorem ponownie wystartował, ale nie osiągając wysokości, wpadł do zatoki w pobliżu przylądka. Sikorski, jego córka i większość pasażerów albo zginęli w chwili uderzenia w wodę, albo utonęli, gdy liberator poszedł na dno. Jak potwierdził pilot, który ocalał, przyczyną katastrofy było wadliwe funkcjonowanie systemu kontroli steru wysokości[11].

Rozłam między Polską i ZSRR groził rozpadem Wielkiej Koalicji. Niektórzy badacze upatrują w nim przyczyn późniejszej zimnej wojny[12]. Wielka Brytania i Ameryka w dalszym ciągu uważały rząd Polski w Londynie za swojego pierwszego i najwierniejszego sojusznika, natomiast Rosjanie, zerwawszy z nim stosunki dyplomatyczne, zaczęli publicznie oczerniać polskich przywódców jako „reakcjonistów" i „hitlerowskich kolaborantów". (Ten ostatni epitet pojawił się, gdy rząd polski zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o zbadanie hitlerowskich doniesień w sprawie Katynia). Za kulisami Stalin nie rezygnował z możliwości wyboru, szukając – jak powiedział prezydentowi Benešowi – „Polaka, z którym dałoby się rozmawiać". Nie opowiedział się nieodwołalnie po stronie polskich komunistów aż do czerwca 1944 roku – niemal do dnia wybuchu powstania warszawskiego[13]. Bo rzeczywiście: w rządzie polskim nie było Polaków, z którymi Stalin mógłby „rozmawiać" tak, jak by chciał. Pęknięcia nie dało się naprawić. Nie-

---

[11] Przegląd prób podawania w wątpliwość przypadkowego charakteru katastrofy zakończonej śmiercią Sikorskiego zawiera praca Carlosa Thompsona *The Assassination of Winston Churchill*, Gerrards Cross 1969. Zob. też David Irving, *Accident*, London 1967, i Rolf Hochhuth, *The Soldiers, an Obituary for Geneva*, New York 1968.

[12] Zob. Takayuki Ito, *The Genesis of the Cold War: Confrontation over Poland, 1941–1944*, w: *The Origins of the Cold War in Asia*, red. Yonosuke Nagai, Akira Iriye, Tokyo 1977, s. 147–202.

[13] Zob. Vojtech Mastny, *Russia's Road to the Cold War: Diplomacy, Warfare, and the Politics of Communism, 1941–1945*, New York 1979; to godna zaufania praca, szczególnie s. 167–182, *The Poles that one could talk to*. Zob. też późniejszą pracę: George Kacewicz, *Great Britain, the Soviet Union, and the Polish Government in Exile, 1939–1945*, The Hague 1979.

chętnie i z przesadnymi zapewnieniami o jednakowym szacunku wobec swoich obu słowiańskich sojuszników w polsko-sowieckim sporze Anglicy i Amerykanie dali się okolicznościom przeciągnąć na stronę rosyjską. Przed otwarciem drugiego frontu w Europie Zachodniej i w okresie, w którym Armia Czerwona dźwigała cały ciężar walki z Niemcami, Churchill i Roosevelt nie mogli sobie pozwolić na ryzyko kłótni ze Stalinem o sprawę polską. Chociaż pozostawili do późniejszego ustalenia tyle punktów, ile się tylko dało, nie mieli żadnych środków nacisku, aby skłonić Wielką Koalicję do przyjęcia polskiej wersji planów przyszłości Polski. Na pierwszym spotkaniu Wielkiej Trójki w Teheranie pod koniec listopada 1943 roku uzgodniono podział powojennej Europy na „strefy wpływów": Europa Zachodnia i Południowa dla Anglików i Amerykanów, Europa Wschodnia dla Rosjan. Wynikało z tego, że Polska dostanie się pod rosyjską okupację i kontrolę. Zgodzono się także, że powojenna granica polsko-sowiecka ma przebiegać wzdłuż linii nakreślonej w 1920 roku, zgodnie z dawno już zapomnianą propozycją byłego ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii lorda Curzona. Tylko bardzo niewielu ludziom chciało się zauważyć, że linia Curzona była w zasadzie taka sama jak hitlerowsko-sowiecka linia demarkacyjna z 1939 roku i jak dawna granica oddzielająca carską Rosję od Królestwa Kongresowego. W ten sposób, przy nieobecności jakiegokolwiek przedstawiciela Polski, Stalin namówił państwa sojusznicze do przyjęcia poglądów imperium rosyjskiego na narodowy obszar terytorialny Polski. Na tym etapie rządu polskiego nawet nie informowano o fundamentalnych decyzjach, które podejmowano za jego plecami. Informacje miał uzyskać – jako *fait accompli* – w chwili bardziej dogodnej dla aliantów. Ustanowiono godny ubolewania precedens dla przyszłych decyzji państw sprzymierzonych w sprawach Polski – w Jałcie i w Poczdamie.

Zasadnicza kwestia ustalenia granic terytorium Polski wpływała na wszystkie mające nastąpić wydarzenia, łącznie z samym wyzwoleniem. Zdaniem Polaków, wyzwalanie Polski rozpoczęło się 4 stycznia 1944 roku, kiedy armia sowiecka przepędziła Niemców za przedwojenną granicę na Wołyniu. Zdaniem Sowietów, które to zdanie już zyskało potwierdzenie Wielkiej Trójki podczas konferencji w Teheranie, dawne tereny na wschodzie Polski zostały teraz oficjalnie częścią ZSRR. Oznaczało to, że miejscowe oddziały ruchu oporu, które wyszły z lasów, aby wspierać sowiecką ofensywę, można było uznać za „nielegalne" i NKWD mogło je bezpiecznie aresztować za sprzeciw wobec polityki aliantów. Na Wołyniu, a potem w Wilnie, Lwowie i Białymstoku oddziały Armii Krajowej, które już wcześniej poniosły straszliwe straty,

walcząc u boku Rosjan, aby przepędzić Niemców ze swojej ojczyzny, otrzymały w nagrodę swobodny dostęp do obozów jenieckich Sowietów. Zdaniem Sowietów, wyzwalanie Polski nie mogło się zacząć dopóty, dopóki Armia Czerwona nie wkroczy na obszary, które sowiecki rząd uznał za terytorium Polski – czyli do dnia przekroczenia Bugu, co nastąpiło 19 lipca 1944 roku.

Tak więc od samego początku wyzwalanie Polski odbywało się na sowieckich warunkach. Armia Czerwona przyniosła w plecakach przygotowaną z góry prokomunistyczną administrację, czyli Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN), i 22 lipca zabrała się do jej instalowania – bez wyborów i bez żadnego związku z legalnym polskim rządem – w Lublinie[14]. Komitet lubelski nie miał prawa przejmować funkcji rządu tymczasowego, nie miał też widomego poparcia społecznego. Ale ponieważ każdego, kto się mu otwarcie sprzeciwił, natychmiast usuwało NKWD, mógł całkiem swobodnie działać. W następnych miesiącach, gdy front wschodni nieubłaganie, choć chwiejnie, przemieszczał się na zachód w ostatnim ataku przeciwko Niemcom, siły specjalne Sowietów zdołały oczyścić polską ludność z całego najbardziej aktywnego elementu politycznego. Linia frontu się przesuwała, a w tym samym czasie aresztowano i rozbrajano, jeden po drugim, ugrupowania ruchu oporu. W każdym mieście i w każdej wsi burmistrzów, starszyznę i dyrektorów fabryk albo usuwano ze stanowisk, albo zatwierdzano – zależnie od ich zachowania podczas sowieckich przesłuchań. Robotników i chłopów zachęcano do organizowania spontanicznych demonstracji popierających „władzę ludową", pod groźbą utraty stanowisk czy ziemi. Właścicielom ziemskim i przedsiębiorcom oświadczano, że ich posiadłości lub przedsiębiorstwa zostały skonfiskowane albo zarekwirowane. Krnąbrne jednostki ze wszystkich warstw społecznych po prostu usuwano. W tym samym czasie podczas polowań na osoby podejrzane o kolaborację, na Niemców w wieku poborowym, na byłych członków *Volksturmu* i *Hitlerjugend* oraz na byłych urzędników instytucji hitlerowskich – a wszystkich można było zaatakować lub zabić bez specjalnych zezwoleń – sowieccy żołnierze działający na tyłach mogli swobodnie decydować o tym, kto jest, a kto nie jest wrogiem. Rosyjscy wyzwoliciele budzili równocześnie radość i strach. Tak więc w ciągu zaledwie kilku miesięcy Polsce odebrano zdolność jakiegokolwiek zorganizowanego sprzeciwu wobec przejęcia władzy przez Sowietów.

---

[14] Stąd też przyjęcie daty 22 lipca jako tak zwanego święta narodowego Polski Ludowej i zniesienie przez komunistyczny reżim tradycyjnego święta narodowego 3 Maja.

Stolica kraju Warszawa była jedynym miejscem, gdzie można by było ustanowić jakiś niezależny polski system administracji. W Warszawie dowództwo Armii Krajowej dysponowało skoncentrowanymi siłami podziemnymi, złożonymi z około 50 000 uzbrojonych żołnierzy, ukrywanych przez żarliwie patriotyczną ludność i wyrywających się do walki. W lipcu 1944 roku, na potężnej fali tej samej ofensywy, która do Lublina sprowadziła PKWN, a na brzegi Wisły szpicę Armii Czerwonej, dowódca AK generał Bór-Komorowski rozważał argumenty za i przeciw najtragiczniejszej polskiej decyzji z czasu wojny. Wiedział, że wszyscy jego doradcy chcą, aby wyzwolenie stolicy przyszło w wyniku polskiej akcji wojskowej, i że wszyscy pragną zobaczyć wyzwolone miasto w rękach administracji lojalnej wobec polskiego rządu. Wiedział też, w atmosferze tłumionego podniecenia, że mieszkańcy mogą sami powstać przeciwko znienawidzonym Niemcom. Wszystko zależało więc od wyboru odpowiedniego momentu. Gdyby wydał rozkaz za wcześnie, Niemcy mogliby mieć jeszcze dość sił, aby stłumić powstanie niezależnie od wszystkiego. Gdyby natomiast wydał rozkaz zbyt późno, Sowieci bez przeszkód wkroczyliby do Warszawy i zainstalowali tam PKWN jako zwieńczenie swojego triumfalnego pochodu. Jedyny moment dający nadzieję na udane powstanie leżał gdzieś na krótkim odcinku dwóch lub trzech dni – po tym jak zwycięski pochód Sowietów zmusi wojska niemieckie do wycofania się, ale zanim posuwające się naprzód oddziały sowieckie pojawią się w dużej masie. 20 lipca nadeszły wieści o próbie zamachu na Hitlera w jego kwaterze głównej w Rastenburgu (Kętrzynie) w pobliskich Prusach Wschodnich, wskazując na załamanie się Wehrmachtu, a ewakuacja niemieckich urzędów administracji cywilnej z Warszawy wydawała się sygnalizować początek odwrotu. 19 lipca Radio Moskwa nadało apel nawołujący mieszkańców Warszawy do powstania. Sowiecka dywizja pancerna przekroczyła Wisłę i utworzyła przyczółek w Magnuszewie, około 60 kilometrów na południe. 31 lipca z punktu obserwacyjnego na Pradze, na wschodnich przedmieściach stolicy, zauważono patrol czołgów T-34; wydawało się oczywiste, że nadszedł decydujący moment. O 17.30 Bór-Komorowski wydał rozkaz: „Jutro o godzinie 17.00 rozpoczniecie w Warszawie operację Burza". W konsekwencji nastąpiła totalna tragedia. W tym samym czasie, gdy żołnierze AK wyciągali ze skrytek karabiny i zbierali się w piwnicach i magazynach, niemiecka 9. Armia przeprawiała się mostami na Wiśle, rozpoczynając kontratak przeciwko Sowietom. Niemców w Warszawie wsparły: dywizja pancerna SS Viking, pułk SS Hermann Göring, jednostki policji wojskowej i okryte złą sławą brygady Dirlewangera oraz RONA. Te połączone siły, dowodzone przez

generała von dem Bacha-Zelewskiego i mające w swoich szeregach dużą liczbę batalionów karnych, kryminalistów i zdesperowanych byłych żołnierzy sowieckich, dostały szansę rozprawienia się z osamotnionymi powstańcami. Stalin potępił przywódców Armii Krajowej jako „garść żądnych władzy kryminalistów" i wycofał sowiecką pomoc. Walki toczyły się z niezwykłą zajadłością przez sześćdziesiąt trzy dni, a Armia Czerwona – stojąca w odległości półtora kilometra po drugiej stronie rzeki – przyglądała im się w całkowitej bezczynności. Zginęło ćwierć miliona cywilnej ludności – od odłamków, od nalotów bombowych, w wielkich masakrach. Sporadyczne zrzuty z samolotów brytyjskich i amerykańskich wysyłanych z Włoch stanowiły niewielką pomoc. Pozbawiona wsparcia próba sforsowania rzeki przez polską jednostkę pod sowieckim dowództwem była z góry skazana na niepowodzenie[15]. Kwartał za kwartałem, ulica za ulicą, kanał za kanałem ponoszącą straszliwe straty Armię Krajową spychano do maleńkiej enklawy w Śródmieściu. Bór-Komorowski skapitulował 2 października. Ocalałych mieszkańców ewakuowano. Hitler rozkazał zmieść Warszawę z powierzchni ziemi. To był koniec dawnego ładu w Polsce. Potem Armię Krajową rozwiązano i nie został już nikt, kto mógłby skutecznie rzucić wyzwanie komunistom. Hitlerowcy wyręczyli Sowietów w ich zadaniu[16].

W ostatnim stadium wyzwolenia, rozpoczętym w styczniu 1945 roku wielką zimową ofensywą sowiecką, wycofywanie się Niemców szybko zmieniło się w ich rozgromienie. Przypierany do muru Wehrmacht zajmował szereg pozycji obronnych – na Wale Pomorskim w lutym, a także w niektórych „fortecach", jak Wrocław czy Głogów, gdzie kazano mu walczyć do ostatniego żołnierza. Ale sowieckie tsunami, wspierane teraz przez dwie polskie armie, bezkarnie przewalało się wokół tych przeszkód i ponad nimi. Berlin był w zasięgu wzroku. Cała zorganizowana administracja upadła. Przeciążony transport groził załamaniem. Drogi były zatłoczone uciekinierami. Plotki o masakrach w Prusach Wschodnich przyspieszyły powszechny exodus. Tysiące ludzi zginęło w lasach, na nadbałtyckich plażach i na ściętych mrozem pustkowiach Frisches Haff (Za-

[15] Zob. Zbigniew S. Siemaszko, *Powstanie Warszawskie – kontakty PKWN z ZSRR*, „Zeszyty Historyczne" (Paryż) 1969, z. 16; Jan Nowak, *Sprawa generała Berlinga*, tamże, 1976, z. 37; Edward Puacz, *Powstanie Warszawskie w protokołach PKWN*, tamże, 1966, z. 10.

[16] Andrzej Korboński, *The Warsaw Rising revisited*, „Survey" (London) 1970, nr 76, podaje streszczenie polemiki aż do tego momentu. Jan M. Ciechanowski, *The Warsaw Rising*, Cambridge 1974, zawiera najpełniejszy pogląd na genezę powstania i jego międzynarodowy kontekst. Najnowszą pracą jest studium Janusza Kazimierza Zawodnego *Nothing but Honour*, New York 1977.

lewu Wiślanego). W Zatoce Gdańskiej niemal nie zauważono największej w dziejach katastrofy morskiej – zatonięcia wiozącego uciekinierów statku *Wilhelm Gustloff*, który poszedł na dno zatopiony przez sowiecką łódź podwodną. Dalej na zachód, na Pomorzu i na Śląsku, władze sowieckie oficjalnie zachęcały do grabieży. Mimo że dzielnice te zostały już zarezerwowane jako własność Polski, Sowieci dewastowali je w sposób nieznany nigdzie indziej w Europie. Brygady prowadzące roboty związane z reparacjami wojennymi demontowały całe fabryki, linie kolejowe i wywoziły je do Rosji jako łup wojenny. Całe miasta, jak Gdańsk czy Nysa, oczyszczano z wszelkich ruchomości i palono do gołej ziemi. Niemieckiej ludności cywilnej, która została na miejscu, zwłaszcza kobietom, nie okazywano żadnej litości. Zbiorowe gwałty były na porządku dziennym. Nikt, kto czytał świadectwa osób ocalałych po tych straszliwych odwiedzinach, nie mógł pozostać obojętny na ich bezsensowne cierpienia i na zbieżność ich indywidualnych losów[17]. Oto nadeszła zemsta Rosji za zdewastowanie jej przez Niemców.

Pośród tego chaosu przywódcy aliantów zebrali się, aby sfinalizować swoje postanowienia dotyczące losów powojennej Europy. W sprawie polskiej nie mieli zbytnich szans na wyperswadowanie Sowietom rozwiązania, które wybrał Stalin. Ponieważ bomba atomowa nie została jeszcze przetestowana, a także wobec perspektywy kolosalnych strat Ameryki podczas spodziewanego ataku na główne wyspy Japonii administracja amerykańska musiała zadowolić Stalina, aby zapewnić sobie udział Sowietów w ostatnich stadiach wojny na Wschodzie. Na konferencji w Jałcie w dniach 4–11 lutego 1945 roku uczestnicy potwierdzili uznanie linii Curzona według uzgodnień z Teheranu i w zasadzie przyjęli postanowienie, że utratę ziem na wschodzie powinno zrekompensować Polsce przyznanie jej byłych ziem niemieckich na zachodzie. Nalegano, aby przedstawiciele partii popierających rząd polski w Londynie przyłączyli się do członków sponsorowanej przez Sowietów administracji w Warszawie, tworząc wspólnie Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej (TRJN). W wyniku tej decyzji rząd w Londynie został skazany na utratę międzynarodowego uznania i prawa mianowania przedstawiciela Polski na konferencję założycielską Narodów Zjednoczonych[18]. W Poczdamie, między

[17] Zob. Johannes Kaps, *Die Tragödie Schlesiens, 1945–1946*, München 1953.

[18] W wyniku dysputy w sprawie przedstawicielstwa Polski nie uczestniczyła ona w konferencji założycielskiej Narodów Zjednoczonych w San Francisco (w dniach od 24 kwietnia do 26 czerwca 1945 roku). Polska podpisała kartę ONZ 16 października 1945 roku, po powszechnym międzynarodowym uznaniu TRJN.

17 lipca i 2 sierpnia przywódcy państw sprzymierzonych wysłuchali raportu komunistycznej polskiej delegacji przysłanej przez Sowietów, ale nie spotkali się z żadną bardziej reprezentatywną grupą. Następnie zatwierdzili zachodnią granicę Polski na linii Odry i Nysy Łużyckiej oraz plan wypędzenia wszystkich Niemców, a także ogłosili swoją słynną deklarację w sprawie „wolnych i nieskrępowanych" wyborów. I tym samym pozostawili Polskę na łasce Sowietów.

4. Postscriptum wojny, 1945–1947

Chociaż dla Polski – podobnie jak dla reszty Europy – II wojna światowa oficjalnie się skończyła w maju 1945 roku, walki wewnętrzne trwały jeszcze przez długie miesiące. Wojna domowa toczyła się wszędzie tam, gdzie wojna międzynarodowa była już zakończona. Zbrojny opór przeciwko nowemu porządkowi skupiał się w trzech odrębnych organizacjach podziemnych: prawicowych Narodowych Siłach Zbrojnych (NSZ)[19], ruchu Wolność i Niezawisłość (WiN)[20], utworzonym częściowo z żołnierzy rozwiązanej Armii Krajowej, oraz Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). NSZ, działające w Górach Świętokrzyskich, zaprzestało walk przed końcem 1945 roku, kiedy ostatnia brygada przedarła się przez Czechosłowację na spotkanie z wojskami USA. WiN, najsilniejsza w okolicach Białegostoku i Lublina, mająca powiązania z dawnymi ugrupowaniami o orientacji narodowo-demokratycznej, walczyła do lutego 1947 roku, kiedy 40 000 żołnierzy złożyło broń po ogłoszeniu oficjalnej amnestii. UPA, otoczona na terenie Bieszczad na południowym wschodzie, przetrwała do lipca 1947 roku. Większość tych Ukraińców, schwytanych w pułapkę prowadzonej z trzech stron ofensywy wojsk polskich, sowieckich i czechosłowackich, przypłaciła życiem swój brak wiary „ani w Hitlera, ani w Stalina". Zarośnięte cmentarze i popadające w ruinę unickie cerkwie w zrównanych z ziemią ukraińskich wsiach do dziś są świadectwem ich losu. Poza tymi przypadkami zorganizowanego oporu wiele odległych od centrum kraju wiejskich okręgów uparcie odmawiało uznania nowych władz. Na przykład na Podhalu, w okolicach Zakopanego, nagrobki zamordowanych oficerów Milicji Obywatelskiej świadczą o gwałtownym oporze miejscowych górali dowodzonych przez „Kapitana

[19] Zbigniew S. Siemaszko, *Narodowe Siły Zbrojne*, Odnowa, Londyn 1982.

[20] Stanisław Kluz, *W potrzasku dziejowym: WiN na szlaku AK. Rozważania i dokumentacja*, Londyn 1978.

Ognia" (Józefa Kurasia) przez lata 1946 i 1947. Tak więc w sensie najbardziej dosłownym II wojny światowej w Polsce nie zakończyły konferencje polityczne w Jałcie i Poczdamie. Zakończyła się na miejscu, w lasach i na wzgórzach, gdzie sporadyczne gwałtowne wybuchy trwały przez cały czas od 1939 roku. Ostatni strzał w tej wojnie padł dopiero niemal trzy lata później, gdy ruiny Warszawy były już z powrotem zamieszkane, a zdruzgotany kraj podjął żmudny trud odbudowy.

Gospodarczą rekonwalescencję Polski poważnie hamowały względy polityczne. Choć w latach 1945–1946 UNRRA bardzo pomagała Polsce paczkami, Związek Sowiecki nie dopuścił, aby jego klienci z Europy Wschodniej przyjęli pomoc w ramach planu Marshalla. Zwykła grabież i demontowanie urządzeń, typowe dla sowieckiego wyzwalania, zostały teraz zastąpione bardziej systematyczną eksploatacją. Według sławetnego porozumienia w sprawie granic i odszkodowań z 16 sierpnia 1945 roku Polska była zobowiązana dostarczać w latach 1945–1950 trzynaście milionów ton węgla rocznie w cenie 1,3 dolara amerykańskiego za tonę, co stanowiło zaledwie jedną szóstą ceny światowej. Tę daninę nałożono na kraj, który stracił 60 procent potencjału przemysłowego.

Polska, która powstała pod koniec tego straszliwie ciężkiego okresu, różniła się od swojej przedwojennej poprzedniczki w kilku istotnych aspektach. Miała inny obszar, ponieważ fizycznie przesunięto ją o ponad 200 kilometrów na zachód – Churchill zademonstrował to przy jakiejś okazji Stalinowi, kładąc na stole trzy zapałki: „jak żołnierze, wykonujący komendę »trzy kroki w lewo, zewrzeć szeregi«". Miała zupełnie inne zasoby gospodarcze, zastąpiwszy zacofane wiejskie tereny na wschodzie bogatymi przed wojną przemysłowymi i nadmorskimi rejonami byłego terytorium Niemiec. Miała inne społeczeństwo, o zupełnie odmiennym składzie etnicznym, odmiennych wyznaniach i odmiennej strukturze klasowej. Społeczności żydowska, niemiecka i ukraińska, które przed wojną stanowiły jedną czwartą ogółu ludności, zostały wymordowane lub wypędzone; inteligencję zdziesiątkowano; warstwy posiadaczy ziemskich wywłaszczono – wszystko to w wyniku samej wojny, a nie jakiejś powojennej rewolucji społecznej. Przede wszystkim zaś Polska miała zupełnie inną pozycję w świecie. Zamiast pełnej przedwojennej niepodległości, o której obronę miała się toczyć wojna, otrzymała jedynie zewnętrzną namiastkę suwerenności. Przywrócono jej status odrębnego państwa, a jednocześnie przykuto ją politycznymi łańcuchami do ZSRR. Ta zależność, ten skarłowaciały i niechciany pierwszy owoc wojny o polską niepodległość, były czymś, co apologeci Rzeczypospolitej Ludowej z przyjemnością nazywali „zwycięstwem".

Kukułcze jajo

Zgodnie z autoryzowaną wersją rozpowszechnianą w PRL, polityka polska w okresie II wojny światowej była „dialektycznym procesem rewolucyjnej polaryzacji". Te dwa spolaryzowane ekstrema życia politycznego – „reakcyjny" obóz rządu na uchodźstwie[21] i obóz „postępowy" pod przywództwem komunistów – wkroczyły w fazę coraz silniejszych antagonizmów, przy czym głosy dominujących „reakcjonistów" stopniowo przycichały, a głosy podległych im „postępowców" stopniowo nabierały siły. Na początku wojny, do roku 1941, „postępowcy" zajmowali niewątpliwie gorszą pozycję; w fazie środkowej – w epoce przymierza polsko-sowieckiego z lat 1941–1943 – osiągnięto stan równowagi, a w stadium ostatnim, po roku 1943, zdobyli nieuchronną przewagę. Podczas tego procesu element dominujący i element poboczny gładko zamieniły się rolami; „reakcjoniści" stali się elementem pobocznym, a „postępowcy" – elementem przeważającym. Oczywiste zakończenie tego procesu – podlegającego naukowym prawom historii – wymaga eliminacji elementu „reakcyjnego" i przejęcia przez element „postępowy" kontroli nad „socjalistycznym stadium" zapoczątkowanym przez „rewolucję".

Ten rzekomy proces dialektyczny, jeśli mu się przyjrzeć w oderwaniu od kontekstu, niewątpliwie wykazuje pewną matematyczną elegancję. Natomiast oglądany z bliska, ujawnia kilka fałszywych przesłanek. Zestawiając rozmaite etykiety z rzeczywistością, można się przekonać, że etykiety te w istotny sposób są nieodpowiednie. Dochodzi się na przykład do przekonania, że polski „rząd w Londynie", popierany głównie przez partie opozycyjne wobec przedwojennego ustroju, nie był specjalnie reakcyjny; że szczerze postępowych sił w polskiej polityce – radykałów, socjalistów i chłopstwa – należy szukać głównie w obozie prorządowym, i wreszcie, że komuniści nie tylko nie występują w roli akceptowanych przywódców ugrupowań postępowych, ale są ich zaprzysiężonymi wrogami. Centrum koordynujące działania komunistycznego rządu także znajdowało się za granicą – „na uchodźstwie", dokładnie tak samo jak rząd. Jednego z największych błędów należy upatrywać w fakcie, że na samym początku tego rzekomego procesu, w 1939 roku, polski ruch komunistyczny trudno byłoby uznać za zdolny do odegrania choćby drugopla-

[21] Chociaż legalny rząd polski musiał z konieczności przebywać za granicą, rządem na uchodźstwie stał się dopiero po utracie międzynarodowego uznania w 1945 roku.

nowej roli w życiu politycznym, ponieważ w tym określonym momencie po prostu go nie było. Nie tylko nie istniały pozarządowe siły postępowe, którymi można by pokierować, ale nie było też komunistów, którzy mogliby to przywództwo objąć. W tej sytuacji idea konfrontacji politycznej między obcymi siłami reakcji pod wodzą Sikorskiego i rodzimymi siłami postępu (pod wodzą kogoś, kogo nigdy nie dało się wymienić z imienia i nazwiska) okazuje się wytworem czyjejś ideologicznej wyobraźni. Trzeba oczywiście rozważyć jakąś inną przekonującą analizę. Nie było żadnej „polskiej rewolucji".

Rząd polski z czasu wojny narodził się 30 września 1939 roku we Francji i został legalnie ukonstytuowany z inicjatywy prezydenta Rzeczypospolitej Władysława Raczkiewicza. Jego szef, generał Władysław Sikorski, miał idealne kwalifikacje, aby pełnić zarówno obowiązki wojskowe, jak i cywilne. Miał za sobą wybitną karierę jako dowódca frontowy w wojnie polsko-bolszewickiej z lat 1919–1920; pełnił też urząd ministra spraw zagranicznych oraz premiera w rządzie koalicyjnym w latach 1922–1923 i 1923–1924. A co ważniejsze, ten współpracownik Józefa Piłsudskiego we wczesnym okresie zerwał z jego ugrupowaniem w czasie I wojny światowej, trzymał się z dala od dyktatury Marszałka w latach po przewrocie majowym z 1926 roku i odegrał pewną rolę – obok Wincentego Witosa i Ignacego Paderewskiego – w opozycyjnym Froncie Morges z końca lat trzydziestych. Był wypróbowanym parlamentarzystą o liberalnych skłonnościach, wybitnym autorem i postacią cieszącą się międzynarodowym szacunkiem. Podobnie jak Churchill, który objął urząd premiera Wielkiej Brytanii mniej więcej w tym samym czasie, zasługiwał na miano „męża przeznaczenia". Żarliwie wierzył w niepodległość Polski, ale nie miał czasu ani na politykę partyjną o wąskich horyzontach, ani na sztywne ideologiczne dogmaty. Marzył o lepszej Polsce po wojnie, bezpieczniejszej, zamożniejszej i sprawiedliwszej społecznie, i aby to osiągnąć, był skłonny iść na kompromis – jeśli trzeba, nawet ze Stalinem. Krytycy twierdzili, że jest próżny i zbyt tolerancyjny, a w ważnych momentach niezdecydowany, ale nieporozumieniem byłoby nazwać takiego człowieka „reakcjonistą" czy nawet konserwatystą.

Polityczny koloryt rządu polskiego z czasu wojny ograniczało wyłącznie jego przywiązanie do ideału niepodległości, zobowiązanie do walki z najeźdźcami, przywiązanie do konstytucji i do terytorialnej integralności Rzeczypospolitej. Każdy, kto przyjmował te zasady – a dotyczyły one przeważającej większości Polaków w kraju i za granicą – mógł swobodnie uczestniczyć w działalności jej rozlicznych organów i agend. Z oczywistych powodów nacisk polityczny odsunął się od powiązań

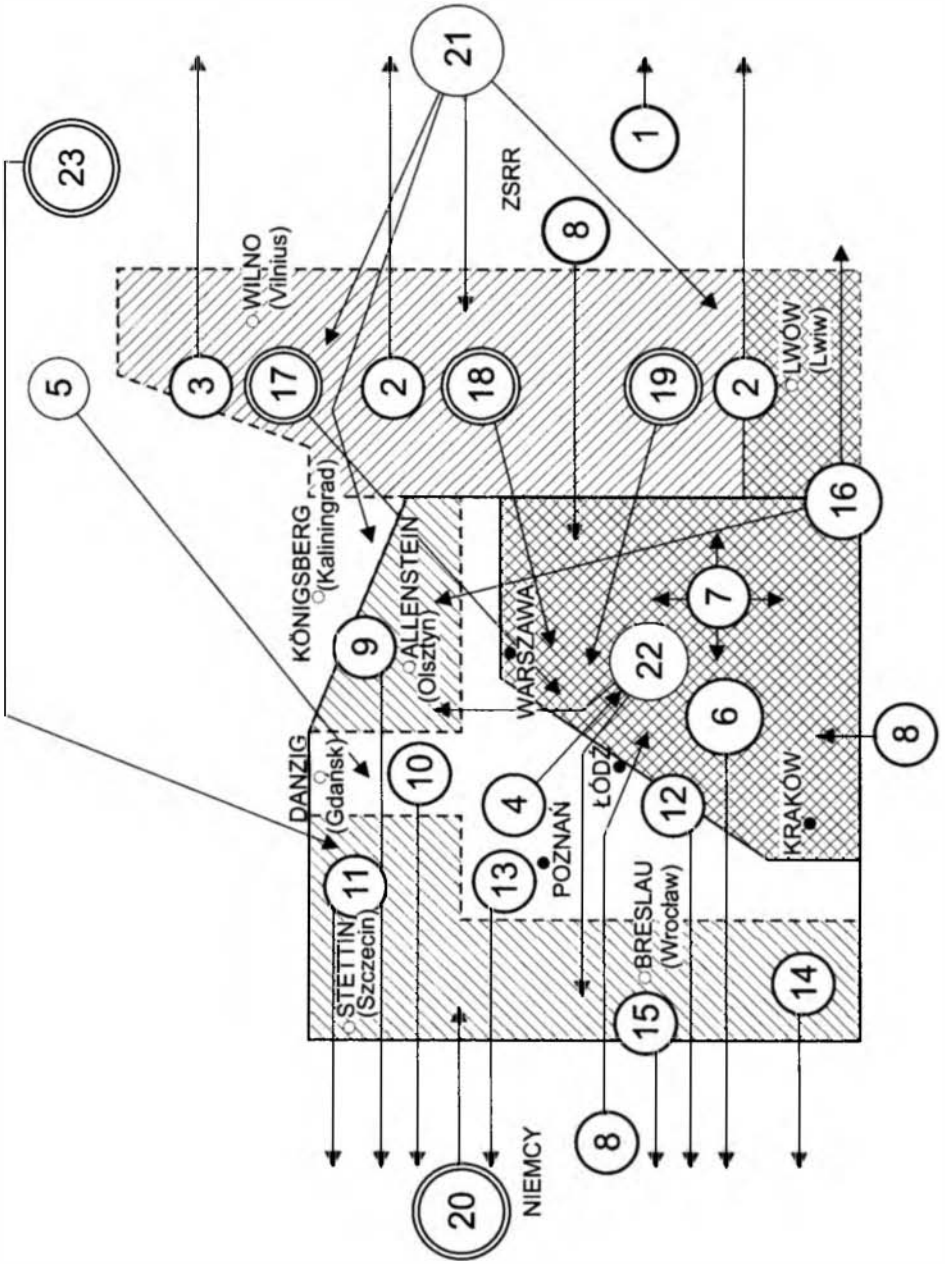
ZSRR
NIEMCY
WILNO (Vilnius)
KÖNIGSBERG (Kaliningrad)
ALLENSTEIN (Olsztyn)
DANZIG (Gdańsk)
STETTIN (Szczecin)
POZNAŃ
BRESLAU (Wrocław)
ŁÓDŹ
WARSZAWA
KRAKOW
LWOW (Lwiw)
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23

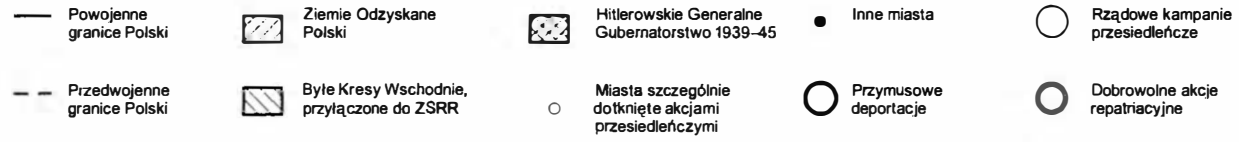

Przybliżone liczby (w mln)

0,5	1.	Polacy (i inne narodowości) deportowani podczas czystek radzieckich na Ukrainie, 1936–39
1,5	2.	Obywatele polscy wysiedleni przez władze radzieckie z zach. Ukrainy i Białorusi, 1939–40
0,6	3.	Polacy (i inne narodowości) deportowani przez władze radzieckie z Litwy, 1940–41
0,5	4.	Polacy wypędzeni z Prus Zach. i Warthelandu do Generalnej Guberni, 1939–40
0,75	5.	Niemcy z terenów nadbałtyckich, ponownie osiedleni w Prusach Zach., 1940–41
1,5	6.	Polacy (i inne narodowości) wywiezieni do Rzeszy na roboty przymusowe, głównie z terenu Generalnego Gubernatorstwa
0,1	7.	Chłopi polscy wysiedleni ze strefy przesiedleńczej w rejonie Zamościa, 1942–43
3,0	8.	Żydzi, ofiary „ostatecznego rozwiązania", przewiezieni do Polski w celu eksterminacji, 1941–44

Niemcy deportowani w latach 1945–47

3,5	9.	z Prus Wschodnich
	10.	z Prus Zachodnich
	11.	z Pomorza
	12.	z Polski Środkowej
	13.	z Poznańskiego
	14.	ze Śląska
0,5	15.	Niemcy wysiedleni przez hitlerowców z Wrocławia i innych miast Śląska, 1945
0,75	16.	Ukraińcy wysiedleni na tereny północnej Polski lub ZSRR, 1947
1,5	17.	Polscy „repatrianci" z Litwy } 1945–47
	18.	" " z Białorusi } 1945–47
	19.	" " z Ukrainy } 1945–47
0,5	20.	Polscy przesiedleńcy przewiezieni z Niemiec, 1945–48
5,0 (?)	21.	Radzieckie kampanie przesiedleńcze na Litwie, Białorusi, Ukrainie i w Prusach Wschodnich po roku 1945
4,4	22.	Polskie kampanie przesiedleńcze na terenach zachodnich i północnych po roku 1945
0,25	23.	Polscy repatrianci po amnestii radzieckiej z 1956

Ogółem: 24,85 mln

Rys. A. Przesiedlenia ludności (1936–1956)

z przedwojennym reżimem, który został zdyskredytowany na skutek swojej polityki wewnętrznej w ostatnich latach pokoju oraz niezbyt inspirującego zachowania jego przywódców podczas kampanii wrześniowej. Niemal wszystkie główne postacie i ugrupowania związane z rządem polskim z czasu wojny – jak sam generał Sikorski – albo nie podporządkowywały się sanacyjnemu rządowi, albo otwarcie przeciwko niemu występowały. Zarówno minister spraw zagranicznych z lat 1939–1941 August Zaleski, jak i generał Sosnkowski byli dawniej bliskimi współpracownikami Piłsudskiego – pierwszy jako jego emisariusz w Londynie podczas I wojny światowej i w latach 1926–1932 minister spraw zagranicznych rządu w Warszawie, a drugi jako jego główny współpracownik w Legionach i podczas wojny bolszewickiej z lat 1919–1920. Obaj jednak rozstali się ze swoim szefem – Zaleski z powodu spraw dotyczących polityki zagranicznej, a Sosnkowski z powodu przewrotu majowego z 1926 roku, kiedy nawet próbował popełnić samobójstwo. Dwaj kolejni prezesi Rady Narodowej – kompozytor Ignacy Paderewski i ekonomista profesor Władysław Grabski, byli niezależnymi osobowościami i ludźmi o nieskalanej reputacji. Cztery główne partie polityczne odzwierciedlały radykalne priorytety tego okresu. Stronnictwo Narodowe (SN), na którego czele stał polityczny spadkobierca Romana Dmowskiego Tadeusz Bielecki, reprezentowało kierunek radykalnie prawicowy i nacjonalistyczny. Stronnictwo Pracy (SP), pod kierownictwem takich ludzi jak Cyryl Ratajski i Stanisław Jankowski, stanowiło stosunkowo młody amalgamat katolików i niesocjalistycznych syndykalistów i było zdominowane przez proletariackie skrzydło dawnych chrześcijańskich demokratów. Stronnictwo Ludowe (SL), pod przywództwem Stanisława Mikołajczyka i historyka profesora Stanisława Kota, reprezentowało centrowy odłam polityki chłopskiej, stojąc na czele największej pojedynczej klasy polskiego społeczeństwa. Polska Partia Socjalistyczna (PPS), której przewodzili Tomasz Arciszewski i Adam Ciołkosz, dwaj dawni obrońcy w słynnym procesie brzeskim z lat 1931–1932, oraz jej konspiracyjne ramię – ugrupowanie Wolność, Równość, Niepodległość (WRN) Zygmunta Zaremby i Kazimierza Pużaka – włączyły się w główny nurt niemarksistowskiego polskiego socjalizmu. Te dominujące prądy składały się w latach czterdziestych na pełne spektrum rodzimej polskiej polityki, z wyjątkiem tylko nieistotnych pozaparlamentarnych i marginesowych ugrupowań skrajnej lewicy: komunistów czy Robotniczej Partii Polskich Socjalistów (RPPS), oraz fanatycznego marginesu, będącego ich odpowiednikiem po stronie skrajnej prawicy – na przykład maleńkiej faszystowskiej Falangi. Mniejszości etniczne Polski – Żydzi, Niemcy i Ukraińcy – nie utworzyli bloku

mniejszościowego na wzór polityki przedwojennej, ale byli wystarczająco licznie reprezentowani przez indywidualnych polityków. Przywódcą samego rządu był generał Sikorski (przed jego tragiczną śmiercią w lipcu 1943 roku urząd premiera został tylko raz poważniej zagrożony), później Stanisław Mikołajczyk (do listopada 1944), a jeszcze później – Tomasz Arciszewski.

Siły zbrojne polskiego rządu były rozproszone po całej Eurazji i trzeba było olbrzymiego wysiłku organizacyjnego, żeby skoordynować ich działania i uzupełnić uszczuplone kadry[22]. W początkowym okresie po wrześniowym *débâcle* główne siły w liczbie około 85 000 żołnierzy, sformowane z jeńców internowanych i stopniowo zwalnianych w Rumunii i na Węgrzech, przybyły do Francji. „Wojsko Polskie we Francji" generała Sikorskiego składało się z dwóch dywizji piechoty, Brygady Strzelców Podhalańskich generała Szyszko-Bohusza, Brygady Pancernej generała Stanisława Maczka i czterech dywizjonów sił powietrznych, złożonych zarówno z myśliwców, jak i bombowców. Służyło pod dowództwem francuskim pod Narwikiem i w kampanii francuskiej z maja i czerwca 1940 roku. Kolejne zgrupowanie, „Wojsko Polskie na Bliskim Wschodzie", składało się głównie z dowodzonej przez generała Kopańskiego Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, utworzonej we francuskiej Syrii. Resztki polskiej floty wojennej – trzy niszczyciele i dwie łodzie podwodne, które dzięki niezwykłej pomysłowości dowódców zdołały się wymknąć z wód Morza Bałtyckiego – połączone z flotą handlową, znajdowały się już w brytyjskich portach. Upadek Francji oznaczał niemal katastrofę. Mimo bliskich relacji z francuskim dowództwem Sikorski odrzucił rozkaz kapitulacji wydany przez Weyganda. Większość polskich jednostek we Francji trafiła do niewoli; niektóre przedostały się do Szwajcarii lub do Hiszpanii, a blisko jedna trzecia zdołała się uratować dzięki mrożącej krew w żyłach ewakuacji do Wielkiej Brytanii. Załogi polskich dywizjonów sił powietrznych zbiegły trasą przez Afrykę Północną. Brygada Kopańskiego stawiła opór swoim francuskim dowódcom i pomaszerowała przez Syrię do brytyjskiej Palestyny.

Wszyscy ocaleni żołnierze Polskich Sił Zbrojnych znaleźli się teraz pod dowództwem brytyjskim, a Churchill, Sikorski i de Gaulle wspólnie

---

[22] Głównym źródłem nadal pozostaje praca *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej* (Muzeum Sikorskiego), t. 1–3, Londyn 1959–1975. Późniejszy przegląd zob. Michael Alfred Peszke, *The Polish Armed Forces in Exile: Part I, September 1939 to July 1941*, „Polish Review" 1981, t. 26, nr 1, s. 67–114. Zob. też historię w obrazach: Steven J. Zaloga, *The Polish Army, 1939–1945*, Osprey, seria Men-at-Arms, London 1982.

dostąpili zaszczytu bycia jedynymi dowódcami alianckimi, którzy „nadal walczyli". Wszyscy oni potrzebowali jednak długiego czasu na powrót do sił; żołnierzom ten czas przyznano, natomiast lotnikom i marynarzom – nie. W bitwie o Wielką Brytanię na jesieni 1940 roku polscy piloci myśliwców stanowili aż 20 procent sił RAF-u. Dwa dywizjony złożone wyłącznie z Polaków – 302 (Poznański) i 303 (im. Tadeusza Kościuszki) – zapisały na swoim koncie 109 zestrzeleń samolotów Luftwaffe, co stanowiło 12 procent ogólnej liczby, a osiągnięta przez nich proporcja liczby zestrzeleń do liczby strat wyniosła 1:9 i była absolutnym rekordem. Polskiej flocie natychmiast powierzono zadanie patrolowania Atlantyku. Armia regenerowała się wolniej.

W roku 1941 na mocy polsko-sowieckiej umowy wojskowej dopuszczono utworzenie „Wojska Polskiego w Rosji" pod dowództwem generała Władysława Andersa. Decyzja ta dała początek jednej z epickich odysei nowożytnych działań wojennych, godną *Anabazy* – „wyprawy dziesięciu tysięcy" opisanej przez Ksenofonta. Polscy uchodźcy i deportowani, którzy przeżyli grozę arktycznych obozów Stalina lub zsyłkę na Syberię, napływali do punktów zbornych między innymi w Buzułuku nad Wołgą i w Jangi-Jul w Uzbekistanie, a w marcu 1942 roku, pokonawszy niekończące się przeszkody ze strony sowieckich władz, przedostali się do kontrolowanej przez Brytyjczyków Persji. Stamtąd ludność cywilną przewieziono w bezpieczne rejony – do Indii lub Afryki, a młodych ludzi w wieku poborowym wysłano na przeszkolenie do Palestyny. Wielu polskich Żydów (między innymi kapral Begin) postanowiło zostać w Palestynie, aby ostatecznie podjąć walkę ze swoimi brytyjskimi protektorami i założyć państwo Izrael[23]. Z połączenia trzonu armii Andersa z Brygadą Kopańskiego powstał 2. Korpus, który wyruszył dalej do Kairu i dołączył do armii brytyjskiej w Afryce Północnej. W ciągu następnych trzech lat walczył w szeregach 8. Armii Montgomery'ego i okrył się chwałą pod Monte Cassino (1944) i pod Bolonią (1945).

Polski 1. Korpus, dowodzony przez generała Mariana Kukiela, stacjonował w tym czasie w Szkocji. Na początku problemem był nadmiar oficerów przy zbyt małej liczbie szeregowców, a na miejsce politycznego obozu karnego dla polskich oficerów wybrano fatalnie wyspę Bute (nazywaną przez Polaków „wyspą węży"). Potem jednak – w wyniku rekrutacji i uzbrajania – powstało pięć kompletnych dywizji. Polska Brygada Spadochronowa, dowodzona przez generała brygady Władysława Sosabowskiego, uczestniczyła w pechowym desancie pod Arnhem. 1. Polska

[23] Menachem Begin, *White Nights: The Story of a Prisoner in Russia, 1939–1941*, London 1957.

Dywizja Pancerna generała Maczka odegrała znaczącą rolę w bitwie pod Falaise, przełamując niemiecką obronę w Normandii, i zakończyła wojnę, przyjmując kapitulację Niemców w Wilhelmshaven.

Nie da się zaprzeczyć, że Polskie Siły Zbrojne, liczące w 1945 roku około 230 000 uzbrojonych żołnierzy, dały wspaniały przykład poczucia obowiązku i poświęcenia w dążeniu aliantów do pokonania hitlerowskich Niemiec. Każdy kochający swoją ojczyznę Polak musi godnie czcić ich pamięć[24].

Rząd polski łączyły z krajem bliskie więzi i zbliżenie rosło aż do momentu wkroczenia Armii Czerwonej w 1944 roku. Delegaci Rządu na Kraj – kolejno Cyryl Ratajski, Jan Piekałkiewicz i Jan Stanisław Jankowski – ustanowili podziemną Radę Ministrów wraz z zalążkiem podziemnego sejmu. Armia Krajowa i jej współpracownicy dysponowali sprawną siecią radiową i tajną służbą kurierską, co na ogół umożliwiało im uzgadnianie planów i rozkazów z kwaterą główną w Anglii. Niezwykły wyczyn, jakim było przechwycenie, rozmontowanie i przekazanie tam kompletu istotnych elementów niemieckiej rakiety V2, pokazuje, że powiązania między Polską i Anglią tworzyły naprawdę skomplikowaną i skuteczną sieć[25]. Więź ta zaczęła zawodzić dopiero po upadku powstania warszawskiego. Gdyby jednak ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości, dlaczego tak się stało, powinien zapytać, co przeszkadzało rządowi polskiemu w kontaktach z krajem przez cały okres niemieckiej okupacji, a nie podczas sowieckiego wyzwalania kraju. Rząd polski zapłacił wysoką cenę za brak zdolności do współpracy z Sowietami, a już na pewno podczas powstania warszawskiego, niektórzy zaś z jego członków bez przykrości zgadzali się na impas. Ale współpraca wymaga chęci z obu stron, a nawet najlepsza dobra wola na świecie nie mogłaby zachwiać nieugiętej postawy Stalina, który postanowił odmówić polskiemu rządowi wszelkiego uznania i – bezlitośnie eliminując jego przedstawicieli w kraju – przeciąć wszelkie linie łączności z polskim narodem. Rząd polski przegrał w Polsce nie tyle z powodu własnych błędów, ile w wyniku przemocy i szykan ze strony Sowietów.

Międzynarodowe działania polskiego rządu opierały się na sojuszu z Wielką Brytanią z 1939 roku oraz na demokratycznych zasadach Karty

---

[24] Władysław Anders, *An Army in Exile: The Story of the Second Polish Corps*, przedruk: Nashville, Tenn., 1981.

[25] Józef Garliński, *Hitler's Last Weapons: The Underground War against the V1 and V2*, London 1978, zob. też tenże, *Poland, SOE and the Allies*, London 1969, i Jan Nowak, *Kurier z Warszawy*, Odnowa, Londyn 1976.

atlantyckiej z roku 1941; ale i te działania rozbijały się o dokładnie takie same sowieckie rafy. Początkowo relacje Sikorskiego z Churchillem były tak bliskie, że jedyna próba usunięcia generała z urzędu, podjęta przez jego kolegów w lipcu 1940 roku, wynikała z podejrzeń o spisek z Churchillem. Relacje Sikorskiego z Amerykanami były bardzo serdeczne, szczególnie po spotkaniach z Rooseveltem w latach 1941 i 1942. Relacje z Benešem, szefem czechosłowackiego rządu na uchodźstwie, stwarzały nadzieję na zlikwidowanie starego rozłamu między dwoma sąsiadami i doprowadziły do powstania projektu powojennej federacji polsko-czechosłowackiej[26].

Jednak w każdym z tych przypadków sukces polityki polskiej w pierwszym stadium wojny niweczyło pojawianie się w drugim stadium czynnika polityki sowieckiej. Żaden z przywódców państw sojuszniczych nie mógł wspierać polityki polskiego rządu, jeśli takie poparcie zaczynało się wiązać z ryzykiem zerwania z ZSRR. Churchill i Roosevelt musieli liczyć na Stalina w sprawie doprowadzenia do końca planów strategicznych Wielkiego Sojuszu. Beneš musiał liczyć na Stalina w swoich nadziejach powrotu do Pragi[27]. Tak więc z powodu logiki Stalina zmierzającej do wyłącznej żelaznej kontroli nad przyszłością Europy Wschodniej wszyscy główni sojusznicy Polski nieuchronnie musieli powściągać swoje sympatie wobec sprawy polskiej i kłaniać się w pas sowieckiemu zgniataczowi. Jeśli nie liczyć najdrobniejszych rybek w alianckiej ławicy – na przykład przywódców państw bałtyckich, Norwegii i Holandii – generał de Gaulle był zapewne jedynym człowiekiem w sprzymierzonym Londynie, który pozostał wierny polskim przyjaciołom. Wolna Francja miała wiele wspólnego z polskim rządem i takie same słuszne powody, żeby pogardzać machinacjami Wielkiej Trójki[28]. Chociaż Francuzi także zostali wykluczeni z decydujących obrad nad ich przyszłością, przynajmniej mieli satysfakcję z triumfalnego powrotu do domu po zakończeniu wojny. Albowiem w odróżnieniu od Polski Francję wyzwolili Montgomery i Patton, a nie Żukow i Rokossowski.

Opozycja wobec polskiego rządu istniała raczej w niezadowolonych kręgach emigranckich niż wśród opinii publicznej w kraju. Nie było

---

[26] Piotr S. Wandycz, *Czechoslovak-Polish Confederation and the Great Powers*, Bloomington Indiana, 1956, przedruk 1979. Zob. też Edward Taborsky, *A Polish-Czechoslovak Confederation: The story of the first Soviet veto*, „Journal of Central European Affairs" 1950, t. 9, nr 2.

[27] Zob. potępiająca ocena Beneša w: Mastny, dz. cyt., s. 132–144.

[28] *Polska w pamiętnikach gen. de Gaulle'a, 1944–1946*, red. Kajetan Morawski, Paryż 1960.

oczywiście żadnego sposobu zbadania tej opinii podczas okupacji, ale nic nie wskazuje na to, aby jakakolwiek znacząca grupa kwestionowała albo legalność rządu, albo jego politykę. Najgwałtowniej atakowali Sikorskiego Bielecki i Seyda – nacjonaliści, którzy uważali, że Sikorski jest zbyt liberalny w kwestiach społecznych i zbyt gorliwy w kwestii układów ze Stalinem. Opozycja na terenie samej Polski praktycznie nie istniała do czasu, gdy trzeba już było wziąć pod uwagę perspektywę zwycięstwa Sowietów w Europie Wschodniej i gdy reaktywowano ruch komunistyczny.

W chwili wybuchu wojny w 1939 roku komuniści polscy przeżywali właśnie najboleśniejszy epizod w swojej godnej pożałowania historii. Działali w sytuacji niekorzystnej pod każdym możliwym względem. Byli w przeważającej – choć nie przytłaczającej – większości ludźmi żydowskiego pochodzenia i wobec tego powszechnie postrzegano ich jako mniejszość dbającą o własne interesy. Jako ateiści byli objęci anatemą w tej samej mierze przez przywódców żydowskich, jak i przywódców katolickich, a ponieważ cieszyli się poparciem sowieckiej Rosji w czasie sowieckiej inwazji na Polskę z 1920 roku, powszechnie uważano ich za zdrajców. W sejmie z 1922 roku mieli dwóch posłów, ale później już ani jednego. Zdecydowali się poprzeć przewrót majowy z 1926 roku; żandarmeria Piłsudskiego rozpędziła ich za to, że się na to odważyli, i wobec tego stali się pośmiewiskiem w kręgach politycznych. Ich relacje z sowieckimi towarzyszami były jeszcze gorsze. Ponieważ mieli silne tradycje lewicowe i internacjonalistyczne, bliższa im była pamięć Róży Luksemburg niż jej dawnego partnera i współzałożyciela ruchu Feliksa Dzierżyńskiego. W czasie morderczych walk w łonie WKP(b) sympatyzowali bardziej z Trockim niż ze Stalinem, a ich powiązania z Moskwą dotyczyły głównie Kominternu. Najgroźniejsze było to, że Stalin podejrzewał, iż są infiltrowani przez polskie służby kontrwywiadu i stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa Sowietów. Kiedy stalinowskie czystki osiągnęły punkt kulminacyjny, stali się oczywistymi kandydatami do usunięcia. KPP zniknęła z listy partii należących do Kominternu. Jej przywódcy – Adolf Warski, Józef Unszlicht, Maria Kostrzewa, Maksymilian Horwitz, Juliusz Leński, Stanisław Bobiński – zostali zlikwidowani. Członkowie, których liczba według ostatnich danych z 1937 roku wynosiła 3927 osób, zostali dosłownie wytępieni[29]. Jednym ciosem cynicznie unicestwiono czterdzieści lat komunistycznego idealizmu, który się zaczął w 1897 roku od

[29] Jan B. Weydenthal, *The Communists of Poland – an historical outline*, Stanford 1978, cytuje statystyki szacujące liczbę członków KPP na 6310 w roku 1919, 875 w roku 1921 po wojnie sowieckiej, 9327 (liczba maksymalna) w roku 1933 i 3927 w roku 1937. Zob. też

założenia poprzedniczki KPP, Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL). Tym jednym posunięciem Sowieci zamordowali o wiele więcej polskich komunistów, niż mogliby to kiedykolwiek zrobić naziści. Liczba ocalałych, a wśród nich garstka tych, którym przypadkiem udało się uniknąć czystki, oraz ci, których „przechowywały w lodówce" sowieckie organy bezpieczeństwa, chyba nie sięgnęła tysiąca. Pozostałych aktywistów można by bez trudu zebrać w jednym niedużym pokoju. Nie mieli partii, nie mieli znaczącego poparcia wśród polskiej ludności i nie mogli oczekiwać niczego, poza szybką śmiercią, gdyby ich schwytano albo w niemieckiej, albo w sowieckiej strefie okupacyjnej. Nawet najbardziej zagorzali wrogowie musieli im współczuć i podziwiać ich poświęcenie. Pomysł, że ta garstka nieszczęśników miała do odegrania na tym etapie w polskiej polityce jakąś poważną rolę, musi się wydać absurdalny.

Reaktywacja polskiego ruchu komunistycznego była bezpośrednim skutkiem niemieckiej inwazji na Rosję i wynikającej z niej zmiany frontu Stalina. Do tego czasu – fizycznie unicestwiwszy zarówno śmietankę polskiej „burżuazji", jak i „awangardę" klasy robotniczej – Stalin z pewnością nie mógł mieć żadnych planów restauracji Polski. Potrzebował teraz od Polaków wszelkiej możliwej pomocy. Uznaniu przez niego rządu polskiego (w Londynie) odpowiadało ożywione zainteresowanie polskimi komunistami. Stalin z całą pewnością ponownie się nawrócił na koncepcję odrębnej państwowości Polski, natomiast nigdy by się nie zgodził na przyjęcie zasady prawdziwej niepodległości. To w tym momencie zasiano ziarno, które miało przynieść plon w postaci powojennej komunistycznej Polski. Pod koniec 1941 roku Komintern ponownie otworzył sekcję polską, a fale eteru nabrały świetności za sprawą nowej radiostacji pod nazwą „Radio Kościuszko". Plany polityczne potoczyły się dwoma równoległymi torami – jednym w samej Polsce, pod nosem niemieckiego okupanta, i drugim w Moskwie.

5 stycznia 1942 roku odbyło się w Warszawie tajne posiedzenie garstki ocalałych członków dawnej KPP i niewielkiej „grupy inicjatywnej", przeszmuglowanej z Rosji. Utworzyli oni trzon nowej partii komunistycznej, której nadali nazwę „Polska Partia Robotnicza" (PPR). Po tajemniczej śmierci w dziwnych okolicznościach pierwszych przywódców, Marcelego Nowotki i Pawła Findera, pojawił się Władysław Gomułka – jej *spiritus movens* w latach 1943–1948. Manifest partii z listopada 1943 roku, zatytułowany *O co walczymy?*, podkreślał jako dwa bliźniacze cele

---

Kazimierz Dziewanowski, *The Communist Party of Poland: An Outline History*, wyd. 2, Cambridge, Mass. 1976.

niepodległość narodową i rewolucję społeczną, zrywając w ten sposób z internacjonalistyczną ideologią KPP i zapoczątkowując powstanie charakterystycznego amalgamatu nacjonalizmu i leninowskiego socjalizmu.

W tym samym czasie w Moskwie Polskie Biuro przy WKP(b) powołało organizację pod nazwą Związek Patriotów Polskich (ZPP), na którego czele stanęła Wanda Wasilewska. Celem było stworzenie narzędzia sowieckiej kontroli nad wszystkimi powstającymi właśnie nowymi polskimi organizacjami – zarówno cywilnymi, jak i wojskowymi. Nazwa wybrana przez Sowietów, która wywołała ogromne oburzenie w kręgach polskich w kraju[30], mimo wszystko odpowiadała podstawowej funkcji tej organizacji. ZPP miał nie tyle wzmacniać polskich komunistów, ile przyciągać wszystkich Polaków, bez względu na polityczne powiązania, jeśli tylko można było ich nakłonić do działania według sowieckich rozkazów. W myśl tych zamierzeń dla PPR przewidziano jedynie drugoplanową rolę. Stalin dał wiele dowodów swojej pogardy dla zagranicznych komunistów, których uważał za niegodnych zaufania. Głównym priorytetem sowieckich władz było stworzenie wybranej grupy Polaków, którzy byliby lojalni w pierwszym rzędzie wobec ZSRR, a nie wobec Polski. Dokonując takiego wyboru, Sowieci musieli się skłaniać raczej ku ludziom słabego charakteru, renegatom i oportunistom, których można było szantażować ich przeszłością, niż ku ludziom twardym, oddanym idei międzynarodowego komunizmu. Właśnie dlatego we wszystkich komitetach i rządach, pojawiających się pod sowieckimi auspicjami w latach 1944–1948, od PKWN po TRJN, przeważali ludzie nie będący członkami partii. Od tego czasu określenie „patriota" zdewaluowało się w polszczyźnie, znacząc mniej więcej tyle, co „sowiecki pachołek", podobnie jak etykietę „demokrata" zawsze przyczepiano komuś, kto wpycha się do kolejki po żywność. W łonie ruchu komunistycznego powstał trwały mur podejrzeń, oddzielający garstkę dawnych idealistów od licznych sługusów Moskwy.

W ponurym świecie wojennej Polski komuniści mieli bardzo niewielu sojuszników. Żadna z większych partii nie chciała mieć z nimi absolutnie nic do czynienia. Budując swój obraz „awangardy wszystkich sił postępu", przylepiali oczywiście tak samo rozdmuchane etykiety jednostkom, jak i odłamom, które się do nich przyłączały. Osóbka-Morawski, opatrzony etykietą „czołowego przedwojennego socjalisty", był w gruncie

[30] Wyraz „Patriotów" został pożyczony bez pytania o pozwolenie od Rady Patriotycznej założonej w 1940 roku przez byłych członków Frontu Morges i blisko związanej z rządem polskim w Londynie. Podczas I wojny światowej istniała też organizacja zwolenników Piłsudskiego pod nazwą Związek Patriotów.

rzeczy mało znaczącym urzędnikiem w warszawskiej spółdzielni mieszkaniowej. Jego „partia" – RPPS – nie była przedłużeniem partii głównego nurtu jak PPS, lecz maleńkim jej odłamem. Nie był też, jak utrzymywano, dawnym członkiem egzekutywy PPS. Andrzeja Witosa i Jana Czechowskiego obdarzono mianem „wybitnych członków" Stronnictwa Ludowego. Nic podobnego. Ich „opozycyjne skrzydło" SL było ruchem, który sami stworzyli. Pojawiło się też samozwańcze ugrupowanie „bezpartyjnych demokratów" kierowane przez Wincentego Rzymowskiego, a także ugrupowania „postępowych" pisarzy, związkowców, spółdzielców, walczącej młodzieży, Żydów, partyzantów, kobiet. Żadne z nich nie miało własnej niezależnej pozycji. Wielu spośród nowych działaczy – od Bieruta i Żymierskiego (Łyżwińskiego) po Jerzego Borejszę (Goldmana) czy Stanisława Kotka (Agroszewskiego) – opinia publiczna nie mogła zidentyfikować, ponieważ używali pseudonimów. W 1944 roku ruszył strumień gazet płynący z wyzwolonego Lublina; pojawiły się takie tytuły, jak „Rzeczpospolita", „Robotnik" czy „Zielony Sztandar" – atakowały one wściekle rząd polski na uchodźstwie, jednocześnie bezczelnie kradnąc tytuły oficjalnych organów partii rządowych. Ogólnie rzecz biorąc, kampania budowy szerokiej „postępowej koalicji" na papierze wyglądała na wspaniały sukces, ale w gruncie rzeczy zawierało się w niej bardzo niewiele autentycznej treści.

Przez dużą część wojny powiązania komunistów w Polsce z ich sowieckimi patronami były bardzo słabe. Mimo względnej bliskości terytorium ZSRR na wiejskich terenach Polski istniało niewiele bezpiecznych miejsc, gdzie można się było schronić, i bardzo niewiele pomocy ze strony sowieckiego lotnictwa. Polskim komunistom trudniej było porozumieć się z Moskwą niż Armii Krajowej z Londynem. Prawdę mówiąc, istnieją powody, żeby przypuszczać, iż towarzyszom Gomułki nie bardzo zależało na zbyt częstych konsultacjach z Moskwą. W krytycznym momencie oświadczali, że zepsuł im się nadajnik albo że zgubili kody, po czym robili swoje. Podczas jednej z takich przerw, w okolicach Nowego Roku 1944, ustanowili swoją własną Krajową Radę Narodową (KRN), która była w Polsce pierwszą oficjalną próbą obejścia administracyjnych organów polskiego rządu. Prawdziwa integracja członków dwóch głównych ośrodków ruchu komunistycznego, w Warszawie i w Moskwie, nastąpiła dopiero po wkroczeniu Armii Czerwonej, która w lipcu 1944 roku zjednoczyła ich w ramach PKWN.

Powiązania komunistów z Armią Krajową i innymi podziemnymi formacjami ograniczały się do lokalnej współpracy taktycznej. Połączyli siły w czasie powstania warszawskiego, mężnie walcząc u boku AK, ale

gdzie indziej wdawali się krwawe starcia z NSZ i NOW. Nie byli w najmniejszym stopniu skłonni do podejmowania jakichkolwiek działań, które oznaczałyby uznanie rządu polskiego. Powiązań ze światem zewnętrznym nie mieli wcale. Do czerwca 1945 roku żadnej z ich samozwańczych instytucji nie uznawało żadne inne państwo z wyjątkiem ZSRR.

Siły zbrojne ruchu komunistycznego miały w roku 1943 skromne początki, ale do roku 1945 rozrosły się do imponujących rozmiarów. Gwardia Ludowa Polskiej Partii Robotniczej zaczynała jako prywatna milicja PPR. Ale po przekształceniu się w styczniu 1944 roku w Armię Ludową szybko nabrała większych ambicji i zaczęła formować oddziały partyzanckie we wszystkich okręgach Polski leżących na zachód od Bugu. W sensie politycznym podlegała Krajowej Radzie Narodowej, a pod dowództwem Franciszka Jóźwiaka (pułkownika „Witolda") oferowała praktyki czeladnikom – kilku tak wybitnym postaciom okresu powojennego jak dowódca okręgu łódzkiego Mieczysław Moczar („Mietek") czy Marian Spychalski, późniejszy marszałek Polski i przewodniczący Rady Państwa. W kulminacyjnym punkcie walki z niemiecką okupacją więcej osób było związanych z komunistyczną partyzantką niż z samą partią komunistyczną. Równocześnie zaś na terenie Związku Sowieckiego powstawała pod auspicjami sowieckimi regularna polska armia. Chociaż władze sowieckie oferowały tę opcję przez cały czas od 1940 roku, kiedy NKWD zjednało sobie niewielką grupę wziętych do niewoli oficerów z pułkownikiem Zygmuntem Berlingiem na czele, pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem. Skoro nie udało się poddać sowieckiej kontroli armii generała Andersa, z ulgą przyjęto jej odejście. Z drugą próbą trzeba było czekać do momentu zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w kwietniu 1943 roku. „Polskie Siły Zbrojne w ZSRR" pod dowództwem generała Berlinga pojawiły się trzy dni później, kiedy agencja TASS ogłosiła powstanie Pierwszej Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. W lecie, w polskiej bazie nad Oką, na południe od Moskwy, formowały się i odbywały ćwiczenia trzy dywizje piechoty i brygada pancerna. Dywizja Kościuszkowska przeszła chrzest bojowy w październiku 1943 roku w bitwie pod Lenino, gdzie walczyła w sektorze dowodzonym przez Żukowa na froncie wschodnim. Skład tych jednostek był bardzo szczególny pod kilkoma względami. Po pierwsze, ponieważ podlegały Związkowi Patriotów Polskich, wydziały polityczne nie pozostawały pod bezpośrednim nadzorem NKWD i stanowiły świetne pole do działania dla koterii radykalnych polskich komunistów o jednoznacznie rewolucyjnych przekonaniach. Ci „ludzie znad Oki" – jak Roman Zambrowski, Hilary Minc czy Edward Ochab – w latach pięćdziesiątych z pewnością

dodawali polskiej partii swoistego kolorytu. Po drugie, z powodu niewytłumaczalnego niedoboru wyszkolonych polskich oficerów przeważającą część korpusu oficerskiego trzeba było wspomagać oficerami z Armii Czerwonej. Chociaż niektóre nazwiska – Karol Świerczewski, Aleksander Zawadzki, Antoni Siwicki – wskazywały na polskie pochodzenie, bardzo niewielu z nich kiedykolwiek służyło w polskim wojsku, a wielu znało tylko język rosyjski. Natomiast żołnierze w większości, przynajmniej początkowo, byli Polakami rekrutującymi się z wciąż jeszcze znacznej grupy polskich uchodźców i Polaków deportowanych do Rosji. Ich liczba szybko rosła – od około 78 000 w 1944 roku do ponad 400 000 w roku 1945, kiedy na wyzwolonych terenach można było ogłosić pobór. Końcowy etap tej organizacyjnej ewolucji nadszedł z chwilą przekroczenia Bugu w lipcu 1944 roku, gdy armia Berlinga połączyła się z Armią Ludową PPR. Powstałe w efekcie Wojsko Polskie podlegało sowieckiemu dowództwu operacyjnemu, ale jego organizacje polityczne podlegały PKWN. Pozostawało na linii frontu przez cały ostatni rok wojny; część jednostek dotarła do Czech, a część do Berlina, gdzie ostatecznie zawieszono polską flagę na Bramie Brandenburskiej. Tak wyglądał protoplasta powojennych sił zbrojnych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej[31].

Tak więc w chwili rozpoczęcia ostatniej fazy walk obóz prosowiecki w Polsce składał się z kilku odrębnych elementów. Mimo to w każdym stadium amalgamacji nadzór sprawowano według takich samych reguł. Każda formacja wojskowa podlegała wewnętrznemu nadzorowi wydziałów politycznych, które z kolei podlegały rozkazom nadrzędnej organizacji cywilnej. Każda organizacja cywilna zaś – czy to PPR, ZPP, KRN czy PKWN – była tworem władz sowieckich. Prawidłowości amalgamacji organów cywilnych także są godne uwagi. Za każdym razem gdy polscy komuniści próbowali zdobyć sobie pewną dozę autonomii, wkrótce potem narzucano im grupę nadzorującą z Moskwy. W latach 1942–1943 grupa współpracowników Gomułki w Warszawie musiała przyjąć Bieruta i jego towarzyszy, których specjalnie przysłano im na pomoc. Gomułka i KRN Bieruta, która w pierwszej połowie 1944 roku działała w Polsce w miarę niezależnie, w lipcu 1944 roku została zmuszona do połączenia sił z PKWN, a później z TRJN – w obu ciałach dominowali Osóbka, Rola i najbliżsi agenci Sowietów. Gdy tylko PPR ponownie umocniła po wojnie swoją pozycję, stając się zasadniczym jądrem PZPR oraz trzonem nowego jednopartyjnego państwa, otrzymała nowy powalający cios: przyjechał marszałek Rokossowski, kolejny członek grupy Polaków w sowieckiej

[31] *Z zagadnień rozwoju Ludowego Wojska Polskiego*, red. Józef Margules, Warszawa 1964.

służbie, którzy przez cały czas byli najwyższymi władcami toczącego się procesu. Można pogardzać technikami manipulacji Sowietów, ale jednocześnie nie można nie podziwiać ich pomysłowości. Warstwa za warstwą poszczególne poziomy zazębiających się ze sobą mechanizmów kontroli politycznej pozwalały Moskwie trzymać swoich poddanych w garści na każdym kroku. A jeśli któryś tryb się wyłamał, w odwodzie czekało mnóstwo innych. Sprzymierzeńcom Moskwy nie tylko zakładano obrożę, ale do tej obroży przypinano krótką smycz, do smyczy łańcuch, a do łańcucha tresera na łańcuchu i w obroży, do obroży tresera łańcuch, do łańcucha smycz z treserem tresera na końcu, a dla bezpieczeństwa były jeszcze kaganiec na ustach, klapki na oczach i linki przywiązane do łap i ogona. W języku sowieckiej tresury nazywało się to „braterską pomocą". Biegać wolno było tylko kapitalistycznym psom.

Ostateczne rozwiązanie w sprawie relacji między obozem prosowieckim i zwolennikami rządu polskiego wyreżyserowano tak, aby przypadło na czas zwycięstwa Europy nad hitleryzmem. Uczestników polskiego ruchu oporu, którzy walczyli z hitlerowską tyranią dłużej niż ktokolwiek inny, wykańczano akurat wtedy, gdy wszystkie inne państwa sprzymierzone świętowały zwycięstwo. A wykańczało ich jedno z państw sprzymierzonych. Armię Krajową złamało powstanie warszawskie, emigranci w Londynie byli beznadziejnie podzieleni z powodu decyzji Mikołajczyka o przyłączeniu się do komunistów w Warszawie, nadzieje obozu prorządowego brutalnie zniweczyły postanowienia z Jałty; cała Polska leżała zdruzgotana i przytłoczona przez Armię Czerwoną, obiektywnie rzecz biorąc, nie było więc powodu po temu, aby Sowieci poczuli chęć zemsty. Polskę podano im na tacy. Jednak dobrze wypróbowane normy sowieckiej kultury politycznej wymagały, aby pokonany przeciwnik został w sposób rytualny poniżony i ubiczowany. W czerwcu 1945 roku, pośród obchodów z okazji założenia ONZ i w przeddzień ostatniego spotkania Wielkiej Trójki w Poczdamie, przywódców polskiego ruchu oporu z czasu wojny postawiono w Moskwie przed sądem jako zbrodniarzy wojennych. Ludzi, którzy walczyli z hitlerowcami dłużej niż którykolwiek z aliantów, i to w skrajnie trudnych warunkach, publicznie napiętnowano jako zdrajców i wywrotowców oraz oskarżono o kolaborację z Niemcami i opór przeciwko walce państw alianckich z hitlerowcami. W wyniku procesu moskiewskiego szesnastu przywódców polskiego obozu prorządowego, w tym głównodowodzącego Armii Krajowej generała Okulickiego, ostatniego Delegata Rządu na Kraj Jankowskiego i wybitnych członków Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Pracy i Stronnictwa Narodowego, skazano na więzienie i katorgę. Kilku z nich

zmarło później w sowieckim więzieniu. Ze wszystkich moralnych aktów kapitulacji, których zażądał Wielki Sojusz państw alianckich i Związek Sowiecki, nie było nic bardziej odrażającego. Można było wybaczyć euforię zwycięstwa; bezgraniczne uwielbienie brytyjskiej i amerykańskiej opinii publicznej dla bohaterstwa i poświęcenia Armii Czerwonej było jak najbardziej na miejscu; natomiast akt, który publicznie okrył hańbą i upokorzył ludzi należących od samego początku do antyhitlerowskiego sojuszu, podjęty w interesie politycznej zemsty, jest plamą na sumieniu każdego, kto się mu przyglądał w milczeniu. Bo o ile inne ohydne akcje tej epoki (na przykład przymusowa repatriacja rosyjskich Kozaków i sowieckich jeńców) przeprowadzano w tajemnicy, o tyle zgnieceniu przez Sowietów polskiego ruchu oporu towarzyszyły wielki rozgłos i szeroko zakrojona propaganda. Protokoły procesu moskiewskiego otwarcie opublikowano w Londynie po angielsku, aby mógł się z nimi zapoznać cały świat[32].

Losy rządu polskiego i jego lojalnych zwolenników były niezwykle bolesne. Armię Krajową oficjalnie rozwiązano w styczniu 1945 roku. Ci spośród jej członków, którzy się zdecydowali walczyć w szeregach organizacji wojskowych NIE i WiN, podjęli walkę bez jakichkolwiek instrukcji z góry. Dziesiątki tysięcy akowców aresztowały sowieckie organy bezpieczeństwa, zmuszając ich do podpisania deklaracji lojalności. Wielu wywieziono do obozów na terenie ZSRR, gdzie niektórzy pozostali do końca życia. Wybitniejsi spośród nich przesiedzieli pewien czas w więzieniach w towarzystwie hitlerowskich zbrodniarzy wojennych i innych „wrogów ludu", po czym byli sądzeni i skazywani w tajnych procesach, które się ciągnęły do lat pięćdziesiątych[33]. Nieliczni zgodzili się objąć stanowiska w służbie Polski Ludowej, żeby sobie ułatwić życie, a niekiedy podejmując świadomą próbę wpływania od środka na działanie nowych instytucji. Sam rząd polski został w Londynie, ale utracił wszystkie ważniejsze akredytacje polityczne z chwilą, gdy w czerwcu 1945 roku Wielka Brytania i USA uznały popierany przez Sowietów TRJN w Warszawie. To w tym momencie – a nie wcześniej – stał się „rządem emigracyjnym", odciętym od ojczyzny i skazanym na nieskończone czuwanie wiecznego wygnania. Jego prezydenci następowali po sobie w należytej sukce-

[32] *Trial of the Organisers, Leaders and Members of the Polish Diversionist Organisation, 1945 June 18–21, Moscow*, Verbatim Report, London 1945. Zob. też Zbigniew Stypułkowski, *Invitation to Moscow*, New York 1962. Przemówienie generała Okulickiego we własnej obronie cytuje Garliński w: *Poland, SOE and the Allies*, dz. cyt.

[33] Kazimierz Moczarski, *Rozmowy z katem*, Warszawa 1974.

sji: Władysław Raczkiewicz (1939–1947), August Zaleski (1947–1972), Stanisław Ostrowski (1972–1979), Edward Raczyński (1979–1986), Kazimierz Sabbat (1986–1989) i do roku 1990 – Ryszard Kaczorowski. W kategoriach ściśle prawnych mógł sobie rościć oprawo do statusu prawowitego rządu Polski. Do czasu poważnego sporu w 1954 roku między generałem Andersem i polskimi wojskowymi bonzami pozostawał głównym ośrodkiem polskiego życia emigracyjnego. Polskie siły zbrojne przebywały przez pewien czas w brytyjskich bazach wojskowych – 1. Korpus w Niemczech, 2. Korpus we Włoszech. Kiedy ostatecznie w roku 1946 zarządzono demobilizację, wszystkim Polakom w służbie brytyjskiej dano do wyboru: mogli albo bez przeszkód wrócić do kraju, albo osiedlić się na terenie Zjednoczonego Królestwa lub Wspólnoty Brytyjskiej. Około 105 000 (42 procent) zdecydowało się na powrót. Pozostałe 144 000 (58 procent) postanowiło zostać. (Wielu byłych mieszkańców miast wcielonych do ZSRR i tak nie mogłoby tam wrócić). Wraz z żonami i dziećmi, przetransportowani do Wielkiej Brytanii z Afryki i Indii, w liczbie znacznie zwiększonej przez potężny strumień polskich wysiedleńców z Niemiec, stworzyli trzon nowej polskiej emigracji na Zachodzie. Korzystając z pomocy wspieranego przez Wielką Brytanię Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia (działającego w latach 1946–1950), organizacji społecznych i kulturalnych założonych przez Polską Misję Katolicką oraz Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, a także dzięki ogromnej i wytrwałej samopomocy, rozwiązywali problemy związane z asymilacją, oświatą, zatrudnieniem i opieką społeczną, rozpoczynając nowe życie w przybranej ojczyźnie. Dziś, po upływie dwóch pokoleń, niewielu ma powody, aby wątpić w akceptację brytyjskiego społeczeństwa. Starzejący się weterani wojennego exodusu wciąż demonstracyjnie zachowują swoją polskość, co łatwo zauważyć, odwiedzając Ognisko Polskie na londyńskim Kensingtonie lub pobliski Instytut Polski i Muzeum Sikorskiego. Młodzi ludzie, urodzeni z polskich rodziców w Wielkiej Brytanii, starają się przerzucać mosty między dwiema kulturami. Życie na wygnaniu w Wielkiej Brytanii ma swoje zalety. Nikt jednak nie może udawać, że to właśnie jest los, dla którego ci oddani ojczyźnie Polacy opuścili swój kraj w 1939 roku lub o który walczyli[34].

Tymczasem w nowej Polsce członkowie obozu promoskiewskiego zdążyli już przejąć stery rządu. W opinii przeważającej większości narodu

[34] Zob. Jerzy Zubrzycki, *Polish Immigrants in Britain*, The Hague 1956; Sheila Patterson, *The Poles: An Exile Community in Britain*, w: *Between Two Cultures*, red. James L. Watson, Oxford 1977. Temat dojrzał już do badań naukowych.

byli uzurpatorami, agentami obcego mocarstwa, któremu pomogli skraść prawdziwym przywódcom przysługujące im prawa. W każdym razie ich sukces nie był efektem naturalnego procesu politycznego. Nie wynikał z wewnętrznych współzależności między dążeniami, interesami i działaniami zorganizowanych ugrupowań w łonie polskiego społeczeństwa. Wynikał raczej ze współzależności między zewnętrznymi silami – z podziału Europy między zwycięskie państwa sojusznicze, z morderczego uścisku, w jakim Armia Czerwona trzymała Europę Wschodnią, i z mistrzowskiego wykorzystania trudnej sytuacji wojennej Polski przez Sowietów. Albowiem obóz promoskiewski w Polsce, któremu przyklejano etykiety „władza ludu"[35] i „zjednoczenie wszystkich antyfaszystowskich sił postępu", nie był ani jednym, ani drugim. Był kukułczym jajem, podrzuconym podstępnie do polskiego gniazda, żeby się tam wykluło. Gdy nadszedł czas, jak wszystkie żarłoczne kukułki doprowadził do śmierci głodowej inne pisklęta, wypchnął je z gniazda i sam się w nim rozpanoszył.

Gorzkie żniwa

Współczesne działania wojenne, które często dotykają ludność cywilną boleśniej niż żołnierzy, niosą ze sobą straszliwe doświadczenia i powszechnie mówi się, że wojna nie zna zwycięzców, lecz jedynie przegranych. W kategoriach ludzkiego cierpienia nie da się porównać cierpień rannych, sierot i bezdomnych – po obu stronach. W kategoriach wartości materialnych trudno też porównywać zyski zwycięzców i straty pokonanych. Czterdzieści lat po zakończeniu II wojny światowej Niemcy Zachodnie i Japonia miały dwie najbardziej stabilne i dynamiczne gospodarki na świecie, podczas gdy gospodarki USA, Wielkiej Brytanii i Francji wyglądały tak, jakby z trudem wlokły się od jednego kryzysu do drugiego. W świecie komunistycznym wydajność, postęp techniczny i produkcja rolna w Niemczech Wschodnich czy na Węgrzech znacznie przewyższały osiągnięcia ZSRR, który miał najniższą stopę życiową w całym bloku sowieckim. Wielu mieszkańców stolic byłych państw sojuszniczych doszło zapewne do przekonania, że „wygranie wojny" mogło się okazać poważnym utrudnieniem życia. Ale wojen nie prowadzi się tyl-

[35] Etykietę „Polska Ludowa" komuniści „pożyczyli", nie pytając o pozwolenie, od propagandy niekomunistycznego ruchu chłopskiego działającego podczas wojny w ruchu oporu.

ko w oczekiwaniu materialnych korzyści. O wiele bardziej liczy się władza, z prawem sprawowania kontroli nad własnym losem i z potężnym wpływem narodowych psychopatologii – poczucia niepewności, ambicji, agresji i prestiżu. Bilanse wojen należy oceniać przede wszystkim właśnie w perspektywie takich kwestii moralnych i politycznych. Jeśli idzie o Polskę, bilans II wojny światowej wskazuje, że straty były znacznie większe niż korzyści.

Największą stratą Polski – ostateczną i nieodwracalną – była śmierć sześciu milionów ofiar – niemal jednej piątej ogółu przedwojennej ludności. Ta potworna rana w żywej tkance narodu, która unicestwiła cały przyrost naturalny okresu międzywojennego, zagoiła się dopiero po trzydziestu latach, pozostawiając trwałe blizny i zniekształcenia. Ale śmierć nie była sprawiedliwa dla wszystkich sektorów ludności. Najciężej dotknęła te grupy, które było najtrudniej zastąpić. Przeważnie stawała się udziałem ludzi młodych – dziewcząt i chłopców, którzy walczyli i stawiali opór, członków klas wykształconych i wykwalifikowanych, których wybierali do likwidacji planiści okupantów, ludzi odważnych i aktywnych, którzy nie mieli zamiaru biernie służyć tyranom. Z natury rzeczy te ofiary wojny mogły się stać przyszłymi przywódcami narodu, a ich energię, umysły i charaktery można było wykorzystać, budując lepszą Polskę. Bez nich – jeśli już nie z innych powodów – Polska była skazana na władzę spoczywającą w rękach ludzi mniejszego kalibru. Pośród dymu krematoriów służących celom „ostatecznego rozwiązania" Holokaust pochłonął także większą część polskiej społeczności Żydów – niemal połowę wszystkich ofiar. O tej szczególnej zbrodni nie sposób myśleć bez straszliwego przerażenia. Być może są w Izraelu i w Polsce ludzie, którzy czują odrazę na myśl o hitlerowskich zbrodniach, ale jednocześnie utrzymują, że wynikające z niej rozdzielenie walczących i skłóconych ze sobą społeczności okazało się korzystne dla obu stron. W 1946 roku wybuch być może wyreżyserowanego pogromu w Kielcach wydaje się przemawiać na rzecz takiego poglądu. Ktoś inny mógłby powiedzieć, że rozwód Polski z byłymi żydowskimi obywatelami pozbawił kraj różnorodności kulturowej i ludzkich talentów, na których utratę nie mogła sobie pozwolić.

Takimi czy innymi metodami Polskę pozbawiono także dalszych kilku milionów obywateli, którzy jeśli nawet nie zginęli na wojnie, to zostali na zawsze oderwani od ojczyzny. Politycznych zesłańców z obozu prorządowego – żołnierzy, urzędników, polityków i pisarzy oraz członków ich rodzin – było wiele setek tysięcy. Dawniej tworzyli oni trzon panujących elit – rezerwuar doświadczenia politycznego polskiego narodu. Także deportowani i więźniowie obozów pracy, którym udało się przetrwać czas

niewolniczych robót i trudy wywózki do Niemiec lub Rosji, często zmuszeni byli budować sobie nowe życie za granicą. Polaków, którzy pozostali w Europie Zachodniej lub na Syberii z powodów zdrowotnych i rodzinnych, na skutek przeszkód biurokratycznych lub zwykłego zniechęcenia, było więcej niż dobrowolnych uchodźców. Członkowie polskich mniejszości niemieckiej i ukraińskiej – pierwsi wypędzeni w myśl postanowień traktatu poczdamskiego, drudzy zdziesiątkowani w wyniku prywatnej umowy między władzami sowieckimi i PKWN – pozostawili po sobie rozległe obszary, które mieli ponownie zaludnić i zagospodarować importowani osadnicy. Nie ma kraju, który wytrzymałby taką demograficzną chirurgię bez objawów potężnego szoku.

We wszystkich przypadkach szczególnie dotkliwy był psychologiczny kontekst tych strat w ludziach. Innym krajom, które straciły w II wojnie światowej miliony obywateli, cierpienie pomagała znieść świadomość oczywistych argumentów moralnych. Rosjanie opłakiwali swoich poległych z niezachwianą pewnością, że ich poświęcenie zmieniło ZSRR w jedno ze światowych supermocarstw. Brytyjczycy i Amerykanie, których demokracje przetrwały wojnę w nienaruszonym stanie, mogli wierzyć, że śmierć ludzi poległych w obronie wolności nie była daremna. Niemcy i Japończycy mogli przynajmniej uzasadniać swoje cierpienia, oskarżając przywódców z czasu wojny, których szaleństwo ściągnęło na nich nieszczęście. Ale Polacy, których straty w ludziach były największe, musieli opłakiwać poległych bez żadnego pocieszenia. W odróżnieniu od Rosjan nie mogli żywić uczucia dumy ani z powodu potęgi i chwały militarnych triumfów, ani z powodu odporności socjalistycznego porządku. W odróżnieniu od Anglików i Amerykanów nie mogli liczyć na przetrwanie przedwojennej wolności i demokracji. W odróżnieniu od Niemców i Japończyków nie mogli nawet obarczać winą swoich przywódców, ponieważ rząd polski ani nie zaczął wojny, ani też nie porzucił walki. Polacy ginęli z honorem, ale ich śmierć nie przyniosła żadnych widocznych skutków, które by uzasadniały tę ofiarę.

Strat terytorialnych Polski także nie można było mierzyć w hektarach czy kilometrach kwadratowych. Rekompensata terytorialna w postaci Ziem Zachodnich także nie mogła – poza aspektami materialnymi – zrównoważyć „nieodzyskanych" ziem na wschodzie. Potencjał przemysłowy miast Danzig, Stettin czy Breslau był oczywiście większy od potencjału Wilna, Brześcia czy Lwowa. Grunty orne na Pomorzu czy Dolnym Śląsku były o wiele lepsze od ziem Litwy lub bagien nad Prypecią. Ale przywiązania ludzi do ich ojczystej ziemi nie mierzy się przywiązaniem do statystyki. Utrata terytorium nie jest po prostu zjawiskiem

geograficznym – zmianą na mapie. To atak na organizm narodu, na jego sposób życia i tradycje. Kiedy – jak w przypadku Polski – towarzyszy mu masowe przemieszczenie ludności, dochodzi do tego uczucie bolesnego oderwania od wszystkiego, co najdroższe. Szanse na dostatniejsze życie Polaków, którzy w roku 1945 czy 1946 przenieśli się ze Lwowa do Breslau – przemianowanego na Wrocław – albo z chaty nad Niemnem do gospodarstwa nad Odrą, zwiększały się albo nie, ale ci Polacy z pewnością nie „wracali do domu". Rozpoczynali przymusową podróż w nieznane, pełni niepokoju i obaw. Być może to posunięcie było konieczne, a w niektórych przypadkach nawet witano je z radością. Ale nie było łatwe. Proces wyrywania rodzin z korzeniami i sadzenia ich w nowym miejscu nawet w najpomyślniejszych okolicznościach jest bardzo bolesnym doświadczeniem. Pomnożony przez miliony, zadał polskiemu społeczeństwu cios, po którym podnosiło się przez całe dziesięciolecia.

Byłoby oczywiście bezzasadne twierdzić, że Polskę dało się w roku 1945 zrekonstruować bez żadnych poprawek jej przedwojennego terytorium. Gwałtowana i przerażająca przemoc w walkach wewnętrznych, jakiej podczas wojny poddano polskie mniejszości na Wołyniu i Białorusi, przekonała wielu Polaków, że posiadanie prowincji na wschodzie jest raczej wątpliwym dobrodziejstwem, podczas gdy nadzieję na uzyskanie ziem niemieckich zasiedlonych głównie przez Polaków – Górnego Śląska, Poznańskiego czy Prus Zachodnich – mieli niemal wszyscy Polacy. Po licznych gorzkich doświadczeniach wielu myślących ludzi gotowych było przyznać, że władza polskiej mniejszości nad Litwinami, Białorusinami czy Ukraińcami na wschodzie jest nie do obrony tak samo jak władza mniejszości niemieckiej nad Polakami na zachodzie. Samego projektu zrównoważonych zmian granic połączonych z rekompensatą terytorialną nie kwestionowano. Nawet rząd polski w Londynie, który czuł się odpowiedzialny za los wszystkich części przedwojennej Rzeczypospolitej, nie był z gruntu przeciwny negocjacjom na ten drażliwy temat. Chociaż pojedynczy politycy twardo odrzucali wszelką myśl o oddaniu nawet piędzi dawnego terytorium Polski i chociaż oficjalną polityką polskiego rządu było odłożyć dyskusję na temat zmian terytorialnych do czasu powojennej konferencji pokojowej, w rzeczywistości zarówno Sikorski, jak i Mikołajczyk prowadzili długie dyskusje na temat przyszłych granic Polski. Problem leżał nie tyle w samej idei zmian, ile w metodach i procedurach, a przede wszystkim w braku wzajemnego zaufania między stronami. O ile bowiem rząd Polski był niechętny, niepewny i podejrzliwy, o tyle rząd sowiecki okazał się brutalnie nieustępliwy. Kiedy w 1943 roku Stalin uzyskał pewność, że Armia Czerwona zajmie całą

Europę Wschodnią, raz za razem odmawiał zgody na jakiekolwiek rozwiązanie sprawy polskich granic poza tym, które sam dyktował. Kreml nieugięcie stał na stanowisku, że państwa alianckie powinny przywrócić zachodnią granicę carskiej Rosji, uzgodnioną z Niemcami w 1939 roku, a teraz niby przypadkiem nazywaną linią Curzona. Sowieccy dyplomaci w Londynie i Waszyngtonie tak w tej sprawie dręczyli swoich brytyjskich i amerykańskich kolegów, że powstało niebezpieczeństwo rozłamu w łonie Wielkiej Koalicji. Churchill i Roosevelt czuli się skrępowani, narzucając sowieckie rozwiązanie polskim sojusznikom w imię wygranej wojny. Żelazna nieustępliwość strony trzymającej w ręku najsilniejsze karty nieuchronnie doprowadziła do uzgodnień na zasadzie dyktatu. Co gorsza, na tych nielicznych obszarach, gdzie linia Curzona mogła być poddana interpretacji, strona sowiecka nie zgodziła się okazać cienia wspaniałomyślności wobec uczuć polskich przeciwników. Los Lwowa był tu jednym z głównych przykładów. W odróżnieniu od litewskiego Wilna (Vilna, Vilnius), Lwów (Lvow, Lviv, Lemberg) nigdy nie był częścią ani Rosji, ani ZSRR i – mimo że stanowił polską wyspę na morzu ukraińskiego osadnictwa – większość jego mieszkańców niewątpliwie była Polakami. Leżał niecałe 80 kilometrów na wschód od głównego obszaru etnicznego Polski, za Sanem (zob. mapa 2) i istniały poważne wątpliwości, czy ukraińscy chłopi mieszkający w okręgach położonych między Lwowem i Polską rzeczywiście chcą być włączeni do kołchozów sowieckiej Ukrainy. Nawet polscy komuniści – od Gomułki po Langego – którzy rozmawiali o tym ze Stalinem w maju 1944 roku, na ogół byli zgodni co do polskiego Lwowa[36]. Jak pokazują dziś protokoły konferencji w Teheranie, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Anthony Eden był gotów wesprzeć żądania Polski. Ale jego sowiecki odpowiednik Wiaczesław Mołotow wściekle je zaatakował. Znaczący, a może nawet symboliczny dla losów Europy Wschodniej był fakt, że całą gwałtowną wymianę zdań między Edenem i Mołotowem prezydent Roosevelt przespał w swoim fotelu[37]. W efekcie Polakom odmówiono tego jednego jedynego ustępstwa, które mogło przywrócić jednomyślność w naradach aliantów i które mog-

[36] Zob. *The Great Powers and the Polish Question, 1941–1945*, red. Antony Polonsky, London 1976, s. 197–199, cyt. w: Mastny, dz. cyt., s. 174. Jedyny kategoryczny głos poparcia sowieckich roszczeń do Lwowa i skrajnej interpretacji polskich „Ziem Odzyskanych" na zachodzie był głosem niekomunistycznych zwolenników obozu sowieckiego w rodzaju Osóbki-Morawskiego.

[37] Podczas ożywionej dyskusji, jaka toczyła się w Teheranie w sprawie linii Curzona, w szkicu raportu delegacji brytyjskiej zanotowano: „Wydawało się, że prezydent głęboko śpi" (FO 800/4033, s. 2). Ten oraz inne kompromitujące szczegóły pominięto w wersji

łoby rozjaśnić koloryt powojennych relacji polsko-sowieckich. Ostatecznie Polsce przyznano o wiele większe terytorium niemieckie na zachodzie, niż mogłaby sobie życzyć, a jednocześnie nie dostała nic, nawet hektara, ze swoich historycznych ziem na wschodzie. Ale cokolwiek by się stało, uzgodnienia terytorialne musiały się okazać bolesne. Natomiast z powodu niewrażliwości Sowietów okazały się o wiele bardziej bolesne, niż to było konieczne. W Polsce ból i resentymenty nie wygasły po dziś dzień.

Zaciekłość Sowietów w kwestii granic była symptomatyczna dla ich podejścia do innych analogicznych problemów. Sowiecka okupacja Polski i rządy terroru sowieckich organów bezpieczeństwa oznaczały, że poglądy Sowietów na każdy najdrobniejszy szczegół można narzucić we wszystkich sferach życia publicznego. Ale zachodni obserwatorzy – którzy byli, jacy byli – chyba nie zauważali, co się dzieje. Prawdę mówiąc, mentalność sowieckich urzędników i ich polskich stalinowskich naśladowców była tak obca zachodniemu sposobowi myślenia, że trudno byłoby oczekiwać od zachodnich dyplomatów i reporterów, że szybko zrozumieją udręki Polski w całej ich rozciągłości. W doświadczeniach Brytyjczyków czy Amerykanów politykę traktuje się zazwyczaj jak sport podobny do tenisa lub krykieta, gdzie Wielce Szanowny Przeciwnik nigdy nie jest prawdziwym wrogiem, gdzie przyjęte reguły gry pozwalają odróżnić oszustwo i faule od *fair play* (jeśli już nie są w stanie im zapobiec) i gdzie główne rozgrywki powtarza się co cztery czy pięć lat. Tacy ludzie po prostu nie umieli sobie wyobrazić postawy Sowietów wobec pokonanego wroga. Albowiem według stalinowskiego kodu postępowania przeciwnika należało zmusić do wyznania ohydnej zbrodni oporu; przyjęte reguły pozwalały jednemu z graczy oszukiwać i faulować bez żadnego zadośćuczynienia, gry nigdy ponownie nie rozgrywano, a żeby zapewnić trwałość zwycięstwa, wolno było zwycięzcy pozbawić pokonanego pamięci o konflikcie. Nic więc dziwnego, że minęły dwa czy trzy lata, zanim pojawiły się pierwsze kompetentne angielskie i amerykańskie protesty w sprawie Polski, ale nawet wtedy, wśród panującej niechęci do szargania honoru sojuszników z czasu wojny, uważano, że są one dość przesadne[38]. Związek Sowiecki mógł karać Polskę ile chciał i z całkowitą bezkarnością oczerniać swojego sojusznika z czasów wojny. Niedobitki Armii Krajowej nie zostały po prostu zdławione – żołnierzy postawiono przed sądem jako „bandytów", „szmuglerów" albo

drukowanej. Chciałbym podziękować doktorowi Yutace Akino z uniwersytetu w Hokkaido za tę informację i za udostępnienie mi kopii odpowiednich dokumentów.

[38] Arthur Bliss Lane, *I Saw Freedom Betrayed*, London 1949; autor był, między innymi, ambasadorem USA w Warszawie.

„faszystowskich kolaborantów". Powracających do kraju żołnierzy i lotników, którzy walczyli za sprawę aliantów pod Monte Cassino albo w bitwie o Wielką Brytanię, aresztowano jako „imperialistycznych agentów". Rząd polski w Londynie nie był po prostu ignorowany – oficjalnie oświadczono, że został on „nielegalnie" powołany na mocy „faszystowskiej" konstytucji z 1935 roku. Byłemu premierowi Mikołajczykowi, który ośmielił się włączyć w politykę prowadzoną przez Warszawę, nie tylko czyniono obstrukcje – zadenuncjowano go w sejmie jako szpiega. Polaków, którzy postanowili zostać na Zachodzie, traktowano jak pariasów i wyrzutków. Utrzymywanie kontaktów i korespondencję z emigracją uznano za działalność wywrotową. Polaków, którzy walczyli za sprawę aliantów na froncie sowieckim, powitano w ojczyźnie jak bohaterów. Tym, którzy polegli na zachodzie, jako towarzysze broni Brytyjczyków lub Amerykanów, nie wolno było oddać czci nawet po śmierci. Nagrobki, nekrologi i zawiadomienia o śmierci, w których znalazła się najmniejsza choćby wzmianka o polskim rządzie, Armii Krajowej czy służbie wojskowej za granicą, były po prostu usuwane przez agentów policji. Dzieciom w szkole opowiadano, że w wojnie zwyciężył samodzielnie Związek Sowiecki, podczas gdy zachodnie mocarstwa czekały w pełnej wyrachowania bezczynności. Nauczycielom nie wolno było wymieniać nazwisk Sikorskiego ani Andersa, a nieostrożna rozmowa o 17 września czy o Katyniu mogła się skończyć natychmiastowym aresztowaniem. Rodzice, którzy z własnego doświadczenia znali pełniejszy przebieg wojennych wydarzeń, bali się o nich opowiadać dzieciom. Zagranicznych gości przyjeżdżających do Polski chętnie zabierano do warszawskiego getta, do więzienia na Pawiaku, do Auschwitz, ale nie było wycieczek z przewodnikiem do miejsc upamiętnionych przez powstanie warszawskie czy wyjazdów w Bieszczady. W muzeach historycznych odwoływano się wyłącznie do osiągnięć komunistycznego podziemia i Armii Ludowej. Pomniki historyczne wznoszono wyłącznie „ofiarom hitlerowskiej agresji". Każde polskie miasto miało swój własny pomnik wystawiony bohaterom Armii Czerwonej z lat 1944–1945 i żadnego, który by czcił pamięć jego własnych synów, poległych w służbie kraju w 1939 roku. Wszystkim czasopismom, książkom, filmom, sztukom teatralnym i programom cenzura narzucała te same nienawistne wzorce. Przez dwanaście lat, od 1944 do 1956 roku, kiedy Polską rządzili przebywający na jej terytorium sowieccy satrapowie, pamięć o udziale Polski we wszystkich aspektach zwycięstwa aliantów, które nie były bezpośrednio związane z obozem sowieckim, systematycznie usuwano z dokumentów. Do lat dziewięćdziesiątych w Polsce nie opublikowano żadnej wyważonej relacji wydarzeń II wojny światowej.

Efektem tej ogromnej wyrwy w świadomości publicznej była długotrwała trauma. Polacy musieli nie tylko w milczeniu pogodzić się ze śmiercią swojego „straconego pokolenia" i przezwyciężyć ból rozstania ze „straconymi ziemiami", ale oczekiwano od nich zerwania wszelkich więzów z krewnymi i przyjaciółmi za granicą; wyrzeczenia się przyjaźni z wojennymi sojusznikami na Zachodzie i stłumienia uczucia podziwu dla wojennego ruchu oporu z czasu wojny; płacenia przesadnie wielkiego trybutu – w słowach i w naturze – sowieckim wyzwolicielom; obarczania samych siebie winą za nieszczęścia, które ich spotkały, oraz – rzecz najokrutniejsza ze wszystkich – udawania, że ich tragedię można było w jakiś sposób uznać za zwycięstwo. Te doświadczenia polskiego narodu przypominały sytuację torturowanego więźnia, któremu każe się patrzeć, jak jego dręczyciele niszczą mu rodzinę, wszystko, co posiada, przyjaciół i towarzyszy, a wreszcie odbierają mu pamięć i szacunek dla samego siebie.

Z perspektywy czasu nietrudno dostrzec, jak daleko powojenne uzgodnienia w sprawie Polski odbiegały od ideałów, które wyznawali zachodni alianci, walcząc w II wojnie światowej. Dla Polski Karta atlantycka pozostała martwą literą. Zasadę wojny bez ekspansji terytorialnej zignorowano. Związkowi Sowieckiemu udało się namówić Brytyjczyków i Amerykanów do przyjęcia podstawowych ustaleń hitlerowsko-sowieckiego paktu o nieagresji z września 1939 roku, wraz z linią demarkacyjną na zachód od Lwowa i zdławieniem polskiego ruchu niepodległościowego. Udało mu się też rozszerzyć uzyskane przez Polskę byłe tereny niemieckie poza granice, które wszyscy inni uważali za rozsądne lub konieczne. A także zlekceważyć wszystkie demokratyczne gwarancje, które zachodni sojusznicy wprowadzili do traktatów z Jałty i Poczdamu. Gdy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych opublikowano dokumenty dotyczące najważniejszych wojennych epizodów, wcześniejsze protesty zgłaszane przez przeciwników ustaleń w sprawie Polski uznano za w znacznej mierze uzasadnione. Ale do tego czasu – kiedy wybuch zimnej wojny zdążył już unicestwić wcześniejsze zamiary rewizji powojennych postanowień w ramach wielostronnej konferencji pokojowej, o losach Polski już zapomniano[39]. Często się mówi, że „posiadanie to już dziewięć

[39] Znakomite omówienie dyplomacji aliantów w sprawie Polski oraz jej ogólniejszych implikacji dla zachodnich mocarstw przynosi opracowanie: Richard Lucas, *The Strange Allies: The United States and Poland, 1941–1945*, Knoxville 1978. Następna praca tego samego autora, *Bitter Legacy: Polish-American Relations in the Wake of World War Two*, Lexington, Kentucky, 1982, zawiera bardzo przejrzysty przegląd wydarzeń, jakie miały miejsce w Polsce w latach 1945–1947, a także analizę reakcji Amerykanów.

dziesiątych prawa", i w przypadku Polski to powiedzenie się sprawdziło. Związek Sowiecki posiadał Polskę od momentu wkroczenia Armii Czerwonej do Europy Wschodniej w latach 1944–1945 i nigdy nie nadeszła żadna oficjalna okazja, aby porozmawiać o subtelniejszych aspektach sprawy.

Na szczęście jednak nie wszystko jeszcze było stracone. Warstwa polskich chłopów przetrwała wojnę w niemal nienaruszonym stanie i wobec bezprecedensowo dużego przyrostu naturalnego w latach powojennych dostarczyła biologicznych rezerw, z których można było korzystać, odbudowując zniszczoną tkankę polskiego narodu. Polska emigracja przechowała rejestry wydarzeń II wojny światowej pełniejsze od tych, które oficjalnie istniały w kraju. Emigracyjne pamiętniki, wspomnienia i publikacje przenikały przez mur cenzury i wzbogacały świadomość młodego pokolenia, żądnego wiedzy o tamtym czasie. Polski Kościół przetrwał, zahartowany męczeństwem, które dzielił z narodem, i umocniony w roli chorążego polskiej tożsamości. Imię Maksymiliana Kolbego, księdza i męczennika z Auschwitz, który dobrowolnie wystąpił z szeregu, aby oddać życie za innego więźnia, stało się symbolem świętej unii Kościoła z Narodem. We wszystkich istotnych dziedzinach życia kulturalnego – w literaturze, w naukach ścisłych, w humanistyce, muzyce, dramacie – przetrwało wystarczająco wielu mądrych ludzi, którzy mogli strzec skarbów starej kultury i przekazywać potomnym jej tradycje. W obliczu takiej sztuki przetrwania wojskowy i polityczny triumf obozu sowieckiego okazał się powierzchownym i tymczasowym epizodem w tysiącletniej historii Polski. Rany były głębokie, ale totalnemu zniszczeniu stawiono czoło. Potrzebny był długi okres rekonwalescencji. Z gorzkiego żniwa klęski ocalało ziarno niechybnego odrodzenia.

ROZDZIAŁ 3

DZIEDZICTWO ROZCZAROWANIA

Polski eksperyment z niepodległością, 1914–1939

Jedno pokolenie

W sierpniu 1914 roku, kiedy dla Europy zaczęła się męka Wielkiej Wojny, Polska praktycznie nie istniała. Nazwa „Polska" nie widniała na mapie: od dwudziestu do trzydziestu milionów ludzi, którzy mogliby się nazwać Polakami, było poddanymi rosyjskiego cara, niemieckiego kajzera lub cesarza-króla Austrii i nie żył już nikt, kto pamiętałby czasy, kiedy Polska była niepodległym państwem. Warszawa i Wilno były prowincjonalnymi miastami w Rosji, Danzig i Posen – kwitnącymi miastami Prus, a Kraków i Lemberg wchodziły w skład monarchii austro-węgierskiej. „Sprawa polska" – jedna z powracających dziewiętnastowiecznych kości niezgody – niemal już zniknęła z dyplomatycznej agendy. Ale Wielka Wojna miała przekształcić mapę Europy i ocalić sprawę polską od zapomnienia. Przemiana Europy Wschodniej była nagła i niespodziewana. Ustawiając przeciwko sobie trzy wielkie imperia, Wielka Wojna zadbała o to, żeby się nawzajem wyniszczyły. W ciągu pięciu lat niepodległa Polska narodziła się na nowo, po czym przez siedem lat odpierała serie ataków sąsiadów niedowierzających własnym oczom i ustalała swoje granice. Ale po dwudziestu latach była martwa. Cały eksperyment ze współczesną niepodległością – od początku do końca – trwał jedno pokolenie.

1. Odradzenie się Polski podczas Wielkiej Wojny, 1914–1918

Powrót sprawy polskiej na międzynarodowe agendy wyniknął zupełnie logicznie z potrzeby walczących mocarstw, które musiały zdobyć i utrzymać poparcie Polski w działaniach wojennych. Przeważająca część walk na froncie wschodnim z konieczności toczyła się na terenach zamieszkiwanych głównie przez Polaków, a w wyniku masowego poboru do każdej z trzech armii trafiły miliony polskich żołnierzy. Dopóki wśród mocarstw Europy Wschodniej panował pokój, w ich wspólnym interesie leżało wyciszenie sprawy polskiej, natomiast kiedy tylko znalazły się one

w stanie wojny, musiały zacząć ze sobą współzawodniczyć o sympatię ze strony Polski. Wobec tego po zaledwie kilku miesiącach w publicznej dyspucie na temat niepodległości Polski zaczęto wysuwać pierwsze niejednoznaczne propozycje na temat jej autonomii. Najbardziej przypominało to polityczną aukcję, do której – dzięki układowi sojuszy – musiały przystąpić także zachodnie mocarstwa. Pierwszą ofertę wysunęli już w sierpniu 1914 roku Rosjanie, których dowódca na froncie wschodnim wielki książę Mikołaj obiecał zniesienie istniejących granic i utworzenie „odrodzonej Polski", „wolnej w jej wierze, języku i samorządności", pod berłem cara. Z powodu odwrotu Rosjan manifest pozostał martwą literą. Ale precedens już się dokonał. Kiedy podczas wielkiej letniej ofensywy 1915 roku wojska niemieckie i austriackie zajęły cały zabór rosyjski, państwa centralne nie mogły się zgodzić na mniej niż Rosjanie. Po wielu deliberacjach 5 listopada 1916 roku cesarze Niemiec i Austro-Węgier oświadczyli, że na zdobytych terenach zostanie odrestaurowane Królestwo Polskie. W oczekiwaniu na ustanowienie ram prawnych i terytorialnych oraz na nominację króla młodziutkim królestwem miała zarządzać zbiorowa Rada Regencyjna podlegająca wojskowym władzom okupacyjnym. Następny ruch musiał oczywiście należeć do Zachodu. W styczniu 1917 roku prezydent USA Wilson podniósł stawkę, mówiąc w swoim dorocznym kongresowym przemówieniu na temat stanu państwa o „zjednoczonej Polsce". Dwa miesiące później nowo powstały Rząd Tymczasowy w Rosji wydał proklamację o niepodległości Polski i mianował Komisję Likwidacyjną, która miała opracować plan przekazania Polsce zabranych dóbr. Do tego momentu z szacunku dla swojego rosyjskiego sojusznika Wielka Brytania i Francja zachowywały w sprawie Polski milczenie. Ale kiedy Rząd Tymczasowy w Piotrogrodzie poszedł na ustępstwa, nie było powodu, aby się nadal wahać. „Polskę" uznano za jedno z państw sojuszniczych, a niepodległość Polski przyjęto jako jeden z wojennych celów ententy. Choć nadal panowało niejakie zamieszanie, trzynasty z czternastu punktów pokojowego programu prezydenta Wilsona z 8 stycznia, w którym była mowa o „zjednoczonej, niepodległej i autonomicznej Polsce, z wolnym, nieograniczonym dostępem do morza", został powszechnie uznany za jednoznaczne określenie intencji państw sojuszniczych. Polska pozostawała jeszcze pod władzą niemiecką, ale przyjmowano za oczywiste, że zwycięstwo państw ententy nad Niemcami zaowocuje natychmiastowym zastąpieniem marionetkowego Królestwa Polskiego niepodległym państwem polskim.

Dzięki latom fermentu w okresie poprzedzającym wojnę polskie organizacje polityczne i polskie formacje wojskowe zaczęły się pojawiać ze

wszystkich stron. Na froncie politycznym rosnące nadzieje najpierw na autonomię, a potem na niepodległość stanowiły inspirację dla istnego wybuchu aktywności. W Krakowie w latach 1914–1917 działały Naczelny Komitet Narodowy (NKN), którego zadaniem miało być utworzenie zjednoczonej Polski pod auspicjami Austrii, oraz Polska Organizacja Narodowa (PON) Józefa Piłsudskiego, mająca walczyć o niepodległość bardziej bezpośrednimi metodami. W 1914 roku w Warszawie, a następnie w roku 1915 w Piotrogrodzie, w roku 1916 w Lozannie i od roku 1917 w Paryżu działał Komitet Narodowy Polski (KNP) Romana Dmowskiego, który od programu autonomii Polski pod auspicjami Rosji przeszedł do walki o rolę jedynego przedstawiciela przyszłego polskiego rządu. W Londynie w latach 1915–1917 istniał Polski Komitet Informacyjny (PKI) działający w opozycji do organizacji Dmowskiego, a w szwajcarskim Vevey powstał Komitet Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce Ignacego Paderewskiego, mający silne powiązania zarówno z KNP, jak z polsko-amerykańskimi organizacjami w USA. Każda z tych organizacji działała niezależnie i każda pielęgnowała swoją własną wizję procesu narodzin nowej Polski. Na froncie militarnym zmienne losy wojny sprzyjały powstawaniu najrozmaitszych polskich formacji. Najważniejsze były Legiony Piłsudskiego, wojskowe skrzydło PON-u w Austrii i związana z nim, choć z konieczności tajna, Polska Organizacja Wojskowa (POW) w Rosji. Legiony, złożone z trzech brygad, wyróżniały się, walcząc w szeregach wojska austriackiego aż do roku 1917, kiedy zostały dość nagle rozwiązane. POW, która prowadziła wywiad Piłsudskigo i kierowała siecią operacyjną za rosyjskimi liniami frontu, kontynuowała tajne działania przez cały czas wojny. W armii carskiej walczył niewielki ochotniczy Legion Puławski, rekrutowany przez KNP. We Francji powstała złożona z byłych austriackich i niemieckich jeńców wojennych Armia Polska generała Hallera, która walczyła na froncie zachodnim. W Warszawie – w nowo powstałym Królestwie Polskim – niewielkie lokalne siły zbrojne nosiły niestosowną nazwę Polnische Wehrmacht. Zarówno armia amerykańska, jak i kanadyjska zachęcały polskich emigrantów w Ameryce Północnej do ochotniczego zaciągu.

Ogólnie rzecz biorąc, polskie ugrupowania polityczne z okresu wojny dzieliły się na „czynne" pod przywództwem Piłsudskiego, który miał nadzieję wywalczyć niepodległość Polski, zdobywając dla swoich Legionów pozycję formacji niezbędnej dla państw centralnych, oraz „bierne", na czele z Dmowskim, który dążył do osiągnięcia swoich celów metodami dyplomatycznymi i w powiązaniu z państwami sprzymierzonymi.

W samej Polsce tłem tych wydarzeń była śmierć i nieporównywalna z niczym destrukcja. Często zapomina się o tym, że straty – w ludziach

i materialne – na froncie wschodnim były w latach 1914–1918 niemal tak wielkie jak w latach 1939–1945. Ale ponieważ w armiach Rosji, Niemiec i Austrii walczyło jednocześnie około dwóch milionów polskich poborowych i ponieważ najzaciętsze bitwy wybuchały w samym środku ziem polskich – pod Łodzią, Gorlicami, Przemyślem i w ofensywie Brusiłowa w Karpatach – straty wśród Polaków musiały być wysokie. Liczba ofiar działań wojennych doszła do miliona, w tym 450 000 poległych. Liczba ofiar wśród ludności cywilnej była o wiele wyższa. Galicję uznano za teren klęski żywiołowej już w pierwszych miesiącach walk. Kiedy w roku 1915 armia rosyjska wycofywała się poza zasłonę „spalonej ziemi", żołnierze wypędzili z domów prawie milion osób. Straszliwą sytuację uchodźców pogorszyła jeszcze epidemia tyfusu, a w roku 1918 – pandemia grypy. W sumie według obliczeń opartych na danych z terytorium międzywojennej Rzeczypospolitej w ciągu pięciu lat liczba ludności spadła z 30,9 miliona w roku 1914 do 26,3 miliona w roku 1919, czyli o 4,6 miliona, co oznacza roczny spadek o 14,9 procent[1]. Jeśli się do tego doda rekwizycje przeprowadzane przez ogromne armie biorące udział w walkach, niszczenie dróg, linii kolejowych i mostów, likwidację całych miast i wsi przy użyciu nowoczesnej artylerii i celowe wysadzanie w powietrze pól naftowych, cena płacona ludzkim życiem i środkami do życia była niewyobrażalna.

Wkładu Niemców w sprawę niepodległości Polski także się często nie docenia. Niemieckie władze wojskowe, które rządziły w Warszawie od sierpnia 1915 roku do listopada 1918 roku, oczywiście nie żywiły zbyt ciepłych uczuć wobec polskiej polityki narodowej, a ich plany dotyczące przyszłości Polski były poważnie ograniczone. Nigdy nie istniała gotowość zjednoczenia zdobytych ziem polskich na zachodzie z polskimi ziemiami na terenie Niemiec czy Austrii, a przywrócenia marionetkowego Królestwa Polskiego nigdy nie uważano za krok na drodze do niepodległości. Mimo to jedynie nazwa łączy Generalne Gubernatorstwo tamtego okresu z jego nazistowskim następcą z lat 1939–1945. Generał von Beseler nie był Hansem Frankiem. Bez względu na ostateczne zamiary Niemców właśnie oni położyli fundamenty, na których zbudowano później polską niepodległość. To Niemcy zdecydowali się zezwolić na obchody polskiego święta narodowego 3 maja 1916 roku – po raz pierwszy od roku 1862 – umacniając w ten sposób poczucie narodowe Polaków.

[1] Jest to liczba porównywalna z około osiemnastoprocentowym spadkiem w latach 1939–1945, obejmującym ponad trzy miliony polskich Żydów zamordowanych w wyniku hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania".

To dzięki niemieckiej polityce w Królestwie wprowadzono polską administrację i przywrócono język polski jako urzędowy. Rada Stanu złożona z premiera i dwunastu ministrów podjęła dzieło tworzenia polskich instytucji oświatowych, finansowych, wojskowych i społecznych. W marcu 1918 roku Niemcy zostali ostro potępieni przez Polaków za podpisanie w Brześciu Litewskim traktatu z Rosją Sowiecką, który oznaczałby utrzymywanie w nieskończoność nieszczęsnego statusu Królestwa Polskiego jako kadłubowego marionetkowego państwa podporządkowanego Niemcom. Pozostaje jednak faktem, że bez kroków podjętych w czasie wojny przez Niemcy w Polsce zadanie utworzenia pod koniec 1918 roku niepodległego państwa polskiego byłoby o wiele bardziej zniechęcające. Kiedy armia niemiecka zdecydowała się wycofać z Warszawy w dniu zakończenia wojny, 11 listopada 1918 roku, z powodów w znacznej mierze istotnych dla samych Niemiec, to właśnie mianowana przez Niemców Rada Regencyjna objęła rządy, i to Józefowi Piłsudskiemu, tydzień wcześniej celowo zwolnionemu z niemieckiego więzienia, ta Rada postanowiła powierzyć władzę.

Można śmiało powiedzieć, że szczególnego sposobu, w jaki Polska odrodziła się w listopadzie 1918 roku, dokładnie nie przewidział nikt. Państwa ententy liczyły, że zorganizują nową Rzeczpospolitą pod patronatem Zachodu, i były wściekłe na Niemców, którzy w ostatniej chwili wyciągnęli Piłsudskiego niby królika z kapelusza. Komitet Narodowy w Paryżu czuł się upokorzony, ponieważ ich człowiek, Dmowski, o włos przegrał wyścigi. Rosjanie – zarówno „biali", jak i „czerwoni" – byli całkowicie pochłonięci swoją wojną domową i tak czy inaczej nie mieli wielkiego wpływu na to, co się dzieje w Polsce. Nawet sam Piłsudski, który poprawnie przepowiedział, że Niemcy pokonają Rosję i zaraz potem ich z kolei pokonają mocarstwa zachodnie, nie był w stanie kontrolować biegu wydarzeń. Nie udało mu się użyć Legionów jako politycznego narzędzia w walce z Niemcami; w lipcu 1917 roku Piłsudski odmówił złożenia przysięgi na wierność kajzerowi i od tego czasu przebywał jako więzień niemiecki w twierdzy w Magdeburgu. Kiedy go stamtąd zwolniono i 10 listopada wsadzono do pociągu jadącego do Warszawy, musiał sobie zdawać sprawę, że nadeszła jego godzina, ale musiał też wiedzieć, że możliwość skorzystania ze swojej szansy ma tylko dzięki lasce niemieckich służb wywiadowczych. W tym czasie interesy Józefa Piłsudskiego, proroka polskiej niepodległości, przypadkiem zbiegły się z interesami imperialnych Niemiec, które chciały powstrzymać przejęcie władzy w Polsce przez państwa ententy. Podobnie jak Lenina, którego półtora roku wcześniej Niemcy odesłali do domu w zapieczętowanym wagonie kolejowym,

Piłsudskiego wysłano do Warszawy w określonym celu. I podobnie jak Lenin zobaczył, że „władza leży na ulicy", i po prostu się po nią schylił.

Polakom można wybaczyć wiarę, że w 1918 roku „wywalczyli sobie drogę do niepodległości". Natomiast w rzeczywistości tak nie było. Z pewnością bardzo dużo walczyli w czasie Wielkiej Wojny i z pewnością zdobyli niepodległość. Ale między tymi dwiema rzeczami nie było związku przyczynowego. Przeważająca większość polskich żołnierzy walczyła w jednej z dwóch armii, które się ze sobą ścierały na froncie wschodnim, a ich bojowe trudy służyły polskiej sprawie tylko o tyle, o ile przyczyniały się do wzajemnych wyniszczających działań obu zaborców. Jedyna polska formacja, która miała własne narodowe cele polityczne, Legiony Piłsudskiego, została rozwiązana, zanim te cele osiągnięto. Niepodległość Polski nadeszła za sprawą zbiegu okoliczności, które w znacznej mierze wykraczały poza sferę jej bezpośredniej kontroli. W oczach wielu ludzi zakrawało to na cud, a może nawet na szczęśliwy przypadek. Polakom nie dano okazji do walki o niepodległość na szerszą skalę. Ale kiedy ją już mieli, walczyli o nią i bronili jej z ogromną odwagą i determinacją.

2. Bóle porodowe Drugiej Rzeczypospolitej, 1918–1921

Rzeczpospolita, której przywódcą Piłsudski został 11 listopada 1918 roku – państwo, którego Naczelnikiem ogłoszono Piłsudskiego 14 listopada – nie miała granic, nie miała ustalonego terytorium, nie miała rządu, nie miała konstytucji i nie była uznawana przez inne państwa. Istniała, ale nikt nie mógłby dokładnie zdefiniować jej charakteru i terytorium. Wielu Polaków zgadzało się jednak co do tego, że była reinkarnacją dawnej Rzeczypospolitej, którą unicestwiono pod koniec XVIII wieku. Z tego właśnie powodu jest w historii Polski znana jako Druga Rzeczpospolita. Proces ustalania jej terytorium i instytucji trwał przez niemal trzy lata, a bólom porodowym towarzyszyły gromkie krzyki.

Ustalanie polskich granic w latach 1918–1921 jest jednym z najbardziej skomplikowanych epizodów współczesnej historii Europy; istnieje w tej sprawie mnóstwo nieporozumień. Wiele podręczników twierdzi wprawdzie coś przeciwnego, ale w gruncie rzeczy konferencja pokojowa w Paryżu odegrała drugoplanową rolę. Większość terenów Polski zdobyto siłą w wyniku serii lokalnych wojen prowadzonych wbrew postanowieniom konferencji. Serce nowej Rzeczypospolitej – strefy okupacyjne niemiecka i austriacka (Warszawa i Lublin), zachodnia Galicja (Kraków) oraz po powstaniu wielkopolskim z grudnia 1918 roku

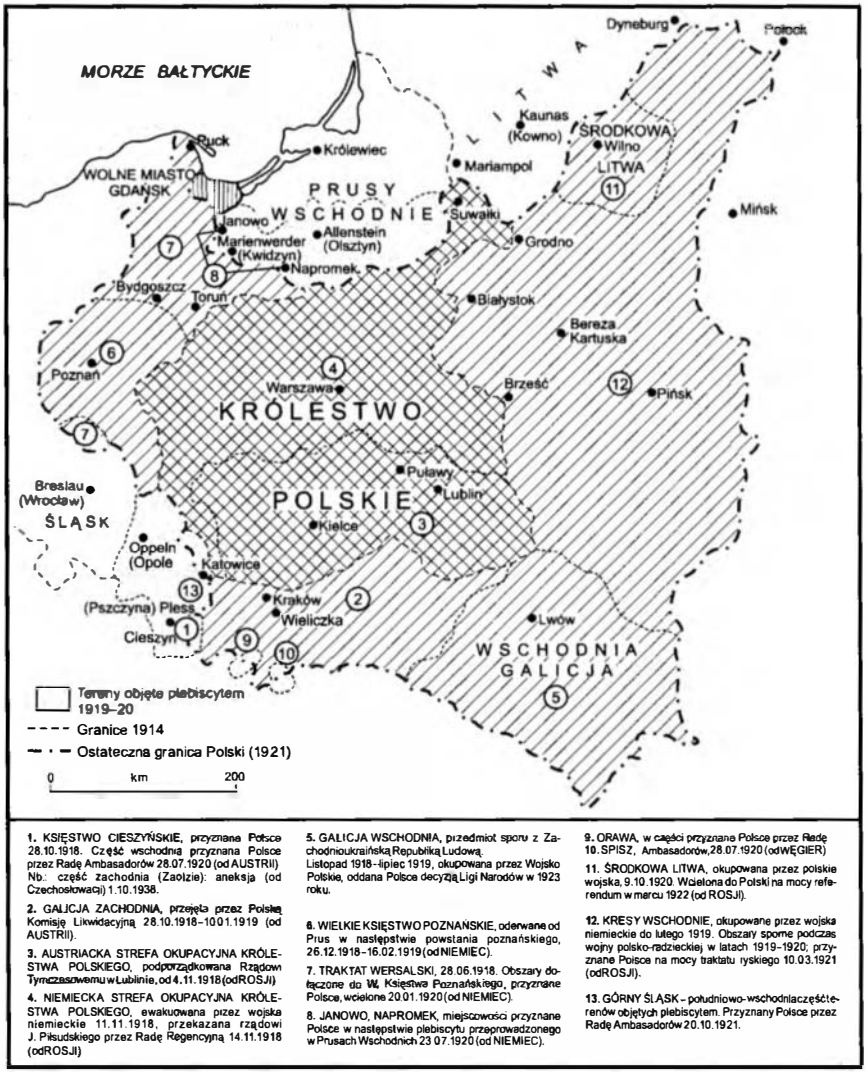

1. KSIĘSTWO CIESZYŃSKIE, przyznana Polsce 28.10.1918. Część wschodnią przyznana Polsce przez Radę Ambasadorów 28.07.1920 (od AUSTRII) Nb.: część zachodnia (Zaolzie): aneksja (od Czechosłowacji) 1.10.1938.

2. GALICJA ZACHODNIA, przejęta przez Polskę Komisję Likwidacyjną 28.10.1918–10.01.1919 (od AUSTRII).

3. AUSTRIACKA STREFA OKUPACYJNA KRÓLESTWA POLSKIEGO, podporządkowana Rządom Tymczasowemu w Lublinie, od 4.11.1918 (od ROSJI)

4. NIEMIECKA STREFA OKUPACYJNA KRÓLESTWA POLSKIEGO, ewakuowana przez wojska niemieckie 11.11.1918, przekazana rządowi J. Piłsudskiego przez Radę Regencyjną 14.11.1918 (od ROSJI)

5. GALICJA WSCHODNIA, przedmiot sporu z Zachodnioukraińską Republiką Ludową. Listopad 1918–lipiec 1919, okupowana przez Wojsko Polskie, oddana Polsce decyzją Ligi Narodów w 1923 roku.

6. WIELKIE KSIĘSTWO POZNAŃSKIE, oderwane od Prus w następstwie powstania poznańskiego, 26.12.1918–16.02.1919 (od NIEMIEC).

7. TRAKTAT WERSALSKI, 28.06.1918. Obszary dołączone do W. Księstwa Poznańskiego, przyznane Polsce, wcielone 20.01.1920 (od NIEMIEC).

8. JANOWO, NAPROMEK, miejscowości przyznane Polsce w następstwie plebiscytu przeprowadzonego w Prusach Wschodnich 23.07.1920 (od NIEMIEC).

9. ORAWA, w części przyznane Polsce przez Radę 10. SPISZ, Ambasadorów, 28.07.1920 (od WĘGIER)

11. ŚRODKOWA LITWA, okupowana przez polskie wojska, 9.10.1920. Wcielona do Polski na mocy referendum w marcu 1922 (od ROSJI).

12. KRESY WSCHODNIE, okupowane przez wojska niemieckie do lutego 1919. Obszary sporne podczas wojny polsko-radzieckiej w latach 1919–1920; przyznane Polsce na mocy traktatu ryskiego 10.03.1921 (od ROSJI).

13. GÓRNY ŚLĄSK – południowo-wschodnia część terenów objętych plebiscytem. Przyznany Polsce przez Radę Ambasadorów 20.10.1921.

Mapa 4. Powstawanie Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej (1918–1921)

Wielkopolska – zostało uformowane, jeszcze zanim się zebrali orędownicy pokoju. W sprawie kilku obszarów kresowych na wschodzie i południu – pogranicza Litwy, wschodnich pogranicz za Bugiem, wschodniej Galicji (Lwowa) i Śląska Cieszyńskiego – dysputy toczyły się w czasie, gdy w Paryżu jeszcze obradowano. W efekcie jedynym elementem sprawy polskiej, którego rozwiązanie można przypisać konferencji pokojowej,

była nowa zachodnia granica z Niemcami. Państwa ententy odegrały decydującą rolę w przyjęciu postanowienia traktatu w Wersalu, w czerwcu 1919 roku, w myśl którego Polsce przyznano Pomorze (tak zwany korytarz), ale bez Gdańska; zorganizowano też plebiscyty w Prusach Wschodnich (w lipcu 1920 roku) i na Górnym Śląsku (w maju 1921 roku) oraz dokonano podziału Księstwa Cieszyńskiego (w lipcu 1920 roku). Resztę Polaków pozostawiono ich własnym losom (zob. mapa 4).

Z sześciu wojen o granice, które stoczono w ciągu tych trzech lat – z Niemcami (w Poznańskiem i na Śląsku), z Czechosłowacją, z Litwą, przeciw zachodniej Ukrainie i sowieckiej Rosji – jedynie wojna polsko-bolszewicka z lat 1919–1920 miała znaczenie więcej niż tylko lokalne[2]. Chociaż zaczęła się niejako automatycznie, od wkroczenia armii polskiej i sowieckiej na rozległe tereny opuszczone niedawno przez Niemców, było oczywiste, że przyszłość Kresów Wschodnich nie jest tylko kwestią własności terytorialnej. Dla bolszewików, w wybuchu ich rewolucyjnego entuzjazmu, pochód na zachód był ideologiczną koniecznością umożliwiająca przetrwanie rewolucji w Rosji. Polska była dla nich „czerwonym mostem", który należało przekroczyć, żeby połączyć Rosję z Niemcami i rozwiniętymi przemysłowymi krajami w Europie, gdzie przecież należało zacząć rewolucję. Dla Polaków, a zwłaszcza dla Piłsudskiego, konflikt z Rosją Sowiecką stanowił test sprawdzający, czy bolszewicy potrafią odbudować carską Rosję i czy mieszkańcy Kresów zdołają się oprzeć imperializmowi rosyjskiemu w jego nowym, „socjalistycznym" przebraniu. Piłsudski marzył o utworzeniu federacji niepodległych państw narodowych, od Finlandii po Gruzję, które wspólny strach przez Rosją skłoni do wzajemnej pomocy. Ostatecznie ani marzenia Piłsudskiego, ani marzenia Lenina się nie ziściły. Armii Czerwonej nie udało się przemaszerować przez Polskę i połączyć się z Zachodem, a wizja federacji państw pogranicza także nigdy się nie ziściła.

Walki trwały przez blisko cztery lata. W roku 1919, kiedy Armia Czerwona była jeszcze zaabsorbowana wojną domową, Wojsko Polskie parło na wschód, zajmując większą część Litwy i Białorusi. Odmowa Piłsudskiego udzielenia pomocy Denikinowi w listopadzie 1919 roku, kiedy rosyjscy „biali" byli o krok od zdobycia Moskwy, niewątpliwie przyczyniła się do triumfu „czerwonych", a później skłoniła ich do skupienia uwagi na froncie polskim. W roku 1920 wojna toczyła się już z udzia-

[2] Na temat wojny polsko-bolszewickiej zob. Norman Davies, *Orzeł biały, czerwona gwiazda. Wojna polsko-bolszewicka 1919–1920*, tłum. Andrzej Pawelec, Kraków 2006; zob. też Adam Zamoyski, *The Battle for the Marchlands*, Boulder, Colorado, 1981.

łem ogromnych sił po obu stronach. W kwietniu, z nadzieją na umocnienie sojuszu z ukraińskim Dyrektoriatem, a także chcąc oskrzydlić potężne sowieckie siły natarcia zbierające się na Białorusi, Piłsudski ruszył na południe, na Kijów. Potem, w czerwcu, pojawiła się „czerwona kawaleria" Budionnego, która przepędziła Polaków z Ukrainy, a w lipcu Tuchaczewski poprowadził główną ofensywę sowiecką na północy, znad Berezyny. Po sześciu tygodniach Armia Czerwona stanęła u bram Warszawy. Lenin nawoływał do bezwzględnej walki o zwycięstwo, a Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z szefem czerezwyczajki Feliksem Dzierżyńskim na czele czekał za kulisami, aby przejąć władzę. Prasa komunistyczna oraz inni optymiści w Niemczech zdążyli już ogłosić upadek Warszawy. I właśnie w tym momencie armia polska zadała druzgocący cios, odnosząc sukces, którego nikt nie oczekiwał. Atak Piłsudskiego od południowej flanki przerwał linię sowieckiego frontu i linie łączności Tuchaczewskiego. Trzy armie sowieckie poszły w rozsypkę. Jedno wielkie ugrupowanie zostało internowane w Prusach Wschodnich. Reszta zbiegła. Oddziały Budionnego zostały niemal zmiecione z powierzchni ziemi w okrążeniu pod Zamościem. Sowiecki komisarz wojny i marynarki wojennej Lew Trocki uważał, że winien jest brak koordynacji działań dowództwa na północy i na południu. Na północy Tuchaczewski obwiniał dowództwo z południa. Na południu Stalin obwiniał Tuchaczewskiego. Pozostaje faktem, że Armia Czerwona poniosła jedyną absolutną klęskę w swojej wspaniałej historii. Lenin najpierw przyznał, że było błędem z jego strony oczekiwać, iż w Polsce powitają Armię Czerwoną z radością, a potem zaproponował pokój. Negocjacje prowadzono w Rydze, w stolicy neutralnej Łotwy. Tuż przed zakończeniem walk 8 października Piłsudski odebrał Litwinom swoje ukochane Wilno. Traktat zawarty 18 marca 1921 roku w Rydze podzielił ziemie kresowe między Polskę i republiki sowieckie, ustanowił stosunki dyplomatyczne i w tonie satysfakcji zakończył terytorialne walki Polski.

Ludność Drugiej Rzeczypospolitej była bogata pod względem zróżnicowania, ale uboga pod względem zasobów gospodarczych. Mniej więcej dwie trzecie używało polskiego jako języka ojczystego, a pozostała jedna trzecia składała się głównie z Ukraińców (15 procent), Żydów (9 procent), Białorusinów (5 procent) i Niemców (2 procent). Niemal trzy czwarte żyło na wsiach – byli to chłopi albo robotnicy rolni – i tylko jedną czwartą stanowili mieszkańcy miast. Według danych z 1921 roku proletariat przemysłowy stanowił zaledwie 17 procent. Chociaż nietrudno nadmiernie uprościć ten ogólny obraz, istnieje istotna korelacja między poszczególnymi mniejszościami narodowymi i poszczególnymi

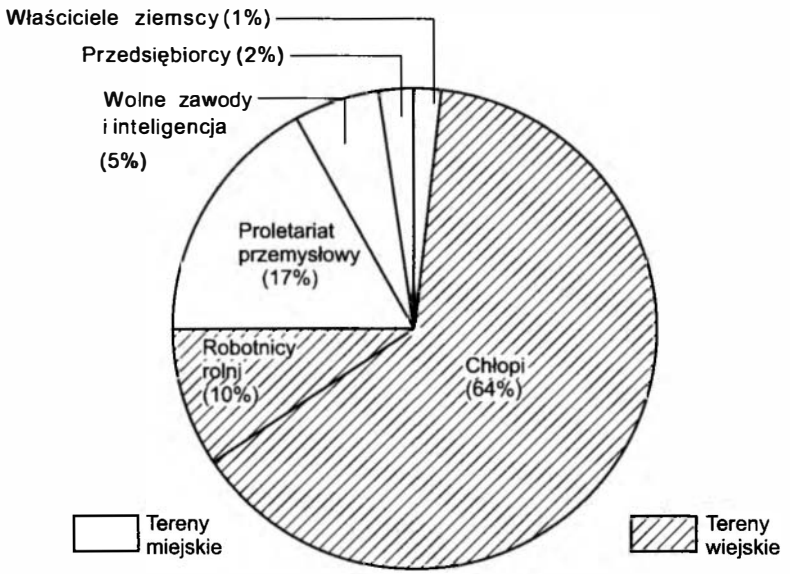

Rys. B. Podział na grupy społeczne (1921)

warstwami społecznymi. Niemcy tworzyli zamożną klasę średnią zamieszkującą ziemie na zachodzie. Typowymi przedstawicielami mniejszości żydowskiej byli członkowie drobnej i zamożnej burżuazji i masa rzemieślników żyjących w miastach z rękodzieła i handlu. Ukraińcy i Białorusini, skupieni głównie na wschodzie, w przeważającej większości należeli do najuboższej i najbardziej zacofanej warstwy chłopskiej. Głównym hamulcem postępu społecznego było straszliwe przeludnienie. W ciągu niecałych dwudziestu lat przyrost naturalny powyżej 33 procent zwiększył liczbę ludności z 26,3 miliona w 1921 roku do ponad 35 milionów w roku 1939. Chociaż w dziedzinie kultury i oświaty nastąpiła znaczna poprawa – na przykład do jednej czwartej zmniejszono liczbę analfabetów – zacofana gospodarka rolna nie miała wystarczających zasobów, aby zaspokoić potrzeby rosnącej liczby ludności i utrzymać nowoczesne standardy życiowe.

Integracja poszczególnych społeczności, instytucji i tradycji odmiennych części kraju była ogromnym zadaniem. W latach 1919–1920 w obiegu było sześć różnych walut, pięć rejonów miało własną administrację, wojsko mówiło czterema językami, obowiązywały trzy kodeksy prawne, a w użyciu były dwa niekompatybilne ze sobą rozstawy szyn ko-

lejowych. Polacy, którzy całe życie spędzili w Rosji, Prusach czy Austrii, mieli zupełnie odmienne obyczaje i nie potrafili z dnia na dzień zmienić stylu życia. Apokryficzna opowieść o byłym oficerze armii austriackiej, który musiał zajrzeć do francuskiego podręcznika, żeby móc wytłumaczyć byłym rosyjskim żołnierzom piechoty, jak załadować byłą angielską amunicję do byłych niemieckich karabinów, zawiera w sobie spore ziarno prawdy.

Życie polityczne stało się odbiciem rozczłonkowania polskiego społeczeństwa. W styczniu 1919 roku rozłam między rządem Piłsudskiego w Warszawie i Polskim Komitetem Narodowym Dmowskiego przestał na jakiś czas istnieć w wyniku serii kompromisów. Dmowski uzyskał akredytację przy konferencji pokojowej jako Delegat Pełnomocny Polski; pianistę koncertowego Ignacego Paderewskiego ściągnięto do Warszawy, gdzie objął urząd pierwszego premiera z ramienia sejmu, wybory parlamentarne zaowocowały powstaniem działającego systemu ustawodawczego, a Rzeczpospolita Polska została formalnie uznana przez państwa koalicyjne. W szczytowym momencie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku zarządzanie krajem przeszło na pewien czas w ręce najwyższej Rady Obrony Państwa (ROP), ale w marcu 1921 roku – w tym samym tygodniu, w którym podpisano traktat ryski – wprowadzono nową konstytucję. Komisja konstytucyjna wzorowała się w znacznej mierze na Trzeciej Republice Francuskiej, ale zmniejszenie prerogatyw prezydenta, wyreżyserowane przez narodowców w obawie przed wyborem Piłsudskiego, w połączeniu z brakiem silnej administracji państwowej pozbawiło Polskę owych zbawiennych cnót, które stały się udziałem ustroju Francji. Rozliczne partie polityczne musiały ze sobą konkurować bez żadnej nadziei na stworzenie wyraźnej większości. Niezawisły sejm miał problemy nie tylko z wyrażaniem swojej woli, ale także z egzekwowaniem swoich ustaw. To nie były dobre wróżby na przyszłość.

W dziedzinie polityki zagranicznej nowa Polska zajmowała pozycję wyniosłą i wyizolowaną. Nie miała nadziei na ściślejsze związki ze swoimi dwoma potężnymi sąsiadami, ponieważ zarówno weimarskie Niemcy, jak i Rosja Sowiecka gwałtownie się sprzeciwiały odrodzeniu Polski; nie było też większych szans na zjednoczenie z mniejszymi państwami w Europie Wschodniej. Nadal trwająca kłótnia Polski z Litwą o Wilno stanowiła przeszkodę w tworzeniu jakiegokolwiek wspólnego frontu z państwami bałtyckimi. Podbój niepodległej Ukrainy i Gruzji przez bolszewików zniweczył ideę federacji państw pogranicza, a tradycyjna sympatia Polski do Węgier hamowała umacnianie więzi z Rumunią i przystąpienie Polski do francuskiej Małej Ententy. Brak skutecznej pomocy dla Polski ze

strony mocarstw zachodnich podczas wojny bolszewickiej spowodował ochłodzenie relacji z Londynem i Paryżem, a USA, które zapewniły sobie duży kredyt w wyniku działalności powojennej Amerykańskiej Misji Pomocy, wycofały się z czynnej polityki w Europie. Umowy wojskowe podpisane z Francją i Rumunią miały ściśle ograniczony zakres. Nie tyle za sprawą celowego zamysłu, ile na skutek panujących okoliczności Polska musiała sobie radzić sama.

3. Epoka konstytucyjna, 1921–1926

Powszechny upadek ustrojów parlamentarnych w Europie Wschodniej po I wojnie światowej – podobnie jak analogiczny upadek w Afryce po II wojnie – wydaje się wskazywać na pewną ogólną prawdę. Zachodniej demokracji, która rozwijała się powoli w Wielkiej Brytanii czy Ameryce w atmosferze bezpieczeństwa i zamożności, nie da się gładko przenieść na burzliwy grunt nowo powstających państw. W okresie po roku 1918 jeden europejski kraj po drugim padał ofiarą najrozmaitszych dyktatur. Poczynając od „pochodu na Rzym" Mussoliniego w 1922 roku aż do kulminacji w postaci inwazji generała Franco na republikańską Hiszpanię w roku 1936, demokracje Europy padały pod naporem dyktatorów jak kostki domina. Spośród krajów Europy Środkowej i Wschodniej ustrój parlamentarny utrzymał się najdłużej w Czechosłowacji: przez dwadzieścia lat, do marca 1939 roku. W Austrii trwał dziewiętnaście lat, w Niemczech szesnaście, w Jugosławii dziewięć, w Polsce tylko siedem[3].

Polskie rządy koalicyjne w latach 1921–1926 pracowały w atmosferze frustracji i przemocy. Były rezultatem braku zdolności którejkolwiek partii do przezwyciężenia obstrukcyjnej działalności jej oponentów, co z kolei powodowało szereg godnych ubolewania nieprawidłowości. Przewagi nie potrafili zdobyć ani socjaliści na lewicy, ani radykalni nacjonaliści na prawicy i wobec tego władza wpadła w ręce politycznego centrum. Korupcja – zarówno polityczna, jak i materialna – wysunęła się na pierwszy plan. Tacy ludzie jak przywódca umiarkowanego skrzydła ruchu ludowców Wincenty Witos, który w tamtym czasie stał na czele trzech rządów, mogli rozwiązać impas w sejmie, ignorując lub zdradzając własne platformy wyborcze. Ministrowie, którzy

[3] W latach 1919–1921 sejm działał na zasadzie przedkonstytucyjnych procedur *ad hoc*; od roku 1926 do roku 1939 – w ramach niekonstytucyjnych ograniczeń narzuconych przez reżim sanacyjny.

za każdym razem piastowali swoje urzędy tylko przez kilka miesięcy, nie mogli przyjąć żadnej konsekwentnej linii politycznej, a ich niezadowoleni podwładni szli na łatwiznę, uprawiając łapówkarstwo i malwersacje. Ukryte tarcia ujawniły się w roku 1922, w czasie tragicznych wyborów prezydenckich. Piłsudski, który był czołowym zawodnikiem, poczuł się urażony ograniczeniami konstytucyjnymi nałożonymi na urząd prezydenta i odmówił kandydowania. Wyborcy reprezentujący mniejszość sprzymierzyli się przeciwko kandydatowi narodowców. Zwycięzca, wybitny naukowiec Gabriel Narutowicz, został oskarżony przez narodowców, że zwyciężył w wyborach dzięki „niepolskim głosom", i zastrzelony przez zamachowca w jednej z warszawskich galerii. Jeśli do takich tarć dochodziło na górze, łatwo sobie wyobrazić, jakie namiętności dawały o sobie znać na dole.

Przed serią słabych rządów piętrzyła się długa lista trudnych do rozwiązania problemów. Reforma rolna nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. W 1919 roku sejm postanowił rozparcelować wszystkie wielkie posiadłości ziemskie powyżej 400 hektarów. W lipcu 1920 roku, gdy Armia Czerwona maszerowała na Warszawę, zdecydował o zakupie nadwyżki ziemi przeznaczonej do redystrybucji za połowę wartości rynkowej. W roku 1925 sejm ostatecznie ustanowił roczną wielkość docelową areału kupowanego przez państwo na 200 000 hektarów, które miały zostać rozdzielone między najuboższych chłopów. W finansach państwowych panował chaos. Podobnie jak Niemcy i Węgry, Polska doświadczyła kilku lat katastrofalnej hiperinflacji, w wyniku której kurs polskiej marki do dolara amerykańskiego podskoczył z 1:9 w roku 1918 na 1:15 000 000 w styczniu roku 1923. Minimum stabilizacji udało się osiągnąć dopiero w roku 1924 dzięki reformom Władysława Grabskiego i wprowadzeniu nowej waluty – złotego kontrolowanego przez nowy Bank Polski. Budżetu nie dało się zbilansować aż do 1926 roku. Wcześniej nie można było mieć nadziei na zagraniczne inwestycje na szerszą skalę, na odrodzenie się przemysłu czy rozbudowę prymitywnej infrastruktury przemysłowej. Najgroźniejsze było jednak to, że wojsko nie miało ochoty podporządkowywać swoich działań kontroli instytucji cywilnych. Piłsudski siedział nadąsany na emeryturze, a korpus oficerski otwarcie okazywał pogardę wobec nieskutecznych zmagań polityków – sytuacja dojrzewała do buntu.

Mimo wszystko jednak zbyt łatwo zapomina się o osiągnięciach tamtych wczesnych lat. Zaczynając od trzonu instytucji pozostawionych w spadku po niemieckim Królestwie Polskim, trzeba było w pośpiechu budować nowoczesne państwo w maksymalnie niesprzyjających

warunkach wojny i ekonomicznego zamętu. Stworzenie armii, systemu prawnego, systemu oświaty, aparatu administracji, parlamentu i partii politycznych o zasięgu ogólnokrajowym, systemu finansowego, państwowych sektorów przemysłu i handlu, jednolitej sieci łączności i transportu, a jednocześnie przygotowanie kadr, które mogłyby te instytucje obsługiwać – bez względu na wszystko trzeba uznać za sukces. Fakt, że te instytucje przetrwały, świadczy, iż ten okres rządów parlamentarnych nie był czasem całkowicie straconym.

4. Reżim sanacyjny, 1926–1935

Istnieje mnóstwo hipotez na temat motywów, jakie skłoniły Piłsudskiego do obalenia legalnego rządu Rzeczypospolitej, którego odradzaniu jeszcze niedawno sam przewodził. Wydaje się, że nie miał palącej potrzeby odzyskania steru rządów ani wyraźnych planów, jak można by tego dokonać. Opierał się wszelkim naleganiom, aby ponownie objąć urząd oficjalnej głowy państwa. Jednakże był zaniepokojony postanowieniami podpisanego w 1925 roku traktatu z Locarno, który w bardzo znaczący sposób pomijał wszelkie gwarancje polskich granic, a także mocno martwiły go korupcja i to, co uważał za brak kompetencji przywódców parlamentarnych. Zdecydowanie zwalczał mieszanie się służb cywilnych do spraw „jego" armii, a w szczególności był zdecydowany powstrzymać Witosa od utworzenia kolejnej centrowo-prawicowej koalicji. Wobec tego rankiem 12 maja 1926 roku, kiedy przed jego domem w Sulejówku pojawiło się kilka zbuntowanych pułków legionistów, poszedł razem z nimi. Później, sprowokowany przez prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego w dramatycznej osobistej konfrontacji na środku mostu Poniatowskiego na Wiśle, odmówił odwrotu. Tego samego popołudnia rozpoczęła się walka z oddziałami lojalnymi wobec prezydenta. Piłsudski został zmuszony do załatwienia sprawy w starciu zbrojnym.

Zamach majowy z 1926 roku wstrząsnął Polską do głębi. Zaledwie osiem lat po odzyskaniu niepodległości i uwolnieniu się od obcego ucisku Polacy stanęli do walki zbrojnej przeciwko Polakom. Polskie wojsko, duma narodu, zostało rozdarte na pół. Wśród przeciwników Piłsudskiego znalazło się wielu jego wcześniejszych współpracowników – także generał Sikorski i sam prezydent Wojciechowski. Wsparła go lewica, łącznie z komunistami, obawiając się analogicznego przejęcia władzy przez narodowców. Ogólny układ sił nie był korzystny dla Piłsudskiego, ponieważ prezydent i rząd nadal mieli za sobą trzon armii i większość ludności cy-

wilnej. O rozwiązaniu przesądził jeden decydujący cios zadany przez socjalistyczny Związek Zawodowy Kolejarzy. Rząd utracił szereg mocnych pozycji w centrum Warszawy, łącznie z lotniskiem i dworcem kolejowym, nie mógł sprowadzić posiłków drogą kolejową i w ciągu trzech dni ludzie Piłsudskiego zdobyli wszystkie kluczowe budynki rządowe i urzędy. 14 maja prezydent i premier musieli skapitulować i podać się do dymisji. Przez pozostałe dziewięć lat życia Józef Piłsudski pozostawał niezagrożonym władcą Polski.

System ustanowiony po przewrocie majowym nie poddaje się łatwym klasyfikacjom. Nazwę wziął od hasła „sanacja", co oznacza (polityczne) uzdrowienie, a przyświecała mu niejasna, choć potężna, ideologia zbliżona do ideologii Ruchu Odnowy Moralnej, której wyznawcy wyobrażali sobie, że zło plamiące ludzkie dusze da się usunąć wojskowym sposobem: napluć i wypolerować do czysta. (Według licznych krytyków łączyła w sobie filozofię Nietzschego i Kanta, czyli – w warszawskiej gwarze – „niczego" z „kantem"). W jej nauczaniu nie było żadnych elementów faszystowskich, ponieważ zwolenników faszyzmu można było w Polsce znaleźć wyłącznie pośród przeciwników Piłsudskiego, nie była też formalną dyktaturą. Sejm, partie polityczne i opozycja działały nadal. Piłsudski zadowalał się pociąganiem za sznurki zza kulis, ukrywaniem personalnych rządów za fasadą parlamentaryzmu i zastraszaniem opozycji twardymi metodami policyjnymi i nękaniem przeciwników. Głównym narzędziem jego działania był niemal od początku Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem (BBWR), którego zadaniem było zdobycie poparcia opinii publicznej w efekcie manipulacji wyborczych. Kiedy to się nie udało, opozycję zaatakowano bardziej bezpośrednio. Trwałą zasługą socjalistycznego marszałka sejmu Ignacego Daszyńskiego była odmowa otwarcia obrad w obecności uzbrojonych oficerów, a we wrześniu 1930 roku, po Kongresie Obrony Prawa i Wolności Ludu, zwołanym w Krakowie dla zmobilizowania protestu, aresztowano przywódców Centrolewu. Po ich internowaniu w twierdzy brzeskiej odbył się długi proces zakończony surowymi wyrokami więzienia, a w marcu 1933 roku rozwiązano organizację Obozu Narodowego, Obóz Wielkiej Polski (OWP). W tym czasie reżim sanacyjny prowadził już walki na wielu frontach. Na wsiach brutalnie pacyfikowano zbuntowanych chłopów. Separatystycznie nastawionych Ukraińców bezlitośnie prześladowano. Podobnie jak cała europejska scena, polskie społeczeństwo zaczynało się polaryzować. O ile ustrój parlamentarny był może nieco chaotyczny, o tyle reżim sanacyjny był po prostu nieudolny. Jakiś beztroski dowcipniś nazwał przewrót majowy „napadem bandytów na szpital wariatów".

Społeczna i polityczna pozycja armii nieuchronnie się umacniała. Jej rola w systemie oświaty i kształtowaniu światopoglądu setek tysięcy młodych poborowych była potężnym mechanizmem integracji kulturowej. Korpus oficerski oferował karierę proporcjonalną do zasług i wobec tego uważał się za siłę działającą na rzecz demokracji. Jednocześnie zaś polityczna lojalność wobec Piłsudskiego była kamieniem probierczym sukcesu. Bardzo wielu wojskowych, a szczególnie oficerów legionowych, trafiało do służb administracyjnych i kręgów rządowych. Pułkownicy pojawiali się na wszystkich wysokich stanowiskach: pułkownik Józef Beck był od roku 1932 ministrem spraw zagranicznych, pułkownik Walery Sławek – kilkakrotnie premierem oraz szefem BBWR, pułkownik Adam Koc – przywódcą następcy BBWR, Obozu Zjednoczenia Narodowego (OZON-u), a sam Piłsudski zatrzymał dwa kluczowe urzędy: generalnego inspektora sił zbrojnych i ministra spraw wojskowych.

Nie licząc stosunku do wojska, Piłsudski wykazywał entuzjazm tylko wobec spraw dotyczących polityki zagranicznej. Patrzył na świat sceptycznie i powtarzał, że Polska musi liczyć na własne siły. Stojąc w obliczu umacniania się stalinowskiej Rosji na jednej granicy i hitlerowskich Niemiec na drugiej, sformułował swoją „doktrynę dwóch wrogów". Polska miała utrzymywać poprawne stosunki z obydwoma sąsiadami, ale nie wchodzić w sojusze z żadnym. I zgodnie z tą zasadą podpisał dwa dziesięcioletnie pakty o nieagresji – 25 stycznia 1932 roku z ZSRR, a następnie 26 stycznia 1934 roku z Niemcami. Zdając sobie sprawę z zagrożenia, jakim była dynamiczna ekspansja Hitlera, próbował wysondować opinie zachodnich mocarstwa na temat wspólnej wojny prewencyjnej, ale jego inicjatywę odtrącono w pełnym zgorszenia milczeniu.

Polska Piłsudskiego miała kilka zbawiennych cech. Emanowała z niej – przynajmniej na pierwszy rzut oka – atmosfera życzliwej ufności. W życiu kulturalnym nastąpiła erupcja talentów literackich i artystycznych. Życie gospodarcze nie znajdowało się może w pełni rozkwitu, ale przynajmniej było ustabilizowane. Złotówka utrzymywała się w granicach systemu waluty złotej. Represje polityczne nie dotykały ogółu ludności. Nie narzucano żadnej szczególnej ideologii. Wielki Marszałek był obiektem wielkiego uwielbienia i wielkiej szczerej miłości.

A mimo to – jak sam Marszałek – reżim był bardzo chory. Na wsi mocno dawała się we znaki społeczna krzywda. W latach Wielkiego Kryzysu bezrobocie w polskim przemyśle wzrosło do 40 procent. Tarcia między poszczególnymi społecznościami i narastający antysemityzm były źródłem wielkich niepokojów. Nowa konstytucja, zainaugurowana w kwietniu 1935 roku, przesuwała kraj w kierunku wzmocnienia auto-

rytaryzmu. Symptomy choroby społeczeństwa tłumiono, ale ich nie leczono. Miesiąc później, kiedy Marszałek umarł na raka, uczucie smutku ludzi wyraźnie mieszało się ze złymi przeczuciami.

5. Droga do katastrofy, 1935–1939

Sytuacja Polski pod koniec lat trzydziestych XX wieku była nie do pozazdroszczenia. Miejsce między Hitlerem i Stalinem stało się najniewygodniejszym miejscem na całym świecie. Połączenie sił z jednym lub drugim było jednakowo niestosowne i jednakowo niebezpieczne. Nie robić nic oznaczało kusić los. Szukanie oparcia w mocarstwach zachodnich czy w systemie „zbiorowego bezpieczeństwa" Ligi nie budziło otuchy. Jak ostrzegał Piłsudski i jak tego dobitnie dowiódł układ monachijski w sprawie sąsiedniej Czechosłowacji, Brytyjczycy i Francuzi wydawali się zadowoleni, że udało im się uspokoić agresora kosztem innego narodu. Co więcej, skutki kryzysu w Europie zbiegły się z utrzymującymi się skutkami Wielkiego Kryzysu światowego. Polska gospodarka nie potrafiła wytworzyć potencjału, który mógłby umożliwić modernizację wojska i uzbrojenia na skalę odpowiadającą potrzebom armii. W tej sytuacji jest wątpliwe, czy Polacy naprawdę byli panami własnego losu i czy rzeczywiście ponosili odpowiedzialność za swój upadek.

Na froncie wewnętrznym reżim sanacyjny oznaczał wyraźnie zwarcie szeregów. „Rządy pułkowników" pod przywództwem generała Sławoja Składkowskiego jako premiera i marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego jako głównodowodzącego sił zbrojnych umocniły pozycję wojska. Piłsudczycy bez Piłsudskiego nie mieli nic przeciwko załagodzeniu sporu z rywalami z obozu narodowego i zachęcaniu OZON-u do coraz bardziej szowinistycznych ekscesów. Pamiętając przykład Czechosłowacji, mieli obsesję na punkcie idei jedności narodowej. Mniejszość niemiecka w Polsce szybko przechodziła na pozycje pronazistowskie. Żydzi obawiali się szykan i prześladowania. Ukraińcy kipieli z wściekłości. Wielu Polaków przybierało postawę obronną lub asertywną. Pojawiło się kilka nacjonalistycznych odłamów ugrupowań społecznych i bojówek faszystowskich. Wciągano do polityki Kościół. Zbyt wielu katolickich księży dało się ponieść nacjonalistycznym prądom. Wojsko reformowano w granicach możliwości materialnych. Pierwszy plan gospodarczy Polski, który przewidywał utworzenie Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP), w połączeniu z przemysłem zbrojeniowym pod zarządem państwa oznaczał spóźniony krok na drodze do większej samowystarczalności.

Prawdziwe powody do niepokoju znajdowały się jednak poza granicami kraju. Po Nadrenii w roku 1936, Austrii w roku 1937 i Czechosłowacji w roku 1938 można było z dużą dozą prawdopodobieństwa przewidzieć, że wrogość Hitlera zwróci się teraz przeciwko Polsce – i tak się rzeczywiście stało. Przez wszystkie te lata pułkownik Beck kontynuował politykę bezstronności uprawianą przez Piłsudskiego, próbując równocześnie równoważyć rosnące niebezpieczeństwo okrążenia przez Niemców. Jego ultimatum dla Litwy z marca 1938 roku i niesławną inwazję na czechosłowackie Zaolzie podczas kryzysu monachijskiego w październiku tego samego roku opisuje się często jako posunięcia małostkowego oportunisty, niecnie wyrównującego rachunki z sąsiadem, który się znalazł w tarapatach. Można w nich dostrzec także próbę powstrzymania pochodu Hitlera na tereny kluczowe dla obronności Polski. Beck był równie stanowczy w odrzucaniu niemieckich propozycji wspólnej napaści na Związek Sowiecki, jak i w odrzucaniu nalegań Zachodu, który żądał wpuszczenia oddziałów sowieckich na teren Polski, aby powstrzymać Hitlera. Zachodni zwolennicy polityki ugodowej wciąż jeszcze wierzyli, że pokój w Europie można kupić za cenę cudzych poświęceń. W marcu 1939 roku rozgrywki wkroczyły w fazę końcową. Cyniczna inwazja Hitlera na Czechosłowację rozwiała wszystkie złudzenia co do jego wcześniejszych zapewnień i Wielka Brytania poczuła się zobowiązana do zaoferowania Polsce swoich sławetnych gwarancji. Zarówno Hitler, jak i Stalin zorientowali się, że był to czysty *bluff*, doskonale wiedząc, iż Brytyjczycy nie mają ani samolotów, ani okrętów, ani żołnierzy, którzy mogliby obronić Polskę przed napaścią. Hitler natychmiast unieważnił polsko-niemiecki pakt o nieagresji i rozpoczął przygotowania do wojny. Stalin wyczuł, że najbezpieczniej będzie porozumieć się z nazistami. Kiedy w maju Litwinowa zastąpił Mołotow, wszystkie elementy układanki znalazły się na swoich miejscach i grunt pod pakt hitlerowsko-sowiecki został przygotowany. Zachodnie mocarstwa wciąż jeszcze wysuwały propozycje zbiorowego bezpieczeństwa, ale gra już się skończyła. Francusko-brytyjska misja wojskowa wciąż jeszcze nominalnie prowadziła negocjacje z Moskwą, ale Sowieci już negocjowali z Berlinem. W lipcu Ribbentrop poinformował Kreml, że nie ma takiego problemu, którego nie dałoby się rozwiązać na drodze przyjaznych rokowań. W hitlerowsko-sowieckich „rozmowach handlowych" nastąpiła gwałtowana zmiana kursu. Jako podstawową zasadę układu przyjęto, że każda strona może realizować własne plany agresji bez interwencji drugiej strony, pod warunkiem, że strefy ekspansji nie będą ze sobą kolidować. Plany Niemców przewidywały zajęcie zachodnich ziem Polski, a w dalszej perspektywie Europy Zachodniej i Skandy-

nawii. Sowieci mieli podobne plany w stosunku do obszarów na wschodzie Polski, państw bałtyckich i Besarabii. Jawny pakt o nieagresji między hitlerowskimi Niemcami i sowiecką Rosją Ribbentrop i Mołotow podpisali w Moskwie 23 sierpnia 1939 roku. Tajny protokół określał umowy terytorialne, włącznie z planowanym rozbiorem Polski na linii Narwi, Wisły i Sanu. Na Polskę wydano wyrok śmierci. Nie zważając na ponowną deklarację gwarancji ze strony Wielkiej Brytanii, Hitler mógł bezkarnie zacząć inwazję. Kazał oddziałom Wehrmachtu wyruszyć w ciągu tygodnia. Wyruszyły 1 września.

Dla ścisłości należy przedstawić prawdziwą naturę upadku Polski w 1939 roku. Druga Rzeczpospolita była tworem kruchym, ale nie zmarła z przyczyn naturalnych. Została oficjalnie zamordowana przez dwóch napastników działających w zmowie. Siła ducha i energia, z jakimi się broniła podczas tego nikczemnego ataku, wskazują, że z pewnością mogłaby się wyleczyć ze swoich dolegliwości. Ale nie dano jej szans na wyzdrowienie.

Skutki były niezaprzeczalne. Druga Rzeczpospolita umarła. W ciągu ćwierćwiecza, czyli od 1914 roku, została poczęta, zrodzona, wykarmiona, wychowana, zamordowana i pogrzebana.

Pojedynek Dmowski kontra Piłsudski

Pełny opis spektrum politycznego w przedwojennej Polsce wymagałby stworzenia małej encyklopedii. Mnogość interesów, ruchów, partii, frakcji, koalicji, kręgów parlamentarnych, młodzieżówek, odłamów wojskowych, ugrupowań społecznych, stowarzyszeń regionalnych, związków zawodowych i spółdzielczych, marginesowych grup nacisku i klubów dyskusyjnych (z których większość chyba regularnie zmieniała nazwy) mogłaby wprawić w pomieszanie nawet najwytrwalszego badacza. To pomieszanie jednak daje się nieco zredukować, jeśli się skupić na trzech odmiennych rodzajach ugrupowań politycznych.

Po pierwsze, istniały trzy wielkie polskie instytucje społeczne: Kościół, wojsko oraz inteligencja, które odgrywały istotną – choć nieformalną – rolę w życiu politycznym. Nie były to bynajmniej organizmy jednolite. Cechą charakterystyczną Kościoła było istnienie superkonserwatywnej hierarchii oraz kleru, często bardzo radykalnego. Wojsko stanowiło mieszaninę tradycyjnej warstwy oficerów (wywodzących się

w znacznej mierze ze służby austriackiej i carskiej) oraz młodych i ambitnych ludzi z awansu społecznego o silnych poglądach demokratycznych. Inteligencja przejawiała szereg odmiennych postaw – od religijnej dewocji po anarchię społeczną.

Po drugie, istniały cztery podstawowe ruchy polityczne – socjaliści, narodowcy, ludowcy i chrześcijańscy demokraci. Każdy z nich miał silną reprezentację w sejmie i każdy dał początek całemu łańcuchowi partii i odłamów, zarówno centralnych, jak i regionalnych. Wszystkie cztery wyłoniły się w nowoczesnym kształcie już na przełomie wieków, ale mogły stworzyć w pełni ukształtowane partie o zasięgu ogólnokrajowym dopiero po osiągnięciu niepodległości w 1918 roku.

Idąc według starszeństwa, należy rozpocząć od ruchu socjalistycznego, którego najważniejszą organizację, Polską Partię Socjalistyczną (PPS), założono w 1892 roku w Paryżu; ruch ten łączył zainteresowanie niemarksistowską wersją socjalizmu z ideą niepodległości narodowej. W roku 1906 rozpadł się na zasadniczy trzon pod nazwą PPS-Frakcja Rewolucyjna, którego program głosił, że bez niepodległości narodowej nie może być mowy o postępie społecznym, oraz odłam pod nazwą PPS-Lewica, który politykę niepodległościową uważał za mniej istotną od przemian społecznych. PPS-Frakcja Rewolucyjna, z główną bazą na terenie zaboru rosyjskiego, miała swoje odpowiedniki w Prusach i Galicji. PPS-Lewica ciążyła coraz mocniej w kierunku internacjonalistycznego, marksistowskiego socjalizmu i w roku 1918 połączyła się z maleńką Socjaldemokracją Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL), dając początek polskiemu ruchowi komunistycznemu – KPRP, a od roku 1926 – KPP.

Członkowie ruchu narodowego byli zajadłymi przeciwnikami wszystkich odmian socjalizmu i traktowali konflikty klasowe jako coś, co należy zastąpić czymś innym, a nie rozdmuchiwać. Interesowały ich głównie kwestie etniczne, rozwój gospodarczy i sprawy międzynarodowe. Zaistniał w roku 1893 jako Liga Narodowa Dmowskiego, która z kolei dała początek, w roku 1897, Stronnictwu Narodowo-Demokratycznemu (SND), w roku 1919 Związkowi Ludowo-Narodowemu (ZLN), w roku 1928 Stronnictwu Narodowemu (SN) i w latach 1926–1933 Obozowi Wielkiej Polski (OWP). Był powszechnie znany jako endecja, czyli Narodowa Demokracja, a wpływy jego radykalnie prawicowej ideologii wykraczały daleko poza granice wąskich kręgów zwolenników partii, które zainspirowała.

Polskie Stronnictwo Ludowe (PSL), założone w 1895 roku w galicyjskim Rzeszowie, reprezentowało najliczniejszą warstwę polskiego społeczeństwa; jego wpływy ograniczała jednak skłonność do ciągłych

podziałów. Główną partię PSL-Piast, wywodzącą się z Galicji, powszechnie podejrzewano o uleganie wpływom kleru i bogatych chłopów; w roku 1914 oddzieliła się od bardziej radykalnej PSL-Lewicy. Odłam PSL-Wyzwolenie, także bardzo radykalny, działał na terenach zaboru rosyjskiego. Próbę zaprowadzenia porządku wśród tych wszystkich frakcji udaremniła secesja odłamu pod nazwą Stronnictwo Chłopskie (SCh) między rokiem 1926 a 1931; kolejną podobną próbę podjęto w latach trzydziestych.

Chrześcijańska Demokracja, potocznie zwana chadecją, powstała w 1902 roku na terenach należących do Prus, gdzie proletariacki charakter polskiego społeczeństwa, zwłaszcza na Śląsku, narzucił jej program będący połączeniem filozofii katolickiej z działalnością społeczną. Do partii związanych z chadecją należało Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji (PSChD), a od roku 1937 – Stronnictwo Pracy (SP).

Każdy z tych głównych ruchów miał swoje własne regionalne „twierdze" – socjaliści w Łodzi i Warszawie, narodowcy w Poznaniu i we Lwowie, ludowcy w Krakowie i na południu, chrześcijańscy demokraci na Górnym Śląsku – ale po roku 1918 wszystkie działały na terenie całego kraju.

Po trzecie, istniał cały wachlarz organizacji zrzeszających członków wszystkich mniejszości narodowych. Niektóre – na przykład Rat der Deutschen in Polen czy lokalne żydowskie kahały – były wspierane przez rząd i prowadziły zasadniczo działalność społeczną, kulturalną lub religijną. Inne natomiast były bardziej jawnie polityczne. W polskim sejmie działał Blok Mniejszości Narodowych. Niemcy z prowincji zachodnich mieli własną partię socjalistyczną – DSAP, i własną partię nacjonalistyczną – Jungdeutsche Partei. Polscy Żydzi mogli się poszczycić niemal taką samą liczbą partii jak wyborców, i warto się przyjrzeć, w jaki sposób – *mutatis mutandis* – cztery podstawowe kierunki tego ruchu znajdowały odbicie w doświadczeniach ich polskich odpowiedników. Poalej Syjon (Robotnicy Syjonu), podobnie jak PPS, miało szeroki program, starając się godzić interesy nacjonalistyczne z socjalistycznymi. Bund (Powszechny Żydowski Związek Robotniczy), podobnie jak polski ruch komunistyczny, ciążył w kierunku internacjonalizmu i marksizmu, ale podzielił się na dwa skrzydła: pro- i antysowieckie. Ruch syjonistyczny, którego pierwszy kongres zwołano do Katowic w 1884 roku, cierpiał, podobnie jak polscy narodowi demokraci, na skutek niejednoznacznych relacji z hierarchią religijną. Agudat Israel (Związek Izraela), konserwatywna partia judaistyczna, łączył – podobnie jak chrześcijańscy demokraci – ścisłe powiązania religijne z działalnością społeczną wśród mas. Białorusini natomiast byli reprezentowani wyłącznie przez organizację zrzeszającą chłopów – ich Włościańsko-Robotnicza Hromada została w 1928 roku

rozbita przez policję i zmuszona do działalności podziemnej. Ukraińcy mieszkający na terenie Polski odziedziczyli po epoce galicyjskiej cały wachlarz partii politycznych – Ukraińską Partię Socjal-Demokratyczną (USDP), Ukraińskie Włościańsko-Robotnicze Zjednoczenie Socjalistyczne (Sel-Rob), Ukraińską Partię Socjalistyczno-Radykalną (USRP) i Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne (UNDO). Jednak z powodu wewnętrznych tarć między poszczególnymi społecznościami coraz większego znaczenia nabierała nielegalna Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), która od 1931 roku uprawiała szeroko zakrojoną kampanię akcji terrorystycznych i sabotażu.

Istniała wreszcie pewna liczba ugrupowań robiących dużo hałasu na obrzeżach sceny politycznej. Na prawicy działała faszystowska Falanga – odłam nacjonalistycznego OWP. Na lewicy komunistyczna KPP stanowiła odłam ruchu socjalistów.

Ze względu na tę ogromną złożoność powiązań i antagonizmów polska arena polityczna dostarczała przedsiębiorczym jednostkom szerokiego pola do popisu. Zwłaszcza w latach dwudziestych sejm był pełen barwnych postaci – Ignacy Daszyński (1866–1936), srebrnogrzywy weteran ruchu socjalistycznego, tak podobny do swojego imiennika, pierwszego premiera Ignacego Paderewskiego; Wincenty Witos (1874–1945), przywódca ludowców w kaftanie i bryczesach; ojciec Eugeniusz Okoń (1882–1939), płomienny kapłan, orędownik reformy rolnej; Wojciech Korfanty (1873–1939), były poseł pruski i chrześcijański demokrata, przywódca trzech powstań śląskich z lat 1919, 1920 i 1921; Róża Pomerantz-Meltzer, pierwsza polska posłanka z 1919 roku; Izaak Grünbaum (1879–1960), przywódca ruchu syjonistycznego. W latach trzydziestych ludzie, którzy zaznaczali swoją obecność w życiu publicznym, chlubili się raczej wojennymi medalami niż wyrafinowaną filozofią. Mimo to senat zdobiły postacie naprawdę wyjątkowego kalibru – od historyka Michała Bobrzyńskiego (1849–1935) po wspomnianego przywódcę ze śląska Wojciecha Korfantego; prasa polityczna – od takich dzienników jak „Kurier Warszawski" czy krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny" po miesięczniki wysokiej jakości, takie jak „Przegląd Współczesny" – emanowała życiem i humorem. Nie można powiedzieć, że przedwojenna polska polityka była tak samo nudna i tak samo pozbawiona wybitnych talentów jak polityka okresu powojennego. Nie sposób też twierdzić, że znaczenie którejkolwiek z postaci mniejszego kalibru da się porównać z pozycją dwóch osobistości, które od początku do końca dominowały na scenie wydarzeń politycznych. Te dwie postacie to Roman Dmowski i Józef Piłsudski.

Dmowski i Piłsudski mieli kilka wspólnych cech. W wieku nacjonalizmu, w epoce niepodległości narodowej obaj uznawali w swoim myśleniu prymat pojęcia „naród". Obaj wykraczali poza obszar polityki partyjnej i obaj zdobyli sobie poparcie w kręgach o wiele szerszych niż kręgi partii, z których wyszli, rozpoczynając swoje kariery polityczne. Obaj deklarowali się jako demokraci, którzy nie mają cierpliwości do uprawiania demokracji w praktyce. Każdy widział w drugim uosobienie zła. A poza tym różnili się od siebie jak ogień i woda.

Roman Dmowski (1864–1939) był, mówiąc krótko, ojcem polskiego nacjonalizmu[4]. Urodził się w walczącej z trudnościami materialnymi rodzinie na przedmieściach dzisiejszej Pragi, ukończył rosyjskie gimnazjum w Warszawie, a potem studia przyrodnicze na rosyjskim Uniwersytecie Warszawskim. Wyszedł ze środowiska nowej, przedsiębiorczej polskiej burżuazji końca XIX wieku, której ambicje ograniczał brak otwartości imperialnych reżimów państw rozbiorowych oraz konkurencja z licznymi niepolskimi elementami społeczności miejskiej. Początki jego dozgonnego poświęcenia się polityce polskiej sięgają roku 1892, kiedy został uwięziony w warszawskiej Cytadeli i skazany na wygnanie za udział w organizowaniu patriotycznej demonstracji studenckiej w rocznicę Konstytucji 3 maja. Związał się na krótko z „Zetem" – młodzieżówką Ligi Polskiej, przez rok przebywał w Europie Zachodniej; w kwietniu 1893 roku wrócił do Polski jako jeden z członków założycieli Ligi Narodowej i szybko wyrobił sobie pozycję czołowego publicysty i ideologa, podejmując obowiązki redaktora „Przeglądu Wszechpolskiego". Zyskał rozgłos jako autor *Młodzieży polskiej* (1895), *Myśli nowoczesnego Polaka* (1903), gdzie pisał o zmieniających się interesach i postawach współczesnego społeczeństwa, i – przede wszystkim – książki *La question polonaise* (1906; *Niemcy, Rosja i kwestia polska*), która się przyczyniła do ponownego rozbudzenia zainteresowania w kraju i za granicą sprawą polską w kontekście spraw międzynarodowych. Podczas „rewolucji" z lat 1905–1906 jego Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne nabrało większego znaczenia jako alternatywa dla socjalizmu. Dmowski pojechał nawet do Japonii, żeby sfinalizować plan utworzenia polskiego legionu złożonego z rosyjskich jeńców w Mandżurii, i na ulicy w Tokio natknął się na

[4] Dobrych prac o Dmowskim jest w języku angielskim niewiele, poza nekrologiem pióra Stanisława Kozickiego, *Roman Dmowski, 1864–1939*, „Slavonic and East European Review" 1939, t. 18, s. 118–128. zob. też Andrzej Micewski, *Roman Dmowski*, Warszawa 1971. Liczne prace nacjonalistycznego polemisty Jędrzeja Giertycha – np. *In Defence of My Country*, London 1980 – przekazują sporą część kolorytu ideologii Dmowskiego.

Piłsudskiego. W następnych latach, jako poseł do rosyjskiej Dumy w Petersburgu i przywódca Koła Polskiego, propagował zasadę gradualizmu w polityce narodowej, starając się uzyskać ustępstwa przez bliską współpracę z władzami carskiej Rosji. W roku 1911 zdobył sobie duży rozgłos dzięki organizowaniu bojkotu żydowskich firm w Warszawie – w efekcie w następnych wyborach stracił mandat poselski. Podczas Wielkiej Wojny jako przywódca Komitetu Narodowego Polskiego zdecydował się działać na rzecz sprawy polskiej we współpracy z państwami ententy, licząc, że jego wkład w zwycięstwo koalicji nad Niemcami zostanie nagrodzony utworzeniem państwa polskiego pod auspicjami państw sojuszniczych. Tak się jednak nie stało. Jego początkową ufność w patronat Rosji zniweczyły szybkie sukcesy Niemców na froncie wschodnim i w roku 1916 skierował uwagę na nowe szanse dla dyplomacji w Londynie i Paryżu. Ale rządy alianckie nabrały sceptycyzmu wobec jego obietnic i w ostatnich tygodniach wojny Dmowski wciąż jeszcze był na Zachodzie – w Waszyngtonie – i wciąż nie miał pewności, czy państwa ententy zainstalują jego Komitet jako władze nowej Polski. Po nieoczekiwanym triumfie Piłsudskiego podjął obowiązki przewodniczącego polskiej delegacji na konferencję pokojową w Paryżu i pełnił tę funkcję przez następne dwa lata. W lecie 1920 roku, podczas wojny polsko-bolszewickiej, był przez krótki czas członkiem Rady Obrony Państwa, ale nadziejom na odebranie Piłsudskiemu władzy w wyniku popełnianych przez niego błędów położyła kres Bitwa Warszawska. Bardzo go martwiły kłótnie w sejmie i wolał pisać w samotności, niż uczestniczyć w publicznych sporach. Wśród jego prac z tego okresu znalazły się *Polityka polska i odbudowanie państwa* (1925) – apologia jego działalności z okresu wojny, i niewielki, lecz proroczy artykuł zatytułowany *Piasek w maszynie* (1925), w którym trafnie przepowiedział przewrót majowy. W lecie 1923 roku pojawił się na scenie politycznej jako minister spraw zagranicznych w drugim koalicyjnym rządzie Witosa. Chociaż nadal miał duży wpływ na ruch narodowy, jego jedynym aktem w dziedzinie polityki partyjnej było utworzenie w 1928 roku Obozu Wielkiej Polski. Właśnie do niego prawica bezustannie apelowała o obronę przed Piłsudskim, lecz nigdy już nie piastował żadnego wysokiego urzędu. Wolał działać za kulisami, ale nikt nie wątpił, że był jednym z głównych filarów opozycji przeciwko reżimowi sanacyjnemu. Często przebywał za granicą, wiele w Afryce Północnej, na próżno szukając lekarstwa na postępującą miażdżycę. Umarł jako emeryt w styczniu 1939 roku i pochowano go na cmentarzu na praskim Bródnie, obok matki, w obecności wielkiej rzeszy zwolenników. Przedstawicieli rządu na pogrzebie nie było.

Józef Piłsudski (1867–1935) był, mówiąc krótko, bojownikiem o nowoczesną polską niepodległość[5]. Urodził się w zubożałej rodzinie szlacheckiej na Litwie, ukończył rosyjskie gimnazjum w Wilnie, a potem studiował medycynę na uniwersytecie w Charkowie. Wyszedł ze środowiska zniszczonych niedobitków starej polskiej szlachty i inteligencji, której marzenia zniweczyły represje imperialnych reżimów państw rozbiorowych. Początki jego dozgonnego poświęcenia się polskiej polityce sięgają roku 1887, kiedy został skazany na pięć lat katorgi na wschodzie Syberii za udział jego brata w organizowaniu próby zamachu na cara. Po krótkim flircie z teorią socjalizmu i pierwszej z kilku podróży do Europy Zachodniej w 1893 roku wrócił do Polski jako jeden z członków założycieli PPS-u i szybko objął stanowisko redaktora „Robotnika" oraz zdobył reputację niezmordowanego bojownika rewolucyjnego podziemia. Jako działacz polityczny szczególnie interesował się wydarzeniami historycznymi i skupiał całą energię na praktycznych aspektach walki o wyzwolenie narodowe. Karierę literacką rozpoczął od publikacji krótkiej historii sławetnego Dziesiątego Pawilonu warszawskiej Cytadeli, gdzie sam przebywał jako więzień w zimie 1901 roku, aresztowany w Łodzi za posiadanie nielegalnego sprzętu drukarskiego i fałszywego paszportu. Podczas „rewolucji" z lat 1905–1906 Organizacja Bojowa jego PPS-u stała na czele fali strajków i akcji terrorystycznych. Pojechał nawet do Japonii, żeby propagować swój plan utworzenia polskiego legionu, i na ulicy w Tokio natknął na Dmowskiego. W następnych latach, jako wyjęty spod prawa terrorysta, a następnie uchodźca polityczny w Galicji, opowiadał się za rozwiązaniem problemów Polski na drodze militarnej, dążąc do utworzenia siły zbrojnej, której w odpowiednim momencie można by użyć i w ten sposób uzyskać ustępstwa władz carskich. W roku 1913 zyskał sobie duży prestiż, zarządzając manewry swojego Związku Strzeleckiego i wygłaszając za granicą szereg wykładów. Podczas Wielkiej Wojny jako komendant Legionów zdecydował się walczyć o sprawę polską we współpracy z państwami centralnymi, licząc, że jego wkład w zwycięstwo Niemców nad Rosją umożliwi mu utworzenie państwa polskiego na jego własnych warunkach. Tak się jednak nie stało. Jego początkową przydatność dla niemieckich patronów zniweczyły ich zbyt szybkie sukcesy na froncie wschodnim i w latach 1916–1917 skierował uwagę na polityczne szanse w nowym Królestwie Polskim, gdzie przez krótki czas

[5] Zob. Wacław Jędrzejewicz, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935* (Polish Cultural Foundation), t. 1–2, London 1977, oraz tego samego autora *Piłsudski: A Life for Poland*, ze wstępem Wandy Piłsudskiej i przedmową Zbigniewa Brzezińskiego, New York 1982.

piastował urząd ministra obrony. Ale rząd niemiecki nabrał sceptycyzmu wobec jego motywacji i w ostatnich tygodniach wojny nadal był więźniem w twierdzy magdeburskiej, i wciąż się obawiał, że państwa ententy zainstalują Komitet Narodowy Dmowskiego jako władzę nowej Polski. Po swoim nieoczekiwanym triumfie rzucił się jednak do obrony Rzeczypospolitej (oraz własnej pozycji) przed wszystkimi napastnikami. Przez cztery pierwsze lata niepodległości był Naczelnikiem państwa i wodzem naczelnym sił zbrojnych, a wszelkim nadziejom jego rywali z obozu narodowego na odebranie mu władzy w wyniku błędów, jakie popełnił w czasie Wielkiej Wojny, położyła kres Bitwa Warszawska. Ze sceny wycofał się w roku 1923, bardzo przygnębiony kłótniami w sejmie, woląc pisać w odosobnieniu, niż startować w wyborach prezydenckich. Wśród jego prac z tego okresu znalazły się: *O wartości żołnierza Legionów* (1923), *Rok 1920* (1924), *Moje pierwsze boje* (1925) i *U źródeł niemocy Rzpltej* (1924), która rzuca światło na stan jego umysłu w okresie przed przewrotem majowym. Kiedy w roku 1926 pojawił się ponownie na scenie politycznej, chciał udaremnić Witosowi próbę utworzenia kolejnego rządu koalicyjnego z obozem narodowym. Chociaż nadal żywił silną sympatię dla ruchu socjalistycznego, nigdy ponownie nie przyłączył się do PPS-u. Chociaż kilkakrotnie naciskano na niego, namawiając go, aby „przyjął koronę", jego jedynym aktem politycznym było tymczasowe objęcie formalnego urzędu premiera na krótki okres od 1926 do 1928 roku i następnie ponownie w roku 1930. Wolał działać za kulisami, ale nikt nie wątpił, że był szefem reżimu sanacyjnego. Często przebywał za granicą, wiele na Maderze, na próżno szukając ucieczki przed rozwijającym się rakiem żołądka. Umarł na posterunku w maju 1935 roku, i pochowano go ze wszystkimi honorami w krypcie katedry wawelskiej w Krakowie, obok polskich królów. Dmowskiego na pogrzeb nie zaproszono.

Z nich dwóch to Dmowski mógłby sobie rościć prawo do spójnej ideologii i większej konsekwencji wśród otoczenia. Jego współpracownicy – w pierwszym okresie Zygmunt Balicki i Jan Popławski, a później Zygmunt Wasilewski (1865–1948) oraz Zygmunt i Marian Seydowie – mieli w zasadzie takie same przekonania jak on i wprowadzali je w czyn zarówno prywatnie, w mowie i piśmie, jak i na łamach silnie nacjonalistycznej prasy. Piłsudski natomiast był mniej skłonny do formułowania teoretycznych propozycji, a ponieważ kilkakrotnie zmieniał przekonania, zraził sobie wielu współpracowników. Bliscy towarzysze z okresu działalności socjalistycznej – Leon Wasilewski (1870–1936) czy Stanisław Wojciechowski (1869–1953) – w większości rozstali się z nim przed przewrotem majowym, a może jeszcze wcześniej. Najbliżsi współpracownicy

z czasów sanacji – Walery Sławek, Adam Koc czy Józef Beck – byli zawodowymi wojskowymi, silnie związanymi z Legionami. Mimo to jednak zderzenie pryncypiów obu obozów było mocne i autentyczne, nie wynikało po prostu z osobistych animozji. Kwestie, o które przez czterdzieści lat tak zajadle się spierano, dotyczyły pełnej gamy spraw krajowych i zagranicznych, a ich analiza wyjaśnia, dlaczego debata między zwolennikami i przeciwnikami każdego z obu polityków trwa do dziś.

Pojęcie narodu[6] – czyli charakterystyka wspólnoty narodowej – było sprawą zasadniczą dla ludzi naprawdę zaangażowanych w jego tworzenie. W opinii Piłsudskiego naród był wytworem historii, wspólnotą dzielącą te same wartości i tę samą lojalność, chociaż niekoniecznie przynależność etniczną i pochodzenie. W takim narodzie jest miejsce dla wielu narodowości, jeśli tylko wszystkie elementy składowe pozostają lojalne wobec całości. Jego model „wielonarodowego narodu" był z pewnością wzorowany na dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, choć miał też wiele wspólnego z pojęciami Brytyjczyków i Amerykanów. Według Piłsudskiego zróżnicowanie etniczne i kulturowe narodu powinno się stać źródłem żywotności i siły. Według Dmowskiego natomiast naród był zjawiskiem naturalnym – wynikiem danego ludzkości przez Boga podziału na odrębne byty, z których każdy posiada na wyłączność własny język, terytorium i historię. Przy swojej wiedzy przyrodniczej i skłonności do przyjmowania społecznej odmiany darwinizmu Dmowski był bardzo bliski utożsamianiu narodu z rasą, pojmowaniu go w kategoriach grupy spokrewnionej biologicznie, mającej własną „krew" i własne „zasoby" genetyczne grupy, której wspólna egzystencja i tożsamość jest czymś o wiele większym niż egzystencja i tożsamość poszczególnych jednostek. Przyjmując taki pogląd, za większość zła współczesnej Europy można by winić bezkrytyczne mieszanie nacji w dynastycznych imperiach. Najważniejszym zadaniem współczesnych mężów stanu jest posegregowanie składników tej mieszanki i rozmieszczenie ich w odrębnych rezerwatach. Mocno wierzono w naród „raz na zawsze", który istniał wiecznie, bez względu na warunki polityczne, i który miał własne niezbywalne, zbiorowe prawo kontroli nad swoimi ziemiami, ludźmi i losem. Prawa jednostek powinny być podporządkowane prawom zbiorowym. Zróżnicowanie etniczne i kulturowe w obrębie każdej społeczności może się stać jedynie źródłem tarć i niesprawiedliwości. (Już z definicji w jednym narodzie nie mogło istnieć etniczne zróżnicowanie). Chociaż Dmowski z pewnością nie

[6] W znaczeniu przyjętym w Europie, a nie w Ameryce. Zob. Norman Davies, *Boże igrzysko. Historia Polski*, tłum. Elżbieta Tabakowska, Kraków 1991, t. 2, s. 19–112.

chciałby tego przyznać, stworzony przez niego model takiego ideału wywodził się ze szkoły *Blut und Boden*, ideałów głoszonych przez niemieckich nacjonalistów wczesnego okresu – pierwszych propagatorów mitu o mistycznej więzi między „krwią i ziemią". Na tej samej zasadzie można by słusznie podejrzewać Dmowskiego, że podświadomie pragnie, aby Polska przypominała tamte potężne, bogate, spójne etnicznie i na nowo zjednoczone Niemcy, których świadomie tak bardzo się bał i nienawidził. Takie uczucia tworzą oczywiście wspólne jądro większości współczesnych nacjonalizmów czy to w cesarskich Niemczech, czy też w faszystowskich Włoszech lub w Izraelu Begina – według standardów europejskich z początków XX wieku poglądy Dmowskiego bynajmniej nie były oryginalne. Jego wkład polegał na zastosowaniu współczesnych mu ogólnych teorii nacjonalistycznych do specyficznych warunków polskich. Bardzo znaczące, że Piłsudski mógł się pochwalić, iż nie jest członkiem polskiego narodu – z którego niegdyś szydził, nazywając go „narodem głupców" – ale Litwinem wychowanym w polskiej kulturze, podczas gdy Dmowski spędził większą część swojej kariery, nawołując swoich rodaków do zwalczania „obcych elementów", które się między nich wkradły.

Niepodległość narodowa była kością bezustannej niezgody. Dla Piłsudskiego niepodległość stała się wstępnym i koniecznym warunkiem wszelkiej celowej działalności społecznej, i z tego powodu w latach 1908–1918 poświęcił się realizacji tego jednego jedynego celu. Jeśli naród nie jest wolny i niepodległy, swoją energię zużywa nie dla własnej korzyści, ale dla korzyści swoich panów. Działalność społeczna, kulturalna i gospodarcza może zacząć przynosić owoce nie przed, ale po uzyskaniu niepodległości. Dla Dmowskiego niepodległość była raczej ostatecznym celem niż bezpośrednią koniecznością. Chociaż miał darwinowską wizję dzikiej międzynarodowej dżungli, w której narody muszą walczyć lub ginąć, mocno wierzył, że naród nie jest godzien niepodległości, dopóki jego zasoby materialne i świadomość duchowa nie osiągną odpowiedniego poziomu. Z tego powodu przed rokiem 1917 zadowalał się przyjęciem autonomii Polski jako pierwszego kroku na tej drodze. Wierzył też, że niepodległość nie stanowi sama w sobie gwarancji sukcesu narodu. Gdyby miała nadejść, zanim naród rozwiąże swoje wewnętrzne problemy i zbuduje sobie solidne fundamenty gospodarcze, solidną kulturę i – przede wszystkim – homogeniczne społeczeństwo, może się on spodziewać jedynie kłopotów. Stąd rezerwa Piłsudskiego wobec Drugiej Rzeczypospolitej. Krytykę Dmowskiego pod adresem sanacyjnego reżimu niewątpliwie podsycało w pewnym stopniu osobiste rozgoryczenie, ale wypływała ona z przekonania, że nikt w obozie Piłsudskiego nie potrafi

pojąć rozmiarów radykalnej reformy niezbędnej do przetrwania narodu. Dla Piłsudskiego niepodległość była bezcennym klejnotem, dla Dmowskiego – przedmiotem o wątpliwej wartości, chyba że uzyska wsparcie w postaci innych, bardziej solidnych fundamentów społecznych i gospodarczych.

Opinie dotyczące metod politycznych musiały być zróżnicowane. Piłsudski wierzył, że światem rządzi brutalna siła i że można uzyskać zasadnicze zmiany i obronić zasadnicze interesy jedynie wtedy, kiedy jest się gotowym użyć przemocy, terroru i siły militarnej. W swoich rewolucyjnych czasach dowiedział się, czym są spisek bombowy i zbrojny napad na pociąg. Jako polityk – i w tej samej mierze jako strateg wojskowy – był mistrzem metody *fait accompli*. Traktował politykę zagraniczną i politykę wewnętrzną jak próbę sił, w której przeciwnik zacznie się kierować zdrowym rozsądkiem dopiero wtedy, kiedy się go do tego zmusi. Dmowskiego przerażały takie pomysły. Zawsze uważał, że terroryzm i rewolucyjne przemowy jego przeciwników z obozu socjalistycznego potęgują represje, które w zamierzeniu działaczy miały wygaszać. Powstanie i spiski były czymś jeszcze gorszym niż strata czasu: odwracały energię ludzi od naprawdę skutecznych – choć może mniej sensacyjnych – metod regeneracji narodu. Politykę uważał za walkę interesów, zręcznościową grę, do której można było wejść tylko wtedy, kiedy się miało potrzebny sprzęt. Dla jednego i dla drugiego polityka była grą dla wybranych, zaangażowanej elity, ale dla Piłsudskiego ta gra nie miała sensu, jeśli się siadało do stolika bez rewolweru w kieszeni. Dla Dmowskiego nie miała sensu, jeśli gracze zamierzali po prostu wystrzelać przeciwników, albo – co byłoby jeszcze gorsze – jeśli się nie posiadało wystarczających umiejętności i amunicji.

Istniał też ostry kontrast w nastrojach i emocjach, jakie towarzyszyły działaniom politycznym. Piłsudski był wojownikiem, który odwoływał się do rycerskiego etosu walki i który miał odwagę wyzwać przeciwnika do walki na śmierć i życie. Cechowało go silne poczucie honoru, i nawet jeśli we wczesnym okresie z powodu militarnej słabości musiał się uciekać do konspiracyjnych metod podziemia, to nie przejawiał sympatii wobec zasad moralnego kompromisu czy politycznych sztuczek. Kiedy w 1917 roku niemiecki gubernator Warszawy przedstawił mu kuszącą propozycję rządzenia Polską pod niemieckimi auspicjami, jego odpowiedź była absolutnie bezkompromisowa: „Być może zyskałby pan jednego Polaka, ale ja straciłbym cały naród". Postawa Dmowskiego była bardziej elastyczna, bardziej ustępliwa. Chociaż odwoływał się do takich uczciwych wartości jak ciężka praca i pobożność (które cenił wyżej niż bojowe

talenty), jednocześnie grał na ludzkich słabościach, obawach, uczuciu niepewności i uprzedzeniach. Dostarczał ludziom mitów i fantazji, opowieści o żydowskich spiskach, gniazdach masonerii, cudach niemieckiego wywiadu. Piłsudski odrzucał ostrożność i dawał przykład ufności pokładanej w poczuciu bezpieczeństwa płynącym z jasnych zobowiązań moralnych – bez względu na wszystko. Dmowski uczył Polaków korzyści wynikających z mądrości i opanowania, równocześnie nawołując do czujności wobec ciemnych, ukrytych sił niewidzialnego wroga. Jeśli idzie o emocje, Piłsudski przyjął postawę silną i prostolinijną, odwołując się do poczucia moralności ludzkiej jednostki. Postawa Dmowskiego była bardziej złożona ze względu na odniesienia do zbiorowych praw i interesów społeczeństwa jako całości.

Polska demokracja przez ponad sto lat pozostawała w stanie zawieszenia i wobec tego jej rozumienie musiało z konieczności być dość ograniczone. Na początku XX wieku nikt z Polaków nie miał żadnej praktycznej wiedzy o demokracji – poza bardzo niewielkim doświadczeniem, jakim była działalność sejmu w Galicji, cesarskiego Reichstagu w Berlinie i Wiedniu czy carskiej Dumy w Petersburgu, natomiast każdy Polak miał silnie wpojoną wiedzę o mechanizmach opozycji. Nawet w najbardziej korzystnych okolicznościach przejście od rządów cesarskich do demokracji konstytucyjnej musiało nieść ze sobą mnóstwo niebezpieczeństw. Tak czy inaczej, zarówno Dmowski, jak i Piłsudski dość wcześnie stracili cierpliwość do ustroju, choć każdy z innych przyczyn. Dmowski był rozżalony faktem, że życzenia „polskiej większości" nie zostały spełnione w wyniku głosowania niepolskiego Bloku Mniejszości Narodowych. Przecież gdyby nacjonaliści i ich prawicowi sojusznicy objęli rządy nad „większością większości" w łonie mówiącej po polsku katolickiej ludności, nie byliby w stanie zrównoważyć połączonych sił lewicy i mniejszości narodowych. Bez względu na pretensje, jakie Dmowski mógł zgłaszać pod adresem liberalizmu konstytucyjnego, jego przekonanie, że jedna trzecia obywateli polskich powinna zostać w jakiś sposób pozbawiona pełnych praw obywatelskich z powodu swojej przynależności etnicznej, było skrajnie nieliberalne. W połowie lat dwudziestych otwarcie wychwalał włoski faszyzm. Chociaż nominalnie był członkiem sejmu, nigdy nie uczestniczył w jego obradach. Obiekcje Piłsudskiego miały charakter bardziej pragmatyczny. Polski sejm przypominał gromadę przekupek i nie potrafił ani prowadzić konsekwentnej polityki, ani wyłonić odpowiedzialnych przywódców. Polscy demokraci byli skorumpowani, działali bezładnie i potrzebna im była dyscyplina. Piłsudski rozwiązał problem, wprowadzając wojsko. Mimo że Dmowski niewątpliwie również zdawał sobie sprawę

z potrzeby takiej czy innej formy ponadparlamentarnego paternalizmu, uciekanie się do pomocy wojska uważał za zdradę narodu – sięganie po metody „pruskie". Jednakże nieumiejętność zorganizowania jakiejś spójnej alternatywy albo dla ustroju parlamentarnego z lat dwudziestych, albo dla na wpół dyktatorskiego reżimu Piłsudskiego po roku 1926 okazała się skutecznym powodem wykluczenia go z rządu. Jego zwolennicy uważali, że w tej sprawie wykazał o wiele za mało ambicji.

Sprawy społeczne, gospodarcze, kulturalne i dyplomatyczne miały zatem w szeroko zakrojonych planach Dmowskiego swoje role do odegrania. Gdyby nie zwracać należytej uwagi na wszystkie te aspekty procesu rekonstrukcji narodu, politykę narodową trzeba by niewątpliwie sprowadzić do serii bezsensownych sztuczek i jałowych sporów. Piłsudski jednak – w sposób charakterystyczny dla siebie – poświęcał się coraz bardziej sprawom wojskowym: problemom bezpieczeństwa zewnętrznego, stabilizacji wewnętrznej, szkoleniu armii, wojnie i perspektywie wojny. I już z tego powodu – jeśli nie z innych przyczyn – był skazany na utratę zaufania dawnych towarzyszy z obozu socjalistycznego, a także swoich odwiecznych przeciwników z obozu narodowców. W latach trzydziestych niektórzy z drugoplanowych działaczy obozu sanacyjnego – bracia Janusz i Wacław Jędrzejewiczowie czy ekonomista Eugeniusz Kwiatkowski – starali się rekompensować brak szerszych interesów całego reżimu sanacyjnego.

Na architektów nowoczesnego bytu narodowego działały jak potężna magia historia i historyczne symbole. Dmowski z nostalgią spoglądał wstecz na idyllę dawnej Polski Piastów z epoki wczesnego średniowiecza, kiedy to – jak myślano – dawne polskie plemiona, niezepsute przez obce wpływy, całe życie spędzały, walcząc z germańskim wrogiem. Autorstwo idei „Polski piastowskiej" przypisuje się przyjacielowi Dmowskiego, Janowi Ludwikowi Popławskiemu. Najwspanialszymi bohaterami byli dla Dmowskiego polscy rycerze, którzy w 1410 roku pobili Krzyżaków pod Grunwaldem. Energicznie wspierał odradzanie się polskich ziem w Prusach, kolebkę państwa polskiego, oraz ich zjednoczenie z ziemiami na terenie Rosji i Austrii. Nie był jednak orędownikiem budowania Polski czystej etnicznie, w najwęższych granicach. Jego koncepcja „Wielkiej Polski" przewidywała włączenie obszarów kresowych zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie, pozostając tym samym w konflikcie z podobnymi planami układanymi przez sąsiadów – ideą „Wielkich Niemiec" i „Wielkiej Ukrainy". Piłsudski natomiast wracał myślą do idei Rzeczypospolitej Obojga Narodów i „idei jagiellońskiej".

Ważną rolę w życiu Polaków odgrywała religia, przenikając do polityki. Dmowski uważał rzymski katolicyzm za religię narodową, nieodłączny

atrybut polskiej tożsamości i „ras łacińskich", które tak podziwiał. Pojęcie „Polak niekatolik" było dla niego oczywistą wewnętrzną sprzecznością. Głębokie przywiązanie do katolicyzmu zyskało mu z jednej strony żarliwe poparcie wojowniczo nastawionego kleru, z drugiej zaś – ciągłą nieufność niekatolickich mniejszości. Chroniło też jego i jego zwolenników przed bardziej jawnym uleganiem pokusom faszyzmu (w wydaniu włoskim, nie niemieckim), z którymi w innych okolicznościach mogliby igrać z poważniejszymi konsekwencjami[7]. Piłsudski nie był tak mocno związany z religią. Chociaż pochodził z katolickiego domu, nominalnie był zarejestrowany jako protestant i wziął ślub w protestanckim kościele, po prostu dla odwrócenia uwagi carskiej policji. W jego przekonaniu polska tożsamość nie miała zbyt wiele wspólnego z powiązaniami religijnymi i była tak samo otwarta dla chrześcijan i Żydów, katolików i protestantów, wierzących i niewierzących. Tolerancja w sprawach religii i wyobcowanie od Kościoła zyskały mu z jednej strony poparcie mniejszości narodowej, z drugiej zaś – ciągłą nieufność wojowniczo nastawionego kleru katolickiego. Zapewniło też jemu i jego zwolennikom wysoką pozycję na polskiej lewicy, ponieważ lewica nieodmiennie uważała Kościół za jedną z głównych twierdz prawicy i wszelkiego konserwatyzmu. Dmowski umieścił Piłsudskiego w kategorii zdrajców polskiej kultury, pozbawionego korzeni i zasad oportunistę, „wielkiego grzesznika". Piłsudski uważał Dmowskiego za żywe źródło nie miłosierdzia chrześcijańskiego, lecz nienawiści oraz za siewcę niezgody.

Kwestia żydowska rodziła w Polsce wielkie namiętności, a przy tym zadziwiająco mało przemocy. Dmowski wyraźnie wierzył w mit o wielkim żydowskim spisku i nawoływał rodaków do obrony przeciwko niemu. Był inicjatorem kilku bojkotów wymierzonych w Żydów, a w latach trzydziestych żarliwym orędownikiem zasady *numerus clausus* w polskim systemie szkolnictwa. Działanie żydowskiego lobby dostrzegał nawet w problemach polskiej polityki zagranicznej, na przykład obarczając winą za decyzje Lloyda George'a na konferencji pokojowej w Paryżu

[7] W interesującym artykule *Roman Dmowski and Italian Fascism* Antony Polonsky sugeruje, że profaszystowskie sympatie Dmowskiego były jeszcze wyraźniejsze, niż się na ogół przyjmuje. Cytując serię artykułów Dmowskiego na temat nacjonalizmu i faszyzmu, opublikowanych w „Gazecie Warszawskiej Porannej" z czerwca i lipca 1926 roku, Polonsky wskazuje na pochlebną opinię Dmowskiego o faszyzmie jako „największej rewolucji naszych czasów", ukazuje jego wyjaśnienie przewrotu majowego w Polsce jako elementu ogólnego schyłku liberalnej demokracji w Europie i przytacza argumenty za tezą, że założenie Obozu Wielkiej Polski w 1926 roku miało na celu przygotowanie polityki polskiej prawicy na jakieś nieokreślone przyszłe radykalne działania zgodne z faszystowskim modelem.

niewidzialną rękę światowego syjonizmu (w tym konkretnym przypadku wpływy Lewisa Namiera). Na Piłsudskim takie fantazjowanie nie robiło wrażenia i nieustannie nawoływał do pojednania między Polakami i Żydami. Wszystkie związane z nim organizacje – PPS, Legiony, wczesna sanacja – chętnie przyjmowały Żydów. Dmowski był zawodowym antysemitą, Piłsudski – gdyby go przycisnąć – nie miałby nic przeciwko etykiecie „filosemity".

Wszystkie dysputy na temat stosunków międzynarodowych Polski były zdominowane niegodnym pozazdroszczenia położeniem geograficznym między Niemcami i Rosją. Strategicznie trudna sytuacja Polski była w zasadzie taka sama w roku 1900 – między cesarskimi Prusami i carską Rosją, jak w roku 1921 – między Republiką Weimarską i Rosją Sowiecką, czy wreszcie w latach 1934–1939 – między hitlerowską Trzecią Rzeszą i stalinowskim ZSRR. Podczas każdego kryzysu z tamtych lat Polacy mieli zasadniczo do wyboru trzy możliwości: stanąć po stronie Rosji przeciwko Niemcom, stanąć po stronie Niemiec przeciwko Rosji albo zachować neutralność, ryzykując, że Niemcy i Rosja wspólnie wymierzą im karę. Dmowski konsekwentnie utrzymywał, że główne zagrożenie pochodzi od Niemiec. Był pod ogromnym wrażeniem potęgi gospodarczej Niemiec i ich supremacji kulturowej w Europie Środkowej oraz militarnej tradycji Prus; równocześnie żywił przekonanie, że zacofana Rosja nie jest równym przeciwnikiem i że dla wzajemnej ochrony narody słowiańskie musiałyby stworzyć wspólny antygermański front. Odczuwał naturalne pokrewieństwo z narodami łacińskimi, szczególnie z Włochami, i nie był szczególnym miłośnikiem Rosjan. W latach studenckich przeprowadził energiczną kampanię przeciwko rusyfikacji ziem nadwiślańskich. Miał po prostu wrażenie, że w porównaniu z Niemcami Rosja jest mniejszym złem. Kompromitacja tej strategii nastąpiła w efekcie upadku jego carskich patronów w latach 1915–1917, a następnie z powodu rozwoju bezbożnego bolszewizmu, z którym katolickiej Polsce nie było łatwo współpracować. Nigdy jednak nie zachwiał się w przekonaniu, że największym zagrożeniem są Niemcy; po roku 1933, w latach rozwoju nazistowskich Niemiec, przekonanie to nabrało dodatkowej mocy. W takim kontekście wydaje się absolutnie logiczne, że najsilniejsze poparcie znajdował w tych zachodnich prowincjach Polski – zwłaszcza w Poznańskiem – które były najbardziej narażone na niemiecki rewanżyzm i najbardziej świadome niemieckich wpływów. Litwin Piłsudski natomiast konsekwentnie utrzymywał, że główne zagrożenie pochodzi od Rosji. Był pod ogromnym wrażeniem rozmiarów zasobów ludzkich i bogactw naturalnych Rosji oraz bezkompromisowości jej

ambicji politycznych; miał przekonanie, że postęp techniczny i przemysłowy Niemiec nie będzie trwał wiecznie i że narody Europy Wschodniej mają niewiele czasu na stworzenie wspólnego antyrosyjskiego frontu do wzajemnej ochrony. Nie był szczególnym miłośnikiem Niemców, których arogancji nie znosił, natomiast długi pobyt na wygnaniu w Galicji rozbudził w nim pewną sympatię dla Austriaków. Podzielał strach Austriaków przed Rosją oraz ich niesmak z powodu upokarzającej konieczności zdawania się na siłę Niemców. Zwracając się w stronę Niemców, miał więc po prostu wrażenie, że Niemcy są mniejszym złem. Jego strategią nieco zachwiały najpierw ich nadmierny sukces militarny z lat 1915–1918, a potem rozwój nazizmu, z którym jego lewicowej sanacji nie było łatwo współpracować. Nigdy jednak nie zachwiał się w przekonaniu, że największym zagrożeniem jest Rosja; po roku 1929, w latach rozwoju stalinizmu przekonanie to nabrało dodatkowej mocy. W takim kontekście wydaje się absolutnie logiczne, że najsilniejsze poparcie znajdował w tych wschodnich prowincjach Polski – zwłaszcza na Litwie i Białorusi – które były najbardziej narażone na sowiecki rewanżyzm i najbardziej świadome rosyjskich wpływów. Dmowski był niepoprawnym „człowiekiem Zachodu", Piłsudski – typowym „człowiekiem Wschodu", kresowcem.

Postawy wobec Niemiec i Rosji miały znaczny wpływ na stanowisko wobec mniejszych sąsiadów Polski i zachodnich krajów alianckich. Dmowski – germanofob i latynofil – żywił sympatię dla Czechosłowacji i powiązań czesko-rosyjskich, a także dla Włoch. Miał wiele wspólnego z Benešem, którego kariera zainstalowanego w Pradze klienta aliantów była tym, co on sam życzyłby sobie mieć w Warszawie. Miał ścisłe powiązania z Quai d'Orsay i szczery zamiar uczynienia z Polski wschodniego bastionu jako elementu francuskiego planu okrążenia Niemiec. Był naturalnym pomysłodawcą Małej Ententy. Rusofob Piłsudski nie żywił żadnej sympatii ani dla Czechosłowacji, ani dla powiązań czesko-rosyjskich, ani tym bardziej dla Beneša, którym serdecznie pogardzał za jego zgodę na rolę posłusznej marionetki w służbie interesów aliantów i Rosjan. W oczach Londynu i Paryża Piłsudski nigdy nie potrafiłby w pełni odkupić swoich win jako ten, który w czasie Wielkiej Wojny walczył po stronie państw centralnych; Piłsudski zaś w pełni odpłacał im taką samą podejrzliwością. Wciąż uważał, iż Francuzi oczekują, że Polska będzie walczyć za Francję, nie zobowiązując się jednocześnie do walki za Polskę; nie chciał mieć nic do czynienia z Małą Ententą. Czuł się jak u siebie w domu w Bukareszcie i w Budapeszcie – tak samo jak czuł się u siebie w kontaktach z Finami, Estończykami, Łotyszami, Ukraiń-

cami, Kozakami i Gruzinami, natomiast jego jednostronny spór z litewskimi nacjonalistami, którzy popełnili niewybaczalny grzech, szukając pomocy u Rosjan podczas próby odzyskania Wilna, nie pozwolił mu nigdy zrealizować planów kresowej federacji, o której marzył.

Niezwykła symetria antagonizmów istniejących między Dmowskim i Piłsudskim wskazuje, że ich kariery i opinie były efektem działania sił o wiele głębszych niż wzajemna antypatia dwóch ludzi o silnych osobowościach. Prawdę mówiąc, fakt, iż ponadtrzydziestomilionowy naród mógł być tak pochłonięty ich problemami, zaniedbując mnóstwo innych ważnych ludzi i ważnych spraw, potwierdza tezę, że ich rywalizacja była odbiciem analogicznych głębokich rozłamów w samym polskim społeczeństwie. Rozmiary różnic między nimi, a także doskonała równowaga elementów na listach rozbieżności i powiązań są naprawdę godne uwagi. Zwyczajowe etykiety – „obóz narodowy" i „obóz niepodległościowy" – są nieadekwatnymi skrótami, które nie oddają całej złożonej mieszaniny pryncypiów przyjmowanych przez każdą ze stron. Można podejrzewać, że ci dwaj ludzie byli wcieleniem większości sprzecznych elementów składających się na polską rzeczywistość i odziedziczonych po długim okresie rozbiorów, w którym obaj wzrastali i który obaj – każdy na swój sposób – starali się odmienić.

Rzeczpospolita, która powstawała w kontekście sprzecznych dążeń dwóch rywali, nie podporządkowywała się planom żadnego z nich. Polska międzywojenna nie była jednonarodowościową etniczną Polską z marzeń Dmowskiego, ale nie była też częścią federacji wolnych narodów, o jakiej marzył Piłsudski. Prawdę mówiąc, każdy z nich przyczynił się do udaremnienia realizacji własnej wizji. To Dmowski wysunął na konferencji pokojowej żądanie przywrócenia Polsce granic z 1772 roku, zakładając tym samym włączenie milionów nie-Polaków ze wschodnich prowincji, i to Piłsudski – mimo wszystkich swoich obaw – ostatecznie przyjął postanowienia traktatu ryskiego, które oznaczały rozbiór Litwy, Białorusi i Ukrainy, zmieniając mieszkańców Kresów w narody poddane obcej władzy.

W kategoriach władzy politycznej i krótkoterminowych sukcesów Piłsudski oczywiście łatwo wygrał pojedynek z Dmowskim. W każdym momencie krytycznym obu długoletnich karier Piłsudski był górą. W czasie „rewolucji" lat 1905–1906 zdobył sobie opinię nieustraszonego patrioty, podczas gdy Dmowski wyszedł na psuja i oportunistę. W czasie Wielkiej Wojny jego kampania w walce o niepodległość istotnie poprzedzała zdobycie niepodległości – choć jej sama nie zdobyła, a początkowe plany Dmowskiego przewidujące autonomię pod auspicjami Rosji

przedstawiano jako bardzo mizerne. W latach 1916–1917 Piłsudski działał w Warszawie, podczas gdy Dmowski był jeszcze za granicą, a w roku 1918 ostatecznie przejął stery rządu – w okresie gdy Rzeczpospolita nabierała kształtu. W latach 1919–1920, w czasie wojny bolszewickiej, witano go jako zbawcę Polski, bojownika o wyzwolenie kraju, podczas gdy Dmowski zasiadł w ostatnich rzędach. W roku 1926 Piłsudski ponownie i bezapelacyjnie przejął władzę, Dmowskiemu pozostawiając rolę jednego z licznych rywali z opozycji, miotających się bezradnie w politycznym podziemiu. Ani z wyboru, ani za sprawą politycznych planów Dmowski nigdy dłużej nie sprawował władzy wykonawczej; Piłsudski, raz zdobywszy władzę, nigdy z niej nie zrezygnował.

Jednak na dłuższą metę – zwłaszcza w dziedzinie myśli politycznej – Dmowski odniósł sukces o wiele większy, niż byliby to skłonni przyznać jego rywale. Zaraz po śmierci Marszałka reżim sanacyjny zabrał się do naprawy stosunków z nacjonalistami, a w wielu spośród tonów, jakie zaczęły pobrzmiewać w latach 1935–1939, można odnaleźć wpływy Dmowskiego. Zaostrzenie postaw nacjonalistycznych, prześladowania mniejszości, antysemityzm, troska o plany gospodarcze, uznanie zagrożenia ze strony Niemiec i *rapprochement* z zachodnimi mocarstwami – wszystko to były po części po prostu znaki czasu, ale widać w nich też było świadome zmiany polityki i przesunięcie akcentów, które Dmowski – już na emeryturze – z pewnością witał z ciepłą życzliwością. Jeszcze za życia Dmowskiego jego nacjonalistyczne pomysły zaczęły się wysuwać na pierwszy plan w sposobie myślenia rządu. Nie mógł jednak marzyć, że pod koniec II wojny światowej, którego nie dożył, wybór jego ważnych myśli zostanie przyjęty przez program partii komunistycznej, zainstalowanej w Warszawie przez Związek Sowiecki.

Tak więc pojedynek Dmowski – Piłsudski nie zakończył się wraz z ich śmiercią. I to całkiem niezależnie od emigracji złożonej z przedwojennych roczników, która nadal prowadziła walkę na łamach tygodnika „Myśl Polska" i czasopisma „Niepodległość", tak jakby endecja i sanacja wciąż jeszcze zajmowały się bieżącą polityką, a postacie Dmowskiego i Piłsudskiego nadal górowały nad całą resztą ludzi, którzy wnosili wkład w kształtowanie współczesnych postaw w Polsce. Po niemal siedemdziesięciu latach od unicestwienia ich świata wciąż jeszcze budzą podziw i wywołują kontrowersje. Wywarli silny wpływ na postawy zarówno komunistycznej elity, jak i całego polskiego społeczeństwa. W epoce Solidarności głosy postendeków i neopiłsudczyków można było usłyszeć podczas niemal każdej dyskusji politycznej, a w KPN-ie i KOR-ze te dwie grupy tworzyły dwa główne prądy jawnej opozycji.

Głos nacjonalistycznych haseł Dmowskiego wciąż jeszcze miesza się z hukiem dział Marszałka i z nawoływaniem do posłuszeństwa wobec imperatywu moralnego.

* * *

Wspomnienia niepodległości

Nieustająca fascynacja Polaków okresu powojennego Drugą Rzeczpospolitą wypływa z faktu, że pokolenie lat 1914–1939 miało niezwykły przywilej: choć na krótko, udało mu się zrealizować marzenie żywe od ponad dwóch stuleci. Liderzy międzywojennej Polski urodzili się w najczarniejszym okresie obcego panowania, kiedy gasły nadzieje na przetrwanie odrębnej tożsamości Polski, a mimo to zdołali dokonać tego, co wydawało się niemożliwe. I już choćby dlatego ich czyny i ideały zgłębiali i rozważali zarówno komunistyczni władcy Polski, który rozpaczliwie potrzebowali jakiejś dozy poparcia opinii publicznej i uzasadnienia dla władzy, jak i szerokie rzesze przeciwników komunizmu, którzy mieli nadzieję raz jeszcze zerwać łańcuchy krępujące naród.

Mariaż przedwojennego nacjonalizmu z powojennym marksizmem-leninizmem w ramach ideologii PZPR może budzić sarkastyczny uśmiech, jeśli jednak przyjrzeć mu się z bliska, widać, że tkwi w nim jakaś przemożna logika. Trudno byłoby zaprzeczyć, iż nagłe nawrócenie polskiego ruchu komunistycznego na nacjonalizm, po czterdziestu latach potępiania nacjonalizmu jako najohydniejszego zła, wygląda na niezbyt szczere. Było czymś równie niezwykłym jak przemiana żydowskiego Szawła w chrześcijańskiego Pawła. Równocześnie jednak trzeba przyznać, że to nawrócenie odbyło się w związku z ponownym wystąpieniem na polskiej scenie politycznej szeregu obiektywnych czynników, które na początku wpłynęły na kształtowanie się filozofii Dmowskiego. W latach czterdziestych XX wieku, podobnie jak w latach dziewięćdziesiątych wieku XIX, wielu ludzi w Polsce – i to nie tylko komunistów – pozostawało pod przemożnym wpływem tez, że głównym zagrożeniem są Niemcy, że trzeba współpracować z Rosją lub zginąć, że „obce" siły grożą wchłonięciem polskiej kultury, że Polsce zagraża wrogi element żydowski (w tym wypadku, działając we wspieranych przez Sowietów organach bezpieczeństwa), że pierwszeństwo trzeba przyznać odbudowie gospodarczej, że

rozwija się warstwa nowej burżuazji oraz że zbrojny opór nie ma sensu. Co więcej, w bloku sowieckim jako całości przeważały nastroje dość przychylne atmosferze nacjonalizmu. Minęły dawne bolszewickie czasy, kiedy Związek Sowiecki był przywódcą lewicowego internacjonalistycznego marksizmu. W latach trzydziestych XX wieku Stalin wspierał prawicowo-radykalne prądy w swoim sowieckim establishmencie, a podczas wojny otwarcie odwoływał się do wielkorosyjskiego szowinizmu; jego protegowanych w każdym z krajów okupowanych przez Związek Sowiecki także zachęcano do wykorzystywania siły uśpionych lokalnych nacjonalizmów jako karty przetargowej w grze o umocnienie władzy nad ludnością. W Polsce, gdzie dawna KPP nigdy nie cieszyła się silnym poparciem, komunizm miał do wyboru tylko dwie rodzime tradycje: podszytą rusofobią, wielonarodościową, powstańczą, piłsudczykowską tradycję wyzwoleńczą i podszytą rusofilią, antysemicką, ugodową i nacjonalistyczną tradycję Dmowskiego. Czując oddech Stalina na plecach, oczywiście wybrał opcję nacjonalistyczną.

Być może jeszcze większe znaczenie miało to, że polski komunizm potrzebował nacjonalizmu dla swoich własnych niepojętych celów w łonie samej partii. Całkowicie poza chęcią umocnienia własnej polskiej tożsamości wobec rosyjskich panów komuniści potrzebowali nacjonalistycznej „bazy", na której mogliby tworzyć dialektyczną i materialistyczną interpretację polskiej historii. Albowiem gdyby przyjąć, że zmieniające się stosunki gospodarcze bazy historycznej określają rozwój sił społecznych i naturę politycznej i kulturowej „nadbudowy" na mocy nieustającego procesu przemian dialektycznych, to ta baza po prostu musiałaby się charakteryzować ciągłością i – gdyby ta teoria miała być wiarygodna – jej istnienie po prostu musiałoby trwać nieprzerwanie. Niestety, wobec braku ciągłości historii państwa – której w odróżnieniu od współczesnej Rosji współczesna Polska nie miała – jedynej wyobrażalnej bazy dla polskiego marksizmu-leninizmu mogła dostarczyć koncepcja „jednego odwiecznego narodu", żywcem zapożyczona z pism nacjonalistów. Można by uznać, iż komplementem dla przenikliwości rozumowania Dmowskiego jest fakt, że wiele z jego myśli mieli przyjąć ideologiczni architekci partii demonstracyjnie wrogiej wobec jego pamięci oraz że te myśli stanowiły jedyny element ideologii komunistycznej, który był do przyjęcia przez ogół Polaków. Z punktu widzenia historyka idei wyborny paradoks polega na tym, że polska tradycja nacjonalistyczna wydała się atrakcyjna najpierw spadkobiercom Piłsudskiego w okresie późnej sanacji, a potem zwolennikom stalinizmu z epoki powojennej. Dmowski – przywódca polityczny, któremu nie udało się uformować własnego rządu – stał się

filarem rządowych filozofii. Piłsudski – specjalista od zdobywania władzy – stał się wyrzutkiem, a w oczach komunistycznych propagandzistów – pariasem.

Może się wydać dość dziwne, że przyjęcie idei nacjonalizmu przez komunistów zbiegło się z usunięciem mniejszości etnicznych i transformacją polskiego społeczeństwa. Radykalnym wpływom Stalina na polską partię komunistyczną towarzyszyła stworzona przez niego fikcja jednonarodowej Polski. Nieoczekiwane wskrzeszenie myśli Dmowskiego w ramach powojennej ideologii odbyło się jednocześnie z realizacją – w sposób równie nieprzewidziany – jego najdroższych etnicznych marzeń: Polski zamieszkanej wyłącznie przez Polaków. Na pierwszy rzut oka może się to wydać pełnym zwycięstwem, ale po namyśle wypada zmienić zdanie. Po pierwsze, komuniści odrzucali tyle samo z filozofii Dmowskiego, ile sobie z niej przywłaszczyli, a o ile podzielali jego etniczne wizje czy propagowany przez niego nacisk na zasadę współpracy z Rosją, o tyle z całą pewnością nie podzielali jego poglądu na sprawę Kresów Wschodnich czy na katolickie dziedzictwo Polski. Była to więc jedynie częściowa transplantacja. Dmowski mógł mieć spadkobierców w szeregach PZPR, ale miał też zwolenników wśród niektórych najzagorzalszych (katolickich) przeciwników PZPR. Poza tym jest rzeczą wątpliwą, czy wyłonienie się etnicznej Polski istotnie stało się bodźcem dla nacjonalizmu. Przeciwnie – realizacja głównych planów nacjonalistów pozbawiła ich „sprawy". Nacjonalizm stracił sens. Dopóki Polska była „pełna" Niemców, Żydów czy Ukraińców, obrona przed nimi swojego cennego dziedzictwa miała sens. Ale teraz, gdy tych mniejszości już nie było, dawne hasła stały się bezcelowe. Nie istniał żaden prawdziwy wewnętrzny wróg, przeciwko któremu można było skierować swoją wściekłość. Antysemityzm partii mógł się zwrócić tylko przeciwko garstce Żydów w jej własnych szeregach, a i to po serii czystek stało się banalne. Nacjonalistyczne hasła, w formie propagowanej przez partię, pomogły być może nieco złagodzić rozpaczliwy brak poczucia bezpieczeństwa wśród wykorzenionej polskiej ludności i dać Polakom pewność, że przynajmniej mają własny kraj, którym mogą się cieszyć. Ale w miarę jak nowe pokolenie zapuszczało korzenie, takie zapewnienia stawały się coraz mniej potrzebne. Jeśli polskie społeczeństwo w ogóle wierzyło w „wewnętrznego wroga", to owo zagrożenie utożsamiało przede wszystkim z komunistami, a nie z mitycznymi „syjonistami" czy dywersantami, a ponieważ z całą pewnością wierzyło we „wroga zewnętrznego", bez wątpienia zaczęło utożsamiać tego wroga z Rosją, a nie z podzielonymi Niemcami. A to już jest domena Piłsudskiego.

Mimo wszystkich oczywistych wad Druga Rzeczpospolita jest w dzisiejszej Polsce przedmiotem wielkiego podziwu. Dla przeważającej większości stanowi już element dawnych dziejów, ale ogarnia ją pamięcią najstarsze pokolenie, a najbardziej podstawowych faktów nie zdołali ukryć nawet najwytrwalsi propagandyści komunistycznego reżimu. Porównania z sytuacją z lat osiemdziesiątych XX wieku nie wypadają niekorzystnie. Błędy nie wydawały się aż tak rażące. Dyktatura wojskowa Piłsudskiego wyglądała na łagodną i niesprawną w porównaniu ze skomplikowaną machiną dyktatury skonstruowaną przez komunistów. Środki walki z opozycją stosowane w latach trzydziestych XX wieku nie przypominają brutalnych represji wojennego ruchu oporu z lat czterdziestych. Sławetny proces brzeski z lat 1931–1933, jawny i szeroko komentowany w prasie, był modelowym przykładem sprawiedliwości w porównaniu z tajnymi procesami politycznymi z epoki stalinowskiej. Jedyny znany opinii publicznej obóz internowania w Berezie Kartuskiej był drobnym pogwałceniem praw człowieka w porównaniu z dziesiątkami takich obozów stworzonych w 1981 roku przez generała Jaruzelskiego. W porównaniu z późniejszymi nieszczęściami cnoty przedwojennej Polski wydają się szczególnie pociągające. W latach pięćdziesiątych XX wieku partyjni propagandziści nie szczędzili sił, oczerniając „faszystów i burżuazyjnych zbrodniarzy", których ciasna polityka dbałości o interesy własnej warstwy społecznej rzekomo tak bardzo szkodziła polskiemu społeczeństwu. Ale nawet komuniści zdawali sobie sprawę, że wiele ich łączy z poprzednikami z okresu sanacji. Mieli takie same trudne do rozwiązania problemy społeczne i gospodarcze – zacofane rolnictwo, kulejący sektor przemysłowy, przerost biurokracji, a w ocenie publicznej nie cieszyli się nawet takim szacunkiem jak „rządy pułkowników". Po czterdziestu latach władzy komunistów większość zwykłych Polaków doszła do punktu, w którym wszystko, co potępiała partia, uznawano za wartościowe. Podziwiali wspaniały rozkwit życia naukowego i artystycznego w epoce przedwojennej, kiedy mogło się swobodnie rozwijać tysiące talentów. Podziwiali bogatą różnorodność życia społecznego, które zostało na zawsze pogrzebane z powodu uporczywych wysiłków partii dążącej do ponurego konformizmu i „norm socjalistycznych". Podziwiali wyczucie wartości i stylu w przedmiotach i manierach lat dwudziestych i trzydziestych. Podziwiali nawet scenę polityczną, na której socjaliści naprawdę byli socjalistami, wojskowi byli dobrymi żołnierzami, komuniści – szczerymi marksistami, a syjoniści – prawdziwymi Żydami. Podziwiali upór Drugiej Rzeczypospolitej w walce o wolność i jej honorową klęskę. A najbardziej uwielbiali Piłsudskiego – nie za socjalizm, o którym niewiele wiedzieli, nie za dyk-

taturę, której nie doświadczyli, i nie za rewolucyjną karierę, ale za jedną jedyną rzecz: za to, że był ostatnim polskim przywódcą, który pokonał Rosjan na polu bitwy[8]. Wszystko to cenili, nie zważając na wady i minusy, ponieważ należało do nich. Kochali z zaciekłą dumą, jak broniący się przed zarzutami rodzice, którzy wciąż kochają wspomnienia o synu marnotrawnym.

Szczególny podziw budziło życie kulturalne w międzywojennej Polsce. W dwudziestoleciu Drugiej Rzeczypospolitej nastąpił prawdziwy wybuch kreatywności. W naukach teoretycznych warszawska szkoła filozofii analitycznej pod kierunkiem wynalazcy „notacji polskiej" Jana Łukasiewicza (1878–1956) oraz lwowska szkoła matematyczna, na czele z pionierem analizy funkcjonalnej Stefanem Banachem (1892–1945), mogły się z powodzeniem ubiegać o miejsce w czołówce nauki światowej. W dziedzinie nauk humanistycznych tacy uczeni, jak Edward Loth (1884–1944), antropolog, Michał Kalecki (1899–1970), ekonomista, czy wspaniały Jan Baudouin de Courtenay (1845–1929), językoznawca, zaliczali się do ojców założycieli swoich dyscyplin. Wszystko, co powstało w dziedzinie sztuki – od Polskiego Towarzystwa Muzyki Współczesnej Karola Szymanowskiego (1882–1937) po warszawski Pen Club, założony przez Stefana Żeromskiego, i czołowe teatry pod dyrekcją takich wybitnych reżyserów jak Leon Schiller (1887–1954) czy Stefan Jaracz (1883–1945) – odegrało swoją rolę nie tylko w krajowej, ale i w europejskiej działalności artystycznej. Świetne środowiska intelektualne Warszawy ożywiała artystyczna awangarda wysokiej klasy – poeci z grupy Skamandra czy wybitni i skandalizujący, wszechstronnie utalentowani członkowie artystycznej bohemy. Leon Chwistek (1884–1944) zyskał sławę jako malarz, logik i matematyk, a później jako filozof i teoretyk sztuki. Stanisław Ignacy Witkiewicz (1885–1939), powszechnie znany jako Witkacy, najpierw zarabiał jako modny malarz portretów, ale następnie przerzucił się na pisanie futurystycznych powieści, filozofię i teatr absurdu. Jego samobójstwo 18 września 1939 (!) jest w kręgach intelektualnych nadal uważane za symbol tragicznego losu całej polskiej kultury. Prawdziwym osiągnięciem tego interludium akademickiej i intelektualnej niepodległości jest jednak wychowanie pokolenia, które mogło się jeszcze uczyć bezpośrednio od żyjących mistrzów z XIX wieku, ale które miało żyć dość długo, aby zdążyć przekazać tradycyjne wartości polskiej kultury nowemu społeczeństwu powojennego świata.

[8] Zob. Zbigniew Wójcik, *Rola Józefa Piłsudskiego w odzyskaniu niepodległości Polski* (NSZZ „Solidarność", Ogólnopolski Zespół Historyczny Oświaty), „Zeszyty Historyczne" 1981, t. 1.

Stanowiło ono bardzo ważny pomost między starym i nowym. W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku pisarze i poeci ukształtowani w epoce pozytywizmu lub modernizmu tworzyli na oczach młodych czeladników, którzy później musieli stawić czoło okropieństwom wojny i okupacji, a jeszcze później radzić sobie z naporem oficjalnego komunistycznego „socrealizmu". Tacy uznani pisarze, jak laureat Nagrody Nobla Władysław Reymont (1867–1925), Stefan Żeromski (1864–1925) i Juliusz Kaden-Bandrowski (1885–1944), wciąż jeszcze żyli i tworzyli, podobnie jak poeci Kazimierz Przerwa-Tetmajer (1865–1940), Jan Kasprowicz (1860–1926) czy Karol Hubert Rostworowski (1877–1938) oraz krytycy Stanisław Przybyszewski (1868–1927) i Zenon Przesmycki (1861–1944). W tym samym czasie w tym niezwykle stymulującym otoczeniu uczyło się rzemiosła wielu adeptów. Mimo że polska inteligencja została straszliwie zdziesiątkowana w czasie wojny, wielu ocalało i ich nazwiska stały się powszechnie znane we współczesnej Polsce. Niektórzy – Kazimierz Wierzyński (1894–1969), Jan Lechoń (1899–1956), Witold Gombrowicz (1904–1969) czy Czesław Miłosz (1911–2004) – zdecydowali się żyć i tworzyć na emigracji. Inni, jak Leopold Staff (1878–1957), Julian Tuwim (1894–1953), Antoni Słonimski (1895–1976), Jarosław Iwaszkiewicz (1894–1980), Maria Dąbrowska (1889–1965), Konstanty Ildefons Gałczyński (1905–1953) czy przedwojenny komunista Władysław Broniewski (1897–1962), przetrwali w Polsce albo powrócili do kraju, stając się żywymi ogniwami łańcucha łączącego teraźniejszość z przeszłością. Byli strażnikami narodowej skarbnicy niezależnej myśli i doskonałości kultury. Ci ludzie przezwyciężali traumę wojny i jej następstw i kazali wierzyć nowej Polsce, złaknionej wsparcia i poczucia ciągłości, że jeszcze nie wszystko stracone.

Z podziwem dla przedwojennej Polski mieszało się poczucie bezgranicznego osamotnienia. W okresie międzywojennym Polska zajmowała swoje miejsce jako część zachodniego świata, a potem została siłą oderwana od zachodnich przyjaciół. Dwadzieścia lat niepodległości rozbudziło nadzieje, że więziom kulturalnym z Zachodem, wciąż jeszcze nienaruszonym, zaczną towarzyszyć praktyczne więzi zrodzone ze wzajemnej pomocy i swobodnych relacji. Po przeszło stu latach, kiedy Polaków zmuszono do życia w obcym dla nich środowisku wschodnioeuropejskich imperiów, wydawało się, że ich romans z Zachodem zostanie w końcu skonsumowany za sprawą mariażu i że Polska zostanie chętnie przyjęta do rodziny narodów zachodnich. Te krótkotrwałe nadzieje legły jednak w gruzach, i Polskę wciągnięto na powrót w nieprzyjazny wschodni świat bloku sowieckiego. Z punktu widzenia nieograniczonych kontaktów z Rzymem,

Paryżem, Londynem, Monachium czy Waszyngtonem pozycja Polski pod koniec XX wieku wcale nie była lepsza niż sto lat wcześniej. Było tak, jakby Polska niewolnica, marząc o przystojnym wyzwolicielu, rzeczywiście uciekła z haremu i natychmiast odkryła, że jej wyśniony mężczyzna nie potrafi jej ani pomóc, ani zapobiec ponownemu schwytaniu przez pachołków okrutnego pana. Gorycz zniewolenia była tym dotkliwsza, że towarzyszyła jej zagłada lub fałszywe nadzieje, lub złamane obietnice fałszywych przyjaciół. Dramat osiągnął punkt kulminacyjny w pierwszym tygodniu września 1939 roku. Rozentuzjazmowany tłum otoczył ambasady brytyjską i francuską w Warszawie, z wielkim uczuciem odśpiewał *God Save the King* i z wielką energią – *Marsyliankę*. Zachodnie mocarstwa wypowiedziały wojnę hitlerowskim Niemcom. Polska miała potężnych przyjaciół, którzy rzucili się jej na pomoc, wypełniając swoje wcześniejsze zobowiązania. Tylko przez tych kilka dni, może przez dwa tygodnie na przestrzeni dwóch stuleci Polacy czuli, że nie są sami. Ale ta pociecha nie trwała ani trochę dłużej. Zachodni sojusznicy nie wypowiedzieli wojny Związkowi Sowieckiemu, kiedy 17 września Armia Czerwona rozpoczęła inwazję na Polskę; nie zrobili też nic, żeby zapobiec rozbiorowi kraju przez nazistów i Sowietów – tak samo, jak nie zrobili nic, żeby przeciwstawić się przejęciu kraju przez Sowietów w latach 1944–1945. I w końcu wydawało się, że Polacy są sami na całym świecie. Ich wrogowie byli silni i znajdowali się tuż obok; ich przyjaciele byli niezdecydowani i znajdowali się daleko. Oczywiście wielu Polaków winiło samych siebie. W przypływach samokrytyki twierdzili, że Druga Rzeczpospolita, z jej niekończącymi się sporami z sąsiadami i z jej rezygnacją z rządów konstytucyjnych, nie zasługiwała na wsparcie Zachodu. Komunistyczni apologeci utrzymywali, że odrzucając pomoc Sowietów i przyjmując w zamian obietnice Zachodu, pułkownik Beck dostał to, na co sobie zasłużył. Są różne wyjaśnienia, pozostaje jednak faktem, że Drugą Rzeczpospolitą pozostawiono na łasce losu. Na Zachód nie można było liczyć. Ból odrzucenia i separacji był czymś bardzo realnym.

Gniew i rozgoryczenie w stosunku do sąsiadów Polski odczuwano jeszcze bardziej dotkliwie. Bez względu na to, co Polacy sądzili o przedwojennych i wojennych stosunkach z Wielką Brytanią, Francją, Ameryką lub Watykanem, nikt nie udawał, że te niepowodzenia można w jakikolwiek sposób porównać z tragedią, jaka spotkała Polskę z rąk Hitlera i Stalina. Nie było porównania między rozżaleniem na bojaźliwych przyjaciół a odrazą wobec katów Polski. Mogłoby się wydać czymś nierzeczywistym, że w połowie XX wieku, w samym środku najlepiej rozwiniętego kontynentu na świecie dwa spośród najokropniejszych reżimów

w dziejach będą mogły z pełnym spokojem bezkarnie zniszczyć europejskie państwo o ustalonym statusie albo że po zakończeniu wojny nie będzie można wyegzekwować od obu napastników należytej restytucji. Ale tak właśnie wygląda rzeczywistość, z którą musi się zmierzyć każdy Polak. Co gorsza, niby ofiara gwałtu, którą się oskarża o prowokacyjne niedbalstwo, ponieważ wcześniej rozmawiała z gwałcicielem, Polacy musieli słuchać wywodów uczonych historyków, którzy im wyjaśniali, w jaki sposób przywódcy przedwojennej Polski przyczynili się do własnej klęski – zupełnie jakby kontakty Becka z Rzeszą w latach 1937–1938 stanowiły naganny „flirt", podobny do paktu Ribbentrop-Mołotow, albo jakby odmowa zgody na stacjonowanie wojsk sowieckich na terytorium Polski w jakiś sposób usprawiedliwiała mający nastąpić sowiecki atak. Gniew, jaki budzą wspomnienia zbrodni, łączy się z rozgoryczeniem wywołanym pokrętnymi tłumaczeniami. Kogo ma się chronić, pytają, jeśli motywów zbrodni nie można szukać w patologii zbrodniarza, który ją popełnił?

W ostatecznym rozrachunku żadne analizy nie mogą w pełni przełamać dziedzictwa rozczarowań. Fatalizm i zwątpienie w samego siebie są nieodłącznymi towarzyszami osobistej tragedii. W Polsce często można było usłyszeć, że „niepodległość zawsze nam umknie" albo że „Polacy nie potrafią utrzymać porządku w swoim własnym domu", albo że „zawsze będziemy buntownikami i nigdy nie będziemy panami samych siebie". Wszystko to można zilustrować faktami. Na początku okresu międzywojennego wielu wiarygodnych krytyków ogłaszało wszem i wobec, że niepodległa Polska to nie jest realny plan, i krytycy ci nie ograniczali się do Niemców i Rosjan. Do tych proroków zagłady należał J.M. Keynes[9], podobnie jak David Lloyd George. Wywodzili oni obszernie, że Polska ma nieefektywny potencjał gospodarczy albo niewystarczające siły zbrojne, albo zbyt małe doświadczenie polityczne, aby móc stawić opór odradzającej się sile swoich dwóch potężnych sąsiadów. Kiedy ich proroctwa się spełniły, od razu zaczęli sypać sól na rany, tłumacząc, że Polska zasłużyła na swój los[10]. Nie trzeba przypominać, że *ex post facto* wydarzenia nie muszą koniecznie potwierdzać słuszności wcześniejszych argumentów. W latach 1918–1919 nikt nie mógł przewidywać wzrostu potęgi Hitlera czy Stalina, nie mówiąc już o wzroście potęgi obu; a optymistyczne oceny gospodarczych, militarnych i politycznych problemów niepodległej Polski nie uzasadniały wniosku, że czeka ją nieuchronny upadek. Jeszcze trud-

[9] John Maynard Keynes, *The Economic Consequences of the Peace*, London 1919.

[10] Lloyd George w parlamencie, listopad 1939. Zob. Norman Davies, *Lloyd George and Poland 1919–1920*, „Journal of Contemporary History" 1971, t. 6, s. 132–154.

niej jest przyjąć pogląd, że zniszczenie niepodległej Polski w 1939 roku w jakikolwiek sposób uzasadniało jej podległość po roku 1945. Gdyby tak było, trzeba by zakwestionować powojenną niepodległość wszystkich innych krajów Europy – od Austrii i Czechosłowacji po Norwegię, Danię, Belgię, Holandię, Francję i Grecję – które upadły, podobnie jak Polska, pod naporem wojennej agresji. Powojenny status Polski nie został ustalony w wyniku zalet i wad Drugiej Rzeczypospolitej, lecz z powodu układu sił międzynarodowych w latach 1944–1945, a także dlatego, że Związek Sowiecki stał się potęgą imperialistyczną w Europie Wschodniej. Ale mimo wszystko tragedii Drugiej Rzeczypospolitej nie dało się uniknąć. Pozostaje brutalnym historycznym faktem, że niepodległa Polska była biedna, słaba, podzielona i pozbawiona przyjaciół i że nie przetrwała w odmętach europejskiego kryzysu. Polacy nie mogą ignorować tych nagich faktów i przez całe dziesięciolecia powtarzano im, że cały międzywojenny eksperyment był tragiczną pomyłką. Tylko najsilniejsze umysły i najmężniejsze serca potrafią się obronić przed wszechogarniającym uczuciem rozczarowania.

ROZDZIAŁ 4

DZIEDZICTWO MISTRZOSTWA DUCHOWEGO

Polska w epoce rozbiorów, 1795–1918

123 lata

Po zniszczeniu dawnej Reczypospolitej Polskiej w 1795 roku jej byli obywatele znaleźli się w obcym świecie. Przymusowa zależność od państw rozbiorowych budziła gorzką urazę, zwłaszcza wśród rządzącej w Polsce szlachty, i nic nie mogło tego zmienić. Na mocy dodatkowego traktatu z 1797 roku państwa rozbiorowe porozumiały się nawet w sprawie zniesienia samej nazwy „Polska". Chociaż w następnych latach podjęto kilka prób przywrócenia państwowości polskiej, żaden z efemerycznych tworów dyplomacji napoleońskiej i ponapoleońskiej nie uzyskał pełnej suwerenności i żadnemu nie udało się zjednoczyć pod jednymi rządami całego polskiego narodu. Ani Księstwa Warszawskiego (1807–1815), ani Królestwa Kongresowego (1815–1864), ani Wielkiego Księstwa Poznańskiego (1815–1848) nie sposób uznać za coś więcej niż za autonomie podległe obcym rządom. Maleńka Rzeczpospolita Krakowska (1815–1848) była swego rodzaju ciekawostką, chwilowym kaprysem skłóconych dyplomatów, zabawką, której nominalną niepodległość cynicznie ignorowano. Słynne królestwo Galicji, którego autonomia pod kontrolą Austrii odegrała w drugiej połowie XIX wieku istotną rolę w polskim życiu, obejmowało tylko małą część ziem polskich. Wiele spośród dawnych polskich prowincji nigdy nie uzyskało kontroli nad własnymi sprawami – choćby na kilka krótkich dziesięcioleci. W czasie długich pięciu pokoleń przytłaczającym doświadczeniem Polaków było życie pod obcym panowaniem i ucisk polityczny. Według jednej z religijnych metafor, tak kochanych przez poetów romantycznych, Polska została ukrzyżowana i jej martwe ciało zstąpiło do grobu w oczekiwaniu na zmartwychwstanie. Podczas gdy większość krajów Europy pławiła się w blasku epoki rozwoju, ekspansji i wielkich imperiów, dla Polski XIX wiek był epoką mroku – „niewoli babilońskiej", „przebywania na pustyni", „drogi przez piekło", „czasu na krzyżu"[1].

[1] Standardowym wprowadzeniem do tego okresu nadal pozostaje praca Piotra Wandycza *The Lands of Partitioned Poland, 1795–1918*, University of Washington Press, Seattle 1975.

Dla historyka upadek polityczny Polski ma poważne konsekwencje. Wobec nieistnienia państwa polskiego nie mogło być mowy o odrębnej polskiej gospodarce[2] ani o odrębnych polskich strukturach społecznych. Rozwój społeczno-gospodarczy byłego społeczeństwa polskiego stał się integralną częścią ekonomii i socjologii Rosji, Prus lub Austrii. Koncepcja organicznego polskiego procesu historycznego opartego na odrębnym polskim procesie postępu społeczno-gospodarczego jest wytworem współczesnej wyobraźni. Dziedzina polityki także znacznie się skurczyła. Z wyjątkiem krótkich okresów, w których przywódcy Księstwa Warszawskiego czy Królestwa Kongresowego mogli prowadzić ograniczoną, lecz własną politykę, albo kiedy w Galicji nastąpiło ograniczone odrodzenie się polskich instytucji, historia polskiej dyplomacji, polskiego rządu, polskiego wojska, polskiego prawa i związków z konstytucją, a nawet sama sprawa polska, która do roku 1864 stanowiła główny temat do dyskusji – wszystko to znikało z pola widzenia. Do historii Polski w XIX wieku nie można podchodzić z zamiarem zadawania takich samych pytań, jakie się stawia, badając historię państwowości Wielkiej Brytanii, Francji czy Rosji albo historię tych szczęśliwszych krajów – jak Niemcy czy Włochy – które rzeczywiście wywalczyły sobie swoją państwowość. Przez większość tego okresu „Polska" była tylko ideą – wspomnieniem przeszłości albo nadzieją na przyszłość. I wobec tego zasadniczych źródeł jej historii należy szukać raczej w dziedzinie kultury, literatury i religii niż w sprawach społecznych, gospodarczych czy politycznych. Krótko mówiąc, trzeba ich szukać w świecie polskiego ducha, który pozwalał ludziom żyć na swój własny sposób mimo ustalonego porządku i na przekór prawu.

1. W cieniu Francji

W epoce rewolucyjnej monarchie konserwatywne, które niedawno dokonały rozbiorów Polski, konsekwentnie się sprzeciwiały nowym prądom napływającym z Francji. Wobec tego Polacy i Francuzi byli naturalnymi

---

[2] Chociaż kwestia grozi anatemą ze strony oficjalnych ideologii, niektórzy polscy historycy zaczynają ją akceptować. „Fakt, że każda z dzielnic [ziem polskich] została zintegrowana z gospodarką odpowiadającego mu państwa rozbiorowego, uniemożliwił utworzenie narodowego systemu gospodarczego, który by objął wszystkie ziemie polskie". Jerzy Skowronek, *The Direction of Political Change in the Era of National Insurrection, 1795–1864*, w: *A Republic of Nobles: Studies in Polish History to 1864*, red. J.K. Fedorowicz, Cambridge 1982, s. 262.

partnerami. Jednak zanim w latach 1805–1806 armie francuskie rzeczywiście wkroczyły do Europy Środkowej, Rzeczpospolita Polska została unicestwiona i formalnie już nigdy nie dało się zawrzeć sojuszu francusko-polskiego, obowiązującego między dwoma państwami. Trzeci rozbiór z 1795 roku nastąpił zaledwie dziesięć lat przed zwycięstwem Napoleona pod Austerlitz i w ciągu tego dziesięciolecia Polacy mogli się przysłużyć sprawie francuskiej tylko jako emigranci lub pojedynczy ochotnicy. Mimo to tysiącami zaciągali się pod francuskie sztandary. Jedyny w swoim rodzaju kodeks określający zasady honoru i poświęcenia przyjęły Legiony Polskie we włoskiej armii, polscy szwoleżerowie w cesarskiej gwardii, a przede wszystkim przyjął go szlachetny marszałek Józef Poniatowski.

Legiony Polskie zostały utworzone w 1797 roku we Włoszech z polskich jeńców wojennych i dezerterów z armii austriackiej; na ich czele stanął generał Henryk Dąbrowski. W sumie powstały trzy. Maszerowały pod trójkolorowym francuskim sztandarem, ale żołnierze nosili charakterystyczne polskie mundury z hasłem *Gli uomini liveri sono fratelli* (Ludzie wolni są braćmi) wypisanym na naszywkach na rękawach. Walczyli pod Trebbią (1799), Marengo (1800) i Hohenlinden (1801). Wiarę, że służąc w wojskach Napoleona, walczą o odzyskanie niepodległości Polski, wyraźnie oddaje ich pełen melancholii hymn:

Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy.
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy.
Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski.
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem[3].

Jednak w gruncie rzeczy legioniści źle ulokowali swoje nadzieje. Legiony nigdy nie dotarły do Polski. Zamiast tego posłano je najpierw do służby garnizonowej na terytorium podbitych Włoch, a potem na śmierć w walkach Napoleona w Niemczech i w chaosie ekspedycji na Haiti. Okazało się, że Kościuszko miał rację. Jako wygnaniec w Paryżu, ostatni przywódca wojskowy dawnej Rzeczypospolitej mógł poprowadzić Legiony, ale odmówił. W proroczej broszurze zatytułowanej *Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?* (1797) dowodził, że Polacy mogą liczyć tylko

[3] Od roku 1927 *Mazurek Dąbrowskiego* jest polskim hymnem narodowym.

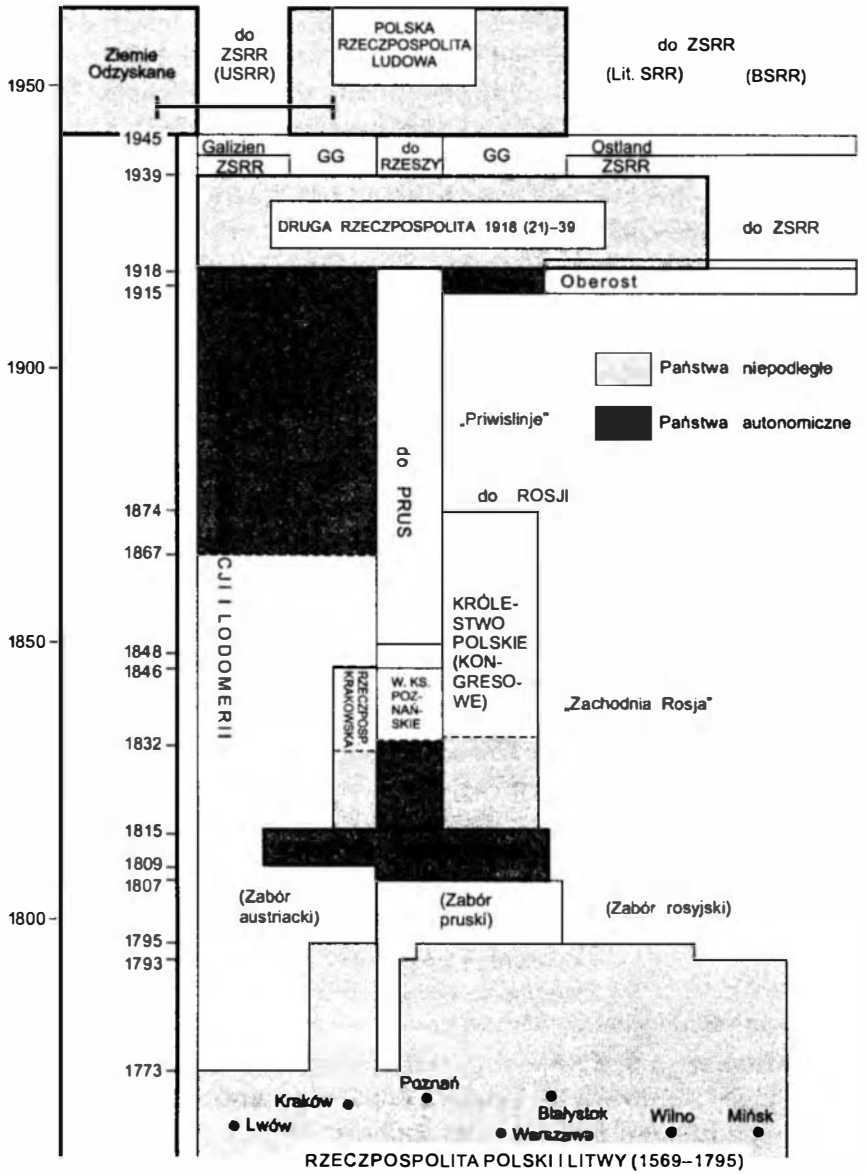

Rys. C. Państwa sukcesorzy Rzeczypospolitej Polski i Litwy (1772–1945)

na własne siły i na własne możliwości. Bonaparte był jego zdaniem „tyranem", który miał jeden cel: zaspokojenie własnych ambicji.

Jednak kiedy w roku 1807 Napoleon utworzył Księstwo Warszawskie, znów odrodziły się nadzieje. Księstwo obejmowało tylko obszary dawnego zaboru pruskiego, choć w roku 1809 w jego skład weszły Kraków i Lublin. Miało własną polską administrację, własną konstytucję i własne wojsko pod wodzą Poniatowskiego; nadano mu kodeks napoleoński, ale równocześnie podlegało nieobecnemu księciu (królowi Saksonii), który z kolei ślepo słuchał francuskich rozkazów; nałożono też na nie potężne brzemię w postaci miażdżących podatków wojennych i kosztów utrzymania kolosalnego francuskiego garnizonu. Chociaż wprowadzono ważne reformy – w postaci dekretu o wolności osobistej, który znosił feudalne poddaństwo – oraz w dziedzinie kultury i oświaty, ciężar planów wojskowych Napoleona wisiał u szyi Księstwa niby kamień młyński.

Przyszłość Księstwa zależała w znacznej mierze od tego, jak się ułożą stosunki Napoleona z Rosją. Polski minister i poplecznik cara Aleksandra książę Adam Czartoryski od dawna próbował nakłonić swojego zwierzchnika do ugody, ale wydarzenia nieuchronnie zmierzały do rozstrzygającego konfliktu. Napoleon nazwał wojnę 1812 roku swoją „wojną polską", a przekraczając granicę Imperium Rosyjskiego, Grande Armée w gruncie rzeczy przywracała historyczną granicę Polski i Litwy, anulowaną w 1795 roku. Zwycięstwo Rosjan oznaczało nieuchronną katastrofę – w równej mierze dla sprawy polskiej, jak i dla sprawy Napoleona. Heroiczna postawa Poniatowskiego jako dowódcy oddziałów tylnej straży wojsk podczas odwrotu spod Moskwy była zaledwie wstępem do tragicznych skutków Bitwy Narodów pod Lipskiem, w której zginęli on sam i jego ludzie. Kiedy pokonany Napoleon przejechał ulicami Warszawy, nie zaglądając nawet z pożegnalną wizytą do swojej polskiej kochanki pani Walewskiej, było wiadomo, że dla Polski także nie będzie już miał czasu. Armia rosyjska szła tuż za nim. Blisko dwudziestoletni okres romansu Polski z Francją zakończył się gorzką tragedią. Rozbiory miały zostać przywrócone – w nieco odmiennym kształcie, ale z większym poczuciem nieodwołalności.

2. Układ wiedeński, 1815–1830

Na kongresie w Wiedniu w latach 1814–1815, podobnie jak na konferencjach w Jałcie i Poczdamie w roku 1945, fizyczna okupacja ziem polskich przez Rosję okazała się czynnikiem decydującym o przebiegu

negocjacji w sprawie polskiej. Chociaż i Castlereagh, i Talleyrand złożyli memoranda w obronie niepodległej Polski, było jasne, że zachodnie mocarstwa nie mogą w tej sprawie nalegać tak mocno, żeby ryzykować wojnę, a ucieczka Napoleona z Elby zmusiła je do przyjęcia kompromisu. Car miał rozszerzyć swoje włości na obszar środkowej Polski łącznie z Warszawą, ale na tych nowo zdobytych terenach miał sprawować rządy nad odrębnym polskim królestwem, wyposażonym w nowoczesną liberalną konstytucję. Prusy miały zatrzymać zachodnią część swoich wcześniejszych polskich zdobyczy, tworzących teraz Wielkie Księstwo Poznańskie. Austriacy mieli zachować większość Galicji z jej stolicą Lwowem. Ponieważ nie udało się osiągnąć porozumienia w sprawie przydziału Krakowa, miastu nadano status suwerennej Rzeczypospolitej. Zdecydowanie potwierdzono zasadę lokalnej polskiej autonomii na wszystkich terenach, a układ uznano za trwały i nienaruszalny. Tymczasem w ciągu zaledwie kilku lat dotyczące Polski klauzule traktatu bezkarnie odrzucono. Konstytucję Królestwa Kongresowego zawieszono w roku 1832, Rzeczpospolitą Krakowską włączono do Galicji po roku 1846, a autonomię Wielkiego Księstwa Poznańskiego ostatecznie zniesiono w roku 1848. Mocarstwa rozbiorowe zaczęły podważać niewygodne konstytucyjne gwarancje układu niemal natychmiast po ich ogłoszeniu. W epoce Metternicha konstytucje i swobody obywatelskie w Europie Wschodniej uważano za niebezpieczną chorobę, a Polaków podejrzewano, że to przede wszystkim oni roznoszą zarazę.

Polskie Królestwo Kongresowe było ogniskową skupiającą narodowe aspiracje Polaków przez zaledwie piętnaście lat. Po Księstwie Warszawskim odziedziczyło liczne instytucje, w tym obieralny sejm, własne wojsko, Kodeks Napoleona i własną polską administrację. Na początku, kiedy sąsiadujące z nim prowincje Imperium Rosyjskiego wciąż jeszcze cieszyły się dobrotliwymi wpływami księcia Czartoryskiego w Wilnie, żywiono nadzieję, że ostatecznie uda się przywrócić historyczną unię Polski z Litwą. Rząd w Warszawie skonsolidował system oświaty i starał się naśladować pruskie metody inicjatywy państwowej w sprawach gospodarczych. Założenie Uniwersytetu Warszawskiego (1816), arcybiskupstwa metropolii warszawskiej (1818) i Banku Polskiego (1828) zmierzało do wzmocnienia fundamentów nowoczesnego państwa narodowego. Ale najwyższe władze w Petersburgu miały inne zdanie. Za Aleksandra I, na początku lat dwudziestych XIX wieku, wściekła kampania represji politycznych wymierzonych przeciwko ludności polskiej na Litwie nie dotarła do Królestwa, ale rzekomo „liberalny" car nie zawahał się przed wydaniem zakazu ogłoszenia budżetu, anulowaniem mandatów

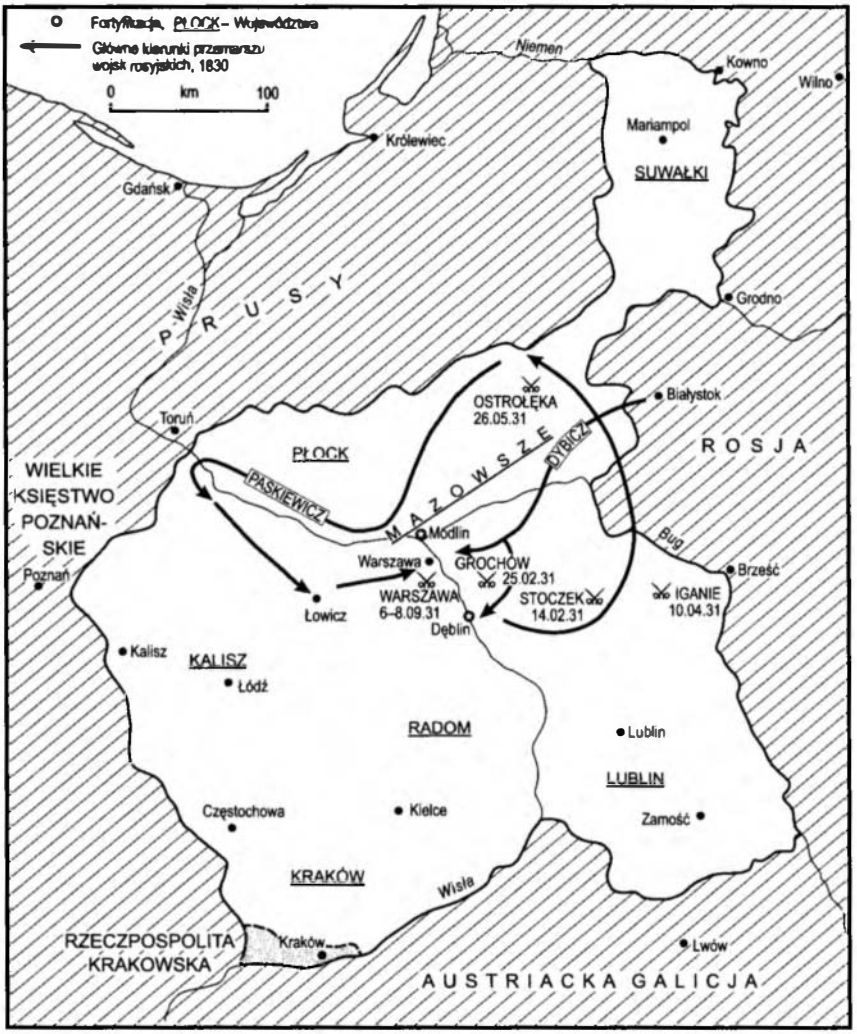

Mapa 5. Królestwo Kongresowe i powstanie listopadowe (1830–1831)

posłów sprawiających kłopoty i wydaniem dekretu o zawieszeniu sejmu. Za Mikołaja I, który wstąpił na tron w 1825 roku, maska została zrzucona. Mikołaj I, z usposobienia i zamiarów archetyp autokraty, nie miał dość odwagi i determinacji, aby odgrywać rolę konstytucyjnego króla Polski, a powiązania Polaków z rewolucją dekabrystów w Rosji kazały mu patrzeć z wielką podejrzliwością na polskich poddanych. Jego arbitralne interwencje w sprawy dotyczące zarządzania policją, wojskiem i sądami

Królestwa wskazywały na zmianę priorytetów, podczas gdy masowe aresztowania i odwetowe prześladowania, które prowadził carski Trzeci Oddział, były szyderstwem z Konstytucji Królestwa. Przez dwa lub trzy lata przed nieudaną próbą zamachu na brata cara, wielkiego księcia Konstantego, w listopadzie 1830 roku wielu Polaków zaczęło żywić obawy co do przyszłości. Wybuch powstania listopadowego dał Mikołajowi pretekst, którego potrzebował, a jego koledzy, monarchowie Prus i Austrii, odczuwali pokusę, aby do niego dołączyć. Inwazja armii rosyjskiej na Królestwo w lutym 1831 roku zapowiadała kres krótkiej epoki rządów konstytucyjnych dla wszystkich ziem polskich.

W świecie nauki i sztuki pierwsze trzy dziesięciolecia XIX wieku były okresem szczytowego rozwoju polskiego oświecenia. Większość czołowych postaci Warszawy z epoki napoleońskiej i z wczesnego okresu istnienia Królestwa Kongresowego pamiętała jeszcze ideały ostatniego króla Polski, a także przeżyła katastrofy powstania kościuszkowskiego i ostatniego rozbioru. Wielu z nich było pod wielkim wrażeniem społecznych, prawnych i oświatowych reform ruchu rewolucyjnego, choć przerażały ich związane z tym fanatyzm i przemoc. Stanisław Staszic (1755–1826), prezes wpływowego Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk (1808), Stanisław Kostka Potocki (1755–1821), działacz z czasów Księstwa i Królestwa, książę Ksawery Drucki-Lubecki (1778–1846), w latach dwudziestych najważniejszy minister w rządzie Królestwa Polskiego, i wreszcie sam książę Czartoryski – wszyscy byli synami Wieku Rozumu. Niektórzy z ich młodszych kolegów byli pełnymi skruchy jakobinami. W dziedzinie polityki byli umiarkowanymi zwolennikami kompromisu; w sprawach religii – sceptykami; w sztuce – miłośnikami klasycyzmu. Ich główne zainteresowania – jak i u *philosophes* – skupiały się wokół problematyki naukowej, świeckiej oświaty oraz rozwoju społecznego i gospodarczego. Królestwo Kongresowe, które samo w sobie było wcieleniem racjonalnego kompromisu między superkonserwatywnym klerem i wojskowymi z obozu procarskiego a dawnymi postępowcami o orientacji profrancuskiej, miało się stać areną, na której przewagę mogły zdobyć Rozum i Oświecenie. Niestety nie żyło długo.

3. Romantyczny czas powstań, 1830–1864

W roku 1830 sygnałem powszechnej odrazy do paraliżujących ograniczeń narzucanych przez ład panujący w Europie stały się rewolucja lipcowa w Paryżu i oderwanie się Belgii od Królestwa Zjednoczonych Nider-

landów. Anglią wstrząsały spazmy ruchu emancypacji katolików i ustawy w sprawie wyborów. W Polsce powstanie listopadowe zapowiadało serie insurekcji i spisków, które miały trwać przez ponad trzydzieści lat. Zawiązywano spisek za spiskiem, a każda nieudana próba kończyła się coraz surowszymi represjami. W 1831 roku wojna rosyjsko-polska zachęciła władców wschodniej Europy do podjęcia wspólnych kroków przeciwko polskiej działalności wywrotowej, a spiskowcy na emigracji dążyli do wywołania ogólnego powstania, które wybuchłoby równocześnie we wszystkich trzech zaborach. Nigdy jednak nie udało się zapewnić skutecznej koordynacji. Udział Polski w Wiośnie Ludów 1848 roku został poważnie ograniczony w wyniku przedwczesnego wybuchu powstania dwa lata wcześniej, co sprowokowało straszliwą „rabację" w Galicji w 1846 roku, a w roku 1847 – proces berliński. W latach 1863–1864 wielkie powstanie styczniowe w zaborze rosyjskim nie zdołało się rozszerzyć na ziemie polskie i wobec tego musiało zostać stłumione. Polacy z tego pokolenia walczyli na wszystkich barykadach w Europie – od Monachium po Siedmiogród, od Republiki Rzymskiej po Komunę Paryską. Wymierne korzyści dla Polski były jednak niewielkie.

W całej serii wydarzeń, najwcześniejsze powstanie listopadowe z lat 1830–1831 było chyba najbardziej tragiczne[4]. Pierwszy wybuch mógł zostać wtedy łatwo opanowany, a obiektywne szanse na ugodę były największe. Próba zamachu na carskiego brata stała się oczywiście sprawą poważną, ale detronizacji cara uchwalonej przez rozwścieczony sejm można było uniknąć, gdyby Mikołaj posłuchał rady swoich lojalnych polskich ministrów. Tymczasem „Nabuchodonozor Północy" uparł się, że ukarze powstańców. Car nie chciał słyszeć o żadnych ustępstwach i zamiast ustępstw uciekł się do użycia siły. Mimo to, ponieważ wojsko Królestwa Kongresowego było dobrze uzbrojone i dobrze wyszkolone, w pierwszych starciach Rosjan z Polakami Rosjanie mieli poważne problemy. Później siłę polskiego oporu osłabiły niezdecydowanie generałów, podziały polityczne oraz brak wsparcia z zagranicy. Po majowej bitwie pod Ostrołęką rosyjska inwazja nabrała mocy. We wrześniu szturmem zdobyto Warszawę, konstytucję zawieszono. Wszyscy oficerowie, którzy wcześniej służyli Rządowi Narodowemu, zostali automatycznie zwolnieni ze służby i pozbawieni majątku. Pozostałych polskich żołnierzy wcielono do armii

[4] Obszerny wybór prac na temat powstania listopadowego znaleźć można w tomie wydanym po upamiętniającym to powstanie sympozjum, które się odbyło na uniwersytecie w Lille w maju 1981 roku: *Pologne. L'Insurrection de 1830–1831: Sa Reception en Europe*, red. Daniel Beauvois, Lille 1982.

rosyjskiej i wysłano na Kaukaz. Sądy polowe wydały wyroki na wszystkich buntowników wraz z rodzinami, skazując ich na katorgę w Rosji; około 80 000 Polaków zakuto w kajdany i wywieziono na Syberię. Dalsze tysiące ludzi zbiegły. Ruszył nieuchronny cykl represji i oporu napędzany chęcią odwetu. Zwycięski generał carski Iwan Paskiewicz został na następne dwadzieścia lat na stanowisku i otrzymał tytuł „księcia warszawskiego".

Powstanie styczniowe z lat 1863–1864 miało o wiele mniej szans na powodzenie. Poprzedziło je kilka lat patriotycznych demonstracji i petycji w sprawie reform, składanych nowemu „carowi wyzwolicielowi" Aleksandrowi II, a wywołała ciągła odmowa carskiego establishmentu w sprawie zgody na coś więcej niż tylko powierzchowne ustępstwa. Iskrą zapalną stało się wystąpienie polskiego ministra w rządzie cara, margrabiego Wielopolskiego, który próbował uciszyć swoich przeciwników, ogłaszając przymusowy zaciąg do wojska. W tym czasie Królestwo Kongresowe nie miało już żadnych instytucji przedstawicielskich, nie miało też wojska. Wobec tego konflikt mógł jedynie przyjąć formę wojny partyzanckiej prowadzonej w okolicach wiejskich między największymi zawodowymi siłami zbrojnymi Europy i ochotnikami z podziemnej armii Rządu Narodowego[5]. Jest rzeczą zadziwiającą, że powstanie trwało wśród wzgórz i lasów przez szesnaście miesięcy, aż do czasu gdy jego ostatniego „dyktatora", Romualda Traugutta, zdemaskowano i powieszono. Raz jeszcze Polska poczuła ciosy bezlitosnej pałki rosyjskiej zemsty. Królestwo Kongresowe zostało rozwiązane i włączone do Imperium Rosyjskiego jako „Kraj Priwislinskij"[6] . Syberia powitała kolejną wielką falę polskich zesłańców. Sądy i urzędowy kat znów rzucili się na pokonaną ludność.

Zarówno w roku 1831, jak i w roku 1863 w akcie solidarności z Polską powstała część Litwy. Wilno stanęło u boku Warszawy. Wciąż żywa była idea historycznej unii. Ochotnicy z Poznańskiego i z Galicji przekra-

---

[5] Zob. Norman Davies, *The January Rising in Poland in the Light of British Consular Reports, 1863–1864*, w: *War and Society in East Europe Central*, t. 14, red. Béla Király, Brooklyn College Studies on Society in Change, New York 1983.

[6] Z likwidacją Królestwa Kongresowego po roku 1864 wiąże się pewne nieporozumienie. Carowie nie zrezygnowali z tytułu „królów Polski", chociaż nie było już koronacji. Mimo rusyfikacji większości instytucji pozostały niektóre szczególne wyjątki, na przykład kodeks cywilny odziedziczony po Księstwie Warszawskim. W sensie technicznym za datę zniesienia Królestwa można by przyjąć rok 1874, kiedy urząd namiestnika zastąpiono urzędem generała-gubernatora. Nazwę Królestwa Polskiego przywróciły w latach 1916–1918 władze niemieckie, obejmując nią ten sam obszar.

czali granicę, aby dołączyć do powstańców. Więzi wspólnej kultury i wzajemnej lojalności nie zostały jeszcze zerwane. Ale logistyka współdziałania bynajmniej nie była idealna.

W czasie obu powstań przeciwko Rosji polityce wyzwolenia narodowego towarzyszyła walka o reformy społeczne. Poddaństwo wciąż jeszcze trwało w stanie nienaruszonym na wielu obszarach ziem polskich, a radykalni politycy od dawna argumentowali, iż niepodległość całego narodu można zdobyć tylko w połączeniu z uwłaszczeniem chłopów. Uważa się, że w latach 1830–1831 powstanie utraciło wielu potencjalnych zwolenników, ponieważ jego przywódcy, wywodzący się z ziemiaństwa, niechętnie odwoływali się do chłopstwa. W roku 1863, kiedy car już udzielił zgody w sprawie uwłaszczenia chłopów, powstańcy dostali nauczkę. Wreszcie, wbijając klin między polskie chłopstwo i niepoprawną polską szlachtę, dekretem z marca 1864 car uwłaszczył chłopów na warunkach korzystniejszych niż w jakiejkolwiek innej części cesarstwa.

W dziedzinie kultury epoka polskich powstań zbiegła się z okresem największego rozkwitu romantyzmu polskiego. Polscy pisarze i artyści nie potrafili pojmować swojego świata w racjonalnych, harmonijnych kategoriach cechujących oświecenie i wobec tego zwrócili się ku zgłębianiu Ducha, odwołując się do wewnętrznej natury rzeczy. Nic dziwnego, że pierwsze kroki polscy romantycy stawiali w latach dwudziestych XIX wieku na Litwie, gdzie upadek starego ładu dawał się odczuć najmocniej i najwcześniej. Nie było przypadkiem, że poeci tworzący wspaniały triumwirat polskich romantyków – Adam Mickiewicz (1798–1855), Juliusz Słowacki (1809–1849) i Zygmunt Krasiński (1812–1859) – mieli związki z Litwą. Ich sposób myślenia kształtowała znajomość dzieł zachodnich prekursorów, zwłaszcza lorda Byrona, ale umacniał go pierwszorzędny rodzimy wkład w filozofię, historiografię i teorię literatury. Ludzie ci, a także ich literaccy współbracia, czerpali z ogromnych zasobów erudycji i wiedzy teoretycznej. Podobnie jak współcześni im twórcy z Europy Zachodniej, byli zafascynowani folklorem, tradycją historyczną, średniowiecznymi legendami, siłami nadprzyrodzonymi, skrajnymi formami uczuć cierpienia i ekstazy, miłością i śmiercią, bohaterami i bohaterkami nadludzkiego kalibru, kultem wolności; od siebie dodawali specyficznie polską nutę katolickiej religijności. Wszystkie ważne kraje Europy mają za sobą doświadczenia romantyzmu, ale w Polsce były one szczególnie intensywne. Być może stały się najważniejszym składnikiem współczesnej kultury polskiej. W gruncie rzeczy pewne aspekty przytłaczających

nienaturalnych warunków, które sprzyjały powstaniu romantyzmu, przetrwały po dziś dzień – tradycja romantyzmu wciąż panuje nad umysłowością Polaków[7].

4. Okres pracy organicznej, 1864–1905

Upadek powstania styczniowego i straszliwy los, jaki zgotowano jego uczestnikom, doprowadziły do przewartościowania postaw politycznych. Choć cele i ideały powstańców nadal budziły szeroki podziw, powszechnie zdawano sobie sprawę, że w istniejących warunkach uciekanie się do użycia siły nie jest praktycznym wyjściem. Wśród krytyków znalazło się konserwatywne ugrupowanie stańczyków w Krakowie oraz tak zwani pozytywiści warszawscy, który twierdzili, że zasoby kulturalne i gospodarcze narodu polskiego są jeszcze zbyt słabo rozwinięte, aby mogły stanowić fundamenty niepodległego państwa. Aby móc zająć miejsce śród nowoczesnych narodów Europy, Polacy muszą najpierw poprawić handel i przemysł na swoich ziemiach, rozbudować miasta i koleje, a także podnieść poziom oświaty i świadomości narodowej. Przywódcy i pisarze, którzy wyłonili się po roku 1863, dobrze zdawali sobie sprawę z szybkiego postępu, jaki dokonywał się w tym czasie w Europie Zachodniej, zwłaszcza w Niemczech, i mówili swoim rodakom, że muszą podjąć współzawodnictwo, jeśli mają wykorzystać szansę ostatecznego przetrwania. Po romantycznym interludium konspiracji i oporu przywracali do życia idee oświecenia i pierwszych lat Królestwa Kongresowego, głosząc hasło „pracy organicznej".

W tym samym czasie postawy reprezentowane przez koła rządowe Rosji i Prus zwróciły się w kierunku oficjalnych doktryn nacjonalistycznych. W Imperium Rosyjskim istniały silne wpływy panslawizmu i zaczęto poważniej podchodzić do idei rzekomej misji Rosji jako naturalnego przywódcy, wyzwoliciela i obrońcy wszystkich ludów słowiańskich. Królestwo Prus odegrało czołową rolę w tworzeniu w roku 1871 zjednoczonego Cesarstwa Niemieckiego i słusznie było dumne z prymatu w Europie niemieckiego przemysłu, niemieckich uniwersytetów i niemieckiej armii. W obu krajach aparat biurokracji porzucił dawne przekonanie, że lojalność wobec monarchy jest wystarczającym sprawdzianem obywatelskiej przyzwoitości. Teraz domagano się, aby wszyscy poddani zmienili się

[7] Niezbędnym źródłem informacji na ten temat jest książka Marii Janion i Marii Żmigrodzkiej, *Romantyzm i historia*, Warszawa 1978, wydanie ilustrowane.

w „dobrych Rosjan" albo w „dobrych Niemców". Rusyfikacja i germanizacja, wspierane państwowym aparatem przymusu, stanowiły groźbę pozbawienia Polaków fundamentalnej tożsamości. I to był powód nasilających się walk o kontrolę nad oświatą, o prawo używania języka i pozycję polskiego Kościoła katolickiego.

W Imperium Rosyjskim klęska polityczna elementu polskiego pozostawała w ostrym kontraście do jego postępu społecznego i gospodarczego. Z chwilą zniesienia barier celnych towary wyprodukowane przez polski przemysł mogły swobodnie penetrować ogromny rynek rosyjski. W efekcie plusy i minusy rewolucji przemysłowej i epoki kolei żelaznej dotarły do polskich miast na terenie Imperium o wiele wcześniej niż do środkowej Rosji czy na Ukrainę. Pojawiła się nowa pełna energii burżuazja, nastawiona pogardliwie do dawnej buntowniczej szlachty i świadoma korzyści płynących z powiązań z Rosją, ale równie jak szlachta niecierpliwa wobec ordynarnej brutalności rosyjskiego panowania. W porównaniu z dziesięcioleciami sprzed roku 1864 Polacy żyjący pod rosyjskim panowaniem byli dość zastraszeni i stosunkowo spokojni, niewątpliwie też bardziej zamożni, ale niewielki wzrost poziomu życia nie mógł w nieskończoność równoważyć rozgoryczenia z powodu obecności wielkiego garnizonu wojska, despotyzmu małostkowych urzędników i irracjonalnej wrogości wobec wszystkiego, co polskie. Wielu Polaków, zwłaszcza przedstawicieli wolnych zawodów i inteligencji technicznej, odgrywało w Imperium istotną rolę; masy pozostały jednak niechętne i apatyczne wobec spodziewanych korzyści wynikających ze wspaniałomyślności cara.

W Prusach, gdzie postęp urbanizacji i uprzemysłowienia stwarzał warunki do naturalnej i bezbolesnej germanizacji ludności polskiej, tępa polityka pozbawionego wrażliwości rządu wywołała ostry konflikt. *Kulturkampf* Bismarcka z 1871 roku był zapewne skierowany w pierwszym rzędzie przeciwko niemieckim katolikom z Nadrenii i Bawarii, ale natychmiast zmienił wszystkich polskich katolików z Poznańskiego i ze Śląska w potencjalnych buntowników. Feralna pruska Komisja Kolonizacyjna (1886–1918), która miała umocnić pozycję elementu niemieckiego na wschodzie, także przyniosła efekty odwrotne do zamierzonych. Pod koniec stulecia w dużej warstwie polskiego chłopstwa z terenu Prus, zmobilizowanego przez bojowy kler katolicki, panował już nastrój silnego zniechęcenia; jak wskazują strajki szkolne z lat 1901–1907, chłopi byli zdecydowani zażarcie bronić swojej polskości. Niemcy z Deutscher Ostmarkenverein byli równie zdecydowani nie dopuścić do realizacji polskich celów. Stosunki polsko-niemieckie, niegdyś całkiem życzliwe, teraz stały się wrogie.

Natomiast w Galicji władze austriackie nie miały zamiaru naśladować swoich rosyjskich czy pruskich odpowiedników. Austro-węgierski *Ausgleich* z 1867 roku zmusił Habsburgów do porzucenia idei jednolitego cesarstwa i teraz starali się tylko zdobyć lojalność swoich polskich poddanych, przyznając im lokalną autonomię. Galicja była zdecydowanie najbiedniejszym z trzech zaborów, miała niewielki przemysł i ogromnie przeludnioną wieś. Rządzili głównie konserwatywni polscy właściciele ziemscy, a uprawiane przez nich w sejmie manipulacje były stałym tematem żartów. Ale atmosfera odprężenia i nonszalancji stwarzała przychylne warunki do działalności kulturalnej. W spolonizowanych na nowo uniwersytetach Krakowa i Lwowa, w Akademii Umiejętności (1871), w poddanych łagodnej cenzurze teatrach i wydawnictwach, w polskiej Radzie Szkolnej Krajowej „praca organiczna" Polaków z Galicji równoważyła ograniczenia narzucane polskiej kulturze w Prusach i Rosji. Z tego też powodu Galicję nazywano „polskim Piemontem".

We wszystkich trzech zaborach konflikt między polskim ruchem narodowościowym a władzami komplikowało wyłanianie się innych rywalizujących ze sobą ruchów, jednakowo wrogich w stosunku do Polaków, jak i w stosunku do władz państw rozbiorowych. Wydawało się, że każda grupa etniczna w Europie Wschodniej żąda własnych praw obywatelskich, własnego systemu szkolnictwa, własnych swobód religijnych oraz – w większości przypadków – realizacji własnej fantastycznej wizji wyłącznie narodowej ojczyzny. W zaborze rosyjskim, zwłaszcza w Wilnie, Polacy występowali przeciwko Litwinom, w zaborze austriackim – przeciwko Ukraińcom ze wschodniej Galicji i Czechom. W większości miast zaczęli się stykać z walczącym syjonizmem. Nie dało się stworzyć żadnego wspólnego frontu. Wzajemne antagonizmy między poszczególnymi narodowościami umożliwiały państwom rozbiorowym niezagrożoną politykę „dziel i rządź".

W epoce pozytywizmu trwał rozkwit polskiej literatury. Powieść społeczna, reprezentowana głównie przez dzieła Bolesława Prusa (1847–1912), zyskała przewagę nad poezją i dramatem romantyków. Prus nie miał czasu na powstania ani na zajmowanie się bohaterami areny politycznej. Pozytywistyczni historycy – Korzon czy Smoleński – także porzucili wąsko zakrojone badania nad historią polityczną z ich obsesyjnym zainteresowaniem rozbiorami, zwracając się ku tematyce społecznej i gospodarczej i ku analizom „narodu". Teoretyczne rozróżnienie między pozytywizmem i romantyzmem bywało jednak trudne do utrzymania. W wielu „pracach organicznych", podejmowanych w celu kształcenia

i informowania nowego pokolenia – na obrazach Jana Matejki (1838–1893) czy w powieściach historycznych Józefa Ignacego Kraszewskiego (1812–1887) i Henryka Sienkiewicza (1846–1916) – pobrzmiewały całkiem silne nuty romantyzmu.

5. Rozwój nowego społeczeństwa, około 1890–1918

Długi okres pokoju w Europie, jaki nastąpił po wojnie francusko-pruskiej z lat 1870–1871 i po kongresie berlińskim z roku 1878, nie przyniósł zbyt wielu przewrotów na skalę międzynarodową, natomiast stopniowo coraz silniej dawały się odczuć zasadnicze przemiany społeczne – w Polsce i w innych częściach Europy. Proces uwłaszczenia chłopów, zakończony w 1864 roku, zapoczątkował rosnący napływ do miast i fabryk ludności ze wsi, która dołączała do rodzącej się klasy robotniczej, ale na wsiach nadal żyły wielkie masy biednego chłopstwa, uprawiając ziemię tradycyjnymi metodami samowystarczalnej gospodarki. Nowa burżuazja parła naprzód, budząc niesmak starej szlachty i wywodzącej się ze szlachty inteligencji, a wszechpotężna biurokracja złożona z drobnych urzędników, w tym wielu obcego pochodzenia, napływała do polskich miast, obejmując stanowiska w administracji państwowej. Warstwie rzemieślników, w znacznym stopniu złożonej z Żydów, zagrażała rosnąca pauperyzacja z powodu konkurencji nowych technologii i większych przedsiębiorstw. Gwałtowny przyrost naturalny na wszystkich obszarach zaostrzał problemy demograficzne. Cienki strumyk migracji gospodarczej – najpierw sezonowych robotników podróżujących do Niemiec, a potem emigrantów wyjeżdżających na stałe do Europy Zachodniej i Ameryki – z czasem przekształcił się w prawdziwą powódź.

W ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku większość nowych sił społecznych znajdowała ujście w tworzących się, spontanicznych ruchach politycznych. Polska Partia Socjalistyczna, założona za granicą w 1892 roku, działała głównie w miastach zaboru rosyjskiego – w Warszawie, Łodzi, Białymstoku. Ruch narodowy, zapoczątkowany rok później (1893), znajdował najsilniejsze poparcie w dzielnicach peryferyjnych – w Poznaniu, Wilnie i we Lwowie. Ruch ludowy od 1895 roku miał bazę w Galicji, natomiast po roku 1902 ruch chrześcijańsko-demokratyczny popierał przede wszystkim katolicki proletariat Śląska. Na początku nie istniało żadne stałe forum, na którym wszystkie te ugrupowania mogłyby ze sobą współzawodniczyć, ale samo ich istnienie zapowiadało nasilenie polskiego życia politycznego, które już w tamtym okresie nabierało rozpędu.

Tymczasem w odpowiedzi na żądania powszechnego prawa głosu rządy państw rozbiorowych podjęły ostrożne kroki w kierunku utworzenia instytucji przedstawicielskich. Wybrani polscy deputowani zaczęli zasiadać w berlińskim Reichstagu od roku 1871[8], w austriackim Reichsracie w Wiedniu – od roku 1867, a od roku 1906 – w rosyjskiej Dumie. Ich działalność wywierała wyraźnie odśrodkowe naciski na całą polską scenę wydarzeń, ale z polskiego punktu widzenia było rzeczą istotną, że sprawy polskie, ignorowane przez całe dziesięciolecia, mogły być przynajmniej poruszane na scenie publicznej. Ostre tarcia udawało się jedynie częściowo ukrywać; seria gwałtownych incydentów – strajki szkolne w Poznańskiem, „rewolucja" lat 1905–1906 w zaborze rosyjskim, zamach na namiestnika Galicji w roku 1908 – stwarzała atmosferę niepokoju; rządy państw rozbiorowych były skłonne cofnąć wcześniejsze ustępstwa, aby uniknąć późniejszych kłopotów.

Zmieniający się świat *fin de siècle*'u – zmiany te wydawały się rozpaczliwie powolne w porównaniu z niezmienną inercją ustalonych kierunków polityki, gustów artystycznych i postaw społecznych – dostarczał podatnego gruntu dla frustracji, z których wyrosły bujne pędy modernizmu. Ruch zrodził się z poczucia, że skoro postęp jest iluzją, a reforma grą, to twórczy artysta może uzasadnić swoje istnienie odwagą symboliki i brawurą stylu. Pod tym względem polski modernizm stał się echem *Art Nouveau*, „sztuki dla sztuki" i prądów secesyjnych na Zachodzie. Jego wybitnymi przedstawicielami byli Stanisław Przybyszewski (1868–1927), krytyk i publicysta, ideolog Młodej Polski, oraz jej największy talent Stanisław Wyspiański (1869–1907) – malarz, ilustrator, poeta i dramaturg. Na ten właśnie okres datuje się szczyt rozkwitu Akademii Sztuk Pięknych (ASP) w Krakowie.

W roku 1914, w przededniu Wielkiej Wojny, narodowi polskiemu nie groziło już niebezpieczeństwo zagłady, ale nie miał on też przed sobą wyraźnie wytyczonej drogi na przyszłość. Trzydzieści lat wcześniej sympatycy Polski obawiali się, że naród polski ulegnie pod naporem rusyfikacji i germanizacji. W roku 1897 francuski dramaturg Alfred Jarry, w poszukiwaniu absurdalnego scenariusza wydarzeń w kraju, który nie istnieje, napisał swoją słynną wskazówkę dla reżysera: *En Pologne, c'est-à-dire nulle part*. Teraz, mimo wszystkich swoich braków, polski ruch narodowy mógł się poszczycić prawdziwymi osiągnięciami. Oświecone masy miały świadomość swojej polskiej tożsamości, polskie życie polityczne obejmowa-

[8] Polscy deputowani uczestniczyli w obradach Landtagu (sejmu) Królestwa Prus od roku 1848.

ło współczesne zagadnienia, a polskie życie kulturalne kwitło jak dotąd. Kiedy w latach 1914–1918 świat imperiów rozpadł się w przerażającym tempie, naród polski okazał się wystarczająco dojrzały, aby się zmierzyć ze swoim losem.

Słowem i czynem: sprawa polska

Historia Polski XIX wieku jest szczególnie skomplikowana, ponieważ większość jej wątków trzeba rekonstruować na podstawie odrębnych i kontrastujących ze sobą polskich doświadczeń w każdym z trzech państw rozbiorowych. Nawet w orbicie Rosji, Prus, Austrii czy – przez krótki czas – Francji doświadczenia Polski były różne w różnych miejscach i w różnych okresach. Wydarzenia, które miały miejsce w Warszawie, w Królestwie Kongresowym, trzeba stale porównywać z tym, co się działo w Wilnie czy w Kijowie, a życie w Prusach biegło innym torem w Wielkim Księstwie Poznańskim niż w miastach Breslau czy Danzig. We wszystkich trzech zaborach kontekst polityczny i kulturalny w latach osiemdziesiątych czy dziewięćdziesiątych XIX wieku różnił się zasadniczo od kontekstu z lat pięćdziesiątych czy dwudziestych. Trudno uogólniać, a historyk może się bardzo łatwo zaplątać w gąszczu szczegółików dotyczących spraw lokalnych czy wydarzeń, jakie miały miejsce w poszczególnych dzielnicach. Wobec nieistnienia niezawisłego państwa polskiego i wobec bezustannego rozczłonkowywania tych struktur, które mimo wszystko istniały, trudno w sposób zadowalający prześledzić wątki społeczne i ekonomiczne w jakimkolwiek specyficznie polskim kontekście, a w dodatku przez większość czasu polska polityka ograniczała się albo do spraw zaściankowych, albo do dwóch wielkich tematów epoki: zachowania tożsamości narodowej i przywrócenia narodowej niepodległości. Na przestrzeni wszystkich pięciu pokoleń historia Polski gubi wiele z substancji materialnej i wkracza na obszary idei, planów, marzeń i perspektyw. Od samego początku temat robi wrażenie, jakby został zaplanowany specjalnie z myślą o romantykach z ich pogardą dla rzeczy materialnych i przemożnym zainteresowaniem światem ducha. Literatura polska jest bardziej godnym zaufania przewodnikiem po wszystkim, co jest istotne dla tej epoki, niż socjologia czy ekonomia.

Z powodu szczególnych okoliczności okresu rozbiorów powiązania polityki z literaturą były w Polsce szczególnie bliskie. Oczywiście w każdym kraju życie polityczne zawsze pozostaje w pewnym stopniu pod

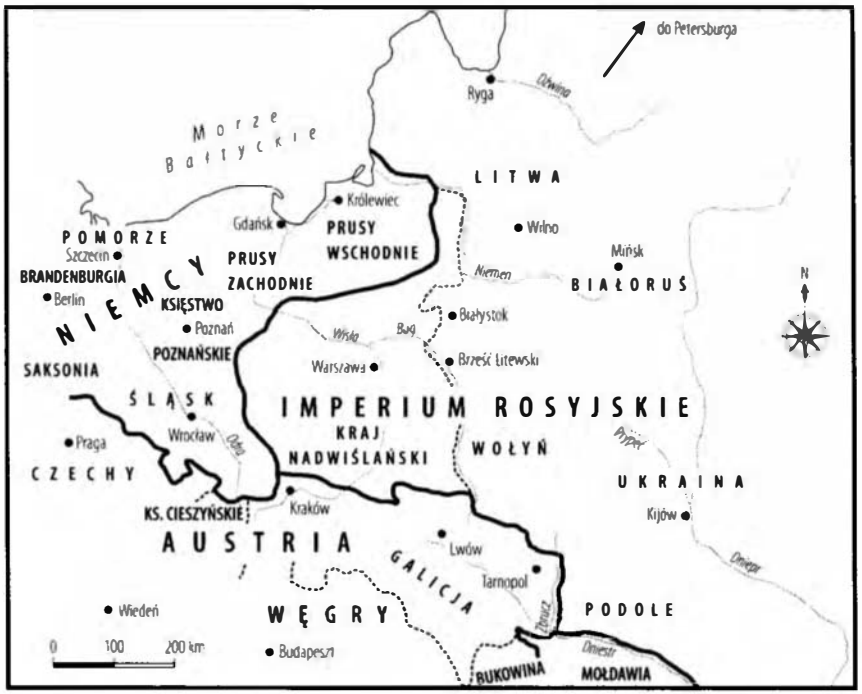

Mapa 6. Europa Wschodnia (ok. 1880)

wpływem książek, które ludzie czytają, i byłoby dziwne, gdyby literatura nie zawierała takich czy innych elementów treści politycznych. W dziewiętnastowiecznej Anglii – od pobrzmiewającego echami rewolucji francuskiej *Preludium* Wordswortha do *Hymnu skruchy* Kiplinga z jego wysublimowaną wizją imperium brytyjskiego, związki polityki z literaturą dają się zauważyć na każdym kroku. To samo odnosi się do Francji, Niemiec czy Włoch, od Chateaubrianda do Zoli, od Heinego do Nietzschego, od Alfieriego do Crocego. Nawet w Rosji, gdzie XIX wiek stał się okresem rozkwitu jednej z największych tradycji literackich na świecie, literatura miała silne – choć ukryte – zabarwienie polityczne, od wczesnego Puszkina po Maksyma Gorkiego. Puszkin napisał kilka ostrych wierszy politycznych; tematy niektórych, na przykład poematu *Oszczercom Rosji,* wiązały się ściśle ze sprawami polskimi. *Wojna i pokój* Tołstoja zawiera szeroką panoramę historii Rosji i reakcji społecznych na wydarzenia polityczne. Dostojewski nie starał się zbytnio ukryć swoich żarliwie konserwatywnych poglądów, i wszystkie jego powieści można odczytywać jako komentarz do obaw o nieład społeczny, anarchię i nihilizm.

W Polsce jednak polityka narodowa i narodowa literatura wykuwane były w tym samym gwałtownym ogniu i połączyły się w amalgamat o tak niezwykłej intensywności, że jednej nie dało się już odróżnić od drugiej. W kraju, w którym wszelkie formy jawnej działalności politycznej o charakterze narodowym były stopniowo tłumione, poezję i prozę przywoływano jako najdogodniejszy nośnik myśli politycznej. Polska polityka, zepchnięta z areny publicznej przez oddziały policji i cenzurę, szukała ucieczki w metaforach poetów i w alegoriach powieściopisarzy. Wykształciła własny żywy literacki kod, korpus symboli i konwencji, które zaczęły żyć swoim własnym życiem. I dlatego literatura polska XIX wieku, pod względem objętości, różnorodności i poziomu artystycznego porównywalna ze wszystkimi wielkimi literaturami Europy, okazała się towarem wybitnie nienadającym się na eksport i była w znacznym stopniu nieprzekładalna. Ale w Polsce odgrywała rolę najważniejszą. Szybko stała się ogromnym bastionem, kulturowym Ford Knox, nieprzenikalnym, ponieważ jej niewidzialnych murów nie dało się ani zburzyć armatnimi pociskami, ani obalić nakazami rewizji. W gruncie rzeczy w społeczeństwie, w którym działalność polityczną uznawano zazwyczaj za karalną zbrodnię, zaczęła odgrywać rolę politycznego surogatu, artykułu zastępczego za „normalne" dyskusje i działania polityczne. W Polsce literatura nie tylko stanowiła odbicie polityki, tak jak to się działo gdzie indziej; wyglądało na to, że może ją wręcz zastąpić. Przez długi czas „niewoli babilońskiej", stojąc na samotnych wartach w mrokach polskiej politycznej nocy, „słowa" co najmniej dorównywały „czynom".

Chociaż byłoby zbytnim uproszczeniem twierdzić, że rozbiory pozbawiły wszystkich Polaków wszystkich swobód i praw politycznych, w większości rejonów ziem polskich i przez większość XIX wieku brak swobód i praw był uznanym faktem. Innymi słowy, tylko bardzo nieliczni ludzie w Polsce – w bardzo niewielu miejscach i w nielicznych przypadkach – mogli się starać kultywować rodzime tradycje polityczne bez poważnych obaw przed przemocą i prześladowaniami. Rządy absolutne nigdy nie mogły się okazać absolutnie skuteczne we wprowadzaniu w życie swoich absolutystycznych ideałów – tak jak autokraci nigdy nie są w stanie sami rządzić, a autorytet państw autorytarnych nigdy nie jest autorytetem niekwestionowanym. W epoce współczesnej tak zwanym reżimom totalitarnym – zarówno faszystowskim, jak i komunistycznym – nigdy nie udało się sprawować kontroli nad ludźmi w taki sposób, w jaki chciały to robić. Ogólnie rzecz biorąc, aparaty represji panujących imperiów Europy Wschodniej – z ogromnymi oddziałami policjantów, donosicieli, urzędników, żołnierzy straży przygranicznej, cenzorów,

ustawodawców zależnych od władz i sędziów, którzy tym władzom służyli – były naprawdę potężne.

Zakres polityki mniejszości był bardzo niewielki. Żadna niezależna działalność polityczna zmierzająca do umocnienia narodowych polskich interesów, która nie byłaby elementem władzy państwowej, nie miała szans rozwinąć się i utrzymać. Dawne instytucje likwidowano jedna po drugiej i nie można ich było zastąpić żadnymi nowymi narodowymi organami. Dawnych tradycji nie dało się ani sprawdzić, ani wprowadzić w życie w nowych okolicznościach. Polacy musieli żyć wspomnieniami i snami na jawie. Brak praw politycznych – ze wszystkimi konsekwencjami społecznymi, ekonomicznymi, prawnymi i kulturalnymi, jakie z tego wypływały – był głównym elementem rzeczywistości.

Na całym świecie obywatel stojący w obliczu systemu, który rości sobie pretensje do władzy absolutnej, ma bardzo ograniczony wybór polityczny. Logicznie rzecz biorąc, ponieważ tendencje pluralistyczne są aktywnie tłumione, istnienie władzy absolutnej pozostawia otwarte zaledwie cztery drogi działania. Panujący reżim można lojalnie przyjąć; można przeciwko niemu występować nielegalnymi metodami (nie tworząc jednak legalnej „opozycji"); można go skłonić do jakiejś formy rokowań lub kompromisu z obywatelami; wreszcie można go unikać. Z punktu widzenia jednostki, Polaka będącego poddanym cara, kajzera lub cesarza-króla, lojalne przyjęcie nakazów rządu oznaczało na ogół po prostu odrzucenie polityki narodowej. Nielegalny opór łączył się z ryzykiem natychmiastowej kary; sztuka kompromisu i politycznych targów niosła ze sobą niebezpieczeństwo zdemaskowania, zarówno ze strony rządu, jak i osób prywatnych, a sztuka robienia uników mogła oznaczać dosłownie wszystko – od udawania, że tak naprawdę rząd w ogóle nie istnieje, do opuszczenia kraju na zawsze. Ponieważ absolutystyczne roszczenia mocarstw rozbiorowych dominowały nad wszystkimi aspektami życia politycznego, postawy polityczne były zdominowane nie tyle przez systemy filozofii społecznej czy lokalne interesy (choć nie były one nieważne), ile przez różne reakcje ludzi na ucisk. W efekcie w polskiej polityce od połowy XVIII do końca XX wieku przeważały cztery odrębne tradycje – l o j a l i z m, o p ó r, u g o d a i e m i g r a c j a. Terminologia się zmieniała, ale podstawowe pojęcia nie uległy zmianie. W odniesieniu do pierwszych trzech, wywodzących się z rodzimych tradycji, wielu Polaków rozpoznałoby inne etykiety: k o l a b o r a c j a, i d e a l i z m i r e a l i z m, a czasem l o j a l i z m, r o m a n t y z m i p o z y t y w i z m; inni – zależnie od swoich osobistych przekonań – mogliby wybrać odpowiedniki z d r a d a – n i e p o d l e g ł o ś ć – k o l a b o r a c j a albo

kapitulacja – fanatyzm – trzeźwość. W oczach rządzących trzy główne tradycje reprezentowały trzy postawy: obowiązek, bunt i umiarkowanie. Dla obserwatorów z zewnątrz problem polega na tym, iż żaden Polak nigdy nie przyzna, że wybrał jakąkolwiek tradycję inną niż patriotyzm.

Lojalizm[9] – w znaczeniu lojalnej postawy wobec władzy – nabrał w Polsce tak negatywnych konotacji, że wielu polskich analityków nawet zapominało go analizować. Lojalizm leży poza sferą patriotycznej przyzwoitości i każdy Polak, który dawał wyraz pełnemu poparciu władz, musiał się liczyć z ostracyzmem współrodaków. Nie sposób jednak zaprzeczyć, że istnienie polskich lojalistów dawało się zauważyć prawie w każdym okresie na przestrzeni minionych dwustu lat. Jest całkiem zrozumiałe, że lojalizm był zjawiskiem skalarnym i obejmującym szerokie spektrum. Na jednym końcu skali byli Polacy, którzy stali się tak entuzjastycznymi neofitami nawróconymi na sprawę politycznych władców, że całkowicie odrzucali swoje polskie korzenie. Taka była postawa Stanisława Szczęsnego Potockiego (1751–1805), jednego z konfederatów targowickich, który oświadczył po trzecim rozbiorze: „Każdy z przeszłych Polaków ojczyznę sobie obrać powinien. Ja już jestem Rosjaninem na zawsze". Natomiast Jan Tadeusz Bułharyn (1789–1859), redaktor gazety „Siewiernaja pczieła", został jednym z najzagorzalszych obrońców oficjalnego nacjonalizmu rosyjskiego pod rządami Mikołaja I. Feliks Dzierżyński (1877–1926), założyciel sowieckiej Czeki, i Konstanty Rokossowski (1896–1968), marszałek ZSRR, wybrali podobną drogę, chociaż w służbie sowieckiej, nie carskiej. Na drugim końcu skali znaleźli się Polacy, których lojalizm ograniczał się do wszelkiego rodzaju osobistych ograniczeń i uników. Byli wśród nich liczni „kryptopatrioci" – ludzie, których siła okoliczności zmusiła do posłuszeństwa, ale którzy grali na zwłokę, czekając na moment, gdy będą mogli ujawnić prawdziwą postawę i otwarcie się zbuntować. Tych w uznaniu dla bohatera Mickiewicza Konrada Wallenroda nazywano „wallenrodystami". Z punktu widzenia ludzi establishmentu byli polską piątą kolumną tajnych wrogów, działających skrycie od wewnątrz. Najbardziej typowy był chyba taki lojalista, który wprawdzie niezachwianie wspierał program polityczny establishmentu, ale jednocześnie zachowywał sentymentalne przywiązanie do polskich

[9] Słowo „lojalizm": „w Polsce pod zaborami: wiernopoddaństwo względem rządów zaborczych", zob. *Słownik języka polskiego*, pod red. Witolda Doroszewskiego, Warszawa 1963; to znaczenie podobne jest do znaczenia amerykańskiego i irlandzkiego (ale nie brytyjskiego) słowa „republikanin".

tradycji i polskiej kultury. Do tej kategorii – najliczniejszej – należy zaliczyć zarówno generała Krasińskiego, jak i Henryka Rzewuskiego.

Wincenty Krasiński (1782–1858), zawodowy wojskowy i arystokrata starej szkoły, urodził się jako poddany ostatniego króla Polski i z niezachwianym oddaniem służył wszystkim kolejnym reżimom. Jak zauważa jeden z biografów, jego karierę w służbie Napoleona za czasów Księstwa Warszawskiego, w służbie Aleksandra I za czasów Królestwa Kongresowego i w służbie Mikołaja I w Imperium Rosyjskim cechowała „ta sama, afiszowana, gotowość do służby". Na każdym etapie kariery zgromadził pokaźną kolekcję honorów, jako hrabia najpierw Cesarstwa Francuskiego, a potem Rosji. Na każdym etapie dbał o to, aby jego rodzinne majątki w Opinogórze, gdzie wybudował ogromny neogotycki pałac, dostały prawny status ordynacji. W wojsku awansował od pozycji żołnierza-szlachcica w kawalerii narodowej (1791) do rangi pułkownika w służbie Francuzów (1806), generała brygady i komendanta słynnego pułku szwoleżerów w gwardii cesarskiej i wreszcie do stopnia generała jazdy w armii rosyjskiej. Jako zaufany polityk, w roku 1818 był marszałkiem polskiego sejmu, a następnie awansował na urząd senatora Królestwa, senatora cesarstwa i członka carskiej Rady Państwa; wreszcie – w latach 1855–1856 – pełnił obowiązki namiestnika cara w Warszawie. I na każdym etapie stawał się celem oskarżeń o nadmierny serwilizm. Z tego właśnie powodu lekceważył go marszałek Poniatowski. Polska opinia publiczna znienawidziła go za jego *votum separatum* przeciwko łagodnemu wyrokowi w procesie o zdradę z 1828 roku oraz za to, że nie wziął udziału w powstaniu listopadowym. Krasiński miał wszystkie dobre i złe cechy swojej warstwy społecznej. Walczył mężnie, zwłaszcza pod Iławą Pruską i Wagram, a także w wojnie o niepodległość Hiszpanii; był człowiekiem o wysokiej kulturze, prowadzącym wybitny salon literacki lat dwudziestych XIX wieku, i autorem niezbyt wysokiej rangi, twórcą – między innymi – dzieła o literaturze prowansalskiej. Nie miał natomiast cierpliwości do radykalnej polityki czy reform społecznych. W kampanii roku 1812 jego ułanów użyto do pacyfikacji rusińskich chłopów, którzy się zbuntowali przeciwko swoim panom. A co ciekawe, jako ojciec poety Zygmunta Krasińskiego dokładał wszelkich możliwych starań, żeby uchronić swego jedynego syna przed pójściem zgubnymi drogami polskiego patriotyzmu. Zygmunta wygnano zatem z Polski, aby go utrzymać z daleka od powstania listopadowego, a następnie wspierano materialnie, aby mógł wieść za granicą wędrowny żywot członka artystycznej bohemy na typowym dla romantyzmu zesłaniu. Ojciec i syn, filar caratu i zbuntowany arty-

sta, spotykali się co roku w Karlsbadzie, Lugano albo Nicei, gdzie zjeżdżała się u wód europejska arystokracja. Nie może być wątpliwości, że właśnie nadmierny konformizm rodzica tłumaczy przesadnie niekonwencjonalną postawę dziecięcia[10].

Henryk Rzewuski (1791–1866), członek tej samej klasy społecznej i tego samego pokolenia co generał Krasiński, podzielał wiele jego poglądów. Był nieodmiennie obrońcą politycznej supremacji Rosji i – rzecz niezwykle rzadka – polskim panslawistą, który przez całe życie nie mógł się pogodzić ze swoją datą urodzin, 3 maja 1791 roku. Ale był także czynnym propagatorem polskiej kultury. Jako uczeń Josephe'a de Maistre'a, należał do zwolenników najbardziej ultramontańskiej odmiany katolicyzmu i był autorem popularnych *Pamiątek Soplicy* (1839) – powszechnie go podziwiano za tę nostalgiczną ewokację obrazów dawnego życia w Polsce. Połączenie politycznego lojalizmu z sentymentalnym patriotyzmem nie narażało ludzi z pokolenia Rzewuskiego na większe kłopoty, skoro władze nie wymagały od swoich lojalnych poddanych kulturowego i ideologicznego konformizmu. Natomiast pod koniec stulecia, w przeważającej wówczas atmosferze rusyfikacji i germanizacji, stało się rzeczą nie do pomyślenia.

W przeciwieństwie do lojalizmu, tradycja oporu[11] była tak ściśle związana z postawami Polaków, że wielu komentatorów dostrzega w niej jedyną tradycję godną wzmianki. Była polityczną towarzyszką polskiego romantyzmu. Można czasem odnieść wrażenie, że dwadzieścia milionów Polaków spędziło cały XIX wiek, siedząc na rozmaitych barykadach, w kraju i za granicą. Nie trzeba podkreślać, że jest to obraz nieco przesadzony. Co więcej, „opór" pojmowano na różne sposoby. Na jednym końcu skali należy umieścić ludzi twardych jak stal, oddanych idei powstańczej i gotowych użyć wszelkich dostępnych środków, łącznie z przemocą i siłą militarną, do walki o sprawę narodową. Z natury rzeczy nieliczni, byli jednak wielcy pod względem determinacji i prestiżu. Ich towarzysze, dysydenci, którzy ich popierali we wszystkim poza karabinami i bombami, mieli mniej okazji do działania, a może tylko łagodniejsze usposobienie. Byli to dziennikarze publikujący

[10] Na temat Krasińskich – ojca i syna – zob. obszerny wstęp Marii Janion do: Zygmunt Krasiński, *Nie-Boska komedia*, Wrocław 1966, s. III–CXXXII.

[11] Termin ten wszedł w powszechne użycie w połowie XX wieku, zwłaszcza podczas II wojny światowej. Komuniści odnosili go wyłącznie do ruchu oporu przeciwko nazistom. Na początku XIX wieku podobne konotacje wywoływały słowa „patriotyzm", a później „niepodległość" i „aktywizm" – wyrażenia występujące w codziennym użyciu.

w podziemiu, niecenzurowani poeci, tajni wychowawcy i nauczyciele. Na przeciwnym końcu skali ostrożni obrońcy idei biernego oporu ograniczali swoją działalność do aktów niesubordynacji albo tylko do wrodzonej niechęci do współpracy z władzami. Z czasem, w miarę nasilania się walk narodowych w Europie Wschodniej, stanowili zapewne większość polskiej ludności. Darzyli podziwem powstańców i czytali dysydencką literaturę. Zrozumiałe jest, że większość Polaków, mających rodziny do wyżywienia i proboszczów swoich parafii do słuchania, nie mogła się bez przerwy angażować w konspirację, powstania i nielegalne wydawnictwa, natomiast ta uparta, niewysłowiona chęć stawiania oporu, ta odmowa „zginania karku" głęboko wrosła w polską duszę. Jak się przekonały – na własny koszt – kolejne rządy, można Polaka doprowadzić do wodopoju, ale nie można go zmusić, żeby pił. Kontekst polityczny rodził upór.

Co więcej, ponieważ większość współczesnych ruchów narodowo-wyzwoleńczych ma skrzydło „militarne" i skrzydło „polityczne", wraz z biernym poparciem członków danego narodu, można by dostrzegać w polskiej tradycji ruchu oporu coś bardzo przypominającego tradycję dzisiejszej IRA czy Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Znaczyłoby to jednak błędne odczytanie autorytarnego kontekstu społecznego dziewiętnastowiecznej Europy Wschodniej, w której wykuwano polską tradycję. W carskiej Rosji, w Austrii Metternicha i w mniejszym stopniu w Prusach Bismarcka władze nie rozróżniały ani między różnymi nasileniami ruchu oporu, ani między stosowanymi metodami. Nie doceniano też „legalnej opozycji", nie mówiąc już o „niestosowaniu przemocy". Nie było szans, żeby działać jawnie w ramach prawa – na przykład gładko i bez zająknienia publicznie potępić czyjeś prywatne sympatie dla kolegów terrorystów; nie było też okazji, aby publicznie wyrazić własne poglądy. Z wyjątkiem Prus, gdzie przetrwał *Rechtstaat*, odwoływanie się do prawa nie miało żadnego sensu. Nie okazywano tolerancji wobec więźniów sumienia i nie było nadziei na interwencję Amnesty International. Absolutystyczne cesarstwa żądały absolutnego posłuszeństwa i wszelkie formy oporu spotykały się z jednakową nieprzejednaną reakcją. Skoro było niemożliwe, żeby wszyscy Polacy zostali zawodowymi powstańcami, niemal wszystkich podejrzewano o potencjalną zdradę. Pod wpływem takich nacisków, zahartowani okropieństwami okupacji w XX wieku, wyrobili w sobie poczucie solidarności społecznej, które trudno zrozumieć żyjącym w komfortowych warunkach obywatelom współczesnych demokracji (w tym także żyjącym w komforcie i niezadowolonym).

Polacy oddani idei powstania[12], najważniejszej formy oporu, której tradycja ciągnie się nieprzerwanie od Kościuszki do Piłsudskiego, poświęcali życie walce o sprawę polską za każdą cenę. Na przestrzeni pokoleń stworzyli bogatą galerię poszukiwaczy przygód, ludowych bohaterów i męczenników. Ludzie ci, mężczyźni i kobiety, nie dbający o własne bezpieczeństwo, pod hasłem „Za waszą wolność i naszą" walczący z tyranią wszędzie tam, gdzie rządzili tyrani, byli prototypowymi przedstawicielami kategorii internacjonalistycznych rewolucjonistów i anarchistów późniejszych czasów. W oczach poniektórych bardziej trzeźwo myślących rodaków uchodzili za niebezpiecznych fanatyków o skłonnościach samobójczych, a w oczach władz – za zwykłych terrorystów. Ale nawet ich wrogowie nie mogliby zaprzeczyć, że często bywali to ludzie z zasadami, kierujący się głębokimi przekonaniami moralnymi. Podczas długich przerw między jawnymi powstaniami budowali sieci tajnych bractw, pielęgnowane przez rzeszę odważnych i pełnych poświęcenia kobiet, działających jako kurierki, przemytniczki broni i nauczycielki, oraz wspierane przez sympatyków i kolegów konspiratorów z kręgów emigracyjnych. Wśród bardziej znanych spośród ich organizacji można wymienić działającą w Paryżu republikańską Deputację, która w 1797 roku zorganizowała wyprawę do Polski Joachima Deniski, Legiony Polskie z czasów Napoleona, grupę Belwederczyków, która w roku 1830 rozpoczęła powstanie listopadowe, Narodowe Towarzystwo Patriotyczne z lat dwudziestych, Towarzystwo Demokratyczne Polskie (TDP) z lat 1832–1846, „Czerwonych" z Warszawskiego Komitetu Miejskiego, którzy rozpoczęli powstanie styczniowe z 1863 roku, „frakcję rewolucyjną" PPS, którego bojówki stały na czele walk z lat 1905–1907, Legiony Piłsudskiego z czasu I wojny światowej i Armię Krajową z czasów II wojny. W pamięci zbiorowej najmocniej utrwaliły się nazwiska Józefa Bema (1794–po 1901), oficera artylerii podczas wojny polsko-rosyjskiej z roku 1831 i dowódcy powstańczych wojsk węgierskich w Siedmiogrodzie w latach 1848–1849; Henryka Kamieńskiego (1813–1865), teoretyka „wojny ludowej"; Ludwika Mierosławskiego (1814–1878), którego droga prowadziła od karbonariuszy przez TDP do procesu berlińskiego z 1847 roku, przez powstanie wielkopolskie i powstania w Palermo i Baden-Baden w roku 1848 do krótkiego momentu sławy „dyktatora" powstania styczniowego z roku 1863; Edwarda Dembowskiego (1822–1846), zwolennika rewolucji społecznej, który utożsamiał naród z całą ludnością i który w 1846

[12] „Powstanie", rzadziej „insurekcja": „chwytanie za broń w imię wolności" – zob. *Słownik języka polskiego*, pod red. Jana Karłowicza, Warszawa 1902.

roku zginął od pierwszej austriackiej salwy pod Krakowem; Ludwika Żychlińskiego (1837–po 1901), kolejnego wybitnego powstańca z 1863 roku, który walczył także w oddziałach Garibaldiego i w wojsku Unii w amerykańskiej wojnie secesyjnej, a potem przeżył zsyłkę na Syberię i wrócił do domu, żeby spisać swoje pamiętniki; Jarosława Dąbrowskiego (1836–1871), który zakończył życie jako dowódca walczących na barykadach Komuny Paryskiej; Romualda Traugutta (1826–1864), ostatniego dyktatora powstania styczniowego, i Ignacego Hryniewieckiego (1855–1881), znanego jako „Iwanowicz", polskiego działacza rosyjskiej Woli Ludu, który 13 marca 1881 roku rzucił w Petersburgu bombę, zabijając siebie samego i cara Aleksandra II[13].

Książę Józef Poniatowski (1763–1813), bratanek ostatniego króla Polski i marszałek Francji, sam nie był powstańcem, ale ucieleśniał niemal wszystkie ideały, które przyświecały uczestnikom późniejszych powstań. Jako zawodowy wojskowy w czasach politycznego zamętu, Poniatowski raz za razem stawał w obliczu fundamentalnego dylematu moralnego: służyć czy nie służyć. Wreszcie świadomie wybrał śmierć bohatera, aby raz jeszcze nie musieć podejmować tej samej straszliwie bolesnej decyzji. Podobnie jak Kościuszko, odznaczył się w wojnie rosyjsko-polskiej z lat 1791–1792 i w insurekcji z roku 1794; mianowanie go głównodowodzącym wojsk Księstwa Warszawskiego było posunięciem oczywistym i spotkało się z powszechną aprobatą. W poprzednich latach zwlekał, zanim się zdecydował połączyć swoje losy z losami Napoleona. W kampanii przeciwko Austrii z 1809 roku Poniatowski błysnął talentem subtelnego i elastycznego stratega, nieraz przechytrzając mającego przewagę wroga. W kampanii przeciwko Rosji z roku 1812 jako dowódca Piątego Polskiego Korpusu Grande Armée zgodził się kierować dwoma najtrudniejszymi zadaniami: dowodził awangardą w pochodzie na Moskwę i ariergardą w odwrocie. Jego jednostka, choć uszczuplona, była jedną z niewielu, które nie zostały rozbite i dotarły do Warszawy. Uzupełnił rezerwy i wycofał się do Niemiec. Tam – po raz piąty czy szósty w swojej karierze – z pogardą odrzucił rosyjską propozycję amnestii. W odróżnieniu od innych polskich generałów w służbie Napoleona – Krasińskiego, Zajączka, Dąbrowskiego, Kniaziewicza, Chłopickiego – Poniatowski nie chciał spędzić życia w służbie cara. Podczas Bitwy Narodów pod Lipskiem w październiku 1813 roku dostał się w wir walki zwiastującej klę-

[13] Gwoli sprawiedliwości należałoby dodać, że z ręki Polaka, Leona Czołgosza, 6 września 1901 roku zginął także prezydent USA McKinley, choć zamachowiec nie działał prawdopodobnie z pobudek politycznych.

skę Francuzów. Beznadziejna sytuacja, w jakiej tego dnia znaleźli się jego polscy ułani, uwięzieni w zakolu Elstery przez oddziały wojsk pruskich i rosyjskich, była jak symbol historycznych losów Polski. Nie wchodziła w grę kapitulacja czy odwrót. Śmiertelnie raniony trzema pociskami Poniatowski zebrał resztki sił, spiął konia, rzucił się do rzeki pod gradem kul i zniknął w odmętach. Tę śmierć przywołuje się często jako kolejny przykład samobójczej – i bezsensownej – odwagi Polaków. A przecież był to czyn w pełni zgodny z jego nieznośnym położeniem, który nie poszedł na marne. Służba w wojskach Napoleona wymagała lat poświęcenia i przelewu krwi, a także bolesnej zmiany frontu – zmiany, której towarzysz broni Poniatowskiego, Kościuszko, konsekwentnie odmawiał. Kolejna zmiana frontu była ponad siły tego straszliwie znużonego i uczciwego człowieka. Jak wielu spośród jego pokolenia, miał nadzieję, walczył, służył, a odpoczynek przyniosła mu dopiero honorowa klęska. Jego dewiza: Bóg – Honor – Ojczyzna, stała się inspiracją dla wszystkich rodaków, którzy jak on byli zdecydowani stawiać opór aż do końca i dla których śmierć i klęska nie oznaczały przegranej.

Emilia Plater (1806–1831) różniła się od marszałka Poniatowskiego wszystkimi zewnętrznymi cechami, ale też była postacią, której przykład umacniał powstańczą tradycję. Jako wzór najsilniejszej polskiej determinacji, walczyła jak mężczyzna w oddziałach powstania listopadowego i oddała życie za sprawę. Urodziła się na Litwie, w wybitnej arystokratycznej rodzinie Platerów de Broel, pochodzącej z Westfalii i osiadłej na Żmudzi, która w ciągu stuleci całkowicie się spolonizowała. Na początku XIX wieku Platerów można było spotkać w każdym zakątku Polski, w każdej gałęzi administracji i w każdej dziedzinie sztuki. Ludwik Plater (1775–1846), pionier leśnictwa, został głównym zarządcą dóbr koronnych Królestwa Kongresowego i senatorem, a także jednym z założycieli Towarzystwa Literackiego w Paryżu. Jego brat, Stanisław Plater (1784–1851), osiadł w Poznańskiem; był geografem i historykiem wojskowości. Adam Plater (1790–1862) był wybitnym zoologiem, a Władysław Plater (1806–1889) – swego czasu polski żołnierz – zyskał sobie sławę jako założyciel Muzeum Polskiego w Rapperswilu w Szwajcarii. Wzrastając w takiej rodzinie, młoda Emilia musiała przecież zostać estetką i patriotką. Zainteresowania kulturą skierowała na badanie ruskiego folkloru w ojczystej Litwie. Patriotyczne uczucia rozbudził w niej incydent z 1823 roku: jej kuzyna, Michała Platera, wcielono do armii rosyjskiej za to, że się odważył publicznie obchodzić święto 3 Maja. Kiedy w roku 1830 wybuchło powstanie listopadowe, Emilia stworzyła z miejscowych chłopów oddział partyzancki i razem z kuzynem, Cezarym

Platerem (1810–1869), dołączyła do kampanii litewskiej generała Chłapowskiego. Służyła początkowo jako ochotniczka, a następnie jako kapitan Dwudziestego Piątego Pułku Piechoty. Uczestniczyła w trzech zaciętych bitwach z Rosjanami, po czym wycofała się ze swoim oddziałem za granicę pruską, z zamiarem przedarcia się do Warszawy. Umarła w grudniu 1831 roku, w wieku dwudziestu pięciu lat, w chłopskiej chacie, prawdopodobnie w wyniku krańcowego wyczerpania. Była wielką miłośniczką rodzącego się prądu romantyzmu, a nieśmiertelność zawdzięcza poematowi Adama Mickiewicza *Śmierć pułkownika*, opisującego scenę przy łożu śmierci Emilii, kiedy miejscowi chłopi wpadają w zadziwienie, gdy pozwolono im spojrzeć na ciało:

> Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
> Jakie piękne dziewicze ma lica?
> Jaką pierś? – Ach, to była dziewica,
> To Litwinka, dziewica-bohater,
> Wódz Powstańców – Emilija Plater!

Gustaw Ehrenberg (1818–1895) był nie tyle czynnym powstańcem – był za młody, żeby uczestniczyć w walkach z lat 1830–1831, a w latach 1863–1864 siedział jeszcze w więzieniu – ile dysydentem politycznym, a także współpracownikiem i sympatykiem powstańców. Jako poeta, który żarliwy patriotyzm łączył z nieugiętym radykalizmem społecznym, tworzył cieszące się popularnością wiersze z taką samą żarliwością demaskujące carat i pańszczyznę; władze uważały go za niepoprawnego wywrotowca. Wściekłe parodie ziemiaństwa zyskały mu wielką popularność w późniejszym okresie, a do jednej z jego poetyckich tyrad na temat powstania listopadowego, *Szlachta w roku 1831*, dodano muzykę i w ten sposób powstał ulubiony hymn ruchu komunistycznego:

> Gdy naród na pole wystąpił z orężem,
> Panowie na sejmie radzili.
> Gdy lud polski krzyczał: umrzem lub zwyciężem!
> Panowie o czynszach prawili.
> (...)
> Armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara
> Rękami czarnymi od pługa,
> Panowie w stolicy palili cygara,
> Radzili o braciach zza Buga.
> Radzili, prawili i w mądrej swej głowie

Ukuli rozejmy, traktaty;
(...)
Powstańcy nie znają wiedeńskich traktatów,
Nie wchodzą w układy z carami,
Lecz biją Moskali, wieszają magnatów
I mścić się umieją stryczkami.

(Nie wszystkie wiersze tej pieśni trafiły do śpiewników partii komunistycznej...) Bardzo niesprawiedliwa była sugestia, że szlachta polska jako klasa odmówiła walki z caratem. Była najaktywniejszą warstwą ludności. Szkoda też, iż tak niewielu ludziom, którzy dziś śpiewają słowa pieśni Ehrenberga, nie mówi się, że ich autor, który w nagrodę za swoje trudy spędził ponad połowę życia na zesłaniu na Syberii, był naturalnym synem cara Rosji.

Tradycja ugody[14] zrodziła się z ciągłej potrzeby wypracowywania kompromisu między przeciwnymi obozami lojalizmu i oporu, między nieusuwalnym rządem i niepowstrzymaną siłą powszechnych żądań. W społeczeństwie polskim rola rzecznika politycznej ugody i rozjemcy przypadła Kościołowi katolickiemu, chociaż w XIX wieku hierarchowie Kościoła, których mianowanie było kontrolowane przez państwo, cieszyli się mniejszym zaufaniem ludzi niż dziś. Rozjemcy musieli się wykazać wystarczającym stopniem lojalności wobec reżimu, aby uniknąć podejrzeń o chęć obalenia ustalonego porządku, i jednocześnie okazać wystarczająco dużo dbałości o tradycje narodowe, aby się stać wiarygodnymi przedstawicielami narodu. Bezustannie narażali się na ryzyko denuncjacji przez jedną lub drugą stronę – za zbytnią zuchwałość albo za nadmierną służalczość. Płynęli niebezpiecznym kursem między Scyllą niezadowolenia władz i Charybdą potępienia przez społeczeństwo. Różnili się od lojalistów upartym twierdzeniem, że tradycje narodowe muszą znaleźć jakiś wyraz w organizacjach politycznych i usankcjonowanych prawem instytucjach; a od zwolenników ruchu oporu – uznawaniem panującego reżimu za stały i bezdyskusyjny element rzeczywistości. Dlatego zawsze nazywali siebie „realistami", chociaż z powodu nacisku na działania społeczne i kulturalne oraz na postęp gospodarczy, zwłaszcza po roku 1864, zyskali sobie etykietę „pozytywistów" i propagatorów idei „pracy

[14] Słowo to w języku polskim znaczy więcej niż tylko „kompromis". Czasownik „ugodzić się" oznacza „ubić interes", a rzeczownik „ugoda" ma konotację trudnej, prowizorycznej umowy między dwiema nie dającymi się pogodzić skrajnościami.

organicznej"[15]. Swoją złość kierowali głównie przeciwko powstańcom, których konspiracyjną działalność w sprawie niepodległości narodowej uważali za złą, samobójczą i beznadziejnie „idealistyczną". W sferze czysto politycznej z konieczności byli minimalistami i nie stawiali sobie dalekosiężnych celów; chcieli tylko stopniowego odrodzenia się lub rozszerzenia ograniczonej autonomii. Natomiast w sferach niezwiązanych z polityką bywali bardzo ambitni, wierząc, że Polacy mogą zacząć myśleć o niepodległości dopiero wtedy, kiedy pod względem kulturalnym i gospodarczym dorównają swoim sąsiadom. Jeśli przyjąć, że polityka istotnie jest „sztuką tego, co jest możliwe", to ugodowcy byli jedynymi prawdziwymi politykami na polskiej scenie. Tę strategię pierwszy stosował ostatni król Polski Stanisław August w ciągu pierwszych dwudziestu pięciu lat swojego panowania. Przywrócili ją do życia politycy, którzy starali się realizować postanowienia układu wiedeńskiego, a zwłaszcza przywódcy Królestwa Kongresowego w latach 1815–1830; ponownie weszła w modę po upadku powstania styczniowego w 1864 roku i na resztę stulecia stała się dominującą tendencją polskiej polityki. W tym ostatnim okresie nie przyniosła zbyt wielu korzyści w zaborze rosyjskim, gdzie odrodzenie się reakcyjnego caratu nie zostawiało dużego pola manewru, a w cesarskich Niemczech odnotowała tylko marginalne sukcesy. Natomiast w Austrii skutkiem tej strategii był sojusz między monarchią Habsburgów i Polakami z Galicji, który trwał aż do końca samego cesarstwa Austrii, do roku 1918. Poza Stanisławem Augustem wśród jego czołowych praktyków znaleźli się książę Drucki-Lubecki, margrabia Wielopolski w latach 1861–1863, a pod koniec wieku Roman Dmowski.

Franciszek Ksawery Drucki-Lubecki (1778–1846), młodszy syn starej rodziny pochodzącej z Białorusi, musiał być uważany za ugodowca *par excellence*. Był niezachwianie lojalny wobec Romanowów, którym służył jako żołnierz, dyplomata i administrator, a zarazem żywił równie niezachwianą wiarę w to, że jego polskimi rodakami nie da się rządzić wyłącznie metodami przymusu i że trzeba im przyznać dużą dozę autonomii. Jego nieudany plan przywrócenia odrębnego statusu konstytucyjnego Wielkiemu Księstwu Litewskiemu – unicestwiony przez wojnę z 1812 roku – jest mniej znany niż jego kariera ministra skarbu Królestwa Kongresowego w latach 1821–1830. Kształcił się w carskim

[15] Współczesnego terminu „organicznikostwo" używa się czasem jako wspólnego mianownika – zbliżonego do pojęcia „porozumienia" – tendencji antypowstańczych w polskiej polityce przez cały okres od oświecenia do końca XIX wieku. „Pozytywizm" w najszerszym, ogólnym rozumieniu, jest powszechnie używany w tym samym znaczeniu.

korpusie kadetów w Petersburgu i walczył pod rozkazami Suworowa przez cały okres kampanii szwajcarskiej i włoskiej z lat 1798–1800. Po odejściu z armii rosyjskiej szybko pojawił się na stanowisku marszałka szlachty guberni grodzieńskiej – urząd zwrócił na niego uwagę carskiego dworu i przy kilku przyszłych okazjach zapewnił mu wybór do władz różnych zachodnich prowincji. Podczas inwazji Napoleona na Rosję stał lojalnie u boku Aleksandra I i nie okazał zainteresowania wobec roszczeń Napoleona do roli wyzwoliciela Polski. Przez sześć lat po zakończeniu wojny napoleońskiej budował sobie reputację czarodzieja finansów, działając jako dyplomata i negocjator w sprawie likwidacji powojennego zadłużenia Królestwa. Do tego czasu jego doświadczenie w zakresie spraw polskich ograniczało się do kilku miesięcy – w latach 1813–1814 – kiedy zasiadał w carskiej Radzie Najwyższej Tymczasowej Księstwa Warszawskiego, gdzie spotkał się z chłodnym przyjęciem warszawiaków z powodu swojej rzekomo służalczej postawy wobec interesów Rosji. Siła charakteru Lubeckiego, który potrafił się postawić atakującym go carskim biurokratom, ujawniła się dopiero, kiedy przyjechał do Warszawy po raz drugi, w roku 1821, żeby doprowadzić do porządku chaotyczną politykę ekonomiczną Królestwa. „Polska – oświadczył – nie zginie z powodu swoich finansów". Jednak szybko się zorientował, że chaos finansowy stanowi nieodłączny element politycznego problemu o szerszym zakresie, a wyrachowana wrogość rosyjskich urzędników wysokiego szczebla podważała wszelkie wysiłki zmierzające do uporządkowania spraw Królestwa. Zdecydował, że carskich biurokratów mogą pokonać tylko ludzie gotowi stosować takie same arbitralne metody. Jako racjonalista podziwiający Józefa II nie miał zrozumienia dla niepodległościowych aspiracji Kościoła katolickiego w Polsce i nie bardzo respektował konstytucjonalne niuanse. Mimo ustawicznych strać z Nowosilcowem, carskim komisarzem pełnomocnym w Warszawie, Lubecki bez wahania aprobował jego represyjne dekrety policyjne i bez wahania bezprawnie przedstawił swój budżet, nie odwołując się do sejmu. Jednak jako jedyny człowiek w Warszawie, który mógł się spierać z wielkim księciem Konstantym jak równy z równym, i jako jeden z bardzo nielicznych Polaków, którzy mieli bezpośredni dostęp do cara w Petersburgu, Lubecki potrafił energicznie bronić swoich pozycji i stopniowo usuwał przeszkody na drodze do uporządkowanej administracji i postępu gospodarczego. Wprawdzie zuchwała próba uzyskania odszkodowania wojennego dla Polski jako rekompensaty za okupację rosyjską w latach 1813–1815 zakończyła się niepowodzeniem, ale kampania o ograniczenie protekcjonizmu Rosji w handlu przyniosła wymierne korzyści. Zbilansował budżet,

zakończył wojnę celną z Prusami, otworzył granicę celną z Rosją, stworzył fundamenty pod odbudowę rolnictwa i wspierane przez państwo uprzemysłowienie. Zaprojektowany przez Antonia Corazziego wspaniały gmach nowego Banku Polskiego, wybudowany w 1828 roku obok jego własnego pałacu Ministerstwa Skarbu, jest trwałym pomnikiem osiągnięć Lubeckiego.

Rola Lubeckiego w wydarzeniach z czasu kryzysu 1830 roku zasługuje na szczegółową analizę, ponieważ jest dokładną ilustracją odwiecznego dylematu wszystkich niedoszłych ugodowców w momentach, w których zapadają ważne decyzje polityczne. Kiedy wybuch powstania listopadowego położył kres ugodowym działaniom Lubeckiego, musiał on, jak wszyscy inni w Polsce, dokonać wyboru między bezlitosnymi żądaniami autokraty i nie dającymi szans na spełnienie żądaniami narodu. W rezultacie po ostatniej odważnej próbie zawarcia porozumienia Lubecki wrócił na ścieżkę bezwarunkowego lojalizmu, na zawsze tracąc wszelkie wpływy w Polsce. Straszliwej nocy z 29 na 30 listopada oderwano go od łóżka, przy którym czuwał nad zmarłym synem; mimo to podjął energiczne kroki w celu opanowania sytuacji. Nalegał na wielkiego księcia Konstantego, aby zdławił wybuch, póki można go jeszcze przedstawiać jako niewielki bunt i póki generał Krasiński panuje nad wojskiem. Odegrał istotną rolę – obok Czartoryskiego – w tworzeniu Rządu Tymczasowego, złożonego z lojalnych konserwatystów i garstki radykałów, a później w ustanawianiu „dyktatury" generała Chłopickiego. W epoce, w której nie znano telegrafu, było oczywiste, że kroki te trzeba podejmować bez oficjalnej zgody cara; przejawem najwyższej wspaniałomyślności przywódców powstania stało się zezwolenie wielkiemu księciu na wycofanie rosyjskiego garnizonu z Warszawy w nienaruszonym stanie – ze sztandarami i z więźniami. Wydaje się, że w tym momencie Lubecki miał wrażenie, iż lepiej będzie negocjować z carem z pozycji siły i zorganizować pokaz dobrej woli; 12 grudnia wyjechał do Petersburga w dobrym nastroju. Ale rozmowa z carem wyleczyła go ze wszystkich złudzeń. Mikołaj dał jasno do zrozumienia, że może przyjąć Lubeckiego wyłącznie w roli lojalnego ministra, a nie jako rzecznika polskich „buntowników", i że jedynym tematem rozmowy może być bezwarunkowe posłuszeństwo polskiego rządu i polskiego wojska. Trzeba przyznać, że Lubecki miał odwagę oświadczyć carowi w twarz, iż takie twarde żądanie okaże się dla Polaków „nie do przyjęcia", ale to oświadczenie było ostatnią rzeczą, jaką udało mu się powiedzieć. Car postanowił się zemścić. Rosyjska autokracja była zdecydowana przywołać polski konstytucjonalizm do porządku. Rola programu ugody dobiegła końca. Lubecki napisał do Chłopickiego,

ponaglając go, aby mimo wszystko postarał się stłumić powstanie przy pomocy polskich oddziałów, ponieważ jest to jedyny sposób uniknięcia rosyjskiej interwencji, sam jednak niezbyt wierzył w skuteczność swoich rad. W odpowiednim czasie podporządkował się carowi i został mianowany członkiem cesarskiej Rady Państwa. Lojalista, którzy się zdecydował działać na rzecz ugody, był zmuszony powrócić na ścieżki lojalizmu. Wydaje się, że – w obliczu autokracji – ugoda nie mogła się okazać rozwiązaniem trwalszym niż powstanie.

Lubecki działał na rzecz ugody, startując z pozycji urzędnika państwowego, natomiast jego kolega i bliski znajomy, Stanisław Staszic (1755–1826), doszedł do podobnych wniosków przede wszystkim z pozycji człowieka prywatnego, wybitnego obywatela. Był wytworem oświecenia i uczniem fizjokratów, z których nauk czerpał obficie późniejszy pozytywizm, i w ostatnich dziesięcioleciach dawnej Rzeczypospolitej zyskał sławę jako filozof, tłumacz, publicysta i człowiek nauki. Będąc członkiem stanu mieszczańskiego, przez większość wczesnej kariery nie mógł zasiadać w sejmie i zapewne mniej dotkliwie niż wielu współczesnych mu przedstawicieli szlachty odczuwał opresję polityczną, jaka nadeszła w następstwie rozbiorów. W *Przestrogach dla Polski* (1790) i innych pismach politycznych z całą pewnością nie ukrywał swoich uczuć wobec polskiego społeczeństwa. „Nie ma przykładu – pisał – żeby osiadłych na najobfitszej ziemi, udarowanych przez naturę szczególnymi przymioty, kilkanaście milionów ludzi, bez sposobu ratunku, owszem, bez myślenia o sobie, z oziębłością niewoli czekało"[16]. Prace Staszica – od przekładu *Iliady* Homera do pionierskiego przeglądu polskiej geologii – ukazują tę niezmordowaną intelektualną energię, praktyczne podejście i zdolność do ofiarnego trudu, które pozytywiści mieli uznać za najwyższe wartości narodowe. Kiedy po zniesieniu monopolu szlachty na posiadanie ziemi Staszic mógł kupić posiadłość ziemską w pobliżu Hrubieszowa, pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było uwolnienie chłopów pańszczyźnianych i nadanie im zbiorowego prawa do ziemi. Jako prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, założonego w pruskiej Warszawie 1800 roku, był uznanym ojcem polskiej nauki, słusznie użyczając nazwiska pałacowi, który został siedzibą Polskiej Akademii Nauk. Chociaż w późniejszym okresie życia, w Księstwie Warszawskim i w Królestwie Kongresowym, przyjął urząd państwowy mniejszej wagi, ograniczał swoje zainteresowania przede wszystkim do edukacji i ekonomii, zajmując stanowisko sceptyczne

[16] Stanisław Staszic, *Do stanu rycerskiego*, w: tenże, *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*, oprac. Stefan Czarnowski, Kraków 1926.

wobec dobrodziejstw polityki. W ważnym kontekście relacji między jednostką i władzami państwowymi, w szczególności zaś między Polakami i ich rosyjskimi władcami, często mówi się z uznaniem o jego wypowiedzi, która stała się dewizą realistów: „Polacy są nieudolni być waszymi niewolnikami, ale są przygotowani stać się waszymi braćmi"[17]. Niestety, jak nieraz mieli się przekonać polscy ugodowcy (płacąc za to przekonanie wysoką cenę), do takich układów trzeba dwojga.

Tradycja politycznej emigracji[18] – różnej od emigracji ekonomicznej, która była zjawiskiem innej natury – stanowiła logiczną konsekwencję ograniczeń, jakie niosły ze sobą wszystkie inne opcje. Kiedy Polak wyczerpał możliwości, stwarzane przez postawy lojalizmu, oporu i ugody, nie pozostawało mu nic poza emigracją. Emigracja polityczna nie oznaczała przywiązania do jakiegoś określonego sposobu myślenia czy tradycji, ale jedynie do przekonania, że skuteczne działanie polityczne w ojczyźnie nie jest możliwe. I rzeczywiście: w warunkach panujących przez znaczną część XIX wieku aktywizm polityczny bywał często nagradzany uwięzieniem na odległych obszarach panujących imperiów albo przymusową zsyłką. Na przykład w 1848 roku władze austriackie wysłały przymusowo do USA setki Polaków podejrzanych o udział w „rewolucji" w Krakowie, podobnie jak tysiące Polaków przymusowo zsyłano na Syberię po każdym z powstań przeciwko Rosji. Do wyboru miało się więc zwykle prostą alternatywę: albo opuścić ojczyznę z własnej inicjatywy, albo czekać, aż się zostanie z niej wywiezionym pod strażą. Poczynając od połowy XVIII wieku, kolejne fale emigrantów politycznych z Polski płynęły na wschód i na zachód, pozbawiając kraj najbardziej twórczych talentów i powiększając emigracyjne społeczności za granicą. Liczne polskie kontyngenty powstały dość wcześnie w miejscach tak odległych od siebie jak Irkuck i Konstantynopol, w Szwajcarii, Wielkiej Brytanii i Ameryce, a przede wszystkim w Paryżu i w Rzymie. Jeszcze liczniejsze rzesze Polaków wyruszały w przymusową podróż z jednego rozbioru do drugiego, najczęściej szukając schronienia przed rządami cara w Prusach czy Galicji. Pierwszym z wielkich polskich emigrantów był były król Stanisław Leszczyński w swoim Księstwie Lotaryngii, ale następców miał całe mnóstwo. Konfederaci barscy, w epoce napoleońskiej fala uciekinierów z upadającej dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, „Wielka Emigracja" do Francji

[17] Stanisław Staszic, *Myśli o równowadze politycznej w Europie*, w: tenże, *Pisma filozoficzne i społeczne*, oprac. i wstępem poprzedził Bogdan Suchodolski, Warszawa 1954, t. 2, s. 318.

[18] Współcześnie „emigracja", dawniej „wychodźstwo".

po powstaniu listopadowym, ofiary wydarzeń z lat 1848, 1863 i 1905, a w XX stuleciu fale powodziowe będące wynikiem dwóch wojen światowych – wszystkie te ruchy coraz potężniej zasilały polskie społeczności za granicą. Emigracja polityczna stała się ciągłym i nieodłącznym elementem polskiej rzeczywistości.

Spośród wszystkich polskich emigrantów najpełniejszym wcieleniem najwspanialszych cech uchodźcy politycznego jest Jan Ursyn Niemcewicz (1757–1841). Jako pisarz najwyższych lotów i czynny mąż stanu, zarówno przed rozbiorami, jak i po nich, kultywował typowo polskie połączenie, jakim jest więź między literaturą i polityką, a jako przymusowy banita w dwóch długich odrębnych okresach życia był przykładem cyklicznego charakteru tradycji emigracyjnej. Jako anglofil i wielbiciel Stanów Zjednoczonych, który spędził kilka lat i w Anglii, i w USA, z pewnością zasługuje, aby go tam lepiej poznano. W pierwszej połowie swojego długiego życia Niemcewicz przeszedł przez wszystkie smutne doświadczenia polskiego oświecenia i ruchów reformatorskich – od początku do końca. Pamiętał hańbę pierwszego rozbioru z 1772 roku i pamiętał śmiertelny kryzys dawnej Rzeczypospolitej dwadzieścia lat później; został bezlitośnie zepchnięty z pozycji liberalnego publicysty na pozycję konstytucjonalisty i reformatora, a wreszcie – na pozycje żołnierza-powstańca. W ciągu tych pięciu gorączkowych lat napisał dwa spośród najbardziej wpływowych dzieł swojej epoki – dramat *Powrót posła* (1790) i pamflet polityczny *Fragment Biblie targowickiej* (1791) – uczestniczył w obradach Sejmu Wielkiego jako poseł Żmudzi i czołowy zwolennik Konstytucji 3 maja; służył też w wojsku jako adiutant Kościuszki. Został ranny i razem z Kościuszką trafił do niewoli po bitwie pod Maciejowicami 10 października 1794 roku, a następnie razem z nim został uwięziony w Twierdzy Pietropawłowskiej w Petersburgu. Ten pierwszy okres wygnania zdominowało siedem lat spędzonych w Ameryce, gdzie zaczęła się jego dozgonna przyjaźń i późniejsza korespondencja z Thomasem Jeffersonem. W drugiej połowie dorosłego życia Niemcewicz jeszcze raz przeżył ten sam smutny cykl wydarzeń. Wrócił do Polski w roku 1807 i został mianowany sekretarzem senatu Księstwa Warszawskiego. Fenomenalny dorobek literacki – seria komedii, libretto opery o królowej Jadwidze, trzytomowe *Dzieje panowania Zygmunta III*, nietracące popularności *Śpiewy historyczne* (1816) oraz szereg wyprzedzających jego czas powieści w stylu Waltera Scotta – zyskał mu pozycję narodowej sławy. Był oczywistym kandydatem na następcę Stanisława Staszica w funkcji prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W roku 1831 wysłano go do Londynu jako ambasadora-emisariusza Rządu Narodowego, po czym wyrok

in absentia, wydany przez rosyjski sąd, odebrał mu nadzieję na powrót. Podróżował wiele po Anglii i Irlandii, a także po krajach kontynentalnej Europy, aby wreszcie osiąść wśród Wielkiej Emigracji w Paryżu. Obszerne memuary, które na starość pracowicie uporządkował, czyta się jak encyklopedię jego czasów. Ostatni wiersz, napisany zaledwie dziesięć dni przed śmiercią, można odczytywać jako komentarz dotyczący wszystkich jego współczesnych:

> Wygnańcy co tak długo błądzicie po świecie,
> Kiedyż znużonym stopom spoczynek znajdziecie?
> Dziki gołąb ma gniazdo, robak ziemi bryłę,
> Każdy człowiek ojczyznę, a Polak mogiłę.

Co dziwne, w najlepszej polskiej tradycji koniecznymi warunkami emigracji politycznej nie były ani osiedlenie się za granicą, ani zagraniczne podróże. Ponieważ naród polski przeżył znaczną część dwóch stuleci w żelaznym uścisku reżimów, które nie zezwalały na swobodne przemieszczanie się i które czynnie sprzeciwiały się zagranicznym podróżom, wydając paszporty jedynie tym, którzy zyskali ich aprobatę, wyjazd z kraju często okazywał się dla potencjalnych emigrantów niemożliwy. Tak czy inaczej, w powszechnej opinii panowała zgoda co do tego, że należy zniechęcać do wyjazdu wszystkich, którzy nie są do tego rzeczywiście zmuszeni. Rodziny niechętnie brały pod uwagę możliwość, że ich bliscy i przyjaciele wyjadą na zawsze, a przywódcy polityczni często opłakiwali drenaż sił witalnych narodu. Dobrowolną emigrację łatwo utożsamiano z dezercją. Wielu Polaków musiało więc uprawiać emigrację polityczną w domu, jako świadomy akt zaprzeczenia aktualnej rzeczywistości politycznej. Można było żyć w Rosji, Prusach czy Austrii, dać się wtłoczyć w ciasne ramy politycznego konformizmu i w ten sposób zachować pracę oraz uniknąć więzienia. Ale jednocześnie trzeba było ostentacyjnie odmawiać wszelkich form służby publicznej i wszelkich – poza czysto symbolicznymi – form współpracy z biurokracją. W życiu prywatnym, w intymnych relacjach z krewnymi i przyjaciółmi, w towarzystwie zaufanych kolegów prowadzono drugie życie, naznaczone żarliwym patriotyzmem i skrywaną polskością. Według sposobu myślenia tych ludzi, który stanowił praktyczne zastosowanie romantyzmu w jego najczystszej formie, ciała były zniewolone, ale wolny był duch. Polska była więźniem, ale jej duch nie był spętany. Taka e m i g r a c j a w e w n ę t r z n a była zjawiskiem powszechnym, i była „wewnętrzna" zarówno w sensie geograficznym, jak i psychologicznym. Nie można jej zmierzyć, ponieważ

w swej istocie była czymś ukrytym i bardzo osobistym. Bez wątpienia jednak była zjawiskiem o wiele powszechniejszym niż emigracja polityczna w zwykłym tego słowa znaczeniu. Na dziesiątki tysięcy Polaków, których sytuacja polityczna zmusiła do opuszczenia kraju i życia za granicą, przypadały miliony tych, którzy zostali na miejscu i wyemigrowali duchem. Mickiewicz dostarczył im przewodnika na tę duchową podróż w postaci swoich *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* (1832). „Kto idzie za Wolnością, niech opuści Ojczyznę i odważy życie swoje" – pisał, przywołując słowa Chrystusa nauczającego uczniów. „Bo kto siedzi w Ojczyźnie i cierpi niewolę, aby zachował życie, ten straci Ojczyznę i życie". Mickiewicz z całą pewnością nie nawoływał do masowej emigracji za morza i do wyludniania Polski; raczej wzywał ludzi, żeby się uwolnili od duchowej niewoli panującego ładu społecznego i politycznego[19].

Każdy opis postaw politycznych ograniczony do przyjęcia teoretycznych kategorii musi budzić poważny sprzeciw. Polskie życie polityczne było o wiele bardziej płynne i bardziej skomplikowane, niż wskazywałoby na to zwięzłe przedstawienie podstawowej terminologii. Żadna jednostka nigdy nie będzie idealnie pasować do charakterystyki takiej czy innej czystej kategorii. Wielu polityków często zmieniało front i asekurowało się na różne sposoby, podczas gdy inni – z głupoty czy z wyrachowania – potrafili wygłaszać jednocześnie różne sprzeczne ze sobą opinie. Wystarczy prześledzić życiorysy najwybitniejszych polskich postaci XIX wieku, żeby dostrzec, iż opinie młodych rzadko pozostają w zgodzie z opiniami wieku dojrzałego. Świat, w którym ludzie funkcjonowali jako dorośli mężowie stanu, nie był już tym światem, który znali jako studenci czy ambitni debiutanci. Tacy ludzie jak Czartoryski czy Wielopolski, czynni w polityce przez pół wieku lub jeszcze dłużej, nie byliby ludźmi albo też byliby ludźmi pozbawionymi wszelkiej wrażliwości, gdyby ich poglądy nie ewoluowały w czasie.

Adam Jerzy Czartoryski (1770–1861) na przykład – człowiek o niezwykle bogatym doświadczeniu, przechodził kolejno przez wszystkie główne szczeble polskiej drabiny politycznej. Podczas wydarzeń roku 1795 wysłano go do Petersburga jako zakładnika na dworze carskim; został powiernikiem młodego Aleksandra I i w pierwszych dziesięciu latach jego panowania pełnił służbę jako jeden z ważnych ministrów

[19] Według przeciwnej opinii Mickiewicz pisał swoje *Księgi pielgrzymstwa*..., nie tylko przebywając na emigracji, ale z myślą wyłącznie o kręgach emigracyjnych. Mogłoby to wskazywać, że pojęcie „wewnętrznej emigracji", bardzo rozpowszechnione w dzisiejszej Polsce, w XIX wieku nie było zbyt powszechnie znane.

w rządzie cara i jego główny doradca w sprawach międzynarodowych. Mimo ciągłej troski o sprawę polską i prób przekonania cara do podjęcia jakiejś śmiałej inicjatywy na rzecz Polaków Czartoryskiego z tego okresu trzeba zasadniczo uznać za politycznego lojalistę. Natomiast w następnych dziesięcioleciach, wolny od ograniczeń wypływających z pełnienia najwyższego urzędu, szybko pojawił się na scenie wydarzeń jako odważny krzewiciel idei ugody, a w późniejszym okresie – jako źródło inspiracji dla działań pozytywistów. Jako autor liberalnej konstytucji Królestwa Kongresowego mógłby słusznie uważać, że udało mu się ubić najkorzystniejszy interes ze wszystkich, do jakich polscy ugodowcy kiedykolwiek zdołali nakłonić rosyjskiego cara. W latach 1803–1824, jako kurator Wileńskiego Okręgu Naukowego – rozległego terytorium obejmującego większość dawnych prowincji polskich na Litwie, Białorusi i Ukrainie – kierował najważniejszym projektem kulturalnym i oświatowym swoich czasów. Podczas tego krótkiego interwału, obejmującego zawieruchę upadku Napoleona i spokój postnapoleońskich układów, Wilno niosło kaganiec polskiej kultury, ratując wiele spośród ideałów dawnej Komisji Edukacji Narodowej i siejąc ziarna pod najwspanialsze intelektualne żniwa stulecia. Natomiast w latach 1830–1831 Czartoryski został obsadzony w roli powstańca – co więcej: prezesa rewolucyjnego Rządu Narodowego w Warszawie. Mimo wszystkich swoich arystokratycznych koneksji i konserwatywnych przekonań nie umiał się zmusić do wybaczenia carowi prymitywnej wendetty i w czynnym oporze dostrzegł jedyny sposób przywołania do rozsądku byłych rosyjskich kolegów. Wobec tego po stłumieniu powstania listopadowego nie miał żadnej alternatywy poza ucieczką z kraju i polityczną emigracją. Przez trzydzieści lat rezydencja Czartoryskiego w Hotelu Lambert w Paryżu była głównym ośrodkiem Wielkiej Emigracji – centrum żywej działalności dyplomatycznej, a zarazem symbolem polskich aspiracji[20]. Jak każdy polityk i mąż stanu, Czartoryski często bywał przedmiotem kpin i krytyki – zwłaszcza ze strony rodaków o bardziej radykalnych przekonaniach w kwestiach społecznych, ale pod względem osiągnięć i dokonań nikt nie był w stanie mu dorównać. Ten lojalista, ugodowiec, powstaniec i emigrant udowodnił, że jest wielkim patriotą, wybitnym orędownikiem sprawy polskiej.

Aleksander Wielopolski (1803–1877) margrabia Gonzaga Myszkowski, doświadczył podobnych zmian kolei losu i przekonań. Z uspo-

[20] Hans Hennig Hahn, *Aussenpolitik in der Emigration. Die Exildiplomatie Adam Jerzy Czartoryskis, 1830–1840*, München – Wien 1978.

sobienia był o wiele większym cholerykiem niż Czartoryski, łatwiej dawał wyraz ostrym opiniom i ulegał skrajnym reakcjom, wzbudził też u historyków o wiele większe kontrowersje. Jego kariera polityczna rozpoczęła się w czasie powstania listopadowego, kiedy jako młody dwudziestosiedmioletni mężczyzna został wysłany z misją dyplomatyczną do Londynu, śladami Niemcewicza, jako emisariusz-ambasador Rządu Narodowego. Rozczarowanie tą misją, obrazem hipokryzji zachodnich mocarstw, które mógł bezpośrednio obserwować, przyniosło mu gorzkie zrozumienie osamotnienia Polski i kazało radykalnie zmienić stanowisko wobec państw rozbiorowych. W roku 1846, oburzony zachowaniem władz austriackich podczas rabacji w Galicji, zwrócił się ku Rosji jako jedynemu godnemu szacunku władcy narodu polskiego. W anonimowym *Liście szlachcica polskiego do księcia Metternicha* publicznie apelował do cara, aby przyjął dobrowolne i bezwarunkowe poddanie się współrodaków. „Aż dotąd należeliśmy do was jako zniewoleni przez podbój (...) Od chwili tej (...) oddajemy się wam jako ludzie wolni... czynimy to z własnej woli... z łaski Boga, którego wyrokom... posłuszni być chcemy. Pozostawiamy za sobą (...) wszystko to, co ludzie ozdabiają szumnym tytułem praw ludzkich (...) nie określamy żadnych warunków"[21]. Mikołaj I nawet nie przeczytał tego apelu, natomiast później Aleksander II zauważył Wielopolskiego i w roku 1861 mianował go głównym wykonawcą programu reform w Polce. Przez trzy najbardziej burzliwe lata stulecia Wielopolski – pod ostrzałem nasilających się żądań patriotycznej opinii publicznej z jednej strony i pełnych dezaprobaty spojrzeń rosyjskich kolegów z drugiej, starał się wprowadzać swoje reformy, jednocześnie stojąc na straży prawa i porządku i nie dopuszczając do naruszenia władzy. Po ciągnącej się bez końca epoce lodowej rządów Mikołaja nastąpił łagodniejszy klimat panowania Aleksandra, powitany ze zrozumiałą ulgą. Reformy Wielopolskiego – między innymi przywrócenie polskiego systemu oświaty i pierwsza ustawa uwłaszczeniowa – spotkały się z szerokim uznaniem w Polsce, a jego osobista odwaga, której kiedyś dowiódł, rzucając się między kordon wywijających szablami Kozaków i szeregi szydzących z nich uczestników patriotycznej demonstracji, nie ulegała wątpliwości. Ale „odwilż", nad którą starał się zapanować, zmieniła się w falę powodziową, która go porwała. Zdania Polaków na jego temat są podzielone – zarówno we współczesnych podręcznikach do historii, jak w klubach i kręgach politycznych z 1863

[21] *List szlachcica polskiego do księcia Metternicha*, w: Henryk Lisicki, *Aleksander Wielopolski. 1803–1877*, z franc. tłum. Wojciech Buchner, Kraków 1878–1879, t. 4, s. 446–447.

roku. Ciągle surowo oceniają go ci, którzy widzą w nim lojalistyczne narzędzie ucisku wspieranego przez Rosję, człowieka udającego patriotę i reformatora po to, żeby umacniać podstawy caratu; inni podziwiają go jako odważnego ugodowca, pełnego determinacji realistę, który poniósł porażkę nie ze swojej winy. Tak czy inaczej, młody powstaniec z 1830 roku z pewnością do roku 1863 zmienił się w zdecydowanego przeciwnika wszelkiego oporu. Los, który skazał go na oszczercze oskarżenia ze strony zarówno Polaków, jak i Rosjan, jest doskonałą ilustracją niemożliwego (chociaż niezbędnego) zadania, jakim jest pogodzenie interesów polskich i rosyjskich. Kiedy Wielopolski dołączył do polskiego ruchu oporu, poniósł upokarzającą klęskę; kiedy zaoferował swoje usługi carowi, został zlekceważony, a potem zmanipulowany; kiedy spróbował budować most między obydwiema stronami, został zniszczony. Takie częste odwrócenie ról jednostki i jej z pozoru nieodwracalny upadek bez względu na dokonany wybór jest najoczywistszym dowodem działania nacisków wzbierających w odmętach polskiej polityki.

Nic dziwnego, że główna debata polityczna w Polsce skupiała się od czasu rozbiorów na sprawie walki z obcym uciskiem. Opierała się na założeniu, że sprawy wewnętrzne w Polsce podlegają przemożnym naciskom z zewnątrz, a utratę niepodległości przez Polskę – w odróżnieniu od innych chylących się do upadku krajów, takich jak Hiszpania czy Szwecja, które się o wiele łatwiej wywinęły – można wytłumaczyć jej pozycją geograficzną i charakterem jej sąsiadów. Ta zasada p r y m a t u p o l i t y k i z e w n ę t r z n e j nie odnosi się po prostu do potrzeby wsparcia ze strony zagranicznej dyplomacji, ale raczej do przyjęcia twierdzenia, że żadne istotne zmiany nie mogą się w Polsce dokonać bez zasadniczych transformacji na scenie międzynarodowej. W początkowym stadium, w stuleciu, które się rozpoczęło od pierwszego rozbioru Polski w 1772 roku, trudną sytuację zewnętrzną Polski określał splot sojuszy i rywalizacja między Rosją, Prusami i Austrią. Od roku 1871, wraz ze wzrostem Rzeszy Niemieckiej i schyłkiem Austrii, dominował pojedynek Rosji z Niemcami, a po roku 1945, po ostatecznej klęsce Niemiec, ów splot określała polityka Związku Sowieckiego.

Głęboki rozłam w polskiej debacie politycznej zawsze oznaczał podział na obóz romantyczno-powstańczo-idealistyczny z jednej strony i obóz pozytywistyczno-ugodowo-realistyczny z drugiej. Linia podziału biegła dokładnie przez środek wszystkich innych ugrupowań społecznych i politycznych w Polsce, rozdzielając warstwy społeczne – szlachtę czy chłopstwo – na element powstańczy i antypowstańczy, rozbijając partie polityczne – takie jak PPS czy PSL – na odłamy „narodowo-rewo-

lucyjne" i „nienarodowo-rewolucyjne", a trzy główne orientacje – rusofobów, prusofobów i austrofobów – na skrzydła „czynne" i „bierne". Podział ten całkowicie ignorował wszystkie zjawiska – takie jak lojalizm czy emigracja – których nie dało się wykorzystać w charakterze wody na patriotyczne młyny obu konkurentów, i zrodził zadziwiającą mnogość spokrewnionych ze sobą etykiet i epitetów, których sens można pojąć jedynie w kontekście poglądów tych, którzy je stosowali. Na przykład typowi polscy romantycy utrzymywali zawsze, że są „realistami" dokładnie tak samo jak ich pozytywistyczni przeciwnicy, z tą tylko różnicą, że mają inną niż oni koncepcję rzeczywistości. Typowy pozytywista utrzymywał zawsze, że jest zwolennikiem polskiej niepodległości dokładnie tak samo jak romantyk, z tą tylko różnicą, że ma inną niż on koncepcję co do metod i środków, jakimi można by ją zdobyć. Powszechnie używane etykiety „romantyk" i „pozytywista" nabrały znaczeń szerszych niż terminy literackie i filozoficzne, od których pochodziły, a pojęcia przeciwne – „idealista" lub „realista" – powszechnie używane w europejskiej filozofii politycznej jako narzędzia opisu, nabrały subiektywnego zabarwienia jako polskie ekwiwalenty „utopisty" i „kapitulanta". Dwie rzeczy nie ulegają wątpliwości. Po pierwsze, arbitralne próby współczesnych ideologów zmierzające do wprowadzania własnego żargonu – „lewica" i „prawica", „postępowy" i „reakcyjny" – tylko zwiększyły zamieszanie. Po drugie, mimo wojny na epitety jest rzeczą ważną, aby zauważyć, że ta tradycyjna polska debata nie jest czymś szczególnie niepowtarzalnym. To nic więcej jak tylko lokalny wariant odwiecznej dysputy między platonikami i arystotelikami. Jak to kiedyś ujął Albert Sorel, polityków należy dzielić na takich, którzy „chcą zmienić świat tak, aby pasował do ich ideałów", oraz na takich, „którzy chcą zmodyfikować swoje działania tak, aby pasowały do świata". Sorel nie myślał o Polsce – pisał wtedy o Monteskiuszu – ale jego intuicję w sprawie jednej z uniwersalnych dychotomii życia politycznego można wykorzystać do wyjaśnienia kontrastu między romantykami i pozytywistami w polskiej polityce – podobnie zresztą jak do wyjaśnienia każdej innej różnicy tego rodzaju[22].

Ideologię polskiego romantyzmu najwcześniej wyrażali alegorycznym językiem wielcy poeci pierwszej połowy XIX wieku. Niezwykle

[22] Przedstawiony tu zarys debat i różnic między polskimi romantykami i pozytywistami zawdzięcza wiele komentarzom i publikacjom Adama Bromkego (który woli etykiety „idealiści" i „realiści"), autora fundamentalnej pracy *Poland's Politics: Idealism versus Realism*, Cambridge, Mass., 1967. Zob. też Adam Bromke, *Romantyzm czy realizm? Polska w latach 80.*, Hamilton, Ontario, 1982, gdzie autor uaktualnia tę debatę.

ważny tekst przynoszą *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza:

> Na początku była wiara w jednego BOGA, i była Wolność na świecie. (...) Ale potem ludzie wyrzekli się BOGA jednego, i naczynili sobie bałwanów, i kłaniali się im, (...) Przeto BÓG zesłał na bałwochwalców największą karę, to jest niewolę (...) Królowie tedy wyrzekłszy się CHRYSTUSA, porobili nowe bogi, bałwany, i postawili je przed obliczem Narodów, i kazali im kłaniać się (...) i zapomniały Narody, iż od jednego pochodzą Ojca (...) Na koniec w Europie bałwochwalskiej nastało trzech królów, imię pierwszego *Fryderyk* drugi pruski, imię drugiego *Katarzyna* druga rosyjska, imię trzeciego *Maria Teresa* austriacka. I była to trójca szatańska, przeciwna Trójcy Bożej, i była niejako pośmiewiskiem i podrzyźnianiem wszystkiego co jest święte. *Fryderyk*, którego imię znaczy *przyjaciel pokoju*, wynajdywał wojny i rozboje przez całe życie (...) *Katarzyna* zaś, znaczy po grecku *czysta*, a była najwszeteczniejsza z kobiet, (...) Zaś *Maria Teresa* nosiła imię najpokorniejszej i niepokalanej Matki Zbawiciela, aby wyśmiać pokorę, i świętość. (...) Tedy owa trójca widząc, iż jeszcze nie dosyć Narody głupie i zepsute były, wyrobiła nowego bałwana, najobrzydliwszego ze wszystkich, i nazwała tego bałwana, *Interes* (...)
>
> Ale jeden Naród polski nie kłaniał się nowemu bałwanowi (...) I rzekła na koniec Polska: Ktokolwiek przyjdzie do mnie będzie wolny i równy, gdyż ja jestem WOLNOŚĆ. Ale królowie posłyszawszy o tym zatrwożyli się w sercach swych i rzekli: Wypędziliśmy z ziemi Wolność, a oto powraca w osobie Narodu sprawiedliwego, który nie kłania się bałwanom naszym. Pójdźmy, zabijmy Naród ten. I uknowali między sobą zdradę. (...) I umęczono Naród polski i złożono w grobie, a królowie wykrzyknęli: Zabiliśmy i pochowaliśmy Wolność. A wykrzyknęli głupio (...)
>
> Bo Naród polski nie umarł, ciało jego leży w grobie, a dusza jego zstąpiła z ziemi, to jest z życia publicznego, do otchłani, to jest do życia domowego ludów cierpiących niewolę w kraju (...) A trzeciego dnia dusza wróci do ciała, i Naród zmartwychwstanie i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli.

Oto, w majestacie biblijnych kadencji, najpotężniejsza ze wszystkich romantycznych metafor – „Polska Chrystusem narodów". Kazimierz Brodziński (1791–1835) wyraził tę samą myśl prostszymi słowami:

Chwała Tobie, Chryste Panie!
Lud, który chodził Twym śladem,
Co Twoim cierpiał przykładem,
Z Tobą święci zmartwychwstanie.

W ustach poetów pojęcie narodu nie było już tylko wyidealizowane: było wysublimowane, przeniesione w sferę religijnego mistycyzmu. W gruncie rzeczy religijne podteksty romantycznej polityki nabrały takiej intensywności, że groziły wręcz wyrugowaniem nauczania Kościoła rzymskokatolickiego. Na przykład praktyki Andrzeja Towiańskiego (1799–1878), założyciela (w latach czterdziestych) mistycznej sekty adwentystów wśród polskiej emigracji w Paryżu, wykraczały daleko poza domenę Kościoła, a mimo to zgadzały się z klimatem tamtego czasu, zyskując sobie poparcie zarówno Mickiewicza, jak i Słowackiego.

Zasady polskiego romantyzmu wyrosły jednak na gruncie o wiele solidniejszym, niż mogłyby na to wskazywać *licentia poetica* czy mistyczny zapał niektórych spośród jego entuzjastów. Wyraźne powiązanie między literaturą romantyczną i polityką powstańczą ujawniło się wcześnie w myśli Maurycego Mochnackiego (1804–1834). Swoje największe dzieło, *O literaturze polskiej* (1831), napisał w szczytowej fazie powstania listopadowego i wyraźnie stwierdzał, że siła moralna narodu wyraża się w jego sztuce, a kultura jest najskuteczniejszą bronią narodu w walce o przetrwanie. Poezja i czynny opór są partnerami w walce o wspólną sprawę. „Czas nareszcie przestać pisać o sztuce" – mówił. „(...) Życie nasze jest już poezją. Zgiełk oręża i huk dział. – Ten będzie odtąd nasz rytm i ta melodia". Jednocześnie filozofowie i historycy romantyczni odgrywali wybitną rolę w ogólnych prądach europejskich, z ich predylekcją do mesjanistycznych teorii, które na różne sposoby modyfikowano, tak aby można było za ich pomocą wyjaśnić, w jaki sposób cierpienia dnia dzisiejszego można przemienić w przyszłą doskonałość[23]. W roku 1822 Józef Gołuchowski (1797–1858), wileński profesor, opublikował tom metafizycznych rozważań *Die Philosophie in ihrem Verhältnis zum Leben*, którego niemiecki tytuł zdradza jego źródła, natomiast zawarte w nim myśli o roli intuicji i niezniszczalności ducha świetnie się zgadzały z przedmiotem troski Polaków. W roku 1831 Józef Maria Hoene-Wroński (1778–1853), emigrant i weteran Legionów Dąbrowskiego, wydał swój *Prodrome du Mesianisme*, w którym przepowiadał nadejście „epoki intelektu", ery doskonałości i spełnienia ludzkości. Nacisk Wrońskiego

[23] Zob. Andrzej Walicki, *Philosophy and Romantic Nationalism*, Oxford 1982.

na racjonalność i intelekt, w połączeniu z argumentami przemawiającymi za jego tezą o systematycznym „prawie wytwarzania nowych form" i ludzkiej nieśmiertelności, był mostem łączącym filozofię Kanta i Hegla, oświecenie czasów jego młodości z romantyzmem jego wieku dojrzałego. W roku 1838 August Cieszkowski (1814–1894) wydał swoje *Prolegomena zur Historisophie*, pierwszą z kilku prac poświęconych gałęzi filozofii mesjanistycznej bardziej świadomie ukierunkowanej na religię. W jego koncepcji „epoki Ducha Świętego" można widzieć katolicką wersję intelektualnej utopii Wrońskiego, bardziej przystosowaną do kierunku myśli polskiej. Jego główne dzieło, czterotomowe *Ojcze Nasz*, publikowane częściowo już po jego śmierci, pokazuje wytrwałość i siłę ducha romantycznych twórców, a jednocześnie, przyczyniając się do pogodzenia radykalnej polityki narodowej z wiarą katolicką, stanowi istotny wkład w walkę z wcześniejszą reputacją romantyków jako zwolenników przemocy. W odróżnieniu od Mickiewicza Cieszkowski nie modlił się o „wojnę powszechną za wolność ludów". W gruncie rzeczy wytyczył część obszaru wspólnego dla romantyków i ich pozytywistycznych rywali, łagodząc postawy jednych i drugich. Był w Berlinie kolegą ze studiów Marksa i zaczynał jako młodoheglista; idea wykorzystania metafizyki w służbie działań społecznych każe w nim widzieć jednego z prekursorów wczesnego marksizmu. Ale głębokie przekonanie o boskiej misji Kościoła katolickiego i wiara w prymat ludzkiej woli szybko skierowały go na inne drogi; było więc rzeczą jak najbardziej stosowną, że ten najoryginalniejszy z polskich filozofów doby romantyzmu był – jak sam romantyzm – głęboko przesiąknięty wartościami chrześcijańskimi. W odróżnieniu od niego historyk Joachim Lelewel (1786–1861), który wywarł na swoją epokę nie mniej istotny wpływ, był o wiele bliższy kręgom świeckim. Był kolegą po fachu Gołuchowskiego na uniwersytecie w Wilnie; ministrem i kolegą Lubeckiego i Czartoryskiego w Rządzie Narodowym w latach 1830–1831; swego czasu współpracownikiem Marksa w szerzej nieznanym emigracyjnym Międzynarodowym Towarzystwie Demokratycznym. Był wojującym republikaninem i agnostykiem, ale jego *Dzieje Polski potocznym sposobem opowiedzine* (1829) stały się polityczną biblią dla tysięcy polskich powstańców i emigrantów z jego pokolenia. Lelewel wymyślił teorię o samorządzie pierwszych Słowian, w myśl której Polacy mieli mieć naturalną skłonność do demokracji, a całą ich historię można było interpretować jako nieustępliwą walkę o wolność. Historię Polski dzielił na przeplatające się ze sobą okresy wolności i niewoli, przy czym faza ostatnia – niewola rozbiorów – miała przygotować grunt pod nadejście epoki powszechnych swobód. Rolę narodu polskiego w tym procesie

widział jako rolę „ambasadora ludzkości", którego cierpienia miały się stać inspiracją dla świata ulegającego pokusom władzy i sukcesu. Krótko mówiąc, zupełnie nieświadomie i niezależnie Lelewel wynalazł system historyczno-filozoficzny zbliżony do Mickiewiczowskiej alegorii Polski jako „Chrystusa narodów"[24].

Polska ideologia pozytywistyczna rozwijała się w nieco późniejszym czasie, ale był to proces równie dogłębny. Podobnie jak w przypadku romantyzmu, jego korzenie można było odnaleźć w epoce przedrozbiorowej, a szczególnie dużo zawdzięczał oświeceniu. Podstawowe inspiracje czerpał jednak z rozczarowania zarówno polityką powstańczą w połowie XIX wieku, jak i jawnym niepowodzeniem przepowiedni romantyków. Jego głównych propagatorów zniechęcało niekończące się pasmo nieszczęść, aktów przemocy i fantastycznych wizji romantyków – nawoływali do przyjęcia wobec krzywd narodu postawy ostrożniejszej, bardziej konstruktywnej i pragmatycznej. Stąd ich nacisk na oświatę, samodoskonalenie, naukę, gospodarkę, reformy społeczne i – przede wszystkim – na pracę. Swoje wnioski opierali na pragmatycznej polityce ugody uprawianej przez Stanisława Augusta, Lubeckiego czy Wielopolskiego, przekształcając je w spójny system wartości i ideałów. Chociaż pozornie lekceważyli rolę poezji z powodu jej związków z romantyzmem, ich najoczywistszy manifest ubrał w formę wiersza *Naprzód – pracą!* Karol Świdziński (1841–1877), skruszony poeta, który przeżył powstanie styczniowe i Komunę Paryską:

O ma braci, wdzięczna, młoda!
Czasu szkoda, trudu szkoda
Na marzenia biegać szlaki
I na cudze liczyć ptaki,
I odgrywać butnych rolę
Przez ciemnotę i swawolę!

Cóżeś szablą wyrąbała?
Kilka szczerbów w dziejów pleśni!
Cóżeś lutnią wypłakała?
Miljon tonów, co świat prześni!

[24] Na temat Lelewela zob. Joan S. Skiernowicz, *Romantic Nationalism and Liberalism: Joachim Lelewel and the Polish National Idea*, Columbia University Press, East European Monographs, t. 83, New York 1981.

Oj! nie szablą i nie tonem
Tobie walczyć, hufcu młody!
Ale z czołem pochylonem
Nad mądrości ślęczeć kartą,
Sercem przeczuć prąd właściwy
I z prastarej ojców niwy
To ukochać, czem żyć warto!

Uczucia Świdzińskiego były równie odległe od romantyzmu jak poziom artystyczny jego poezji. Natomiast jego priorytety były absolutnie oczywiste: praca przed walką, nauka przed sztuką, staranne analizy przed pospiesznym działaniem; odpowiadały też nastrojom jego współczesnych. Odbicie znalazły w dziełach o wiele wybitniejszych twórców literatury, na przykład innych skruszonych powstańców – Józefa Ignacego Kraszewskiego czy Adama Asnyka, a najwyraźniej – w tekstach wpływowego dziennikarza Aleksandra Świętochowskiego (1849–1938) i powieściopisarza Bolesława Prusa (1847–1912). Świętochowski zdobył sobie wybitną pozycję po powstaniu styczniowym; używał pseudonimu „Poseł Prawdy", utworzonego od tytułu jego tygodnika „Prawda". Przez ponad pół wieku uważano go za proroka pozytywizmu – był świadkiem zarówno jego wzrostu, jak upadku. Ukończył Szkołę Główną Wielopolskiego, miał doktorat z filozofii moralnej uzyskany na uniwersytecie w Lipsku i pod względem ilości i zróżnicowania dorobku pisarskiego można go porównywać jedynie ze Staszicem i Niemcewiczem. Działał jako dziennikarz, rzecznik reform społecznych, dramaturg, poeta, powieściopisarz i historyk; poruszał wszystkie możliwe tematy: od emancypacji kobiet po historię stanu chłopskiego, od kultury żydowskiej po oświatę. Mimo to jego poglądy cechowała niezwykła konsekwencja. W napisanym w 1871 roku artykule zatytułowanym *My i wy* bronił swojego przekonania, że zerwanie z romantyczną przeszłością Polski jest nieodwracalne. „Między naszymi obozami – pisał – popalone mosty, pozrywane groble". W innym artykule, powstałym w 1872 roku i zatytułowanym *Absenteizm*, wprowadził hasło „pracy organicznej", które zapożyczył od Herberta Spencera. We *Wskazaniach politycznych* (1882) streszczał program działania społecznego i ekonomicznego, który jego zdaniem mogła ułatwić epoka stabilizacji i dobrobytu i który przez krótki czas w ostatnich latach przed wybuchem wojny sam próbował realizować jako prezes Towarzystwa Kultury Polskiej (TKP). Był to program minimalistyczny, niemal nieuwzględniający metod politycznych i pozbawiony harmonogramu działania. Jak wszyscy jego koledzy z obozu pozytywistycznego, Święto-

chowski był przekonany, że supremacja państw rozbiorowych pozostaje poza wszelką dyskusją. Sprawą polską można się zajmować wyłącznie z wewnętrznej perspektywy panującego systemu. Wszelkie przedsięwzięcia o charakterze patriotycznym muszą pozostawać w zgodzie z prawem i działalnością instytucji państw rozbiorowych. Wszelkie próby oporu wobec władz i próby zmiany systemu muszą przynieść efekt przeciwny do zamierzonego. Antoni Wrotnowski (1823–1900), wybitny prawnik, który w wolnych chwilach parał się polityką, pisał:

> Sama przeto konieczność historyczna nie dowala Polakom dążyć dłużej do odzyskania bytu państwowego, celu niedoścignionego, do którego nie mogłaby doprowadzić największa ofiarność całego społeczeństwa i najenergiczniejsze jego usiłowania.

Polskie aspiracje polityczne trzeba było kroić na miarę. Wspaniałe projekty, plany powstań i rewolucji, żądania zapewnienia warunków takich, jakie panowały w Europie Zachodniej, po prostu nie wchodziły w grę. Kraszewski pisał:

> Nie wierzymy w rewolucje ani w utopie radykalnie z dnia na dzień przerobić mające społeczność, leczące wszystkie choroby socjalne za pomocą panaceum jakiegoś, wierzymy w postęp powolny, stopniowy i to, że moralizując jednostki, podnosząc poziom światła, zachęcając do pracy, do ładu, do wstrzemięźliwości, najzbawienniejszą zrobimy rewolucję lub ewolucję w stanie społecznym[25].

Zmiana postaw politycznych znalazła odbicie w równoległej przemianie w literaturze, filozofii i sztuce. Wielcy powieściopisarze, którzy dominowali w okresie pozytywizmu – Kraszewski, Prus, Eliza Orzeszkowa (1841–1910), Henryk Sienkiewicz (1846–1916), Zygmunt Miłkowski (1824–1915), Władysław Reymont (1867–1925), Stefan Żeromski (1864–1925) – skierowali swoje talenty głównie ku tematyce społecznej i psychologicznej, zwracając się ku realizmowi literackiemu. Ogólnie rzecz biorąc, unikali tematów jawnie politycznych, choć byłoby wielkim uproszczeniem twierdzić, że zabrakło w ich dziełach treści

[25] Józef Ignacy Kraszewski, *Rachunki z roku 1868. Rok trzeci*, w: *Józef Ignacy Kraszewski a Niemcy: publicystyka pisarza w obronie polskiego stanu posiadania pod panowaniem pruskim i niemieckim*, wstęp, wybór i opracowanie Edward Czapiewski, Wrocław 1994, s. 83.

politycznych. Prus na przykład był w późniejszym okresie swojej kariery coraz bardziej zainteresowany kwestiami politycznymi. W jego powieści *Faraon* (1897), mistrzowskiej analizie polityki władzy w starożytnym Egipcie, mocno pobrzmiewają echa carskiej Rosji. Powieść *Dzieci* (1908) jest jawnym atakiem wymierzonym w rewolucjonistów z 1905 roku. W kolosalnym dorobku w dziedzinie powieści historycznej, który został zapoczątkowany przez Kraszewskiego i Miłkowskiego, a którego ukoronowaniem były powieści *Ogniem i mieczem* (1884), *Quo vadis?* (1896) i *Krzyżacy* (1900) Henryka Sienkiewicza, autorzy wykorzystywali techniki realizmu literackiego do coraz bardziej niepozytywistycznych celów. Dając wyraz swojej woli pisania „ku pokrzepieniu serc" i tworząc poruszające opowieści o wojnach szwedzkich, pierwszych chrześcijanach i walkach z Krzyżakami, Sienkiewicz musiał rozbudzać na nowo tkwiące w sercach czytelników rozgoryczenie uciskiem politycznym, którego sami doświadczali. W dziedzinie filozofii pozytywiści nie mogli się poszczycić aż tyloma oryginalnymi talentami co ich mesjanistyczni poprzednicy; Comte miał jednak w Polsce swoich zwolenników w osobach Józefa Supińskiego (1804–1893) i Juliana Ochorowicza (1850–1917), a prace angielskich empirystów i ewolucjonistów udostępniły Polakom wczesne przekłady Milla, Spencera i Buckle'a. Ochorowicz pisał, że „Pozytywistą nazwiemy każdego, kto w twierdzeniach stanowczych opiera się na dowodach dających się sprawdzić – kto nie wyraża się bezwzględnie o rzeczach wątpliwych – a nie mówi wcale o niedostępnych". Taka postawa była wręcz stworzona jako inspiracja zmiany kierunku w historiografii. W gronie historyków polemika grupy stańczyków, na czele z Józefem Szujskim (1835–1883), a później z Michałem Bobrzyńskim (1849–1935), rzuciła wyzwanie reputacji Lelewela i wskazała drogę szkole warszawskiej kierowanej przez Tadeusza Korzona (1939–1918) i Władysława Smoleńskiego (1851–1926). Ci warszawiacy, którzy chętnie przyjmowali etykietę „pozytywistów", byli w sprawie polskiej przeszłości o wiele mniejszymi pesymistami niż krakowianie, choć oba środowiska łączyła pogarda dla „wyidealizowanej" historii romantyków. Piętnowali zwłaszcza ich obsesyjne ograniczanie tematu badań historycznych do wydarzeń politycznych i odrzucali pogląd, w myśl którego podręczniki do historii należało pisać dla celów moralnych lub dydaktycznych.

> Kwestię, czy do historii należy służba względom praktycznym – pisał Smoleński – rozstrzygają ogólne pojęcia o nauce, która nie ma innego zadania nad konstatowanie i objaśnianie zjawisk. Dla botanika obojętną jest rzeczą, czy odkryta przez niego własność danej

> rośliny znajdzie zastosowanie w medycynie lub kuchni, nie należy również do historyka wyciąganie z przeszłości nauk praktycznych.

Powiedziawszy to, Smoleński przechodzi do swojej słynnej krytyki historii politycznej, która w Polsce wciąż jeszcze pochłonięta była roztrząsaniem przyczyn i skutków rozbiorów:

> Branie katastrofy upadku [Polski] za punkt wyjścia w poglądzie na przeszłość jest z gruntu rzeczą fałszywą (...) Fakt upadku państwa, ważny dla historii czasów następnych, bezzasadnie został wzięty za motyw zasadniczy przy badaniu dziejów przedrozbiorowych (...) Upadek państwa nie doprowadził bytu naszego do kresu, lecz stworzył jedynie przełom; nie unicestwił narodu, lecz tylko zmienił warunki jego rozwoju. Te zasoby nagromadzone w przeszłości, którym naród zawdzięcza ciągłość życia moralnego, pomimo upadku państwa, stanowią (...) fakt znamienniejszy niż zanik bytu politycznego (...) Organizm zwany państwem nie ogniskuje w sobie wszystkich promieni życia; jego dzieje nie są kwintesencją przeszłości. Obok urabiania form życia państwowego naród polski snuł wątek dorobku cywilizacyjnego, który przetrwał upadek i stanowi główny motyw historii[26].

Podobnie jak inni pisarze i myśliciele z obozu pozytywistycznego, historycy pokroju Smoleńskiego byliby skłonni zdecydowanie zaprzeczać, jakoby wywierały na nich jakikolwiek wpływ względy polityczne. Mimo to polityczny kontekst ich dzieł jest rzeczą niezaprzeczalną. Rozbrajając ładunek takich tematów jak niepodległość czy państwowość, nieuchronnie podkopywali grunt swoich przeciwników – romantycznych zwolenników walki powstańczej, mając jednocześnie nadzieję, że uda im się stworzyć tę spokojną i pełną powściągliwości intelektualną i społeczną atmosferę, w której starali się działać pozytywistyczni politycy.

Spory pozytywistów z romantykami dotyczyły więc wszelkich dziedzin życia intelektualnego. Pomijając zupełnie oczywiste różnice celów politycznych, metod i priorytetów, różnili się zasadniczo w kwestiach dotyczących analizy politycznej, gustów artystycznych i temperamentu. Podczas gdy pozytywiści patrzyli na polską historię z pewnego dystansu, choć nie obojętnie, romantycy dostrzegali w krzywdach przeszłości światło przewodnie

---

[26] Władysław Smoleński, *Szkoły historyczne w Polsce. Główne kierunki poglądów na przeszłość*, w: tenże, *Pisma historyczne*, Kraków 1901, s. 329.

teraźniejszości i źródło inspiracji na przyszłość. Podczas gdy pozytywiści trudzili się ulepszaniem szczegółów swojej codziennej egzystencji, romantycy mieli poczucie, że człowiek pozbawiony państwa nie posiada nic konkretnego, co warto byłoby ulepszać – jak w haśle Hotelu Lambert: „Istnieć, a dopiero potem jak istnieć". Podczas gdy pozytywiści słuchali dyktatów nauki i realizmu w sztuce, romantycy składali hołd działaniu wyobraźni. Podczas gdy dla pozytywistów pojęcie „rzeczywistość" stosowało się do świata materialnego i dostępnego percepcji – włączając w to życie codzienne pod rządami państw rozbiorowych – dla romantyków „rzeczywistość" zawierała w sobie świat ducha, świat fantazji, Polski, która „jeszcze nie zginęła". To, co pozytywiści nazywali „realizmem", dla romantyków było „defetyzmem" i „polityką ustępstw". To, co pozytywiści uznawali za maksimum, romantycy uważali za mniej niż minimum. To, co dla pozytywistów było odwagą moralną, romantycy uważali za bojaźliwość. To, co dla romantyków było odwagą, pozytywiści uważali za samobójstwo.

Taka dialektyczna walka przeciwnych systemów wartości ma jednak swoje zalety. Mimo sporów niekończący się dialog między pozytywistami i romantykami utrzymywał obie tradycje przy życiu i pozwalał im nawzajem się uzupełniać. Żadna ze stron nie mogła ustanowić własnego monopolu i każda musiała dbać o to, aby zachować granice wiarygodności. Skoro polski romantyzm miał utrzymywać ideę narodu przy życiu w najczarniejszym okresie ucisku, nie wolno mu było całkowicie się zagubić w utopijnych mrzonkach. Skoro polski pozytywizm miał budować potencjał gospodarczy narodu i jego organizacje kulturalne, nie wolno mu było pogrążyć się w jałowym materializmie. W każdej fazie walk mogła powstać jakaś nowa synteza, można było osiągnąć jakiś nowy stan równowagi. Pod koniec wieku, kiedy zarówno pozytywizm, jak i romantyzm okrzepły jako dwa uznane światła przewodnie świadomości narodowej, postawy ekstremalne stały się trudniejsze do utrzymania. Stanisław Wyspiański – najjaśniejsza gwiazda na firmamencie polskiego modernizmu – łączył skłonność do poezji neoromantycznej z galicyjską pogardą dla polityki romantycznej. Roman Dmowski, bicz na powstańczych aktywistów, w roku 1917 znalazł się na stanowisku głównodowodzącego Armii Polskiej we Francji. Józef Piłsudski, rewolucjonista i konspirator, znalazł się na stanowisku głowy państwa polskiego. Pozytywiści mogli sobie słusznie rościć prawo do tytułu strażników ciała Polski, romantycy zaś – do tytułu strażników jej duszy. Pod koniec tego rozdarcia – 11 listopada 1918 roku – ciało i dusza zjednoczyły się Trzeciego Dnia.

W dynamice debaty między obozami romantyków i pozytywistów upatruje się czasem przyczyny charakterystycznego cyklicznego rytmu

polskiej polityki, w której jeden z dwóch obozów uzyskiwał na pewien okres przewagę, aby po jakimś czasie ustąpić drugiemu. Z pewnością dało się zaobserwować w polskim życiu politycznym cykl pokoleniowy na długo, zanim współczesnym teoretykom przyszło do głowy, żeby temu zjawisku udzielić naukowego błogosławieństwa. Nie ma wątpliwości, że koło politycznej fortuny w dziewiętnastowiecznej Polsce obracało się z regularnością wykraczającą poza granice prostego zbiegu okoliczności, i zdecydowanie wypada dać wiarę twierdzeniu, iż te regularne zmiany miejsc dwóch dominujących ideologii ściśle się wiązały ze wzrostem i upadkiem kolejnych pokoleń. W kontekście absolutystycznych imperiów wszystkie niezależne przedsięwzięcia polityczne były skazane na niepowodzenie, i żaden z dwóch głównych wariantów polskiej polityki nie mógł się okazać na tyle skuteczny, żeby nawrócić większość młodzieży na przekonania ludzi starszych. W efekcie ani romantycy, ani pozytywiści nigdy nie zdołali się utrzymać dłużej niż trzydzieści lub czterdzieści lat, po czym przychodziło rozczarowanie i niepowodzenia, które niweczyły supremację i stwarzały możliwości rozwoju przeciwnikom. Główne pokolenie romantyków, motywowane pogardą dla nieudanych kompromisów poprzedniej epoki ugody, miało w Polsce ogromne wpływy w okresie od powstania listopadowego 1830 roku do roku 1864, czyli przez 35 lat. Główne pokolenie pozytywistów, motywowane wstydem z powodu upadku powstania styczniowego, utrzymywało przewagę co najmniej do lat dziewięćdziesiątych, a być może aż do wybuchu rewolucji z roku 1905, czyli przez czterdzieści jeden lat. Natomiast w roku 1905 wyłoniło się nowe pokolenie romantyków, którego coraz żarliwsze oddanie sprawie niepodległości narodowej wydało owoce w roku 1918, a którego supremacja trwała do ostatecznego upadku niepodległości w 1944 roku. W całym okresie, od roku 1795 do roku 1918, odbyły się cztery pełne obroty cykli pokoleniowych, licząc na każdy około 30 lat. Historycy patrzą oczywiście na teorie z wrodzoną podejrzliwością. Wielu jest skłonnych podważać szczegóły każdego ogólnego schematu, wszyscy zaś odrzuciliby pomysł, że cykl pokoleniowy działa z matematyczną precyzją szwajcarskiego zegarka. Niektórzy chcieliby się spierać o to, czy pierwsze 35 lat okresu rozbiorów – od roku 1795 do roku 1830 – należy uznać za jedną, w swej istocie ugodową epokę znaczoną powstańczymi interludiami, czy też były to dwa odrębne krótsze cykle, z granicą w 1812 lub 1815 roku. Niektórzy nie byliby skłonni się zgodzić, że rewolucję z 1905 roku można rzeczywiście uznać za punkt zwrotny o takim samym znaczeniu jak powstania z lat 1794, 1830 czy 1863. Takie spory są nie do uniknięcia. Istotna jest nie identyfikacja dokładnych

punktów zwrotnych – mimo że czasem da się to zrobić – ale identyfikacja naprzemiennych tendencji, które współcześni polscy komentatorzy wyczuwali z o wiele większą przenikliwością niż ich poprzednicy, mozolnie orzący historyczną niwę. Nie ma większego znaczenia, czy koniec epoki pozytywizmu powinno się datować na moment odrodzenia patriotycznych manifestacji w dniu 3 maja 1891 roku, utworzenia PPS w roku 1892 czy Narodowej Demokracji w roku 1897 lub wreszcie pierwszego aktu rewolucyjnej przemocy na placu Grzybowskim w Warszawie 13 listopada 1904 roku. Jest ogromnie ważne natomiast, żeby – oceniając wszystkie strony i wszystkie opinie, Dmowskiego, ale także Piłsudskiego – wiedzieć, iż sytuacja polityczna w roku 1905 była diametralnie różna od sytuacji w okresie supremacji pozytywistów dziesięć czy dwadzieścia lat wcześniej. Przecież członkowie jakiegoś nowego pokolenia nie osiągają dojrzałości dokładnie w tym samym momencie, a siłą napędową każdego cyklu pokoleniowego muszą być połączone skutki zarówno nagłych i arbitralnych oddziaływań wydarzeń politycznych, jak i stopniowego, ciągłego zastępowania ludzi starych młodymi. Decydujący moment zmiany opinii publicznej może nastąpić dopiero wtedy, kiedy absolutna większość dorosłych okaże się za młoda, aby pamiętać wcześniejsze doświadczenia, które ich ukształtowały.

Co więcej, nie ma żadnego logicznego powodu, żeby ograniczać mechanizm cyklu pokoleniowego wyłącznie do okresu rozbiorów. Skoro w przypadku Polski charakterystyczny cykl polityczny uruchamiała nie tyle utrata państwowości, ile wcześniejsza interwencja mocarstw rozbiorowych, należy przyjąć, że cykl ten rozpoczął się na początku XVIII, a nie XIX wieku, i oczekiwać, iż będzie trwał dopóty, dopóki będzie trwał obcy ucisk. Jeśli tak, to w pokoleniach romantyków i pozytywistów z połowy XIX wieku trzeba widzieć nie tylko spadkobierców pokoleń Stanisława Leszczyńskiego i Stanisława Augusta, ale także prekursorów pokoleń Władysława Gomułki i Lecha Wałęsy. Obroty współczesnych cykli politycznych w Polsce trwają być może nie tylko od czterech czy pięciu, ale od ośmiu lub dziewięciu pokoleń. Ulegając pokusie takich obliczeń i licząc dziewięć pokoleń po trzydzieści lat każde, od bitwy pod Połtawą po narodziny Solidarności[27], współczesna tradycja polityczna w Polsce okazuje się

[27] Licząc 270 lat wstecz od roku 1980, otrzymujemy rok 1710 jako punkt początkowy – jest to rok, w którym dzięki zwycięstwu Rosjan w bitwie pod Połtawą Stanisław Leszczyński został zdetronizowany, a na tron wstąpił August II. Jako datę formalnego ustanowienia protektoratu rosyjskiego w Polsce można przyjąć posiedzenie Sejmu Niemego 1 lutego 1717 roku.

o wiele starsza niż Konstytucja Stanów Zjednoczonych i tylko nieznacznie młodsza od demokracji parlamentarnej Zjednoczonego Królestwa.

Brak dokładności, żeby nie powiedzieć: imponderabilia, polskiej polityki potęgował zwyczaj, a może nawet konieczność, prowadzenia debaty w sposób niebezpośredni, a najbardziej typowo – metodami stosowanymi w literaturze. Polska literatura bynajmniej nie zajmowała się wyłącznie polityką, jej zakres wykraczał daleko poza sferę polityczną i obejmował wszystkie gatunki, od liryki po farsę społeczną, niemniej pozostaje faktem, że literatura spełniała funkcję najpowszechniejszego surogatu debaty politycznej. Zachodnim analitykom, którzy w swoich krajach przyzwyczaili się do badania wyników wyborów, sondaży opinii, sprawdzalnych oświadczeń rządu i prasy krępowanej jedynie przepisami dotyczącymi zniesławienia, rozpowszechniania pornografii czy tajemnic państwowych, było bardzo trudno zrozumieć zamknięty świat Europy Wschodniej, gdzie – z wyjątkiem niespokojnego interwału między dwiema wojnami światowymi – takie rzeczy należały do rzadkości. Ludzie musieli się uczyć odszyfrowywać nieznany rodzaj zawoalowanych wyrażeń, w których aluzje, niejasne odniesienia i znaczące pominięcia przemawiały głośniej niż zewnętrzne treści, i gdzie nie miały zastosowania standardowe metody badań naukowych. W Polsce dziewiętnastowieczne warunki doprowadziły tę sztukę na najwyższe wyżyny perfekcji i nauczyły ludzi wczytywać znaczenia polityczne w najniewinniejsze materiały. Na tej samej zasadzie polscy pisarze musieli mieć świadomość, że ich literackie utwory nie będą odczytywane dosłownie, wyrobili więc sobie szósty zmysł, pozwalający im zadowolić zarówno cenzorów, jak i czytelników. Coraz silniej zwalczano uczciwy komentarz polityczny, coraz częściej arcydzieła literatury narodowej trzeba było wydawać za granicą, sam język polski coraz częściej stawał się przedmiotem oficjalnych ataków i wobec tego komentarz polityczny zaczął przybierać coraz bardziej pokrętne formy. Książki wydawane za granicą budziły większe zaufanie niż produkty rodzime, a fikcja literacka wyprzedzała fakty. Postacie literackie budziły takie same kontrowersje jak postacie historyczne.

Niektórzy bohaterowie literaccy byli oczywiście wyidealizowanymi wersjami prawdziwych ludzi. Jan Kozietulski – bohater spod Somosierry, generał Sowiński, bohater *Reduty Ordona* z 1831 roku, ksiądz Marek, a nawet Konrad Wallenrod – wszyscy oni należą właśnie do tej kategorii. Inni byli wytworami literackiej wyobraźni. Natomiast w umysłach wykształconych Polaków należeli oni do polskiej galerii politycznej tak samo zdecydowanie jak Poniatowski, Lubecki czy Czartoryski i żaden przegląd sceny politycznej nie byłby pełny, gdyby ich tam nie umieścić.

Jan Kozietulski, bohater napoleońskiej *Chevaux-Légers*, z pewnością należy do postaci historycznych najczęściej poddawanych zabiegom literackiej fantazji. Francuscy towarzysze broni nazywali go „najodważniejszym z odważnych", jego wspaniałe akcje były natchnieniem dla polskich malarzy, rzeźbiarzy, poetów i powieściopisarzy jako symbol narodowej odwagi i determinacji. Każde dziecko w Polsce zna wiersz Marii Konopnickiej, odczytywany na głos w tonie najgłębszej czci:

A wtem Napoleon
Na Polaków skinął
Skoczył Kozietulski,
W czwórki jazdę zwinął.
Na wiarusów czele
Jak piorun się rzucił
Wziął pierwszą baterię –
Ale już nie wrócił[28].

Ale, być może nieuchronnie, Kozietulski stał się celem ataków całych zastępów sceptyków i odbrązawiaczy. Jego decyzja zdobycia szturmem hiszpańskich baterii pod Somosierrą, szarżą w górę stromego wzgórza, pod ostrzałem z bliska, przez zaporę ognia armat rozmieszczonych w wąskim wąwozie i na przełęczy, została zredukowana do aktu bezsensownego szaleństwa, a skutek – otwarcie drogi na Madryt dla całej armii, za cenę 57 poległych szwoleżerów – porównywano z szarżą brytyjskiej lekkiej brygady w bitwie pod Bałakławą pół wieku później. Jego osobiste niepowodzenia wygrzebywano w czasie upartych prób unicestwienia legendy. Prawdziwy Kozietulski (1781–1821), który zrezygnował z pozycji pułkownika w Wojsku Polskim w Królestwie Kongresowym w wyniku oskarżenia o malwersacje finansowe, nie był oczywiście nieskazitelnym supermanem, którego portret maluje fikcja literacka. Ale motywy działania krytyków są równie podejrzane jak motywy jego beatyfikatorów. Kozietulski był w polskiej polityce symbolem aktywisty ze skrzydła zwolenników powstania, i dyskredytując symbol, krytycy bez wątpienia starali się podkopać całą tradycję romantyczną. Tennyson mógł w poemacie epickim *Szarża lekkiej brygady* napisać, że „sześciuset wjechało w dolinę śmierci", i nie zachwiały się przez to fundamenty wiktoriańskiej Anglii, natomiast polskie komentarze na temat Somosierry stanowią przyczynek

[28] Maria Konopnicka, *Wąwóz Samosierry*, l. 13–20, w: taż, *Śpiewnik historyczny: 1767–1863*, Lwów 1904, s. 104.

do głównych sporów toczących się w ramach narodowej debaty politycznej. W swoich współczesnych emanacjach mają o wiele więcej wspólnego z ocenami postawy Józefa Piłsudskiego, bitwy pod Monte Cassino czy powstania warszawskiego niż wojny hiszpańskiej. Wersy z poematu Tennysona – *Their's not to reason why?/ Their's but to do and die* („Nie ich rzecz pytać o przyczynę, ich rzecz – robić swoje i ginąć") – odnosiły się do losu tylko jednego oddziału. Podobne wersy z wiersza polskiego uważa się za opis losu całego narodu. Szarża Kozietulskiego pod Somosierrą była nie tylko wspaniała, była też bardzo sensowna z wojskowego punktu widzenia. Ale poświęcenie jednostki i jej odwagę zanurzono potem w kontekst szerszych zagadnień – honoru narodu i jego przetrwania.

Rycerz Zbyszko, bohater powieści Sienkiewicza *Krzyżacy* (1900), nie miał w gruncie rzeczy historycznego pierwowzoru – był wynikiem wycieczki pisarza na terytorium średniowiecznego romansu po to, aby się przeciwstawić roszczeniom Niemiec Wilhelma. W XIX wieku wojny z Krzyżakami i legendy o Krzyżakach były wśród polskich pisarzy tak samo popularne jak w Niemczech, chociaż każda ze stron wykorzystywała je do własnych celów. Opowieść Sienkiewicza – podobnie jak opowieści Gustava Freytaga – ukazuje błazeństwa dworu cesarskiego w Marienburgu (obecnie Malbork), gdzie kajzer miał zwyczaj pojawiać się w stroju galowym wielkiego mistrza w otoczeniu dam dworu, ubranych w średniowieczne stroje, i dworzan z kopiami, przystrojonych w średniowieczne hełmy. Odwracając role bohaterów i czarnych charakterów, Sienkiewicz zapożyczył jednocześnie niektóre wątki Wagnerowskiego melodramatu. Rycerze, ubrani w czarne zbroje i noszący groźny znak czarnego krzyża, są po prostu rycerzami Zła. Natomiast Zbyszko – ich polski rywal – walczy w obronie Dobra. Jak zauważa jeden z krytyków, obsada przypomina raczej „wcielone absoluty" niż prawdziwe postacie. Z punktu widzenia outsidera wyglądają dokładnie tak samo jak „ci źli" i „ci dobrzy" ze wschodnioeuropejskiego westernu klasy B. Dla polskiego czytelnika natomiast są symbolami narodowej męki, którą w tym czasie naród rzeczywiście z wszelką pewnością przechodził, a która miała się jeszcze nasilić podczas II wojny światowej. Himmler, przebrany za Henryka Ptasznika[29] odprawiającego w Quedlinburgu mroczne rytuały ubranej w czarne mundury gwardii SS, świadomie naśladujący występy kajzera w Marienburgu, dowiódł, że ta gra wciąż jest jak najbardziej prawdziwa. Wielu Polaków z pewnością się z tym zgadzało i z radością czytało tekst, który działał jak antidotum. Zbyszko jest symbolem rycerskiej cnoty i męstwa.

[29] Henryk I Ptasznik, król Niemiec, żył w latach 876–936.

Jego dwie ukochane – Danusia, która ginie z rąk Krzyżaków, i piękna, mocarna, dzielna Jagienka – są symbolem Polski. Jest to opowieść o męstwie, ale przede wszystkim o przetrwaniu. Po 600 stronicach brawurowych czynów Zbyszko buduje zamek z kamienia. Jagienka rodzi mu bliźnięta. Ród herbu Tępa Podkowa zawołania Grady nie zginie. Odwieczny niemiecki wróg został pobity[30].

Konrad Wallenrod, główny bohater znacznie wcześniejszej powieści wierszem, opublikowanej przez Mickiewicza w 1828 roku, obraca się w tym samym świecie pseudoteutońskiego romansu, ale chyba z większym przekonaniem. Dzieło zostało pomyślane jako esej w stylu Byrona, pełne dziwnych zdarzeń i gwałtownych emocji. Autor nie cenił swego utworu zbyt wysoko i wyrzekł się go, mówiąc, że „nie jest niczym więcej jak tylko pamfletem politycznym". Ale ten element polityczny był jednym z powodów jego długotrwałego sukcesu, ponieważ stał się zręcznym prototypem schematu, w którym współczesny komentarz ukrywano pod przykrywką egzotycznego tła odległych miejsc i dawnych czasów (kamuflaż okazał się na tyle dobry, że zwiódł niektórych spośród pierwszych krytyków – na przykład Mochnackiego – którzy uznali, że utwór nie jest niczym więcej jak tylko dość nieprzekonującym przykładem odrodzenia literatury gotyckiej). Wallenrod, mrukliwy, dręczony niepokojem rycerz, którego bezinteresowne czyny zostają nagrodzone wyborem na wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego, ma pierwowzór w postaci prawdziwej postaci historycznej żyjącej w średniowiecznych Prusach, ale ta historyczność jest w utworze jedynie lekko zaznaczona i dość przypadkowa. Dzięki namowom czcigodnego litewskiego barda imieniem Halban wielki mistrz poznaje tajemnice swojej sierocej przeszłości. Okazuje się, że Wallenrod także jest Litwinem, porwanym w dzieciństwie przez Krzyżaków podczas jednego z ich brutalnych najazdów i wychowanym na Prusaka. Na początku nosił imię „Alf", a jego misją, ukrytą w najgłębszych zakamarkach serca, jest teraz pomścić krzywdy swojego ludu. Rycerze z zakonu nie wiedzą, że wielki mistrz działa na zgubę Krzyżaków i czeka na ich klęskę. W ostatniej bitwie wojska krzyżackie zostają zdziesiątkowane, a stojący na ich czele Wallenrod wypija truciznę. Studium psychologiczne człowieka doprowadzonego do autodestrukcji w wyniku stopniowego ujawniania się jego wewnętrznej natury wykracza daleko poza konwencjonalne granice romantycznej heroiki. Studium postawy moralnej

[30] Zob. Roy Daniells, *Sienkiewicz Revisited*, w: *The Tradition of Polish Ideals*, red. Władysław J. Stankiewicz, London 1981, s. 166–187.

człowieka, który musi użyć niegodnych środków, aby osiągnąć godny cel, i który systematycznie przygotowuje plan poświęcenia samego siebie dla odpokutowania grzechów przeszłości, dotyka tematu o wymiarze uniwersalnym. Studium postawy politycznej człowieka rozdartego między pragnieniem otwartego buntu i korzyściami, jakie niesie ze sobą opór wewnętrzny, ukazuje fundamentalny dylemat wszystkich buntowników politycznych. Halban – bard, którego pieśni przywołują pamięć zapomnianych czynów pokonanego narodu, jest personifikacją literatury i historii jako strażniczek sumienia narodu:

O wieści gminna! ty arko przymierza
Między dawnymi i młodszymi laty:

Wallenrod, wielki mistrz i główny dysydent w jednej osobie, jest wcieleniem ducha zniewolonego narodu, postawionego w obliczu decyzji, wobec której z dwóch sprzeczności ma zachować lojalność. Wallenrod zostaje bez własnej winy schwytany w pułapkę, ale stopniowo uświadamia sobie, że nie można być jednocześnie lojalnym sługą swojego zakonu i szczerym synem swojego ludu. Ustaliwszy własny cel, określa środki, skazując się na mniejsze zło w imię osiągnięcia większego dobra. Zdrajca-bohater może znaleźć ulgę w cierpieniu tylko za sprawą aktu szlachetnego poświęcenia samego siebie. Jego los jest symptomatyczny dla społeczeństwa rządzonego w sytuacji niewypowiedzianej wojny przez reżim, który nie zostawia ani odrobiny wolnego miejsca między absolutnym posłuszeństwem i absolutną wrogością. Z tego też powodu termin „wallenrodyzm" na stałe wszedł do języka polskiego. W powszechnym znaczeniu jest on zbliżony do określenia „makiawelizm", które oznacza zasadę „cel uświęca środki". Natomiast jego dokładna konotacja przywołuje szczególną odmianę wykalkulowanego działania politycznego: „postawy dwulicowej, cechującej się pozorną służalczością wobec wroga, którego chce się zdradzić i zniszczyć". Jest to pojęcie wzbudzające u politycznych władców podejrzenie w stosunku do każdego polskiego lojalisty. Dziełu *Konrad Wallenrod* przypisuje się powszechnie rolę źródła inspiracji powstania listopadowego. Konspiratorzy z grupy Belwederczyków – wśród których było wielu literatów – z pewnością się z tym zgadzali. Jednemu z nich, Ludwikowi Nabielakowi (1804–1883)[31], często przypisuje się autorstwo powiedzenia, bardzo popularnego w jego czasach: „Słowo stało

[31] Apoteoza romantycznej kariery Nabielaka nadeszła kilkadziesiąt lat później, kiedy – jako emigrant – został mianowany dyrektorem miejskiej gazowni w Barcelonie.

się Ciałem, a Wallenrod – Belwederem". Literatura miała bezpośrednie przełożenie na działanie polityczne[32].

Gustaw-Konrad, główna postać najambitniejszego dzieła Mickiewicza, dramatu poetyckiego *Dziady* (1832), także ma podwójną naturę Wallenroda-Alfa, lecz aby rozplątać nawet najbardziej podstawowe wątki tego niezwykle złożonego utworu literackiego, trzeba by mieć umiejętności egzegezy znacznie przekraczające te, jakimi dysponuje odwiedzający Polskę brytyjski historyk. Wystarczy powiedzieć, że w jednym ze swoich monologów Konrad pojawia się jako rozpoznawalna istota ludzka, dysydent polityczny i powstaniec, gnijący w kajdanach w celi rosyjskiego więzienia i rozmyślający o ranach ojczyzny. Wygłasza swoje patriotyczne więzienne monologi w czasie, gdy carski urzędnik i senator w Wilnie oraz jego goście tańczą na balu z polskimi lizusami w takt muzyki towarzyszącej tej mocno satyrycznej scenie. W innym monologu Gustaw pojawia się w bardziej niejednoznacznej postaci – częściowo człowiek, a częściowo zjawa, Hamlet stopiony w jedno z szekspirowskim duchem. Tu jego monologi i rozmowy z księdzem Piotrem dotyczą całego szerokiego spektrum wielkich tajemnic ludzkiej egzystencji – miłości, śmierci, stworzenia, jednostkowej duszy. To właśnie te sceny uzasadniają tytuł dramatu: rozgrywają się w domu pewnego starego księdza, na Litwie, kiedy przygotowania do chrześcijańskiego święta Wszystkich Świętych mieszają się z pogańskim litewskim rytuałem ceremonii upamiętniającej „dziady, czyli w ogólności zmarłych przodków". Ksiądz Piotr, wdowiec, grekokatolik, siedzi w zimowy wieczór w migocącym świetle świec przy stole ze swoimi dwoma synami, gdy z mroku wyłania się jak cień Gustaw, odziany w szmaty, z popiołem na twarzy, krwawiąc z rany w sercu, którą sobie sam zadał, i trzymając w ręku – niby echo palmowej niedzieli – gałązkę cyprysu. W nawiązanej rozmowie ksiądz używa racjonalnych argumentów w odpowiedzi na pozornie irracjonalne pytania Gustawa, skłaniając przybysza do opowieści o tragediach uczuciowych i politycznych, które doprowadziły go do samobójstwa. Jeden z partnerów tego dialogu, ksiądz bezustannie próbuje sprowadzić rozmowę do poziomu „rzeczywistości", codziennych problemów; jest on przez polską publiczność postrzegany jako rzecznik pozytywizmu; drugi – Gustaw-Konrad – przemawia z wyższej płaszczyzny niewidzialnych więzów łączących dusze, jest ar-

[32] Powiedzenie to przypisuje się czasem Leonardowi Chodźce (1800–1871), historykowi Legionów Polskich i jednemu z czołowych polskich publicystów Wielkiej Emigracji we Francji.

cyobrońcą romantyzmu, wartości duchowych. Amatorskie uwagi w teatralnym programie nie oddają sprawiedliwości wybitnemu arcydziełu, które wiele zawdzięcza dogłębnej znajomości literatury europejskiej swojego autora i jego reakcjom na carski ucisk w Polsce. Carska cenzura dołożyła wszelkich starań, żeby w XIX wieku *Dziadów* nie wolno było wystawiać w kraju, ale tekst, przemycany do Polski z zagranicy, szybko stał się dobrze znany. O ile Konrad Wallenrod odegrał swoją rolę jako inspiracja powstania listopadowego, o tyle Gustaw-Konrad wniósł trwały wkład w intelektualne losy wszystkich następnych pokoleń polskich romantyków.

Alegoryczna przemiana Gustawa w Konrada przyćmiła inne, a jednak godne uwagi ponadnaturalne czyny mistycznych bohaterów Juliusza Słowackiego, czy też dokładniej, bohaterów ostatniego mistycznego okresu jego poetyckiej twórczości[33]. Bardziej niż którykolwiek ze współczesnych mu autorów, Słowacki zajmował się eksploracją świata ducha z niezmordowaną konsekwencją, a ponieważ „życie ducha" uważa się powszechnie za znak firmowy romantyzmu, trzeba go uznać za najbardziej romantycznego ze wszystkich romantyków. Podobnie jak Mickiewicz, Słowacki odrzucał konwencjonalny katolicyzm Kościoła, ulegając wpływom mistycznej sekty Andrzeja Towiańskiego, jego dzieła są jednak przesiąknięte ideami i aluzjami wypływającymi z chrześcijańskiego rozróżnienia między „ciałem" i „duszą". Przełom w krótkiej karierze poetyckiej Słowackiego nastąpił podczas pisania *Genezis z Ducha* (1844), traktatu filozoficznego, w którym rozwinął model „ewolucjonizmu spirytualistycznego", przywołujący być może na pamięć echa *Boskiej komedii* Dantego i antycypujący późniejsze pisma Teilharda de Chardin. Bóg stworzył wszechświat na prośbę duchów, które go namawiały, aby im nadał materialne kształty. W ten sposób została stworzona materia, ale w formie tak prymitywnej i tak niedoskonałej, że uwięzione w niej duchy musiały się przekształcać i ulepszać przez nieustanną walkę, zmuszone do podejmowania długiego procesu samodoskonalenia i powrotu do Boga. Na każdym etapie tej walki duchy słabły w miarę rozkładu ich materialnych kształtów, ale siły witalne przywracał im taki lub inny zesłany przez Boga kataklizm, przynosząc odnowiony impuls do przyjęcia nowej formy i zdobywania nowej energii. Rozkład starej formy jest koniecznym warunkiem narodzin formy nowej i doskonalszej; proces

[33] Maria Korzeniewicz, *Od ludowości ironicznej do ludowości mistycznej: przemiany postaw estetycznych Słowackiego*, PAN, Rozprawy Literackie, nr 34, Wrocław 1981 – istny klejnot.

doskonalenia ducha można osiągnąć jedynie poprzez cykl śmierci i regeneracji materialnego ciała. Według Słowackiego ten proces zniszczenia i reinkarnacji form podlega ogólnemu prawu transformacji, które stosuje się w tym samym stopniu do przyrody i historii politycznej, co do istot ludzkich. Pisał:

> Jest więc respublika ducha nad formami ciał, o której wy nie wiecie... Jest także hierarchija duchów walcząca z hierarchiją postanowioną z ciał na świecie, z której to walki wychodzą wszystkie wojny, zamięszania, rewolucje – i te nie skończą się, aż na hierarchii duchów zbuduje się wszelka forma... Dlatego przez rewolucje leczą się przestarzałe narody[34].

Nie trzeba dodawać, że historiozofia Słowackiego miała wiele wspólnego z myślą heglowską, nie wspominając już o „spirali postępu" marksistów – mimo że nie przyznawał się do żadnych intelektualnych długów, poza francuskimi transformistami, a postęp duchowy wiązał nie z logiką, lecz z ofiarą moralną. W kategoriach praktycznych oznaczało to, że wojny i powstania są niezbędnymi próbami w procesie rozwoju ducha narodu – tak jak ból, cierpienie i śmierć są niezbędnymi próbami w procesie zbawienia duszy jednostki. Dosłownie rzecz biorąc, tę romantyczną filozofię można by wykorzystać do usprawiedliwienia polskich powstań jako wydarzeń cennych, a zarazem koniecznych bez względu na efekty. Romantyczni Polacy – podobnie jak bogobojni muzułmanie czy japońscy kamikadze – mogli radośnie wierzyć, że ich śmierć w świętej wojnie może przynieść lepsze życie im i ich ludowi. Mogli nawet żywić przeświadczenie, że rosyjskie czy pruskie kule nie zabijają, a pewnego razu Słowacki chyba rzeczywiście namawiał swoich rodaków do wypróbowania tej myśli w praktyce czynu. W kwietniu 1848, rok przed swą przedwczesną śmiercią, przyjechał z towarzyszami z Paryża do powstańczej Wielkopolski, gdzie przemówił do grupy powstańców patrzących z wahaniem na potężne mury pruskiej fortyfikacji. Podobno zwrócił się do jednego z niezdecydowanych, mówiąc: „Panie, kozikami to gniazdo oporu zdobędziemy, tylko wiarę mieć trzeba". Do członków Komitetu Narodowego mówił:: „Cóż wy myślicie? Wam się zdaje, że dzisiaj potrzeba jeszcze jak dawniej armat, pułków, oficerów? A ja wam powiadam, że dzisiaj przyszła epoka świętej anarchii". Po zastanowieniu, odrzuciwszy pomysł, aby osobiście

---

[34] Juliusz Słowacki, *Dialog troisty z Helionem, Helois i przeciwnikami – Rozmowa III*, w: tenże, *Dzieła wszystkie*, pod. red. Juliusza Kleinera, Wrocław 1954, t. 14, s. 316.

dowodzić atakiem na fortyfikację *Kernwerk,* skupił się na poezji, mającej ujawnić ukryte duchowe aspekty rzeczywistości, leżące poza sferą zewnętrznych obserwacji. „Ten świat jest to dywanik na wywrót widziany, gdzie różne nitki wyłażą i giną znów niby bez celu i bez potrzeby... z tamtej strony są kwiaty i rysunek"[35]. Wyznaczył sobie zadanie „patrzenia na świat z tej perspektywy, z jakiej widzi go Bóg". Stworzył w tym celu wspaniałą galerię wielkich postaci poetyckich, wśród których na pierwszy plan wybijają się ksiądz Marek i Król-Duch.

Ksiądz Marek, kaznodzieja z Baru, należał do tych prawdziwych postaci historycznych, które – jak Kozietulski – opiewano i idealizowano w niezliczonych utworach literackich. Konfederację barską (1768–1772), jedno z najwcześniejszych polskich powstań przeciwko carskiemu uciskowi, często uważa się za pierwszy przejaw nowoczesnego nacjonalizmu polskiego; romantycy późniejszego okresu cenili ją za to, że łączyła żarliwość religijną z patriotyczną ofiarą. Ksiądz Marek Jandołowicz (1713–1799), superior klasztoru Karmelitów w Barze, współpracownik Pułaskiego i kapelan konfederatów, znany był w swoich czasach jako charyzmatyczny kaznodzieja i uzdrowiciel. Podczas szturmu na Bar w 1768 roku z murów obronnych miasta z krzyżem w ręku głośno urągał Kozakom. Długie lata spędził w odosobnieniu w rosyjskim areszcie, aby w końcu wrócić do swojego klasztoru. Do połowy następnego stulecia jego niepoddające się rozkładowi ciało było celem licznych pielgrzymek. Według portretu stworzonego przez Słowackiego ksiądz Marek miał dar jasnowidzenia i przepowiedział śmierć Polski oraz jej zmartwychwstanie „jak feniksa z popiołów". Akurat ta opowieść nie jest szczególnie oryginalna, ponieważ w formie apokryfów krążyła na długo, zanim w 1843 roku Słowacki ją zapożyczył i ubrał w kształt swojego dramatu, ale to Słowacki nadał przepowiedni poetycką moc, która zapewniła jej nieśmiertelność. Na tle kompanii samych konfederatów, których Słowacki odmalował w barwach surowej prostoty, słowa proroka i wizjonera brzmią z niezwykłą mocą i dostojeństwem. Słuchacze kaznodziei mają w sobie tę doskonałą religijność, która pozwala im wierzyć w zwycięstwo własnej sprawy na przekór wszystkiemu:

Bez harmat my, bez oręża,
Lecz Pan Bóg za nas zwycięża!

---

[35] List do matki, 8 X 1845. Juliusz Słowacki, *Listy, cz. 2: 1836–1848,* przygotował do druku Leon Piwiński, Warszawa1931.

Wychodząc naprzeciw nieuchronnej śmierci, kaznodzieja przemienia wały obronne Baru w polską Kalwarię:

Bogdajby kiedyś odkryto,
Że tu, gdzie nas zabijano,
Ludów patronkę zabito;
Że tu, gdzie Polski kolano
Pierwszy raz przed nędzą klękło;
Nowa jest ludów Kalwaria –
A tam, gdzie jej serce pękło,
Gdzie zapłakała jak Maria:
Jest miejsce lamentowania –
.....

Panowie! to miejsce stoi!
To miejsce! – Bar się nazywa.

Nie podejmowano żadnych prób robienia z powstańców ludzi bardziej skomplikowanych, niż rzeczywiście byli – w gruncie rzeczy stanowili dziwną mieszaninę patriotów i łobuzów. Nie próbowano wnikać w zawiłości ich polityki, uwikłanej nie tylko w bunt Polaków przeciwko Rosji, ale także w rewoltę ukraińskich chłopów przeciwko ich polskim panom. Ksiądz Marek przemawiał głosem proroctwa, a Bar był sceną męczeństwa.

Król-Duch, najambitniejsza ze wszystkich postaci Słowackiego, stanowi centrum utworu epickiego tego samego gatunku co *Légende des Siècles* Victora Hugo. Jest to poetycki esej na temat historii Polski widzianej – jak ująłby to Słowacki – „z Boskiej strony dywanika". Wynika z niego, że „królewski duch" Polski, zawsze wyrażany w pierwszej osobie samego poety, jest przewodnikiem wszystkich chrześcijańskich narodów na drodze do doskonałości, Jeruzalem Słonecznej. Duch ukazany jest w łańcuchu metamorfoz, a każda z jego postaci przywołuje któregoś z wielkich wojowników przeszłości Polski – Popiela, Mieczysława, Bolesława Śmiałego – a jego męka jest ceną postępu i doskonałości. Innymi słowy, cierpienia Polski mają sens. Mają cel. O ile w innych utworach Słowacki i Mickiewicz przedstawiali obraz Polski jako „Chrystusa narodów", a Lelewel opisywał Polskę jako „ambasadora ludzkości", o tyle Króla-Ducha można zapewne porównać do Wergiliusza Dantego – poety i przewodnika chrześcijańskich pielgrzymów, podróżujących przez Piekło i Czyściec w nadziei na Niebo.

Wieszcz Wernyhora jest pod wieloma względami towarzyszem księdza Marka. Uważa się, że i on był autentyczną postacią; pojawił się na scenie

dziejów w tym samym czasie konfederacji barskiej, a jego proroctwa upiększało wielu poetów, powieściopisarzy i malarzy. Ale Wernyhora był Kozakiem z Ukrainy, a nie Polakiem, wyznawcą prawosławia, a nie katolikiem, a wzywał do harmonijnej zgody ludów, a nie do walki o prawa jednego narodu. U szczytu zamieszek na Ukrainie w latach 1768–1769, kiedy Wernyhora występował przeciwko kozackim powstańcom i kiedy Polacy, Ukraińcy i Żydzi stawali się ofiarami tych samych wielkich masakr, nawoływał do nich ze swojej kryjówki na wyspie na środku Dniepru, żeby się nawzajem kochali, bo wszyscy są „dziećmi jednej matki", a chłopom przykazywał kochać „Lachów jak braci, a Polskę jak matkę". Ogłoszenie Polski Matką wielu narodów stało się hasłem bojowym nie tylko dla wczesnych polskich romantyków, ale w takiej samej mierze dla późniejszych federacjonistów, będąc punktem wyjścia żądań przywrócenia Polski w granicach z 1772 roku. Najwcześniejsze udokumentowane sformułowanie proroctw Wernyhory – manuskrypt przechowywany w Bibliotece Jagiellońskiej – datowane jest na rok 1809, wiele lat po śmierci wieszcza. Fakt, że w latach trzydziestych XIX wieku był on w szerokim obiegu, należy przypisać celowej propagandzie Rządu Narodowego z 1831 roku oraz późniejszego Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Ale nawoływanie do przywrócenia „dawnych granic" było najwyraźniej odbiciem głębokich uczuć i tłumaczy ono, dlaczego apel Wernyhory nie cichł przez cały długi okres jego literackiej i artystycznej kariery. Wernyhora był głównym bohaterem popularnej powieści historycznej, opublikowanej w 1838 roku w Paryżu przez Michała Czajkowskiego (1804–1886), który później – jako Sadyk Pasza – dowodził kozakami sułtańskimi. Następnie pojawił się w poemacie Siemieńskiego *Trzy wieszczby* (1841), w towarzystwie księdza Marka i szesnastowiecznego opata z Jędrzejowa, w wykładach Mickiewicza w Collège de France, w trzech utworach Słowackiego, na słynnym portrecie pędzla Matejki z 1883 roku i wreszcie w *Weselu* Wyspiańskiego. W folklorze ukraińskim, gdzie ultranacjonalistyczne wpływy wyparły wszelką wcześniejszą myśl o Polsce jako „jednej Matce" licznych dzieci, kozackiego wieszcza można było pamiętać tylko jako postać mniejszego kalibru i uczestnika wojen przeciwko „polskim panom", natomiast dla Polaków stał się symbolem odrodzenia dawnej Rzeczypospolitej, znakiem nadziei, że

> Polska swobodna od końca do końca
> Znów się rozciąga po dwa morza brzegi[36].

[36] Franciszek Ziejka, *Upiór grobów*, w: tenże, *W kręgu mitów polskich*, Kraków 1977, s. 141–179; jest tam przedstawiony pełny obraz Wernyhory.

Bohaterowie Mickiewicza, Słowackiego i innych romantycznych autorów wkraczali na scenę gównie w latach trzydziestych i czterdziestych XIX wieku i największy wpływ wywarli na pokolenie czasu powstania styczniowego. Potem, jako skutek stłumienia powstania, pojawił się nowy gatunek bohaterek i bohaterów.

Chłop Ślimak, antybohater powieści Prusa *Placówka* (1885), nie ma żadnej z cech swoich romantycznych poprzedników. Już samo nazwisko jest kpiną w stylu Dickensa z jego upartej natury; w podtekście można znaleźć nie tylko obraz stworzenia, które chowa się w ochronnej skorupie, ale i aluzję do bajki o żółwiu i zającu. Polacy, którzy w zawodach o sprawę polską biegną najprędzej, niekoniecznie ten bieg wygrają. Ślimak, wdowiec i odludek, mieszka sam za wsią, na szczycie wietrznego wzgórza, i ma tam pole, którego prawie nie da się uprawiać, ale które okazuje się idealnym miejscem na wiatrak, jakiego budowę planują niemieccy sąsiedzi. Obserwuje, jak w przypływie wielkoduszności dziedzic sprzedaje swój dwór Niemcom podczas wiejskiej zabawy, sam jednak z ponurą pogardą odrzuca wszystkie oferty kupna jego własnej niewielkiej działki. Dotykają go śmierć żony i pożar gospodarstwa, ale nic nie może Ślimaka przekonać do oddania ziemi. Jego jedynym wsparciem jest miejscowy ksiądz, który przeżywa ogromne wyrzuty sumienia z powodu igraszek z paniami z dworu i zaniedbywania parafian. Historia kończy się szczęśliwie: Ślimak nadal zostaje właścicielem swojego gospodarstwa, ponownie się żeni, oczekuje narodzin dziedzica i z uczuciem triumfu żegna wyjeżdżających niemieckich sąsiadów. Wieś Ślimaka jest najwyraźniej mikrokosmosem wiejskiej Polski, a jego zwycięstwo to zwycięstwo siły charakteru narodowego nad uciskiem i przeciwnościami losu. (Proletariacki odpowiednik arystokratycznego zamku Zbyszka). Mimo wymowy, jaką powieści nadano w Prusach, a także w Polsce Ludowej, nie była ona pomyślana głównie jako wyraz antyniemieckiej polemiki. Akcja toczy się w Królestwie Kongresowym, gdzie sąsiadów Ślimaka trzeba było przedstawić jako Niemców, żeby zadowolić carskiego cenzora. Tak czy inaczej, autor oddał pełną sprawiedliwość niemieckim cnotom – ciężkiej pracy, prostocie, dobrej organizacji i solidarności społecznej. W prywatnej korespondencji Prus wyjaśniał, że dawna Polska przez całe stulecia odnosiła korzyści z niemieckiej kolonizacji i że odpowiedzi na nowy „problem niemiecki" nie należy szukać w ślepej nienawiści do wszystkiego co niemieckie, ale czerpiąc nauki z sukcesu, który Niemcy odnieśli. Prus otwarcie i z aprobatą pisał o tym, czego nacjonaliści późniejszych lat jedynie się po cichu obawiali. Ślimak jest prototypowym produktem pozytywizmu, ale nie nacjonalizmu w wąskim tego słowa znaczeniu.

Natomiast Wokulski – bohater najbardziej znanej powieści Prusa *Lalka* (1890), jest nieodłącznie związany z szeroką panoramą społeczną stanowiącą tło dla opowieści o jego karierze. W odróżnieniu od Ślimaka, Wokulski jest wcieleniem nowego miejskiego świata Polski schyłku XIX wieku, w którym proste hasła pozytywistyczne z wcześniejszych dziesięcioleci zaczynają tracić atrakcyjność. Polskie społeczeństwo – jak zepsuta lalka – jest w stanie rozpadu. Dawne wartości odeszły w cień, a proste rozwiązania przestały być skuteczne. Prus pisał, że jego celem było przedstawienie idealistów polskich „na tle społecznego rozkładu", w wieku, który „zaczął się poezją, a skończył nauką, zaczął się rycerskością, a skończył kapitalizmem, zaczął się poświęceniem, a skończył geszefciarstwem, gonitwą za pieniądzem". Wokulski rozpoczyna dorosłe życie jako wyzyskiwany subiekt w sklepie; zostaje wciągnięty w konspirację polityczną i po otrzeźwiającym interludium na zesłaniu na Syberii staje się szanowanym obywatelem – mieszczaninem, naukowcem, kupcem i finansistą. Jego przyjaciele i znajomi reprezentują pełne spektrum standardowych polskich postaw – od anachronicznego romantyka Rzeckiego, wciąż jeszcze żyjącego napoleońskim eposem, przez doktora Szumanna, zasymilowanego żydowskiego lekarza, po Ochockiego, pozytywistę i entuzjastycznego zwolennika nauki i oświaty. Każdy z nich przeżywa frustrację, i żadnemu nie udaje się osiągnąć poczucia satysfakcji i spełnienia, a już najmniej Wokulskiemu, którego beznadziejna miłość do arystokratki nigdy nie może się zakończyć wzajemnością i małżeństwem. Ten psychologiczny zaułek, poruszająco wyrażony w przemożnym poczuciu Wokulskiego, iż życie jest pozbawione sensu, miał się otworzyć dzięki przemianie postaw, która już się rozpoczęła w rodzącej się na przełomie wieków atmosferze radykalizmu politycznego i artystycznego buntu. W wąskim literackim kontekście *Lalka* była oznaką przechodzenia od pozytywizmu do modernizmu. W szerszym kontekście historycznym wyprzedzała epokę odrodzenia polskiego życia politycznego i tworzenia nowoczesnych partii oraz nadejście w Europie Wschodniej okresu zamętu i napięć, które doprowadziły do wybuchu Wielkiej Wojny.

Benedykt Korczyński, głowa rodu opisanego w powieści Orzeszkowej *Nad Niemnem* (1887), ma coś wspólnego zarówno ze Ślimakiem, jak i z Wokulskim. Jak Ślimak, prowadzi rozpaczliwą walkę, starając się ocalić rodzinny majątek na granicy bankructwa przed obcymi wierzycielami; jak Wokulskiego, czekają go gorycz i rozczarowanie. Jego prywatne życie w małżeństwie z histeryczną, niechętną do współpracy żoną jest równie bolesne jak życie publiczne jako byłego powstańca, uczestnika powstania styczniowego. Walka wewnętrzna powoduje u niego trudności

w mówieniu, a każda próba rozmowy o powstaniu wywołuje bełkotliwe jąkanie. Korczyński nie należy ani do warstwy chłopskiej, ani do burżuazji, ale do sławetnej drobnej szlachty – potomków dawnej szlachty, tak dumnej, tak ubogiej i tak licznej, tłumnie zamieszkującej ziemie Polski i Litwy. (Tło społeczne – nad brzegami ojczystej rzeki Mickiewicza, w krainie, gdzie „tyle szczęścia, nadziei tak wiele (...) Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele"[37] – wygląda w gruncie rzeczy identycznie jak to, które pięćdziesiąt lat wcześniej Mickiewicz unieśmiertelnił w *Panu Tadeuszu* – sielankowym obrazie życia w dawnej Polsce, we dworze w Dobrzyniu). Nieszczęsny Korczyński tonie w morzu kłopotów – kłóci się z dziećmi, które strofują go za anachroniczną powściągliwość w kwestiach społecznych i za polityczną apatię; spiera się z reprezentującymi jeszcze biedniejszą i jeszcze drobniejszą szlachtę sąsiadami, których musi pozwać do sądu. Jego syn Witold jest radykałem i socjalistą; sąsiad – Anzelm Bohatyrowicz – był przyjacielem jego zmarłego brata, a na dobitkę jego podopieczna, Justyna, zaprzyjaźnia się z synem Bohatyrowicza Jankiem. Przyjaźń młodych ludzi z obu rodzin, zakończona ślubem Justyny i Janka, stopniowo przełamuje zapiekłą wrogość między starszymi i ujawnia nieszczęścia, które spowodowały ich zgorknienie. W ostatniej scenie pojednania młodzi odnajdują w głębi litewskiego lasu groby zarówno krewnych poległych w powstaniu, jak i swoich przodków – pionierów, którzy jako pierwsi osiedli w okolicy przed wieloma wiekami. Z punktu widzenia carskiej cenzury Orzeszkowa żeglowała dość niebezpiecznym kursem i wiele swoich politycznych i historycznych ocen musiała ubierać w maskę aluzji. Ale z punktu widzenia jej polskich czytelników połączenie tęsknoty za przeszłością z wiarą w pokolenie przyszłości zapewniło powieści niesłabnącą popularność, która trwa aż do dziś. Istotnie – Orzeszkowa wciąż znajduje naśladowców, a mieszkańcy Korczyna – swoich współczesnych potomków. W latach sześćdziesiątych XX wieku polski serial radiowy pod tytułem *W Jezioranach* – gatunkowo podobny do rekordowego programu BBC, opery mydlanej *The Archers* z Ambridge – opisywał życie we wsi, której główni mieszkańcy do złudzenia przypominali mieszkańców Korczyna. W latach siedemdziesiątych XX wieku bestsellerowa powieść Edwarda Redlińskiego *Konopielka* z ironią opisuje nawrócenie współczesnego Korczyńskiego – stosownie przemienionego w Kaziuka, chłopa mieszkającego po polskiej stronie granicy z Litwą – którego przed reakcyjnym sposobem myślenia ratuje spotkanie

[37] Adam Mickiewicz, *Do Niemna*, w: tenże, *Dzieła poetyckie*, t. 1: *Wiersze*, oprac. Czesław Zgorzelski, Warszawa 1983, s. 121.

z młodzieżą patrzącą w przyszłość błyszczącymi oczami. W słynnej scenie Kaziuk obserwuje „kobietę na górze". W latach osiemdziesiątych XIX wieku pozytywizm Orzeszkowej był innowacją, był objawieniem. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wieku XX jego ocenzurowane potomstwo stało się dogodnym nośnikiem artystycznej strawy późniejszej komunistycznej propagandy.

Od czasu pojawienia się w 1894 roku powieści Sienkiewicza *Rodzina Połanieckich* Stanisław Połaniecki zawsze należał do najbardziej kontrowersyjnych bohaterów polskiej literatury. Natomiast komuś, kto nie zna polskich warunków, mógłby się wydać postacią szczególnie nieszkodliwą, żeby nie powiedzieć bezbarwną. Z pewnością stanowi przeciwieństwo dziarskich, romantycznych bohaterów w rodzaju Zbyszka z Bogdańca czy Wołodyjowskiego, z którymi zazwyczaj kojarzy się Sienkiewicza. Połaniecki jest po prostu przedstawicielem polskiej burżuazji końca XIX wieku, praktykującym katolikiem, konformistą społecznym, człowiekiem pochłoniętym interesami i wygodną rutyną domowego życia. Ma jedyny wielki cel – odkupić od obecnego właściciela rodzinny majątek teściów, który został utracony z powodu nieudolności niezorganizowanych i nieodpowiedzialnych krewnych żony. Jest dobrym ojcem, filistrem w sprawach sztuki, bywa niewiernym mężem, w sumie jednak nie ma ani wielkich zalet, ani wielkich wad. Jego dewiza brzmi: „Wszystkie systemy filozoficzne mijają jak cienie, a msza po staremu się odprawia". Jeśli w ogóle istnieje polski nie-bohater, to jest nim właśnie on. Oczywiście o to w tej powieści chodzi. Sienkiewicz zagrał na uczuciach swoich czytelników z mistrzowską precyzją, wyposażając Połanieckiego we wszystkie negatywne cechy czy może raczej w brak wszystkich cech pozytywnych, które polscy patrioci najwyżej sobie cenili. Miał być przykładem postawy pozytywistycznej, ale przykładem, z którego żarliwi pozytywiści zapewne nie byliby dumni. Był Polakiem i katolikiem, ale reprezentował tę odmianę pełnej samozadowolenia postawy patriotycznej i religijnej, która romantyków i lewicowych radykałów doprowadzała do wściekłości. Połaniecki był zamożny, ale bogactwo miało służyć wyłącznie jego prywatnym korzyściom; miał środki, ale nie miał inteligencji i temperamentu, które pozwoliłyby mu zainteresować się sprawami kultury; przede wszystkim zaś był człowiekiem religijnym, lojalnym synem polskiego Kościoła, a mimo to uważał swój katolicyzm wyłącznie za rytualne potwierdzenie własnego sukcesu w sferze materialnej. Natychmiast stał się centralnym przedmiotem zażartych sporów między polskimi konserwatystami i radykałami, probierzem postaw społecznych i politycznych swojej epoki. Kiedy w 1908 roku ksiądz prałat

Jan Gnatowski (1855–1925), konserwatywny krytyk literacki ze Lwowa, ośmielił się wyrazić pogląd, że Połaniecki jest wartościowym człowiekiem, którego ideały cnot obywatelskich opierają się na uczciwym zarobku i posiadaniu ziemi, Wacław Nałkowski (1851–1911) zareagował gwałtowną ripostą:

> Sądzicie, że nabywanie ziemi – to czyn obywatelski, że ziemia was zbawi!? – Ta ziemia, która wszystkim wam, „uczciwie zarabiającym" cudzemi rękami, usunie się z pod nóg w przyszłości? Nie ona jest główną podstawą życia narodowego, lecz wielkie umysły i wielkie serca, których wy sami nie posiadacie (...) Umysły nie zacieśnione do horyzontu parafji, lecz obejmujące glob ziemski w jego dążeniu ku przyszłości; umysły nie zakrzepłe po chińsku w „wierze ojców", lecz zdolne do przyjęcia wiary nowej, wiary całej ludzkości. (...) Od zwierzęcych robigroszów w rodzaju Połanieckich ludzkość jutra odwróci się ze wzgardą; dla tych grubych atawistycznych typów nie będzie wtedy miejsca, i „ziemia" im nawet nie pomoże...[38]

Nacisk Nałkowskiego na pojęcie „umysłu narodowego" bardzo się zgadza z romantycznym sposobem myślenia, a jego atak na podły materializm Połanieckiego wyraża jak najdokładniej brak poszanowania romantyków dla pozytywistycznych priorytetów. Dając upust swojej złości i kierując ją przeciwko konserwatywnemu katolicyzmowi i obsesji posiadania ziemi, Nałkowski skupiał uwagę na nowym burżuazyjnym nacjonalizmie, któremu właśnie wtedy zaczynał ustępować dawny pozytywizm. Nie jest przypadkiem, że ruch narodowo-demokratyczny Dmowskiego, z jego natarczywym nawoływaniem do obrony „narodowego Kościoła" i „narodowego terytorium", nabierał znaczenia akurat w czasie, gdy Nałkowski pisał swoją tyradę, i że samego Nałkowskiego kojarzono z przeciwnym obozem socjalistów. W tym kontekście postać Stanisława Połanieckiego nie jest już tak niewinna, jak mogłoby się wydawać. Była dla czytelników wyzwaniem, skłaniając ich do opowiedzenia się po jednej lub po drugiej stronie granicy oddzielającej od siebie dwa główne nurty polskiej patriotycznej opinii publicznej, i od tego czasu już na zawsze stała się kamieniem probierczym tego podziału. Jest rzeczą dość charakterystyczną, że u szczytu reżimu gierkowskiego w la-

[38] Wacław Nałkowski, *Sienkiewicziana. Geneza produkcji i chwały Pana Sienkiewicza*, w: *„Chamuły", „Gnidy", „przemilczacze". Antologia polskiego pamfletu dwudziestowiecznego*, wybór, opracowanie, wstęp Dorota Kozicka, Kraków 2010, s. 38.

tach siedemdziesiątych XX wieku partyjni ideolodzy sprawujący kontrolę nad mediami wybrali *Rodzinę Połanieckich* jako materiał do swojego najbardziej rozrzutnie finansowanego serialu telewizyjnego. Trudno o lepszą ilustrację bankructwa polskiego komunizmu niż ten wybór – pozbawiony jakichkolwiek satyrycznych podtekstów – żyjącego wygodnie, konformistycznego katolickiego rodu reprezentującego typową polską burżuazję i niż jego pokazanie obywatelom Polski Ludowej jako wzoru do naśladowania.

Stary Skawiński jest bohaterem noweli Sienkiewicza *Latarnik* (1881), jednej z tych niezapomnianych perełek, które wciąż wywołują łzy w oczach czytelników. Skawiński, starzejący się emigrant żyjący w Ameryce, weteran powstania listopadowego, wojen domowych w Hiszpanii, Wiosny Ludów 1848 roku i amerykańskiej wojny domowej, znajduje na ostatnie lata życia zatrudnienie jako latarnik w latarni morskiej u skalistych wybrzeży Panamy. Wiedzie życie pustelnika, kompletnie odcięty od towarzystwa ludzi, z wyjątkiem kreolskich mieszkańców pobliskiej wioski rybackiej. Jego wspomnienia z Polski już niemal całkowicie wyblakły, aż pewnego popołudnia zupełnie nieoczekiwanie dostaje paczkę książek, a wśród nich *Pana Tadeusza*. Wieczorem, siedząc samotnie w swojej wieży nad oceanem, wśród szalejącej wichury na zewnątrz, przy lampie przygasającej od podmuchów, zabiera się do czytania. Już od pierwszej linijki ma w oczach łzy wzruszenia. „Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie; Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił", czyta. Potem nie potrafi już odłożyć książki, oczarowany poezją i ogarnięty nostalgią. Czyta, czyta i czyta, aż w końcu głęboko zasypia ze zmęczenia i po raz pierwszy zapomina zapalić światło latarni. Kiedy się budzi, ku swojemu wielkiemu przerażeniu dowiaduje się, że o skały w dole rozbiła się łódź. Dręczony wyrzutami sumienia stawia czoło wściekłej burzy i wyciąga zdaną na łaskę losu załogę bezpiecznie na brzeg. Ale przecież popełnił największe przestępstwo, jakie może popełnić latarnik. Zapomniał o świetle. Zostaje oskarżony o spowodowanie katastrofy i natychmiast zwolniony. Pozbawiony domu i przyjaciół, z głową zwieszoną ze wstydu, ale przyciskając do piersi ukochaną książkę, stary Skawiński wychodzi ze swojej latarni na deszcz i wiatr, aby dokończyć żywota jako wieczny tułacz. Koniec. Można *Latarnika* odczytać jako prostą opowieść – przejmującą i patetyczną. Zawiera wszystkie elementy romantycznego arcydzieła: honor i hańbę, bohaterstwo i cierpienie, huragany, oceany i unicestwienie człowieka przez siły natury. Jednocześnie – zwłaszcza w oczach czytelnika polskiego – może to być alegoria, której morał wydaje się bardzo odległy od ideałów polskich romantyków.

Życiorys Skawińskiego staje się przypowieścią o historii Polski XIX wieku. Po życiu pełnym poświęceń, po wielu walkach w niekończących się wojnach o wyzwolenie w ojczyźnie i za granicą stary człowiek nie ma nic. Wreszcie kończy tułaczkę, znajdując w starości pewną i pożyteczną pracę – po to tylko, aby stracić przytomność umysłu i środki do życia z powodu oddawania się lekturze romantycznej literatury. Efektem jego szaleństwa jest katastrofa, która naraża na niebezpieczeństwo innych ludzi i jego samego. Takie wyjaśnienie każe widzieć w *Latarniku* jedną z najsprytniejszych deklaracji polskiego pozytywizmu, w której romantycznych technik użyto w celu zdyskredytowania romantyzmu. Ale ten wniosek nie wydaje się aż tak pewny. Czy winą Skawińskiego jest to, że czytał *Pana Tadeusza*? Czy winą Mickiewicza jest, że *Pana Tadeusza* napisał? Pomijając morską katastrofę, czy Skawiński żałuje, że otworzył paczkę z książkami? Nie bardzo. Portret Skawińskiego został umiejętnie nakreślony z ogromną czułością i sympatią. Bohater jest skromny, a zarazem szlachetny, chętny do pracy i do walki, a błąd, jaki popełnił, mógłby łatwo popełnić każdy wrażliwy i skłonny do wzruszeń człowiek. Jest ludzką istotą mającą serce i rozum, a także poczucie obowiązku, i z tego powodu nie można go potępiać. Można by więc wnioskować, że Polski nie można winić za jej przeszłość ani za jej ludzkie uczucia. Polska, bez swojej kultury i swoich tradycji, nie miałaby żadnej nadziei, niczego, co by ją trzymało przy życiu. Ale tradycje Polski były niebezpieczne. Były silnym lekarstwem, które łatwo mogło doprowadzić do nieszczęścia. Krótko mówiąc, nie chciałoby się, żeby Polska się zmieniła, ale trzeba sobie zdać sprawę, że bez przerwy płaci ona wysoką cenę za swoje słabości, a jej ostateczny los jest niepewny.

Teraz można zrozumieć, dlaczego Henryk Sienkiewicz zachował pozycję najpopularniejszego autora na ogromnej polskiej liście. Na międzynarodową scenę wdarł się tylko za sprawą *Quo vadis?* (1896), powieści o pierwszych chrześcijanach w Rzymie, która mogła dotrzeć do całego chrześcijańskiego świata, a nie tylko do polskich czytelników. Ale jego wyczucie rytmu, w jakim biło polskie serce, było wręcz niezrównane. Umiał pisać „ku pokrzepieniu serc" jak romantyczni mistrzowie i „ku pobudzeniu trzeźwych umysłów" jak pozytywista. Umiał wyczarowywać najróżniejsze postacie – od rycerza Zbyszka z Bogdańca do mieszczucha Połanieckiego, od Wołodyjowskiego do Skawińskiego – które łącznie obejmowały pełne spektrum polskiej opinii publicznej. Łączył oba główne nurty literackich gustów w swojej wielkiej prozie i oszałamiających obrazach. Opisywał polską kondycję jak nikt przed nim i nikt po nim, a przede wszystkim jej nie potępiał.

Na przełomie wieków ustalona równowaga zaczęła się chwiać – zarówno w dziedzinie literackich i artystycznych gustów, jak i w dziedzinie spraw społecznych. Nadejście modernizmu – po całej generacji zdominowanej przez pozytywizm – stosownie zbiegło się z zawarciem sojuszu francusko-rosyjskiego, z szybkim wzrostem liczby partii politycznych i rozwojem nowych warstw społecznych. Wobec tych przemian nadszedł czas remanentów, spojrzenia wstecz na minione stulecie, przyjmowania nowych postaw. W tym remanencie Stanisław Wyspiański (1869–1907) pełnił funkcję głównego księgowego w dziedzinie sztuki. Miał silne poczucie historii, a w Krakowie, w Galicji, miał też swobodę działania bez poważniejszych ograniczeń. Był człowiekiem wielu talentów – dramaturgiem, poetą, reżyserem teatralnym i malarzem – a ponieważ postanowił być oryginalny – co samo w sobie jest cechą romantyczną – więc często odrzucał wszelkie próby klasyfikacji. Troszczył się głównie o przywrócenie do życia, przepracowanie i zinterpretowanie na nowo repertuaru romantyków. Jako reżyser był autorem szeregu wybitnych przedstawień, w tym, w roku 1901, premiery *Dziadów*. Jako dramaturg podejmował standardowe wątki romantyzmu – średniowieczne rycerstwo, późniejsze powstania – ale traktował je w sposób, który mógłby zadziwić – jeśli nie obrazić – romantyków. *Warszawianka* (1898) i *Noc listopadowa* (1904) to fantazje osnute na wydarzeniach z listopada 1830 roku. *Legion* (1900) jest wizją działań wojskowych Mickiewicza we Włoszech w latach 1848–1849. *Wyzwolenie* (1903), którego akcja toczy się na scenie otwartego właśnie Teatru Miejskiego w Krakowie, propaguje romantyczny obraz poezji jako strażniczki przyszłości narodu, jednocześnie ostro zwalczając romantyczną ideę zbawienia narodu przez cierpienie. Arcydziełem Wyspiańskiego było jednak bez wątpienia *Wesele* (1901), oparte na autentycznym wydarzeniu z jego życia (Andrzej Wajda miał później nakręcić według niego swój wielokrotnie nagradzany film). Kiedy jeden z kolegów Wyspiańskiego, krakowski poeta, ożenił się z miejscową chłopką, artysta był gościem na trwającym przez tydzień weselu w domu panny młodej w podkrakowskich Bronowicach, co dostarczyło mu tła dla akcji dramatu. Sztuka jest połączeniem, a zarazem przeciwstawieniem rozbudowanego widowiska historycznego, ukazującego polskie wojny wyzwoleńcze, poważnej refleksji na temat podziałów rozdzierających współczesne społeczeństwo. W miarę jak muzyka towarzysząca tańcom weselnym staje się coraz żywsza, goście robią się coraz bardziej pijani i coraz bardziej zacierają się różnice między faktami i fikcją, zaczyna się pojawiać korowód gości reprezentujących najważniejsze wydarzenia

z polskiej historii. Najpierw przychodzi królewski błazen Stańczyk, potem Rycerz i Hetman Rzeczypospolitej szlacheckiej, a wreszcie Jakub Szela, sprawca masakry z 1846 roku, oraz Wernyhora. Symbolizują wielkość i upadek Polski. Jednocześnie zaś krakowscy intelektualiści ciągle próbują nawiązać rozmowę ze swoimi chłopskimi gospodarzami, odkrywając, jak mało jedni i drudzy mają ze sobą wspólnego. Przekaz polityczny był przygnębiająco oczywisty. Polacy mieli wprawdzie wspaniałą wspólną przeszłość, ale nie mieli ani środków, ani motywacji do podejmowania nowych politycznych inicjatyw. Znaczna część *Wesela* zawiera superromantyczne treści, natomiast płynące z niego wnioski są zdecydowanie nieromantyczne. Życie już nie było proste. Polityka literatury polskiej, z jej mądro-znużoną aurą findesieclowej dekadencji już osiągnęła – podobnie jak mijające stulecie – pełną dojrzałość.

Ciągłe współdziałanie „słowa" i „czynu", myśli romantycznej i politycznego działania, historii i literatury, przenikało dziewiętnastowieczną Polskę we wszystkich sferach życia. Słowo inspirowało czyn, czyn inspirował nowe słowo, nowe słowo inspirowało kolejny czyn, kolejne czyny inspirowały kolejne słowa... i tak *ad libertatem*. Polscy pisarze nurtu romantycznego zawsze twierdzili nie tylko, że wielka literatura ma swój wkład w powstania, ale że je nawet przyspiesza. Widzą w literaturze nie tylko konieczny warunek wstępny, ale najsilniejszy motyw. Mówią o „prymacie poezji w polskiej kulturze politycznej" i pokazują, w jaki sposób dostarczała ona „praktycznego programu" politycznym kalkulacjom młodych.

> Dominacja poezji w kulturze politycznej – piszą Janion i Żmigrodzka, omawiając okres między listopadem i styczniem – programowała zachowanie polityczne młodych. Podsuwała im wzory osobowe, repertuar gestów, słownik służący werbalizacji przeżyć ideowych i psychicznych czy działań organizacyjnych, stereotypowych wyobrażeń tak własnego środowiska, jak wrogów i społeczeństwa, wizji przyszłej walki i przyszłego zwycięstwa. Formułowane jako marzenia twórców, a dziś już doszczętnie starte i zbanalizowane w ponad stuletniej recepcji czytelniczej zwroty o „rządzie dusz" i „sile fatalnej tej poezji", odpowiadały wówczas jej rzeczywistym funkcjom w życiu awangardy pokolenia. Stwarzała mu świat wolności duchowej, jednocześnie cel dążeń i sposób zniesienia nacisku strasznej rzeczywistości[39].

[39] Maria Janion, Maria Żmigrodzka, dz. cyt., rozdz. V: *Powstanie*, s. 342.

Romantyczny wątek powraca raz za razem jako ilustracja tego mechanizmu, zazwyczaj w przebraniu barda lub wieszcza, którego delfickie wywody porywają bohatera do działania. Halban z *Konrada Wallenroda* jest tu oczywistym przykładem. Współczesne pamiętniki dostarczają argumentów. Powstańcy z lat 1830–1831 opowiadają o tym, jak lektura Mickiewicza przekonała ich do sprawy polskiej. Przywołując jedną za scen *Konrada Wallenroda*, pisali: „Odrzuciliśmy miecz archanioła, chwytając za nasze własne". Żołnierze-poeci byli równie liczni w szeregach polskiego wojska jak żandarmi we wrogich oddziałach rosyjskich. Wincenty Pol (1807–1872), Józef Bohdan Zaleski (1802–1886), Seweryn Goszczyński (1801–1876), Lucjan Siemieński, Dominik Magnuszewski, bracia Józef i Jerzy Dunin-Borkowscy, Konstanty Gaszyński, Maurycy Gosławski, Florian Garczyński... Ludwik Nabielak, konspirator z grupy Belwederczyków, wspomina, jak przyjechał do Warszawy z Galicji w nadziei, że będzie mu dane poświęcić się „rzemiosłu Apollina" – tylko po to, aby po paru dniach przywdziać mundur żołnierza. Widzieli siebie jako współczesnych rycerzy, wyruszających na walkę ze smokiem lub niedźwiedziem, aby uratować narodową dziewicę. W latach 1863–1864 powstańcy składali hołd Słowackiemu. Janion i Żmigrodzka piszą:

> W klimacie przedstyczniowym szczególną rolę odegrał romantyzm doby mistycznej, który wtedy właśnie uzyskał najszerszy rezonans społeczny (...) Scenariusz działań i zachowań pokolenia w toku nowej próby historycznej przynosiły (...) utwory mistyczne [Słowackiego], kształtowała go postawa życiowa poety, jego wypowiedzi podczas Wiosny Ludów, znane dobrze gronu wielbicieli[40].

Dla otrzeźwienia dzisiejszych historyków wypada dodać, że takie stwierdzenia, wypowiadane przez ich kolegów literaturoznawców, bez wątpienia mają posmak *licentiae poeticae*. W opinii analityków, którzy szukają wyłącznie przyczyn politycznych i socjoekonomicznych, wybuch powstania styczniowego daje się w pełni wyjaśnić bez odwoływania się do marginalnych czynników literackich. Rzeczą uderzającą jest, że trzeźwo myślący, naukowi w podejściu i pozytywistyczni w postawach analitycy z lat sześćdziesiątych XIX wieku, którzy powstanie styczniowe oglądali na własne oczy, nie próbowali minimalizować roli

[40] Tamże, s. 537.

literatury. Nie stawali po stronie profesora Kieniewicza. Przeciwnie, wybierali literaturę jako przedmiot, na który należy kłaść szczególny nacisk. Atakując poetów romantycznych z tak wielką zapalczywością, jednocześnie prawili im nieoceniony komplement: uznawali ich ogromne wpływy. Pozytywiści nie zaprzeczali, że romantycy odegrali bardzo ważną rolę, podobnie jak ich literatura. Utrzymywali natomiast, że rola romantyzmu była szkodliwa i destrukcyjna i że czegoś podobnego należy na przyszłość unikać. Innymi słowy, oba główne obozy ścierające się w Polsce połowy XIX wieku byłyby zgodne co do żywotnych powiązań między słowem i czynem. Gdyby tak nie było, nie spędzaliby aż tyle czasu, kompilując, czytając i omawiając największy korpus literacki w Europie Wschodniej.

Najlepszym potwierdzeniem istnienia tych powiązań jest biografia najwybitniejszego przedstawiciela polskiej literatury, Adama Mickiewicza. Mickiewicz był urodzonym poetą, miał imperatyw pisania, najwspanialsze arcydzieło polskiej poezji – *Wielką Improwizację* Konrada z III części *Dziadów* – stworzył w ciągu jednej nocy, a pięćdziesiąt siedem lat jego życia stanowczo nie wystarczało dla talentu tej miary. Mimo to był bezustannie rozdarty między obowiązkiem poety, jakim było pisanie, i obowiązkiem patrioty, który wymagał podjęcia czynu. Sielankowe dzieciństwo spędził na litewskiej wsi, a potem, w 1823 roku, młodości studenta i nauczyciela położyło nagły kres aresztowanie za przynależność do tajnego stowarzyszenia, a następnie pięcioletnie wygnanie do środkowej Rosji. Ale kiedy w roku 1829 Mickiewicz na zawsze opuszczał wschodnią Europę, nigdy nie odwiedziwszy ani Warszawy, ani Krakowa, ulgę na myśl, że wyjeżdża z Rosji, odczuwał równie silnie jak strach przed życiem bezsilnego wygnańca. Inspiracją jego tłumaczenia *Pożegnania Czajld Harolda* było nie wygnanie z Polski, lecz wyjazd z Petersburga. W prologu do *Dziadów* Więzień-Konrad mówi: „Błąkać się w cudzoziemców, w nieprzyjaciół tłumie, / Ja śpiewak, – i nikt z mojej pieśni nie zrozumie / nic...". W czasie powstania listopadowego Mickiewicz był we Włoszech i mocno go zabolał wiersz Maurycego Gosławskiego *Do Adama Mickiewicza bawiącego* w *Rzymie podczas wojny narodowej*. Potem bardzo się starał odkupić tę winę i rzucił się w wir działalności politycznej i literackiej. W roku 1844 z przyczyn politycznych zawieszono jego wykłady w Collège de France, a w roku 1848 wyjechał do Rzymu, aby tam organizować legion do walki z Austrią. Przez niemal dwa lata jego pięciuset ochotników walczyło w kolejnych rewolucjach we Włoszech, aż po upadku Republiki Rzymskiej w 1849 roku legion został rozbrojony przez

Francuzów, a żołnierzy wygnano do Grecji. W roku 1855, po wybuchu wojny krymskiej, Mickiewicz jeszcze raz wybrał się w podróż, tym razem do Konstantynopola jako agent wojskowy z ramienia Hotelu Lambert. Organizował tam Drugi Pułk Kozaków Sułtańskich do walki z Rosją; próbę realizacji planu kolejnego polskiego legionu przerwała śmierć: Mickiewicz zmarł na cholerę w nędznej kwaterze na wybrzeżu Bosforu. (W tym czasie jego młodszy brat, Aleksander Mickiewicz, 1801–1871, nadal pracował jako profesor prawa rzymskiego na uniwersytecie w Charkowie na Ukrainie). Szczątki poety sprowadzono z powrotem do Paryża i ostatecznie, w 1890 roku, pochowano w krypcie na Wawelu. Dzieła wszystkie Mickiewicza wydano w 1855 roku w Magdeburgu, ale w Polsce ukazały się dopiero po odzyskaniu niepodległości. Pierwszy pomnik wystawiono mu w roku 1857 w pruskim Poznaniu, ale ani w Warszawie, ani w Krakowie nie było żadnego aż do setnej rocznicy jego urodzin w 1898 roku; w Wilnie pierwszy pomnik odsłonięto dopiero w roku 1922. Mówiąc słowami jednego z biografów, Mickiewicz był „wieszczem narodu polskiego i pielgrzymem wolności ludów".

Polskie rejestry – zarówno słów, jak i czynów – były godne podziwu i wobec tego polscy autorzy wyolbrzymiają sprawę, twierdząc, że romantyzm w Polsce stał się czymś jedynym w swoim rodzaju jako źródło inspiracji do zbrojnej rewolucji[41]. Było mnóstwo innych romantyków – we Francji, Niemczech, Włoszech, na Węgrzech, w Irlandii, a nawet w Anglii – gotowych umrzeć za sprawę. Trudno zapomnieć o lordzie Byronie, zmarłym podczas oblężenia Missolungi w wojnie o niepodległość Grecji. Wojny okresu włoskiego *Risorgimento* były wręcz przesiąknięte romantyzmem, i choć ich błogosławieństwem stawało się wsparcie z zagranicy, podejmowane akcje okazały się jeszcze większe niż powstańcze zrywy w Polsce. Mimo to jednak – a romantycy pierwsi podpisaliby się pod takim stwierdzeniem – sukcesu nie mierzy się liczbą żołnierzy na polu walki ani kapryśnymi losami bitew. Sukces mierzy się siłą woli i żywotnością ducha narodu.

[41] Np. Andrzej Kijowski, *Listopadowy wieczór*, Warszawa 1972. Szczególne miejsce Polski w europejskiej tradycji rewolucyjnej wydaje się bardzo oczywiste w kontekście wydarzeń z lat 1830–1831, ale argument staje się mniej przekonujący, jeśli spojrzeć na okres romantyzmu jako całość.

1. Niemoc dyplomacji

„Sprawa polska" – podobnie jak jej towarzyszka, „sprawa wschodnia" – zajmuje pierwszoplanową pozycję w każdym niemal standardowym podręczniku historii dyplomacji europejskiej, a najlepszym przykładem egocentrycznego podejścia większości zachodnich historyków jest nacisk, jaki kładą na ten aspekt spraw polskich, który miał najmniejszy wpływ na zmianę sytuacji. Przez cały XIX wiek i później mężowie stanu zachodnich mocarstw podtrzymywali złudzenie, że działania dyplomatyczne mogły skłonić imperia Europy Wschodniej do zmiany polityki. Zalew dotyczących Polski memorandów, projektów, not dyplomatycznych, który się zaczął w czasie wojen napoleońskich, nie zmalał aż do lat sześćdziesiątych XIX wieku i przybierał na sile podczas każdego kryzysu europejskiego w XX wieku. Wielu Polaków miało takie same złudzenia. W okresie romantyzmu silne było przeświadczenie, że wsparcie dla ruchów powstańczych w Europie Wschodniej powinny stanowić wspomagające międzynarodowe inicjatywy dyplomatyczne płynące z Zachodu. Hôtel Lambert Czartoryskiego, działający w latach 1831–1870, był wcieleniem tego przekonania. Według najstarszego dowcipu z dyplomatycznego repertuaru, konkurs na najlepsze wypracowanie o słoniu przyniósł plon w postaci poematu *Les amours de l'éléphant* napisanego przez francuskiego kandydata do nagrody, traktatu *Der Elephant und die Philosophie* nadesłanego przez Niemca, eseju *Elephants and Cricket* pióra zawodnika z Anglii i zgłoszonej przez Polaka tyrady zatytułowanej *Fałszywe przekonania słoni o istocie sprawy polskiej*.

Pozostaje jednak faktem, że bardzo nieliczne – jeśli w ogóle jakieś – memoranda dyplomatyczne w sprawie przyszłości Polski kiedykolwiek wywarły decydujący wpływ na bieg wydarzeń. Podczas każdej z wielkich wojen na kontynencie terytorium Polski podzielonej między zaborców stanowiło obszar rzeczywistej lub potencjalnej destabilizacji, a na każdej z wielkich konferencji pokojowych – zarówno w latach 1814–1815 w Wiedniu i w latach 1919–1920 w Paryżu, jak i podczas konsultacji państw sojuszniczych w Jałcie i Poczdamie w roku 1945 – przyszłość Polski była przedmiotem ożywionych negocjacji. W okresach między wojnami i konferencjami – od memoriału księcia Czartoryskiego z 1803 roku po projekt federacji polsko-czechosłowackiej z roku 1943 – wymyślano coraz to nowe niefortunne formuły, próbując przywrócić stabilizację i pogodzić żądania polskiego narodu z interesami państw rządzących. Przez 150 lat po rozbiorach sprawa polska stanowiła zawiłą łamigłówkę, której nie udawało się rozwiązywać tak,

aby zadowolić głównych zainteresowanych. Na przestrzeni lat wygenerowała całe góry materiałów archiwalnych i oceany opracowań. Ale niemal wszystkie inicjatywy dyplomatyczne okazywały się nieskuteczne. Na przykład w Wiedniu Castlereagh i Talleyrand w żaden sposób nie zdołali przekonać Aleksandra I, żeby rozluźnił stalowy chwyt, w jakim trzymał kraj od dawna już przecież okupowany przez zwycięską armię carską. Kiedy wreszcie dyplomaci ustalili, że car będzie rządzić w Warszawie jako konstytucyjny król Polski, ten średniej miary sukces powitano jak doniosły triumf. Kiedy zaledwie siedemnaście lat później Rosjanie jednostronnie zawiesili konstytucję, protesty okazały się daremne. W roku 1919 w Paryżu dyplomaci państw alianckich w żaden sposób nie zdołali przekonać Jozefa Piłsudskiego, żeby zrzekł się władzy w Polsce, chociaż mocno podejrzewali go, iż jest proniemieckim intruzem. Nie mieli żadnych możliwości wprowadzenia w życie swoich deklaracji w sprawie jakiegokolwiek aspektu sprawy polskiej z wyjątkiem zachodnich granic, a i to ponieważ mogli wywrzeć presję na Niemcy i Czechosłowację, ale nie na Polskę. Historia plebiscytów organizowanych przez aliantów w Polsce to niemal wyłącznie pasmo niepowodzeń. Krytyczne spory z Litwą, sowiecką Rosją i Ukrainą kończono przy użyciu siły zbrojnej, bez pośrednictwa aliantów. W Jałcie i w Poczdamie Churchill i Roosevelt w żaden sposób nie zdołali przekonać Stalina, żeby rozluźnił stalowy chwyt, w jakim trzymał kraj od dawna już przecież okupowany przez zwycięską Armię Czerwoną. Kiedy wreszcie dyplomaci ustalili, że wspierany przez Sowietów reżim ma się poddać próbie wyborów powszechnych, ten średniej miary sukces powitano na Zachodzie jak doniosły triumf. Kiedy niecałe dwa lata później wybory bezczelnie sfałszowano, protesty okazały się daremne. W każdym z tych decydujących momentów decyzje zapadały nie przy stole konferencyjnym, lecz w wyniku lokalnej sytuacji, a podejmowali je ludzie praktycznie sprawujący władzę. W chwilach mniej ważnych działania dyplomatyczne liczyły się jeszcze mniej. Prawdę mówiąc, w całej historii nowożytnej noty, protesty i repliki dotyczące Polski padały na biurka gęsto jak jesienne liście. Europa Wschodnia leżała poza zasięgiem zachodnich wpływów i polityczni oraz wojskowi władcy Polski mogli bezkarnie ignorować zachodnią retorykę.

Wiek XIX uważa się często za szczyt rozwoju europejskiej dyplomacji, złoty okres „koncertu mocarstw". Ale Polska była z tego „koncertu" w znacznym stopniu wyłączona. Na niektórych dyplomatycznych festiwalach – na przykład na kongresie wiedeńskim – sprawę interesów polskich wprawdzie poruszano, ale zaraz ją odrzucano. Jednakże przy

większości okazji – na kongresie w Paryżu w 1856 roku czy na kongresie w Berlinie w roku 1878 – nawet o niej nie wspominano. Precedens mocno się utrwalił: zachodni dyplomaci mogli albo mówić o Polsce, albo siedzieć cicho, ale nie mogli oczekiwać, że uda im się spowodować praktyczne działania[42].

2. Tradycja militarna

W okresie minionych trzystu lat można znaleźć niewiele narodów, które byłyby świadkami liczniejszych działań wojskowych niż Polska. W wieku XVIII – podobnie jak w wieku XX – ziemie polskie regularnie stawały się areną wojen Europy toczonych „na froncie wschodnim". W XIX wieku dostarczały armiom trzech walczących imperiów niezliczonej kadry oficerskiej, ochotników i rekrutów. Mimo to niewiele narodów zyskało tak mało w zamian za pot i przelaną krew. Polski żołnierz często maszerował pod obcym sztandarem. Kiedy zaś przyszło mu maszerować pod flagą polską, niemal zawsze szedł na spotkanie klęski. To smutne, ale okoliczności zmuszały Polskę do odgrywania roli głównej europejskiej hodowli mięsa armatniego.

Polskie siły wojskowe, sparaliżowane od 1717 roku przez narzucone z zewnątrz ograniczenia, wiodły kapryśny żywot aż do lat czterdziestych XIX stulecia. Wojska dawnej Rzeczypospolitej, zreformowane w 1788 roku, nigdy nie osiągnęły docelowej liczby stałych sił liczących 100 000 żołnierzy – Rosjanie i Prusacy nie mieli zwyczaju zachęcać konkurencji, ale po ich rozwiązaniu stworzyły zasoby zawodowych żołnierzy, którzy później utworzyli trzon Polskich Legionów (1797–1802), armii Księstwa Warszawskiego (1807–1813) i armii polskiej Królestwa Kongresowego (1815–1831). Był to szczytowy okres wpływów Napoleona.

[42] Kilku recenzentów *Bożego igrzyska* podjęło kwestię „niemocy dyplomacji" w nowożytnej historii Polski – zob. zwłaszcza artykuł Piotra Wandycza w „Zeszytach Historycznych" (Paryż) 1982, nr 62, s. 19. Jednakże ta krytyka wydaje się oparta na nieporozumieniu. Nikt nie mógłby zaprzeczyć, że sprawa polska odegrała bardzo istotną rolę w układzie stosunków międzynarodowych zarówno w XIX, jak i w XX wieku. Centralną pozycję Polski w sporach między mocarstwami i w rozwoju współczesnej dyplomacji słusznie podkreślano w wielu wybitnych opracowaniach, w tym w pracach samego Wandycza. Nie jest to punkt sporny. Można natomiast po prostu wątpić, czy działanie dyplomatyczne kiedykolwiek spowodowało zmianę w historii Polski w sposób tak istotny, jak mogłyby na to wskazywać sugestie dyplomatów i historyków dyplomacji oparte na samej tylko liczbie badanych materiałów.

Wprowadzenie w 1807 roku sześcioletniej służby wojskowej, obowiązującej wszystkich mężczyzn między dwudziestym pierwszym i dwudziestym ósmym rokiem życia w Księstwie Warszawskim, po raz pierwszy udostępniło szkolenie i doświadczenie wojskowe szerokim rzeszom ludności, odgrywając istotną rolę w powstawaniu w Polsce kultu Napoleona. Francuzi wprowadzili ideę „narodu pod bronią", dyskredytując tradycyjny obraz wojska jako tłumu zdemoralizowanych chłopów pańszczyźnianych w mundurach, zmuszonych do marszu w takt rozkazów wydawanych przez ich oficerów – szlachciców w pudrowanych perukach. Zderzenie wartości reprezentowanych przez były napoleoński korpus oficerski Królestwa Kongresowego z etosem ich bardziej konserwatywnych rosyjskich dowódców w dużej mierze wyjaśnia niespokojne nastroje w wojsku, jakie panowały w Polsce w okresie przed wybuchem powstania listopadowego, przyczyniając się do decyzji cara o ostatecznym rozwiązaniu polskiego wojska.

Potem, w ciągu osiemdziesięciu sześciu lat, od roku 1832 do roku 1918, formalnie nie istniało wojsko polskie, które miałoby jakiekolwiek znaczenie. Rozmaite akcje militarne, podejmowane w ramach powstań z lat 1846, 1848 lub 1863, nie niosły za sobą żadnych możliwości skoordynowanych i skonsolidowanych działań. Należały do romantycznego świata amatorskiej walki partyzanckiej, świata, w którym ważniejsze jest, żeby brać udział w grze i dotrzymywać pola, niż żeby myśleć o zwycięstwie. Rozmaite oddziały polskich sił zbrojnych, jakie się pojawiały – od Legionu Mickiewicza we Włoszech i armii Bema w Siedmiogrodzie po dywizję polskiej kawalerii z formacją kozaków sułtańskich Czajkowskiego podczas wojny krymskiej, oddziały partyzantów z czasów powstania styczniowego i wreszcie polskie Legiony Piłsudskiego (1914–1917), Polnische Wehrmacht i Armię Polską we Francji generała Hallera (1917–1919) w czasie I wojny światowej – były tworami efemerycznymi i żadna z tych formacji nie przetrwała dłużej niż trzy lub cztery lata. Nie powinno się jednak umniejszać ich osiągnięć. Już samo ich istnienie było cudem determinacji i poświęcenia. Ale ani pod względem skali, ani pod wpływem znaczenia społecznego nie mogą się równać z dziewiętnastowiecznym polskim kontyngentem w armiach Rosji, Prus i Austrii.

W istniejących okolicznościach nie mogły się rozwinąć ani żadne trwałe instytucje wojskowe, ani polska tradycja zawodowych sił zbrojnych. Ponoszone raz za razem klęski raz za razem podważały kompetencje każdego pokolenia w oczach następnej generacji. Po krótkotrwałych nadziejach następowało zazwyczaj gorzkie rozczarowanie. Korpus oficerski, pułki, akademie wojskowe z początku XIX wieku – podobnie jak

analogiczne instytucje Drugiej Rzeczypospolitej – były rozwiązywane, zanim zdążyły przekazać własne tradycje swoim następcom. Rozwijała się natomiast silna wiara w jednostkowe cnoty polskiego żołnierza. Wytrwałość i siła w obliczu przeciwności, umiejętność improwizacji, przywiązanie do towarzyszy, brak troski o własne bezpieczeństwo – te cechy budziły podziw wszystkich armii, w których służyli Polacy. I właśnie te cechy wychwalano w ogromnym repertuarze polskiego folkloru wojskowego. Można je odnaleźć w dziarskich mazurkach kawalerzystów, w niezliczonych wersjach „pożegnania z ułanem", przede wszystkim zaś w zapadających w pamięć słowach marszu Legionów Piłsudskiego *My, Pierwsza Brygada*:

Legiony to – żołnierska nuta,
Legiony to – ofiarny stos,
Legiony to – żołnierska buta,
Legiony to – straceńców los.

My, Pierwsza Brygada,
Strzelecka gromada,
Na stos rzuciliśmy swój życia los,
Na stos, na stos.

Jak przyznawał sam Piłsudski, kiedy tworzył swoje Legiony, w perspektywie miał tylko alternatywę „śmierć albo chwała". Był całkowicie przygotowany na tę pierwszą możliwość.

Podjęta przez Piłsudskiego próba ponownego wprowadzenia niezależnych polskich sił zbrojnych na scenę międzynarodową wydawała się śmieszna wielu spośród jego współczesnych, a doświadczenie nie powiodło się aż tak dobrze, jak oczekiwał. Istniejący na początku Związek Walki Czynnej (ZWC), założony w 1908 roku i sfinansowany z pieniędzy zdobytych podczas napadu na pociąg pocztowy na Litwie, przemienił się najpierw w Związki Strzeleckie, tworzone w Galicji w latach 1910–1913, a następnie, z chwilą wybuchu wojny, w jawną formację Legionów pod auspicjami Austrii. Wzruszający obraz Komendanta (odmalowany przez przyjaciela Piłsudskiego, Stefana Żeromskiego) pokazujący Piłsudskiego w roku 1909, mieszkającego w zakopiańskiej chacie i „chodzącego w samej bieliźnie", oraz równie wzruszający pochód, 6 sierpnia 1914 roku, żołnierzy Pierwszej Kompanii Kadrowej, którzy pieszo przekroczyli rosyjską granicę w pobliżu Krakowa, niosąc na ramionach siodła w nadziei na znalezienie gdzieś koni, nie budziły zbyt wiele zaufania. Polska ludność

Kielc nie witała z radością strzelców Piłsudskiego, obawiając się interwencji „naszych chłopców" (czyli carskiej armii), a późniejsze bitwy staczane przez legionistów w szeregach armii austriackiej szybko zgubiły się w nawale potężnych zmagań walczących ze sobą głównych sił zbrojnych frontu wschodniego. Legiony zostały przymusowo rozwiązane w lipcu 1917 roku, zanim udało im się osiągnąć swój cel. Ale ktoś, kto chciałby oceniać ich krótką karierę wyłącznie w kategoriach faktów, nie dostrzegłby sedna sprawy. Ich poświęcenie, a prawdę mówiąc, czysta zuchwałość, na nowo rozpaliły poczucie, że korzyści płynące z niezależnych polskich działań nie są całkowicie złudne i że Rzeczpospolita Polska może się jeszcze odrodzić. Ich osiągnięcia militarne były nieistotne, natomiast wpływ psychologiczny był bardzo ważny.

To samo da się powiedzieć o Armii Polskiej we Francji. Została utworzona w 1917 roku i rekrutowała się spośród polskich jeńców wojennych wziętych do niewoli na froncie zachodnim oraz z polskich ochotników z Ameryki. Głównodowodzącym był dawny oficer Legionów, generał Józef Haller (1873–1960), który uniknął internowania przez Austriaków i przez Murmańsk dotarł do Francji. Jego armia przeszła chrzest bojowy jesienią 1918 roku w Lotaryngii, ale bezpośrednio uczestniczyć w walce o polską sprawę mogła dopiero wtedy, kiedy znalazła się w Polsce, już po odzyskaniu niepodległości. Natomiast sama świadomość jej istnienia bardzo podnosiła polskie morale. Przybycie oddziałów z Zachodu w maju 1919 roku – w eleganckich błękitnych francuskich mundurach i z najnowocześniejszą bronią – było doświadczeniem, jakie nie stało się udziałem odpowiedników tej armii z czasów II wojny światowej; wzbudziło uczucia wielkiej dumy i radości.

Refleksje Piłsudskiego na temat kwestii militarnych z ostatniego etapu okresu rozbiorów rzucają interesujące światło na trudną sytuację Polski. Piłsudski oczywiście bardzo się interesował wydarzeniami zachodzącymi na scenie międzynarodowej, dokładnie badając kulisy zwycięstwa Japończyków nad Rosjanami w latach 1904–1905 i losy wojen na Bałkanach z lat 1912–1913. (W 1906 roku nawet odwiedził Tokio, z planem utworzenia „legionu" pod dowództwem Japończyków, złożonego z tysięcy polskich rekrutów, którzy trafili do niewoli). W lutym 1914 roku wygłosił na posiedzeniu Towarzystwa Geograficznego w Paryżu wykład, prawidłowo przepowiadając bliskość i ogólne zarysy wojny światowej, w której Niemcy i Austria miały pokonać Rosję i same zostać pokonane przez zachodnie mocarstwa, nie przewidział natomiast dokładnie sposobu, w jaki wojnę można by wykorzystać na korzyść Polski. Głównie jednak zajmował się historią wojskowości, a szczególnie dwoma jej

elementami: kampaniami Napoleona i partyzantką. Kariera Napoleona przyciągnęła jego uwagę przede wszystkim z powodu nacisku, jaki Bonaparte kładł na moralne aspekty walki, partyzantka zaś – ponieważ był to dla niego jedyny realistyczny sposób przeciwstawienia się, w przewidywalnej przyszłości, zawodowym armiom Europy Wschodniej. W tej sprawie szacunek Piłsudskiego dla oporu Burów przeciwko armii brytyjskiej w Afryce Południowej ustępował jedynie bezgranicznemu podziwowi, jaki miał dla polskich powstańców z lat 1863–1864. Jego prace dotyczące powstania styczniowego wciąż jeszcze są standardowym akademickim wprowadzeniem do tematu. W odróżnieniu od wielu współczesnych mu przedstawicieli pokolenia pozytywistów Piłsudski wierzył mocno, że kredyt moralny płynący z akcji militarnej może wywrzeć wpływ na przebieg wydarzeń, kierując je we właściwą stronę, bez względu na bezpośredni wynik walk; był w tej wierze najczystszej wody romantykiem. Przy jakiejś okazji powiedział: „Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo, zwyciężyć i spocząć na laurach – to klęska". Na jego życzenie na grobie na cmentarzu Na Rossie w Wilnie, w którym obok prochów matki pochowano jego serce, wypisano fragment wiersza Słowackiego:

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła, niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu
I słychać jęk szatanów w sosen szumie.
Tak żyłem[43].

3. Alienacja od władzy

Istniały trzy powody, dla których władzę polityczną w Polsce rozbiorowej postrzegano jako narzuconą z zewnątrz. Sama w sobie obca władza nie budziła sprzeciwów: w przeszłości obywatele Polski i Litwy z własnej woli wybierali obcych władców częściej niż swoich rodaków. Na przełomie wieków XVIII i XIX Europa obfitowała w obcych monarchów, i Polacy byliby w tym czasie wyjątkiem, gdyby odtrącali swoich władców tylko dlatego, że nie są Polakami. Mieli jednak swoje powody. Po pierwsze, władcy Rosji, Prus i Austrii reprezentowali dynastie, które nę-

[43] Z poematu Słowackiego *Beniowski*. Grób Piłsudskiego w krypcie katedry na Wawelu w Krakowie trudno dostrzec spod stosów kwiatów, które tam zawsze leżą; na płycie wypisano tylko nazwisko i daty.

kały dawną Rzeczpospolitą przez całe minione stulecie, i jeszcze przez zaborami uważano ich za dziedzicznych wrogów. Niemieccy królowie Prus, niemieccy Habsburgowie z Austrii i niemiecka caryca Rosji zagarnęli władzę w Polsce jako zwieńczenie długiej serii ataków i upokorzeń. Ich władzę od samego początku kojarzono z przemocą i oszustwem, a ich pobożne roszczenia do boskich praw jeszcze pogarszały sprawę. Po drugie, ustanowieniu obcych rządów towarzyszył napływ licznych rzesz obcych żołnierzy i obcych urzędników, którzy odnosili się do swoich polskich poddanych ze strachem połączonym z pogardą. Z wyjątkiem Królestwa Kongresowego z okresu między koronacjami w latach 1818 i 1829 nie było żadnych poważniejszych prób przyznania polskim prowincjom choćby pozorów suwerennego dworu i rządu. Rządzono nimi z daleka – z Petersburga, Wiednia czy Berlina – niby kolonialnymi dominiami, z takim samym brakiem wrażliwości na uczucia ludności, jaką okazywali Hiszpanie w Ameryce czy Francuzi w Afryce. Po trzecie, mimo stosunkowo wysokiego poziomu polskiej kultury i oświaty państwa rozbiorowe coraz silniej nalegały nie tylko na posłuszeństwo w sensie politycznym, ale także na podległość kulturową, stopniowo wprowadzając niemiecki czy rosyjski jako jedyny język urzędowy. Sposoby działania, które w innych częściach świata, i w innych częściach imperiów Europy Wschodniej, przyjmowano jako oznaki postępu i modernizacji, w Polsce uważano za przejawy regresji. Wreszcie – co najważniejsze – kultura polityczna w trzech imperiach – autokratyczna w Rosji, autorytarna w Prusach i absolutystyczna w Austrii do roku 1848 – nie miała nic wspólnego ze starymi demokratycznymi i indywidualistycznymi tradycjami Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Nie było wspólnego gruntu, na którym nowe reżimy mogłyby łatwo zapuścić korzenie. Przez długie stulecia Polacy przyzwyczaili się traktować roszczenia władzy centralnej ze zdrowym sceptycyzmem, a ostatnimi czasy – z jawną kpiną. W efekcie skłonni byli zdecydowanie się sprzeciwiać coraz dalej idącym żądaniom obcych carów, cesarzy i królów. Z punktu widzenia analityka rozbiorów Polska była zapewne najmniej odpowiednim krajem w Europie do przeprowadzania eksperymentów z oświeconego despotyzmu. Z punktu widzenia Polaków mocarstwa rozbiorowe od samego początku uważano za bezprawne – z jedynym wyjątkiem Galicji po roku 1867 – i w ciągu dwunastu dziesięcioleci nigdy nie zdobyły sobie one wiarygodnej prawowitości. Przeważająca większość Polaków przez cały XIX wiek pozostawała w stanie stałej alienacji od swojego rządu.

Jednym z procesów, które tę alienację dobrze ilustrują, była przymusowa rejestracja dawnych obywateli Rzeczypospolitej Obojga Narodów

w latach bezpośrednio po trzecim rozbiorze z 1795 roku. Szlachcie kazano przedłożyć certyfikaty szlachectwa, które posiadało tylko niewielu; większość została natychmiast pozbawiona szlachectwa. Mieszczanom polecono przedłożyć do zatwierdzenia karty przywilejów i albo je zatwierdzano, albo nie. Księża musieli się rejestrować jako pracownicy państwowi, a chłopi – jako płatnicy podatków państwowych. Żydzi, których gminy za czasów dawnej Rzeczypospolitej cieszyły się autonomią, po raz pierwszy mieli się rejestrować jako obywatele państwa. Ponieważ wcześniej Żydzi polscy nie mieli zwyczaju nosić nazwisk, dowiadywali się, że mogą dokonać rejestracji, tylko przyjmując nazwisko nadane im *ad hoc* przez jakiegoś drobnego urzędnika. W Warszawie, która w latach 1795–1807 była głównym miastem „Południowych Prus", jednym z urzędników był E.T.A. Hoffmann, lepiej znany dzięki swoim opowiadaniom:

> Nie we wszystkie dni pan Hoffmann kupców przyjmuje, bo bywa zajęty pisaniem. A kiedy przyjmuje, to tak się spieszy, że o nic pytać go nie wolno, ani o nic prosić.
>
> Na czczo, czyli przed obiadem, daje nazwiska poważne i smutne, a po obiedzie weselsze. Czasem nawet za bardzo (...)
>
> W izbie urzędniczej siedzi pan Hoffmann tyłem do okna i wygląda strasznie jak diabeł. Szyję ma długą, żylastą, okręconą tureckim szalikiem, głowę kosmatą z potarganymi włosami.
>
> W milczeniu, jakby całkiem umarły, Pan Hoffmann wpatruje się przez chwilę w kupca, a potem woła pierwsze lepsze słowo, co przyjdzie mu na myśl. To słowo, które klerk wpisuje do księgi, staje się nazwiskiem. Na zakończenie mówią kupcowi, kiedy ma przyjść po certyfikat i wprowadzają następnego (...)
>
> (...) Dziś jest piątek, a Pani Hoffmannowa, która jest polskiej wiary katolickiej, dała mężowi szczupaka w pietruszkowym sosie, przez co Pan Hoffmann wymyśla same rybie nazwiska (...)
>
> W przeszłą niedzielę prowadził chór „Harfa" i dostał bukiet róż. Od czego przez cały poniedziałek dawał same różane nazwiska. Wszyscy kupcy byli kontenci prócz jednego, który się teraz nazywa Rozenmedchen. Inną razą Pan Hoffmann wstąpił na Zapiecek i oglądał sprzedawane tam ptactwo. Po przyjściu do biura narobił mnóstwo Voglów, czyli ptaszków, co też się niektórym podobało.
>
> Zdarzyło się raz, opowiadał pachołek, że Pan Hoffmann dostał nuty jakiegoś sławnego organisty, poszedł z tymi nutami do kościoła i tam grał na organach. Nazajutrz w biurze dawał same pobożne

nazwiska jak Helfgot, Paniebożedopomóż, Himmelblau, Kadzidło, Bożakrówka, Bożedrzewko, Książkadonabożeństwa i wszystkie takie.

To znów Pan Hoffmann pił przez całą noc z pruskim pułkownikiem. Rano kazał sobie lać zimną wodę na głowę, a kiedy przyszedł do biura, niespodziewany animusz go ogarnął. Zaczął więc dawać wojskowe nazwiska: Festung, Fojer, Pistolet, Szyspulver, Trommeł, Trompeter, Harmata. Więcej nie zdążył, bo kupcy się rozbiegli[44].

Tego rodzaju sztuczki nie były z pewnością pomyślane jako sposób na wzbudzenie zaufania i szacunku.

Złą reputację władz politycznych umacniał fakt, że inne formy istniejącej władzy – w sferze społecznej czy religijnej – utrzymywały się w stanie właściwie nienaruszonym. Na przykład system własności ziemskiej zmienił się, ale nie został obalony. Chociaż obcych urzędników często nagradzano nadaniami ziemi w polskich prowincjach i chociaż udzielano zachęty wspieranym przez państwo osadnikom, zwłaszcza w Prusach, sektor państwowy nie osiągnął zbyt wielkich rozmiarów, a całkowite zasoby ziemi znajdującej się w polskich rękach nie zostały poważnie uszczuplone. Większość przedstawicieli polskiej szlachty, którzy utracili dawny status, od początku nie miała ziemi, a najostrzejsze akcje sekwestracyjne przeprowadzane w celach politycznych dotknęły polskich ziemian raczej na kresowych obszarach Litwy i Ukrainy niż w Prusach, Galicji czy Królestwie Kongresowym. W efekcie polska klasa właścicieli ziemskich zdołała zachować większość swoich majątków, a wraz z nimi – prawo jurysdykcji w stosunku do większości chłopów pańszczyźnianych. W okresie po uwłaszczeniu chłopów polski dziedzic mógł wprawdzie stracić wiele ze swoich dawnych prawnych plenipotencji, ale i tak zachowywał na wsi znaczną część dawnego autorytetu. Utrzymał się także tradycyjny wpływ księży katolickich na sferę duchową. Kler podlegał ściślejszej kontroli administracyjnej i utracił znaczną część majątków ziemskich, ale jego władza nad masami nigdy przecież nie wypływała głównie z powodów ekonomicznych, i rosła w siłę, kiedy księża dzielili ze społeczeństwem jego ciężki los. W miarę jak malał szacunek dla państwa, rósł szacunek do Kościoła. Podczas gdy państwowy aparat administracji toczył przegrany bój o zachowanie prestiżu, tradycyjna władza dziedzica i księdza rozkwitała na nowo. Atmosfera ucisku politycznego wzmagała poczucie

[44] Władysław Zambrzycki, *Pamiętnik Filipka*, Warszawa 1956, s. 115–117.

solidarności społecznej, bez względu na klasę, a solidarność społeczna sprzyjała klimatowi politycznego sprzeciwu. Klasa rządząca (kojarzona ze służbą państwową) coraz bardziej sprawiała wrażenie cienkiej warstewki pasożytów żerujących na ciele polskiego społeczeństwa.

Istnienie „obcej" klasy panującej, identyfikowanej za pomocą kryterium służby państwowej, nie oznaczało oczywiście, że Polską rządzili, wyłącznie czy też nawet przeważnie, obywatele obcych państw. Przeciwnie, liczba Polaków, którzy służyli mocarstwom rozbiorowym, we wszystkich dziedzinach wojskowych i administracyjnych, z czasem coraz bardziej wzrastała. Pierwsi Polacy rozpoczęli służbę w administracji państw rozbiorowych w latach siedemdziesiątych XVIII wieku, po oderwaniu od Rzeczypospolitej Białorusi, Prus Królewskich (Zachodnich) i Galicji, a do czasu trzeciego rozbioru było ich już dość dużo. Polaków (takich jak Lubecki) można było spotkać w białoruskich pułkach armii Kutuzowa; wielu Polaków trafiło do oddziałów armii austriackiej we Włoszech. Byli w pułkach ułanów i w słynnych pomorskich pułkach grenadierów w armii pruskiej. Byli we wszystkich armiach rosyjskich, które okupowały Księstwo Warszawskie w 1813 roku, tłumiły powstanie listopadowe w roku 1861, a potem stacjonowały w Królestwie Kongresowym. Aleksander II chwalił swoich polskich żołnierzy za wytrwałą służbę na Krymie; s w o i c h polskich żołnierzy specjalnie wymienił Bismarck, chwaląc ich oddanie w służbie w Szlezwiku-Holsztynie, pod Sadową i pod Sedanem. Polacy walczyli z Polakami pod Borodino, pod Waterloo (kiedy kawaleria Blüchera starła się z gwardią cesarską Napoleona), pod Sadową i we wszystkich niemal okopach frontu wschodniego podczas I wojny światowej (w 1943 roku Polacy walczący o utrzymanie Tobruku dla brytyjskiej Ósmej Armii odkryli, że w Afrika Korps Rommla też walczą Polacy). Szczególnie dobre okazje do awansu bywały w Rosji, gdzie niechęć carskiego establishmentu do katolików równoważyły niedostatki wyszkolonych rekrutów. Polacy – podobnie jak Finowie i Niemcy bałtyccy – służyli we wszystkich zakątkach Imperium Rosyjskiego – od Archangielska po Alaskę. Bywało, że polscy więźniowie polityczni, wleczeni w łańcuchach na Syberię, odkrywali, iż namiestnik prowincji lub dowódca obozu jest ich rodakiem; polscy emigranci, którzy musieli składać wizyty w rosyjskich ambasadach i konsulatach całego świata, dowiadywali się, że przyjmują ich polscy urzędnicy carskiej służby dyplomatycznej. Polscy konspiratorzy spiskujący i demonstrujący na ulicach Warszawy czy Wilna odkrywali, że policjant, który ich aresztował lub walił pałką po głowach, był z równym prawdopodobieństwem Polakiem, jak Rosjaninem czy Kozakiem. Ostatnie badania nad personelem znienawidzonej carskiej

żandarmerii sprowadzonej do Warszawy w 1832 roku pokazują, że większość zarówno oficerów, jak i szeregowych funkcjonariuszy była polskiego pochodzenia[45]. (ZOMO miało swój rodowód).

Wszystko to miało bardzo daleko idące i niezwykle sporne implikacje społeczne i moralne. Chociaż reżimy państw rozbiorowych pod pewnymi względami wykazywały cechy „okupacji" w imperialistyczno-kolonialnym stylu, to jednak n i e przypominały na przykład armii hitlerowskiej z lat 1939–1945, w której przytłaczającą większość żołnierzy, policjantów i urzędników na terenie Polski stanowili Niemcy z Niemiec, cudzoziemcy w każdym tego słowa znaczeniu. W XIX wieku panujące mocarstwa były obce z natury i psychicznie wyalienowane od polskiej ludności, jednakże – wbrew temu, co się na ogół przyznaje we współczesnych pracach historycznych – dysponowały wielkimi zasobami personelu i wsparciem synów, krewnych i przyjaciół zniewolonego ludu. Polskie społeczeństwo, jak wiele polskich rodzin, było bardzo mocno podzielone, nie tyle za sprawą konfliktu narodowościowego, ile w wyniku konfliktu lojalności. Znaczną część pasożytniczych okupantów stanowiła ludność miejscowa. Polak zwracał się przeciwko Polakowi, przyjaciel przeciwko przyjacielowi, dzieci przeciwko rodzicom. W efekcie w niekończącym się dążeniu do konformizmu i posłuszeństwa władze polityczne miały do dyspozycji szeroki wachlarz środków przymusu, w połączeniu z moralnym zastraszaniem. Karierowicze, donosiciele i czarne owce z poszczególnych rodzin korzystały na różne sposoby, niedostępne jednolitemu społeczeństwu stojącemu w obliczu obcego wroga. Szantaż, groźby, przekupstwo, łapówkarstwo, niejasne aluzje na temat bliskich – wszystko to było na porządku dziennym. Władze polityczne w Polsce rozbiorowej wydzielały odór zgnilizny moralnej, nieuchwytny dla czujników nauk politycznych i niewyobrażalny ani w krajach demokratycznych, ani w państwach o rodzimej tradycji rządów autorytarnych.

Właśnie w tym punkcie cudzoziemiec może spróbować zrozumieć siłę konfliktu moralnego w łonie polskiego społeczeństwa, a także powody, dla których wielu myślących Polaków czuło, że ich moralne i duchowe dziedzictwo – raczej niż zasoby materialne – stanowi ostatnią linię obrony narodu. Właśnie ten aspekt polskiej rzeczywistości tłumaczy analogiczną siłę tradycji romantycznej, której nacisk na umacnianie „ducha"

---

[45] Zob. Jacob Kipp, *Policing Paskevich's Poland: The Corps of Gendarmes and Polish Society*, wystąpienie na konferencji City University of New York pt. *East Central European Society and War in the Era of Revolutions 1775–1856*, marzec 1981; tekst opublikowany w: Brooklyn College Atlantic Studies on Society in Change, t. 4, nr 13, New York 1984.

narodu – nawet za cenę klęsk militarnych i politycznych – zaczyna w tym kontekście nabierać bardziej realnych kształtów. W 1852 roku Cyprian Norwid zwięźle wyraził ten problem, pisząc:

> Ogromne wojska, bitne generały,
> Policje – tajne, widne i dwu-płciowe
> – Przeciwko komuż tak się pojednały?
> – Przeciwko kilku myślom... co nienowe!

Fraszka, kierowana do rządu księcia Paskiewicza z lat 1831–1855, byłaby trafnym komentarzem adresowanym do wszystkich następców Paskiewicza – do generała Hurki w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, do marszałka Rokossowskiego w latach pięćdziesiątych XX wieku, do generała Jaruzelskiego w latach osiemdziesiątych wieku XX. Jak słusznie zauważył jeden z obserwatorów, jest ona też najlepszym epitafium dla Solidarności, jakie można sobie wyobrazić[46].

Polityczna alienacja Polaków od ich władców miała jednak negatywne skutki nie tylko dla rządu, ale i dla ludności. Chociaż w kontekście panujących warunków należy w niej widzieć niezbędny mechanizm samozachowawczy, trudno taki stan rzeczy uznać za korzystny i zdrowy. Była to swego rodzaju obywatelska choroba, swoista deformacja społeczna, która niewątpliwie odpowiadała pokrętnemu światu rosyjskiego caratu, ale która była całkiem nieodpowiednia dla narodu przygotowującego się podobno do niepodległości. Sprzyjała wszelkim złym nawykom opozycji i ruchu oporu, jednocześnie hamując konstruktywną zdolność do negocjacji politycznej i odpowiedzialnej administracji. Była złym prognostykiem dla dnia, w którym polska niepodległość rzeczywiście nadejdzie i wyalienowany naród będzie musiał zacząć się sam rządzić. Stanowiła też z pewnością tło frakcyjności i braku współpracy między partiami, które na początku lat dwudziestych XX wieku niweczyły eksperyment z demokracją parlamentarną. Józef Piłsudski wiedział z własnego doświadczenia, jak bardzo naglący jest to problem. W kwietniu 1921 roku, kiedy uniwersytet w Krakowie nadał mu doktorat *honoris causa* w dziedzinie prawa, podziękował gospodarzom za zaszczytny tytuł, a następnie wyjaśnił im, jak źle skierowane są ich dobre intencje. Oświadczył, że pochodzi z kraju (a miał na myśli Rosję), gdzie „prawem było bezprawie", a władze posługiwały się prawem dla własnej wygody i gdzie musiał się stać „zawodowym kryminalistą". Nigdy nie spełnił zamiaru studiowania prawa, roz-

[46] Neal Ascherson, „Observer", 7 lutego 1982, s. 28.

poczynając w zamian żołnierskie życie, pełne aktów samowoli i brutalnej siły. Później, już jako głowa państwa, poprosił ministra sprawiedliwości o przydzielenie prawnika, który przygotowywałby mu wykładnię prawa. „Pan minister wybrał na tego stróża jednego z prawników warszawskich, którego nazwisko napawało mnie strachem, gdyż było to nazwisko człowieka, z którym przez całe życie walczyłem" – mówił Piłsudski. Prawnik nazywał się Stanisław Car.

4. Wzrost świadomości narodowej

Korzeni nacjonalizmu – najpotężniejszej współczesnej wiary politycznej – szuka się na ogół w rewolucji francuskiej. Hasła: *Liberté, Egalité* i *Fraternité*, dzięki którym runęły społeczne i polityczne bariery *ancien régime*'u, przyniosły Europejczykom swobodę poszukiwania nowych tożsamości, wynikających z ich przynależności do „narodu", „narodowości" czy „grupy narodowej". Nowa „świadomość narodowa", oparta na kryteriach etnicznych, językowych lub historycznych, stopniowo zastąpiła starsze wzorce tożsamości grupowej, oparte głównie na religii, lojalności dynastycznej czy przynależności do określonej warstwy społecznej. W zmieniającym się krajobrazie XIX wieku Wielka Brytania i Ameryka zajmowały stanowisko konserwatywne w sporze, którego czołowi uczestnicy – monarchie dynastyczne – nadal utrzymywali, iż rzeczą naturalną jest, aby „państwo wykuwało naród", a nie odwrotnie. Stany Zjednoczone występowały jako zwolennicy samookreślenia się ludów Europy, jednocześnie gwałtownie odmawiając analogicznego prawa grupom etnicznym z opowiadających się za secesją regionów Ameryki Północnej. Wielka Brytania powoli zaczynała przyjmować zasadę samookreślenia dla ludów kontynentu, ale nie dla nacji Wysp Brytyjskich czy imperium brytyjskiego. Francuzi, którzy przewodzili modzie na zasadę „naród wykuwa państwo", eksportowali tę ideę na początku do włoskiego ruchu *Risorgimento*, a na końcu do Niemiec, nie mieli natomiast zamiaru stosować jej ani do Bretanii, ani do poddanych Republiki Francuskiej mieszkających poza jej granicami. Dopiero w XX wieku pozwolono, aby nacjonalizm dotarł do Azji i Afryki, gdzie następnie uwikłał się w taki sam splot niekonsekwencji i hipokryzji, jaki charakteryzował jego pochód przez Europę.

W przypadku Polski niewątpliwie bodźca dla nacjonalizmu dostarczyły bliskie kontakty z Francją w okresie rewolucji. Jego początki sięgały jednak dalej w przeszłość. Długi okres podległości Polski wobec rosyjskiej

kurateli, trwający przez cały XIX wiek, zrodził przedwczesne uczucie narodowego rozgoryczenia w czasie, gdy Francja sama jeszcze pozostawała w żelaznym uścisku *ancien régime*'u. Dla polskiego nacjonalizmu, który po raz pierwszy pojawił się w jednoznaczny sposób podczas konfederacji barskiej, głównym bodźcem były same rozbiory. Świadome dążenie do utworzenia państwa narodowego i społeczeństwa o pewnym stopniu świadomości narodowej rozpoczęło się jeszcze przed pierwszym rozbiorem z 1772 roku, za życia dawnej Rzeczypospolitej, a potem trwało z niesłabnącą intensywnością przez niemal dwieście lat. Najistotniejsze kroki na tej drodze podejmowano w XIX wieku.

Od samego początku, czyli od zaczątków ideologii polskiej szlachty, pojęcie narodu polskiego coraz bardziej się rozszerzało, aż wreszcie objęło wszystkie warstwy społeczeństwa. W połowie XVIII wieku odnosiło się wyłącznie do „narodu szlachetnie urodzonych", którzy rządzili dawną Rzeczpospolitą i którzy byli jedynymi ludźmi myślącymi o sobie jako o Polakach. W roku 1791 pojęcie rozszerzyło swój zakres, obejmując mieszczan, wyzwolonych na mocy Konstytucji 3 maja, a w roku 1794 – od uniwersału połanieckiego Kościuszki – zrobiono pierwszy krok w kierunku włączenia największej klasy społecznej, czyli chłopów. Potem trzeba było siedemdziesięciu lat, żeby ostatni chłopi pańszczyźniani w Polsce zostali zwolnieni z feudalnych powinności, a zapewne jeszcze kilku pokoleń zanim ostatni polskojęzyczni chłopi zrozumieli, że oni także są Polakami. Stopniowe budzenie się świadomości narodowej wśród mas ludności odbywało się w każdym z trzech zaborów w innym tempie i na innych obszarach; jak ten proces wyglądał w oczach kogoś, kto go sam doświadczył, widać najlepiej w relacjach zawartych w pamiętnikach Jana Słomki (1842–1932), chłopa z okolic Tarnobrzega, ze wsi na galicyjskim brzegu Wisły. Słomka, który urodził się jako chłop pańszczyźniany i w ciągu swego życia przeszedł, jak sam pisze, „od pańszczyzny do dni dzisiejszych", jako młody człowiek i analfabeta nie miał pojęcia, że jest Polakiem. Pisał, że chłopi mieszkający po jego stronie Wisły nazywali siebie Mazurami[47]; a jedynie szlachtę uważano za Polaków. Jednakże kiedy Słomka na-

[47] Mogąca dziwić nazwa „Mazur" faktycznie była stosowana do mieszkańców okolic Tarnobrzega. W dawnej polszczyźnie „Mazur" to mieszkaniec Mazowsza, a nie tylko dalekich Mazur, które były poza obszarem zainteresowania ogółu społeczeństwa. Ponadto „Mazur" był stereotypowym chłopem, który „mazurzy", czyli wymawia „cz", „ż", „sz" jako odpowiednio „c", „z", „s". Również Austriacy nazywali mieszkańców małopolskich równin *Mazuraken* – w odróżnieniu od Górali (*Oesterreichische National-Encyklopädie*, t. 3, Wien 1835, s. 616–617); (przyp. red.).

uczył się czytać i zaczął brać udział w ruchu ludowym w Galicji, stał się entuzjastycznie świadom swojej polskiej tożsamości. Został pionierem działalności oświatowej na wsi i dożył swoich dni jako szanowany wójt rodzinnej wsi, odznaczony przez sanacyjny rząd Mościckiego za wybitne zasługi. Kiedy się urodził, zaledwie drobna mniejszość ludności ziem polskich świadomie przyznawałaby się do przynależności do narodu polskiego; kiedy umierał, była to już przeważająca większość[48].

O ile społeczne podstawy polskiej narodowości znacznie się rozszerzyły, o tyle należy pamiętać, że podstawy etniczne znacznie się skurczyły. Dawna Rzeczpospolita była państwem wielowyznaniowym i wielojęzycznym, ale po rozbiorach zaginęło wiele z dawnego poczucia wspólnej przynależności. Poszczególne grupy wyznaniowe i językowe zaczęły się od siebie oddalać. Z czasem myśl nacjonalistyczna zawładnęła społecznościami niemiecką, ruską (białoruską i ukraińską), litewską i żydowską – tak jak społecznością polską. Każda z tych grup zaczęła myśleć o sobie jako o odrębnym narodzie, różnym od Polaków, i ciążyć ku rodakom z innych części Europy Wschodniej. W roku 1650 czy 1750 szlachcic wyznania protestanckiego lub prawosławnego mógł się uważać za tak samo dobrego Polaka jak każdy inny, nawet jeśli jego językiem ojczystym był niemiecki czy ukraiński, natomiast w roku 1850 jego potomków uważano by za dziwaków i ludzi bardzo zacofanych, skoro tak się upierali przy podobnych pomysłach. W roku 1798 niemieckojęzyczni mieszczanie z Gdańska, którzy przez niemal 350 lat pozostawali lojalni wobec króla Polski, zbuntowali się przeciwko wcieleniu ich do Prus. W roku 1898 ich potomkowie należeli już do najżarliwszych obrońców nacjonalizmu niemieckiego i idei przynależności do Cesarstwa Niemieckiego. W latach trzydziestych XX wieku masowo nawrócili się na narodowy socjalizm. Krótko mówiąc, tożsamość narodowa zmieniała się z czasem. Naród polski stawał się coraz bardziej ograniczony do swojego polskojęzycznego katolickiego rdzenia. Co więcej, wiele rodzin polskiego pochodzenia – zwłaszcza te rodziny na terenie Prus, które się przenosiły do niemieckojęzycznych miast – traciło wszelką pamięć swoich dawnych polskich powiązań, natomiast wiele rodzin o korzeniach niemieckich lub ukraińskich ulegało polonizacji. Naród polski zyskiwał wielu nowych rekrutów, ale jednocześnie tracił znaczną część swoich byłych członków, do czego panujące mocarstwa gorliwie zachęcały.

Ogólny obraz był zatem niezwykle skomplikowany. W kategoriach ilościowych polska świadomość narodowa się nie zmniejszała. W roku

[48] Zob. Jan Słomka, *Pamiętniki włościanina od pańszczyzny do czasów dzisiejszych*, Kraków 1912.

1900 można było spotkać o wiele więcej osób, które uważały się za Polaków, niż w roku 1800. Ale sposób rozumienia przez nich tej polskości był tak zróżnicowany, tak rozczłonkowany w wyniku rywalizujących ze sobą lojalności i sprzecznych interesów społecznych, ekonomicznych i politycznych, że nie istniała żadna solidna podstawa do wspólnego działania. Polski nacjonalizm tlił się nieprzerwanie, ogień wybuchał na niektórych obszarach i rozszerzał się na inne. Jednak dopóki tłumiące go ograniczenia narzucane przez trzy mocarstwa pozostawały nienaruszone, dopóty nie było nadziei, że rozpali się żywym płomieniem. Germanizacja i rusyfikacja także postępowały w szybkim tempie. Sprawa pozostawała w zawieszeniu. Grupa upartych polskich patriotów w dalszym ciągu wierzyła, że ich udziałem w jakiś sposób stanie się zwycięstwo, ale wielu zdrowo myślących obserwatorów – w tym tacy, którzy żywo sympatyzowali ze sprawą polską – uważało, że jest nieprawdopodobne, aby polska tożsamość mogła trwać w nieskończoność. W roku 1886 krytyk literacki Georg Brandes, który odwiedził Warszawę, przeczuwał nadchodzący nieuchronnie kryzys. „Przez sto lat – pisał – Polska służyła za kowadło trzem wielkim mocarstwom i znosiła uderzenia potężnych młotów, nie dając się zmiażdżyć. Albo te młoty zostaną niedługo zatrzymane, albo ta kultura zostanie unicestwiona". Młoty zostały zatrzymane w 1918 roku – w ostatniej chwili.

Fakt pozostaje faktem: współczesny naród polski jest produktem końcowym współczesnego polskiego nacjonalizmu. Polski nacjonalizm rozwijał się w nierównym rytmie przez ponad dwa stulecia, a przez większość najnowszej historii jego ostateczny sukces bynajmniej nie był rzeczą pewną. Dokładny moment, w którym zaczął odgrywać dominującą rolę w sprawach dotyczących ziem polskich, pozostaje kwestią sporną. Niektórzy historycy za tę decydującą datę uważają rok 1864, kiedy spora doza emancypacji społecznej zbiegła się z demonstracją narodową, jaką było powstanie styczniowe. Inni byliby skłonni przesunąć ją do momentu utworzenia państwa polskiego w 1918 roku. Najbardziej rygorystyczni analitycy upieraliby się jednak, że procesu narodowego nie można uznać za zakończony dopóty, dopóki homogeniczna ludność polska, jednolicie świadoma swojej tożsamości narodowej, nie przejmie pełnej kontroli nad swoim narodowym terytorium. A taki moment nadszedł dopiero w 1945 roku.

Jest gorzką ironią, że Druga Rzeczpospolita miała suwerenność polityczną, nie miała natomiast ludności jednorodnej pod względem narodowościowym, podczas gdy Rzeczpospolita Ludowa miała naprawdę narodowe społeczeństwo, natomiast brak jej było pełnej suwerenności.

W tym sensie kampania na rzecz narodowego samookreślenia zakończyła się w Polsce dopiero w roku 1989.

Trzeba też odnotować ton i styl głosu polskiej świadomości narodowej. Chociaż w niektórych przypadkach bywała dumna ze wspólnego europejskiego dziedzictwa, które dzieliła z sąsiednimi narodami, często charakteryzował ją ciasny egocentryzm. Rozpalana przez obcy ucisk, łatwo dawała sobie narzucić sposób myślenia, który kazał wszystko, co obce, uważać za wrogie i gorsze, a wszystko, co polskie, za niepodlegające krytyce. Z ucisku rodziła się napastliwość, a napastliwość fanatycznego elementu wśród polskich nacjonalistów narażała na szwank dobre imię Polski.

5. Tradycja emigracyjna

Emigrację z ziem polskich, która osiągnęła szczyt pod koniec okresu rozbiorów, należy przypisać wielu różnorodnym i powiązanym ze sobą czynnikom. Standardowy podział na emigrację polityczną i emigrację ekonomiczną jest dogodnym punktem wyjścia do badań, nie pozwala jednak na pełne i precyzyjne wyjaśnienie tego zjawiska. Wszyscy emigranci polityczni odczuwają w chwili wyjazdu wpływ swojej sytuacji materialnej, podobnie jak każdy, kto emigruje z przyczyn ekonomicznych, ma swój wkład w ogólne efekty masowej wędrówki ludów. Emigranci, którzy zostali za granicą, ponieważ zarekwirowano ich posiadłości ziemskie i majątek albo dlatego, że stracili źródło dochodów, gdy miejsce ich zamieszkania zostało włączone do któregoś zaboru, reagowali tak samo na czynniki polityczne i ekonomiczne. Głodujący emigrant, który winą za swoją nędzę obarcza zaniedbania lub błędy sprawujących rządy, nie tylko podejmuje decyzję ekonomiczną, ale także wygłasza komentarz polityczny. Co więcej, znalazłszy się za granicą, uchodźcy polityczni, emigranci z przyczyn ekonomicznych i wszelkiego rodzaju uciekinierzy mają tendencję do tworzenia zwartych społeczności, w których łączące ludzi więzy są równie ważne jak zróżnicowane motywy działania i których egzystencja – niezależnie od ich życiorysów – wywiera potężny wpływ na ojczysty naród w kraju.

Historia emigracji ekonomicznej z Polski, choć nie sięga tak daleko jak dzieje emigracji politycznej, jest dokładnie tak samo skomplikowana. Zaczęła się jako ruch sezonowy między dwoma sąsiadującymi ze sobą rejonami – najczęściej chłopi z Galicji czy Królestwa Kongresowego wędrowali w poszukiwaniu pracy w wielkich majątkach ziemskich w Prusach

czy we wschodnich Niemczech; w XIX wieku rozrosła się, przybierając rozmiary transkontynentalnej lub międzykontynentalnej powodzi. Głównych przyczyn trzeba szukać w straszliwej nędzy polskiej wsi, gdzie rolnicza ludność miała niewiele możliwości pracy, poza gospodarką na granicy przetrwania, i gdzie przeludnienie osiągało przerażające rozmiary; jednakże wiele z nieregularnych rytmów i napadów „gorączki" zawdzięcza więcej psychologicznym fantazjom i zbiorowej histerii niż ściśle ekonomicznym warunkom panującym w danym miejscu w dniu wyjazdu danego emigranta. Paradoksalnie to właśnie tereny, gdzie ziemia była stosunkowo żyzna – takie jak Dolny Śląsk czy Galicja – stały się szczególnie narażone na niebezpieczeństwo przeludnienia, i dlatego właśnie stamtąd w okresach nieurodzaju i głodu pochodziło nieproporcjonalnie wielu emigrantów. Podobnie też to w najbardziej rozwiniętych rejonach zachodniej i południowej Polski, Prus i Austrii najwcześniej dało się odczuć skutki uwłaszczenia chłopów, i właśnie te tereny mogły się najwcześniej uwolnić od nadmiaru ludności chłopskiej. Najbiedniejsze i najbardziej zacofane dzielnice Polski – w środkowej części kraju i na terytorium Imperium Rosyjskiego – dostarczały stosunkowo niewielkiej liczby emigrantów. Odpływ polskich chłopów ze wsi do nowych miast przemysłowych rozpoczął się, na Śląsku i w Poznańskiem, pod koniec XVIII wieku. Napływ polskich robotników do bardziej odległych rejonów przemysłowych – najpierw do Zagłębia Ruhry, a potem do Belgii i Francji, zaczął się w pierwszej połowie XIX wieku. Emigracja zamorska – głównie do Ameryki Północnej i Ameryki Południowej – w zasadzie charakteryzowała 50 lat poprzedzających wybuch I wojny światowej. Według pewnego wiarygodnego opracowania od roku 1870 do roku 1914 Polskę opuściło około 3,6 miliona osób – 31 procent wyemigrowało z Galicji, 33 procent z zaboru pruskiego i tylko 36 procent z największego zaboru rosyjskiego. Warunki, które spowodowały ten exodus, bywały naprawdę ciężkie. „Galicyjska bieda", dobrze udokumentowana i przedstawiona w pracy Stanisława Szczepanowskiego z 1888 roku, stała się przysłowiowa. Według innej statystyki, w roku 1902, ponad 400 000 gospodarstw rolnych w Galicji było tak małych, że mogły zapewnić żywność przeciętnej rodzinie przez zaledwie trzy miesiące w roku. Oblicza się, że w ciągu trzech lat, od roku 1911 do roku 1914, z Galicji wyemigrowała mniej więcej jedna czwarta mieszkańców, głównie do kwitnących miast amerykańskich na środkowym zachodzie. Równie interesujące są jednak czynniki społeczne i psychologiczne, które trzeba brać pod uwagę, jeśli się chce wyjaśnić charakterystyczne cykle, fale czy szturmy emigracji na tle ekonomicznym. Klasyczne opracowanie *Chłop polski w Europie i Ameryce* (pierwsze

polskie wydanie 1976) Williama Thomasa i Floriana Znanieckiego, oparte na analizie korespondencji polskich emigrantów w USA z rodzinami w ojczyźnie, pokazuje, że między początkiem i końcem emigracyjnej drogi odbywała się stała wymiana informacji i opinii. Bilety na podróż, umowy o pracę albo po prostu słowa otuchy wysyłane z USA do Polski świadczą o częstym występowaniu „emigracji łańcuszkowej": kolejni członkowie jakiejś polskiej rodziny lub wiejskiej społeczności pociągali za sobą następnych. Pieniądze regularnie przesyłane przez polskich robotników spoza kraju rodzinom w domu stanowiły istotny element domowego budżetu, jednocześnie podtrzymując kontakt między uczestnikami takiego układu. Przesadzone wieści o szansach na zdobycie pracy i majątku za granicą, działalność pozbawionych skrupułów pośredników czy międzyrządowe umowy o pracę nierzadko wyzwalały nagły exodus, nie dający się wyjaśnić w kategoriach wyłącznie lokalnych czy ekonomicznych. U szczytu „gorączki brazylijskiej" z lat dziewięćdziesiątych XIX wieku jedna tylko agencja podpisała z rządem Brazylii umowę, w myśl której zobowiązywała się dostarczyć 50 000 osadników z Niemiec i Rosji, po czym w ciągu paru tygodni zarejestrowała ponad 100 000 ochotników z samych tylko prowincji polskich. Czterem przygranicznym powiatom w Królestwie Kongresowym groziło całkowite i natychmiastowe wyludnienie. Mogłoby się wydawać, że proces emigracji ekonomicznej był tak samo złożony, tak samo powtarzalny i że odbywał się w formie takich samych przypływów jak jego odpowiednik polityczny[49].

Czynnik narodowy polskiej emigracji miał niezliczone subtelne odmiany, które we współczesnych opracowaniach często bywają błędnie przedstawiane. Przed wyjazdem w każdym mieście i w każdym okręgu na ziemiach polskich w XIX wieku do biura emigracyjnego – oficjalnego lub nielegalnego – zgłaszali się chętni reprezentujący kilka różnych narodowości. W zaborze pruskim byli to Polacy i Niemcy, w proporcji mniej więcej jeden do jednego; w Galicji – Polacy, Ukraińcy i Żydzi; w zaborze rosyjskim – Polacy, Żydzi, Litwini i Białorusini. Najczęściej wszyscy wyjeżdżali razem – nie w grupie narodowej, lecz tworząc jedną z grup o mieszanym składzie narodowym, złożoną z ludzi, którzy wyruszali z Europy Wschodniej, zapełniając wszystkie przedziały kolejowe trzeciej klasy oraz najtańsze miejsca w ładowniach statków płynących na zachód. Choć

[49] Autor wyraża wdzięczność dr. Keithowi Swordowi z projektu *M.B. Grabowski Polish Migration*, realizowanego w School of Slavonic and East European Studies przy Uniwersytecie w Londynie, za materiały i komentarze dotyczące polskiej emigracji ekonomicznej.

dziś się o tym szerzej nie mówi, na przykład pierwsi polscy osadnicy w Teksasie, którzy w 1854 roku założyli w hrabstwie Karnes osadę Panna Maria, podróżowali ze Śląska do Nowego Orleanu w towarzystwie śląskich Niemców, jadących w mniej więcej to samo miejsce. Dopiero po przyjeździe każda grupa ruszyła w swoją stronę. Zazwyczaj każdym emigrantem przyjeżdżającym do obcego miejsca zajmowała się rodzina lub rodacy mówiący tym samym językiem. Żydów witali *landsmen*, którzy ich prowadzili do najbliższego żydowskiego ośrodka dla emigrantów. Niemców przyjmowali luterańscy pastorzy. Polaków witali katoliccy księża, którzy ich kierowali do najbliższej polskiej parafii. Ukraińcy szli do wspólnoty prawosławnej lub greckokatolickiej. W ten sposób ludzi, którzy w Polsce mogli być bliskimi sąsiadami i znajomymi, natychmiast rozdzielano, jeszcze na nabrzeżu, i przez to natychmiast stawali się sobie obcy. Oficjalne dokumenty imigracyjne na ogół wskazują obywatelstwo – rosyjskie, niemieckie lub austriackie – nie mówią natomiast nic o narodowości; mimo to już kilka godzin po przyjeździe byli przyłączani do mającej własną kulturę i własne struktury organizacyjne określonej grupy narodowej, do której w wielu przypadkach mieli należeć już do końca życia. Na przemysłowych przedmieściach europejskich miast, a jeszcze bardziej w etnicznej dżungli w Ameryce, tożsamość narodowa rosła i zaostrzały się antagonizmy między poszczególnymi społecznościami. Zacierały się wspomnienia wspólnych początków. W łonie polskich społeczności za granicą tożsamość Polaka i katolika stawała się pojęciem jeszcze bardziej ekskluzywnym, a polski nacjonalizm w ciasnej, nietolerancyjnej etnicznej odmianie był jeszcze bardziej powszechny niż w Polsce.

Polska emigracja we Francji była w XIX wieku z pewnością najstarszą społecznością emigracyjną. Do czasu osiedlenia się polskich górników w Pas de Calais w latach 1919–1920 miała charakter głównie polityczny. Hôtel Lambert, Bibliothèque Polonaise czy Société Littéraire były instytucjami o naprawdę dużym znaczeniu. Paryż, gdzie Adam Mickiewicz wykładał w Collège de France, a Słowacki, Niemcewicz i Czartoryski spacerowali wzdłuż bulwarów nad Sekwaną, był przez trzydzieści lub czterdzieści lat po powstaniu listopadowym ważniejszym ośrodkiem polskiej kultury niż Warszawa czy Kraków.

Amerykańska Polonia[50] powstała sporo później, a jej przewaga liczebna nad innymi społecznościami emigracyjnymi ustaliła się dopiero na

[50] Łacińskiej nazwy Polski, „Polonia", Kościół katolicki używa na określenie wszystkich polskich społeczności za granicą; dziś kojarzy się ją raczej z grupami emigrantów niepolitycznych niż z emigracją polityczną.

początku XX wieku. Do II wojny światowej emigrantów politycznych było raczej niewielu, miała natomiast nieproporcjonalnie wielu „nieszczęsnych rozbitków" – cytując wiersz wypisany na piedestale Statuy Wolności – z najbardziej „tętniącego życiem brzegu" Europy. Całe przedmieścia Pittsburgha, Detroit, Cleveland czy Buffalo miały zdecydowanie polski charakter. Chicago mogło się poszczycić największą liczbą polskich mieszkańców na świecie, z jednym tylko wyjątkiem Warszawy. Wpływy polskiego kleru były najsilniejsze, choć konflikt z anglojęzycznymi hierarchami irlandzkiego Kościoła katolickiego w Ameryce doprowadził do utworzenia w 1875 roku odłamu w postaci schizmatycznego Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego. Amerykanie polskiego pochodzenia należeli do najmniej uprzywilejowanych imigrantów w Ameryce – byli „białymi czarnuchami" północnych stanów USA i długo trwało, zanim udało im się tę sytuację przezwyciężyć[51].

Polscy wygnańcy na Syberii i w Azji Środkowej zasługują na osobny rozdział. Pierwotnie byli to więźniowie i deportowani, a nie emigranci polityczni czy ekonomiczni, natomiast ich losy widziane w szerszej perspektywie nie są do siebie niepodobne. Najczęściej po odbyciu wyroku katorgi zabraniano im powrotu do Polski i całymi tysiącami zostawali na najdalszych rubieżach Imperium Rosyjskiego. Ich najwcześniejszymi poprzednikami byli jeńcy wojenni wysłani na wschód na początku XVII wieku, i każde kolejne pokolenie polskich więźniów i deportowanych zachowywało od tego czasu kontakty z pozostającymi przy życiu niedobitkami z wcześniejszych deportacji. Do czasu zbudowania w Rosji kolei w połowie XIX wieku musieli podróżować okropnymi kibitkami albo nawet pieszo i w kajdanach pokonywać całą drogę od Wisły do Jeniseju lub Leny[52]. Wielu umierało po drodze. Nie sposób ustalić dokładnych liczb, chociaż prawdopodobnie stanowili oni najliczniejszą grupę zesłańców politycznych w carskiej Rosji. (Spośród osób zesłanych na Syberię za caratu 90 procent stanowili uparci chłopi i zwykli kryminaliści, deportowani na mocy dekretu administracyjnego). Warto zauważyć. że encyklopedia wydana w carskiej Rosji przyznaje, iż w 1880 roku 75 procent mieszkańców Irkucka było katolikami. Wiele też mówi fakt, że wykształceni polscy zesłańcy stanowili przeważającą grupę syberyjskiej inteligencji, choć

---

[51] Zob. Irwin T. Sanders, Ewa T. Morawska, *Polish-American Community Life: A Survey of Research*, New York 1975, z obszerną bibliografią.

[52] Książę Roman Sanguszko (1800–1881), były oficer w pułku carskiej gwardii, został specjalnym wyrokiem skazany na przejście pieszo w kajdanach na miejsce zsyłki na Syberii. Wrócił do Polski po czternastu latach i dożył wieku 81 lat.

nie była to inteligencja najwyższych lotów. Badacze w rodzaju Bronisława Piłsudskiego (1866–1918), brata Marszałka i autora pierwszego etnograficznego opracowania dotyczącego Sachalina i Kamczatki, podobnie jak długi szereg polskich eksploratorów, poczynając od słynnego Maurycego Beniowskiego (1746–1786), otwierali Syberię przed nowoczesną nauką. Dziś rzadko się pamięta o ich zasługach[53].

Z powodu bardzo zróżnicowanych warunków – a także ogromnej różnorodności pochodzenia społecznego, poziomu wykształcenia i powiązań politycznych – każdą polską społeczność za granicą rozdzierały powtarzające się rozłamy i schizmy. Wykształceni *„politicos"* mieli niewiele wspólnego z imigrantami z warstwy chłopskiej, nawet jeśli musieli sobie brudzić ręce w takim samym brudnym warsztacie. Przywódcy każdego pokolenia *„politicos"* dzielili się na arystokratycznych konserwatystów i demokratycznych radykałów, a łączyła ich wspólna niechęć do nowo przybyłych, przywożących ze sobą nowe poglądy i nowe powiązania. W okresie Wielkiej Emigracji pozycji księcia Czartoryskiego w Hotelu Lambert zagrażali „czerwoni" republikanie w rodzaju Lelewela czy Stanisława Worcella (1799–1857); oba obozy uległy jednak przewadze kolejnej fali emigrantów z okresu po powstaniu styczniowym, którzy reprezentowali kompletnie nowe postawy i nowe interesy. Miałoby się ochotę zasugerować, iż emigranci polityczni trzymali się przede wszystkim romantycznego sposobu patrzenia na świat, jako że nie udało im się wypracować osobistego *modus vivendi* z mocarstwami rządzącymi w Polce, i że emigranci ekonomiczni, zdecydowani ciężko pracować i polepszać swój los, będą należeć głównie do przeciwnego obozu pozytywistów, a w późniejszym okresie – nacjonalistów. Jeśli nawet tak było, to nie brakowało wyjątków. Najwybitniejszy może z polskich emigrantów w Ameryce z połowy stulecia, Adam Gurowski (1805–1866), weteran powstania listopadowego i członek TDP, stał się w późniejszym okresie życia gorącym wielbicielem Rosji i caratu. W proroczym dziele *America and Europe* (1857) przepowiedział, że przeznaczeniem USA i Rosji jest przewyższyć zdegenerowane mocarstwa europejskie i podzielić świat między siebie. Należy też pamiętać, iż tysiące amerykańskich Polaków, których rodziny wyemigrowały przeważnie „za chlebem", było mimo to gotowych

[53] Wczesną historię Polaków na Syberii od XVI wieku po rok 1917 wyczerpująco przedstawia opracowanie: Michał Janik, *Dzieje Polaków na Syberii*, Kraków 1928. Dalszy ciąg tej historii, obejmujący okres sowiecki, w którym odbywały się liczne deportacje i oficjalnie dokonywano zbrodni na skalę dalece przekraczającą wydarzenia z czasów caratu, wciąż jeszcze nie doczekał się systematycznej naukowej analizy.

zrobić najbardziej romantyczny krok: zgłosić się ochotniczo do walki za Polskę w armii Hallera we Francji[54]. Tak samo jak teoretyczne rozróżnienie między emigracją polityczną i ekonomiczną traciło ostrość w praktyce, tak też równie pociągające rozróżnienie między romantykami i pozytywistami często się załamuje w zderzeniu z konkretnymi przypadkami.

Z punktu widzenia Polski już samo istnienie licznej polskiej emigracji miało jednak większe znaczenie niż wszystkie niedociągnięcia czy też osiągnięcia jej poszczególnych przedstawicieli. Podobnie jak Kościół rzymskokatolicki, emigracja miała swoje wady, ale ze swoją solidną zagraniczną bazą, niewrażliwą na naciski władz politycznych w Polsce, mogła odegrać w polskim życiu rolę nie do przecenienia. W sferze politycznej dostarczała jedynego forum swobodnej dyskusji i krytycznej analizy wszystkich polskich problemów. Wobec utrwalania się w Polsce obcych imperialnych reżimów, które niewiele robiły dla demokracji, pełniła funkcję głównej, choć nieobecnej, opozycji. W sferze ekonomicznej dostarczała cennego źródła obcego dochodu, a w ostatecznym rozrachunku także handlu i przedsiębiorczości. W sferze kulturalnej zapewniała możliwość swobodnego wyrażania całej gamy rozmaitych idei, sztuk i gatunków twórczości, od których zależy każda żywa kultura. W okresie rozbiorów znaczną część klasyki polskiej literatury można było wydawać tylko na emigracji. Wreszcie, w sferze moralnej, emigracja przydawała narodowości polskiej prestiżu i szacunku, których jej oficjalnie zabraniano w Polsce. Dziewiętnastowieczna Polska wydała mnóstwo utalentowanych artystów, muzyków i naukowców, którzy – gdyby mieli działać w ojczyźnie – byliby znani światu jako utalentowane postacie ze świata kultury Rosji, Niemiec lub Austrii. Jednak ponieważ zdobywali sławę za granicą i ponieważ mogli się swobodnie przyznawać do swoich polskich powiązań, byli powszechnie znani jako „Polacy". Lista zasłużonych liczyła bardzo wiele nazwisk: geolog i badacz Australii Paweł Strzelecki (1797–1873), pionier badań geologicznych w Chile Ignacy Domeyko (1802–1889), kompozytor Fryderyk Chopin (1810–1849), kanadyjski architekt sir Casimir Gzowski (1813–1898), pionier i projektant linii kolejowej w Peru Ernest Malinowski (1818–1899), aktorka Helena Modjeska (Modrzejewska, 1840–1909), rewolucjonista kubański Karol Rołów-Miałowski (1842–1907), tenor operowy Jan de Reszke (1850–1925), angielski powieściopisarz Joseph Conrad (Korzeniowski, 1857–1924), pianista Ignacy Paderewski (1860–1941), fizyk

[54] Na tę decyzję z pewnością wpływała także zupełnie nieromantyczna perspektywa zaciągu do armii amerykańskiej.

Maria Curie-Skłodowska (1867–1934), poeta francuski Guillaume Apollinaire (Kostrowicki, 1880–1918), brytyjski historyk sir Lewis Namier (1888–1960), antropolog społeczny i ekonomiczny Bronisław Malinowski (1884–1942). Naród, który wciąż produkował ludzi tego kalibru, trudno uważać za naród, którego już nie ma.

Polacy za granicą niewątpliwie wnieśli cenny wkład w życie krajów, które ich przyjęły. Ale jeszcze bardziej przyczynili się – świadomie, a czasem nieświadomie – do przetrwania swojego własnego narodu. Bez względu na to, jak silne lub jak wątłe były więzi łączące ich z ojczyzną, pozostawali częścią Polski. Jak miał powiedzieć ich potomkom i dziedzicom Jan Paweł II w Londynie pod koniec XX wieku:

> To, co mówię, płynie z żywego poczucia historii. Wy, którzy stworzyliście dzisiejszą „Polonię angielską", jesteście dla mnie nie przede wszystkim emigracją, ale przede wszystkim żywą częścią Polski, która nawet wyrwana z ojczystej gleby nie przestaje być sobą.

Rok wcześniej, kiedy papież odwiedził Francję, witał go arcybiskup Paryża kardynał Jean-Marie Lustiger. Czyż można znaleźć lepszy symbol ich wspólnego losu niż fakt, że obaj – papież i arcybiskup – byli polskimi emigrantami?

6. Imperatyw kulturowy

Kiedy stało się jasne, że procesu upadku Polski nie da się szybko odwrócić i że Polacy muszą się przygotować na oblężenie, które będzie trwać nie wiadomo jak długo, sprawy kultury nabrały pierwszorzędnego znaczenia. Opinie na temat skuteczności działań dyplomatycznych, strategii politycznej czy polityki społecznej i gospodarczej często bywały podzielone; poważne różnice zarysowały się w sprawie treści nauczania, natomiast niewielu ludzi wątpiło, że polska kultura jest największym skarbem narodu i jego ostatnią linią obrony, którą należy utrzymać za wszelką cenę. Przez cały XIX wiek uwaga koncentrowała się na dwóch sprawach: oświacie narodowej i roli inteligencji.

Oświata wysunęła się na czoło spraw będących przedmiotem troski Polaków w czasie pierwszego rozbioru i utrzymała pierwsze miejsce na liście przez całą epokę rozbiorów. (Utworzenie Komisji Edukacji Narodowej w 1773 roku było ceną, jaką sejm dawnej Rzeczypospolitej wyegzekwował w zamian za zgodę na traktaty rozbiorowe). Podobnie jak

w sferze militarnej, powstał problem, jak stworzyć stałe instytucje i wyszkolić profesjonalną kadrę ludzi, którzy potrafiliby zapewnić przekaz polskiej kultury z pokolenia na pokolenie. Było to zadanie niezwykle trudne, a walka o nie w każdym z zaborów – bardzo fragmentaryczna. Ale ostatecznie, kiedy generałowie i wojskowi planiści ponieśli porażkę, zatriumfowali oświatowcy. Polska kultura, polski projekt oświatowy i polska inteligencja przetrwały i przeszły – posiniaczone, ale zdrowe i całe – od rozbiorów do „eksplozji" niepodległości w 1918 roku.

Sposób, w jaki tego dokonano, najlepiej porównać do sztafety biegaczy olimpijskich, w której każdy zawodnik niesie kaganek oświaty przez pewien etap, po czym wyczerpany przekazuje go następnemu biegaczowi. Instytucje Komisji Edukacji Narodowej oraz dwóch zreformowanych uniwersytetów, w Krakowie i Wilnie, tylko na krótko przeżyły trzeci rozbiór. Komisję błyskawicznie rozwiązano, a nowe władze przepędziły personel i zamknęły szkoły. Ale ważną część zasobów ocalił Wileński Okręg Naukowy, który działał prężnie przez pierwsze dwie dekady XIX wieku na wielkim obszarze obejmującym wszystkie zachodnie gubernie Rosji. Uniwersytet Wileński, gdzie studiował Mickiewicz, a wykładał Lelewel, a także wybitne Liceum Krzemienieckie na Wołyniu, gdzie kształcił się Słowacki, przejął pochodnię w czasie, gdy Uniwersytet Jagielloński germanizowali Austriacy, a Warszawa znajdowała się w rękach Prus[55]. System oświaty w Księstwie Warszawskim, wprowadzony w 1807 roku, został w czasach Królestwa Kongresowego rozbudowany, łącznie z założeniem nowego uniwersytetu w Warszawie (1818), ale zlikwidowano go już w roku 1832, po powstaniu listopadowym. W tym czasie jednak Uniwersytet Jagielloński był już na nowo spolonizowany i działał w Rzeczypospolitej Krakowskiej, a polskie szkoły w Księstwie Poznańskim cieszyły się swoim krótkim nowym życiem. W latach 1854–1861 polska oświata przechodziła okres największego upadku. Nie było żadnej szkoły wyższej i żadnego akceptowanego przez państwo nauczania w języku polskim. Ale szkoły przykościelne i prywatne nie stały się jeszcze przedmiotem prześladowań, a polski system oświaty w Galicji powstał w samą porę, żeby przeciwstawić się akcji *Kulturkampfu* w Niemczech i dążeniom

[55] Zob. Daniel Beauvois, *Lumières et société en Europe de l'Est: l'Université de Vilna et les écoles polonaises de l'Empire Russe, 1803–1832*, Paris 1977. To wspaniałe pod względem naukowym opracowanie nie ogranicza się bynajmniej do spraw dotyczących oświaty w wąskim znaczeniu, lecz przynosi przegląd ogromnie szerokiego zakresu problemów społecznych i kulturalnych społeczności polskiej na terenie Rosji w pierwszym ćwierćwieczu XIX wieku.

do rusyfikacji na terenie Rosji. W ciągu ośmiu lat swojego istnienia, w latach 1862–1869, Szkoła Główna Warszawska, której wybitnymi uczniami byli: Bolesław Prus, Henryk Sienkiewicz, Aleksander Świętochowski, Julian Ochorowicz, Jan Baudouin de Courtenay, Piotr Chmielowski (1848–1904), Bronisław Chlebowski (1846–1918), Adolf Dygasiński (1839–1902) i Wiktor Gomulicki (1848–1919), zdołała utrzymać kaganek do czasu, gdy w roku 1870 Uniwersytet Jagielloński został spolonizowany po raz drugi, a następnie przekazać go mieszkańcom Galicji na dalsze czterdzieści lat. Nędza gospodarcza Galicji była jednym wielkim skandalem, a jej system polityczny – istną kpiną, natomiast w sprawach oświaty Galicja była bogata. Do czasu ponownego wprowadzenia w Warszawie w 1916 roku nauczania w języku polskim pod auspicjami Niemiec polscy oświatowcy w Galicji byli prawdziwymi monopolistami, i ostatni długi etap sztafety przebiegli odważnie, zasługując na wyróżnienie.

Największym osiągnięciem polskiej oświaty – mimo konieczności przelatywania z grzędy na grzędę – stało się utrzymanie jednolitej społeczności kulturowej, ponad granicami trzech imperiów. Polskiej polityce XIX wieku brak było ciągłości: żadnego narodowego systemu gospodarczego, żadnych struktur politycznych, które byłyby wyłącznie polskie – zawsze natomiast istniało przynajmniej jedno centrum oświaty lub ośrodek akademicki, które mogły propagować polską kulturę wśród mieszkańców wszystkich zaborów. Kiedy głównym takim ośrodkiem było w pierwszych dwudziestu latach Wilno, młodzież Prus czy Austrii jechała się kształcić na Litwę; zawsze kiedy mogła funkcjonować Warszawa, polskie rodziny z Rosji, Prus czy Galicji wysyłały synów (i nieliczne córki) do Królestwa Kongresowego; kiedy Kraków i Lwów zostały dwoma bliźniaczymi twierdzami polskiej nauki, młodzież posyłano właśnie tam. Należy docenić wielki wpływ na kulturę polską XIX wieku wielkich uniwersytetów niemieckich i rosyjskich. W kategoriach liczb zapewne więcej Polaków wykształciło się „za granicą" – w Berlinie, Breslau, Jenie, Getyndze czy Heidelbergu, w Petersburgu, Tartu czy Kijowie, w Wiedniu lub w Salzburgu, albo na uczelniach technicznych, na przykład na popularnej politechnice w Grazu, a w latach 1869–1915 na rosyjskim uniwersytecie w Warszawie – niż na wszystkich polskich uniwersytetach razem. Jednocześnie zaś dzięki wytrwałości sektora narodowego kultura polska dotrzymywała kroku epoce, przyswajając sobie nową wiedzę, zwłaszcza w dziedzinie filozofii i nauk przyrodniczych, i jednocześnie zachowując tożsamość narodową. Nie sposób oprzeć się wzruszeniu, przyglądając się scenom, jakie miały miejsce na Uniwersytecie Jagiellońskim pod koniec letniego semestru w lipcu 1914 roku, kiedy wielu studentów – oficerów

rezerwy w armiach Rosji, Niemiec lub Austrii, żegnało się ze sobą w cieniu nadchodzącej wojny[56]. Wiedzieli, że w ciągu kilku tygodni, jeśli nie dni, słowa pożegnania, intelektualne spory i randki z dziewczętami zamienią na salwy z karabinów maszynowych – Edward Słoński (1872–1926), który służył w Legionach, skomponował najlepiej może znany wiersz ostatniego okresu zaborów, właśnie na ten temat:

Bo wciąż na jawie widzę
I co noc mi się śni,
że TA, CO NIE ZGINĘŁA,
wyrośnie z naszej krwi.

Nawet wtedy Słoński miał jeszcze być może nadzieję na niepodległość. Ale „ta, co nie zginęła", to z większym prawdopodobieństwem polska wspólnota narodowa zjednoczona za sprawą wspólnej kultury niż jakiś szczególny program polityczny.

Chociaż współczesne polskie badania mają tendencję do podkreślania nasilającej się walki o oświatę między władzami państwowymi i obrońcami kultury narodowej, równie ważny był toczący się równolegle konflikt między oświatą świecką i religijną – przynajmniej do ostatniego ćwierćwiecza XIX wieku. Komisja Edukacji Narodowej dostała w 1773 roku szansę, kiedy Watykan rozwiązał zakon jezuitów, a Kościół nigdy nie zaprzestał starań o odzyskanie utraconego pola. W Księstwie Warszawskim i w Królestwie Kongresowym wojna między świeckimi działaczami oświatowymi i klerem osiągnęła punkt szczytowy, kiedy Stanisław Potocki (1775–1821), autor *Podróży do Ciemnogrodu* (1819), został zdymisjonowany z urzędu ministra. W tamtej epoce Kościół wciąż jeszcze zajmował arcykonserwatywne stanowisko w sprawach społecznych i na ogół raczej stawał po stronie carskich ministrów niż po stronie polskich liberalnych działaczy oświatowych[57]. Dopiero o wiele później, kiedy własne szkoły Kościoła stały się przedmiotem ataku państwa, kler uznał, że walczy o wspólną sprawę z narodowymi działaczami oświatowymi. W epoce *Kulturkampfu* i strajków szkolnych w Prusach, kiedy zaczęto atakować katolickie szkoły podstawowe, a nawet szkolną modlitwę,

[56] Generał brygady Zygmunt Podhorski (1891–1960), „Wspomnienia" (niepublikowane), własność prywatna rodziny, Londyn.

[57] Zob. *Edukacja historyczna społeczeństwa polskiego w XIX wieku. Zbiór studiów*, red. Jerzy Maternicki, Warszawa 1981. Praca zawiera przegląd wpływów kościelnych i świeckich: *Rola Kościoła*, s. 28–33.

i kiedy generał Hurko zamykał prywatne szkoły klasztorne w zaborze rosyjskim, Kościół musiał zmienić stanowisko i połączyć siły z dawnymi przeciwnikami[58].

Żeby uwierzyć, jak wyglądał kontekst działalności oświatowej w zaborach pruskim i rosyjskim pod koniec stulecia, trzeba go było zobaczyć na własne oczy. Ministerstwom w Berlinie i Petersburgu zależało na jak najszybszym wykorzenieniu polskiej kultury. Języka polskiego nie wolno było używać pod karą wydalenia ze szkoły. Polskie książki były zakazane. Polscy nauczyciele musieli mówić do polskich dzieci po niemiecku albo po rosyjsku pod groźbą zwolnienia z pracy. W latach osiemdziesiątych XIX wieku w Warszawie podjęto – jako szczególne ustępstwo – absurdalną decyzję: pozwolono czytać wybrane dzieła literatury polskiej, ale tylko pod warunkiem, że będzie się to odbywać w ramach lekcji języka obcego, a we wszystkich podręcznikach, omówieniach i dyskusjach miało się używać języka rosyjskiego. Maria Skłodowska zapamiętała napięcie, jakie w 1878 roku panowało w jej klasie w warszawskiej szkole:

> Szeroko otwarły się drzwi. Inspektor Hornberg obrzuca nieufnym spojrzeniem klasę (...) Na wzrok inspektora odpowiadają uczennice wzrokiem tak obojętnym i spokojnym, jak gdyby żadnego w ogóle wrażenia nie robiła na nie jego ciężka postać, jego twarz nalana – i ten nienawistny mundur. (...)
>
> Przełożona uspokaja się. Równym, urzędowym tonem, w „urzędowym" języku oczywiście, objaśnia:
>
> – W klasie są dwie godziny robót tygodniowo.
>
> – A? Dobrze – mówi inspektor. A potem do „Tupci": – pani czytała im głośno? Co to za książka? (...)
>
> – *Bajki* Kryłowa. Zaczęłyśmy je właśnie dzisiaj. (...)
>
> [Hornberg] ruchem niby mimowolnym podnosi pulpit jednej – drugiej ławki... Nie. Nic podejrzanego tam nie ma. Żadnych nieprawomyślnych (...) książek ani zeszytów.
>
> – Jakie są imiona władców, którzy panowali w naszej ojczyźnie od czasu carowej-matuszki Katarzyny II? (...)
>
> Bezbarwnym głosem Mania wylicza (...)
>
> – Paweł I, Aleksander I, Mikołaj I, Aleksander II, obecnie najmiłościwiej nam panujący. (...)

[58] John K.J. Kulczycki, *The School Strikes in Prussian Poland, 1901–1907: The Struggle over Bilingual Education*, Columbia University Press, Eastern European Monographs, nr LXXXII, New York 1981.

– Nu, dobrze, dobrze. A jak brzmi tytuł batiuszki-caria?
– Jewo impieratorskoje wieliczestwo.
– A mój tytuł jak brzmi?
– Wasze wysokorodje[59].

Nic dziwnego, że polscy działacze oświatowi, nauczyciele i uczniowie szukali wszystkich możliwych sposobów – legalnych i nielegalnych – omijania oficjalnych drakońskich ograniczeń. Nadeszła epoka szaleńczego zapału samokształcenia, bibliotek publicznych przebranych za towarzystwa zapomogowe i słynnego podziemnego „latającego uniwersytetu". Polskie doświadczenia w dziedzinie tajnego nauczania miały się przydać narodowi w późniejszym czasie, kiedy stanął twarzą w twarz już nie z klonami inspektora Hornberga, ale z jego nazistowskimi i komunistycznymi następcami.

Polska inteligencja[60] była klasą społeczną czy też raczej funkcjonalną grupą, od której zaczęły zależeć działania narodowe w dziedzinie oświaty i kultury. W Europie Wschodniej uważano, że inteligencja pozostaje obojętna w sprawach polityki, i bardzo często wyłączano ją z wszelkich form służby publicznej, odsuwano od stanowisk publicznych i ograniczano możliwości publicznego wyrażania opinii. Miała wobec tego zupełnie inne tradycje i inne zwyczaje niż „klasa ludzi wykształconych" w społeczeństwach Zachodu i niż modni „intelektualiści" w krajach demokratycznych, którzy mogli się obnosić ze swoimi krzywdami bez obawy o areszt czy prześladowania. Na początku wiele zawdzięczała zdeklasowanej szlachcie, w dawnej Polsce najliczniejszej grupie ludzi wykształconych, ale szybko utraciła wszystkie szczególne cechy społeczne i ekonomiczne. W odróżnieniu od innych klas społecznych w dziewiętnastowiecznej Polsce, inteligencję należy definiować w zależności od funkcji, jaką przyznawali sobie jej członkowie: bronić, piastować i rozwijać polską kulturę. Z powodu uderzającego kontrastu między atmosferą kulturalną w Galicji i w innych zaborach występowała uderzająca różnica między układną, akademicką i elokwentną inteligencją Krakowa czy Lwowa z przełomu wieków a radykalnymi *révoltés* z Warszawy czy Wilna lub z wykształconymi kręgami katolickimi ze Śląska czy Poznania. Bardzo typowy krakowski „profesor romantyzmu" bardzo szybko znalazłby się na posterunku policji

[59] Ewa Curie, *Maria Curie*, tłum. Hanna Szyllerowa, Warszawa 1967, s. 27–30.

[60] Mimo oczywistej łacińskiej etymologii terminu „inteligencja" Polacy nie pierwsi go używali: zapożyczyli go z języka rosyjskiego. W *Słowniku języka polskiego* z 1902 roku pisany jest w rosyjskiej wersji „inteligiencja" i definiowany jako „klasa ludzi wykształconych, światłych".

w Rosji czy w Prusach, gdzie równie nie na miejscu byłby niepowtarzalny humor Boya-Żeleńskiego:

I nasz naród przy pomocy nieba
W potędze kilka wieków trwał;
Gdzie go tylko nie było potrzeba,
Wszędzie się polski husarz pchał;
(...)
W końcu nawet już niebu to zbrzydło,
Już nas Opatrzność miała dość;
I rzekł Pan Bóg: „Wytracę to bydło,
Bo już patrzeć na nich bierze złość";

Wielkie zasługi Tadeusza Boya-Żeleńskiego (1874–1941) dla polskiej kultury są rzeczą niewątpliwą. Między innymi przetłumaczył on na polski niemal wszystkich klasyków francuskich – sam jeden, ponad sto tomów. Jego wierszyki śpiewane w krakowskim kabarecie „Zielony Balonik" powstawały na pewno jako zabawa po ciężkiej pracy lekarza; przeznaczenie kazało mu zginąć z ręki hitlerowców. Jego styl i jego temperament były nierozerwalnie związane z Galicją.

W zaborze rosyjskim polska inteligencja musiała stawić czoło o wiele dotkliwszym naciskom. Akty terrorystyczne i działalność polityczna były udziałem nielicznych, natomiast w działalności kulturalnej uczestniczyli wszyscy. Tysiące młodych ludzi, którzy wzdragali się przed przemocą, znajdowało cel w życiu, walcząc o polską kulturę. Instynktownie wyczuwali oni nowy etos, w którym tradycyjny język i tradycyjne wartości polskiego społeczeństwa toną w powodzi ogłupiałych wytworów kontrolowanej przez państwo masowej edukacji. Znalazły się wśród nich pionierki ruchu emancypacji kobiet, które najliczniej zasilały szeregi bojowników kultury; a także pionierzy ruchu szerzenia oświaty wśród chłopów na wsi. O ile w jakimkolwiek okresie przed rokiem 1864 w zaborze rosyjskim polskim „patriotą" był młody człowiek z szablą lub rewolwerem w dłoni, o tyle pod koniec stulecia „patriotką" była młoda dama z dobrej rodziny z podręcznikiem ukrytym pod szalem. To pokolenie „niepokornych" odgrywało rolę misjonarzy w swoim własnym kraju. Byli tak samo zdecydowani produkować „dobrych Polaków" jak władze państwowe – „dobrych Niemców" czy „dobrych Rosjan". I żywili prawdziwie idealistyczną pogardę wobec ludzi byków, którzy nie byli zdolni do patriotycznych uczuć, i ludzi świń, którzy, choć nie pozbawieni inteligencji, zdradzili narodową kulturę. Musieli walczyć na tym samym gruncie i z tym samym ma-

teriałem ludzkim, nie tylko z władzami, ale nierzadko także z Kościołem, z powszechną obojętnością i niechęcią oraz z rywalizującymi z nimi narodowymi misjonarzami lokalnych ruchów narodowościowych Niemców, Żydów czy Ukraińców. Wielu działało anonimowo i bez rozgłosu, ale pamięć o innych – na przykład o Jadwidze Szczawińskiej (1863–1910), założycielce latającego uniwersytetu, i o jej mężu, filozofie Janie Władysławie Dawidzie (1859–1914) – pozostała żywa. Sprawa, o którą walczyli, w końcu zwyciężyła[61].

Tak więc ogólnie rzecz biorąc, wiek XIX przyniósł zwycięstwo polskiej kultury, zdobyte w bardzo niesprzyjających warunkach. W zaborze pruskim, gdzie praktycznie zlikwidowano analfabetyzm, w ramach powszechnej oświaty państwowej wprawdzie uczono dzieci czytać po niemiecku, ale nic nie stało na przeszkodzie, żeby tę umiejętność przenosić na teksty polskie. W zaborze rosyjskim wysoki procent analfabetyzmu wśród ludności chłopskiej chronił masy przed rusyfikacją. W Galicji władze austriackie całkowicie zaprzestały wcześniejszego oporu przeciwko polskiej kulturze i pozwoliły jej się rozwijać. W roku 1918 zadanie, jakie sobie postawili polscy działacze oświatowi, jeszcze bynajmniej nie było zakończone, zrobiono jednak dosyć, aby zapewnić nowej Rzeczypospolitej Polskiej solidne podstawy kulturowe.

7. Religia patriotyzmu

Doktor Johnson powiedział, że „patriotyzm jest ostatnią ucieczką łobuzów", a ta często cytowana uwaga jest dobrą ilustracją zamieszania, które zwyczaj łączy się z tym pojęciem. „Patriotyzm", czyli „miłość ojczyzny", powszechnie uważa się za cnotę nawet wśród ludzi, którzy występują przeciwko systemowi społecznemu czy politycznemu panującemu w ich ojczyźnie. Okazuje się, że doktor Johnson kierował swój gniew nie przeciwko patriotom w ogóle, lecz przeciwko niewielkiej grupie – klice ministrów króla Anglii, którzy przypadkiem określali siebie mianem „patriotów". Poczciwy doktor opowiadał się za patriotyzmem (może z wyjątkiem patriotyzmu uprawianego przez Szkotów) i serdecznie kochał swój kraj Anglię.

W czasach Johnsona – w połowie XVIII wieku – Polacy mieli już opinię ludzi, którzy są przesadnie dumni ze swojego kraju, i prawdą jest,

[61] Zob. Bohdan Cywiński, *Rodowody niepokornych*, Warszawa 1971, dogłębne studium inteligencji w Polsce końca XIX wieku, pisane z pozycji sympatyka postawy romantycznej.

że wielka część polskiej szlachty była bardzo przywiązana do tak zwanego sarmatyzmu – wiary, iż tradycyjnie polski sposób postępowania jest lepszy od sposobów postępowania wszystkich innych nacji. „Gdybyś zapytał mieszkańca Polski, kim jest – pisał Daniel Defoe – powiedziałby ci, że jest »szlachcicem z Polski«, a tak bardzo się cenią z racji tej nazwy, że uważają, jakoby byli (...) wyżsi ponad zasady honoru". Zarzut Defoe był oczywiście skierowany tyleż samo przeciwko aroganckiemu przekonaniu polskiej szlachty o swojej „błękitnej krwi", ile przeciwko jej narodowemu szowinizmowi. Patriotyzmu w jego nowoczesnym etnicznym znaczeniu jeszcze nie wynaleziono.

Jak w bardzo wielu innych dziedzinach, prawdziwą zmianę w patriotycznych postawach Polaków sprowokowały rozbiory. Wtedy gdy wszystkie nowoczesne narody Europy wymyślały sobie flagi, godła i hymny narodowe, Polakom powtarzano, że wszelkie symbole ich własnej narodowości są nielegalne i wywrotowe. Polski tron królewski i królewskie insygnia wywieziono w 1831 roku do Rosji i nigdy ich Polsce nie zwrócono. Polską flagę i godło, z białym orłem w koronie, stopniowo modyfikowano, aż wreszcie całkowicie się ich pozbyto. Ponieważ śpiewanie pieśni patriotycznych uznawano za przestępstwo zdrady, kończenie mszy świętej pieśnią Felińskiego *Boże, coś Polskę* w zaborze rosyjskim, a pieśnią Ujejskiego *Z dymem pożarów* w Galicji, było jedynym, na co pozwalano, ale nawet w tych przypadkach słowa musiały zostać należycie ocenzurowane. Co gorsza, wszyscy poddani cara, cesarza i cesarza-króla musieli oddawać honory sztandarowi Rosji, wychwalać czarnego pruskiego orła albo zaczynać dzień szkolny hymnem *Boże, chroń cesarza*, do melodii Haydna *Österreich*[62]. W oczach zewnętrznych obserwatorów wszystko to wyglądało zapewne na dość nieistotne detale. Większości Brytyjczyków lub Amerykanów, którzy mogą według własnego uznania albo słuchać hymnów *God Save the Queen* i *The Star-Spangled Banner* na stojąco, albo siedzieć, którzy mogą z dumą oddawać honory brytyjskiemu Union Jackowi czy amerykańskiej Old Glory (albo je spalić na znak protestu), trudno sobie wyobrazić uczucia kogoś, kogo zmuszano, aby wyrażał szacunek symbolom cudzym, a nie po prostu symbolom własnego narodu. Każdy nowoczesny kraj wypracował sobie patriotyczną mistykę, z własnymi rytuałami i obrzędami. Ale w Polsce wszelkie „normalne" przejawy patriotyzmu oficjalnie tępiono i spychano do podziemia. W efekcie polski patriotyzm stał się przedmiotem intensywnego, tajnego i bardzo rozwiniętego mistycyzmu. Miał swoje Pisma, czyli utwory romantyków;

[62] Lepiej znanej jako *Deutschland, Deutschland, über alles.*

swoich „ojców Kościoła", czyli wielkich poetów; swoich męczenników, czyli ofiary powstań; swoich teologów, czyli mesjanistycznych filozofów i krytyków literackich; swoje duchowieństwo, czyli inteligencję, a także rzesze wiernych. Nic więc dziwnego, że miał też swoich apostatów i swoich agnostyków oraz – w postaci pozytywistów – swoich schizmatyków, swoich „protestantów". Nazywanie go religią może się wydać metaforą godną samych romantyków, ale to nie jest nazwa niestosowna. Opierał się na systemie irracjonalnych przekonań, których akceptacja wymagała aktu wiary, a owe przekonania miały być przewodnikiem w codziennym życiu w świecie wrogim i równie irracjonalnym.

Romantyczna religia Polski wyłoniła się, w dość naturalny sposób, z tradycyjnej polskiej katolickiej wiary chrześcijańskiej i pod kilkoma istotnymi względami stanowiła jej odbicie. Teologia „ducha narodu" znajdowała paralelę w teologii chrześcijańskiej „duszy"; dogmat przyszłej „niepodległości", na którą na ziemi nie wskazywało zbyt wiele konkretnych oznak, przypominał doktryny „życia wiecznego" i „zmartwychwstania ciała"; interpretację rozbiorów inspirowało ukrzyżowanie. Czerpała też obficie ze świeckiej mitologii, ze średniowiecznych opowieści, z nadprzyrodzonych wątków folkloru, ale głównym źródłem inspiracji pozostawało chrześcijaństwo. W gruncie rzeczy w okresie swojego największego rozkwitu, między dwoma wielkimi powstaniami, zaczęła przybierać kształt sekty opartej na spójnych podstawach. Potraktowany dosłownie obraz Polski jako „Chrystusa narodów" nosił w sobie oczywiste elementy bluźnierstwa, i kilku głównych apostołów – w tym Mickiewicz i Słowacki – całkowicie odeszło od Kościoła katolickiego. W tej sytuacji taka religia musiała wzbudzić podejrzliwość hierarchii kościelnej i wywołać poważny *crise de conscience* wśród wszystkich katolików.

W sytuacji, w jakiej się znajdował, polski patriotyzm mógł wprowadzić w życie bardzo niewiele formalnych rytuałów czy ceremonii publicznych. Jego misteria były rzeczą prywatną i intymną. Pewna uczestniczka powstania opisała swoją inicjację, którą odbyła w wieku zaledwie siedmiu lat:

> Babka była kobietą o dużej sile charakteru, a inteligencją, oczytaniem, głębią umysłu i szeregiem innych zalet przewyższała bez wątpienia większość swoich rówieśniczek... Głównym motorem jej życia był patriotyzm... w robocie spiskowej w czasie powstania 1863 r. grała w okolicy główną rolę... Upadek powstania był największym ciosem w jej życiu. Od tego czasu ubierała się jedynie w czarne suknie, z wąską, białą koronką u szyi i na rękawach, a na

palcu nosiła na znak żałoby pierścionek z tabliczką z czarnej emalii, ozdobioną krzyżykiem z białych pereł.

Miałam chyba siedem lat, gdy pewnego wieczora zapytałam ją o ten pierścionek...

– To jest pierścień żałoby po tych, którzy polegli – odpowiedziała surowo na moje pytanie. (...)

– Babciu, pozwól mi włożyć ten pierścionek – prosiłam.

Wstrząsnęła przecząco głową:

– Możesz nosić go tylko wówczas, gdy będziesz patriotką, Olu...

– A co to znaczy być patriotką, babciu?...

– Ten jest patriotą – odpowiedziała – kto kocha Polskę nade wszystko na świecie i kto dla jej wolności poświęci wszystko co posiada, nawet swe życie, gdy będzie trzeba.

– Ja chcę walczyć o Polskę, babciu – powiedziałam na pół rozumiejąc, co mówię...

Przez chwilę babcia milczała, a oczy jej błyszczały.

– Wierzę, że chcesz – odrzekła na koniec – przyrzecz mi, że będziesz walczyć!

– Przyrzekam, babciu – powtórzyłam uroczyście, przejęta grozą...

Przytuliła mnie do siebie... i włożyła pierścionek na mój palec, trzymając go mocno...

– A teraz biegnij, Olu, i baw się z siostrami... Nie mów o tym nikomu, ale nie zapomnij.

W ten sposób – w lipcu 1898 roku – mała Ola Szczerbińska (1882–1963) zaczęła karierę rewolucjonistki, która miała ją wciągnąć w takie same akcje przemytu broni jak kiedyś jej babkę. Jej mąż, Józef Piłsudski, wspominał podobne przeżycia z dzieciństwa. Wydaje się, że polski patriotyzm stawiał takie same surowe wymagania jak chrześcijaństwo: „Zostaw wszystko i pójdź za mną"[63].

Podstawowym artykułem wiary była wiara w moc ducha. Wszyscy wielcy romantycy sławili wyższość niewidzialnego świata duchowego nad widzialnym światem materialnym. Duch był dla nich czymś rzeczywi-

[63] Aleksandra Piłsudska, z domu Szczerbińska, *Wspomnienia*, Warszawa 1989, s. 41–43. Refleksje samego Piłsudskiego na temat patriotyzmu zawarte są w artykule *O patriotyzmie*, w którym jasno przyznaje on pierwszeństwo celów narodowych nad ideologią socjalistyczną (*Pisma zbiorowe*, reprint, t. 2, Warszawa 1989).

stym, a ciało, jego zewnętrzne okrycie – fikcją. W III części *Dziadów*, gdy dokonuje się metamorfoza Gustawa w Konrada, Duch recytuje:

> Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!
> Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze,
> Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza,
> I tworzy deszcz rodzajny lub gromy i burze (...)
> Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony,
> Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony[64].

Później, w *Wielkiej Improwizacji*, Konrad dziwi się swojej twórczej poetyckiej mocy – danej przez Boga i równie boskiej – wołając o rząd dusz, panowanie Ducha:

> Daj mi rząd dusz! – Tak gardzę tą martwą budową,
> Którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić,
> Żem nie próbował dotąd, czyli moje słowo
> Nie mogłoby jej wnet zwalić.
> Lecz czuję w sobie, że gdybym mą wolę
> Ścisnął, natężył i razem wyświecił,
> Może bym sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił –
> Bo jestem nieśmiertelny! i w stworzenia kole
> Są inni nieśmiertelni; (...)[65].

Mickiewicz w gorączce poetyckiego natchnienia wyraził to, w co wierzyli wszyscy romantycy. To, co się wydaje niemożliwe, jest możliwe.

Ostatecznym celem była wolność – ale wolność duchowa, a nie ta przyziemna i materialna. Romantycy nie troszczyli się o kształt i konstytucję przyszłej Polski, które były pojęciami bardzo niejednoznacznymi do czasu, gdy na przełomie wieków Dmowski i Piłsudski zaczęli roztaczać swoje konkurencyjne wizje. Jeśli w ogóle myśleli o takich konkretnych szczegółach, to spoglądali wstecz na dawną Rzeczpospolitą Obojga Narodów i na Konstytucję 3 maja, która w latach czterdziestych XIX wieku trwała jeszcze w pamięci żyjących. Teoria polityczna i prawo konstytucyjne po prostu nie należały do ich *métier*. Obraz powstający w ich umysłach o wiele bardziej przypominał świecką wersję „Państwa Bożego"

---

[64] Adam Mickiewicz, *Dziady część III, Prolog*, w. 144–147, red. Stanisław Pigoń, Warszawa 1974, s. 20.

[65] Adam Mickiewicz, *Dziady część III, Wielka Improwizacja*, sc. II, w. 170–178, dz. cyt., s. 55.

czy „Nowego Jeruzalem" Blake'a niż jakikolwiek byt historyczny. Raj doskonałej wolności miał się stać udziałem zarówno narodów, jak i jednostek, a Polska była po prostu pierwszą z wielu, przywódczynią licznej grupy pielgrzymów. Narody, którym nie udało się podążyć za Polską, nawet jeśli – jak Anglia czy Francja – były „dziećmi wolności", zostaną wrzucone w otchłań ciemności, a raj powstanie „z kamieni, to jest z Moskali i Azjatów". Ci, którzy szukali nagrody na ziemi, na zawsze utracą nadzieję wolności:

> Powiedział CHRYSTUS: Kto idzie za mną, niech opuści i ojca swego, i matkę swoją, i odważy duszę swoją.
>
> Pielgrzym polski powiada: Kto idzie za Wolnością, niech opuści ojczyznę i odważy życie swoje.
>
> Bo kto siedzi w Ojczyźnie i cierpi niewolę, aby zachował życie, ten straci Ojczyznę i życie; a kto opuści Ojczyznę, aby bronił Wolność z narażeniem życia swego, ten obroni Ojczyznę i będzie żyć wiecznie[66].

Nie ma powodu, aby przypuszczać, że „opuszczanie Ojczyzny" oznaczało podróż za granicę. Podróż do wolności była podróżą duchową, a „obroniona Ojczyzna" była rajem dla ducha.

Sceptycy – a takich nie brakowało – zazwyczaj cytowali wyświechtane argumenty, jakie wszyscy racjonaliści wytaczają przeciwko systemom wiary. Pozytywiści podzielali powszechne w połowie wieku przeświadczenie, że naukę należy przedkładać nad religię, uważając, iż te dwie domeny nie dają się ze sobą pogodzić. Dostrzegali emocjonalną potęgę romantycznego patriotyzmu i budziła ona ich obawy, ponieważ mogła zniweczyć ich tęsknotę za systematycznym i uporządkowanym postępem oraz starannie wykalkulowaną polityką. Gardzili jego entuzjazmem, jego brakiem ostrożności, jego zdolnością do sprowadzania na manowce prostych ludzi, jego nieliczeniem się z konsekwencjami. Atakowali romantyków, oskarżając ich, że są „niepraktyczni", „nierozsądni" i „nierealistyczni". Siebie uważali za strasznie nowoczesnych, a romantyków za staromodnych fanatyków, niezdolnych do „zrozumienia" – w dość podobny sposób wybitni ludzie oświecenia myśleli o mistykach i cudach Wieku Wiary. Krótko mówiąc, mieli dość ciasny pogląd na temat rzeczywistości ograniczonej do tego, co widzialne i dające

---

[66] Adam Mickiewicz, *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*, w: tenże, *Dzieła poetyckie*, oprac. Władysław Floryan, Warszawa 1983, t. 2, s. 231.

się bezpośrednio zweryfikować, niezdolny do akceptacji rzeczywistości, która obok elementów przyziemnych i materialistycznych zawierałaby także elementy duchowe, emocjonalne, twórcze i będące dziełem wyobraźni. Następcy pozytywistów – nacjonaliści – odziedziczyli po swoich poprzednikach materializm, pragmatyzm i przezorność, dodali jednak od siebie całą nową mitologię Krwi, Ziemi i Historii. W ostatecznym rozrachunku należy w nich widzieć sektę w sekcie – przyjęcie fundamentalnej wiary romantyków w naród i dodanie do niej wymyślonych przez siebie szczególnych dogmatów. Jednocześnie zaś zwracali się z powrotem ku tradycyjnemu katolickiemu obrządkowi, przyczyniając się w ten sposób do zasypywania przepaści między romantycznym patriotyzmem i tradycyjnym katolicyzmem.

W ostatecznym rozrachunku i ku wielkiemu zdziwieniu pozytywistów ostateczny test był w przypadku romantycznego patriotyzmu taki sam jak dla wszystkich religii: próba zderzenia z praktyką. Jego krytycy musieli sobie zadać pytanie, czy sprostał on codziennym potrzebom zwykłych ludzi. I pod tym względem zdał egzamin na najwyższą ocenę. Miał swoje wady i swoje tragedie, ale raz za razem dawał dowody, że Polacy, jak wszyscy ludzie, mają nie tylko potrzeby materialne, ale i potrzeby duchowe, i że pełne poczucie satysfakcji nie płynie wyłącznie ze świadomości porządku i dobrobytu – że mimo wszystko człowiek-Polak nie samym chlebem żyje.

8. Rozterki sumienia

W miarę konsolidacji narodu polskiego na przestrzeni XIX wieku przeciętni ludzie czuli się rozdarci między trzema lojalnościami. Ponieważ w większości byli ochrzczonymi i praktykującymi katolikami, mieli poczucie obowiązku wobec Kościoła; ponieważ coraz więcej z nich zaczynało uświadamiać sobie przynależność do narodu polskiego, mieli poczucie obowiązku wobec narodu; wreszcie, ponieważ w większości byli poddanymi Rosji, Prus lub Austrii, bezustannie im powtarzano, że powinni mieć poczucie obowiązku wobec państwa. Każde poczucie obowiązku stawiało własne wymagania sumieniom i każde kierowało je w inną stronę. Ponieważ każde z tych trzech źródeł autorytetu oznaczało roszczenia o charakterze absolutnym i dogmatycznym i ponieważ kompromis w sprawach zasadniczych uważano za niemożliwy, zadanie jakiegokolwiek ich trwałego pogodzenia wydawało się logicznie niewykonalne. Ten konflikt zawsze stanowił tło żywotnego moralnego kontekstu

życia w Polsce i stwarzał problem, który każdy człowiek musiał rozwiązać we własnym sumieniu, najlepiej jak potrafił. Kiedy historycy piszą, że Polska była i jest „symbolem celu moralnego w życiu Europy", nie oceniają jednostkowej moralności Polaków, ale raczej zwiększone naciski moralne, które były koniecznym elementem ich życia przez minione trzysta lat.

Z powodu swojej natury władze państwowe w Europie Wschodniej udzielały pojedynczym obywatelom minimum swobody, jednocześnie wywołując maksymalną alienację wśród swoich polskich poddanych. Gdyby Rosji carskiej kiedykolwiek udało się wprowadzić w życie planowane reformy konstytucyjne, gdyby Prusy i pruskie Niemcy uprawiały coś więcej niż tylko „fasadową demokrację" lub gdyby miały taką samą tolerancję i zaufanie jak bardziej ugruntowane państwa i gdyby zjednoczone cesarstwo Austrii upadło nieco wcześniej, życie na ziemiach polskich mogłoby być łatwiejsze. Ale nic takiego się nie stało. W decydującym okresie kształtowania się narodu polskiego wykuwały go trzy młoty: carat Mikołaja I, absolutyzm Metternicha i ambicje Bismarcka. Proces ten z konieczności odbywał się w wysokiej temperaturze, ale w efekcie powstał bardzo twardy stop. Patrząc wstecz, ma się ochotę pomyśleć, że wyalienowana władza budziła niewielki szacunek i wobec tego nie mogła spowodować zbyt intensywnej emocjonalnej traumy. Można by sądzić, że Polacy bez najmniejszych wyrzutów sumienia przyznawali sobie pełną swobodę w sprzeciwianiu się państwu lub oszukiwaniu go. Ale sprawa była bardziej skomplikowana. Z jednej strony, administracja państwowa miała szereg sposobów wywierania ogromnej presji na każdą jednostkę – grożąc odebraniem środków do życia lub represjami wobec członków rodziny czy przyjaciół. Każdy, kto żył w państwie policyjnym, wie, co może znaczyć „życzliwe słówko szepnięte komuś na ucho" przez miejscowego urzędnika. Z drugiej strony, państwo mogło wywierać nacisk na Kościół, skłaniając go do przyjęcia lojalistycznej postawy w sprawach politycznych, i wobec tego mogło wykorzystywać kredyt moralny Kościoła do swoich nikczemnych celów. W XIX wieku Kościół rzymskokatolicki umiał się przeciwstawiać takim naciskom mniej skutecznie, niż się tego nauczył później; nie należy też lekceważyć zdolności państwa do zadawania polskim sumieniom ran pośrednio, przy użyciu do tego Kościoła. Łatwo sobie wyobrazić obrzydzenie i umysłowy zamęt wywoływane w sytuacjach, kiedy Polacy musieli słuchać listu pasterskiego swojego biskupa, który ich nawoływał do miłości i szacunku dla cara, a tym bardziej, kiedy słyszeli z ambony nazwiska swoich ekskomunikowanych przyjaciół i bohaterów.

Z powodu swojej natury autorytet Kościoła także powodował poważne problemy. Chociaż Kościół rzymskokatolicki dawno już utracił środki wywierania obywatelskiego przymusu; jego dogmaty bezwzględnego posłuszeństwa, a po roku 1870 także papieskiej nieomylności były dokładnie tak samo nieugięte jak dogmaty caratu. Katolicy, którzy się sprzeciwiali działaniu carskiej cenzury, nie bardzo mogli występować przeciwko samej jej zasadzie, ponieważ Kościół też stosował swoją własną cenzurę. Podczas gdy państwowi cenzorzy zakazywali dzieł Mickiewicza czy Słowackiego, indeks kościelny wciąż utrzymywał zakaz dzieł Kopernika. Niektóre teksty – na przykład prace panslawisty i historyka Wacława Maciejowskiego (1792–1883) – znalazły się na indeksie, ponieważ uznano je za zbyt życzliwe wobec poglądów rosyjskiego prawosławia; inne – na przykład traktaty Mickiewicza *L'Église officielle et le messianisme* i *L'Église et le Messie* (1848) – były zakazane przez cenzurę i jednocześnie znalazły się na indeksie. Gdyby Kościół rzymskokatolicki w Polsce zachował więcej z epoki humanizmu katolickiego i protestantyzmu z wieków XV i XVI, gdyby kler czuł się mniej zagrożony przez upadek potęgi Kościoła i przez miejscową konkurencję prawosławia, luteranizmu i judaizmu, życie Polaków mogłoby być łatwiejsze. Ale nic takiego się nie stało. W decydującym okresie kształtowania się narodu polskiego musiał on znosić nie tylko świeckich despotów, ale także ten rodzaj despotyzmu klerykalnego, który bardzo powoli przechodził do historii. Znany opis Słowackiego audiencji polskiego patrioty w Watykanie powstał jako satyra, żeby nie powiedzieć: parodia, zawierał jednak więcej niż tylko ziarno prawdy:

SZWAJCAR: Graf Kordian, Polak!
PAPIEŻ: Witam potomka Sobieskich...
Dziękczynień modły niosę za ów kraj szczęśliwy,
Bo cesarz jako anioł z gałązką oliwy,
Dla katolickiéj wiary chęci chowa szczere;
Powinniśmy hosanna śpiewać...
PAPUGA (*cienko i chrapliwie*): Miserere!!!
KORDIAN: W darze niosę ci, Ojcze, relikwią świętą,
Garść ziemi, kędy dziesięć tysięcy wyrżnięto
Dziatek, starców i niewiast... Ani te ofiary
Opatrzono przed śmiercią chlebem eucharisti;
Złóż ją tam, kędy chowasz drogie carów dary,
W zamian daj mi łzę, jedną łzę...
PAPUGA: Lacryma Christi...
PAPIEŻ (*z uśmiechem do papugi machając chustką*):
Precz, Luterku, precz mówię... Cóż, synu Poloniae,

Byłeśże w Piotra gmachu? w Cyrku, w Panteonie?
Ostrzegam, bądź w niedzielę w chorze Bazyliki,
Bo właśnie nowy śpiewak przyjechał z Afryki...,
Ujrzysz, jak całe ludy korne krzyżem leżą;
Niech się Polaki modlą, czczą cara i wierzą...
KORDIAN: Lecz garści krwawéj ziemi nikt nie błogosławi.
Cóż powiem?
PAPUGA: De profundis clamavi! clamavi!
PAPIEŻ: (*zmięszanie śmiechem pokryć usiłuje i spędza papugę*):
Precz, szatanku! .....
No mój synu, idź z Bogiem, a niechaj wasz naród,
Wygubi w sobie ogniów jakobińskich zaród,
Niech się weźmie psałterza i radeł i sochy...
KORDIAN (*rzucając na powietrze garść ziemi*):
Rzucam na cztery wiatry męczennika prochy!
Ze skalanymi usty do kraju powrócę.

Kościół w Polsce nie był pozbawiony chrześcijańskiego miłosierdzia, jak to utrzymywali i nadal utrzymują niektórzy z jego ateistycznych przeciwników, musiał natomiast nieść straszliwy krzyż instytucjonalnej inercji, klerykalnych uprzedzeń i doktrynalnego usztywnienia.

Z powodu swojej natury polski patriotyzm jeszcze bardziej komplikował sprawy. Polski patriotyzm nie był po prostu reakcją na świecki ucisk, był na wiele sposobów odbiciem postaw religijnych. Głosił wiarę w absolutne Dobro wolności Narodu i w tej wierze przyjmował priorytety różne od priorytetów zarówno państwa, jak i Kościoła. Absolutystyczne państwo nie wyobrażało sobie opozycji politycznej, nie mówiąc już o ideałach absolutnej wolności politycznej; absolutystyczny Kościół nie mógł przyjąć prawdy, że Dobro tkwi gdziekolwiek poza zbawieniem duszy. Każdy Polak, który był wprawdzie niedobrowolnym poddanym państwa, lecz który jednocześnie chciał czynnie służyć narodowi oraz być wiernym dzieckiem Kościoła, musiał przeżywać katusze sumienia. Z chwilą gdy podejmował trudną decyzję odrzucenia autorytetu państwa i przyjmował ryzyko związane z działalnością polityczną, miał jeszcze przed sobą bolesny wybór między patriotyzmem i katolicyzmem. Na przykład Karol Baykowski (1823–1904), spiskowiec i terrorysta, wyjaśniał swój świadomy wybór na korzyść patriotyzmu w następujący sposób:

Jestem chrześcijaninem, więc powinien bym wypełnić prawo Chrystusa co do joty: jestem Polakiem, więc powinien bym użyć wszyst-

> kich środków do wyjarzmienia Ojczyzny mojej (...) Do tego ideału należała też gotowość poświęcenia dla wyzwolenia Ojczyzny albo, powiedzmy raczej, dla zemsty nad ciemiężcami jej, nie tylko życia, rodziny, majątku, kariery osobistej itd., nie tylko honoru i opinii świata, ale nawet sumienia, nawet zbawienia duszy. Raz przyjąwszy do serca taki ideał, podsycałem go tym wszystkim, czym go tylko podsycać mogłem, nawet Pismem Świętym[67].

Baykowski był uczciwym człowiekiem i dokonał wyboru z otwartymi oczyma, nie ukrywając niekorzystnych konsekwencji. Później, podczas rozczarowania zsyłki, odrzucił zarówno swoją patriotyczną przeszłość, jak i wiarę katolicką, stając się czołowym wyznawcą towianizmu. Cena moralna jednoznacznej decyzji zawsze bywała wysoka.

Albowiem dylematu polskiego nie dało się w rozwiązać w żaden zadowalający sposób. Polacy, którzy się opowiedzieli za politycznym lojalizmem albo za bezkrytycznym katolicyzmem, czuli się winni zdrady lub zaniedbywania sprawy narodowej. Ci, którzy się opowiedzieli po stronie patriotyzmu, czuli się winni albo z powodu wyrzutów sumienia wobec ceny swojego poświęcenia, albo z powodu nieposłuszeństwa wobec Kościoła. Ci, którzy unikali podjęcia jakiejkolwiek decyzji i nie robili nic, czuli się winni z powodu własnego tchórzostwa. Żadna decyzja nie mogła być decyzją trwałą. Polaków popychano to w przód, to do tylu, z jednej nie dającej się utrzymać pozycji na inną. Lojalista z poczuciem winy zwracał się przeciwko znienawidzonym panom z powodu długotrwałych upokorzeń; rozczarowany patriota stawał się ugodowcem lub lojalistą. Pełen dobrych intencji katolik miotał się pomiędzy władzami państwowymi i cierpiącym narodem, niezdolny do usatysfakcjonowania żadnej ze stron. Osoba o biernym usposobieniu, która starannie unikała zaangażowania w któreś z powstań w obawie o własną skórę, czuła się zobowiązana do wzięcia udziału w następnym. Dopóki ludzie uważali państwo za nielegalne, dopóki Polacy byli jednocześnie katolikami i patriotami, dopóty nie było nadziei na ulgę, żadnej szansy na łatwe rozwiązanie.

Romantyczny patriota i gorliwy katolik mieli oczywiście cechę wspólną: wiarę w prymat duchowości. Patriota podejmował gwałtowne i katastrofalne czyny, ponieważ wierzył, że duch narodu jest niezłomny, że poświęcenie i cierpienie prowadzą do moralnego zwycięstwa. Katolik cofał się przed przemocą i polityką, ponieważ obawiał się

---

[67] Pamiętniki Baykowskiego, cyt. w: Maria Janion, Maria Żmigrodzka, dz. cyt., s. 373.

o bezpieczeństwo dusz patriotów. Ale obaj zgodziliby się, że życie obiecuje nagrody o wiele cenniejsze niż zwykły ład polityczny i sukces materialny. Ci Polacy, którzy byli bardziej patriotami, a mniej katolikami, nawoływali do działania; ich bracia i siostry, którzy byli może bardziej katolikami i mniej patriotami, namawialiby do powściągliwości. Jednak obie strony tego sporu zgodziłyby się bez zastrzeżeń, że kluczem do przyszłości Polski, a także sednem ich własnej egzystencji było ćwiczenie się w duchowym mistrzostwie.

ROZDZIAŁ 5

DZIEDZICTWO DAWNEJ KULTURY

Polska przed rokiem 1795

Historyczny naród

W XIX wieku pojęcie „historycznego narodu" było jednym z podstawowych narzędzi warsztatu historyka. Rozwinął je Hegel i uściślił Marks; odnosiło się do tej grupy wybranych narodów, które dzięki swoim osiągnięciom w szerokim zakresie polityki, wojskowości, gospodarki, zagadnień społecznych i kultury uznano za zdolne do sprawowania niezawisłej kontroli nad swoim państwem i odgrywania niezależnej roli w sprawach o światowym zasięgu. Taka definicja implikowała istnienie drugiej kategorii „narodów niehistorycznych", których braki w tej czy innej dziedzinie niezbędnych osiągnięć skazywały je na podrzędną pozycję, a ostatecznie na asymilację i wyginięcie. Pod wpływem popularnej teorii ewolucji los narodów na scenie międzynarodowej porównywano do losów gatunków biologicznych w świecie przyrody, gdzie przeżyć mogły tylko gatunki najlepiej przystosowane, nieprzystosowane zaś musiały nieuchronnie zginąć. Historycy i mężowie stanu nigdy nie mogli się w pełni zgodzić co do tego, jakie narody najlepiej się kwalifikowały do której z tych kategorii. (Ludzie mają naturalną skłonność do przyjmowania tezy, że skoro ich własny naród ma jakieś „oczywiste przeznaczenie", to jego sąsiadów można bezpiecznie uznać za godnych zapomnienia). Powszechnie jednak uważano, że w wyniku procesu historycznego w nowożytnej Europie powstało szereg anomalii, które należy skorygować. Niewielu kwestionowało historyczną rolę Wielkiej Brytanii, Francji czy Rosji i często przyjmowano, że powstanie Cesarstwa Niemieckiego czy zjednoczonych Włoch było w pełni zgodne z naturalnym porządkiem rzeczy. Prawa i roszczenia Greków, Czechów czy Irlandczyków stawały się mniej oczywiste.

W tej toczącej się debacie pozycja Polski była szczególnie kontrowersyjna. Z jednej strony, jej krytycy mogli wskazać długą listę „historycznych" braków – rzekomy ucisk ze strony polskiej szlachty, regresja gospodarcza w XVII i XVIII wieku, a przede wszystkim „anarchia" ustroju politycznego w dawnej Polsce. Historycy, na czele z nadwornymi historykami

z Petersburga i Berlina, od Nikołaja Karamzina po Heinricha von Treitschke, dbali, aby każdy w Europie usłyszał o tyrańskiej szlachcie, jej śmiesznym *liberum veto* i jej okropnym *Polnische Wirtschaft*. Z drugiej strony, na zwolennikach Polski – takich jak Michelet, Macaulay czy Marks – niedociągnięcia Polski robiły mniejsze wrażenie niż jawnie fałszywe świadectwa jej wrogów. Według nich włączanie Polski do tej samej kategorii co Basków, Bretończyków czy Bułgarów, którzy w czasach nowożytnych nie mieli żadnych doświadczeń w zakresie odrębnej egzystencji politycznej, było czymś równie absurdalnym, jak uznać jej upadek spowodowany przez trzy najbardziej reakcyjne imperia Europy za przykład pochodu cywilizacji. Jak z największą żarliwością twierdził Marks, Polacy padli ofiarą historycznej „zbrodni", a przywrócenie istnienia Polski było warunkiem wstępnym pokojowego rozwoju Europy. W końcu w czasach Marksa Rosja była najbardziej zacofanym krajem w Europie, tak jak Prusy – najbardziej opóźnioną w rozwoju częścią Niemiec; zdobycie supremacji przez te dwa mocarstwa należało przypisać w większej mierze brutalnej sile niż wysokiej kulturze. Dla Marksa i współczesnych mu liberałów niegasnące przymierze konserwatywnych monarchii Europy Wschodniej, których losy zostały przypieczętowane rozbiorami Polski, było główną przeszkodą na drodze Europy do postępu. W ramach ich rozległej wizji przeszłości i przyszłości roszczenia Polski do statusu jednego z historycznych, choć czasowo pozbawionych praw, narodów Europy było równie oczywiste jak analogiczne roszczenia Niemców czy Włochów. Argumenty za i przeciw przywoływano i dyskutowano na nowo podczas każdego kryzysu międzynarodowego z minionych stu lat, kiedy ważyły się losy Polski[1].

Bez względu na różnice zdań pewne fakty są niezaprzeczalne. Niezniszczalne tradycje Polski nie są po prostu wytworem współczesnej polityki czy nieszczęśliwych wydarzeń ostatnich lat. Nie są wytworami nacjonalistycznych fantazji. Są mocno zakorzenione w wielowiekowych związkach z zachodnim chrześcijaństwem, w znajomości wszystkich wielkich doświadczeń europejskiej historii – renesansu, reformacji, baroku, oświecenia – w bliskich kontaktach ze wszystkimi wielkimi mocarstwami kontynentu – Świętym Cesarstwem Rzymskim, Francją, Węgrami, Szwecją, Turcją otomańską, przede wszystkim zaś w stuleciach niepodległości i nieprzerwanego rozwoju rodzimego prawa, języka i literatury. Krótko mówiąc, są owocem procesów trwających ponad tysiąc lat.

---

[1] Zob. Marian Serejski, *Europa a rozbiory Polski*, Warszawa 1970.

1. Prehistoria

Rozległa polska równina, która na wschód od Odry i Wisły przechodzi w bezkresne stepy Eurazji, stanowiła jedną z głównych tras wędrówek dawnych plemion na drodze do Europy. Od epoki kamienia łupanego w 180. tysiącleciu p.n.e. do początków czasów historycznych w X wieku n.e. była przystankiem w podróżach kolejnych fal nomadów, najeźdźców i osadników. Na dłuższe lub krótsze okresy stawała się domem dla niezwykle zróżnicowanej mieszaniny ludów – od bezimiennych plemion z epoki przedchrześcijańskiej, znanych tylko z wykopalisk, po okryte mrokiem pogańskie ludy średniowiecza. Wśród jej mieszkańców preferujących bardziej osiadły tryb życia były najróżniejsze szczepy Bałtów, Celtów, Germanów i Słowian, a wśród nomadów – Scytowie, Sarmaci, Hunowie, i Mongołowie. Jest więc oczywiste, że ludność tego regionu musiała być bardzo zróżnicowana. Co więcej, kiedy pod koniec pierwszego tysiąclecia strumień przybyszów ze stepów zaczął maleć – ostatnimi osadnikami byli w IX wieku Madziarzy – główny strumień wędrowców w Europie Środkowej przez kilka stuleci płynął w przeciwnym kierunku. Francuzi parli w stronę Renu, Germanie w tym samym czasie ponownie przekroczyli Łabę i weszli w rejon nadbałtycki; Polacy parli na wschód, na Litwę i Ruś, Rosjanie przedarli się przez Ural i ruszyli w stronę Pacyfiku. W dzisiejszej Polsce nie należy do dobrego tonu przypominać, że Słowianie uczestniczyli w tym potężnym *Drang nach Osten* w takiej samej mierze jak Germanie, nie da się jednak zaprzeczyć, że skierowane na wschód migracje we wczesnym średniowieczu, dzięki którym w zachodnich prowincjach Polski pojawili się Holendrzy, Niemcy, Czesi i Żydzi, przesunęły polskich osadników na tereny leżące dalej na wschodzie, gdzie zmieszali się z Łotyszami, Rusinami[2], Rumunami i Tatarami. W czasach historycznych ogólnym efektem był fantastyczny *patchwork* ludów mówiących pomieszanym chórem języków i będących wyznawcami mnóstwa religii. W zróżnicowaniu etnicznym należy widzieć jeden z probierzy ludności do niedawna zamieszkującej Polskę.

W tym kontekście może się wydać dziwne, że poważni uczeni mogliby pomijać oczywiste bogactwo i złożoność wczesnego osadnictwa na rzecz nadmiernie uproszczonych teorii wspierających roszczenia jednej

[2] Rusini byli przodkami dzisiejszych Białorusinów i Ukraińców; nie należy ich mylić z Wielkorusinami (Moskalami). Uczeni rosyjscy tradycyjnie twierdzą, że Rusini byli tylko niewielkim odłamem narodu rosyjskiego, a żeby wprowadzić jeszcze większe zamieszanie, w czasach carskich Ukraińców oficjalnie nazywano Małorusinami.

jedynej grupy etnicznej do wyłącznego i odwiecznego posiadania. A jednak prehistorię Europy Środkowej nękają etnocentryczne teorie. Tu odkrycia niedawnej polskiej „szkoły autochtonicznej", która uważała tereny Polski Ludowej leżące między Odrą i Bugiem za ustaloną i wyłączną ojczyznę Prasłowian, bardzo przypominają dzieło ich poprzedników ze starej szkoły pruskiej, którzy przeznaczyli dokładnie te same tereny na rodową dziedziczną ojczyznę *Früostgermanen* (wczesnych Niemców ze Wschodu). Zwyczaj nazywania jednej wybranej przez siebie grupy „autochtonami" albo „ludem tubylczym" czy „rodzimą ludnością", a wszystkich pozostałych „obcymi", „cudzoziemcami" „ludnością przejściową" czy „najeźdźcami" jest dla przeciętnego czytelnika równie mylący, jak nieprzekonujący dla specjalisty. Można jedynie wyciągnąć wniosek, że na prehistorię wciąż wywierają silny wpływ narodowe uprzedzenia badaczy oraz – co jest jeszcze gorsze – nakazy oficjalnych cenzorów. Jest to sytuacja co najmniej niezwykła. Może przecież istnieć długa prehistoria Anglii bez Anglików, Francji bez Francuzów, Czech bez Czechów czy nawet Rosji bez Rosjan, wydaje się natomiast, że nie może być prehistorii Polski bez Polaków.

W gruncie rzeczy długi proces, w którego wyniku element mówiących po polsku Słowian zdobył sobie dominującą pozycję wśród ludności, okrywa mrok tajemnicy. Nie ma powszechnej zgody co do miejsca pobytu Słowian przed ich gwałtownym napływem w rejon Bałkanów w VI i VII wieku, nie ma też wiarygodnych zapisów, które świadczyłyby o ich obecności na terenach leżących na wschód od Łaby i Odry przed VIII wiekiem. Według zagranicznych autorytetów nie ma zbyt wielu powodów po temu, aby opatrywać etykietą „słowiańska" kultury łużyckiej z dorzecza Wisły w epoce żelaza, a tym bardziej żeby utożsamiać dawnych Wandali ze słowiańskimi Wenedami. Jeśli idzie o epokę po upadku cesarstwa rzymskiego, jest oczywiste, że przodkowie Polaków musieli żyć gdzieś na kontynencie eurazjatyckim, nie ma natomiast żadnych dowodów pozwalających określić, w którym momencie i w jakich okolicznościach oderwali się oni od macierzystej wspólnoty Słowian, z którą niewątpliwie byli spokrewnieni. Podobnie nie jest całkowicie nieprawdopodobne, że „proto-Polacy" już wtedy zaczęli się osiedlać gdzieś między wybrzeżem Bałtyku i łańcuchem Karpat. Ale ich przybycie w żaden sposób nie wyklucza obecności Gotów w dolnym dorzeczu Wisły ani obecności Bałtów w delcie Wisły, ani wreszcie obecności Celtów na Śląsku i w okolicach dzisiejszego Krakowa. Nie ma powodu zakładać, że jakaś jedna szczególna grupa etniczna zdobyła sobie prawo wyłącznego posiadania tak rozległego terytorium, a w prymitywnych warunkach asymi-

lacja kulturowa i językowa musiała przebiegać niezwykle powoli. Nazwa „Polska" pojawia się dopiero na samym początku czasów historycznych w X wieku, a i to jako teren zamieszkiwany przez tylko jedno niewielkie słowiańskie plemię Polan, osiadłe na brzegach Warty w okolicy dzisiejszego Poznania. Ustalenie dokładnych związków owych Polan z innymi plemionami słowiańskimi, a może także z niesłowiańskimi sąsiadami, nie wyszło jeszcze poza stadium naukowych hipotez.

Dla współczesnych rządów, które odwołują się do prehistorii w poszukiwaniu dowodów usprawiedliwiających zakresy terytorialne współczesnego osadnictwa, a także dla współczesnych obywateli współczesnych państw, którzy z wiedzy o swoich przodkach czerpią poczucie pewności, tymczasowe wnioski płynące z odpowiedzialnych badań naukowych w tej dziedzinie muszą być mało zadowalające. Natomiast dla wszystkich, poza stronami najbardziej zainteresowanymi, powszechna praktyka zastępowania niepewnych faktów atrakcyjną fikcją albo zwyczaj badania prehistorii jakiejś jednej grupy, z wyłączeniem wszystkich innych, jest domeną nie tyle nauki, ile sztuki wyobraźni[3].

2. Polska Piastów

Legenda o Piaście – kołodzieju, którego przyszły wybór na panującego księcia przepowiedziało dwóch tajemniczych wędrowców – należy do tych interesujących produktów słowiańskiego folkloru, które niosą ze sobą wielki potencjał polityczny. Dorównuje opowieści o Lechu, Czechu i Rusie – trzech braciach Słowianach, którzy wędrowali przez prastare lasy jako protoplaści narodów polskiego, czeskiego i ruskiego,

---

[3] Oficjalna polska wersja jest dyskusyjna, ale w jeszcze gorszej sytuacji staje dociekliwy czytelnik, któremu serwuje się liczne zachodnie wyprawy na teren wschodnioeuropejskiej prehistorii. Na przykład *The Times Atlas of World History* pod redakcją Geoffreya Barraclougha (London 1978) zawiera serię map, które przynoszą mnóstwo sprzecznych ze sobą informacji. Według tej wersji ziemie między Odrą i Wisłą leżały na wschód od terenów osadnictwa Słowian z okresu około 1000 roku p.n.e. (s. 60–61), koło 800 roku p.n.e. zamieszkiwali je pewni „proto-Słowianie", którzy opuścili je w okresie rzymskim, ustępując „Germanii" (s. 89), po czym zostały najechane przez Słowian, którzy się po raz pierwszy wyłonili z „bagien nad Prypecią" w dwóch różnych okresach (s. 98 i 99). Zob. Andrzej Piskozub, *Idiotom dla nauki, melancholikom dla rozrywki*, „Polityka" 1979, nr 13. Dwa anglojęzyczne standardowe wprowadzenia do polskiej prehistorii, Konrad Jażdżewski, *Poland* (1965), oraz Marija Gimbutas, *The Slavs* (1971), ukazały się w serii Ancient Peoples and Places i także zawierają sprzeczne ze sobą wersje.

o królewnie Wandzie, która wolała utopić się w Wiśle niż wyjść ze niemieckiego księcia, czy o królu Kraku, który chytrze zabił smoka z wawelskiego wzgórza, faszerując go siarką i zmuszając do picia wody z Wisły, aż pękł. Wszystkie te legendy, i jeszcze wiele innych, pierwsi polscy kronikarze spisali w XII i XIII wieku, ale wyraźnie pochodzą one z o wiele dawniejszych czasów, na długo przed przyjęciem chrześcijaństwa. Piast – jeśli ktoś taki rzeczywiście istniał – najprawdopodobniej żył w połowie IX wieku i panował jako wódz plemienia Polan. Żyłby w tym samym czasie co synowie Karola Wielkiego, król Wesseksu Alfred Wielki, macedońscy cesarze Bizancjum i może także przywódca Waregów Ruryk – inna na wpół legendarna postać, władca, któremu przypisuje się założenie Rusi Kijowskiej. Tak czy inaczej, bez względu na swoje początki, Piast miał założyć dynastię, która panowała przez pięćset lat i ostatecznie zjednoczyła rozproszone po tym terytorium słowiańskie plemiona w jedno Królestwo Polskie.

Dynastia Piastów wyłoniła się z mroków prehistorii w 965 roku, kiedy książę Mieszko I (zm. 992) przyjął chrzest katolicki, poślubił czeską księżniczkę z Pragi i wprowadził na swój dwór wykształconych mnichów-skrybów. Jego syn, Bolesław Chrobry (992–1025), wojownik w wielkim stylu, którego wojska doszły i do Pragi, i do Kijowa, wyróżnił się jako pierwszy z kilku koronowanych królów Polski. Korona królewska, przesłana przez papieża z Watykanu, była symbolem formalnego uznania Polski jako członka świata zachodniego chrześcijaństwa. O Bolesławie III Krzywoustym (1102–1138) pamięta się przede wszystkim z powodu testamentu, w którym dzielił królestwo między synów na kilka rywalizujących ze sobą dzielnic. Jak w przypadku wielu prymitywnych monarchii z wczesnej epoki feudalnej, początkowa próba zjednoczenia załamała się pod wpływem odśrodkowych nacisków reprezentantów miejscowych interesów i regionalnych watażków. Przez następne 182 lata – znane dziś historykom jako „okres rozbicia dzielnicowego" – gra o władzę w piastowskiej Polsce skupiała się na bezustannych walkach książąt dzielnicowych o zdobycie stołecznej prowincji krakowskiej, a wraz z nią – tytułu princepsa, czyli księcia formalnie sprawującego władzę zwierzchnią. Koronacja Władysława Łokietka (1306–1333) w 1320 roku wyznacza drugą, i jak się okazało, tym razem udaną, próbę stworzenia skonsolidowanego królestwa, *Corona regni Poloniae*. Syn Łokietka Kazimierz III Wielki (1333–1370) był wprawdzie ostatnim w prostej linii piastowskiej sukcesji, ale za to pierwszym królem Polski, który stworzył trwałe prawne i instytucjonalne podstawy monarchii. Kazimierz zastał Polskę zbudowaną z drewna, a zostawił – zbudowaną z kamienia.

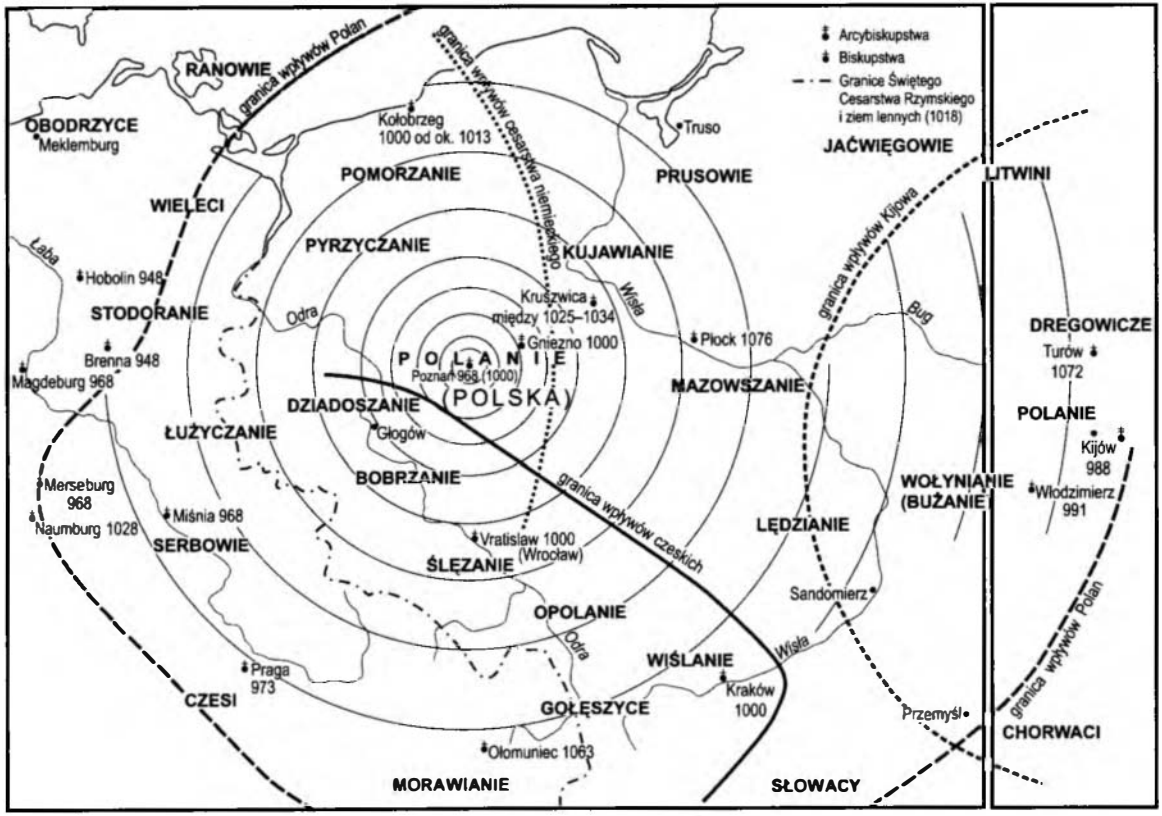

Mapa 7. Państwo pierwszych Piastów (X i XI w.)

W czasie trwającego pół tysiąclecia panowania Piastów terytorium „Polski" przeszło znaczną ewolucję. Polska Polan z czasów Mieszka I rozrosła się pod koniec jego panowania, obejmując ziemie plemienia Wiślan w okolicach dzisiejszego Krakowa i stwarzając w ten sposób tradycyjny podział na starą Wielkopolskę na północy oraz nowo utworzoną Małopolskę na południu. Południowa część szybko zdobyła supremację polityczną, a w połowie XI wieku Kraków ustalił swoją pozycję siedziby królewskiego dworu. W okresie rozbicia dzielnicowego Królestwo Polski składało się teoretycznie z sześciu głównych prowincji: Wielkopolski, Małopolski, Kujaw, Mazowsza, Śląska i Pomorza, choć w praktyce nadzór nad ostatnimi dwiema – znajdującymi się już pod silnymi wpływami niemieckimi – był niepewny. Za Kazimierza Wielkiego baza terytorialna znacząco przesunęła się na wschód. Pomorza i Śląska ostatecznie poniechano, ale strefa buforowa, jaką tworzyły niezależne lenna między Wielkopolską i Małopolską, została wcielona do Królestwa; utrwalono też ostatecznie zwierzchnictwo nad Mazowszem. Podbój Rusi Czerwonej (1349) i Podola nad Dniestrem (1366) pozwolił Polakom przekroczyć dział wodny kontynentu na drodze ku wybrzeżom Morza Czarnego.

W głębi lasów porastających daleką prowincję średniowiecznej Europy nominalna kontrola nad takim czy innym terytorium miała oczywiście o wiele mniejsze znaczenie niż rzeczywista kontrola nad ludźmi. W praktyce feudalizmu „polskie posłuszeństwo wobec władcy" znaczyło o wiele więcej niż „polskie granice". Wobec tego, w miarę jak panujący książęta podejmowali kroki zmierzające do utwierdzenia i zwiększenia liczby ludności, przemianom ulegało także polskie społeczeństwo. We wczesnych stuleciach struktury społeczne stanowiły odbicie militarnych priorytetów społeczeństwa wojowników, a elita społeczna skupiała się wokół drużyny na książęcym dworze: była to liczna klasa wojowników, posiadających ziemię nadaną w zamian za służbę księciu; u dołu drabiny społecznej znajdowały się masy poddanych niewolników i chłopów. Jednak w XIII wieku skromny postęp w technologii rolniczej sprawił, że systematyczna kolonizacja terenów rolniczych stała się przedsięwzięciem godnym zachodu, a osłabienie dawnej niepewności sprzyjało rozwojowi handlu. W efekcie zaczęła się pojawiać warstwa wolnych chłopów. Władcy zachęcali do zakładania nowych osad, uwalniając ziemie na użytek wsi według korzystnych warunków „prawa niemieckiego" i nadając karty praw nowym miastom przenoszonym na prawo magdeburskie. Wspólnoty miejskie Wrocławia (1242), Poznania (1253) i Krakowa (1257) pochodzą właśnie z tego okresu. Chociaż kolonizacja w znacznej części obejmowała Słowian, do Polski napływał szeroki strumień przy-

byszów z przeludnionych okręgów północnych Niemiec i Niderlandów. Większość polskich miast zdominowali mówiący po niemiecku mieszczanie, podczas gdy całe połacie Pomorza, Nowej Marchii i Dolnego Śląska zasiedlali niemieccy chłopi. Prawa przyznane Żydom, po raz pierwszy określone przez statut kaliski z 1264 roku, a potem znacznie rozszerzone przez Kazimierza Wielkiego w czasie plagi czarnej śmierci, sprzyjały powstaniu najważniejszego w Europie miejsca zapewniającego schronienie Żydom.

Polska zajmowała swoje miejsce we wspólnocie narodów katolickich. Na początku powstało duże napięcie spowodowane niejednoznacznymi relacjami Piastów z cesarzami niemieckimi, z których jedni – na przykład Otton III (zm. 1002) – byli sprzymierzeńcami i przyjaciółmi, natomiast inni – na przykład Fryderyk Barbarossa (zm. 1190), starali się wymuszać swoje okresowe roszczenia do sprawowania zwierzchności. Ale ścisłe powiązania z Czechami, które w latach 1293–1306 zaowocowało krótkim okresem unii tronów polskiego i czeskiego, służyło utrzymywaniu cesarstwa w ryzach. Ogólnie rzecz biorąc, relacje średniowiecznej Polski z Niemcami były o wiele bardziej pokojowe i o wiele korzystniejsze, niż chcieliby wierzyć współcześni propagandyści. Sprawą poważniejszą było utworzenie państwa krzyżackiego w Prusach. Zakon krzyżacki, skupiający bezrobotnych krzyżowców, został w 1226 roku zaproszony do Polski przez Konrada Mazowieckiego, który poprosił ich o pomoc w sporze z pogańskimi plemionami w Prusach; bardzo szybko przemienił swoją oficjalną misję nawracania pogan w potężną kampanię wojen i podbojów. W ciągu stu lat Krzyżacy zdobyli kontrolę nad przeważającą częścią wybrzeży Bałtyku, połączyli Prusy z Inflantami, a w roku 1308 zdobyli klucz do Wisły – port Gdańsk (od tego czasu znany jako Danzig). Ich grabieżcze wyprawy skierowane były jednak głównie na wschód i nie da się ich porównać z dwiema wielkimi inwazjami Mongołów z lat 1241 i 1259, które wyorały straszliwą bruzdę zniszczenia biegnącą przez samo serce Polski, w głąb Śląska. Te same najazdy Mongołów ostatecznie unicestwiły jedność Rusi Kijowskiej, otwierając Polsce drogę do głównej ekspansji na wschód. Dynastia Piastów zawsze utrzymywała bliskie więzi rodzinne z panującymi dynastiami księstw ruskich; liczne też były przypadki węzłów małżeńskich. Ale te więzi dostarczały również pretekstu do mieszania się w cudze sprawy, a w roku 1340 stały się pretekstem do wyprawy Kazimierza Wielkiego przeciwko Rusi Czerwonej. Albowiem za Kazimierza Polska zaczęła wreszcie być mocarstwem, z którym należało się liczyć. „Zjazd w Krakowie" w 1364 roku, podczas którego pięciu koronowanym królom i pięciu panującym książętom zafundowano

wspaniały program uczt i turniejów, przypieczętował skromne wejście Polski do świata międzynarodowej dyplomacji.

Długie panowanie Kazimierza było najbardziej wybitne pod względem działalności króla na terenie kraju. Kodyfikacja polskiego prawa, podjęta i prowadzona od roku 1347, w stylu nowego Hammurabiego lub Justyniana, stała się podsumowaniem wszystkich zwyczajów i praktyk z przeszłości, kładąc jednocześnie fundamenty pod całe przyszłe prawodawstwo. Budowa ponad pięćdziesięciu murowanych zamków warownych stworzyła bazę trwałego systemu stałej obrony. Wprowadzenie nowego srebrnego pieniądza, opartego na grzywnie, ułatwiło rozwój handlu. Utworzenie nowego korpusu królewskich urzędników, w tym centralnej kancelarii i regionalnych starostw, posłużyło jako przeciwwaga dla starszego systemu trudniej poddających się kontroli urzędów kasztelanów i palatynów. Założenie w 1364 roku Akademii Krakowskiej (nazwanej później Uniwersytetem Jagiellońskim) stworzyło bezpieczne i niezależne środowisko, w którym mogło rozkwitać wyższe szkolnictwo. Ponadto swoją ufność w przyszłość król Kazimierz wyraził w najbardziej solidnej materialnej formie. Kraków lśnił białymi kamieniami, jaskrawoczerwoną cegłą i gotycką architekturą wielu wspaniałych budowli. Kościół Mariacki, Sukiennice, Ratusz, nowy Zamek Królewski na Wawelu, trzecia katedra, modelowe przedmieście Kazimierz – wszystko to stanowi świadectwo energii i wizji króla.

W tym procesie stopniowego rozwoju piastowskiej Polski – od prehistorycznej ciemnoty do średniowiecznej wspaniałości, musi się uznać za decydującą rolę Kościoła rzymskokatolickiego. Chociaż ludy słowiańskie na północ od Karpat pozostawały wcześniej w kontakcie z prawosławnymi misjami z Bizancjum, oficjalne przyjęcie chrześcijaństwa w postaci religii rzymskokatolickiej jest najdonioślejszym zdarzeniem w dziejach Polski. Chrzest Mieszka w 966 roku był pierwszym etapem tworzenia najistotniejszego jednostkowego elementu nowożytnej polskiej kultury. Polska metropolia, stolica biskupia w Gnieźnie, założona w 1000 roku podczas wizyty cesarza Ottona, zapewniała stałą łączność z Rzymem i z szerszym katolickim i chrześcijańskim światem. Przetrwała zniszczenia w następstwie wybuchu reakcji pogańskiej: wielkiego buntu z 1034 roku, i stanowiła silniejszy element ciągłości w życiu narodu niż zmienne koleje rządów piastowskich książąt czy rozczłonkowana historia państwa Piastów. Duchowieństwo wcześnie uzyskało jurysdykcję nad swoimi ogromnymi posiadłościami i wyłoniło się jako pierwszy niezależny stan społeczny. Kapituły katedralne wyzwoliły się spod kontroli książąt. Historia biskupa krakowskiego świętego Stanisława ze Szczepanowa,

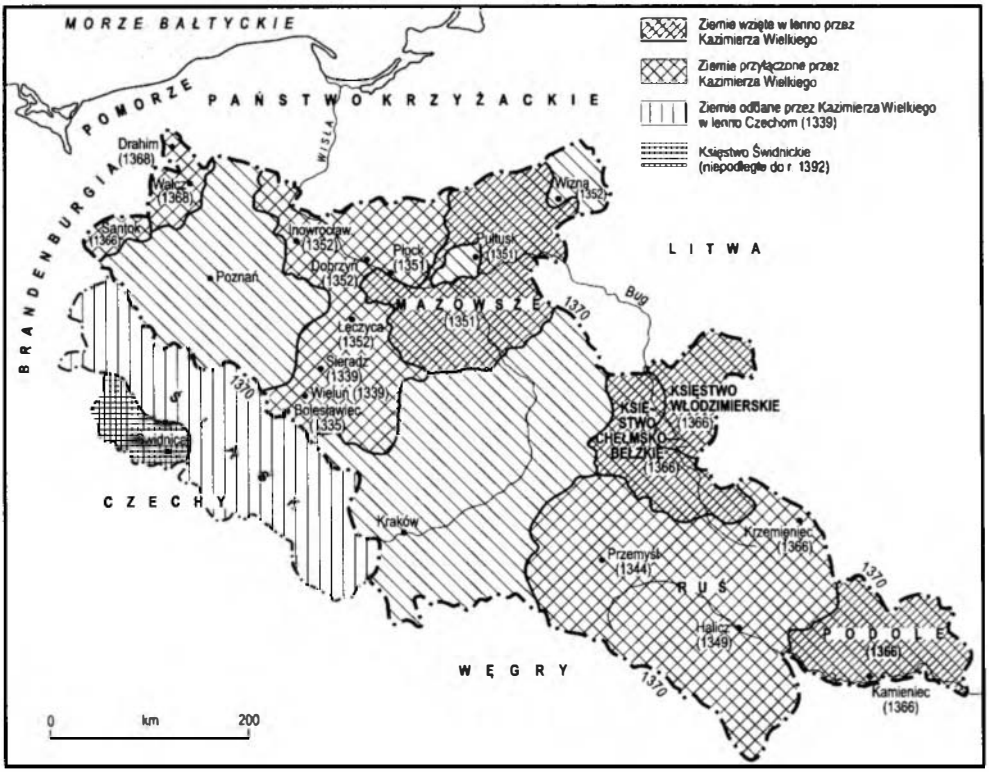

Mapa 8. Polska za panowania Kazimierza Wielkiego (1333–1370)

„polskiego Becketa" zamordowanego w 1079 roku na rozkaz aroganckiego króla, każe przypuszczać, że zwierzchnictwo biskupów dorównywało – jeśli go nie przewyższało – zwierzchnictwu świeckich władców. Ciemięzca biskupa Stanisława został skazany na banicję, a według powszechnego przekonania poćwiartowane członki męczennika w cudowny sposób zrosły się ze sobą, stając się symbolem przyszłej zgody i ponownego zjednoczenia polskiego królestwa. Sceptyczni komentatorzy łatwo dyskredytują zmyślny przykład klerykalnej propagandy – bo to była klerykalna propaganda, natomiast milczeniem pomijają pytanie, dlaczego ta legenda spotkała się z tak dobrym przyjęciem. Bo Kościół zajmował centralną pozycję nie tylko w polityce, ale w świadomości ludzi średniowiecza. Dostarczał ideologii, która wyjaśniała powiązania nie tylko króla z jego koroną, ale także każdej jednostki z jej władcą i ze wszechświatem. Był krynicą wszelkiej wiedzy. Dostarczał wykształconych urzędników do prowadzenia

kancelarii, a także łaciny, narzędzia pracy wszystkich wykształconych ludzi. Sprawował monopol w dziedzinie formalnej edukacji. Jego klasztory były naukowymi laboratoriami tamtych czasów. Jego prałaci łączyli w swoich rękach władzę baronów, ministrów i dyplomatów. Jego zakonnicy i zakonnice pełnili funkcje nauczycieli i pracowników społecznych. Jego wierni, którzy przyjmowali wiarę z nieodwołalnością, jaka dziś byłaby nie do pomyślenia, stanowili przeważającą masę mieszkańców Polski. Zazwyczaj się mówi, że Polska Piastów przyjęła chrześcijaństwo. Może słuszniej byłoby powiedzieć, że to Kościół katolicki przyjął Polskę.

3. Jagiellonowie, 1385–1572

Po śmierci Kazimierza Wielkiego prawo do tronu przeszło najpierw na jego siostrzeńca Ludwika Węgierskiego, a potem na córkę Ludwika Jadwigę Andegaweńską, która została ukoronowana na króla (*sic!*) w Krakowie w 1384 roku. Po ślubie Jadwigi z wielkim księciem litewskim Jagiełłą i po jej przedwczesnej i bezpotomnej śmierci piętnaście lat później korona przeszła w prostej linii do potomków Jagiełły z późniejszych małżeństw. W ten sposób przez 187 lat królowie rządzili Polską w unii personalnej z Litwą. Jedno jedyne małżeństwo polityczne, którego udziałem stały się wszystkie przypadki płynące z ludzkiej słabości, zaważyło jednak na losach obu narodów w dalszych stuleciach. Wcześniejsze powiązania dynastyczne Polski z Czechami (1293–1306) i Węgrami (1370–1385) były jedynie przelotnymi epizodami. Natomiast związek z Litwą miał się okazać jednym z fundamentalnych doświadczeń w historii Polski.

Średniowieczna Litwa była ostatnim pogańskim krajem w Europie, a w czasie unii z Polską także jednym z krajów najbardziej dynamicznych i ekspansywnych. Przez cały XIV wiek litewskie wyprawy wojenne przedzierały się na południe ze swojego etnicznego centrum w dorzeczu Niemna, odbierając władzę ruskim książętom i przechwytując wszystko, co zdezorganizowali i zniszczyli Mongołowie. Kazimierz Wielki po prostu uszczknął odrobinę, natomiast synowie Giedymina wręcz się obżerali. Litwa rozciągała się od Bałtyku po granice Krymu i od Bugu po Don. Obejmowała całe dorzecze Dniepru, łącznie z Mińskiem, Smoleńskiem, Kijowem i Oczakowem (Odessą). Warstwa rządząca składała się z wojowników – bojarów – absolutnie posłusznych absolutnej woli swojego wielkiego księcia. Ludność składała się głównie ze słowiańskich Rusinów, prawosławnych chrześcijan. Gospodarka opierała się w dużym stopniu na niewolniczej pracy i okresowych grabieżach. Językiem oficjalnym

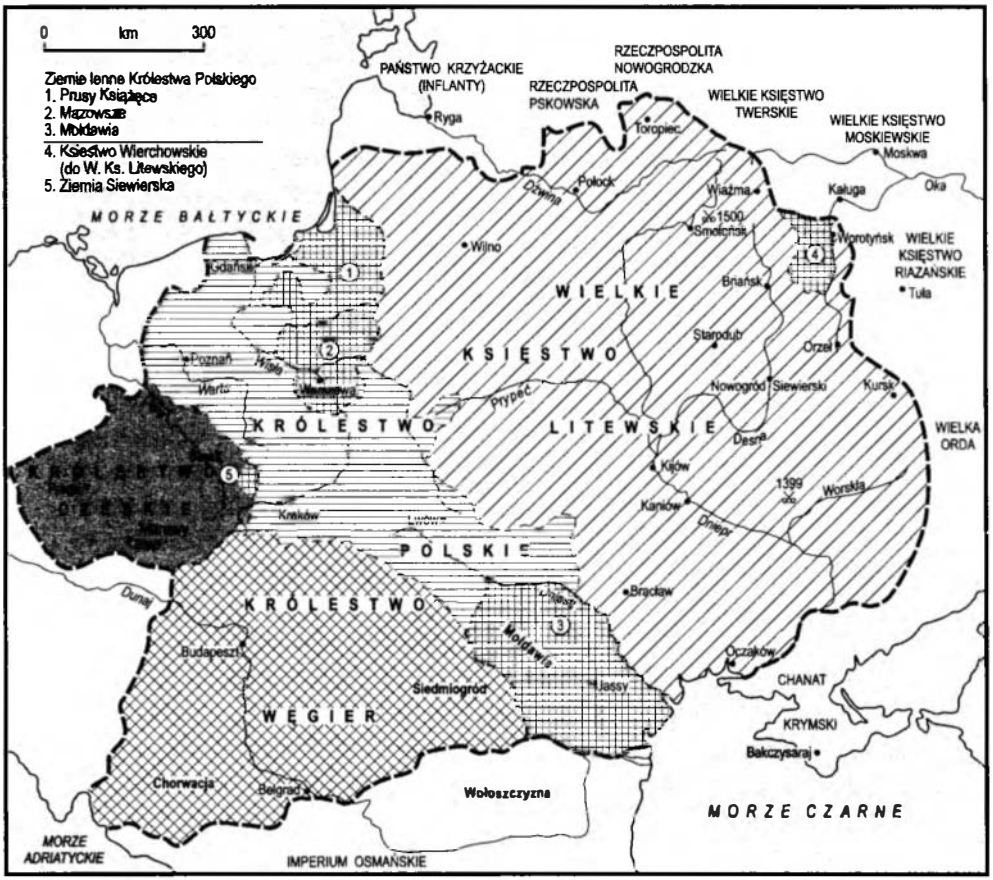

Mapa 9. Królestwo Jagiellonów (ok. 1500)

był ruski (w formie znanej obecnie pod nazwą języka starobiałoruskiego), a patronem – bóg piorunów Perkun. Łącząc się z Polską, Litwini otworzyli drzwi wielu przemianom. Ich pogańską religię porzucano, święte dęby rytualnie ścinano, a ludzi masowo chrzczono. Ich zamknięty świat został nagle otwarty na wpływy z Zachodu, a ich bojarzy zaczęli się domagać takich samych praw i przywilejów, jakie miała polska szlachta. W odpowiednim czasie wszystkie warstwy społeczne, poza najniższymi, zostały spolonizowane – zarówno pod względem języka, jak i poglądów na świat. Związki z Polską nabrały na Liwie takich samych konotacji jak związki brytyjskie dla Szkocji. Natomiast Polsce związki z Litwą przyniosły dalsze wzbogacenia jej bogatego dziedzictwa narodowego.

Horyzonty dynastii Jagiellonów nie zamykały się jednak w granicach Polski i Litwy. Za życia samego Jagiełły mocno ograniczono pychę państwa krzyżackiego, którego ambicje stały się pierwszym impulsem do zawarcia unii. Zwycięstwo polsko-litewskich gospodarzy w bitwie pod Grunwaldem w 1410 roku było początkiem długiego zmierzchu zakonu krzyżackiego. Potem Jagiellonowie z zapałem wkroczyli na scenę europejską. Husyci z Czech dwukrotnie ich namawiali do przyjęcia korony świętego Wacława i dwóch członków dynastii zostało królami Węgier. Drugi syn Jagiełły, Kazimierz Jagiellończyk (1447–1492), był znany jako „Ojciec Europy". Wśród jego dzieci znaleźli się jeden święty, jeden kardynał, czterech królów i matki trzech rządzących dynastii. Wśród wnuków byli ostatni wielki mistrz zakonu krzyżackiego i protoplasta innej słynnej dynastii, Albrecht von Hohenzollern. Zygmunt I (1506–1548), żonaty z księżniczką z rodu Sforzów, panował w okresie rozkwitu renesansu. Zygmunta Augusta (1548–1472), ostatniego z Jagiellonów w linii męskiej, namówiono do małżeństwa kolejno z dwiema księżniczkami z rodu Habsburgów, nie potrafił jednak żyć z żadną z nich. Umarł, nie doczekawszy się potomka, w czerni, opłakując stratę swojej ukochanej Barbary Radziwiłłówny.

O ile połączone siły bliźniaczych państw Jagiełły pozwoliły im zniszczyć zakon krzyżacki (decydująca „wojna trzynastoletnia" z lat 1454–1466 zakończyła się rozbiorem Prus), o tyle zobowiązania wobec Litwy nieuchronnie doprowadziły do konfrontacji ze wschodnimi sąsiadami Wielkiego Księstwa. Wśród tych ostatnich nieustannym utrapieniem byli Tatarzy krymscy, stając się impulsem do utworzenia w latach dziewięćdziesiątych XV wieku pierwszej stałej armii polskiej. Natomiast Moskale stanowili nieustające i wciąż rosnące zagrożenie. Samozwańczy carowie w Moskwie postawili sobie za cel „odzyskanie" wszystkich ziem dawnej Rusi, mimo że żadna istotna część tych ziem nigdy do Moskwy nie należała. Weszli w rolę „obrońców" całej ludności prawosławnej na Rusi, nawet wtedy, kiedy prawosławni taką opiekę odrzucili. Armia moskiewska wyruszyła na zachód w maju 1500 roku i – w pewnym sensie – nie zatrzymała się w pochodzie aż do roku 1945. Kampanie, prowadzone z dziką nieustępliwością, trwały przez całe dziesięciolecia. Wojny Iwana III były skierowane głównie przeciwko Smoleńskowi, który upadł w 1513 roku. Wojny prowadzone przez Iwana IV skierowane były przeciwko Litwie. W połowie XVI wieku, zorganizowany przez Iwana Groźnego, tę kwintesencją barbarzyństwa, pokaz walki z wojskami Zygmunta Augusta, tego ideału cnót łagodnego i tolerancyjnego renesansowego księcia, rzeczywiście rozegrał się na scenie wojny światów – starcia Wschodu z Zachodem.

Odrodzenie głęboko się w Polsce zakorzeniło. Poprzedzał je silny ferment katolickiego humanizmu i wczesny wynalazek druku, a jego ideały przeniknęły o wiele głębiej, niż mogłyby na to wskazywać włoska architektura czy wzorowane na renesansowej sztuce malarstwo tego okresu. W nauce, literaturze i oświacie rodzimy polski talent uwidocznił się naprawdę bardzo wcześnie. Wybijają się trzy postacie. Mikołaj Kopernik (1473–1543), który sformułował pogląd o ruchu Ziemi wokół Słońca, wywołał największą wyobrażalną rewolucję w panujących dotąd poglądach na ludzką kondycję. Jan Kochanowski (1530–1584), wspaniały poeta miary Petrarki czy du Bellaya, był czołową postacią – a może wręcz założycielem – polskiej tradycji poezji w języku narodowym, a tym samym jednej ze starszych gałęzi literatury słowiańskiej. *Psałterz* Kochanowskiego miał dla Polaków takie samo znaczenie jak Biblia Lutra dla Niemców. Jan Zamoyski (1542–1605), kanclerz i hetman wielki koronny, studiował historię Rzymu i stał się głównym architektem „demokracji szlacheckiej" w Polsce. Wszyscy trzej studiowali w Krakowie i w Padwie; wszyscy trzej byli doświadczonymi znawcami literatury klasycznej i tłumaczami; wszyscy trzej byli pełnymi oddania urzędnikami w służbie publicznej; wszyscy trzej poważnie interesowali się licznymi zagadnieniami z dziedziny sztuki i nauki oraz oświatą. I nie będzie przesadą powiedzieć, że każdy z nich stanowił doskonały przykład człowieka renesansu – *l'uomo universale*. Byli śmietanką najlepiej wykształconego – a zapewne i najbardziej inspirującego – pokolenia w historii Polski.

Reformacja także dotarła do Polski, wywierając niemały wpływ. Doktryny luteranizmu natychmiast zyskały sobie zwolenników wśród niemieckich mieszczan, zwłaszcza w miastach Prus Królewskich – w Gdańsku, Toruniu, Elblągu. Zadały też *coup de grâce* zakonowi krzyżackiemu. W roku 1525, kiedy zakonnicy przeszli *en masse* na luteranizm, wielki mistrz Albrecht von Hohenzollern musiał przekształcić pozostałe posiadłości zakonu w Prusach (Wschodnich) na świeckie lenno Królestwa Polskiego. Natomiast kalwinizm, który dotarł do Polski w latach pięćdziesiątych XVI wieku, przyciągnął rzesze polskiej szlachty, w tym wielu najpotężniejszych magnatów litewskich. W roku 1572 protestanci mieli już absolutną większość wśród świeckich członków senatu. Kilka lat wcześniej schizma w polskim Kościele kalwińskim doprowadziła do powstania ruchu braci polskich, znanych także jako arianie, antytrynitarianie, unitarianie, rakowianie lub socynianie, którzy w następnym stuleciu mieli wywrzeć głęboki wpływ na radykalną teologię w całej Europie. Biblia brzeska kalwinów z 1563 roku stała się kamieniem milowym w dziejach publikacji w rodzimych językach, ale katechizm rakowian z 1601 roku był zapewne

najbardziej postępowym traktatem teologicznym stulecia. Ponadto Polska oferowała schronienie licznym sektom skazanym na banicję – husyckim braciom czeskim z Czech, anabaptystom i menonitom z Niderlandów, niemieckim szwenkfeldianom ze Śląska. Kraj, który do tego czasu zdążył się już przyzwyczaić do pokojowej koegzystencji katolicyzmu, prawosławia, chrześcijaństwa ormiańskiego, judaizmu i mahometanizmu, był w Europie miejscem jedynym w swoim rodzaju. Tylko Polska potrafiła – na kontynencie rozdzieranym wojnami religijnymi – stworzyć konfederację warszawską – podjętą w 1573 roku uchwałę o tolerancji religijnej. Zdarzały się jeszcze pojedyncze przypadki fanatyzmu, ale jakakolwiek akcja prześladowań byłaby niemożliwa. Polska naprawdę zasłużyła na etykietę „kraju, w którym nie płonęły stosy". Pisarze protestanccy – na przykład Mikołaj Rej (1505–1569), Cyprian Bazylik (ok. 1535–po 1600), Stanisław Sarnicki (1532–1597) czy Andrzej Wolan (1530–1610) – polemizowali z przedstawicielami głównego nurtu katolickiego. Reformacja dopełniła odrodzenie i oba prądy stworzyły polski Złoty Wiek.

4. Rzeczpospolita szlachecka, 1569–1795

Jak wcześniej Piastowie, Jagiellonowie zniknęli u szczytu rozkwitu dynastii z powodu braku dziedzica. Przewidując kłopoty, Zygmunt August poświęcił słabnące siły na przekształcanie kruchej unii personalnej Polski i Litwy w stałą unię konstytucyjną. Na mocy aktu unii lubelskiej (1569) zgromadzeni licznie polscy szlachcice i litewscy książęta powołali do istnienia zjednoczone, lecz podwójne państwo, w którego ramach Korona i Wielkie Księstwo miały utrzymać odrębne systemy prawa i administracji, ale miały być rządzone wspólnie przez wybieralnego króla i wspólny sejm. Nowy twór nazwali swoją Rzeczpospolitą, zjednoczoną Rzeczpospolitą Królestwa Polskiego i Litwy. Na prośbę ukraińskiej szlachty, która się obawiała, że litewscy książęta mogą się sprzeciwić unii, południowe prowincje Wielkiego Księstwa, z Wołyniem, Kijowem i kozacką Siczą, zostały wcielone do Królestwa. Na skutek nalegań Zamoyskiego, który kierował szczegółowymi negocjacjami po śmierci Zygmunta Augusta w 1572 roku, królowie mieli być odtąd wybierani *viritim*, czyli bezpośrednio przez całą szlachtę, przybyłą konno na elekcję. Ponadto mogli zostać koronowani dopiero po złożeniu przysięgi, że będą przestrzegać przydługiej umowy *pacta conventa*, której artykuły stanowiły gwarancję tolerancji religijnej, wolnej elekcji króla, regularnego zwoływania sejmu, nadzoru kolegium szesnastu senatorów-rezydentów nad polityką

króla, osobistych przywilejów szlachty, prawa szlachty do zatwierdzania podatków, wypowiadania wojny, zawierania zagranicznych traktatów i wreszcie – przysługującego szlachcie prawa sprzeciwu. Jak na tamte czasy, w przededniu wieku absolutyzmu we wszystkich innych częściach Europy była to forma skrajnej demokracji. Szlacheccy obywatele Rzeczypospolitej mieli być jej panami, król zaś miał się stać ich sługą. W gruncie rzeczy król Polski był nie tyle monarchą o ograniczonej władzy – jak królowe Anglii czy Szwecji – ile zarządcą na umowie.

Supremacja szlachty, która dojrzewała w czasach Jagiellonów, była widoczna w tym samym stopniu w sferze społecznej co w sferze politycznej. Jej początków można szukać w przywileju koszyckim z 1374 roku, w słynnym statucie *Neminem captivabimus* z roku 1434 (polskim odpowiedniku *habeas corpus*) i w przełomowym statucie *Nihil novi* z roku 1505. Wznosząc hasło „Nic o nas bez nas", polska szlachta z XVI wieku wyprzedzała ideały Chwalebnej Rewolucji Angielskiej z 1688 roku czy rewolucji amerykańskiej z roku 1776; w jej powiedzeniu zaś, że „Polska nierządem stoi", dało się wyczuć przedsmak słów Thoreau, Proudhona i Bellegarrigue'a. Była bezgranicznie przywiązana do zasady indywidualnej wolności i obywatelskiej swobody – dla siebie. Jak właściciele niewolników występujący w roli ojców amerykańskiej konstytucji czy pierwsi wynalazcy demokracji ze starożytnych Aten, nie widziała żadnej sprzeczności między systemem politycznym opartym na swobodach przyznanych warstwie rządzącej i systemem społecznym opartym na całkowitym podporządkowaniu warstw niższych.

Rozwój prawnych przywilejów szlachty zbiegł się niemal dokładnie z rozwojem poddaństwa chłopów. Szlachta zawsze nalegała na równość wobec prawa wszystkich osób należących do jej stanu, bez względu na bogactwo czy władzę. Nie robiono różnicy między wielkimi magnatami, średnią warstwą posiadaczy ziemi i rosnącą rzeszą bezrolnej i zubożałej „hołoty". Jednocześnie szlachta upierała się przy wyłączności swoich przywilejów, przyznając sobie absolutne prawo do życia i śmierci chłopów przywiązanych do ziemi. Duchowieństwo, mieszczanie i Żydzi, których odrębną sytuację prawną chroniły królewskie karty przywilejów, tworzyli odrębne warstwy społeczne, cieszące się znaczną autonomią i w znacznej mierze wyłączone spod bezpośredniej kontroli szlachty, była to jednak tylko niewielka część ogółu ludności – z wyjątkiem biskupów pochodzenia szlacheckiego zasiadających w senacie odgrywali oni niewielką rolę w działaniu instytucji centralnego rządu Rzeczypospolitej. W porównaniu z innym krajami Europy, gdzie szlachta stanowiła zaledwie 1 lub 2 procent społeczeństwa, polska szlachta – 8–12 procent populacji –

Mapa 10. Polska i Litwa – największy zasięg terytorialny (1634–1635)

była ogromnie liczna i była zdecydowanie największą uprzywilejowaną klasą społeczną w Europie. Ale sprzeczność między jej libertariańską polityką i konserwatywnymi tradycjami społecznymi musiała doprowadzić do poważnych napięć, zwłaszcza w miarę upływu czasu.

W ciągu 223 lat od narodzin do upadku Rzeczypospolitej rządziło nią jedenastu królów elekcyjnych – każdy średnio przez około 20 lat. Spośród tych jedenastu aż siedmiu było cudzoziemcami: Henri (Henryk) Valois (1574), István (Stefan) Báthory (1576–1586), Zygmunt III Vasa (1587–1632) oraz jego dwaj synowie, Władysław IV (1632–1648) i Jan Kazimierz (1648–1668), August II (1697–1706, 1710–1733) i August III (1733–1763). Znaleźli się wśród nich jeden Francuz, jeden Węgier z Siedmiogrodu, trzech członków szwedzkiej dynastii Vasa i dwóch z saskiej dynastii Wettinów. Zaledwie czterech z jedenastu – Michał Wiśniowecki (1669–1673), Jan Sobieski (1674–1696), Stanisław Leszczyński (1704–1709, 1733) i Stanisław August Poniatowski (1764–

1795) – było rdzennymi Polakami. Cała ta grupa przedstawia sobą przypadkowy zestaw talentu, przeciętności i nijakości. Z natury rzeczy, jako władcy pochodzący z wyboru, nie mogli odziedziczyć wiele ze wspólnej tradycji i trwali lub upadali stosownie do wymogów własnej epoki i zgodnie z własnymi cechami osobowymi. Był wśród nich jeden homoseksualista, jeden fanatyk religijny, jeden żarłok, jeden ojciec ponad 300 dzieci i jeden zaprzysięgły kawaler (a jednocześnie ojciec); dwóch wspaniałych żołnierzy; dwóch uciekło z kraju (w tym jeden dwukrotnie), a kolejnych dwóch zmuszono do abdykacji; żaden nie został zamordowany. Wszyscy są zgodni, że wśród cudzoziemców byli i najbardziej skuteczni – Batory, i najbardziej nieskuteczni – August III; wśród rodzimych władców znaleźli się i najsławniejsi – Sobieski, i najbardziej niesławni – Stanisław August. Podobnie jak w przypadku władców Anglii z tego samego okresu, taki przegląd nie upoważnia do wyciągania jakichkolwiek ogólnych wniosków.

Natomiast w wielu innych dziedzinach łatwo wyciągnąć wniosek, że życie w Polsce ulegało poważnemu i przedłużającemu się pogorszeniu. Po dwóch stuleciach perypetii ogólna sytuacja w sprawach gospodarczych, społecznych, wyznaniowych, literackich, konstytucyjnych, wojskowych i zagranicznych była pod koniec XVIII wieku gorsza niż pod koniec wieku XVI.

Polska gospodarka, która swój rozkwit zawdzięczała bałtyckiemu handlowi zbożem i rozwojowi miast oraz handlowi wewnętrznemu, zaczęła wykazywać oznaki regresu już w latach dwudziestych XVII wieku, a w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XVII wieku zniszczyło ją dwadzieścia lat wojny. Potem handel bałtycki osłabł, miasta zaczęły podupadać i coraz mocniej forsowano system folwarczny w daremnych próbach przeciwdziałania nakręcającej się spirali upadku. Sądząc po standardowych wskaźnikach wydajności, obrotów handlowych, sposobu odżywiania i ubierania się czy warunków mieszkaniowych, stopa życiowa przeciętnego obywatela Rzeczypospolitej była o wiele niższa w roku 1750 niż w roku 1550.

Społeczeństwo polskie doświadczało skutków stopniowego kostnienia sztywnego podziału na stany. Ruchliwość społeczna między warstwą chłopską, mieszczaństwem i stanem szlacheckim praktycznie przestała istnieć. O ile we wcześniejszym okresie charakterystyczny był wzrost pozycji szlachty w społeczeństwie jako całości, o tyle w okresie późniejszym w łonie panującej warstwy szlacheckiej powstała potężna oligarchia magnacka. W połowie XVIII wieku garstka rodów magnackich – na przykład Radziwiłłowie, Potoccy, Braniccy, Czartoryscy, Zamoyscy, Lubomirscy

czy Sapiehowie – zabezpieczyła dla siebie większość dziedzicznych urzędów państwowych i zbudowała fortuny w postaci majątków ziemskich większych od obszarów należących do Korony. Rządzili sejmikami ziemskimi tak samo jak arystokraci angielscy swoimi skorumpowanymi okręgami wyborczymi. Drobniejszą szlachtę traktowali jak klientów, patronowali Żydom – swoim agentom i sprzymierzeńcom – podkopywali prawa miast. Ich prywatne „państwa w państwie", w niektórych przypadkach zaludnione przez tysiące chłopów poddanych, przekraczały rozmiarami niejedno niemieckie księstwo czy angielskie hrabstwo, prowadząc samowystarczalną gospodarkę i utrzymując prywatne armie. Wśród panującej naokoło nędzy wiedli luksusowy żywot, a ich podejrzana lojalność wobec Rzeczypospolitej stanowiła oczywisty cel zagranicznych intryg.

Nie uniknięto konfliktów religijnych – mimo że pozostawał w mocy statut o tolerancji. Kontrrefomacja, która w Polsce zaczęła się od sprowadzenia jezuitów w 1565 roku, przyciągnęła licznych nawróconych protestantów, zwłaszcza spośród kalwińskiej szlachty. Czołowe postacie – na przykład spowiednik Zygmunta III Piotr Skarga (1536–1612) – otwarcie występowały przeciwko grzechowi tolerancji. Utworzenie Kościoła unickiego[4] w wyniku unii brzeskiej z 1596 roku spowodowało trwałą schizmę we wspólnocie prawosławnej i wywołało niezadowolenie wielu silnych ugrupowań – na przykład Kozaków naddnieprzańskich. Restauracja hierarchii prawosławnej w 1632 roku nie przyczyniła się zbytnio do zlikwidowania rozłamu, a niezadowoleni wyznawcy prawosławia popadali w coraz większą zależność od patriarchy moskiewskiego. Krok po kroku przywracano w Polsce dominację Kościoła katolickiego. Braci polskich i braci czeskich wygnano w 1658 roku na podstawie oskarżenia o rzekomą zdradę; ostatniego kalwińskiego posła usunięto z sejmu w roku 1718. Luteranie z północy trzymali się mocno, ale słynna „krwawa łaźnia w Toruniu" w 1724 roku dowiodła, że pod powierzchnią wciąż kłębią się wściekłe animozje. Połączone działania Prusaków i Rosjan mające na celu podsycanie sprawy „dysydentów" religijnych jeszcze umacniały żądania katolików domagających się konformizmu. Polski katolicyzm przybrał charakter intensywnej żarliwości, rozkwitał kult maryjny. Żydów w Rzeczypospolitej stale przybywało, ale dwie bezprzykładne masakry wywołane przez zbuntowanych Kozaków – pierwsza w roku 1648 i druga w roku 1768 – nie przyczyniły się do wzrostu wśród nich poczucia bezpieczeństwa. W XVIII wieku obraz sekciarstwa Żydów – zwłaszcza frankistów i chasydów – jeszcze bardziej zaostrzał antagonizmy. Wspólnoty religijne

[4] Kościół greckokatolicki obrządku słowiańskiego, uznający prymat papieża.

obojga narodów nie walczyły ze sobą w takim stopniu, jak to miało miejsce na przykład w Irlandii czy Francji przed 1685 rokiem; ale też niełatwo im było znaleźć wspólny grunt.

Literatura polska po Złotym Wieku przeszła dwie odrębne fazy: pierwszej nadano myląca nazwę baroku (a przecież miała jedynie luźne powiązania ze stylem barokowym w Europie Zachodniej), drugą zaś nazwano „sarmatyzmem". Polski barok, który panował w XVII wieku, nie miał już spontanicznej radości i liryki renesansu. Częściowo porzucił język lokalny i skłonił się ku pisarstwu dewocyjnemu, historii epickiej, krytyce społecznej i satyrze. *Żywoty świętych* Skargi stały się bestsellerem stulecia. Piotr Kochanowski (1566–1620), bratanek Jana i tłumacz Tassa, przejął od stryja zainteresowania literaturą włoską; łacińskie wiersze Szymona Starowolskiego (Starovolsciusa, 1588–1656), a zwłaszcza Macieja Sarbiewskiego (Sarbieviusa, 1595–1640) czytano daleko poza granicami Polski. Natomiast Samuel Twardowski (1600–1660) i Wespazjan Kochowski (1633–1700), poeci i kronikarze, pisali tylko dla czytelników lokalnych. Arianin Wacław Potocki (1621–1696), autor szeroko podziwianej *Wojny chocimskiej*, miał takie samo poczucie gorzkiej ironii jak dwaj bracia Opalińscy, Krzysztof (1609–1655) i Łukasz (1612–1666). Architektura barokowa, ta zewnętrzna oznaka triumfu kontrreformacji, pozostawiła po sobie trwały ślad. Polski sarmatyzm, charakterystyczny styl epoki saskiej, pławił się w sentymentalnej aurze rzekomej glorii i chwały Rzeczypospolitej; na ogół uważa się, że był pozbawiony większej wartości literackiej czy artystycznej. Związany z modą na orientalny ubiór i orientalne ozdoby, umacniał konserwatywne tendencje szlachty oraz jej wiarę w wyższość „złotej wolności" i szlacheckiej kultury.

Polska teoria konstytucyjna nie poczyniła po roku 1573 zbyt wielkich postępów i naciski, aby teorię wprowadzać w praktykę, doprowadziły najpierw do powracającego chaosu, a ostatecznie do całkowitego paraliżu. Prawo sprzeciwu i zasada jednomyślności były bardzo widoczne w prawodawstwie i zwyczajowych procedurach szlachty, a z czasem spowodowały deformacje i ekscesy. Rokosz Zebrzydowskiego z lat 1606–1609, pierwsza powszechna konfederacja szlachty przeciwko królowi, nie doprowadził do rozwiązania istotnych problemów, których dotyczył. Nikt nie mógłby kwestionować prawa szlachty do sprzeciwu wobec tyrańskiego władcy. Ale jednocześnie nikt nie wiedział, w jaki sposób można by zapobiec korzystaniu z tego prawa w błahych sprawach. Chaos powrócił ze zwiększoną siłą podczas rokoszu Lubomirskiego z lat 1665–1666, a pod koniec stulecia frakcje polityczne już na początku konfliktu odwoływały się do metod zbrojnej konfederacji. Zasadę jednomyślności

spotkał podobny los. Została pomyślana jako środek wspomagający debatę i zapewniający osiągnięcie ogólnej zgody, ale z czasem uległa wypaczeniu przez jednostki szukające prywatnych korzyści. W 1652 roku pierwszy raz odwołano się do zasady *liberum veto* – prawa każdej jednostki do zanegowania uchwały sejmu; zrobił to pewien klient księcia Radziwiłła, wywołując osłupienie, kiedy się okazało, że działał zgodnie z prawem. Ludzie jednak szybko uświadomili sobie, że dosłownie każdy może przerwać obrady sejmu w dowolnym momencie. Za panowania Augusta III tylko podczas jednej sesji udało się coś uchwalić – przez całe trzydzieści lat.

Paraliż konstytucyjny spowodował ruinę finansową, niemoc militarną i obcą inwazję. Skoro nie można było podnieść podatków, nie można też było utrzymać armii i wrogowie Rzeczypospolitej mogli robić, co im się podoba.

Mimo to przez niemal cały XVII wiek polskie siły zbrojne utrzymywały wysoki poziom. Wojsko Rzeczypospolitej, zreformowane przez Batorego i odbudowane przez Władysława IV, nie ustępowało innym armiom tego okresu przynajmniej do czasu wielkiej wojny północnej. Zwycięska kampania Batorego w Rosji (1579–1582), pochód Żółkiewskiego na Moskwę (1610–1612), brawurowa obrona Prus w walkach przeciwko Gustawowi Adolfowi (1626–1629), wspaniała obrona Czarnieckiego przed wojskami Karola X (1656–1660), zwycięstwo Sobieskiego nad Turkami w bitwie pod Chocimiem (1673), a przede wszystkim fantastyczna szarża husarii Sobieskiego podczas oblężenia Wiednia (1683) – wszystkie te akcje świadczyły o męstwie i wiedzy technicznej polskich sił zbrojnych. Potem jednak struktury wojskowe się rozsypały. Podczas wielkiej wojny północnej (1700–1721) podzielona Rzeczpospolita nie była równym partnerem dla Karola XII czy Piotra Wielkiego. Sponsorowany przez Rosjan Sejm Niemy z 1717 roku, który ograniczył siły zbrojne Rzeczypospolitej do marnych 24 000 żołnierzy, uczynił ją praktycznie bezbronną. Polskie wojsko nie odegrało żadnej istotnej roli ani w wojnie o polską sukcesję z lat 1733–1735, ani w wojnie o sukcesję austriacką (1740–1748), ani w wojnie siedmioletniej (1756–1763), których wschodnie kampanie rozgrywano głównie na terytorium Polski.

Stosunki Polski z zagranicą wyraźnie szły ślad w ślad za jej militarnym upadkiem. Walkę o zatrzymanie nieustępliwego dążenia Hohenzollernów do niezależności w Brandenburgii-Prusach porzucono w 1657 roku, podpisując traktaty welawsko-bydgoskie. Ciągnący się pojedynek ze Szwecją, rozpoczęty wojną o Inflanty i zaostrzony roszczeniami dynastycznymi polskich Wazów, zakończył się w 1660 roku impasem i pod-

pisaniem pokoju oliwskiego. Jeszcze dłuższy spór z Moskwą doszedł do analogicznego martwego punktu wzajemnego wyczerpania sił, kończąc się w 1667 roku zawarciem rozejmu andruszowskiego. I dokładnie w momencie, w którym wydawało się, że Rzeczpospolita osiągnęła *modus vivendi* w stosunkach z obydwoma tradycyjnymi przeciwnikami z ubiegłego stulecia, pierwszy raz od blisko pięćdziesięciu lat została zaatakowana przez Turków. Rzucone przez Turków wyzwanie miało mieć potężne konsekwencje. Podjęta przez Sobieskiego strategiczna decyzja, aby wszystkie siły skonsolidować do walki z Turkami kosztem wszystkich innych międzynarodowych problemów Rzeczypospolitej, była oczywistym zaproszeniem dla późniejszych katastrof. Sobieski rozpędził wprawdzie Turków i odzyskał Podole, które na mocy traktatów karłowickich (1699) zwrócono Polsce, uratował Wiedeń, ale w kampanii o odzyskanie Węgier dla Austrii wyczerpał siły swoich oddziałów. Porzucił pierwotny zamiar przywołania do porządku Prusaków, a Moskalom musiał zostawić Ukrainę (1686). Straty znacznie przewyższyły zyski. Państwo Habsburgów, sprawujące kontrolę nad Węgrami, powróciło do sił jako potężne mocarstwo. Prusacy podjęli starania o międzynarodowe uznanie ich niezależnego królestwa (1701), a Moskale – posiadając teraz Ukrainę – zaczęli budować Imperium Rosyjskie. Te trzy potęgi – Austria, Prusy i Rosja – miały w następnym stuleciu zdominować Europę Wschodnią i – o, gorzka ironio! – podzielić między siebie Rzeczpospolitą. Sobieski był w gruncie rzeczy ostatnim z niezależnych polskich mężów stanu. Następca Sobieskiego, August Sas, był już tylko klientem Piotra Wielkiego, któremu zawdzięczał tron – i to przy kilku okazjach. Rosyjski protektorat w Polsce, wprowadzony po bitwie pod Połtawą, nigdy już nie osłabł, a niezależna polska dyplomacja praktycznie się skończyła.

W tej długiej patetycznej opowieści o upadku i klęsce wielu historyków dostrzegało punkt krytyczny, od którego nie było odwrotu, w nieszczęsnym panowaniu Jana Kazimierza Wazy (1648–1668). Nagromadzenie tak wielu klęsk w tamtych dwóch niespokojnych dziesięcioleciach było oczywiście powodem wielkiego osłabienia Rzeczypospolitej. Powstanie Chmielnickiego (1648–1657) stało się pierwszym krokiem na drodze Polski do utraty Ukrainy. Grabieże, jakich dokonało sześć najeźdźczych hord – Kozacy, Szwedzi, Moskale, Siedmiogrodzianie, Tatarzy i Brandenburczycy – spowodowały straty w ludziach i zniszczenia materialne porównywalne ze skutkami wojny trzydziestoletniej w Niemczech. Ubyła jedna czwarta ludności, nastąpiło niemal nieodwracalne załamanie gospodarcze. Chaos i walki domowe towarzyszące rokoszowi Lubomirskiego jedynie pogłębiły nastrój apatii i rozpaczy. Rok 1667 – po pokonaniu

przez Lubomirskiego armii króla, w którym król postanowił abdykować i w którym rozejm andruszowski przesądził o pozostawieniu Ukrainy w rękach Moskali – uważa się często za moment, kiedy szala sił w Europie Wschodniej nieodwołalnie przechyliła się na niekorzyść Polski. Ale kategoryczne oceny tego rodzaju łatwo jest formułować z perspektywy czasu. Z faktu, że proces upadku Rzeczypospolitej rozpoczął się w połowie XVII wieku, nie należy wnioskować, iż ostateczna klęska stała się nieunikniona. Jeszcze nie wszystko było stracone. Polska już pokazała, że ma potężną siłę regeneracji. Raz zmobilizowany, jej potencjał wciąż jeszcze był bardzo duży. Nawet w epoce saskiej, kiedy nastąpił największy upadek kulturalny i gospodarczy kraju, a magnaci trzymali centralny rząd państwa dosłownie w stanie zawieszenia, istniały wyraźne oznaki świadczące, że polscy reformatorzy mają środki i wolę działania na rzecz przywrócenia witalności swojego kraju. Szanse przetrwania zostały oczywiście zredukowane w wyniku nagromadzenia wcześniejszych nieszczęść, ale los Rzeczypospolitej nie był jeszcze przesądzony.

Podstawowe pytanie badaczy historii Polski w XVIII wieku dotyczy zatem nie tyle niezaprzeczalnych faktów świadczących o upadku Rzeczypospolitej, ile powodów, dla których nie zdołała się podźwignąć. W ostatnich latach historycy skłonni byli ponownie podkreślać wagę czynników wewnętrznych, wskazując na klęski gospodarcze, naciski oligarchii magnackiej, niekompetencję królów. Oczywiście – Sobieski ponosi wielką odpowiedzialność za zaniedbywanie naglących problemów państwa. W okresie jego panowania regularnie zaczęto stosować zasadę *liberum veto*, nieopłacane wojsko bezkarnie wzniecało bunty, a magnaci z Litwy, uwikłani w prywatną wojnę domową, praktycznie oderwali się od istotnych spraw Rzeczypospolitej. Sobieski rozgromił Turków, ale nie potrafił sobie podporządkować własnych poddanych. Także Augustowi II życie utrudniły zamęt wielkiej wojny północnej i uzależnienie od rosyjskiego patronatu. Za panowania Wettinów polityka Warszawy ustępowała miejsca polityce w Dreźnie, tak samo jak o polityce Drezna decydowała polityka Petersburga. W tym kontekście kwestii wewnętrznej stagnacji nie da się oderwać od sprawy podległości Polski wobec obcych interesów. Królestwo Obojga Narodów nie odzyskało sił, ponieważ nie zależało na tym jego politycznym władcom. Problemy związane z wielką wojną północną wyznaczyły prawdziwy początek nowożytnej historii Polski – moment, w którym została nieodwołalnie utracona jej niezawisłość. Sejm Niemy z 1717 roku wyznacza punkt, w którym Piotr Wielki zagwarantował istniejącą konstytucję i narzucił polskiej rzeczywistości protektorat skutecznie hamujący wszelki ruch w kierunku reform i niepodległości. Od tego

czasu w momentach krytycznych Rosja zaciskała żelazny chwyt. W 1733 roku przepędziła legalnie wybranego króla Stanisława Leszczyńskiego – po raz drugi – i przywróciła rządy swoich pasywnych, potulnych klientów – dynastii Sasów, w osobie Augusta III. Za czasów protektoratu rosyjskiego potrzeba radykalnych reform stawała się coraz bardziej nagląca, natomiast szanse na jej przeprowadzenie coraz bardziej się oddalały.

5. Rozbiory Polski – panowanie Stanisława Augusta, 1764–1795

Podręczniki do historii Europy przedstawiają na ogół ostatnie lata XVIII wieku jako „epokę oświeconego despotyzmu". Władcy absolutni najważniejszych państw Europy Wschodniej – zwłaszcza caryca Rosji Katarzyna, król pruski Fryderyk i cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego Józef II – pielęgnowali szczególną relację wzajemnego podziwu, jaka ich łączyła z Wolterem i innymi czołowymi filozofami francuskiego oświecenia. Sceptycy mieliby zapewne niejakie trudności ze zrozumieniem, w jaki sposób jakikolwiek mąż stanu czy filozof mógłby się uważać jednocześnie za „despotę" i za „człowieka oświeconego". (Można by zaryzykować stwierdzenie, że „oświecony despotyzm" to mimowolny oksymoron). Wątpliwości muszą rosnąć, jeśli się przebada historię Polski z tego okresu, ponieważ w Polsce interesy zwolenników reformy i oświecenia były diametralnie różne od interesów despotów z Petersburga, Berlina czy Wiednia.

Polskie Oświecenie miało bezpośrednie związki z Francją – w osobie Stanisława Leszczyńskiego (1677–1766), swego czasu króla Polski, teścia Ludwika XV, a przez ostanie trzydzieści lat życia – księcia Lotaryngii. Ze swojego wspaniałego dworu w Lunéville Stanisław udzielał wsparcia sprawie reform w Polsce – w szczytowym okresie saskiej dekadencji – a w 1749 roku ogłosił *Głos wolny wolność ubezpieczający* – najbardziej wpływowy traktat stulecia. W następnych latach Leszczyński stał się inspiracją dla licznych uczniów i wielbicieli; znaleźli się wśród nich działacz oświatowy Stanisław Konarski (1700–1773) oraz ostatni polski król Stanisław August, ludzie, którzy starannie pielęgnowali idee rozwoju nauki, rządu konstytucyjnego, świeckiej edukacji i poprawy sytuacji gospodarczej. Szybka elekcja Stanisława Augusta w 1764 roku miała służyć interesom carycy Katarzyny, jego byłej kochanki. Zamiast tego – ku rosnącemu przerażeniu władczyni – posłużyła sprawie reformy. Król udzielił praktycznej zachęty radykalnym myślicielom, z których wielu uczestniczyło w jego „oświeconych" czwartkowych obiadach. Franciszek

Bohomolec (1720–1784), były jezuita, był redaktorem „Monitora", tygodnika naładowanego po brzegi nową francuską myślą. Biskup Ignacy Krasicki (1735–1801), kapelan królewski i autor satyrycznych poezji, utrzymywał także kontakty z Fryderykiem Wielkim. Biskup Adam Naruszewicz (1733–1796), nadworny historyk króla, poświęcił się pracy nad przygotowaniem pierwszej historii narodowej. Hugo Kołłątaj (1750–1812), rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, był głównym inicjatorem walki o zmiany konstytucyjne. Stanisław Staszic (1755–1826) – kolejny były ksiądz – uczony i filozof, pozwolił nowym ideałom przetrwać okres rozbiorów. Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841), dramaturg i powieściopisarz, przeżył ich wszystkich i żył na tyle długo, żeby móc działać w epoce romantyzmu. W głównych zarysach mieli przed sobą zadanie poważne, ale proste: nadrobić stulecie stagnacji i zbudować fundamenty pod nowoczesne państwo. Przeszkody były jednak ogromne. Sprzysięgły się przeciwko nim wszystkie siły inercji: fanatyczny konserwatyzm ignoranckiej szlachty, frakcyjne interesy magnatów, konserwatywni hierarchowie Kościoła, dowódcy wojskowi Rzeczypospolitej oraz stojące za nimi wojska i struktury dyplomatyczne despotycznych sąsiadów Rzeczypospolitej. O ile mimo swoich powiązań z carycą Katarzyną Stanisław August był przywódcą ruchu reformatorskiego w Polsce, o tyle caryca, mimo swoich powiązań z ruchem oświeceniowym, była fundatorką konserwatywnego establishmentu w tym kraju.

Celem Katarzyny wyraźnie było utrzymywanie Rzeczypospolitej w miejscu, jakie zajmowała przez ostatnie pięćdziesiąt lat: zubożałego i osłabłego klienta u zachodnich granic Rosji, wygodnego i taniego buforu chroniącego Rosję przed mocarstwami Europy. Aby ten cel osiągnąć, dwór w Petersburgu zadbał, żeby sobie kupić posłuszeństwo osób sprawujących najwyższe urzędy w państwie. Obaj hetmani, prymas i marszałek sejmu pobierali rosyjskie pensje. Dokładał też starań, aby głośno reklamować swoje poparcie dla przywilejów szlachty i zasad demokracji szlacheckiej, łącznie z zasadą *liberum veto*. Te zapewnienia nie brzmiały szczerze w wydaniu najbardziej skrajnej autokracji w Europie, ale dobrze spełniały swoje zadanie: dzięki nim Polska pozostawała słaba i podzielona. Rosjanie mieli zarówno środki polityczne pozwalające zredukować do minimum szanse na reformy w Polsce, jak i środki militarne pozwalające pokonać reformatorów siłą, gdyby przyszło im do głowy stawiać opór. Na pierwszy rzut oka można było zatem mieć wrażenie, że będą mogli przedłużać swój protektorat w nieskończoność. Problem polegał jednak na tym, że hamując nawet umiarkowane reformy, raz za razem doprowadzali reformatorów do buntu, a wysyłając do Polski wojsko, żeby te

bunty tłumić, stwarzali groźbę zachwiania ogólnej równowagi sił w Europie Wschodniej. I wobec tego, aby mieć swobodę działania w Polsce, musieli tłumić obawy Prus i Austrii, godząc się na rekompensaty terytorialne. W zasadzie żaden z trzech rozbiorów Polski z lat 1772, 1793 i 1795 nie był z góry zaplanowany. Stały się konieczne z powodu przemożnego dążenia Rosjan do stłumienia reform za wszelką cenę i stanowiły środek uspokajający pozwalający uzyskać pozwolenie Berlina i Wiednia. W końcu oczywiście caryca zobaczyła, że nie ma protektoratu, który mogłaby protegować. Ostatecznie jej polityka nie okazała się skuteczna.

Podczas pierwszej rundy, w latach 1764–1772, mająca się powtarzać prawidłowość rozpoczęła się od podjętej przez króla próby wprowadzenia programu reform podczas pierwszego za jego panowania posiedzenia sejmu. Projekt zniesienia *liberum veto* zastopowano, grożąc jego użyciem. Próbę wprowadzenia systemu akcyzy jako podstawy finansów państwowych udaremnił odwet Prus – bombardowanie nowych polskich urzędów celnych wzdłuż Wisły. Kiedy dysydenci religijni zostali sprowokowani do protestu przeciwko katolickim prześladowaniom, katoliccy biskupi zaprotestowali przeciwko narażaniu Kościoła na niebezpieczeństwo. W 1767 roku, w sytuacji wojny domowej między dwoma skonfederowanymi frakcjami, ambasador carycy Repnin nakazał deportację zakutych w kajdany swoich kościelnych krytyków. Był to nadir polskiej „anarchii". W roku 1768, w czasie konfederacji barskiej i wybuchu czteroletniej wojny przeciwko uciskowi Rosji, caryca znalazła się w nie lada kłopocie. Gdyby zostawiła Polaków w spokoju, rosyjski protektorat byłby zdemontowany, gdyby natomiast zdecydowała się ich ukarać, ryzykowała wojnę z Austrią i Prusami. Ostatecznie, żeby zgnieść ruch reformatorski, musiała się zgodzić na przedstawiany przez Prusy plan rozbiorów. Armia Katarzyny, uwolniona od działań na froncie tureckim, mogła bez trudu zająć całą Polskę, dokonując po drodze aneksji kilku polskich prowincji. Ale Fryderykowi Wielkiemu trzeba było dać Prusy Zachodnie, a Maria Teresa musiała dostać Galicję. Traktaty rozbiorowe podpisano w 1772 roku. Polskiego króla i polski sejm, którzy zostali należycie skarceni, przekonano do wcielenia ich w życie w 1773 roku. Edmund Burke miał powiedzieć, że caryca zjadła śniadanie – a gdzie miała jeść obiad?

Druga runda, w latach 1773–1793, trwała znacznie dłużej. Najpierw król starał się ograniczyć reformy do oświaty i administracji. Powstała Komisja Edukacji Narodowej, pierwsza tego rodzaju instytucja w Europie, i ustanowiono Radę Nieustającą, z pełnym zestawem cywilnych departamentów. Ale kiedy Sejm Czteroletni z lat 1788–1792 zaproponował

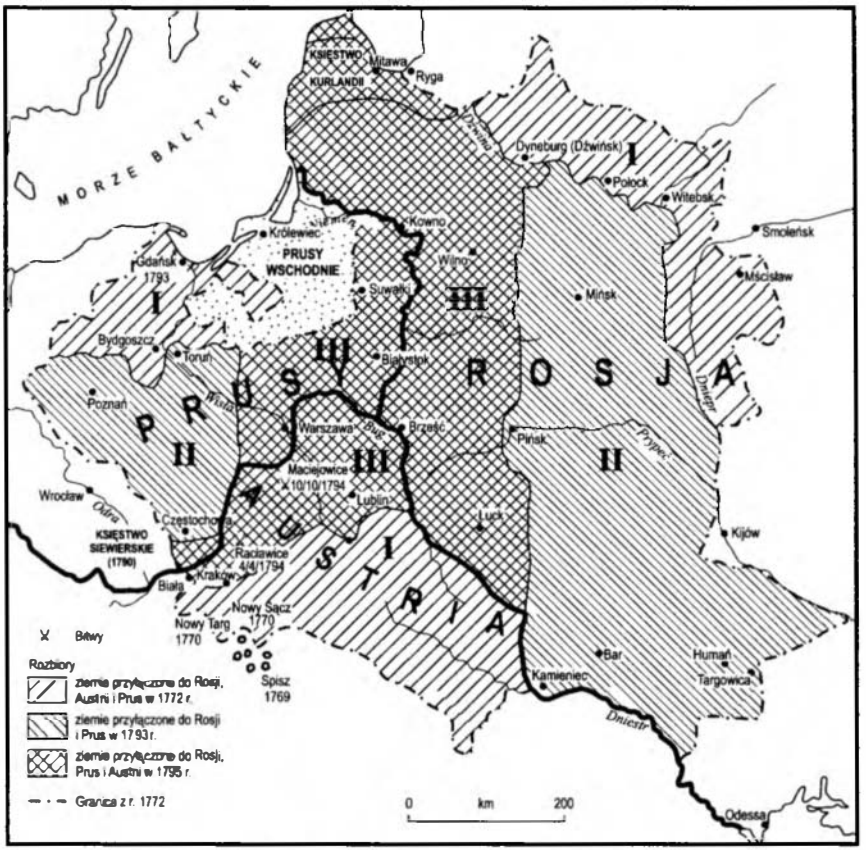

Mapa 11. Rozbiory Polski (1772–1795)

traktat o przymierzu z Prusami i zwiększenie armii, a później, 3 maja 1791 roku, przyjęcie pełnoprawnej liberalnej konstytucji, cierpliwość Rosjan się wyczerpała. Caryca kazała swoim polskim hetmanom zawiązać konfederację targowicką i z pomocą Rosjan obalić konstytucję. Prusaków przekupiła obietnicą Gdańska, sobie zaś wzięła Białoruś i Wołyń. Tym razem niezdecydowani Austriacy nie dostali nic. Rosyjska armia Suworowa, mimo że trzykrotnie przewyższała wojsko polskie złożone ze źle wyszkolonych rekrutów, potrzebowała ponad roku, żeby stłumić pełną wigoru obronę, zorganizowaną przez Kościuszkę i Poniatowskiego. W końcu zdesperowany król zmienił front i wezwał do kapitulacji. W 1793 roku w Grodnie, podczas swojej ostatniej sesji, sejm został wezwany do anulowania konstytucji i do zatwierdzenia drugiego rozbioru.

Runda trzecia i ostatnia była krótka i intensywna. Straciwszy nadzieję na pokojowe reformy, aby uzdrowić Polskę, w 1794 roku Tadeusz Kościuszko rozpoczął powstanie narodowe. Wkrótce zjawił się generał Suworow, żeby powstanie stłumić. Kościuszko odczytał na krakowskim Rynku akt insurekcji. W Warszawie powieszono szpiegów i kolaborantów. W jedynej wspaniałej bitwie, pod Racławicami, siły narodowe, wspomagane przez chłopskie oddziały kosynierów, odniosły zwycięstwo. Ale sprawy nie odkładano. Suworow przypuścił szturm na wschodnie przedmieście Warszawy Pragę i wyrżnął jej mieszkańców. Stolica się poddała. Króla deportowano i kazano mu abdykować. Pozostałości Rzeczypospolitej podzielono na trzy części. Warszawa przypadła Prusom, Kraków i Lublin Austriakom, a Wilno Rosjanom. Rozbiory stały się faktem dokonanym. Rzeczpospolita Obojga Narodów przestała istnieć. Polskę oświecenia zamordował despotyzm.

Jakieś trzydzieści lat po unicestwieniu dawnej Rzeczypospolitej Adam Mickiewicz przywoływał obraz prastarych lasów swojej ojczystej Litwy i „odwieczne dęby", słabnące, pękające i w końcu padające na ziemię, która je wykarmiła. Dawna Polska była jak taki odwieczny dąb – osłabiona i pęknięta. Ale nie przewróciła się sama. Padła pod ciosami siekiery.

Życie i śmierć dawnej Polski

Mawia się często, że historia, która jest badaniem ludzkości w czasie, niczego nas nie uczy. Z pewnością nie jest najlepszym instruktażem dla pochopnych przewidywań. Eksperci i dziennikarze, którzy chcieliby wiedzieć, co się wydarzy w ciągu nadchodzącego półrocza, mogą sobie dać spokój. Czas niesie jednak ze sobą zmiany, a zmiany niosą zapowiedź rozwoju lub upadku. Wszystko, co składa się na ludzkie losy – tak jak na zewnętrzny świat – stale się zmienia i płynie, nic nie stoi w miejscu przez dłuższy czas; w każdym momencie każda ludzka istota i każda instytucja znajduje się albo na drodze do szczytowego rozwoju, albo na drodze do upadku. A jedyną rzeczą, której historia jednak nas uczy, jest to, że wszelka władza przemija i każdy sukces jest efemerydą. Wszystkie państwa i wszystkie monarchie – tak jak wszystkie kobiety i wszyscy mężczyźni – są śmiertelne. Chociaż niektóre mogą mieć nadzieję, że staną się wyjątkami od tej reguły, wszystkie kiedyś przeminą. Kapitanowie i komisarze, którzy siebie i swoje systemy uważają za wieczne, wcześniej czy

później odejdą. Ich przepych obróci się w proch i zmiesza z prochami Niniwy i Tyru. Jeśli nie nadejdzie ostateczna apokalipsa światowej cywilizacji – w postaci wojny jądrowej – dzisiejsze dumne imperia zastąpi w końcu kolejna generacja systemów politycznych i filozoficznych.

Ten spektakl życia i śmierci imperiów stanowi główny wątek wszystkich historii politycznych i od dawna przykuwa uwagę najwybitniejszych historyków. Edward Gibbon, który całe życie spędził na pisaniu *Zmierzchu i upadku cesarstwa rzymskiego* i który tworzył ostatnie akapity wśród ruin Colosseum, opisuje scenę niemal tak poruszającą jak ostatnie lata samego cesarstwa rzymskiego. Jak pisze Ferdinand Lot, „tragedia świata, który nie chciał umierać, to spektakl bardziej porywający niż wszystko, co kiedykolwiek będzie mógł zobaczyć historyk lub socjolog". W tym kontekście śmierć Polski w 1795 roku, po ośmiuset latach życia, jest jednym z najdonioślejszych momentów w przeszłości Europy. Jest równie inspirująca we wspomnieniach i równie patetyczna w swoim rzeczywistym wymiarze jak śmierć starca, dojrzałego pod względem lat i życiowych osiągnięć. Nasuwa takie same refleksje jak inne znane momenty nieodwracalnych zmian – upadek Konstantynopola w 1453 roku, śmierć ostatniego Inki w roku 1531, upadek *ancien régime*'u we Francji w roku 1789, pojawienie się „czarnych okrętów" komandora Perry'ego u wybrzeży Japonii w roku 1853, obalenie dynastii Romanowów podczas rewolucji lutowej w 1917 roku czy wyjazd ostatniego brytyjskiego wicekróla z Delhi w roku 1947...

Od Vica do Arnolda Toynbeego teoretycy historii zmagali się z takimi cyklami wydarzeń i dziś też tego tematu całkiem się nie pomija. Karol Marks – najbardziej wpływowy historyk czasów nowożytnych, oparł swoją filozofię materializmu historycznego na pojęciu spirali przemian, a wyznawcy marksizmu chętnie wskazują na fascynujące paralele między ciągłym ruchem materii – zarówno w martwych atomach, jak i w żywych komórkach – i nieustannym ruchem ludzkich spraw. Ale z powodów zarówno własnej wygody, jak i natury samej teorii wielu współczesnych komentatorów utraciło chyba poczucie równowagi i mądrość swoich wcześniejszych mistrzów. Niektórzy z nich – jak eksperci w dziedzinie nauk politycznych z ich statycznymi modelami i „analizami systemowymi" – chyba całkowicie utracili poczucie czasu, podczas gdy inni, sparaliżowani politycznymi priorytetami dnia, są służalczymi wyznawcami odprawiającymi modły w świątyniach nieskończonego postępu i sukcesu. Nie ulega wątpliwości, że marksiści, ze swoim kultem postępu technicznego i ze swoją wiarą w bodźce gospodarcze i ilościowe parametry poprawy, wnieśli istotny wkład w tworzenie obecnej sy-

tuacji, prawdziwymi winowajcami są natomiast polityczni propagandyści, literaci na służbie reżimu, wszelkiej maści i autoramentu, którym się płaci, żeby dawali do zrozumienia, że reżimy ich panów są nieśmiertelne. Podręczniki z czasów naszych dziadków pełne były rozdziałów na temat „rozwoju Prus" czy „wzrostu imperium brytyjskiego", natomiast podręczniki ostatnich generacji wypełniają takie treści jak „powstawanie Ameryki" lub – w bloku sowieckim – „budowa komunizmu". W roku 1883 żaden wydawca w Berlinie albo Londynie nie wypłaciłby większej zaliczki autorowi popularnej pracy o „upadku Niemiec" czy „schyłku Wielkiej Brytanii". (Oswald Spengler musiał czekać do roku 1920); podobnie jak żaden przedsiębiorczy historyk nie dostanie umowy z Waszyngtonu na napisanie książki o „rozmontowywaniu Ameryki", a z Brukseli – o „rozpadzie Unii Europejskiej". Sukces, a także historia sukcesu, jest dobrym interesem politycznym, natomiast porażka, a także historia porażek – dobrym interesem politycznym nie jest. Poszczególni autorzy na Zachodzie mają wolną rękę w podejmowaniu ryzyka pesymistycznych przedsięwzięć, nie jest natomiast prawdopodobne, że uzyskają oficjalne wsparcie; w Związku Sowieckim takich autorów mocno prześladowano. Andriej Amalrik, wykwalifikowany historyk, który odważył się napisać esej zatytułowany *Czy Związek Radziecki przetrwa do 1984 roku?*, dostał za niego sześć lat w obozie pracy. W gruncie rzeczy jest bardzo prawdopodobne, że śmiertelne kłopoty Związku Sowieckiego mogły skłonić cenzurę do okrojenia informacji o rewolucji w Rosji, żeby młodym ludziom nie przyszły do głowy jakieś pomysły – tak jak w Polsce w epoce Solidarności oficjalna cenzura ograniczała dostęp do popularnych historii polskiego ruchu komunistycznego z ich relacjami na temat spisków, agitacji i strajków. Każdy reżim na świecie chce pielęgnować atmosferę postępu i optymizmu – właśnie tu w znacznym stopniu tkwi siła przyciągania marksizmu. Ale dla pełnego obrazu ludzkiej kondycji z pewnością konieczne jest zestawianie sukcesów z porażkami, zwycięstw i klęsk, wzrostów i upadków. W nowożytnej historii Europy upadek Hiszpanii czy Austrii zasługuje na tyle samo miejsca co zjednoczenie Niemiec czy Włoch; „rozbiory Polski" zasługują na tyle samo miejsca co „ekspansja Rosji".

W samej Polsce – w kraju, w którym władza i dobrobyt były od dawna nieobecne – takie przestrogi nie są potrzebne. Polscy historycy byli i są pochłonięci historią rozbiorów. Upadek dawnej Polski, jego przyczyny i płynące z niego wnioski jeszcze dziś są przemożną obsesją polskiej historiografii. Szkoła romantyczna, której w latach trzydziestych XIX wieku przewodził Lelewel, utrzymywała, że dawna

Rzeczpospolita została unicestwiona za sprawą czynników zewnętrznych, i wierzyli, że wewnętrzne zasoby duchowe pozwolą jej się odrodzić. Szkoła krakowska w Galicji – której w latach sześćdziesiątych XIX wieku przewodziła grupa stańczyków – utrzymywała, że dawną Rzeczpospolitą unicestwiły jej własne błędy i niepowodzenia, oraz sugerowała, że już nigdy nie da się jej przywrócić do życia. Warszawska szkoła pozytywistów – której po roku 1864 przewodzili Korzon i Smoleński – zwróciła się ku analizie zagadnień społecznych i ekonomicznych w przekonaniu, że klucza do przeszłych problemów – a także do problemów obecnych – należy szukać w sferze materialnej. Szkoła dyplomatyczna – której przewodzili Askenazy i Handelsman – ponownie przywołała kwestię stosunków zagranicznych i koncentrując się na skutkach rozbiorów w epoce napoleońskiej, sugerowała, że istotnym elementem spraw polskich był wybór sojuszników. Wszystkie te klasyczne szkoły polskiej historiografii były silnie zakorzenione w świadomości związków przeszłości z teraźniejszością, wszystkie też miały, i mają nadal, oddanych następców i kontynuatorów. Na przestrzeni lat „pesymiści" (w znaczeniu szkoły krakowskiej) i „optymiści" (w tradycji warszawskiej) doprowadzili walkę do remisowego wyniku. Prorocy zagłady i handlarze nadziei pięknie się równoważą.

W nowszych czasach oficjalna szkoła komunistyczna polskiej historiografii natrafiała na poważne przeszkody w podejmowanych próbach stworzenia nowej i ostatecznej syntezy. Jako marksiści-leniniści, reprezentanci tej szkoły przyjęli interpretację opartą na analizie społeczno-ekonomicznej i wobec tego rozwijali linię badań tradycji pozytywistycznej. Jako neonacjonaliści, musieli jednak także podkreślać krzywdy i ucisk polskiego ludu, i wobec tego czerpali z tradycji romantycznej. Prawdę mówiąc, to połączenie warszawskiego pozytywizmu z domieszką romantycznego mesjanizmu należy uznać za coś w rodzaju teoretycznej *tour de force*, łączyła ona bowiem ich przepis na obowiązkowy optymizm z istotnymi elementami tradycji narodowej. Niestety w praktyce – w podejściu do jedynego kluczowego zagadnienia polskiej historii – ta postawa nie okazała się zbyt adekwatna. Nawet największa liczba analiz socjoekonomicznych nie przyniesie odpowiedzi na pytanie, dlaczego dawnej Rzeczypospolitej nie dało się zreformować i zmodernizować, zamiast zostawić ją na pożarcie sąsiadom. Nie może też wyjaśnić, dlaczego – po unicestwieniu odrębnej bazy społeczno-gospodarczej w wyniku zaborów – Polska w dalszym ciągu istniała jako wspólnota duchowa i kulturowa. Współcześni polscy historycy nie są ani o krok bliżej na drodze do ostatecznej zgody niż ich poprzednicy. Wciąż jeszcze trzymają trupa dawnej Polski w swojej

teoretycznej kostnicy, ale żadna sekcja nie przyniosła jak dotąd przekonującej odpowiedzi na pytanie o przyczynę zgonu[5].

W gruncie rzeczy losy Polski nasuwają refleksję na temat najistotniejszych aspektów śmiertelności historii i człowieka. Ważąc argumenty za i przeciw wewnętrznym i zewnętrznym przyczynom rozbiorów oraz względny wpływ czynników politycznych, materialnych i kulturowych, historyk wkracza na teren coraz wnikliwszych badań zasadniczych atrybutów ludzkiej społeczności, a właściwie ludzkiej natury. Jeśli Polska rzeczywiście została unicestwiona, to w jaki sposób można ją było później przywrócić do życia? Jeśli Polska istotnie zmartwychwstała, to coś musiało przetrwać proces jej fizycznego zniszczenia. Krótko mówiąc, kiedy umiera organizm państwa, polityczne ciało, to co – jeśli w ogóle coś – pozostaje? Na te pytania, stare jak sam Platon, marksiści nie mieli jasnej odpowiedzi. Katolicy wysuwaliby argumenty *per analogiam* do losu pojedynczego grzesznika i mówiliby o „duszy" narodu. Romantycy mówią o „duchu" Polski. Wszyscy poważni ludzie mają powód do zastanowienia. Tak czy inaczej, ta zagadka jest bardziej przekonująca niż oficjalna legenda o długim marszu polskiego narodu drogą wiodącą do Polski Ludowej. W czasie swojego długiego życia, w okresach aktywności, Polska grała wybitną rolę w wielkim widowisku wystawianym przez historyczne narody Europy. Kiedy ją zniszczono, jako „umarły człowiek Europy" wciąż jeszcze miała do odegrania jakąś rolę. Najwyraźniej istnieje życie porozbiorowe.

Trwałe tradycje

Większość instytucji dawnej Rzeczypospolitej umarła razem z nią. Polska monarchia, dwór królewski, elekcje królów, majątki koronne i monopole, Korona i Wielkie Księstwo ze swoimi granicami, sejm, senat, Izba Poselska i sejmiki ziemskie, konstytucja, *pacta conventa*, prawo, trybunały, sądy, administracja, urzędy państwowe i lokalni urzędnicy, wojska Rzeczypospolitej i hetmani, polska służba dyplomatyczna (taka jaka była), Komisja Edukacji Narodowej, stara polska waluta, odrębny status

[5] Zob. *A Republic of Nobles: Studies in Polish History to 1864*, red. J.K. Fedorowicz, Cambridge 1982; jest to najbardziej udana próba przeglądu współczesnej literatury polskiej dotyczącej okresu przedrozbiorowego.

społeczny szlachty i Żydów, herb Rzeczypospolitej z białym orłem w koronie i litewski jeździec na koniu – tego wszystkiego, i wielu innych rzeczy, raz na zawsze się pozbyto. Kilka instytucji – urząd prymasowski polskiego Kościoła i zjednoczona polska metropolia, statuty miejskie, polskie szkoły i uniwersytety (choć nie cały system oświaty), system miar i wag – w roku 1795 zostawiono w spokoju, aby później zacząć je zmieniać lub likwidować. Wszystko – w pałacach magnatów i w chłopskich chatach – poddawano dogłębnym zmianom. Mimo to mieszkańcy Rzeczypospolitej przetrwali jej upadek, a wraz z nimi przetrwało wiele mniej uchwytnych elementów dawnego życia – kultura, języki, religie, postawy społeczne i polityczne. I właśnie to, co się zachowało, tworzyło żywy most łączący minioną przeszłość Polski z jej niepewną przyszłością.

1. Wielokulturowe dziedzictwo

Z punktu widzenia obiektywnego obserwatora najbardziej rzucającą się w oczy cechą społeczeństwa Rzeczypospolitej Obojga Narodów epoki przedrozbiorowej był jej wielokulturowy charakter. W granicach dawnej Rzeczypospolitej rozkwitało mnóstwo społeczności, mnogość religii, bogactwo języków. Polscy szlachcice i słowiańscy chłopi mieszali się z niemieckimi mieszczanami i żydowskimi czy ormiańskimi kupcami. Ludzie byli dumni ze swojego pochodzenia – prawdziwego lub wymyślonego – od Sarmatów i Chazarów albo od niderlandzkich, szwedzkich, włoskich czy szkockich imigrantów. Wokół rzymskokatolickiej większości kwitł barwny wieniec religijnych sekt i wyznań – kalwinów, luteranów, arian, unitów, prawosławnych, grekokatolików i starowierów, ortodoksyjnych Żydów, karaimów, chasydów i frankistów, ormiańskich monofizytów i tatarskich muzułmanów. Oficjalnym językom Królestwa – polskiemu i łacińskiemu – odpowiadały języki ruski i polski w Wielkim Księstwie. W mowie potocznej można było usłyszeć wszystko – od czterech głównych regionalnych dialektów języka polskiego i dodatkowo kaszubskiego i góralskiego po ruski w odmianie północnej (białoruski) i południowej (ukraiński), litewski, łotewski, a do roku 1600 także pruski, *plattdeutsch* w miastach na północy, jidysz, tatarski i ormiański. Dwór królewski był zitalianizowany za czasów Bony Sforzy i Zygmunta Augusta, frankofoński za Henryka Walezjusza, zlatynizowany za Batorego i zgermanizowany w czasach Wazów i Wettinów. Językami liturgicznymi były łacina kościelna, język staro-cerkiewno-słowiański, niemiecki język Biblii Lutra, hebrajski i arabski. Dokumenty zapisywano różnymi

alfabetami – łacińskim, cyrylicą, hebrajskim i arabskim. Nawet w kalendarzu występowały znaczne różnice. Na przykład, kiedy w Wilnie Polacy świętowali uchwalenie Konstytucji 3 maja *Anno Domini* 1791, prawosławni mieli dopiero 22 kwietnia, Żydzi – drugi miesiąc roku Iyyar, po święcie Pesach *Anno Mundi* 5552, a Tatarzy – ósmy miesiąc roku 1205 według kalendarza hidżry.

Różnorodność kultur dawnego polskiego społeczeństwa sprzyjała powstawaniu szczególnych postaw. Budowała fundamenty jeśli już nie powszechnej tolerancji, to przynajmniej tolerancji w sensie praktycznym. Sprzyjała atmosferze twórczej wymiany kulturowej, w której ludzie o otwartych umysłach mogli się uczyć od swoich sąsiadów, i przyczyniała się do powstawania silnej tradycji w dziedzinie edukacji, ponieważ każda społeczność musiała starać się dorównać innym pod względem świetności własnych szkół i akademii. W okresie porozbiorowym, kiedy w łonie każdej społeczności powstał odrębny ruch narodowościowy, była pożywką dla godnych ubolewania animozji, jednakże, rozbudziła w przeciwnikach nacjonalizmu przekonanie, że kultury Europy Wschodniej muszą albo się nauczyć ze sobą współpracować, albo zginąć.

Tradycja oświaty w Polsce miała długą i bogatą historię służby społecznej i niezależnej edukacji. Uniwersytet Jagielloński, założony w 1364 roku, był drugim po Pradze ośrodkiem szkolnictwa wyższego w Europie Środkowej. W XV wieku jeden z jego pierwszych rektorów, Paweł Włodkowic (Paulus Vladimiri, 1370–1435), czuł się na tyle pewny swojej teologii i znajomości prawa kanonicznego, że na soborze w Konstancji rzucił wyzwanie panującym opiniom papieża i cesarskich ekspertów; natomiast następcy Włodkowica – w tym długi szereg rektorów-prałatów – od kardynała Zbigniewa Oleśnickiego (1389–1455) po arcybiskupa Jana Łaskiego (1455–1531) i biskupa Piotra Tomickiego (1464–1535) czuwali nad rozwojem katolickiego humanizmu i otaczali opieką sztukę. Arcybiskup Grzegorz z Sanoka (zm. 1477) we Lwowie i biskup Jan Lubrański w Poznaniu założyli akademie kościelne o trwałej pozycji. Jednak w XVI wieku monopol Kościoła został przełamany. Szkoły protestanckie ustanowiły tak wysoki poziom, że ich klientela pokonywała wszelkie wyznaniowe bariery. Uniwersytet w Królewcu (1544), wielkie niemieckie gimnazjum w Gdańsku, akademia kalwińska w Pińczowie znana jako „Sarmackie Ateny", nawet kolegia prowadzone przez sekty – husytów w Lesznie czy arian w Rakowie – przyciągały uczniów nie tylko z kręgów katolickiej szlachty, ale także z zagranicy. We wspólnocie żydowskiej szkoły talmudyczne w Krakowie, Lublinie i Wilnie znane były w całej Europie i pod ich egidą ukazywało się mnóstwo publikacji. Prywatna

akademia kanclerza Zamoyskiego w Zamościu (1594) była wzorowym eksperymentem w dziedzinie renesansowej edukacji. Wśród jej profesjonalnej kadry znaleźli się uczeni żydowscy, ormiańscy i tureccy – dowód rozległej wizji jej założyciela. Kościół katolicki musiał oczywiście odpowiedzieć tym samym. Poczynając od 1565 roku, kiedy w Braunsbergu (Braniewo) powstało pierwsze kolegium jezuickie, w polskiej metropolii założono ponad pięćdziesiąt podobnych instytucji – od Breslau (Wrocławia) na zachodzie i Perejesławia na wschodzie, po Dorpat (Tartu) na północy i Krzemieniec na południu – ich sukcesy mówią wiele o ogólnych postępach kontrreformacji. Kolegia te – znane zarówno ze swojego poziomu akademickiego, jak i z religijnych cnót – dały początek późniejszym uniwersytetom – w Wilnie, Lwowie, Dorpacie. Sprowokowały także analogiczne ożywienie w prawosławnych instytucjach oświatowych. Akademia Petra Mohyły w Kijowie (1632), pierwszy ośrodek szkolnictwa wyższego w świecie Słowian wschodnich, miała odegrać zasadniczą rolę w modernizacji rosyjskiego prawosławia; jej program wzorowano na programie miejscowego kolegium jezuitów, działającego w okresie, kiedy Kijów był jeszcze miastem leżącym w Królestwie Polskim. W latach późniejszych przyszedł zmierzch znaczenia szkół jezuickich, zwłaszcza po sprowadzeniu pijarów, bernardynów i obserwantów. Kiedy w roku 1773 zakon jezuitów został rozwiązany (w Polce, ale nie w Rosji), wielu z dawniejszych pedagogów dołączyło do personelu i zespołów redakcji podręczników przy Komisji Edukacji Narodowej. Podobnie po rozwiązaniu Komisji przez rządy mocarstw rozbiorowych większość jej szkół odrodziła się szybko w ramach systemów edukacji Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego lub działającego pod kuratelą Adama Czartoryskiego Wileńskiego Okręgu Naukowego w zachodnich guberniach Imperium Rosyjskiego. Stare instytucje w rodzaju gimnazjum w Chełmnie na terenie Prus czy jego nowszego odpowiednika w Krzemieńcu na Wołyniu zdołały zachować swoją polską tożsamość przez większą część XIX wieku. Szkoły żydowskie także kontynuowały działalność mimo przemian politycznych. Jesziwy na terenach osadnictwa żydowskiego, wykrojonych z terytorium dawnych polskich prowincji w Rosji, znane były wśród wspólnot żydowskich całego świata. Szkoły chasydzkie z ich naciskiem na studiowanie Pisma oraz nowe świeckie szkoły otwierane w ramach Haskali – usytuowane na przeciwnych krańcach spektrum żydowskiego świata – służyły utrzymaniu wysokiego poziomu żydowskiej oświaty. W gruncie rzeczy we wszystkich polskich ziemiach szacunek dla edukacji był elementem sposobu życia. Nie jest więc niczym dziwnym, że kiedy rusyfikatorzy i germanizatorzy zabrali się do pracy, aby – ich zdaniem – ucywilizować

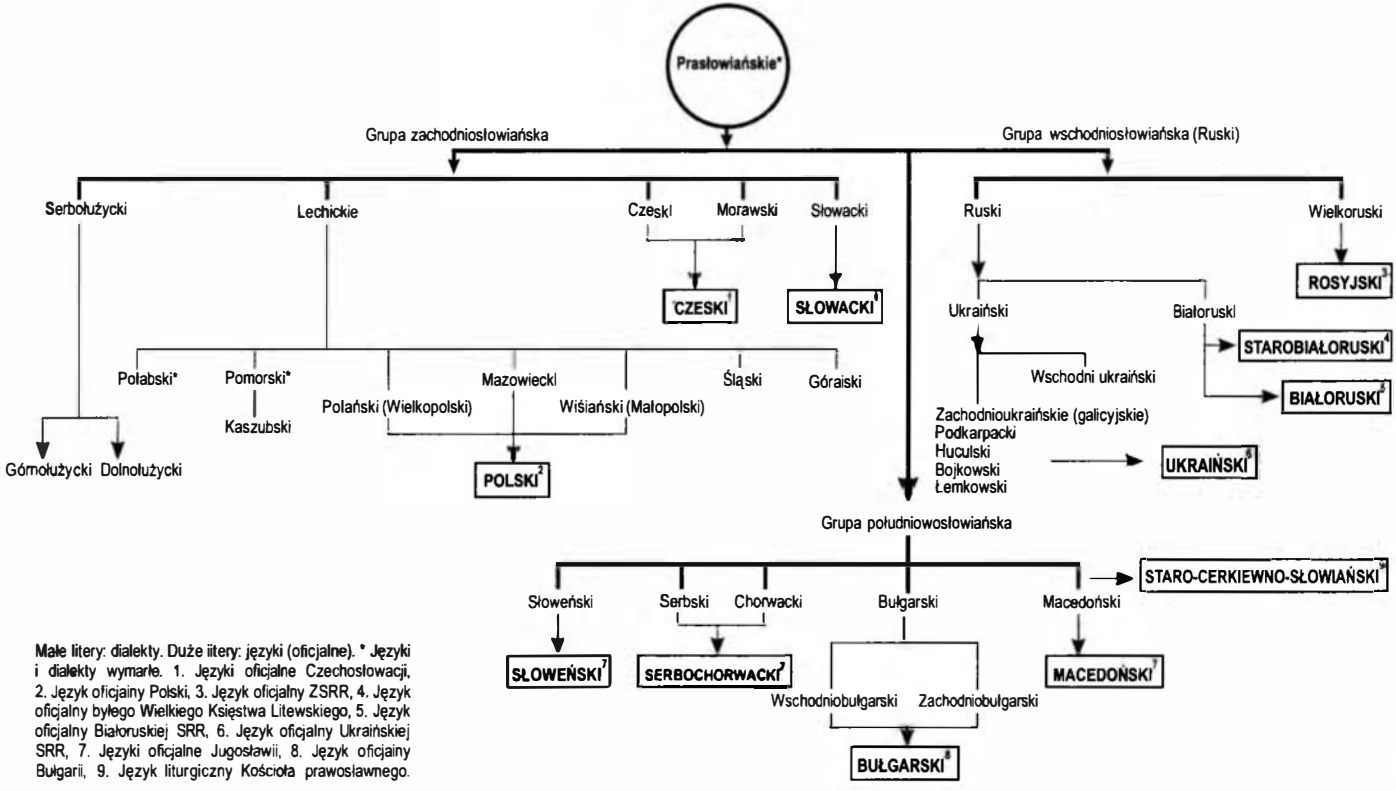

Małe litery: dialekty. Duże litery: języki (oficjalne). * Języki i dialekty wymarłe. 1. Języki oficjalne Czechosłowacji, 2. Język oficjalny Polski, 3. Język oficjalny ZSRR, 4. Język oficjalny byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, 5. Język oficjalny Białoruskiej SRR, 6. Język oficjalny Ukraińskiej SRR, 7. Języki oficjalne Jugosławii, 8. Język oficjalny Bułgarii, 9. Język liturgiczny Kościoła prawosławnego.

Rys. D. Języki słowiańskie

nowych poddanycli, musieli stanąć twarzą w twarz z nieoczekiwanymi problemami. W kategoriach kultury pruski nauczyciel czy rosyjski inspektor szkolny, wysłani z Berlina czy Petersburga niczym naiwni misjonarze, często odkrywali, że mogą się wiele nauczyć od rodzimej ludności. Ostatecznie z wielkiego edukacyjnego pola bitwy dziewiętnastowiecznej Europy bojownicy kultury narodowej zeszli poobijani, ale z podniesionym czołem.

Wzajemne przenikanie się kultur przyjmowało najróżniejsze formy. Można to zauważyć w nauce, gdzie odbicie idei religijnych czy społecznych jednej społeczności inspirowało dzieła tworzone w ramach innej. (Aby przytoczyć tylko jeden znany przykład, dzieło *Twierdza wiary*, *Chizzuk emuna*, Izaaka z Trok, 1585, które później odkrył Wolter i uznał za intelektualne źródło oświecenia, było wynikiem fascynacji jego autora pracami pewnego ariańskiego profesora, wydalonego z Uniwersytetu Jagiellońskiego i osiadłego wśród litewskich karaimów). W sposób dość naturalny w tak zróżnicowanym społeczeństwie powstała długa tradycja dwujęzycznego lub wielojęzycznego pisarstwa tworzonego przez autorów używających dwóch lub więcej języków. Literatura łacińska przetrwała – obok piśmiennictwa w językach regionalnych – niemal do czasu rozbiorów, natomiast w okresie późniejszym język polski często wybierali debiutanci, którzy z czasem przechodzili na jakiś inny środek wyrazu. Odrodzeniu literackiemu Litwy na początku patronowali polscy biskupi z Wilna i Żmudzi, a literackie odrodzenie jidysz zainicjowali ludzie, którzy na początku swojej kariery pisali po polsku. Początki nowej literatury ukraińskiej – Taras Szewczenko (1814–1861) i jego współcześni – wiele zawdzięczały polskiemu romantyzmowi. Przez całe stulecia, aż do II wojny światowej, Polska była krajem, w którym różne kultury mogły ze sobą współistnieć i współzawodniczyć. W czasach renesansu krakowscy drukarze wyprodukowali nie tylko mnóstwo cennych inkunabułów w językach polskim i łacińskim, ale także pierwszą księgę drukowaną cyrylicą, pierwszą księgę pisaną po węgiersku i wczesne dzieła rumuńskie, natomiast w epoce rozbiorowej Polska stała się miejscem narodzin ważnych dzieł autorów niemieckich i rosyjskich, a także polskich. Niewielu badaczy nowożytnej literatury europejskiej zdaje sobie sprawę, że opowiadania Hoffmanna powstawały w Warszawie albo że w pobliżu Warszawy urodził się Isaak Bashevis Singer. W wieku XVI polscy szlachcice masowo wstępowali na uniwersytety w Padwie, Paryżu i w Bolonii i wracali do domów z głowami pełnymi renesansowych ideałów, natomiast w wiekach XIX i na początku XX młodych Polaków wysyłano masowo do szkół i na uniwersytety w Niemczech i w Rosji – w Berlinie, Heidelbergu, Getyn-

dze i Jenie, w Petersburgu, Dorpacie, Kijowie i Charkowie – i wracali do domów ze zdobytą z pierwszej ręki wiedzą o niemieckiej filozofii, rosyjskiej literaturze czy nowoczesnej technice. Polacy żyli na skrzyżowaniu dróg Europy. Nawet w czasie największych politycznych nieszczęść Polska nie mogłaby się stoczyć na kulturalne dno.

Nie miałoby sensu zakładać, że wielokulturowe dziedzictwo Polski stworzyło cokolwiek, co można by nazwać niezakłóconą braterską harmonią. Bratobójcze walki i wzajemna nietolerancja wśród różnych ruchów narodowościowych na dawnych ziemiach polskich były w okresie od połowy XIX do połowy XX wieku jednym z największych skandali kontynentu europejskiego. Zadufana w sobie małostkowość, kołtuńska arogancja i wściekły dogmatyzm polskich, ukraińskich, żydowskich, niemieckich i rosyjskich nacjonalistów – jednakowo przekonanych o wyższości własnej „zagrożonej" kultury – nie robią na obserwatorze z zewnątrz wrażenia kulturalnej wymiany myśli. Trzeba sobie jednak uświadomić, że w tumulcie tych wszystkich sporów wielu ludzi naprawdę walczyło o zachowanie ideałów zgody między wspólnotami i wielokulturowego społeczeństwa. Ludzie ci z utęsknieniem wyczekiwali dnia, w którym uda się przywrócić do istnienia wartości pozytywne różnorodności kulturowej dawnej Rzeczypospolitej. Nic też dziwnego, że w poszukiwaniu odpowiedniego wzorca we własnej historii wybierali Polskę Jagiellonów, w której, jak się zdawało, tkwiły korzenie ich wielonarodowych ideałów.

„Idea jagiellońska" zrodziła się w umysłach polityków w początkach epoki romantyzmu, a najlepiej znany wyraz znalazła w przepowiedniach Wernyhory. Przyjął ją przede wszystkim obóz Piłsudskiego. Jej korzenie tkwiły w próbach zjednoczenia Polski i Litwy z Ukrainą, podczas powstań listopadowego i styczniowego, sama zaś zrodziła nieudane plany Piłsudskiego z lat 1918–1921, mające na celu utworzenie federacji Międzymorza. Roztrzaskała się na rafach sztucznej segregacji narodów zamieszkujących te tereny po II wojnie światowej. Ale może jeszcze zaaranżuje swój powrót. Narody Europy Wschodniej nie cierpią już w wyniku tarć i rywalizacji w walkach o przetrwanie na tej samej ziemi, a wobec zmierzchu sponsorowanego przez komunistów nacjonalizmu mogą przywrócić do życia wspomnienia wspólnego dziedzictwa i uczynić z nich bodziec do walki o wspólne wyzwolenie. Wiele najważniejszych dokumentów z epoki Jagiellonów, od wspaniałej preambuły traktatu unii horodelskiej z 1413 roku do wzruszającego testamentu Zygmunta Augusta z roku 1572, mówi o „miłości, zgodzie i jedności" między różnymi społecznościami państwa. To nie były puste slogany, a w katolickim kontekście

mogą się one stać trwałym źródłem inspiracji. Teraz, gdy stare, dążące do podziałów pokolenie przedwojennych nacjonalistów praktycznie już wymarło we wszystkich krajach regionu, mogłoby się może wyłonić nowe pokolenie ludzi oddanych idei wzajemnego zrozumienia. Pierwsze kroki na drodze do polsko-litewskiego pojednania podjęto w oparciu o łączący oba kraje katolicyzm; na emigracji rozpoczęto działania popierające polsko-ukraińskie *rapprochement*. Ci, którzy dziś opowiadają się za wielokulturową harmonią, mają do dyspozycji wiele precedensów z przeszłości.

2. Jądro etniczne

Z powodu krzywd wyrządzonych przez nazizm i faszyzm historia ras nie cieszy się zbytnim szacunkiem wśród współczesnych badaczy i w sferze spekulacji pozostaje pytanie, czy postęp w dziedzinie genetyki może kiedykolwiek wywrzeć jakiś wpływ na historiografię. Nie da się jednak zaprzeczyć, że w przeszłości teorie biologiczne odegrały istotną rolę w debatach na temat rozwoju historycznego; nie bez znaczenia były oczywiście wpływy darwinizmu pod koniec XIX wieku. Wystarczy zajrzeć do pierwszego tomu sprawozdań z działalności Królewskiego Towarzystwa Historycznego w Londynie (1883), gdzie można znaleźć szokujące badania nad przewagą wpływów brytyjskiej cywilizacji Anglosasów nad wpływami Celtów, żeby sobie uświadomić, że analiza rasowa nie była wyłączną domeną takich ludzi jak Arthur de Gobineau czy Houston Stewart Chamberlain. Co więcej, nie da się także zaprzeczyć, że uświęcony tradycją pogląd na temat wspólnot narodowych opartych na pokrewieństwie zawiera w sobie więcej niż tylko ziarnko prawdy. Mimo wszelkich zastrzeżeń, jakie chciałoby się wysunąć – że zasoby genetyczne każdego narodu ulegają bezustannym zmianom i są stale uzupełniane, że nowe narody (na przykład Ameryki lub Australii) mogą się tworzyć z ludów o bardzo odmiennym pochodzeniu rasowym albo że języki i kultury mogą być przenoszone od jednego narodu do innego bez względu na stopień rasowego pokrewieństwa – pozostaje prawdą, iż nowożytne poczucie narodowości ogromnie umocniła świadomość dawnych dziedzicznych więzi opartych na pojęciu „ojczystego języka" i endogamii uprawianej przez pokolenia, a zatem na zasadzie wspólnego pochodzenia w sensie biologicznym. Najistotniejszy jest być może fakt, że zwykli ludzie czerpią poczucie dumy i bezpieczeństwa z opowieści o czynach swych „przodków" i „protoplastów", nie zważając na naukowe podstawy takich rzekomo rodzinnych powiązań. Im większe jest ich poczucie braku bezpieczeń-

stwa w nowoczesnym świecie, tym większa potrzeba należenia do jakiejś prawdziwej lub wyimaginowanej „narodowej rodziny" o wspólnych „korzeniach" i „więzach krwi". W odniesieniu do historii europejskiej idea przynależności rasowej jako jedynej podstawy nowożytnych narodów została oczywiście całkowicie zdyskredytowana. Wielu zwolenników znajduje natomiast modniejsze pojęcie „etniczności", stanowiącej połączenie czynników językowych, kulturowych i środowiskowych z dziedzicznością. To nowe pojęcie „etnicznego jądra" brzmi mniej obraźliwie niż dawne wywody o „genealogii rasowej", „korzeniach plemiennych" i „naszej prastarej więzi pokrewieństwa".

W Polsce – podobnie jak w większości krajów Europy Środkowej i Wschodniej – powstanie i ewolucja owego etnicznego jądra zawsze przyciągały uwagę ludzi nauki. W czasach demokracji szlacheckiej zadawano sobie wiele trudu, aby udowodnić, że szlachecki „polski naród" ma inne początki rasowe niż reszta ludności. Według popularnej mitologii szlachta wywodziła się od szlachetnego Jafeta, w odróżnieniu od niegodnych „synów Chama" (W języku polskim słowo „cham" stało się synonimem nędzy – zarówno moralnej, jak i społecznej). Według szesnastowiecznych autorytetów – na przykład Marcina Bielskiego (1495–1575) – szlachta pochodziła od wojowniczych Sarmatów, którzy podbili w czasach prehistorycznych potulne słowiańskie plemiona, i to miało być usprawiedliwieniem supremacji tej warstwy w późniejszych czasach. W XIX wieku naukowcy poświęcali o wiele więcej uwagi związkom ze słowiańszczyzną. Kiedy tylko pierwsi filolodzy – na przykład Aleksandr Wostokow czy Franc Miklošič – ustalili wspólne początki języków słowiańskich (zob. rys. D), nauka znalazła się zaledwie o krok od stwierdzenia, że wszystkie ludy używające języków słowiańskich mają wspólne pochodzenie rasowe. Taki wniosek zawierał w sobie oczywisty potencjał polityczny i zarówno Polacy, jak i Rosjanie debatowali na temat swojego „naturalnego prawa" do przywództwa narodom słowiańskim. W Rosji teorie panslawistyczne stały się integralnym elementem rosyjskiego nacjonalizmu. Natomiast przez Polaków panslawizm zaczął być postrzegany jako śmiertelne zagrożenie, ponieważ zakładał, że ich powiązania z Rosjanami i przynależność do wielkiej słowiańskiej rodziny zdominowanej przez Rosję mogły stanowić element naturalnego procesu historycznego. Nawet słowianofilia kulturowa nie mogła przyciągnąć zbyt wielu polskich zwolenników. W efekcie delegaci polscy na rozmaite kongresy slawistyczne, organizowane w XIX wieku – w Pradze (1848), w Moskwie (1867), ponownie w Pradze (1908), w Petersburgu (1909), w Sofii (1910) – z reguły wyrażali opinie odmienne od opinii Rosjan, Ukraińców,

Czechów czy delegacji południowych Słowian, zyskując Polsce etykietę „Judasza Słowian". Polscy uczeni nie odrzucali wprawdzie z gruntu słowiańskich powiązań, natomiast mieli skłonność do minimalizowania znaczenia rzekomego wspólnego czynnika rasowego i maksymalizowania różnic w dziedzinie kultury, religii i środowiska. Wpływ na poglądy Ukraińców i Polaków na tę sprawę wywarło dzieło Franciszka Duchińskiego (1816–1893) *Peuples Aryâs et Tourans* (1864). Duchiński atakował same podstawy panslawizmu, argumentując, że Wielkorosjanie nie są prawdziwymi członkami rasy słowiańskiej, ponieważ wywodzą się od zesłowiańszczonych ludów fińskich i hunnickich – tak jak Bułgarzy są zesłowiańszczonym plemieniem tureckim. W myśl takiego rozumowania Polacy – a nie Rosjanie – powinni być uznawani za naturalnych przywódców świata słowiańskiego[6].

W nowszych czasach kilka ruchów politycznych w Polsce uznało za wskazane przyjąć wariacje na etniczny temat jako element swojej oficjalnej ideologii. Pierwszymi były ruch ludowy i narodowy ruch demokratyczny; może się wydać dość dziwne, że później dołączył do nich powojenny polski ruch komunistyczny.

Pod koniec XIX wieku, kiedy polscy politycy marzyli o przywróceniu narodowej państwowości, istniało wiele różnych opinii na temat modelu, na jakim należało oprzeć przyszłe państwo polskie. Obóz Piłsudskiego opowiadał się za „ideą jagiellońską", natomiast przywódcy chłopscy z Bolesławem Wysłouchem na czele oraz nacjonaliści spod znaku Dmowskiego mieli inne pomysły. Z powodu rzekomej czystości etnicznej prastarego państwa pierwszych Piastów wzorowali się na nim, pragnąc utworzyć nowoczesną wersję Polski Mieszka I i Bolesława Chrobrego – Polski pierwszych polskich plemion, wolnych jeszcze od etnicznych domieszek germańskich osadników, żydowskich uchodźców czy zwycięskich Rusinów; Polski swoich przodków, którzy – jak uważano – mieli absolutne prawo własności polskich ziem. Idea piastowska, najpierw propagowana przez Wysłoucha, a w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku popularyzowana przez Jana Popławskiego, stała się standardowym celem nacjonalistycznej ideologii[7]. Umacniał ją ich wielki podziw dla jednolitego ka-

---

[6] Zob. Georges Luciani, *Les origines polonaises de l'idéologie des slaves unis*, w: tenże, *La Société des Slaves Unis (1923–1925)*, Bordeaux 1963, s. 77–154. Na temat Duchińskiego zob. Ivan L. Rudnytsky, *Franciszek Duchiński and His Impact on Ukrainian Political Thought*, Harvard Ukrainian Studies, t. III/IV (1979–1980), s. 690–705.

[7] Omówienie wkładu Wysłoucha w rozwijanie idei piastowskiej znaleźć można w monografii Franciszka Ziejki *W kręgu mitów polskich*, Kraków 1977, s. 171 i n. Choć

tolicyzmu piastowskiej Polski i dla oporu Piastów wobec imperialnych zakusów Niemiec. Bardzo się różniła od panslawizmu, ponieważ nacisk na niepowtarzalny charakter polskiej tożsamości etnicznej stanowił barierę dla wszelkiej myśli o asymilacji czy nawet „konwergencji ludów słowiańskich"; z pewnością natomiast przyznawała priorytet idei, że Polacy powinni zająć należne im miejsce jako równi partnerzy w odwiecznej walce Słowian z Teutonami. Z tych samych powodów stała się ogromnie atrakcyjna dla polskich komunistów okresu powojennego.

Przyjęcie idei piastowskiej przez komunistów było podyktowane w tej samej mierze ich własnymi skłonnościami co logiką sytuacji międzynarodowej. Rozpaczliwie potrzebowali usprawiedliwienia dla swojej aneksji ziem zabranych Niemcom na zachodzie i północy i chcieli się przedstawiać w roli bojowników o polski interes narodowy. Piastowskie powiązania średniowiecznego Śląska i Pomorza doskonale odpowiadały ich celom. Jednocześnie zaś potrzebowali potwierdzenia własnej tożsamości; rozpaczliwie chcieli się uwolnić się od opinii rosyjskich marionetek przebranych w polskie mundury i zaprezentować jako awangarda prastarego polskiego narodu, z jego odrębnym składem etnicznym i własnym terytorium narodowym. Mimo niedawnej walki z hitleryzmem rasizm czaił się tuż pod powierzchnią stalinowskiego komunizmu, który pod koniec lat czterdziestych XX wieku stosował masowe deportacje, aby – jak podobne programy realizowane przez hitlerowców – porozsyłać poszczególne nacje sowieckiego imperium do przeznaczonych dla nich osobnych rezerwatów. Ta segregacja świetnie jednak posłużyła polskim komunistom. Dostarczyła niezbędnych podstaw nowej, marksistowsko-leninowskiej interpretacji polskiej historii; umocniła ich kontrolę nad zdezorientowaną i wykorzenioną ludnością i do pewnego stopnia zdystansowała ich wobec sowieckich władców. Dzięki nawróceniu się na ideę etnicznego jądra komunistyczni propagandyści mogli twierdzić, że Polska Rzeczpospolita Ludowa była naturalną kulminacją tysiąca lat polskiej historii. Przyjęcie w herbie pozbawionego korony piastowskiego orła nie było przypadkowe.

Mniej wątpliwości budzi oczywisty fakt, że pozycja polskojęzycznego elementu ludności na ziemiach polskich umocniła się na przestrzeni wieków, przechodząc od niełatwego partnerstwa z wieloma innymi nacjami do absolutnej supremacji. W czasach Mieszka „Polacy" byli zaledwie

---

może się to wydać dziwne, stanowisko Wysłoucha wspierali nacjonaliści ukraińscy, także Iwan Franko – zapewne dlatego, że zawierała się w nim obietnica zakończenia polsko-ukraińskiego sporu o terytorium narodowe, tamże, s. 260, przyp. 82.

jednym plemieniem pośród wielu innych; w dawnej Rzeczypospolitej przedrozbiorowej stanowili dwie trzecie. W Trzeciej Rzeczypospolitej jest ich 99 procent. Spontaniczny rozwój wspomagany był przez sztuczną „inżynierię społeczną". Wynikiem końcowym jest sytuacja, w której z „etnicznego jądra" wyrosła monopolistyczna wspólnota. Całkowicie polska Polska nie musiała się już martwić o swoje etniczne korzenie.

3. Język polski

W pewnym sensie język polski ma za sobą karierę dłuższą niż jakikolwiek inny aspekt polskiej historii. Jest starszy niż polski Kościół, niż państwo Piastów, nawet niż sama idea „Polski". Jest jedynym pewnym i nieprzerwanym ogniwem łączącym dzisiejszych Polaków z „proto-Polakami" ze słowiańskiej prehistorii.

Jednak na przestrzeni pisanych dziejów język polski przez długi czas zajmował drugoplanową pozycję. Wszystkie oficjalne dokumenty w średniowiecznej Polsce powstały w języku łacińskim, i nie ma żadnych udokumentowanych śladów pisanej polszczyzny – poza kilkoma pojedynczymi frazami, które pojawiają się w tekście *Bulli gnieźnieńskiej* z 1136 roku. Najwcześniejszym tekstem literackim napisanym wyłącznie po polsku jest hymn „Chrystus z martwych wstał" datowany na rok 1365. Pisanie listów po polsku było głównie domeną pobożnych kobiet (których nie uczono łaciny), a w XV wieku teksty religijne w miejscowym języku zdarzały się już dość często. Hymn *Bogurodzica*, uznawany czasem za najstarszy polski poemat, został zapisany dopiero dwa czy trzy stulecia po jego powstaniu. Śpiewali go polscy rycerze przed bitwą pod Grunwaldem:

> Bogurodzica dziewica, Bogiem sławiena Maryja,
> U twego syna Gospodzina matko zwolena, Maryja!
> Zyszczy nam, spuści nam.
> Kirielejson.

Wcześniejszy pełny proces rozwoju języka – włączając jego wyodrębnienie się z ogólnego języka prasłowiańskiego, silne wpływy średniowiecznego języka czeskiego oraz rozwój jego własnych regionalnych dialektów – można zrekonstruować tylko na drodze domysłów i spekulacji.

Ale od czasu renesansu język polski się usamodzielnił. Mikołaj Rej przypomniał rodakom, że „Polacy nie gęsi, iż swój język mają", i rady tej

posłuchano. Chociaż zwolennicy łaciny prowadzili długą i energiczną akcję na tyłach, zwłaszcza na bardzo ważnym polu wspieranej przez Kościół oświaty, język polski stopniowo przystosował się do pełnienia swoich funkcji we wszystkich gałęziach administracji państwowej, handlu, nauki i kultury. Gdy nadeszło oświecenie, jego ostateczny triumf był już rzeczą pewną. Szkoły Komisji Edukacji Narodowej, które wypełniły miejsce po szkołach rozwiązanego zakonu jezuitów, realizowały programy świeckie w rodzimym języku. Sejm Czteroletni stworzył wielką liczbę ustaw i traktatów politycznych po raz pierwszy zapisanych wyłącznie po polsku. Co dziwne, proces udoskonalania języka polskiego postępował bardziej na Litwie niż w samej Polsce. W Królestwie, gdzie znaczna część chłopstwa mówiła po polsku, wykształcony szlachcic najskuteczniej podkreślał swój status, mówiąc po łacinie. Natomiast w Wielkim Księstwie, gdzie masy ludności mówiły po łotewsku, litewsku lub rusku, dobra znajomość języka polskiego stała się oznaką szlachectwa i wysokiej pozycji społecznej. Nie jest przypadkiem, że w okresie romantyzmu na Litwie i Ukrainie pojawiło się więcej wielkich polskich autorów niż w samej Polsce. W czasie gdy rosyjscy urzędnicy państwowi często posługiwali się językiem francuskim, kiedy literatura rosyjska znajdowała się w bardzo początkowym stadium, kiedy litewskiego i ukraińskiego niemal nie wykorzystywano do celów literackich, język polski był głównym nośnikiem wysokiej kultury i od Warty po Dniepr używano go w relacjach społecznych wykształconych warstw społeczeństwa. Na tych rozległych obszarach polszczyzna pełniła taką samą funkcję, jaką język niemiecki spełniał na równie rozległych połaciach imperium austriackiego w dorzeczu Dunaju i na Bałkanach.

Ten długi okres kształtowania się języka polskiego, jego powolnego dojrzewania w wielokulturowym środowisku, nadał mu pewne charakterystyczne cechy. Po pierwsze, klasyczni gramatycy dość wcześnie dokonali standaryzacji składni, tym samym rozszerzając jego zasięg jako narzędzia oświaty i budowania międzywspólnotowych relacji. Standardowa polszczyzna wykrystalizowała w epoce renesansu, i od tego czasu każde pokolenie ludzi wykształconych miało łatwy dostęp do literatury. Po drugie, słownictwo stale się wzbogacało dzięki licznym kalkom i zapożyczeniom, szczególnie z klasycznej i kościelnej łaciny, ale także z niemieckiego, francuskiego i włoskiego. Polszczyzna nigdy nie doświadczyła paraliżującego narodowego puryzmu, jaki hamował rozwój innych języków w tym regionie. Polszczyzna emanowała zapożyczeniami z języków Zachodu i pełniła na Wschodzie funkcję naturalnego nośnika zachodnich wartości i kulturalnych gustów. Okres baroku istotnie przyniósł ze sobą nadmiar makaronizmów – zniekształconych zbitek polszczyzny i łaciny,

ale w okresie oświecenia język narodowy okazał się dość silny, aby utwierdzić własną integralność. Kiedy Samuel Bogumił Linde (1771–1847) – „polski Johnson" – publikował w latach 1807–1815 swój wielki *Słownik języka polskiego*, zapisywał język, który już był wielofunkcyjnym narzędziem kultury – znacznie wyprzedził rosyjski i można by twierdzić, że dorównywał niemieckiemu. Zdolność takiego języka do przeciwstawienia się naporowi oficjalnej rusyfikacji i germanizacji najwyraźniej znacznie przekraczała analogiczne możliwości typowych plebejskich języków innych narodów Europy Wschodniej.

Nie jest więc niczym dziwnym, że znajomość języka polskiego jako ojczystego musiała się stać kamieniem probierczym polskiej tożsamości narodowej. Za czasów dawnej Rzeczypospolitej lojalni niemieccy mieszczanie z Danzig (Gdańska) czy rusińska szlachta z Ukrainy mogli się czuć dumni ze swojej polskości, mimo że nie znali dobrze języka polskiego, podczas gdy miliony polskojęzycznych chłopów nie miały żadnego poczucia solidarności ze „szlacheckim" polskim narodem. Pod koniec XIX wieku sytuacja uległa zmianie. W czasach dzisiejszych trudno sobie wyobrazić rodzimych użytkowników języka polskiego, którzy nie uważaliby się za Polaków, tak samo jak trudno sobie wyobrazić Polaka, który by nie znał języka polskiego[8]. Pod tym względem doświadczenie polskie pozostaje w ostrym kontraście do doświadczenia świata anglojęzycznego, gdzie Irlandczycy, Szkoci, Australijczycy czy Amerykanie są wprawdzie anglojęzyczni, lecz protestowaliby gwałtownie, gdyby ich uważano za Anglików. W Polsce język – bardziej nawet niż urodzenie czy wyznanie – jest podstawowym elementem polskiego poczucia narodowego. Cytując znaną frazę Tuwima – ojczyzna-polszczyzna.

4. Polska literatura

Dzięki wczesnemu osiągnięciu dojrzałości języka korpus literatury polskiej nabrał imponujących rozmiarów na długo przed upadkiem dawnej Rzeczypospolitej. Proza, poezja i dramat charakteryzowały się szerokim repertuarem obejmującym co najmniej trzysta lat rozwoju. Ludzie

[8] Wyjątkiem mogliby tu być polscy Żydzi, których językiem ojczystym jest język polski, ale którzy uważają się nie za Polaków, lecz za Żydów. Warto też przypomnieć ciekawy przypadek potomków Polaków zesłanych na Syberię; ich rodziny mówią wprawdzie po rosyjsku, ale wciąż uważają się za obywateli rosyjskich narodowości polskiej, a nie rosyjskiej.

nie zawsze zdają sobie sprawę, że zakres gatunków literackich wykraczał daleko poza granice twórczego talentu i wyobraźni. *Belles-lettres* – w szerokim tego słowa znaczeniu – mają długi rodowód. Pomijając pierwszych kronikarzy, polska historiografia może się poszczycić nieprzerwaną linią rozwoju – od wielkiego Jana Długosza (1415–1480), ojca sztuki kronikarskiej, przez kontynuatorów jego dzieła, Marcina Bielskiego (1495–1575) i Marcina Kromera (1512–1589) oraz epików epoki baroku, po biskupa Adama Naruszewicza. Polska sztuka pamiętnikarska, której najwcześniejszym znanym adeptem był wicekanclerz Kazimierza Wielkiego Janko z Czarnkowa (zm. 1387), kwitła nieprzerwanie od renesansu do oświecenia. Wśród wybitnych pamiętnikarzy należy odnotować Jana Chryzostoma Paska (1636–1701), Marcina Matuszewicza (zm. 1773) i Jędrzeja Kitowicza (1728–1804). Korpus polskich tekstów religijnych i hymnów, zapoczątkowany licznymi hagiografiami z XIII wieku i utwierdzony w *Kazaniach świętokrzyskich* z wieku XIV, stale się powiększał. Przyczyniali się do tego tacy autorzy, jak Kochanowski, Skarga czy Kochowski. Kulminacją prastarej tradycji stały się wspaniałe hymny kościelne i kolędy Franciszka Karpińskiego (1741–1825). Większość Polaków wciąż uczy się ich na pamięć razem z katechizmem. Wszystkie te dzieła z epoki przedrozbiorowej były mocnymi kolumnami stanowiącymi rozległe i solidnie osadzone fundamenty polskiej literatury.

Polska historia jako taka, zapisywana i analizowana już przez jej pierwszych adeptów, jest niewyczerpaną kopalnią surowców do wykorzystania dla późniejszych pokoleń. Ogromny, świetny i patetyczny pochód książąt, świętych, wojowników, męczenników, bohaterów i bohaterek, zdrajców i pokornych poddanych, historyków – tak fragmentarycznie i pobieżnie naszkicowany na poprzednich stronicach – był bogatym źródłem inspiracji dla współczesnych artystów. Romantyczni poeci i dramaturdzy, autorzy powieści historycznych, ballad i operowych librett, symboliści i ekspresjoniści historii, nawet propagatorzy materializmu historycznego niewiele mogliby zdziałać, gdyby nie czerpali z obfitych źródeł polskich zapisów historycznych, do których tak często sięgają.

5. Kultura szlachecka

Wydaje się, że ze wszystkich elementów polskiej rzeczywistości przedrozbiorowej najsilniej dyskredytowano szlachtę i jej poczynania. Rycerski kodeks szlachty nie pomógł jej zwalczyć i przepędzić wrogów Rzeczypospolitej. Pawia duma z rzekomej wyłączności pochodzenia groteskowo

kontrastowała z jej niesławnym upadkiem. Społeczne ideały braterskiej miłości i równości nie pasowały do nieustannego popierania zasady poddaństwa chłopów. Filozofia polityczna leżąca u podstaw „złotej wolności" doprowadziła do powszechnej anarchii. Najzamożniejsi bracia szlachta, panowie magnaci, pobierali zazwyczaj zagraniczne pensje i nierzadko dopuszczali się zdrady. Bracia najubożsi, szlachta zaściankowa, byli biedniejsi niż niejeden Żyd albo chłop. Szlachta stała się pośmiewiskiem Europy, tarczą, do której mógł mierzyć każdy radykał, od Defoe do Cobdena. Jeśli – cytując okrutne słowa Carlyle'a – szlachecka Rzeczpospolita była „pięknie fosforyzującą kupą próchna", to szlachta była pasożytami, które się na nim mrowiły. Można by przypuszczać, że ideały szlachty okazały się po prostu całkowicie bezużyteczne i że przy pierwszej okazji spokojnie odejdą w zapomnienie. Tymczasem, choć status prawny szlachty został w 1795 roku anulowany przez państwa rozbiorowe, ideały żyły nadal. Kultura szlachecka stała się jednym z podstawowych elementów poglądu współczesnych Polaków.

Anulowanie statusu prawnego szlachty przypadkiem przyniosło jej reputacji zasadniczą korzyść. Chociaż spora liczba zamożniejszej polskiej szlachty mogła się zarejestrować jako członkowie warstwy szlacheckiej Rosji, Austrii czy Prus, przeważająca większość została wykluczona. Od tego czasu można już było mówić, że wyzyskiwanie chłopów przez posiadaczy ziemskich nie jest dziełem rodzimej szlachty, lecz wynikiem niesprawiedliwych obcych rządów. Masy zdeklasowanej szlachty dzieliły nieszczęsny los z prostym ludem, a stanowiąc podstawową grupę ludzi wykształconych, członkowie warstwy szlacheckiej stawali się ludowymi trybunami. Co więcej, opłakując losy swojego własnego zniesionego stanu, mogli interpretować ataki na swoje własne zdruzgotane ideały jako napaść na przekonania całej ludności. W ten sposób dawna szlachta stała się pionierami nowej inteligencji; dawny „naród szlachecki" uległ zmianie, a jego granice poszerzono tak, aby objęły wszystkie warstwy społeczne nowego, powszechnego narodu polskiego; kultura szlachecka, z jej ideałami wyłączności, równości, jednomyślności, oporu i indywidualizmu – nadal nadawała kierunek myśli społecznej i politycznej. W dawnych czasach tylko szlachta mogła się do siebie zwracać *per* „pan" i „pani". Dziś jest to standardowa forma zwracania się do wszystkich[9]. Dwieście lat po zniesieniu stanu szlacheckiego większość mieszkańców Polski z satysfakcją uważa się za honorowych szlachciców.

[9] Jedynym wyjątkiem była polska partia komunistyczna, której członkowie zwracali się do siebie na modłę rosyjską, *per* „wy" lub *per* „towarzyszu".

Szlachta była niewątpliwie przekonana, że reprezentuje rasę odrębną od reszty ludzkości. Mitu „błękitnej krwi" nigdzie nie pielęgnowano pieczołowiciej niż w Polsce, a późniejsi komentatorzy mówili o „szlacheckim rasizmie". „W Polsce próżność ona płynąca ze szlachetnego urodzenia – pisał Daniel Defoe – doprowadzona bywa do (...) przeogromnej ekstrawagancji". Podejmowano wielkie wysiłki, aby uchronić stan szlachecki od nędznych prób jego psucia przez mezalianse i aby wykorzenić mieszczańskich lub żydowskich intruzów. Gdy stan szlachecki zlikwidowano, oczywiście nie było już czego ochraniać. Natomiast zwyczaj uważania własnych przodków nie tylko za źródło osobistej dumy, ale także za dowód zbiorowej wyższości został pewnie przekazany przez „naród szlachecki" co najmniej jednemu odłamowi współczesnej polskiej opinii publicznej. „Próżność płynąca z urodzenia" była z wszelką pewnością ważnym elementem konstrukcyjnym budowli nacjonalistów i można sobie wyobrazić, że stanowiła też źródło kompleksu wyższości, przejawianego przez niektórych Polaków w stosunku do swoich bardziej proletariackich sąsiadów.

Bardziej pociągające jest zapewne przywiązanie szlachty do zasady równości we wzajemnym traktowaniu. Wszyscy szlachcice zwracali się do siebie *per* „bracie". Z wyjątkiem książąt litewskich, których tytuły wymagały potwierdzenia jako warunku przyjęcia do unii lubelskiej, wszelkie tytuły były w dawnej Rzeczypospolitej prawnie zakazane. Wszyscy obywatele należący do szlachty, bez względu nas stan majątkowy lub pełniony urząd, cieszyli się takimi samymi swobodami obywatelskimi i pełną równością wobec prawa. Zwroty mogące sugerować, że niektórzy panowie szlachta są równiejsi niż inni – „magnat" czy „drobna szlachta" – usunięto z rejestrów sejmowych. Nikt nie mógłby poważnie twierdzić, że wszyscy przedstawiciele szlachty byli sobie pod wszystkimi względami równi, ponieważ skala bogactwa i władzy była naprawdę ogromna. Ale prawna fikcja równości stanowiła istotny społeczny środek łagodzący, przyczyniając się znacznie do poczucia solidarności wśród licznych rzesz całej szlachty. Po rozbiorach dawna szlachta miała swój udział w „demokracji" warstw uciśnionych i ubogich – stare ideały można było zachować w nowej formie. Powszechna demokracja współczesnej Polski ma z pewnością więcej do czynienia z wiarą w jednakową wartość każdej ludzkiej jednostki niż z takim czy innym praktycznym doświadczeniem w dziedzinie teorii i procedur konstytucyjnych.

Szlachta uznawała także zasadę równości płci – przynajmniej w bardzo ważnej dziedzinie praw własności. W odróżnieniu od wielu krajów europejskich, gdzie kobiety należały do ruchomego majątku swoich

mężów i rodzin, polskie szlachcianki mogły same być właścicielkami. Już choćby z tego powodu stanowcza i twarda kobieta, bezpieczna w swoich prawach dziedziczka własnego majątku, jest jedną z uznanych postaci polskiej historii i literatury. W epoce rozbiorów, kiedy mężczyźni zmuszeni byli szukać zatrudnienia w „obcej służbie" lub wstępować do „obcej" armii, właśnie te twarde i zdecydowane Polki, matki i babki, które wychowywały w domu dzieci, okazywały się strażniczkami najdroższego skarbu narodu – jego kultury.

Podczas wszystkich swoich zgromadzeń szlachta przywiązywała wielką wagę do zasady jednomyślności. Ani centralny sejm ani sejmiki ziemskie nie mogły przyjąć żadnej uchwały, dopóki nie zyskała ona poparcia wszystkich obecnych. Uchwały sejmu nie nabierały mocy prawnej, dopóki nie zostały zatwierdzone w głosowaniach poszczególnych sejmików. Za tą zasadą – podobnie jak za wynikającym z niej logicznie *liberum veto* – kryło się przeświadczenie, że każde dobre prawo musi być zaakceptowane przez wszystkich, których obowiązkiem jest je egzekwować. Nietrudno przewidzieć, że wdrażanie tej zasady oznaczało niekończące się debaty, częstą zwłokę albo wręcz impas. Miało jednak także pozytywną stronę. Za każdym razem stwarzało silne poczucie zobowiązania wobec zgody, którą udawało się osiągnąć. Zachęcało szlachtę do dotrzymywania danego słowa i do traktowania własnych zobowiązań jak sprawy honoru. Ta „honorowa" tradycja jednomyślności była naturalnym wsparciem dla zachodnioeuropejskiej idei liberalnych rządów na zasadzie zgody. W znacznym stopniu wyjaśnia, dlaczego Polacy w XIX wieku instynktownie odrzucali korzystne reformy, kiedy im je próbowano narzucać „z góry", i dlaczego – stwierdziwszy jakąś niesprawiedliwość, walczyli z nią do upadłego. Ich krytycy nazywają to fanatyczną skłonnością do stwarzania problemów, a wielbiciele – doskonałym poczuciem odpowiedzialności.

Prawo sprzeciwu szlachty było chronione przez podstawowe pakty konstytucyjne, zawierane podczas każdej koronacji. Lojalny obywatel miał nie tylko prawo, ale obowiązek obalenia niesprawiedliwego władcy. Praktyka zawiązywania konfederacji – tworzenia zbrojnych przymierzy w celu skorygowania przypadków łamania konstytucji – stanowiła stały element życia politycznego. Bez wątpienia nadużywali jej pozbawieni skrupułów politycy i obcy intryganci. (Użył jej nawet Sejm Czteroletni jako środka gwarantującego, że praktyka zawiązywania konfederacji zostanie zniesiona!) Wspierały ją jednak głębokie przekonania i mocno zakorzenione postawy – nie trzeba powtarzać, że były świetnym polem treningowym dla ćwiczenia strategii oporu wobec narzuconego panowania obcych reżimów. Konfederacje XVII i XVIII wieku stały się naturalnymi

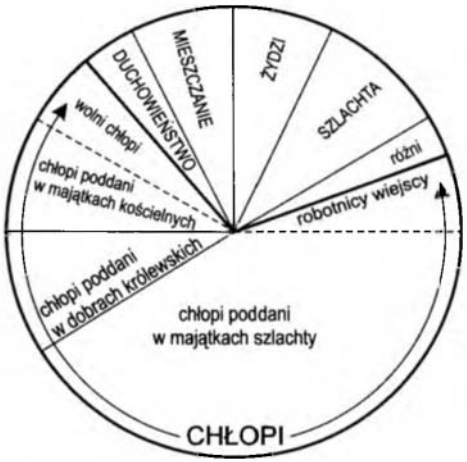

a

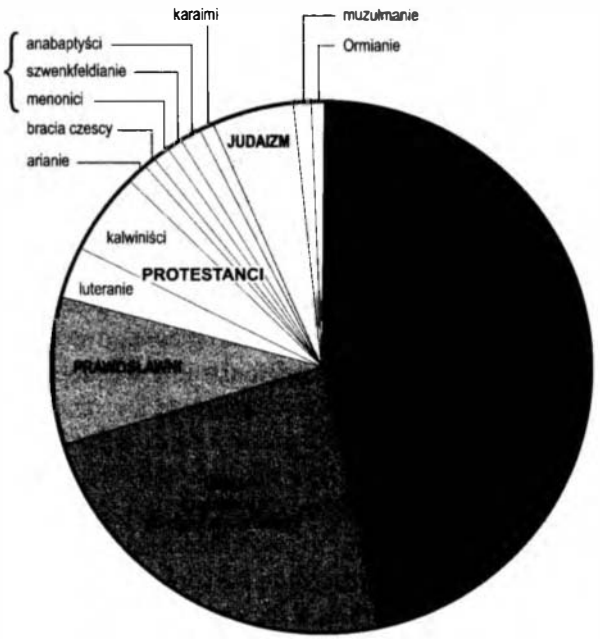

b

Rys. E. a. Podział na stany społeczne w Polsce i na Litwie (XVI w.)
b. Wyznania religijne Polski i Litwy (1660)

poprzedniczkami powstań z wieków XIX i XX. Nowy powstaniec był w oczywisty sposób dawnym konfederatem[10].

Wspólnym mianownikiem wszystkich ideałów szlachty pozostawała ich niezachwiana wiara w wartość ludzkiej jednostki. Materialiści zechcą ją zapewne przypisać wrodzonej pewności siebie warstwy społecznej, której przedstawiciele byli absolutnymi władcami w swoich włościach i we wszystkich lokalnych sprawach. Szlachcic był sobie panem, jednostką o nieskończonej wartości, w sposób naturalny dostrzegającą te same zasługi u wszystkich równych sobie ludzi (należących do szlachty). Inni skłonni byliby przywiązywać większą wagę do wpływu chrześcijańskiej teologii i doktryny o duszy ludzkiej jednostki. Na pewno warto zadać pytanie, czy masowe nawracanie się szlachty na reformację w połowie XVI wieku nie było w jakiś sposób związane z nauką kalwinizmu o predestynacji tej czy innej wybranej elity i nacisku na zasadę bezpośredniego dostępu jednostki do Boga. Można by nawet z korzyścią zapytać, w jakim stopniu te uprzedzenia szlachty przetrwały nawrócenie się hurtem na wiarę Kościoła katolickiego. Tak czy inaczej indywidualizm stanowił jądro szlacheckiego etosu. Gdy w XIX wieku usunięto bariery prawne i społeczne – szczególnie po uwłaszczeniu chłopów – mógł on się rozszerzyć na inne warstwy społeczeństwa. Dla narodu uciskanego w wyniku nieograniczonej władzy obcych mocarstw zachowanie godności jednostki ludzkiej zyskiwało pierwszorzędną wagę. Tylko na to można było mieć nadzieję. W stuleciach demokracji szlacheckiej indywidualizm stał się przywilejem zawistnej elity, niezrozumiałej, a często odpychającej dla ogółu. W epoce rozbiorów stał się dewizą osaczanej ludności – bez względu na pochodzenie społeczne – jednakowo uciskanej przez obcą tyranię trzech potężnych imperiów. Rosja, Prusy, a do pewnego stopnia także Austria sprzed 1848 roku były żywymi wcieleniami idei przepotężnego państwa. Polska została symbolem uciśnionej jednostki.

6. Kościół i lud

Pod koniec życia dawnej Rzeczypospolitej Kościół polski przeżył serię tragicznych wstrząsów. Ostatni prymas Rzeczypospolitej Obojga Narodów, brat króla, arcybiskup Michał Jerzy Poniatowski (1736–1794) zmarł, jak

[10] Użyteczny przegląd polskiej myśli politycznej znaleźć można w pracy Eugeniusza Jarry, *Historia polskiej filozofii politycznej*, 966–1795, Londyn 1968, zawierającej systematyczne wprowadzenia do dzieł najważniejszych pisarzy i myślicieli.

mówiono, śmiercią samobójczą. Powstały wątpliwości, czy głowę polskiej metropolii można pochować w poświęconej ziemi. Podczas insurekcji kościuszkowskiej tłum powiesił kilku biskupów oskarżonych o zdradę. Jeden z poprzedników Poniatowskiego, arcybiskup Gabriel Podoski (1719–1777), należący do najbardziej podejrzanych dygnitarzy mianowanych przez carycę Katarzynę i główny obrońca zasady *liberum veto* w sejmie w roku 1767 – zmarł na wygnaniu we Francji; rewolucyjny tłum w Marsylii wykopał z ziemi jego szczątki i wrzucił je do morza. Wydaje się, że w Kościele panowała taka sama zgnilizna jak w państwie.

W XVIII wieku Kościół katolicki w Polsce nie mógł się cieszyć takim samym bezpieczeństwem jak inne Kościoły w Europie. Wyzwaniu, jakim była reformacja, skutecznie stawiono czoła i doktryny rzymskokatolickie odzyskały dawniejszą supremację. Wszyscy władcy elekcyjni byli lojalnymi synami Stolicy Apostolskiej, a kilku – na przykład Zygmunt III – także gorliwymi klerykałami. Biskupi zasiadali w senacie; prymas rządził jako *interrex* (zastępujący króla) podczas każdego *interregnum*; pozycja kleru umacniała się dzięki nieustannemu pojawianiu się nowych zakonów. Bonifratrzy przybyli z Hiszpanii w 1608 roku, lazaryści świętego Wincentego à Paulo z Francji wkrótce potem, reformaci w roku 1622, pijarzy w roku 1642, ascetyczni kameduli w roku 1612. Dwa zakony wyłącznie polskie – księża marianie (1673) i siostry sakramentki (1683) – pielęgnowały rozwijający się kult maryjny. W roku 1717 – roku Sejmu Niemego – uroczysta koronacja Czarnej Madonny częstochowskiej jako „Królowej Polski" była dowodem determinacji kleru zdecydowanego utrzymać władzę nad wiernymi mimo politycznego upadku kraju. Pozostało jednak wiele ograniczeń. Przez cały czas od roku 1565, kiedy sądom diecezjalnym zabroniono oskarżania szlachty w sprawach dotyczących religii i moralności, Kościół nie miał możliwości egzekwowania przepisów prawa kanonicznego, poza sprawami dotyczącymi najbardziej ponurych przestępców. Dobra ziemskie Kościoła kurczyły się, w miarę jak wszystkie największe beneficja trafiały pod nadzór potężnych rodów magnackich. Podczas elekcji króla regularnie tłumiono głosy poparcia biskupów dla ich ulubionych kandydatów z dynastii Habsburgów. Rozłam między Kościołem katolickim i Kościołem prawosławnym coraz bardziej się pogłębiał wobec rosyjskich prowokacji, a ciężar obrony zagrożonego Kościoła unickiego stawał się coraz dotkliwszy. Luteranów jątrzył król Prus. Żydów szybko przybywało, a sensacyjne nawrócenie frankistów w latach sześćdziesiątych XVIII wieku wywołało tyle samo radości co zakłopotania. Utrata zakonu jezuitów w 1773 roku stała się dotkliwym ciosem dla edukacji religijnej. Krytycy Polski w protestanckiej Europie uważali ją za

fanatyczny bastion papiestwa. Ale z punktu widzenia hierarchów Kościoła rządziła herezja, dysydenctwo i apatia. Daleko było do katolickiego monopolu. Polscy biskupi zapewne patrzyli z zazdrością na swoich kolegów w Hiszpanii czy we Włoszech albo nawet w katolickich księstwach sąsiednich Niemiec.

Pod wieloma względami siła wiary katolickiej była jednak solidniejszej próby niż tkanka Kościoła. Najazdy na Polskę protestanckich Szwedów czy prawosławnych Kozaków i Rosjan w czasie wojen XVII wieku, a następnie podczas kampanii wielkiej wojny północnej stanowiły silny bodziec dla katolicyzmu Polski. Później tym samym celom posłużyły grabieżcze wyprawy Prusaków i Rosjan oraz wsparcie, jakiego udzielali dysydentom. W czasie konfederacji barskiej, kiedy wielu konfederatów stanęło w obronie religii katolickiej, przekonanie, że polski patriotyzm musi koniecznie iść w parze z lojalnością wobec wiary katolickiej, zaczęło sobie już torować drogę do statusu powszechnie przyjmowanej zasady. Pod ciosami katastrofy politycznej, kiedy Kościół się wahał, wiara była źródłem otuchy. Można by wręcz pomyśleć, że polski katolicyzm przygotowywał się na straszny los rozbiorów. Ciężkie czasy i prześladowania sprzyjały niezachwianej wierze, nawet kiedy się chwiała hierarchia Kościoła.

Współcześni badacze nie mówią na ogół o efektywności katolickiej oświaty. Ale obraz, który przedstawia polskich duchownych wyłącznie przy kieliszku porto i modlitwie, pozostawiających debaty o sprawach politycznych, społecznych i kulturalnych świeckim autorom, jest zupełnie fałszywy. Katoliccy intelektualiści mieli niezwykle szerokie zainteresowania. Oczywistą większość pisarzy i myślicieli Rzeczypospolitej stanowili ludzie Kościoła i całkiem sporo spośród nich piastowało wysoką godność prałata. Pierwsi biskupi reprezentujący katolicki humanizm mieli licznych następców. Najjaśniejszą gwiazdą na tym firmamencie był niewątpliwie Stanisław kardynał Hozjusz (Hosius, 1504–1579), biskup warmiński i swego czasu przewodniczący obrad soboru trydenckiego, którego *Confessio fidei catholicae Christiana* (1553) doczekało się kilkunastu wydań, publikowanych we wszystkich zakątkach Europy. Był to jeden z podstawowych tekstów kontrreformacji. Jego poprzednik, biskup warmiński Jan Dantyszek (Dantiscus, 1485–1548), latynista i dyplomata, miał tytuł poety laureata cesarstwa. Gdy osłabły walki teologiczne z protestantami, autorzy katoliccy zaczęli zwracać większą uwagę na sprawy społeczne i oświatowe. Mikołaj Łęczycki (Lancicius, 1574–1653), prowincjał jezuitów na Litwie i nawrócony kalwin, był odważnym obrońcą tolerancji wyznaniowej – tak zwanej *Concors discordia* (zgodnej niezgodności).

Stanisław Papczyński (1631–1701), założyciel zakonu marianów, stworzył całą bibliotekę dzieł na temat etyki, retoryki, filozofii, historii, literatury i mistycyzmu. W swoim *Prodromus Reginae Artium sive Informatio Tyronum Eloquentiae* (Wprowadzenie do sztuki wymowy, 1663), dziele jak na owe czasy prowokacyjnym, odważał się krytykować wiele istotnych instytucji współczesnego sobie społeczeństwa – od *liberum veto* i poddaństwa chłopów po kult własności i szlachetne urodzenie. Cytując Cycerona i naśladując protestanckiego Reja, mówił swoim szlacheckim czytelnikom, że szlachetność pochodzi z cnoty, a nie z urodzenia. W swoich dziełach politycznych ukazywał perwersyjność szczytnych zasad wolności jednostki i jednomyślności, które już na tym etapie były zapowiedzią nieszczęścia. Wśród reformatorów epoki oświecenia znalazł się Stanisław Konarski, generał zakonu pijarów i założyciel Collegium Nobilium (1740) – najnowocześniejszej szkoły w Warszawie. Jego traktat *O skutecznym rad sposobie* (1763) wywarł znaczny wpływ na projekty z czasów panowania Stanisława Augusta. Była wreszcie godna uwagi grupa oświeconych biskupów – biskup krakowski i polski fizjokrata Stanisław Załuski (1695–1758), jego brat Józef Załuski (1702–1774), biskup Kijowa, założyciel w Warszawie pierwszej biblioteki publicznej w Europie[11], Władysław Łubieński (1703–1767), arcybiskup Lwowa i geograf, Adam Naruszewicz, biskup smoleński i historyk, Ignacy Krasicki, biskup warmiński, satyryk i krytyk społeczny. Kiedy sobie uprzytomnić, że większość pozostałych wybitnych ludzi oświecenia – Kołłątaj, Staszic, Bohomolec, Świtkowski, Albertrandi, bracia Skrzetuscy, Jezierski, Ostrowski, Bogusławski, Dmochowski – była duchownymi (lub byłymi duchownymi), łatwo dostrzec rzeczywiste proporcje wkładu ludzi Kościoła w postęp intelektualny Polski. Na świecznik dostała się wprawdzie garstka okrytych złą sławą dostojników pokroju Podoskiego czy braci Kossakowskich, rosyjskich kolaborantów powieszonych podczas insurekcji kościuszkowskiej, ale rzetelne osiągnięcia pisarzy i myślicieli Kościoła na stałe wpisały się na listy dzieł cieszących się zasłużoną reputacją.

W epoce rozbiorowej jeszcze wyraźniej zaznaczył się rozłam między postępowaniem Kościoła jako instytucji i postawami wiernych. W prawosławnej Rosji, w protestanckich Prusach, a nawet w katolickiej Austrii, gdzie duch józefinizmu jeszcze długo unosił się nad sprawami Kościoła, Kościół polski otaczały podejrzliwość i wrogość. Ogólnopolską stolicę prymasowską zlikwidowano; wakujące urzędy często pozostawały

[11] Biblioteka Załuskich, złupiona w 1795 roku przez Rosjan, stworzyła jądro zbiorów cesarskich w Petersburgu; dziś Biblioteka Sałtykowa-Szczedrina.

nieobsadzone z braku odpowiednich kandydatów, a w Rosji wszystkie sprawy Kościoła podporządkowano administracji państwowej i oddano pod nadzór policji. Odważni księża, którzy protestowali przeciwko niesprawiedliwości, ryzykowali własne kariery i wolność. Na przestrzeni kilkudziesięciu lat deportowano na Syberię kilka tysięcy polskich księży; w 1863 roku znaleźli się wśród nich biskup wileński Krasiński i arcybiskup warszawski Feliński. W 1831 roku Austriacy wypędzili biskupa krakowskiego Skórkowskiego, po czym przez 48 lat nie obsadzali wakującego urzędu. W roku 1873 Prusacy uwięzili, a następnie skazali na wygnanie arcybiskupa gnieźnieńskiego Ledóchowskiego. Co gorsza, Watykan niezbyt się interesował obroną swoich polskich podwładnych. Panicznie się obawiając radykalnych idei, Watykan konsekwentnie popierał konserwatywne monarchie Europy Wschodniej. Kolejnym papieżom tak zależało na zgodzie z carami i na obwarowaniu zawieranych porozumień w ramach konkordatów z Rosją, iż Rzym oficjalnie potępiał każde polskie powstanie. W 1832 roku papież Grzegorz XVI ekskomunikował uczestników powstania listopadowego – podobnie jak jego poprzednik potępił Kościuszkę. Gorzka scena z dramatu Słowackiego *Kordian*, w której bezmyślny papież z papugą na ramieniu nie zwraca uwagi na prośby swojego polskiego petenta, stanowiła odbicie uczuć wielu ludzi. Wielu bowiem wydawało się, że Kościołowi bardziej zależy na tym, żeby chronić siebie, niż żeby bronić swoich wiernych.

Rapprochement Kościoła z ludem, który się rozpoczął pod koniec XIX wieku i potem stale postępował naprzód, można przypisać wielu czynnikom. Po pierwsze, należy uznać rolę autentycznego zaangażowania w poszczególnych parafiach duchowieństwa niskiego szczebla, które nie szło chwiejną drogą swoich hierarchów. Tacy radykalni księża jak Piotr Ściegienny (1801–1890) z Lublina, zesłany na Syberię za agitację społeczną, przywracali Kościołowi zachwianą reputację „dobrego pasterza", będącego połączeniem miłosierdzia i współczucia. Po drugie, w połączeniu z szerzej zakrojonym odrodzeniem życia polskiego w Galicji ustanowione na nowo arcybiskupstwo krakowskie utworzyło jądro, wokół którego mogły się krystalizować reformy w Kościele. Trzech potężnych, wpływowych i długowiecznych krakowskich purpuratów – kardynał Albin Dunajewski (1817–1894), kardynał Jan Puzyna (1842–1911) i – przede wszystkim – książę kardynał Adam Stefan Sapieha (1867–1951) – stworzyło poczucie kierunku i ciągłości, którego brakowało od czasu utraty dawnej stolicy prymasowskiej. Po trzecie, Kościół rzymskokatolicki wykształcił swoją własną odmianę „modernizmu": ruchu, którego głównym celem było stosowanie doktryny katolickiej do leczenia wszystkich

społecznych chorób epoki. Na przełomie wieków członkowie patrzącego w przyszłość odłamu w łonie kleru propagowali tworzenie katolickich stowarzyszeń oświatowych, katolickich stowarzyszeń dobroczynnych, katolickich związków zawodowych, katolickich publikacji i katolickiej prasy, katolickiego ruchu spółdzielczego, katolickich klubów inteligencji i katolickich partii politycznych. Stronnictwo Chrześcijańsko-Ludowe w Galicji, ruch Chrześcijańskiej Demokracji w Prusach i Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich w zaborze rosyjskim stały się ważnymi znakami czasu. Wreszcie – co było może najbardziej istotne – w okresie apogeum imperializmu i nacjonalizmu los zmusił polski kler i polski lud do wspólnej walki i oporu wobec ataków zarówno ze strony wrogich biurokracji, jak i równie wrogich mniejszości narodowych. Wspólne nieszczęście stworzyło poczucie wspólnoty celów.

W XX wieku Kościół rzymskokatolicki w Polsce raz jeszcze stanął na nogach po kolejnej fazie zamieszania i politycznej dezorientacji. Niepodległość narodowa przyniosła Kościołowi wiele ważnych instytucji. Urząd prymasa zjednoczonej ponownie w 1919 roku polskiej metropolii sprawowali kolejno kardynał Edmund Dalbor (do roku 1926) i kardynał August Hlond SDB (do roku 1948). Katolicki Uniwersytet Lubelski, założony w 1918 roku, stał się niezbędną przystanią wyższej edukacji dla sieci szkół i seminariów. Konkordat z 1925 roku przywracał Polskę wspólnocie w pełni autonomicznych katolickich narodów. Skonfiskowane dobra Kościoła zostały mu zwrócone. W szkołach państwowych wprowadzono przymusową naukę religii. Ale wciąż się utrzymywały liczne tarcia. Konstytucja marcowa nie zdołała wynieść katolicyzmu do rangi ustalonej oficjalnej religii Drugiej Rzeczypospolitej. Kościół uzyskał tylko „stanowisko naczelne wśród wyznań równouprawnionych". Reżim sanacyjny, a zwłaszcza lewicowe otoczenie Piłsudskiego, był z natury antyklerykalny, natomiast nacjonalistyczna opozycja, uzurpując sobie prawo do wyrażania opinii wszystkich prawdziwych Polaków-katolików, nieuchronnie wciągała Kościół na arenę wydarzeń politycznych. Przywiązanie znaczącego sektora kleru katolickiego do co bardziej natarczywych głosów nacjonalizmu uwikłało Kościół w wymianę wzajemnych nieżyczliwych oskarżeń z równie wojowniczymi ukraińskimi unitami i żydowskimi syjonistami. Ziemia obiecana narodowej niepodległości nie była wolna od kłótni i potyczek o wolność. Dopiero za sprawą okropieństw II wojny światowej, gdy i duchowieństwo, i lud zostali wystawieni na próbę przekraczającą wszelkie wcześniejsze udręki, niepodzielony katolicyzm polskiego narodu ostatecznie umocnił swoją pozycję.

To nieprawdopodobna historia. Najstarsza polska instytucja potrzebowała niemal tysiąca lat, aby sobie zapewnić pozycję bezwzględnej supremacji. W przededniu drugiego rozbioru w 1793 roku Kościół katolicki mógł reprezentować około 54 procent mieszkańców dawnej Rzeczypospolitej. W roku 1931, w Drugiej Rzeczypospolitej, było to 65 procent. Od czasu wojny przemawia głosem 96 procent. Historyczne roszczenia Polski „*semper fidelis*", zjednoczonej na zawsze bojowniczki o wiarę katolicką, bywało chwilami przesadzone, ale jej dzisiejszemu roszczeniu do statusu najbardziej katolickiego kraju Europy doprawdy trudno zaprzeczyć[12].

7. Więź z Zachodem

Bez względu na to, jak definiowalibyśmy Europę – czy to będzie dawna idea chrześcijaństwa, czy nowożytna koncepcja kontynentu geograficznego, rozciągającego się od Gibraltaru po Kaukaz – i bez względu na to, jak definiowalibyśmy Polskę – czy jako pradawne królestwo Piastów i Jagiellonów, czy jako Rzeczpospolitą Obojga Narodów, nie może być wątpliwości, że historyczna Polska zawsze leżała na wschodnich krańcach Europy. Przy kilku okazjach polscy naukowcy starali się dowieść, że Polskę należy umieszczać nie we „wschodniej Europie", lecz w jej centrum. Większość ich rodaków czuła się wtedy tak samo niezręcznie z powodu przynależności do Mitteleuropy zdominowanej przez Niemców i Austriaków jak z powodu umieszczenia we wschodniej Europie Mongołów, Moskali i muzułmanów. Ale używając nawet najbogatszej wyobraźni, Polacy nie mogliby twierdzić, że ich kraj leży w zachodniej połowie Europy. W czasie chrztu Mieszka Polska Piastów tworzyła wschodni przyczółek chrześcijaństwa na granicy pogańskiego świata. Za Jagiellonów granica za Dnieprem oddzielała stepy Złotej Ordy i plemion azjatyckich nomadów. Za czasów Sobieskiego długa granica odcinała Polskę od Turków otomańskich. W sensie geograficznym Polska należy – i zawsze należała – do Wschodu. W każdym innym sensie, najsilniejsze więzy łączą ją – i łączyły – z Zachodem.

Zachodnie powiązania Polski ukształtowały się w znaczniej mierze dzięki jej lojalności wobec Kościoła rzymskokatolickiego. Granica chrześcijańskiego świata oddzielająca zachodni katolicyzm od wschodniego prawosławia biegła wzdłuż granic królestwa Piastów i dokładne przez środek

[12] Na temat nowożytnej historii Kościoła katolickiego w Polsce zob. Wincenty Urban, *Ostatni etap dziejów Kościoła w Polsce przed nowym tysiącleciem, 1815–1965*, Rzym 1966.

Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Sąsiedztwo Polski ze światem muzułmańskim skłoniło ją – podobnie jak Węgry – do ubiegania się o prawo do tytułu *antemurale christianitatis* – przedmurza chrześcijaństwa. Katolicyzm Polski sprawił, że wszyscy jej elekcyjni królowie pochodzili z Zachodu; że wszystkie związki kulturowe łączyły ją ze światem łacińskim; że najbliższe powiązania polityczne łączyły ją z cesarstwem – jej bezpośrednim sąsiadem, i że – w epoce wiary jej sympatie leżały raczej po stronie katolickich narodów Zachodu niż po stronie pogan, schizmatyków czy niewiernych ze Wschodu.

Powiązania z Zachodem były umacniane przez handel i politykę. Choć nie należy zapominać o handlu lądowym Polski na drodze do Morza Czarnego ani o handlu futrami z Moskwą, główna oś handlowa Polski leżała na zachodzie, na drogach wiodących do Niemiec lub na trasach prowadzących z Bałtyku do Niderlandów, Francji i Hiszpanii. Co więcej, trwające przez całe stulecia wyczerpujące walki francusko-niemieckie w Europie Środkowej raz za razem zmuszały królów Francji do szukania sojuszu z Polakami na wschodzie, co pozwalałoby na okrążenie Niemiec. Pierwszym przedsięwzięciem Francji zmierzającym w tym kierunku było panowanie Henryka Walezego w XVI wieku, następnymi zaś – rządy Wazów i Sobieskiego w wieku XVII, a w XVIII wieku – Stanisława Leszczyńskiego i konfederatów barskich. Szczególne stosunki Polski z Francją miały już za sobą dwustupięćdziesięcioletni rodowód, zanim je ostatecznie scementowała legenda napoleońska. Estyma, jaką Napoleon cieszył się w Polsce – zresztą całkiem niezasłużenie, wyrosła z jednego tylko faktu: wyglądało na to, że uwolni on Polaków od rosyjskiej niewoli. Wszystkie późniejsze flirty Polski z zachodnimi mocarstwami – z Francją, Wielką Brytanią i w końcu ze Stanami Zjednoczonymi – wynikały z tej samej motywacji w latach 1831–1832, 1863–1864, 1914–1918 i 1939–1945. Zachodnie mocarstwa są jednak daleko, i nigdy nie były w stanie udzielić Polsce żadnej istotnej praktycznej pomocy.

Kontrast między żarliwym przywiązaniem Polski do Zachodu i wątłymi reakcjami Zachodu na sprawy Polski nasuwa na myśl kilka poważnych refleksji. Z jednej strony każe sądzić, że bezwzględnie uciskani Polacy byli bardziej wierni swoim zasadom, niż można by to kiedykolwiek powiedzieć o dekadenckich demokracjach Zachodu. Z drugiej strony każe sądzić, że na dłuższą metę więzi duchowe oparte na wspólnej kulturze i wspólnej religii są ważniejsze niż aktualne względy na korzyści materialne czy polityczne. Fizyczne oddzielenie Polski od Zachodu zupełnie nie wpłynęło na osłabienie podziwu Polaków wobec wszystkiego co zachodnie. Wydaje się, że w przypadku Polski rozłąka sprzyja uczuciu.

Obcość wyklucza pogardę. Fakt, że więcej niż raz Zachód zawiódł i nie przyszedł Polsce z pomocą, był niewątpliwie bolesny, ale nie zdołał zmienić kierunku, w jakim instynktownie kierowały się spojrzenia Polaków.

Natomiast o wiele bliższy fizyczny kontakt Polski ze Wschodem przyczyniał się jedynie do zaostrzania istniejących antagonizmów. Dawne wspomnienia najazdów Hunów i Mongołów powracały za każdym razem, kiedy rosyjskie wojska wkraczały do Polski od wschodu, a uświęcony tradycją paniczny strach przed schizmą utrzymywały przy życiu budząca się odraza wobec wspieranego przez państwo carskiego prawosławia oraz obowiązujące w bloku sowieckim przymusowy ateizm i marksizm-leninizm. Powtarzane akty przemocy stylko pogłębiają dawne resentymenty. Ale głębię niechęci Polski wobec jej rosyjskiego sąsiada można skutecznie ocenić, tylko rozważając nieobecność jakichkolwiek zbawiennych cech, niemal kompletny brak jakichkolwiek emocji, które mogłyby tę niechęć łagodzić. Długotrwała konfrontacja Polski z Tatarami, których nieustanne najazdy przez całe stulecia oznaczały dla dziesiątków tysięcy Polaków niewolę i ruinę, nie zdołały zniechęcić polskiej szlachty do ubierania się w tatarskim stylu ani do podziwu dla tatarskiej sztuki jeździeckiej. Długoletnie wojny Polski z Turkami nie zabiły w Polakach ciepłych uczuć wobec perskich dywanów i orientalnej mody. Osłabiona Turcja została ostatecznie sprzymierzeńcem osłabionej Polski. Ale bardzo długie kontakty Polski z Rosjanami przyniosły tylko gorycz i wzajemną nieufność. Dla Polaka bardzo niewiele rzeczy pochodzących od Rosji ma jakąkolwiek wartość – ani jej tandetne wyroby, ani jej ideologia, ani nawet jej wspaniały taniec, sztuki piękne czy sport. W oczach Rosjanina z Polski nigdy nie przychodziło nic poza kłopotami. Antypatia jest wzajemna. Polacy spodziewają się, że Rosjanie będą ich tyranizować, natomiast Rosjanie spodziewają się, że Polacy będą stawiać opór. Rosja to Wschód, a Polska to Zachód, i wydaje się, że każda ze stron na zawsze pozostanie przy swoim.

Przywiązanie Polski do Zachodu jest zatem nałogiem pierwszorzędnej wagi. Różni się zarówno ilościowo, jak i jakościowo od prozachodnich prądów, jakich doświadcza większość innych krajów Europy Wschodniej. Rosyjscy wielbiciele Zachodu na przykład – od Piotra Wielkiego po zwolenników *detente*, zawsze stanowili intelektualną mniejszość, która musiała zapewniać swoich rodaków, że import towarów i myśli przychodzące z Zachodu nie wyrządzą szkody ich własnym wyrobom i ich tradycji. W Rosji dominujący wielbiciele Wschodu, słowianofile, którzy w większości szczycą się barbarzyńską „scytyjską przeszłością", zawsze stali mocno na swoich pozycjach. W Polsce natomiast dominujący wielbiciele

Zachodu raczej nie miewali wśród rodaków przeciwników, z którymi musieliby się zmierzyć. Prawdziwi polscy rusofile – w odróżnieniu od polityków niechętnie opowiadających się za takim czy innym *modus vivendi* – wprawdzie istnieją, ale trafiają się tak rzadko jak polscy abstynenci. Dla Polaków Zachód jest marzeniem, ziemią leżącą po drugiej stronie tęczy, rajem utraconym. Polacy są w swoich poglądach bardziej zachodni niż mieszkańcy większości krajów na Zachodzie.

8. Akty dywersji ze Wschodu

Przez pierwsze pięćset lat ostatniego tysiąclecia Polska leżała na samym krańcu cywilizowanego świata. Za wschodnimi granicami rozciągały się „dzikie pola", otwarte stepy Eurazji. Na sprawy Królestwa wydarzenia zachodzące poza ustaloną granicą wśród Tatarów, Moskali i Rusinów wywierały wpływ równie znikomy jak procesy zachodzące w amerykańskich koloniach na wojny Siuksów czy Apaczów. Dopiero kiedy w XV wieku Moskwa ustaliła swoją pozycję potężnego i ekspansywnego państwa, „czynnik wschodni" zaczął systematycznie odgrywać określoną rolę. Ale już wcześniej – w 1241 roku – wydarzyło się coś, co na długi czas stało się precedensem. Właśnie wtedy – w czasie gdy znaczne obszary Europy Wschodniej pustoszyła tatarska orda, w odległej Mongolii zmarł niespodziewanie Ugedej-chan. Jeźdźcy ordy wycofali się tak szybko, jak przyjechali, i popędzili z powrotem do ojczyzny, żeby sobie zapewnić należną część schedy wielkiego chana. Polska była uratowana. Przypadkowy incydent na obrzeżach Chin odwrócił bieg wydarzeń na obrzeżach Europy.

W nowszych czasach Turcy osmańscy stanowili najczęstsze źródło aktów dywersji ze Wschodu[13]. Za każdym razem, kiedy Polska pozostawała pod silnym naciskiem Habsburgów albo moskiewskich Rosjan, Polacy modlili się żarliwie o kampanię turecką na Bałkanach albo u wybrzeży Morza Czarnego. Od bitwy pod Mohaczem w 1526 roku po traktat adrianopolski z roku 1829 Osmanowie stanowili jedyną regularną przeciwwagę w stosunku do bezpośrednich sąsiadów Polski na wschodzie i w coraz większym stopniu – także jedyną nadzieję na odsiecz. W XVIII wieku, w okresie protektoratu rosyjskiego w Polsce, mechanizm tureckich akcji

[13] Zob. Adam Lewak, *Dzieje emigracji polskiej w Turcji (1831–1878)*, Warszawa 1935; Jerzy Skowronek, *Polityka bałkańska Hotelu Lambert, 1833–1856*, Warszawa 1876; także Makoto Hayasaka, *La politique orientale de l'émigration polonaise – la tendance turcosiave à la mi-XIX siècle*, „SHi Hō" (Historical Alliance), Sapporo 1982, nr 15, s. 13–41.

nabrał regularności. Dopóki wojska rosyjskie były zaangażowane w działania na froncie tureckim, nie mogły dokonać zmasowanej inwazji na Polskę. Wojny rosyjsko-tureckie stanowiły jedyne interwały, podczas których mogli działać polscy reformatorzy. Wojenne chmury nad Konstantynopolem wróżyły ładną pogodę reformom w Warszawie. Konfederaci barscy rozpoczęli kampanię pod osłoną wojny rosyjsko-tureckiej z lat 1768–1774; Sejm Czteroletni stał się możliwy jedynie w kontekście wojny rosyjsko-tureckiej z lat 1787–1791; Księstwu Warszawskiemu pomogła wojna rosyjsko-turecka z lat 1806–1812. Gniew Mikołaja I poskromiła na pewien czas kampania z lat 1827–1829. Na tej samej zasadzie za każdym razem, kiedy Rosja i Turcja zawierały pokój, Polacy mieli powód do strachu. Pokój nad Bosforem wróżył wojnę nad Wisłą. Zawarty w 1774 roku traktat z Küczük Kajnardży był koniecznym dodatkiem do pierwszego rozbioru; zawarty w roku 1792 w Jassach traktat pokojowy stanowił zapowiedź drugiego. Traktat adrianopolski, podpisany w 1829 roku, oznaczał koniec tureckiego oporu i początek epoki, w której Rosjanie mogli okupować Polskę bez oglądania się za siebie. (Podjęta przez Mickiewicza próba utworzenia podczas wojny krymskiej z lat 1854–1855 polskiego legionu w Turcji, i ponownego wprawienia w ruch dawnych mechanizmów, zakończyła się niepowodzeniem). Jest czymś wzruszającym, że Osmanowie nie zapomnieli o swoich związkach z Polską. „Chory człowiek Europy" wspominał zmarłego. Przez cały XIX wiek na zgromadzeniach korpusu dyplomatycznego Wysokiej Porty osmański *chef de protocol* miał zwyczaj zwracać się do Jego Ekscelencji ambasadora Lechistanu, po czym jego sekretarz wyrażał żal z powodu chwilowej niedyspozycji dyplomaty.

W miarę rozwoju państw azjatyckich Polska zaczęła spoglądać z nadzieją na ratunek ze strony bardziej odległych sąsiadów Rosji. Wojna Rosji z Japonią stanowiła tło „rewolucji" z 1905 roku oraz stała się okazją do odwiedzenia Tokio zarówno dla Dmowskiego, jak i Piłsudskiego. Pod koniec lat trzydziestych XX wieku wojna sowiecko-japońska w Mongolii powstrzymywała zapędy Stalina – do czasu, gdy rozejm z 16 września 1939 roku otworzył drogę do wprowadzenia w życie tajnego protokołu paktu nazistowsko-sowieckiego i w dalszej kolejności – do zniszczenia Polski. W roku 1956 przewodniczący Mao podobno uśmierzył gniew Chruszczowa w sporze z Gomułką – choć nie uratował Węgier – a trwająca w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dysputa Chin ze Związkiem Sowieckim pomogła być może zredukować do minimum sowiecką interwencję w Europie Wschodniej. Nie trzeba zbytniej wiedzy strategicznej, żeby wiedzieć, dlaczego doradca prezydenta

Cartera, politolog polskiego pochodzenia Zbigniew Brzeziński wiedział w 1978 roku, jak rozegrać „chińską kartę", i dlaczego jedyna podróż Lecha Wałęsy poza granice Europy w 1981 roku była podróżą do Japonii. Gdy w Warszawie nad niedobitkami Solidarności zbierały się gradowe chmury, Polacy raz jeszcze życzyli wszelkiej pomyślności walczącym w Afganistanie i marzyli, aby Sowieci wplątali się w jakiś konflikt z Chinami lub Iranem. To może wyglądać na czystą spekulację, trudno jednak uznać za zwykły wytwór fantazji sugestię, że egzekucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mogła zależeć od przebiegu negocjacji Sowietów z Pekinem lub od wydarzeń zachodzących nad rzeką Ussuri czy na szczytach Hindukuszu.

9. Korupcja polityczna

Karierowiczostwo – jak trądzik czy nieświeży oddech – należy do odwiecznych przypadłości gatunku ludzkiego niemal zbyt banalnych, aby zasługiwać na wzmiankę. Nie ma na świecie kraju, który nie ma swoich „karierowiczów", „sykofantów" i „oportunistów", i nie ma języka, w którym nie byłoby charakterystycznych idiomów oznaczających „mocne plecy", „krewnych i znajomych królika" czy „protekcję". Słownictwo języka polskiego jest pod tym względem bardzo bogate. Byłoby jednak rzeczą krzywdzącą sugerować, że biedna, cierpiąca Polska była i jest bardziej podatna na tę plagę niż inne szczęśliwsze kraje. W każdym razie można stwierdzić, że Polska nie ma monopolu.

Określone dolegliwości ciała politycznego pogarsza oczywiście życie w niehigienicznych warunkach politycznych. Karierowiczostwu sprzyjają regres gospodarczy, kiedy rządząca elita sprawuje coraz skuteczniejszą kontrolę nad kurczącymi się zasobami, despotyczne reżimy, dla których pożywką są pochlebstwo i monopolistyczny patronat, czy wreszcie nieelastyczne systemy społeczne, hamujące mobilność i rozwój talentów. Protektorat Rosji nad osiemnastowieczną Polską dokładnie spełniał wszystkie te warunki. Niektóre cechy zasługują jednak na szczególne podkreślenie. Po pierwsze, dawna Rzeczpospolita miała bardzo niewiele spośród standardowych struktur nowoczesnego państwa. Nie było zawodowej armii, która zasługiwałaby na tę nazwę; nie było profesjonalnej administracji lokalnej, a do roku 1775 nie było także stałych ministerstw. Poza Kościołem oraz w ograniczonym stopniu dworem królewskim – zwykłe kanały awansu w służbie publicznej dla ambitnych młodych ludzi po prostu nie istniały. Niemal wszystkie ścieżki

awansu pozostawały pod prywatną kontrolą superkonserwatywnej oligarchii magnackiej. Kariery można było robić, ale były dostępne tylko dla ludzi gotowych ślepo wspierać istniejący system. Po drugie, sama oligarchia magnacka świeciła przykładem jawnego karierowiczostwa, szukając łask i uzyskując je od obcych mocarstw, szczególnie Rosji. Ambasador carycy Katarzyny musiał tylko kupić lojalność garstki magnatów piastujących wysokie urzędy – prymasa, hetmanów, skarbnika, marszałka sejmu – żeby cała Rzeczpospolita została zdana na jej łaskę. Karierowicz, tkwiąc w żelaznym uścisku Moskwy, musiał albo kolaborować z konserwatywną partią prorosyjską, albo zapomnieć o karierze. Krótko mówiąc, karierowiczostwo w Polsce było nie tylko narzędziem politycznego zwapnienia, ale także powodem napięć. Reformatorzy i patrioci w Polsce nie mieli przed sobą perspektyw.

Karierowicze-kolaboracjoniści dawnej Rzeczypospolitej tworzą godną pożałowania listę – prymas Podoski, biskupi Massalski i Kossakowski, trzej zbuntowani hetmani, Stanisław Potocki (1751–1805), Franciszek Ksawery Branicki (1730–1819) i Seweryn Rzewuski (1743–1811), którzy zawiązali się konfederację targowicką. Nikt z nich nie okrył się jednak hańbą bardziej niż „książę" Adam Poniński (1732–1798). Poniński najpierw znalazł sobie wygodną niszę jako kuchmistrz koronny Augusta III, ale po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta przeszedł ze służby u Sasów na służbę u Rosjan. W roku 1773, zgadzając się na objęcie funkcji marszałka sejmu, który zatwierdził pierwszy rozbiór, zapewnił sobie fortunę. Caryca Katarzyna nagrodziła go tytułem książęcym, tytułem rycerskim w Zakonie Rycerzy Świętego Jana, hojnymi nadaniami ziemi i lukratywnym urzędem skarbnika. Z perspektywy Petersburga kariera Ponińskiego była bardzo niewielką ceną za rozbiór jego ojczyzny. Nic więc dziwnego, że podczas krótkiego panowania reformatorów w czasie Sejmu Czteroletniego majątek skonfiskowano. Ale konfederaci targowiccy szybko mu go przywrócili. Reżim oparty na karierowiczostwie i kolaboracjonizmie instynktownie dbał o swoje.

W następnych latach mogło już tylko przybywać skandali. Unicestwienie Rzeczypospolitej Polskiej oznaczało, że karierę dało się zrobić, tylko będąc opłacanym przez obce reakcyjne monarchie. Wszystkie formy służby publicznej – w rosyjskiej biurokracji, w pruskiej armii czy na austriackim dworze – uważano, w mniejszym lub większym stopniu, za zdradę, nawet jeśli tę służbę pełniono w najprzyzwoitszy i skromny sposób. Tylko niewielu Polaków mogło uniknąć nacisków. Reszta musiała zarabiać na utrzymanie w systemach, w których wszechpotężne państwo oferowało najlepsze perspektywy zatrudnienia. Większość młodych lu-

dzi powoływano do wojska, gdzie musieli składać przysięgę na wierność carowi albo kajzerowi. Wszyscy musieli płacić podatki. Życie codzienne pod zaborami nabrało zabarwienia wątpliwości moralnych, wcześniej zarezerwowanych dla najgorszych odmian karierowiczostwa. Pozbawieni zasad oportuniści odnosili korzyści nie tylko z racji posiadania dóbr materialnych, ale także ponieważ cieszyli się szacunkiem i prestiżem należnym filarom prawa i porządku. Ludzi, którzy zbyt stanowczo obstawali przy swoich zasadach, wpędzano w otchłań nędzy i bezrobocia lub nawet zamykano w więzieniu. Cytując słowa Mickiewicza, taki był los ludzi „cierpiących niewolę w kraju i za krajem". Korupcja we wszystkich możliwych formach – w dziedzinie zasad politycznych i lojalności, w dziedzinie finansów i, co najgorsze, w dziedzinie moralnej tożsamości narodu – stała się problemem wywierającym trwały wpływ na życie publiczne. Wychodziła na jaw zawsze, kiedy okoliczności umożliwiały otwartą dysputę o narodowych nieszczęściach – nie tylko w roku 1791, ale także w latach 1830, 1863, 1926 i – przede wszystkim – w roku 1980. Konfederacja targowicka znalazła godnych następców w postaci PKWN z 1944 roku i komunistycznych dziedziców PKWN z lat późniejszych. Adam Poniński ma bardziej współczesne odpowiedniki w osobach Osóbki-Morawskiego, Piotra Jaroszewicza czy pana Macieja Szczepańskiego.

Dwie podstawowe konsekwencje psychologiczne tej specyficznie polskiej odmiany karierowiczostwa są ze sobą dziwnie sprzeczne. Polski karierowicz, który może zdobyć wszystko, poza szacunkiem społecznym, niesie na barkach wielki ciężar winy. I wobec tego zasługuje na litość o wiele bardziej niż jego odpowiednik w takich krajach jak Rosja czy Japonia, gdzie przedstawiciele władzy państwowej tradycyjnie cieszą się poważaniem, albo w otwartych kapitalistycznych społeczeństwach – na przykład w USA – gdzie egoistyczne karierowiczostwo prywatnych przedsiębiorców uważa się zazwyczaj za coś, co działa na rzecz wspólnego dobra (jeśli nie w sensie moralnym, to w znaczeniu materialnym). W Polsce rozłam między karierowiczowskim establishmentem i narodem jest jak wiecznie świeża rana, narodowy skandal będący bezustannym potwierdzeniem, że Polacy nie umieją ze sobą rozmawiać „jak Polak z Polakiem". W efekcie dźwigający brzemię winy polscy karierowicze są bezustannie zmuszani do łagodzenia surowości swojego reżimu, do ciągłych uników, grania na zwłokę, umyślnego zapominania, interpretowania rozkazów w jak najłagodniejszy sposób. Jednym słowem, są urodzonymi kunktatorami, często bardzo wyrafinowanymi w tej sztuce. Co więcej, potrafią racjonalizować swoje kunktatorstwo za pomocą

genialnego argumentu, że chronią rodaków przed ludźmi o wiele gorszymi od siebie. Gdyby nie oni, Polska zdałaby się na łaskę tych straszliwych rosyjskich barbarzyńców (albo niemieckich nikczemników), którzy – jak powszechnie wiadomo – uciekaliby się bez najmniejszych skrupułów do użycia bata, do plutonu egzekucyjnego, szpitala psychiatrycznego lub masowej deportacji. Prawdę mówiąc, gdyby tylko ten tępy lud zechciał się zastanowić, zrozumiałby, że oni – ci tak silnie atakowani Polacy w służbie Petersburga czy Moskwy (albo Berlina), są prawdziwymi polskimi patriotami, prawdziwymi realistami, jedynymi „odpowiedzialnymi" ludźmi w kraju. Ile razy na przestrzeni minionych dwóch stuleci można było usłyszeć ten argument? Ile krokodylich łez wylali polscy kolaboracjoniści, dotknięci do żywego niewdzięcznością nic nierozumiejącego narodu? Co inteligentniejsi spośród nich zdają sobie sprawę z własnego serwilizmu i tym ostrzej cierpią. Są jak ulegli Grecy w świecie rządzonym przez okrutnych rzymskich barbarzyńców, którym służą z bezgranicznym żalem i z bezgraniczną zręcznością. Ich ściągnięte bólem twarze mówią wszystko – od Ponińskiego do Rakowskiego. Na ich korzyść przemawia tylko to, że Warszawa z czasów Druckiego-Lubeckiego czy Wielopolskiego była miejscem bardziej przyjaznym niż Warszawa z czasów Paskiewicza czy generała Hurki. Polski stalinizm uniknął masowych czystek, które stały się udziałem stalinizmu sowieckiego. ZOMO było lepsze niż Kozacy, Gestapo czy KGB. Z punktu widzenia przybysza z Zachodu może się to wydać szokujące, ale korupcja polityczna w polskim stylu może się od czasu do czasu poszczycić jakąś zaletą. Pośród długich mroków niewoli Polski rozpalała wątły płomyk humanitaryzmu.

Jednak w chwilach kryzysu skorumpowanie polskiej polityki wprowadzało element poważnego braku stabilizacji. Pod naciskiem powszechnej niechęci kruchy establishment karierowiczostwa może łatwo popękać. Serwilistyczne reżimy, ze starannie skonstruowanymi wspaniałymi fasadami monolitycznej władzy w środku, okazują się doszczętnie przegniłe. Rosjanie nieraz trudzili się nad wznoszeniem swoich protektoratów w Polsce na solidnych rodzimych fundamentach i za każdym razem odkrywali, że ich domek z kart rozsypał się i zawalił. Utracili wiarę w dekadenckich Sasów, głęboko ich obrazili Stanisław August – ten produkt dworu w Petersburgu, który okazał się reformatorem – i książę Czartoryski – carski minister, który został prezesem powstańczego Rządu Narodowego i przywódcą antycarskiej polskiej emigracji. Byli oburzeni zachowaniem Królestwa Kongresowego, które odwdzięczyło im się za ich liberalność kolejnymi powstaniami; byli oburzeni na Józe-

fa Piłsudskiego – produkt rosyjskiego rewolucyjnego podziemia, który chwycił za broń przeciwko ojczyźnie Lenina; zawiódł ich Gomułka, którego w pewnym momencie trzeba było usunąć z powodu „odchyłenia prawicowo-nacjonalistycznego", i z pewnością byli także kompletnie zbrzydzeni Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą Gierka, która załamała się w latach 1980–1981 pod ciężarem własnej nieudolności i braku poparcia. W oczach Rosjan Polacy są – i zawsze byli – wiecznie *niebłagonadiożni* – nieuleczalnie niespolegliwi. I nie rozumieją dlaczego. A przecież nie trzeba daleko szukać. Ci sami uginający się pod ciężarem wyrzutów sumienia karierowicze, na których Rosjanie tak bardzo polegali, nie są potworami, idealistami ani wyrachowanymi zdrajcami. Są zwykłymi ludźmi, którzy dali się panującym okolicznościom ustalonego porządku wciągnąć w korupcję. Dopóki walka polityczna ogranicza się do używania inwektyw, wrogich spojrzeń i drobnych potyczek, siedzą przy swoich biurkach i w swoich jednostkach dowodzenia, ale kiedy tylko walka przybiera formy jawnej przemocy, są skłonni zdezerterować. Przecież w końcu – jak sobie powtarzają przez całą karierę – wstąpili do służby publicznej nie po to, żeby walczyć ze swoimi krewnymi i przyjaciółmi. W chwili prawdy zazwyczaj okazuje się, że są Polakami jak wszyscy inni. Tłumionej wściekłości sfrustrowanych patriotów i reformatorów towarzyszy tłumione poczucie winy ich dawnych i niezbyt entuzjastycznych dręczycieli – i w ten sposób rodzi się polskie powstanie. Oddziały walczących w kolejnych powstaniach były pełne Polaków, którzy przez lata znosili upokorzenia, kryjąc się pod maską serwilizmu lub obojętności. Długoletni kolaboracjonista z pewnością łatwo się zmienia w płomiennego rewolucjonistę.

Ale dzieje się też odwrotnie. Przytłaczająca siła ciemiężycieli Polski zawsze doprowadzała do stłamszenia każdej próby wyłamania się spod ich kontroli. Synowie i córki uprawiających kolaborację rodziców pędzą pod sztandary polskiej wolności i doświadczają goryczy klęski pośród śmierci i zniszczenia. Młodzieńczy powstaniec dojrzewa i przemienia się w karierowicza z przekonania. Rozczarowany rewolucjonista staje się filarem prawa i porządku. Józef Zajączek (1752–1826), jakobiński adiutant Kościuszki, kończy jako carski namiestnik; Aleksander Wielopolski, czynny uczestnik powstania listopadowego, dobrowolnie zgłasza się jako czynny uczestnik carskiej administracji; kariera Bolesława Piaseckiego z PAX-u zatacza pełny krąg – z przedwojennego faszysty robi się powojenny zwolennik Sowietów. Nagłe nawrócenia są objawem niegodnych pozazdroszczenia moralnych nacisków na Polaków i niewiele jest polskich rodzin, które by całkowicie uniknęły niesławy.

Karierowicze, kolaboranci i przechrzty – nie mniej niż wzory najczystszego patriotyzmu – są ofiarami takiego samego demoralizującego nacisku, jaki był udziałem większości Polaków przez większość minionych trzech stuleci. Lord Acton miał rację, mówiąc, że „władza absolutna korumpuje absolutnie". Korumpuje zarówno rządzących, jak i rządzonych. Polska tradycja nie jest wolna od korupcji – mimo że absolutyzm do niej nie należał.

* * *

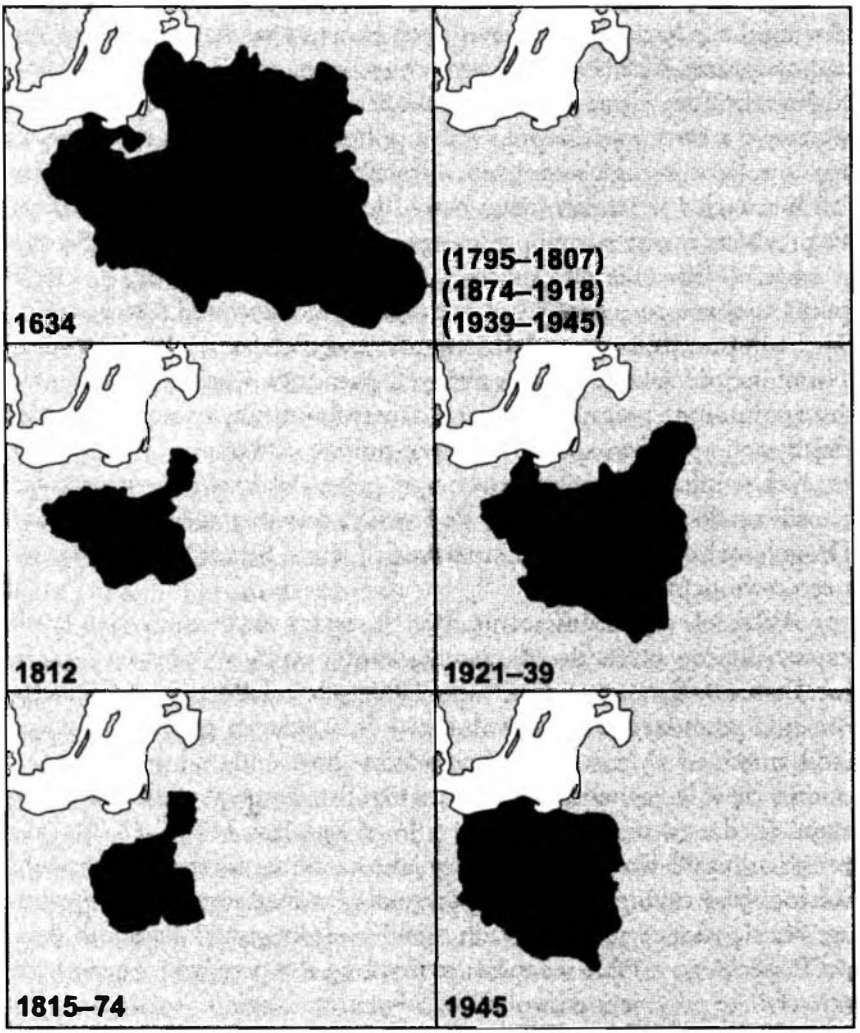

Mapa 12. Zmiany terytorialne państwa polskiego

Kiedy w roku 1795 dokonał się trzeci rozbiór i kiedy zniknęła nazwa Polski, mocarstwa rozbiorowe niewątpliwie miały poczucie, że czas działa na ich korzyść. Z czasem Polacy z pewnością pogodzą się ze swoim losem i w końcu wtopią się w ogól ludności. Wszystkie monarchie wschodniej Europy były państwami dynastycznymi i w ciągu minionych stuleci urosły w siłę dzięki aneksji różnorodnych podbitych ludów i ziem. Zarówno Rosja, jak i Austria stanowiły istne ogrody zoologiczne różnych narodowości, a Prusy miały długą tradycję wchłaniania i chętnego przyjmowania osadników i imigrantów. Nie było widać żadnych oczywistych powodów, dla których Polacy mieliby się okazać trudniejsi do zaabsorbowania od innych. A jednak się okazali. Jean-Jacques Rousseau mądrze radził Polakom w tej sprawie. „Nie możecie przeszkodzić, aby sąsiedzi was nie połknęli – pisał – sprawcież przynajmniej, aby was strawić nie mogli". To było prorocze zdanie. Polacy okazali się bardziej odporni na strawienie niż ktokolwiek inny. A powodem była tysiącletnia historia ich starej kultury.

ROZDZIAŁ 6

ECHA

Przeszłość Polski w polskiej teraźniejszości

Kłopoty Polski trwały tak długo – pojedynek z Rosją sięgnął dziewiątego czy dziesiątego pokolenia – że występowanie wielu powracających czynników uważa się za rzecz naturalną. Uświęcona tradycją polska kultura jest tak mocno zakorzeniona, że nie trzeba nawet wspominać o roli Kościoła katolickiego ani o prozachodnich sympatiach mieszkańców Polski. Są to w gruncie rzeczy sprawy tak oczywiste, że wielu czołowych ekspertów komentujących obecną sytuację wręcz o nich zapomina. Nikt nie oczekiwa , że katoliccy, prozachodni, indywidualistyczni Polacy staną się ateistami, słowianofilami i pokornymi owieczkami, tak jak nikt nie oczekiwałby, że Rosja nie będzie autokracją. Natomiast inne czynniki są mniej trwałe. Panujący system polityczny, wzrost i upadek instytucji, środowisko gospodarcze oraz czołowe osobistości danego okresu – wszystko to się zmienia. Wszelka realistyczna analiza spraw bieżących musi zawierać dogłębne badanie ulegającego ciąg ym zmianom amalgamatu tego, co stare, i tego, co nowe. Teraźniejszość nie jest nigdy dok adną reprodukcją przeszłości, ale echa przeszłości zawsze pobrzmiewają w wydarzeniach teraźniejszości.

* * *

1. Impas polskiego komunizmu

Krytycy polskiego ruchu komunistycznego często z miejsca go odrzucają. Według nich był obcą pasożytniczą rośliną przesadzoną w polski grunt przez sowieckich politycznych ogrodników, w żaden sposób niezwiązaną z tradycyjnymi polskimi płodami wyhodowanymi w polskim środowisku. Pogląd ten, dość powszechny w pierwszych latach po wojnie, umocniły wydarzenia, które wyraźnie ukaza y demoralizację i słabość polskiego komunizmu. Argument jest jednak przesadzony. Efektom końcowym trudno byłoby zaprzeczyć, był jednak taki czas, kiedy przez chwilę wydawało się, że polski komunizm ma szansę się ukorzenić i że polscy komuniści zaczynają się przystosowywać do narodowych tradycji politycznych.

Cokolwiek by pomyśleć o przymusowym narzuceniu komunizmu Polsce w latach 1944–1945 – a na ten temat także nie da się dyskutować – to jednak nie jest w pełni uzasadnione uznawanie wszystkich polskich komunistów, od początku do końca, wyłącznie za produkt sowiecki. Przed wojną działała maleńka, ale prawdziwie szczera partia komunistyczna, a w latach powojennych istniała znaczna grupa entuzjastów, którzy z błyskiem w oczach bardzo chcieli dać szansę nowej „socjalistycznej" ideologii. Ich poglądy, i ich rozczarowanie, zasługują na uwagę.

W warunkach panujących w Polsce po zakończeniu wojny, kiedy kraj nadal pozostawał pod sowiecką okupacją, towarzysze musieli być uważani po prostu za sowieckie marionetki. W kwietniu 1945 roku Gomułka głośno skarżył się swojemu Politbiuru, że wszyscy ludzie biorą PPR tylko za „agendę NKWD". Jest też prawdą, iż wielu spośród bardziej dogmatycznych towarzyszy wierzyło, że komunizm w sowieckim stylu oznacza radykalnie nowe wydarzenie w światowej cywilizacji i wobec tego nie można oczekiwać, że będzie się odznaczać którąkolwiek z cech zdyskredytowanej i reakcyjnej polskiej przeszłości. Nowy wspaniały świat demokracji ludowej nie potrzebował się uczyć od żadnych bezsensownych abstrakcji systemu burżuazyjnego w rodzaju „tradycji narodowej" czy „narodowej kultury". Gdy tylko powstaną nowe społeczno-gospodarcze podwaliny, polskie społeczeństwo automatycznie rozwinie nową socjalistyczną kulturę, która uzna za zbędne wszelkie odniesienia do poprzednich wartości religijnych czy duchowych. Mówiąc wprost i rozwijając metaforę stworzoną przez Stalina, polską krowę można przerobić na konia i zmusić do włożenia siodła. Trzeba było co najmniej dziesięciu lat, żeby doświadczenia stalinizmu wyleczyły większość rządzącej elity z takich naiwnych sposobów myślenia[1].

Jednocześnie jednak trzeba pamiętać o istnieniu w szeregach powojennych towarzyszy silnej tendencji pragmatycznej. Od samego początku jeden odłam opinii komunistycznej przyjął propozycję, aby budowanie socjalizmu w Polsce uwzględniało polskie warunki i aby „polska droga" nie musiała w każdym szczególe naśladować drogi sowieckiej. Z Gomułką u steru zwolennicy takiej polityki trzymali się swoich przekonań nawet za cenę czystek i aresztowań i w roku 1956 zdobyli przewagę w partii na następne dwadzieścia pięć lat. Równocześnie ze zmianami w przywództwie politycznym pojawiła się nowa kasta komunistów-intelektualistów, chcących dostosowywać formuły marksizmu-leninizmu

[1] Zob. *The Beginnings of Communist Rule in Poland, 1943–1945*, red. Antony Polonsky, Bolesław Drukier, London 1980.

do polskich warunków i wykuwać specyficznie polską odmianę „naukowego" socjalizmu.

Przez kilkanaście lat – od początku lat pięćdziesiątych do połowy lat sześćdziesiątych – ich walki z partyjnymi dogmatykami i sowieckimi klonami sprawiły, że obóz komunistyczny nabrał prawdziwego wigoru. Świadomie czy nieświadomie, zabrali się do jednego z podstawowych zagadnień tradycyjnej polityki polskiej i zaangażowali się w program komunistycznej odmiany pracy organicznej, przystosowując i zastosowując nowe idee społeczne i kulturalne do zadania obrony Polski przed utratą odrębnej tożsamości. Czy im się to podobało czy nie, byli pozytywistami w tradycyjnym polskim znaczeniu tego słowa – zupełnie nowego autoramentu, ale jednak pozytywistami. Uważali się za przeciwników nie tylko romantyzmu poprzedniego pokolenia, który znalazł tak tragiczne zakończenie w ruinach powstania warszawskiego, ale także serwilistycznych lojalistów w łonie partii, którzy tańczyli, jak im zagrali Sowieci. Była to jedyna iskierka życia, jaką kiedykolwiek ukazał światu powojenny polski ruch komunistyczny.

A więc choć to może się wydać dziwne, supremacja Związku Sowieckiego stała się inspiracją dla polskich towarzyszy reprezentujących wobec polskiej polityki każdą z tradycyjnych postaw, jakie się wykształciły w okresie rozbiorów. Postawę komunistycznego lojalizmu zręcznie reprezentowali: Bierut, Minc, Zambrowski, Rokossowski; postawę komunistycznego pozytywizmu – Gomułka, Gierek i pokolenie 1956 roku. Można by jednak zapytać: gdzie byli komunistyczni romantycy i komunistyczni emigranci? Komunistyczni romantycy, w myśl najlepszych romantycznych tradycji, nie żyli. Idealiści z KPP, marzący już nie o narodowej, lecz o międzynarodowej rewolucji społecznej, zostali wybici w latach 1938–1939 podczas masakry, której rozmiary skutecznie zniechęciły wszystkich naśladowców. Zniszczyła ich zwykła niepraktyczność zajmowanego stanowiska, które oznaczało wysoce przesadzoną ocenę zarówno chęci podejmowania reakcji wśród polskiego społeczeństwa, jak i dobrotliwości ich obcych opiekunów. A jeśli idzie o komunistycznych emigrantów, to także na nich nie trzeba było długo czekać. Każdy kryzys Polski Ludowej uruchamiał własną falę ekskomunistycznych wygnańców i uchodźców. Wielka niekomunistyczna emigracja z lat 1939–1945 wciąż rosła, uzupełniana przez najnowsze partyjne odrzuty podczas kolejnych przypływów z lat 1948, 1956, 1968, 1970, 1976 i 1980–1981. W niektórych przypadkach – na przykład po pojawieniu się Leszka Kołakowskiego czy ekonomisty Włodzimierza Brusa – emigracja wzbogacała się i ożywiała. Zysk dla Oksfordu oznaczał stratę dla Warszawy.

W innych przypadkach – które lepiej pominąć uprzejmym milczeniem – dawni partyjni gorliwcy i oprawcy, którzy sami padli ofiarą dyktatorskiej machiny będącej ich dziełem, przyjeżdżali na demokratyczny Zachód, skarżąc się na wszystko – od niesprawiedliwego zwolnienia z pracy po dyskryminację rasową. Jak ktoś kiedyś powiedział, Robespierre był przynajmniej na tyle przyzwoity, żeby nie rzucać oskarżeń na gilotynę.

Byłoby oczywiście rzeczą niewłaściwą zakładać, że komunistyczni pozytywiści stali się jedynymi czy też nawet najliczniejszymi pozytywistami powojennego pokolenia. Jak zawsze, żywotność strategii pozytywistycznej zależała od tego, czy przedstawiciele oficjalnego obozu będą umieli dobić targu z ugodowcami, którzy występowali w imieniu polskiego społeczeństwa. W 1956 roku, podobnie jak w XIX wieku, targu dobito pod osłoną tarczy i przy arbitrażu Kościoła katolickiego; reżim komunistyczny powołany do życia przez Gomułkę polegał na cichym porozumieniu między bardzo zróżnicowanymi grupami – elementem partyjnym, propartyjnym, niepartyjnym i nawet antypartyjnym. Dopóki to porozumienie trwało i dopóki element partyjny utrzymywał przewagę, mógł trwać reżim. Niestety, jak to się zazwyczaj zdarza dyktaturom, reżim zaczął niszczyć właśnie tych ludzi, na których się najmocniej opierał. Okazało się, że polski ruch komunistyczny, w myśl najlepszych tradycji autokratycznych, zdolny był tolerować jedynie lizusów, a nie sprzymierzeńców o otwartych umysłach. Pierwsze pęknięcie nastąpiło w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy Gomułka przeprowadził czystkę wśród tak zwanych rewizjonistów (do których należał Kołakowski), pozbawiając w ten sposób partię jedynej większej grupy intelektualistów o komunistycznych przekonaniach, szanowanych przez ogół obywateli. Proces osiągnął fazę szczytową w 1968 roku. Pęknięcie drugie nastąpiło w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy Gierek stopniowo utracił zaufanie swoich pozostałych niepartyjnych sojuszników. Ten drugi proces zaczął się w latach 1975–1976 od propozycji poprawek do konstytucji i osiągnął fazę kulminacyjną w roku 1980 z chwilą narodzin Solidarności. W roku 1965 istniał jeszcze *modus vivendi* reżimu komunistycznego w Polsce z jego niechętnymi obywatelami. W roku 1976 już go nie było i reżim miał tylko jeden cel: utrzymać się przy władzy. A w roku 1981 reżim nie miał już żadnych środków, które pozwoliłyby mu utrzymać się przy życiu – poza siłą wojskową. Eksperyment z dziedziny komunistycznego pozytywizmu zaczął się załamywać. Społeczeństwo polskie – pokolenie Solidarności – ujrzało pierwsze poruszenia odradzającego się romantyzmu. W oczach historyka czy kogokolwiek innego, kto wie coś na temat przeszłości Polski, wszystko to ma posmak jakiejś uśpionej tragedii, *déjà vu*.

W ciągu trzydziestu pięciu lat scena polityczna zakreśliła pełny okrąg. Narodowe zasoby polskiego komunizmu niemal całkowicie się wyczerpały.

W tym kontekście wypada przyznać, że grudniowy zamach stanu miał na celu zachowanie pozytywistycznej postawy, która dominowała w rządzącym establishmencie przez cały czas od 1956 roku. Autorzy zamachu musieli zostać zaalarmowani w tej samej mierze perspektywą odrodzenia się idealizmu w łonie partii – a to w komunistycznym rozumowaniu oznaczałoby powrót do dogmatycznego stalinizmu – co romantycznymi skłonnościami, rozwijającymi się w łonie Solidarności. Stanęli w obliczu polaryzacji postaw po obu stronach i zadziałali tak, aby utrzymać pozycję na środku pola. Wiedzieli, że gdyby ponieśli porażkę, zostałaby im tylko jedna opcja: ruch w kierunku serwilistycznego lojalizmu, nieodłącznie związanego z bezpośrednią interwencją sowiecką w sprawy Polski. Jeszcze podczas stanu wojennego z roku 1982 oficjalne media wciąż nawoływały do „powrotu do pozytywizmu" i obrony cnoty „spokojnej, skromnej, pełnej poświęcenia pracy". Problem polegał na tym, że takie same hasła głosili przez całe lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte komunistyczni przywódcy, których teraz całkowicie zdyskredytowano; było wątpliwe, żeby zbyt wielu zwykłych Polaków zechciało dać komunistycznej wersji pozytywizmu jeszcze jedną szansę. Co więcej, z punktu widzenia marksizmu-leninizmu komunistyczny pozytywizm był absurdalny – nielubiany przez twardogłowych towarzyszy partyjnych w kraju i niezrozumiały dla towarzyszy w Moskwie. Widząc teksty o „pozytywizmie" w partyjnej prasie, warszawski korespondent sowieckiej „Litieraturnoj gaziety" wykazał absolutne niezrozumienie specyficznie polskiego użycia tego określenia i gorzko poskarżył się swoim czytelnikom, że polscy towarzysze przyjęli filozofię Augusta Comte'a! To już był całkowity impas.

Na wzmiankę zasługuje jeszcze jedna postać. Pozycja generała Jaruzelskiego była pełna sprzeczności i wieloznaczności, a jego osobowość wciąż pozostaje zagadką. W oczach zwykłych ludzi był pierwszorzędnym przykładem prosowieckiego lojalizmu – człowiekiem, który zgniótł Solidarność i położył kres nadziejom na porozumienie między rządzącym establishmentem i polskim społeczeństwem. Jednocześnie zaś, w oczach polskich komunistów, był człowiekiem, który działał na rzecz umiarkowania i pozytywizmu i który ich uchronił zarówno przed Solidarnością, jak i przed karą z rąk Sowietów. W oczach zewnętrznego świata wyglądał na osobę pozbawioną wyraźnego profilu politycznego. Wydawało się, że ten człowiek z twarzą ukrytą za ciemnymi okularami celowo chowa się za swoją maską, mówiąc niewiele, poza wytartymi frazesami

o swoim pragnieniu „służenia narodowi w godzinie potrzeby". To nie był socjalizm z ludzką twarzą ani nawet socjalizm z nieludzką twarzą; to był socjalizm w ogóle pozbawiony twarzy. Bez poczucia humoru, bez wyrazu, wiecznie przygaszony, generał zachowywał się w sytuacjach publicznych – i przemawiał w telewizji – z bezbarwnością automatu. Wszyscy, którzy go znali na różnych etapach jego kariery, mówili to samo: że zawsze ukrywał swoje prawdziwe uczucia i przekonania, że był „człowiekiem zamkniętym w sobie". Wszystko to było wielką zagadką, i toczyła się równie wielka debata o tym, czy pod mundurem w sowieckim stylu ukrywał – czy też nie ukrywał – prawdziwe serce polskiego patrioty. Ujawniono, że jako chłopiec został podczas deportacji z lat 1939–1940 wywieziony do Związku Sowieckiego i że w młodości wychowywał się i uczył pod sowieckim nadzorem. Trudno było uwierzyć, że człowiek o takim życiorysie mógłby nie żywić skrywanych resentymentów i że mógłby być w pełni oddany sowieckiej sprawie. Miał życiorys janczara, ale nie miał nic z żarliwości fanatycznego Turka. Miał wygląd sowieckiego agenta, a w domu opinię polskiego ugodowca. Oto on – wielki mistrz polskiego zakonu Czarnych Rycerzy, szef ZOMO i potencjalny Konrad Wallenrod.

O biografii prawdziwego Konrada Wallenroda wiadomo niewiele. Wiadomo, że przez trzy lata, od roku 1391 do roku 1394, sprawował urząd wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego i że pod koniec swoich rządów doprowadził ten zakon do klęski. Ale jakie były jego motywy, w jaki sposób ta klęska się dokonała – o tym historia dokładnie nie opowiada.

2. Establishment wojskowy

Polska tradycja militarna, choć różna od tradycji narodów o nieprzerwanej państwowości, jest bardzo długa; kiedy w grudniu 1981 roku wojsko przejęło władzę, niektórzy komentatorzy wyrazili opinię, że tradycyjny szacunek Polaków dla swoich żołnierzy potwierdził się, biorąc górę nad zwyczajową pogardą dla cywilnych polityków. Wojskowa machina propagandowa dokładała starań, aby umacniać te odczucia. Prezenterzy telewizyjni pojawiali się na ekranie w eleganckich mundurach, podobnie jak dawni partyjni dziennikarze, przebrani i przedefiniowani jako „oficerowie rezerwy" w służbach informacyjnych wojska. Większość zachodnich komentatorów także chętnie podkreślała różnicę między „poszanowaniem" dla sił zbrojnych i brakiem szacunku dla znienawidzonej i zdemoralizowanej partii. Niektórzy nawet posuwali się do tego, żeby porówny-

wać reżim generała Jaruzelskiego w Polsce do reżimu generała Pinocheta w Chile czy junty wojskowej w Argentynie.

Porównanie z niekończącymi się przewrotami wojskowymi w Ameryce Łacińskiej nie jest być może zupełnie nietrafione w tym sensie, że wojsko polskie czuło się zmuszone do wypełnienia politycznej próżni. Jaruzelski, który przez całe życie był komunistą, nie miał jednak na celu obalenia komunistycznego establishmentu, lecz chciał go utrzymać przy życiu i dać mu szansę powrotu do zdrowia. Działał w szerokich ramach systemu sowieckiego, a nie przeciwko temu systemowi. Mimo to wysunięcie wojska na pierwszy plan okazało się wydarzeniem o ogromnym znaczeniu dla całego bloku sowieckiego. Zgodnie z prawami leninizmu, nie powinno być ani konieczne, ani możliwe. A mimo to właśnie tak się stało. Można to w pełni docenić, jedynie badając dokładnie cały złożony i skomplikowany układ polityczno-militarny[2].

Teoretycznie Siły Zbrojne Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej odpowiadały pod wszelkimi istotnymi względami sowieckiemu modelowi i nie miały nic wspólnego ze swoimi poprzednikami sprzed wojny i z czasów wojny. Według oficjalnych poglądów były integralnym elementem nowego socjalistycznego porządku, który zdecydowanie odcinał się od przeszłości i który nie miał żadnych powiązań z przedwojenną armią Piłsudskiego ani z Armią Krajową z lat 1939–1945. Powstały z polskich sił zbrojnych zorganizowanych przez ZSRR w 1943 roku i ze zbrojnej gwardii ruchu komunistycznego z czasu wojny. Pewna liczba przedwojennych oficerów i żołnierzy albo zgłosiła się ochotniczo, albo została wcielona do służby pod koniec wojny, ale większość z nich zwolniono w latach pięćdziesiątych; w roku 1973 już tylko 2 procent korpusu oficerskiego miało jakiekolwiek doświadczenie wojskowe z okresu sprzed wojny. W latach 1949–1956, w decydującym okresie ekspansji sił zbrojnych, Wojsko Polskie podlegało bezpośredniemu dowództwu marszałka Rokossowskiego i jego sowieckich doradców. Po roku 1956 pierwszym warunkiem względnej autonomii wobec sowieckiej kurateli było absolutne podporządkowanie się wymogom sojuszu z ZSRR, obejmującego

---

[2] Zob. A. Ross Johnson, *The Polish Military*, w: A. Ross Johnson i in., *East European Military Establishments: The Warsaw Pact Northern Tier* (Rand Corporation, R-2417/1-AF/FF), Santa Monica, California, 1980, s. 19–73, z pewnością najbardziej przystępny i treściwy przegląd tematu. Oficjalne polskie źródła naturalnie z niechęcią podchodzą do kluczowych problemów i braków, ale wiele można wyczytać z licznych wydawnictw Ministerstwa Obrony Narodowej – np. *Ludowe Wojsko Polskie, 1943–1973*, red. Włodzimierz Sawczuk i in., Warszawa 1974; *Mała kronika Ludowego Wojska Polskiego 1943–1973*, red. Mikołaj Plikus, Warszawa 1975; *Mała encyklopedia wojskowa*, Warszawa 1970 itp.

wspólną doktrynę wojskową, połączone dowództwo, wspólne ćwiczenia, standardowe szkolenie i wyposażenie, współpracę gospodarczą i rygorystyczną kontrolę polityczną.

Polska doktryna wojskowa, w formie rozwiniętej pod koniec lat pięćdziesiątych wspólnie z Sowietami, opierała się na centralnej zasadzie „koalicyjnych działań wojennych". Zakładała zagrożenie inwazją ze strony NATO i przyjmowała za pewnik, że jakakolwiek niezależna rola sił polskich wobec takiego zagrożenia byłaby pozbawiona sensu. Miała na celu stworzenie sytuacji, w której wszelkie działania wojenne między NATO i wojskami Układu Warszawskiego odbywałyby się na „froncie zewnętrznym", poza granicami Polski – prawdopodobnie na terenie Niemiec. Wynika z tego, że operacje sił Układu Warszawskiego byłyby z natury rzeczy nie defensywne, lecz ofensywne. Udział polskich sił zbrojnych został zatem pomyślany jako główny wkład w planowaną kampanię okrążenia i odparcia sił obrony NATO na obszarze między Łabą i Renem. Wszystkie piętnaście polskich dywizji frontowych, w tym dywizje desantowe powietrzne i morskie, miały stanowić strategiczne rezerwy dla owego „frontu zewnętrznego"; była to niemal jedna trzecia (15 dywizji na ogólną liczbę 51, co daje 29,4 procent) sił szturmowych Układu Warszawskiego. Kwaterę Główną Północnej Grupy Wojsk Armii Czerwonej umieszczono na terenie Polski, w Legnicy na Śląsku. Polska marynarka, która nie posiadała dużych okrętów wojennych, miała się ograniczyć do wspierania planowanych desantów na wybrzeżach Bałtyku w Niemczech i Danii, podczas gdy wspaniałe polskie siły lotnicze, wyposażone w samoloty myśliwsko-bombowe ze skrzydłami o zmiennej geometrii Su-20, a także w eskadry migów 21 i 17, miały pełnić funkcję samolotów przechwytujących podczas kontrataków sił NATO. Od roku 1962 polskie Wojska Obrony Przeciwlotniczej stanowiły integralną część zjednoczonych wojsk obrony przeciwlotniczej Układu Warszawskiego. Nieco większą wrażliwość na polskie sentymenty narodowe widać było w tym, co sprawiało wrażenie zgody Układu Warszawskiego na dodatkową koncepcję „frontu polskiego", w myśl której dziesięć z polskich piętnastu dywizji miało walczyć wspólnie i pod polskim dowództwem w osobnym, centralnym sektorze marszu sił Układu na terytorium Niemiec. Koncepcja taka nie zgadzała się z powszechnie przyjętą praktyką wysyłania sił niesowieckich na zintegrowane „wielonarodowościowe fronty" pod sowieckim dowództwem; jest rzeczą wątpliwą, czy sowieccy dowódcy w pełni podzielali poglądy Polaków na tę sprawę.

Oprócz wielkiego wkładu Polski w działania na „froncie zewnętrznym" Układu Warszawskiego w latach sześćdziesiątych polscy stratedzy

rozwijali uzupełniający plan „Obrony Terytorialnej Kraju" (OTK) na „froncie wewnętrznym". Zakładał on zagrożenie atakami z powietrza sił NATO i ataki rakietowe na tyłach głównego frontu oraz kładł duży nacisk na przeciwnuklearną obronę cywilną. Znajdował uzasadnienie w fakcie, że siły OTK mogłyby ułatwić przesunięcie jednostek sowieckich z terenu ZSRR do Niemiec i zlikwidować wszelkie lokalne zagrożenie dla sowieckich linii łączności. Ponieważ w sytuacji wojny trzon polskich sił zbrojnych walczyłby poza granicami kraju, plan ten z konieczności zakładał, że cała ludność cywilna będzie musiała zostać przeszkolona w celu mobilizacji na froncie krajowym. W roku 1967 uchwalono nową ustawę dotyczącą obrony narodowej. Siły OTK, utworzone z oddziałów WOWew, WOP i LOK, oddzielono od głównych sił operacyjnych rezerw strategicznych i utworzono dwa odrębne inspektoraty główne – Główny Inspektorat Szkolenia Sztabu Generalnego, odpowiedzialny za siły operacyjne i „front zewnętrzny" w czasie wojny, oraz Główny Inspektorat Obrony Terytorialnej, odpowiedzialny za OTK i „front wewnętrzny" w czasie pokoju. Na poziomie województw zbudowano sieć lokalnych wojskowych sztabów dowodzenia, kładąc jednocześnie nacisk na obronę cywilną, jednostki terytorialne, i paramilitarną rezerwę ochotniczą. Chociaż niepokoje wśród ludności cywilnej nie stanowiły w tym momencie problemu, izolacja wewnętrznych sił bezpieczeństwa i odcięcie głównego trzonu służb zbrojnych od politycznych spraw wewnętrznych miały mieć w przyszłości istotne konsekwencje. (Jako ciekawostkę można wspomnieć, że przedwojenne siły zbrojne także były podzielone na dwa odrębne systemy, przeznaczone do pełnienia dwóch odrębnych funkcji: tor wojenny i tor pokojowy. Bez informacji wewnętrznych nie sposób stwierdzić, czy polscy planiści z lat sześćdziesiątych byli świadomi tego precedensu czy też nie).

Z powodu przynależności Polski do Układu Warszawskiego możliwości niezależnej inicjatywy najwyższego dowództwa sił zbrojnych były ograniczone. Przypisanie głównego trzonu polskich jednostek liniowych na stałe do „frontu zewnętrznego" oznaczało, że rozkazy otrzymywały one ostatecznie nie od polskiego Sztabu Generalnego, lecz od głównodowodzącego wojsk Układu Warszawskiego – sowieckiego marszałka Wiktora Kulikowa. Szef Głównego Inspektoratu Szkolenia (Sztabu Generalnego), najbardziej wpływowy z ministrów obrony narodowej, był jednocześnie zastępcą głównodowodzącego wojsk Układu Warszawskiego i wobec tego podlegał bezpośrednio głównodowodzącemu sowieckiemu. Polski szef sztabu, podobnie jak inni wiceministrowie obrony, podlegał Radzie Wojskowej Dowództwa Zjednoczonych Sił Układu

Warszawskiego – tak samo jak polski minister obrony narodowej podlegał Komitetowi Ministrów Obrony Układu, a sekretarz polskiej partii – Doradczemu Komitetowi Politycznemu Układu.

Mogłoby się wydawać, że w takim systemie polski Sztab Generalny był organem niemal zbędnym, ale zachował on pewne istotne funkcje. Pełnił funkcję koordynatora między „frontem zewnętrznym" i wewnętrznym sektorem OTK; skupiał poszczególnych szefów służb, którzy sprawowali kontrolę nad konkretnymi działaniami. Nikt nie zapominał, że w 1956 roku, mimo obecności marszałka Rokossowskiego w rządzie jako polskiego ministra obrony narodowej i głównodowodzącego polskich sił zbrojnych generał Komar wydał oddziałom KBW rozkaz przeciwstawienia się zagrażającemu atakowi Sowietów na Warszawę, a generał Frey-Bielecki i admirał Jan Wiśniewski postawili siły powietrzne i marynarkę w stan gotowości bojowej. Kontrola Układu Warszawskiego sięgała daleko, ale nie sięgała absolutnie wszędzie.

Połączone manewry sił Układu Warszawskiego były wypróbowanym narzędziem utrwalania pojęcia wojny koalicyjnej i sprawdzania gotowości do reakcji sojuszników ZSRR. Formalnie wprowadzono je w 1961 roku i od tego czasu odbywały się regularnie. W lipcu 1968 roku zorganizowano je na terenie Czechosłowacji, bezpośrednio przed inwazją na ten kraj; na terytorium Polski odbyły się w latach 1980, 1981 i 1982. Po roku 1970 dowództwo oddziałów OTK przeprowadziło własne odrębne ćwiczenia – był to jeden z powodów, dla których ich rozmieszczenie przed zamachem stanu w grudniu 1981 roku nie wzbudziło niepożądanych podejrzeń.

Standardowe szkolenia, podobnie jak standardowe wyposażenie i zaopatrzenie, były cechą wszystkich wojsk Układu Warszawskiego, a standardy ustanawiał Stały Sekretariat Układu w Moskwie. Chociaż oczekiwano, że każdy z krajów członkowskich dostarczy określonego specjalistycznego sprzętu – w przypadku Polski były to między innymi pojazdy opancerzone, broń ręczna, okręty, amunicja, sprzęt transportowy, produkty chemiczne – przeważająca większość wyposażenia wojskowego i materiałów napędowych pochodziła ze Związku Sowieckiego. Sojusznicy ZSRR narzekali, że klienci Sowietów w Wietnamie, na Bliskim Wschodzie czy w południowej Afryce byli uprzywilejowani, jeśli idzie o dostawy najnowocześniejszej sowieckiej broni, ale ich najgłębsze rozgoryczenie płynęło z faktu, że wstrzymując dostawy części zamiennych, kluczowych materiałów i najważniejszych urządzeń, Związek Sowiecki mógł w dużym stopniu uniemożliwić użytkowanie istniejącego wyposażenia. Na przykład polskie jednostki pancerne były niemal całkowicie

zależne od sowieckiej ropy; wierzono też, że polskie jednostki rakietowe nie miały własnych głowic, a polskie dywizje spadochronowe nie dysponowały wystarczającą liczbą samolotów transportowych. Szkolenie oficerów przebiegało według takich samych wzorców. Chociaż minął już czas rosyjskich oficerów przebranych w polskie mundury, żaden polski oficer wyższego stopnia nie mógł awansować powyżej rangi pułkownika, jeśli nie odbył długiego kursu szkoleniowego w jakiejś sowieckiej akademii wojskowej.

Jak we wszystkich krajach bloku sowieckiego, polski establishment wojskowy miał swój własny „prywatny" sektor gospodarki, zintegrowany z potężnym i uprzywilejowanym kompleksem wojskowo-przemysłowym całego Układu Warszawskiego. Szczegóły dotyczące tych relacji były ściśle tajne, ale na Zachodzie powszechnie się uważa, że sprawy gospodarcze Układu Warszawskiego były zorganizowane w analogiczny sposób i w połączeniu ze „specjalnym systemem przydziałów" przyjętym przez RWPG. W gruncie rzeczy można założyć, że skoro tajna gospodarka wojskowa cieszyła się we wszystkich krajach bloku sowieckiego pozycją uprzywilejowaną w stosunku do gospodarki całego sektora publicznego, planowanie gospodarcze Układu Warszawskiego miało pierwszeństwo przed planowaniem cywilnym RWPG. Koordynację zapewniał podobno tajny Komitet Wojskowo-Przemysłowy RWPG. Dzięki mechanizmom gospodarki planowej, która mogła z góry narzucać priorytety, nie przewidywano żadnych poważniejszych komplikacji, dopóki gospodarka Polski, a także całego Układu, wykazywała zdrowe tendencje wzrostowe.

Konformizm ideologiczny był zasadniczym atrybutem systemu wojskowego w sowieckim stylu. Siły zbrojne zostały pomyślane jako element biorący czynny udział w „budowie komunizmu". Ale w Polsce przymusowy bagaż marksizmu-leninizmu zawsze był dodatkowo obciążony dużą porcją nacjonalizmu, zwłaszcza po roku 1956, stanowiąc w ten sposób odbicie tendencji istniejących w partii. Przynajmniej w swoich publicznych przejawach nacjonalizm wojska zawsze odpowiadał raczej komunistycznej formule „patriotyzmu" niż pojęciu „patriotyzmu", tak jak je rozumiał ogół ludności. Organy propagandy wojskowej, na przykład wydawana dla wojska gazeta „Żołnierz Wolności", bezustannie upierały się, że polska niepodległość i polski patriotyzm są synonimami sojuszu polsko-sowieckiego. Gorliwie demonstrowały dumę z historii polskiej wojskowości, a wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej sponsorowało najciekawsze prace z tej dziedziny. Jednak nawet pobieżny rzut oka na listę tych publikacji pokazuje, jak bardzo stronniczy i wybiórczy byli wojskowi propagandziści. Zbyt dużo miejsca poświęcano zwycięskiej

fazie wojny z Niemcami w latach 1943–1945; jawnie promowano prace o średniowiecznym rycerstwie, o wojnach ze Szwedami i Turkami, o husarii, Legionach napoleońskich, powstańczej partyzantce, Komunie Paryskiej i hiszpańskiej wojnie domowej, jednocześnie tak samo jawnie zaniedbując takie ważne tematy, jak zwycięstwo Niemców nad Rosją na froncie polskim w latach 1914–1917, zwycięstwo Polski nad Rosją Sowiecką w latach 1919–1920 czy początkowy okres II wojny światowej w latach 1939–1941. Prosty polski żołnierz, przeglądając na kwaterze prasę lub ucząc się do politycznych egzaminów, miał wierzyć, że tylko Niemcy były odwiecznym wrogiem Polski, że NATO stało na krawędzi ataku na państwa Układu Warszawskiego i że jedynym gwarantem bezpieczeństwa Polski był jej niepodważalny sojusz z pełnym dobrej woli i niezwyciężonym Związkiem Sowieckim. Od polskich rekrutów wymagano przysięgi lojalności nie tylko wobec Polski i naczelnego wodza, ale także wobec socjalizmu i Rzeczypospolitej Ludowej.

Kontrola polityczna nad siłami zbrojnymi była pomyślana tak, aby mogła działać zarówno w wymiarze pionowym – za pośrednictwem kilku odrębnych ogniw władzy, jak i w wymiarze poziomym, poprzez organizacje polityczne na wszystkich poziomach – od Sztabu Generalnego po każdy batalion i każdą kompanię. Przed rokiem 1981 Główny Zarząd Polityczny WP funkcjonował jednocześnie jako wydział KC PZPR i jako instytucja centralna Ministerstwa Obrony Narodowej. W ten sposób zapewniał sobie podległość Sztabu Generalnego wobec najwyższych władz partyjnych i państwowych. Zarządzał Wojskową Akademią Polityczną – *Alma Mater* wszystkich oficerów i najwyższą instytucją w systemie edukacji wojskowej; stał na czele wydziałów politycznych, których oficerowie pełnili obowiązki zastępców wszystkich dowódców liniowych i nadzorowali działania całego personelu wojskowego; zajmował się organizacją komórek partyjnych, które działały we wszystkich rodzajach wojsk i we wszystkich jednostkach; stał na czele Socjalistycznego Związku Młodzieży Wojskowej (SZMW), którego zadaniem była indoktrynacja rekrutów. Jego działanie kontrolował starszy rangą odpowiednik w KC PZPR, niewinnie nazwany Wydziałem Administracyjnym, który nadzorował nomenklaturę Sztabu Generalnego z ramienia Biura Politycznego, koordynował sprawy dotyczące wojska z pracą służb policyjnych i wywiadowczych i kierował Wojskową Służbą Wewnętrzną (WSW). Tego ostatniego organu – sił zbrojnych partii w obrębie sił zbrojnych – nie należy mylić z WOWew – Wojskami Obrony Wewnętrznej. WSW była swoistą polityczną żandarmerią wojskową, stworzoną do eliminowania z wojska elementów dysydenckich. Tak więc z góry na dół i z prawa na lewo ma-

china wojskowa została skonstruowana tak, żeby była pokorną i posłuszną służebnicą partii.

Niektóre zachodnie autorytety sugerowały, że sowieckie władze wojskowe nie zadowalały się stosowaniem pośrednich ograniczeń wobec swoich polskich sojuszników za pomocą złożonego układu instytucji dowodzenia i kontroli. Po wycofaniu się Rokossowskiego kluczowe mianowania w obrębie polskiej machiny wojennej były podobno nadal zarezerwowane dla oficerów sowieckich, a poszczególne specjalistyczne służby bezpieczeństwa – na przykład kontrwywiad wojskowy – pozostawały w rękach sowieckiego KGB. Do polskiego Ministerstwa Obrony był na stałe przydzielony wysokiej rangi sowiecki oficer polityczny. W ten sposób Sowieci mogli sobie zapewnić skuteczną politykę podwójnej asekuracji. Uchybienia czy nieregularności w Wojsku Polskim można było wytropić wcześnie i zdławić w zalążku.

Żadne z tych rozwiązań nie miało oczywiście wiele wspólnego z rodzimą tradycją wojskową Polski. Sowieccy stratedzy wojskowi mogli się poszczycić dziełem stworzenia Wojska Polskiego nowego typu. Przynajmniej w teorii mogli być z tego dzieła zadowoleni. Ale z biegiem lat do systemu wkradło się szereg rozbieżności – niemal wszystkie dało się przypisać naturze polskiego społeczeństwa, w którego łonie miała działać ta polska armia w sowieckim stylu.

Wojskiem Polskim raz po raz wstrząsały polityczne podziały w łonie rządzącej partii i zmiany polityki organizacyjnej. Po wypędzeniu sowieckich doradców Rokossowskiego przez całe lata sześćdziesiąte polskie siły nękała kampania „partyzantów" generała Moczara; jej rzekomy cel działania – oczyszczenie życia publicznego z „obcych elementów" i „syjonistycznych agentów" – przyciągnął wielu sympatyków. Szczytem tej kampanii, w której pobrzmiewały ukryte nuty antysowieckie i jawne nuty antysemickie, stała się w latach 1967–1968 czystka obejmująca czternastu generałów i dwustu pułkowników. Ale nie przyniosła Moczarowi zwycięstwa. Wydalonych oficerów zastąpili szczerze prosowieccy, ale neutralni wobec walk frakcyjnych profesjonaliści; najbardziej typowy był generał Jaruzelski, w kwietniu 1968 roku mianowany ministrem obrony. Kolejny przewrót był wynikiem prób restrukturyzacji systemu szkolenia oficerów. Wobec postępu technicznego w wojskowości konieczne stało się włączenie do programu szkolenia o wiele większej dawki materiału z tego zakresu. W okresie od roku 1958 do roku 1974 liczba oficerów z dyplomami ukończenia studiów technicznych lub inżynierskich wzrosła z 17 do 40 procent. Aby dotrzymać kroku modernizacji technicznej, program szkoleń prowadzonych w wydziałach politycznych także został

zmieniony; miał zapewnić szkolonym możliwość kontaktów z dowódcami na równych prawach. W efekcie czysto polityczny element programu trzeba było znacznie zredukować we wszystkich rodzajach broni. Zwyczajowy brak zaufania między „komisarzami" w starym stylu i wojskowymi profesjonalistami mocno się zmniejszył, a jednocześnie równie mocno zaostrzył się antagonizm między unowocześnionym wojskiem i niezreformowanym aparatem partyjnym. W efekcie w latach siedemdziesiątych zaczęła się długotrwała walka między cywilami z KC pragnącymi utrzymać bezpośrednią kontrolę partii nad Głównym Zarządem Politycznym, który z kolei chciał się uchronić przed wpływami chwiejnego i coraz bardziej zdemoralizowanego przywództwa partii. Po katastrofie z 1970 roku, kiedy to partia wydała regularnym jednostkom wojskowym rozkaz strzelania do uczestników zamieszek na Wybrzeżu, oficerowie wyższych rang w polskich siłach zbrojnych mieli coraz mniejszą ochotę ratować przywódców partii przed skutkami popełnionych przez nich potwornych głupstw. W roku 1976 generałowi Jaruzelskiemu przypisano – słusznie lub nie – autorstwo oświadczenia, że „polscy żołnierze nie strzelają do polskich robotników", a stanowisko wojska w zaistniałej wtedy sytuacji najlepiej wyjaśnia powody nagłego odwrotu Gierka od wcześniejszej prowokacyjnej polityki cenowej. Potem, w miarę jak cywilny aparat partii coraz wyraźniej padał ofiarą postępującego paraliżu, pozycja wojska coraz wyraźniej rosła. Komitet Centralny wydał swoim przedstawicielom w siłach zbrojnych surowe dyrektywy, a korpus oficerski był coraz bardziej zdany na siebie w zajmowaniu się własnymi sprawami. Uzasadnione wydaje się przypuszczenie, że Sztab Generalny wygrał bitwę o kontrolę nad wydziałami politycznymi. Pierwszy raz w długiej historii komunistycznego wojska polski korpus oficerski został panem we własnym domu. W roku 1980, kiedy aparat partyjny zbliżał się ku upadkowi, Wojsko Polskie miało już pozycję, która mu pozwalała na podjęcie pertraktacji z Kremlem na temat losów kraju. Wydarzenia te były koniecznym warunkiem wstępnym zamachu stanu Jaruzelskiego z grudnia 1981 roku.

Wobec tego pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy szeregowi badacze z Zachodu odważyli się zadać pytanie, czy Wojsko Polskie nie zaczyna przypadkiem uzyskiwać przewagi nad komunistycznym reżimem, ich starzy profesorowie oświadczyli im uroczyście, że w leninizmie nie może być mowy o takich rzeczach. Tymczasem to młodzi mieli rację. W normalnych warunkach wojsko jest elementem młodszym, służebnym wobec starszego, cywilnego elementu działającego w ramach systemu komunistycznego. Ale w warunkach nienormalnych, kiedy aparat cywilny

przestał funkcjonować zgodnie z planem, wojsko miało obowiązek przejąć główną rolę. W Polsce dyktatura partyjna musiała przekazać władzę dyktaturze wojskowej i cywilni politykierzy ustąpili pola swoim kolegom w wojsku. Od tego czasu to oficerowie mieli ostatnie słowo w relacjach między siłami zbrojnymi i partią. Generałowi Jaruzelskiemu udało się zademonstrować działanie pierwszego prawa leninizmu: rządząca komunistyczna klika bez względu na to, czy jej członkowie noszą cywilne ubrania czy mundury, nigdy dobrowolnie nie oddaje władzy występującym przeciwko niej masom, nawet jeśli miałoby to oznaczać, że partii stanie się z tego powodu krzywda.

Ważne jest jednak, aby zauważyć, że polski establishment wojskowy nie był monolitem o prostej strukturze. Był złożonym amalgamatem wielu różnych wyspecjalizowanych służb, z których każda miała własne interesy, własny *esprit de corps* i swoiste stanowisko wobec problemów kraju. Można śmiało przyjąć, że zawodowe służby bezpieczeństwa – WOWew i WSW – podobnie jak ich odpowiednik w Milicji Obywatelskiej, czyli ZOMO, zostały skutecznie zaszczepione przeciwko wirusowi Solidarności, a intensywne szkolenie polityczne i psychologiczne uwarunkowało je tak, aby wszelkie działania przeciwko politycznym „chuliganom" uważało za część zwykłej rutyny. Warto pamiętać, że w 1956 roku KBW zareagowało z równą gotowością na rozkaz stłumienia buntu w Poznaniu w czerwcu, jak i na rozkaz stawienia czoła sowieckim najeźdźcom w październiku. W roku 1970 popełniono błąd, którego nigdy właściwie nie wyjaśniono: zamiast elitarnej warszawskiej brygady sił bezpieczeństwa użyto regularnych jednostek Gdańskiego Okręgu Wojskowego; posunięcie to miało bardzo poważne konsekwencje. Wywołało ogromne rozgoryczenie wśród korpusu oficerskiego i spowodowało spektakularny spadek liczby kandydatów do szkół oficerskich; ożyło też widmo buntu. Lekcja z pewnością odniosła skutek w grudniu 1981 roku, kiedy frontalny atak na uczestników strajków i demonstracji zostawiono oddziałom ZOMO, żołnierzy trzymając w rezerwie i przeznaczając ich do służby patrolowej i tworzenia kordonów wokół protestujących. Bo nie może być wątpliwości, że regularne jednostki wojska odrzucały tę okrutną obojętność na uczucia ludzi, którą tak ostentacyjnie kultywowały siły bezpieczeństwa. Aż 73 procent ogólnej liczby żołnierzy stanowili świeżo powołani rekruci zaczynający służbę w wieku 18 lat, całkowicie uodpornieni przez matki, przyjaciół i księży ze swojej parafii na wszystko, co mieli im mówić oficerowie polityczni. Lech Wałęsa był kapralem z poboru w Wojsku Polskim i jeden z jego byłych dowódców uważał go za dobrego żołnierza, a dobrze widać, na co się w jego przypadku zdało szkolenie polityczne. Przez kilka

lat po roku 1982 każdy rocznik poborowych składał się w przeważającej części z dawnych członków lub z sympatyków Solidarności. Dowództwo WP miało trudny wybór: albo zredukować pobór (jak to zrobiono w 1980 roku), naruszając zobowiązania wobec Układu Warszawskiego, albo utrzymać pobór na dotychczasowym poziomie i z każdym kolejnym rocznikiem osłabiać wiarygodność wojska.

Na przeciwnym krańcu skali postawy korpusu oficerskiego charakteryzowały się partykularyzmem i wewnętrzną rywalizacją. Było powszechnie wiadomo, że takie elitarne formacje jak dywizja spadochronowa okazują jawną pogardę dla sił politycznego bezpieczeństwa i służb policyjnych. Zademonstrowano to publicznie podczas zamieszek w marcu 1968 roku, kiedy młode „czerwone berety" z krakowskiego garnizonu stanęły przeciwko milicji podczas oblężenia pewnego upartego akademika. Uczucia tego rodzaju były powszechne w większości szanujących się jednostek. Im lepsze wykształcenie miał dany oficer, tym bardziej się szczycił swoją techniczną i zawodową sprawnością i tym bardziej nienawidził paskudnych celów politycznych, którym miały służyć siły zbrojne.

W tym kontekście na szczególną wzmiankę zasługuje polskie lotnictwo, którego dystans wobec bieżących wydarzeń politycznych był wprost uderzający. Można by z dużą dozą prawdopodobieństwa oczekiwać, że siły powietrzne będą się trzymać z daleka od cywilnych zamieszek i niepokojów. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zechciałby zapewne twierdzić, że strajkujących członków Solidarności należy bombardować czy ostrzeliwać z powietrza. Nie można natomiast wyciągać z tego wniosku, że lotnictwo stało się niewrażliwe na nastroje panujące w społeczeństwie. Polscy lotnicy byli prawdziwymi zawodowcami, ale przecież nawet oni musieli mieć jakąś wrażliwość i jakieś wspomnienia. Trudno by im było zapomnieć, że najpiękniejszą kartę w dziejach ich służby stanowiła bitwa o Wielką Brytanię w 1940 roku i że bohaterów tej bitwy wracających do domu po zakończeniu służby w RAF-ie zdradziecko rozstrzeliwano lub pakowano do więzień na podstawie fałszywych oskarżeń o zdradę i szpiegostwo. Podobnie jak pełna dystansu postawa całych sił zbrojnych pod koniec lat siedemdziesiątych zapewniała im supremację w rozdzieranym podziałami aparacie partyjnym, pełna dystansu postawa oficerów sił lotniczych zapewniała im supremację w korpusie oficerskim rozdzieranym napięciami, jakie stwarzał stan wojenny i wojna przeciwko Solidarności. Przecież wszyscy w Polsce rozważali możliwość inwazji wojsk Układu Warszawskiego, a siły powietrzne były jedyną gałęzią polskich sił zbrojnych, która mogła je do tego skutecznie zniechęcić. Kreml na pewno nie chciałby zaczynać kampanii mającej wyzwolić

Polskę od kontrrewolucji zbombardowaniem baz polskich eskadr myśliwców przechwytujących.

Niepokoje sił zbrojnych na froncie gospodarczym wzrastały przez całe lata siedemdziesiąte. Według zachodnich ekspertów udział procentowy PKB Polski w wydatkach związanych z utrzymaniem wojska osiągnął w latach siedemdziesiątych wartość szczytową i od tego czasu stale się zmniejszał[3]. Strategię ekonomiczną Gierka, w myśl której potrzeby konsumpcyjne i koszta modernizacji przemysłowej pokrywano dzięki zagranicznym pożyczkom i zwiększeniu importu, wprowadzano, spychając najwyraźniej na dalszy plan potrzeby wojska. Wzrost wydatków ludności cywilnej automatycznie powodował spowolnienie wzrostu budżetu na wydatki związane z wojskiem; jednocześnie zaś siły zbrojne nie mogły w żaden bezpośredni sposób korzystać ani z zachodnich pożyczek, ani z zachodniej (ściśle niewojskowej) techniki. Chociaż wydaje się, że w liczbach bezwzględnych wydatki na wojsko rosły bardzo skromnie, w liczbach względnych wydatki te drastycznie zmalały. W efekcie polskie plany wojskowe uległy poważnemu opóźnieniu: polskie dostawy sprzętu wojskowego dla partnerów z Układu Warszawskiego zaczęły się kurczyć; dały też o sobie znać pierwsze napięcia między Sztabem Generalnym i przywództwem partii. Po roku 1975, kiedy strategia Gierka zaczęła prowadzić kraj ku katastrofie, zła sytuacja gospodarki wojskowej podwójnie się skomplikowała. Rząd polski zbliżał się do bankructwa wobec swoich zachodnich wierzycieli, a Wojsko Polskie dochodziło do punktu, w którym nie było już zdolne wypełniać swoich zobowiązań wobec Układu Warszawskiego. Nie było nadziei na ratunek – chyba że zmieniłyby się zarówno władze partii, jak i cały model priorytetów gospodarczych. Już sama ta kalkulacja musiała stanowić dla polskich generałów (i stojących za nimi sowieckich marszałków) pokusę rozważenia przewrotu w PZPR. Ale miało być jeszcze gorzej. W latach 1980–1981 wśród robotników sektora wojskowo-przemysłowego szybko zaczął się szerzyć duch poparcia dla Solidarności. Fabryki broni w Stalowej Woli i w Radomiu – które w 1976 roku wybrano jako winowajców zasługujących na szczególną karę – stały się wojującymi ośrodkami akcji Solidarności. Podczas gdy wszystkie inne instytucje szkolnictwa wyższego uzyskały prawo wolnego wyboru władz, rząd odmówił tego przywileju politechnice w Radomiu i nie zważając na protesty, upierał się przy przedłużeniu mianowania jej rektorowi pułkownikowi Michałowi Hebdzie. Ogół Polaków – a już z pewnością

[3] Szczególnie wartościowe są tu opracowania Michała Chęcińskiego, *Ludowe Wojsko Polskie*, „Zeszyty Historyczne" (Paryż) 1978, nr 44, s. 14–31, oraz zamieszczona tam bibliografia.

nie zachodnia prasa – nie był świadom, że politechnika w Radomiu jest głównym miejscem szkolenia naukowego i technicznego pracowników sektora wojskowo-przemysłowego oraz że rektor Hebda został mianowany nie przez środowisko naukowe, lecz przez władze wojskowe. Z powodu tej sprawy strajk powszechny akademii osiągnął punkt szczytowy w listopadzie 1981 roku – Solidarność była przekonana, że walczy o wolność akademicką. Tymczasem wojsko walczyło o zachowanie swojej autonomii gospodarczej. Incydent ten – bardziej niż inne – uczulił władze zarówno w Warszawie, jak i w Moskwie na fakt, iż Solidarność zaczęła podkopywać ukryte fundamenty władzy komunistycznej. Jeśli na tym etapie w ogóle jeszcze trzeba było przekonywać Kreml, że nadchodzi przewrót wojskowy, to wieści dochodzące z Radomia musiały usunąć resztki wątpliwości.

Oczywistym skutkiem tych doświadczeń było przekonanie, że z generałów należy zrobić zwolenników zarówno reform, jak i strategii ostrożności. Z jednej strony zdawali oni sobie sprawę lepiej niż ktokolwiek inny, że ustalony porządek, w którym władzę sprawuje zdemoralizowana partia, zmierza do upadku i że należy ten porządek przywrócić do życia za pomocą nowych środków politycznych i gospodarczych. Z drugiej strony od swoich własnych żołnierzy wiedzieli, że jakakolwiek próba narzucenia reform skrajnie ideologicznych spowoduje gwałtowaną i powszechną reakcję, a niewdzięczne i niepewne zadanie stłumienia wszelkich poważniejszych zamieszek zostanie powierzone właśnie im. I w ten sposób generał Jaruzelski zjawił się na scenie wydarzeń jako naturalny sojusznik partyjnych umiarkowanych farbowanych lisów i centrystów, w rodzaju Rakowskiego czy Barcikowskiego. Był naturalnym przywódcą, umiejącym zachować równowagę między radykalnymi reformatorami o nachyleniu neostalinowskim i superkonserwatywnymi biurokratami. Partyjna machina stopniowo przestawała działać, a Sztab Generalny nie miał wyboru: musiał zastąpić Biuro Polityczne i stłamsić Solidarność. Jednocześnie starał się redukować do minimum użycie siły i nie zamykać drzwi przed przyszłymi reformami. I w tym sensie – z komunistycznego punktu widzenia – przewrót wojskowy należy uznać za posunięcie mistrzowskie. Uchronił reżim przed całkowitym upadkiem; zlikwidował potrzebę braterskiej pomocy ZSRR; przywrócił wiarę, że Polska odegra swoją rolę w Układzie Warszawskim; uratował zdemoralizowaną partię od bratobójczych walk. Jako doraźny środek zapobiegawczy dokonał cudów.

Mimo to, jako twórcy pierwszego systemu militarnego w świecie komunistycznym, polscy generałowie z pewnością szybko i boleśnie uświadomili sobie swoją delikatną sytuację. Popełnili kardynalny

grzech „bonapartyzmu" i teraz przy pierwszej okazji mieli być poddani presji skłaniającej ich do ustąpienia. Prawdę mówiąc, nie ma powodu, aby wątpić, że większość z nich wolałaby natychmiast wrócić do żołnierskiego życia i z powrotem oddać politykę politykom. Złapali się w sieć kilku powiązanych ze sobą dylematów. Na każdym kroku natykali się na katastrofę. Gdyby szybko podjęli dialog z Kościołem i z przedstawicielami postsolidarnościowej opozycji, naraziliby się Moskwie, która by ich oskarżyła o zdradę obozu socjalistycznego. Gdyby poszli za radą partyjnego betonu i zaczęli realizować program doktrynalnych reform, ryzykowaliby gwałtowny wybuch społeczny. Gdyby się zrzekli władzy na rzecz pozbawionego autorytetu aparatu partyjnego, oznaczałoby to powrót do chaosu z lat 1980–1981. Gdyby mieli się bez końca kurczowo trzymać władzy, wzbudziliby podejrzenia zarówno swoich własnych partyjnych towarzyszy, jak i bratnich partii bloku. Gdyby nie zrobili nic – co musiało się im wydawać bardzo kuszące – pozwoliliby krajowi jeszcze głębiej pogrążyć się w bezwładzie politycznym i nędzy gospodarczej. Negatywne aspekty proskrypcyjnych rządów wojska już dały się poznać i wiadomo było, że rządzący mają minimalną zdolność pozytywnego, konstruktywnego działania. Ale wątpliwości musiała budzić także ich umiejętność zwykłego zejścia ze sceny i wycofania się z wszelkiej polityki. Polscy bonapartyści nie mieli żadnego z wojskowych talentów Bonapartego i niewiele z jego politycznych ambicji, przygniatał ich natomiast ciężar odpowiedzialności. Jak bardzo musieli tęsknić do Elby albo do ucieczki na resztę życia na Wyspę Świętej Heleny!

Krok po kroku członkom polskiego establishmentu wojskowego uświadamiano wątpliwe przesłanki, na których dotąd opierała się ich egzystencja. Podpisany w 1970 roku traktat z Niemcami Zachodnimi, który położył kres obawom Polaków o bezpieczeństwo granicy na Odrze i Nysie, zlikwidował potrzebę wiecznego sojuszu wojskowego z ZSRR. W połowie lat siedemdziesiątych niepowodzenie programu obrony cywilnej pokazało, że nikt w Polsce – nawet przywódcy partii – na serio nie wierzy w niebezpieczeństwo wiszącego w powietrzu ataku NATO. Powracające kryzysy polityczne – w latach 1970, 1976, 1980 i 1981 – podczas których raz za razem proszono wojsko, aby uratowało partię, unaoczniły przywódcom, jak bardzo cały naród nienawidzi ustroju komunistycznego. Najgroźniej zrobiło się po roku 1981, kiedy dziesiątki tysięcy żołnierzy wyciągnięto z bezpiecznych baraków i wysłano do patrolowania ulic albo kazano im pełnić straż w kopalniach i fabrykach – niemal każdy żołnierz w czynnej służbie musiał stawić czoło milczącym, pogardliwym spojrzeniom rodaków. Od najbardziej zastraszonego poborowego

po najtwardszego generała – wszyscy z pewnością zaczęli sobie powoli uświadamiać tę okropną sytuację. Jeśli nie było niebezpieczeństwa ze strony Niemiec Zachodnich (które ponoć przysyłały w darze całkiem sporo paczek żywnościowych), jeśli nie groził atak NATO i jeśli wspierany przez Sowietów ustrój komunistyczny nie był obrońcą polskiego narodu, lecz jego ciemiężycielem, to jaki cel miało istnienie sił zbrojnych Rzeczypospolitej Ludowej? Takie myśli, mówiąc socjalistycznym żargonem, pachniały „antysocjalistycznymi" i „antyradzieckimi" urojeniami, a antyradzieckość była zbrodnią jeszcze bardziej odrażającą niż bonapartyzm.

Z oczywistych przyczyn ferment wśród wojska narastał wolniej niż wśród ogółu ludności cywilnej. Przez większość swojej kariery zawodowi oficerowie byli chronieni przed stresem i napięciami, jakie niosło ze sobą powszechne niezadowolenie. Mieli własne mieszkania, własne sklepy i własne ośrodki rekreacyjne. Ich rodziny nie musiały stać w kolejkach po chleb i nie czuły żywej niechęci wobec reżimu, któremu zawdzięczały specjalne przywileje. Tak czy inaczej, przez wiele lat po wojnie Polacy mieli autentyczne poczucie zagrożenia ze strony Niemiec, a w zradykalizowanym społeczeństwie panowało autentyczne przeświadczenie, że komunizm zdoła przynieść jakieś realne korzyści. Tylko bezpośrednie zaangażowanie sił zbrojnych w sprawy polityczne mogło wyzwolić wybuch rozczarowania, jakie już o wiele wcześniej zaczęto odczuwać w innych sektorach społeczeństwa. Zamach stanu z grudnia 1981 roku musiał być kluczowym elementem tego procesu. Do roku 1981 szefowie sił zbrojnych mogli być dość pewni, że siły bezpieczeństwa poradzą sobie z ograniczonymi akcjami represyjnymi. Po roku 1981 natomiast mogli być dość pewni, że siłom zbrojnym jako takim nie da się nakazać akcji represyjnej w stosunku do jakiegoś przyszłego większego wybuchu społecznego niezadowolenia. „Kartą wojskową" już raz zagrano i nie można było tego wistu powtórzyć. W każdej przyszłej konfrontacji między komunistycznym establishmentem i społeczeństwem polscy komuniści nie mieliby żadnego innego wyjścia, jak tylko poprosić o ratunek armię sowiecką. A wtedy, bo nie wcześniej, świat poznałby prawdę o tym, kto w polskim wojsku jest tajnym sowieckim pachołkiem, a kto prawdziwym polskim patriotą.

Mimo wszystko jednak krążyło tyle zawoalowanych aluzji na temat możliwej inwazji sowieckiej, że każdy, kto miał jakiekolwiek wyczucie historii, musiałby sobie bez przerwy przypominać wszystkie sytuacje z przeszłości, kiedy Rosjanie rzeczywiście wkraczali do Polski – w latach 1944–1945, w roku 1939, w latach 1919–1920, 1863, 1831, 1813, 1794,

1791–1792, 1768–1772, 1710, 1706, 1655, 1632... Chociaż ostatnie ogniwa tego łańcucha inwazji nie zajmowały zbyt ważnego miejsca w podręcznikach WAP-u, pozostałe wcześniejsze były tam wymienione. Traugutt, Bem, Sowiński, Kościuszko, Poniatowski – wszyscy są bohaterami oficjalnego wojskowego panteonu; wszyscy przeszli do historii jako bojownicy walk z Rosją. Nie można też wątpić, że każdy polski żołnierz, bez względu na poglądy polityczne, żywi ukryty podziw dla Piłsudskiego i odczuwa dotkliwy żal na myśl o ofiarach Katynia. Po grudniu 1981 roku fałszywa propaganda historyczna poprzednich trzydziestu lat straciła na znaczeniu. W sercach i umysłach wszystkich tych polskich żołnierzy, którzy w każdej chwili mogli stanąć w obliczu straszliwego wyboru między wspomaganiem sowieckiej inwazji na ich kraj a stawieniem jej oporu, prawdziwa polska tradycja wojskowa nagle nabrała bardzo szczególnego znaczenia.

Tymczasem jednak obserwatorzy z zewnątrz musieli się zadowalać intrygującą zagadką dotyczącą zasad działania mechanizmów, dzięki którym przywódcy wojskowego reżimu podjęli zadanie rządzenia krajem. Jako szef WRON-u, głównodowodzący sił zbrojnych, pierwszy sekretarz partii, premier rządu i minister obrony narodowej, generał Jaruzelski z całą pewnością nazbierał więcej funkcji i urzędów niż przeciętny kardynał z epoki odrodzenia; nigdy jednak publicznie nie ogłoszono, jakie były wzajemne relacje między różnymi instytucjami, którymi zarządzał. Biuro Polityczne partii, dawniej najwyższy organ decyzyjny, nie zostało zlikwidowane, natomiast zmienił się jego skład. Komitet Centralny nadal od czasu do czasu odbywał posiedzenia. Sekretariat partii zapewne nadal funkcjonował, ale trudno przypuścić, żeby mógł jeszcze wydawać rozkazy wojsku. Rada Ministrów nadal ministrowała, chociaż usunięto kilku ministrów, a sejm – którego skład nie zmienił się od 1979 roku – nawet przyspieszył proces tworzenia nowych ustaw. Przewodniczący Rady Państwa oraz jego Rada, która zatwierdziła dekret nadzwyczajny z 13 grudnia, zostali na swoich miejscach. WRON miał kierować stanem wojennym i pełnić wszystkie wynikające z niego obowiązki, nie było jednak dowodów, żeby formalnie przejął prerogatywy Biura Politycznego czy Rady Ministrów. Wobec tego gdzie – jeśli nie w osobie generała Jaruzelskiego – znajdowało się centrum władzy? Osobowa dyktatura nie pasowałaby tak samo do generała – który nie miał cech Tity ani Ceauşescu – jak do całego ustroju komunistycznego. Można tu jedynie spekulować, niemniej wydaje się, że sedno wojskowo-partyjnej koterii Jaruzelskiego stanowił dość niejasny organ nazywany czasem Komitetem Obrony Kraju (KOK). Podobnie jak w ortodoksyjnym reżimie komunistycznym

oficjalny rząd nie starał się rozgłaszać swojej uległości wobec Biura Politycznego partii, w tym nowym wariancie leninizmu „WRONa" bardzo się starała ukryć swoją uległość wobec „KOKoszy". Istnienie tego tajnego, choć istotnego dla prowadzenia polityki Komitetu odgadli eksperci, którzy przeczesywali komunistyczną prasę w poszukiwaniu oznak takich wydarzeń; uważano, że składa się on w połowie z generałów WRON-u i w połowie z cywilnych członków Biura Politycznego. Posiedzeniom Komitetu przewodniczył podobno generał Jaruzelski. Jeśli tak było, to właśnie ta jego szósta, nierozgłaszana funkcja musiała być najważniejsza. Podobnie jak bardziej znany wojskowy dyktator Polski, wolał sprawować swoje dyktatorskie rządy zza kulis, zachowując fasadę istniejących instytucji. Jednakże na tych zbiegach okoliczności oraz na fakcie, że obaj panowie zdobyli władzę w dokładnie takim samym momencie politycznej kariery, w wieku 58 lat, kończą się podobieństwa między Wojciechem Jaruzelskim i Józefem Piłsudskim.

3. Władza robotników

Nagła akcja zdławienia Solidarności w grudniu 1981 roku niemal dla wszystkich była zaskoczeniem i trzeba by nie lada odwagi, żeby twierdzić, iż się tę akcję przewidziało. Już samo istnienie Solidarności stało się źródłem nadziei dla wszystkich, poza komunistycznym establishmentem, i tę nadzieję skutecznie zaszczepiono zachodnim obserwatorom. W latach 1980 i 1981 nikt nie zamierzał słuchać głosu kilku ekscentrycznych przepowiadaczy, którzy odważyli się ostrzegać przed nadchodzącą katastrofą. Jednak patrząc wstecz – jeśli prześledzić ruchy robotnicze z okresu sowieckiego komunizmu w szerszej ramie czasowej – los Solidarności nie wydaje się w żaden sposób niezwykły ani wyjątkowy.

Obrońcy komunizmu w sowieckim stylu twierdzili oczywiście nie tylko, że ich filozofia ma charakter socjalistyczny, ale również że stanowi ona jedyną prawdziwą formę „socjalizmu". KPZR rządziła w imieniu „chłopów i robotników", a w Związku Sowieckim – pierwszym „państwie robotników" – kult bohaterskiego robotnika, awangardy proletariatu, można było spotkać dosłownie na każdym kroku. Cała symbolika sowieckiej ideologii – „sierp i młot", stachanowcy, „brygady pracy socjalistycznej", pełny repertuar „socrealizmu" – została zbudowana wokół pojęcia „robotnika". Jeden z trzech fundamentalnych dekretów z 1917 roku – o chleb, pokój i pracę – ogłoszono pod hasłem Lenina: „Cała władza w ręce robotników". Milionom ludzi – w Związku Sowieckim i poza jego granica-

mi – którzy nie wnikali w głębszy sens tych symboli, trudno zrozumieć, dlaczego przywódcy ZSRR, a także przywódcy sojusznika ZSRR mieliby w ogóle rozważać zdławienie autentycznego ruchu robotniczego.

A jednak zapisy historyczne – dotyczące zarówno ruchu komunistycznego w ZSRR, jak i u polskiego sąsiada ZSRR – są jasne jak słońce. Zostawiając na boku sprawę zdławienia Partii Socjalistów-Rewolucjonistów w Rosji, która zdaniem bolszewików nie była ani socjalistyczna, ani rewolucyjna (ponieważ bolszewicy jej nie kontrolowali), pierwszym ruchem w obozie bolszewickim stłumionym siłą był ruch Michaiła Tomskiego, znany jako „Opozycja Robotnicza". Tomski opowiadał się za tym, aby władzę robotników wprowadzać za pośrednictwem autonomicznych związków zawodowych, ale przy pierwszej okazji po zakończeniu wojny domowej, podczas X Zjazdu partii zwołanego w 1921 roku, odkrył, że Lenin go oszkalował i w wyniku połączenia głosów zablokował mu dostęp do wszelkich wpływowych urzędów. Nie było żadnych niedomówień w sprawie stanowiska Lenina wobec „władzy robotników": partia ma sprawować władzę nad robotnikami. Od tamtego czasu każdą podejmowaną przez sowieckich robotników próbę kierowania własnymi sprawami bezlitośnie dławiono. Robotnicy – w roli robotników – nie mieli w sowieckim reżimie do odegrania żadnej innej roli. W Polsce obraz też nie przedstawiał się zbyt optymistycznie. Zostawiając na boku sprawę zdławienia KPP, która zdaniem Stalina zboczyła z prawdziwej drogi do komunizmu (ponieważ nie dość szybko zareagowała na żądania Stalina), nie było przypadku, aby rządzący w kraju ruch komunistyczny tolerował przez dłuższy czas – nie mówiąc już o inicjowaniu – jakąkolwiek organizację opartą na zasadzie „władza w ręce robotników". Plan samorządności robotników, zainicjowany w 1957 roku wśród ech gomułkowskiego października, nigdy nie dostał zielonego światła do realizacji swoich celów. Niezależna rola stworzonych przy tej okazji Rad Robotniczych została szybko zneutralizowana w wyniku włączenia ich do kontrolowanych przez partię Komitetów Samorządów Robotniczych (KSR). Okazało się, że w języku partii „samorząd" znaczy tyle co „rząd sprawowany przez partię". Potem – niewątpliwe na skutek podpowiedzi Moskwy – PZPR dostała nauczkę. Nie pozwolono już na żadne dalsze eksperymenty. W latach 1970–1971, po rozruchach na Wybrzeżu, obietnice Gierka w sprawie większego udziału robotników w podejmowaniu decyzji, które ich bezpośrednio dotyczyły, zostały po cichu zignorowane. Podobnych żądań w roku 1976 nawet nie słuchano. Niezależne Związki Zawodowe, z których ostatecznie nagle urodziła się Solidarność i które z zalążkowej formie istniały od 1976 roku, musiały działać w podziemiu, jako organizacja nielegalna i o niejasnym

profilu. Kiedy w 1980 roku przedstawiciele PZPR podpisywali w Gdańsku porozumienia sierpniowe i kiedy 10 listopada 1980 roku Sąd Okręgowy w Warszawie formalnie zarejestrował Solidarność jako legalną organizację, łamano ustalone normy oficjalnego postępowania w granicach bloku sowieckiego. W tym kontekście nikogo nie powinno zbytnio dziwić, że Solidarność musiała zostać zdławiona. Przeciwnie: było rzeczą zadziwiającą, że udało jej się przetrwać aż tak długo.

We wrześniu 1982 roku, dziewięć miesięcy po grudniowym zamachu stanu, wojskowy rząd wprowadził ustawę, która formalnie likwidowała wszystkie istniejące związki zawodowe i wprowadzała projekt nowych, tworzonych w zakładach pracy. W oficjalnej kampanii propagandowej nawoływano robotników, aby do nich wstępowali, ale prawie nikt nie zawracał sobie tym głowy. Przeważająca postawa, przekazana z Gdańska zachodnim komentatorom, zawierała się w haśle „Solidarność albo nic". Gdyby polskim robotnikom miano nie zezwolić na zarządzanie własnymi związkami, nie byli oni skłonni ponownie się nabrać na pochlebstwa komunistów. W latach 1980–1981 jednym z ich trwałych osiągnięć stało się pokazanie światu, że w komunistycznym języku „władza robotników" znaczy „władza komunistów nad robotnikami".

4. Poezja w stoczniach

Mimo licznych doniesień i reportaży wiele z kulturalnych treści epoki Solidarności nie trafiało do zewnętrznego świata. Zachodni sprawozdawcy, których wiedza o sporach w sprawie związków zawodowych koncentrowała się wokół kwestii społecznych i ekonomicznych, najlepiej znanych w ich własnych krajach, nie zawsze wykraczali poza aspekty czysto materialne. A kiedy już to robili, na ogół dostrzegali wszechobecny element religii, którego trudno było uniknąć; całkiem słusznie podkreślali rolę Kościoła rzymskokatolickiego. Często jednak – czy to z powodu bariery językowej, czy za sprawą osobistych predyspozycji – nie udawało im się uchwycić bardziej subtelnych aluzji literackich i historycznych równie – na swój własny sposób – istotnych. *Czytanie poezji w Polsce* to w zachodniej prasie nie był nagłówek równie chwytliwy jak wiadomość o buncie czy demonstracji, a tekst polskiego wiersza, w pośpiechu zapisanego i powielonego na odwrocie jakiegoś starego dokumentu, było o wiele trudniej zrozumieć niż bardziej czytelne slogany polityczne, karykatury lub apele.

Mimo to dla ludzi uczestniczących w zachodzących wydarzeniach, dla milionów zwolenników Solidarności, wszelkie aspekty elementu kul-

turowego – nabożeństwa religijne, wykłady, pokazy filmów, koncerty i kabarety, ale także wydarzenia czysto literackie – były zapewne równie cenne jak żądania praw dla związkowców, wzrostu wynagrodzeń czy poprawy warunków pracy. Robotnicy Zachodu, którzy żyją w krajach demokratycznych, gdzie przez większość czasu respektuje się większość ich swobód, nie mają silnej potrzeby wywierania na swoje związki presji w sprawie promowania kultury, ponieważ każda rodzina może swobodnie uprawiać – albo swobodnie ignorować – działalność kulturalną wybraną według własnego gustu. W świecie komunistycznym natomiast, gdzie wszelka taka działalność ma być częścią oficjalnej propagandy, potrzeby robotników były dość odmienne. Robotnicy wykazywali autentyczne emocje i entuzjazm na wieść o planowanym przedstawieniu teatralnym czy nieformalnym czytaniu poezji, stanowiącym zapowiedź owocu zakazanego – ukrytych znaczeń i niejednoznacznych obrazów. (Nie było przypadkiem, że największej publiczności na świecie zbierającej się, żeby posłuchać czytanej poezji, należało szukać w Związku Sowieckim). W Polsce, gdzie niezależność Kościoła tradycyjnie stwarzała parasol ochronny nad pewną dozą swobód w dziedzinie kultury, społeczne żądania wolności wypowiedzi można było uznać za rzecz mniej pilną. Mimo to wysuwano te żądania z wielką siłą i żaden obraz tamtych czasów nie byłby pełny, gdyby je pominąć.

Warto zauważyć, że główna inicjatywa w dziedzinie kultury pochodziła chyba nie tyle od profesjonalistów, ile od zwykłych ludzi. Nastąpił spontaniczny wybuch, potężny manifest tęsknoty mas do prawdziwej i nieskrępowanej kultury. Tacy zawodowcy jak reżyser filmowy Andrzej Wajda, którzy szybko stali się niepoprawni, mieli oczywiście znaczący wkład w to dzieło. Publiczne pokazy *Człowieka z żelaza* – po lipcu 1981 roku – często w połączeniu z wcześniejszym *Człowiekiem z marmuru* pozostawiły na milionach widzów niezatarte piętno. A potem powszechna świadomość, że partia manipuluje prostym ludem pracującym, a także wynikająca z niej demoralizacja i brutalizacja społeczeństwa przekroczyły wszelkie granice. Wykładowcy, aktorzy, muzycy i artyści często oferowali swoje usługi gratis, wspierając w ten sposób sponsorowane przez Solidarność wydarzenia kulturalne. Prawdziwym cudem tamtego czasu był jednak spontaniczny udział w nich niezliczonych młodych dziewcząt i chłopców, którym brakowało formalnego wykształcenia i których wrażliwości na wartości kultury przedtem zapewne po prostu nie dostrzegano. Nie było niczym dziwnym w katolickiej Polsce, że strajkujący modlą się – między innymi – za rząd ani że młodzi ludzie z gitarami zbierają się w jakimś miejscu, żeby śpiewać własną wersję pieśni, które w latach

sześćdziesiątych wyrażały protest młodzieży Zachodu. „Módlmy się za rządzących i wybaczajmy nieprzyjaciołom naszym" lub *We shall overcome* stanowiły stałe punkty programu. Studenci politechniki wywieszali na ulicach tekst takiego czy innego wiersza, żeby wzruszyć przechodniów i skłonić ich do złożenia datku na fundusz strajkowy. Ale kiedy stoczniowcy i górnicy dowodzili, że znają swojego Mickiewicza i Słowackiego, i kiedy wpadali na pomysł, żeby rozdawać teksty wieszczów podczas spotkań i demonstracji, nawet najbardziej sceptyczni z profesorów musieli być zaskoczeni i zachwyceni. Na pewien czas poezja wyszła z ukrycia i objawiła się w polskich hutach, kopalniach i stoczniach.

Pierwsze oznaki tego procesu można było zobaczyć przed bramą Stoczni im. Lenina podczas pierwszego strajku w sierpniu 1980 roku. Na skrawku papieru, przymocowanym do zbitego z drewnianych belek krzyża upamiętniającego ofiary sprzed dziesięciu lat, widniał przedziwny, lecz rozpoznawalny cytat z *Giaura* Byrona:

> Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,
> Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna,
> Sto razy wrogów zachwiana potęgą,
> Skończy zwycięstwem (...)
> (przekład Adama Mickiewicza)

Warto zauważyć, że – jako znak unikania przemocy – wyraz „krwią" pominięto; w tekście znalazły się zresztą jeszcze inne rozbieżności. Autorstwo poematu błędnie przypisano Krasińskiemu, chociaż pierwszego polskiego przekładu dokonał Mickiewicz. Nieważne – jakiś anonimowy uczestnik strajku, a może jakaś grupa strajkujących po drugiej stronie bramy odszukali w pamięci te jakże stosowne wersy z romantycznego wiersza, który po raz pierwszy dotarł do Polski przed ponad 150 laty. Popełnione błędy były dowodem spontaniczności[4].

W innym miejscu na murach obleganej stoczni uczestnicy strajku powiesili afisze i hasła skierowane do tłumu żon i dziewczyn, stojących na zewnątrz i wspierających swoich mężczyzn. Najczęściej widniały na nich słowa anonimowego wiersza „Bywaj dziewczę zdrowe, Ojczyzna mnie wzywa", popularnego podczas powstania listopadowego. I tym razem wierność oryginałowi pozostawiała nieco do życzenia, choć znaczenie przekazano z absolutną wiernością:

---

[4] Zob. Maria Janion, *Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi*, „Pismo" 1981, nr 3, s. 16–17.

Pamiętaj, żeś Polka,
O polską sprawę walka.
Obowiązek ją bronić,
To twoja rywalka[5].

Podczas długich letnich dni strajku aktorów miejscowego Teatru Wybrzeże wezwano do stoczni, aby czytali robotnikom Mickiewicza, Słowackiego, Norwida. Ich dyrektor był pod wrażeniem sposobu, w jaki ich przyjęto:

> Nie wiedzieliśmy, czy powinniśmy stosować nasze zwyczajowe zawodowe środki. Jak się jednak okazało, teksty spotykały się z wyśmienitym przyjęciem. *Księgi pielgrzymstwa polskiego* Mickiewicza wywarły takie wrażenie na słuchaczach, jakby dopiero co zeszły z pióra autora. W audytorium, w którym występowaliśmy, słychać było nieustanny stukot maszyn do pisania i teleksów. Kiedy recytowano „Widzenie księdza Piotra", ludzie nie wstydząc się szlochali. Żądano bisów... Rozmawiałem osobiście z robotnikami i było jasne, że rzeczywiście pragną oni wielkiej poezji i literatury[6].

W grudniu 1980 roku, kiedy odsłaniano pomnik upamiętniający zabitych robotników, poezja raz jeszcze wkroczyła na scenę. Uroczystość, w której uczestniczyli dygnitarze państwowi i kościelni oraz gwardia honorowa umundurowanych komandosów, rozpoczęła się odśpiewaniem *Roty,* buntowniczego hymnu Polaków z terenu Prus, napisanego przez Marię Konopnicką. Mimo zacinającego śniegu rozbrzmiewał on z taką samą werwą, jaką wzbudził siedemdziesiąt lat wcześniej, kiedy został publicznie odśpiewany podczas uroczystości odsłonięcia przez Ignacego Paderewskiego Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie:

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród!
Nie damy pogrześć mowy!
Polski my naród, polski ród,
Królewski szczep piastowy!
Nie damy, by nas gnębił wróg!
Tak nam dopomóż Bóg![7]

---

[5] „Pamiętaj, żeś Polka, że to za kraj walka, / niepodległość Polski to twoja rywalka", zob. tamże,
[6] Tamże.
[7] *Rota* – słowa Marii Konopnickiej, muzyka Feliksa Nowowiejskiego.

Melodia ma wszystkie cechy walijskiego *hwyl* – impulsu emocji i energii – walijskiego hymnu (*Rota* jest dla Polaków tym, czym *Cwm Rhondda* dla Walijczyków). Potem pociągnięto za wstążkę i ukazała się tablica umieszczona na pomniku. Pod wznoszącymi się ku niebu krzyżami i pod przywodzącymi na myśl symbol Armii Krajowej kotwicami widniały wyryte w brązie słowa wiersza Czesława Miłosza:

Który skrzywdziłeś człowieka prostego,
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Gromadę błaznów koło siebie mając
Na pomieszanie dobrego i złego,

Choćby przed tobą wszyscy się skłonili,
Cnotę i mądrość tobie przypisując,
Złote medale na twoją cześć kując,
Radzi, że jeszcze dzień jeden przeżyli,

Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Możesz go zabić – narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy.

Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy
I sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta.

W takim kontekście nie mogło być wątpliwości, do kogo się odnosi ten wiersz.

Czesław Miłosz (1911–2004) należał – obok Jana Pawła II i Lecha Wałęsy – do ludzi, którzy najwyraźniej odcisnęli swoje piętno na odrodzeniu lat 1980–1981. Miłosz, który prawie trzydzieści lat przeżył na wygnaniu, był największym żyjącym polskim poetą, ale przed rokiem 1980, kiedy dostał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury, jego poezja znajdowała się na partyjnym indeksie. Potem nagle szlaban podniesiono, a popyt na wiersze poety przerósł wszelkie możliwości podaży. Miłosz – Polak z Litwy, doskonały wzór przedwojennej edukacji i elegancji, marksista o niekomunistycznych poglądach – odrzucał wszelkie ciasne dogmaty oficjalnej ideologii. Jego triumfalny powrót do ojczyzny w 1981 roku ustępuje jedynie powrotowi Jana Pawła II do Polski dwa lata wcześniej. Jego spotkanie z Wałęsą na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim było zachwycająco entuzjastycznym wybuchem radości, żywym dowodem sojuszu między inteligencją i proletariatem. Potem Miłosz ponownie udał się na wygnanie do Kalifornii.

Wszyscy są jednak zgodni co do tego, że najpopularniejszym poetą całej epoki Solidarności był Juliusz Słowacki. Z powodów, które badacze literatury z pewnością będą roztrząsać w wolnych chwilach, twardzi robotnicy w twardych kaskach odczuwali największe pokrewieństwo z najbardziej romantycznym z polskich romantyków. Podczas wszystkich masowych pochodów i uroczystości, nie tylko w Gdańsku, ale 3 Maja także w całym kraju, podczas czytania przysięgi Kościuszki przez Lecha Wałęsę na krakowskim Rynku najliczniej kolportowane ulotki zawierały wersję pieśni konfederatów barskich z poematu dramatycznego Słowackiego *Ksiądz Marek:*

Nigdy z królami nie będziem w aliansach,
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi;
Bo u Chrystusa my na ordynansach,
Słudzy Maryi!

W tej czy innej formie wersy te śpiewano w Polsce przez ponad dwieście lat. Są elementem narodowego dziedzictwa. Niełatwo je usunąć za pomocą armatek wodnych i pałek.

Solidarność stała się nawet źródłem inspiracji dla własnego gatunku poetów. Świat literatury nie ma dość czasu na to, żeby odsiewać produkty prawdziwego talentu od masy amatorskich efemeryd, ale intensywność uczuć i świadomość tradycji narodowej można było zauważyć na każdym kroku. Podobnie jak zwyczaj wyrażania postaw politycznych w formie romantycznego wiersza oraz pragnienie umieszczania dzieł wersyfikatorów na murach, latarniach i płachtach papieru. Było też chyba dość typowe, że kiedy studenci warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych dołączyli do powszechnego strajku uczelni w listopadzie 1981 roku – zaledwie na kilka dni przed ogłoszeniem stanu wojennego – obok ich apelu o datki na fundusz dla strajkujących znalazł się długi wiersz, który powieszono na tablicy przed zamkniętą bramą Akademii:

Polonia resurrecta

Mój kraju radosnych przedwiośni i smutnych wiosen
Mój kraju siwych brzóz
Odlatujących ludzi o sercach gołębich
Coraz mniej oczu zapatrzonych w przeszłości cmentarze
I coraz mniej pokrytych bliznami odwagi twarzy

Mój kraju Wisły płynącej powoli
Mój kraju.....
Gdzie każda bruzda twej ziemi jak otwarta rana boli
Rozorana pamięcią dawnych krzywd obrazem
Gdzie prochy ludzkich kości ziemią się stały
A potem murem z kłosów pszenicy z grobów powstały

Mój kraju dzwonów kościelnych śpiewem płaczący
Procesji tłumów w milczeniu kroczących
Zaśpiewaj szumem skrzydeł ptaków przebudzonych
Ze snu pięknego ze snu zgubnego

Mój kraju cierpliwie hańby znoszący
Domów przodków zbezczeszczonych czasu zapomnieniem
Za grzechy narodu swego skazany
Z martwych powstaniesz wpierw ukrzyżowany
Kraju mój.....[8]

Ale najlepiej nastrój tamtych chwil oddają popularne pieśni – nowe pełne buntu teksty napisane do nieprzystających do nich dawnych melodii, zjadliwe parodie oficjalnych hymnów, gniewne rymowanki i sentymentalne treny. Czasami gniew ludu znajdował wyraz w pełnych goryczy refrenach – „niech zadrży czerwona hołota", „Czas, Polsko, wystawić rachunek twych ran", „wyrwij murom zęby krat". Jednak najczęściej (jak w tekście Jana Pietrzaka) ten głos wybuchał potężnym chórem pamięci historii narodu i jego odwiecznych dążeń:

Zrzucał uczeń portret cara,
Ksiądz Ściegienny wznosił modły,
Opatrywał wóz Drzymała,
Dumne wiersze pisał Norwid.
I kto szablę mógł utrzymać,
Ten formował legion, wojsko.
Żeby Polska, żeby Polska!
Żeby Polska była Polską!

[8] Maksymilian Mirosław Biskupski, *Polonia resurrecta*; wiersz niepublikowany, z prywatnych zbiorów autora.

5. Podziemny ruch oporu

W minionych dwóch stuleciach Polska bywała tak często okupowana, że bierny opór i działalność podziemna stały się drugą naturą ludzi. Stan wojenny ogłoszony w 1981 roku przywrócił do życia wszystkie zwyczaje, których się nauczono za stalinizmu i podczas niemieckiej okupacji. Młodzi ludzie pytali rodziców, jakimi sposobami działacze ruchu oporu z czasu wojny próbowali przechytrzyć nazistów, a ojcowie opowiadali synom, jak dziadek wspominał carską Ochranę. Strategiczna wojna między siłami porządku i wyalienowanym społeczeństwem trwała dłużej, niż sięgała ludzka pamięć, i prowadzono ją instynktownie – nie za pomocą pocisków, lecz za pomocą znaków i symboli. Było dość naturalne, że gdy na ulicach Warszawy pojawiły się oddziały ZOMO, tłum gapiów zaczynał skandować „Ge-sta-po, Ge-sta-po"[9].

Gdy Solidarność została zdelegalizowana, jej przywódcy musieli ponownie rozważyć swoją strategię i taktykę na czas stanu wojennego; w marcu 1982 roku „Tygodnik Mazowsze" – jeden z wielu tygodników wciąż jeszcze wydawanych poza cenzurą przez podziemne wydawnictwa – opublikował trzy powiązane ze sobą tematycznie artykuły poświęcone tej kwestii[10]. Pierwszy, napisany przez Jacka Kuronia i przemycony z celi w więzieniu w Białołęce, nawoływał do utworzenia podziemnego państwa, „dobrze zorganizowanego ruchu oporu". Autor stwierdzał, że połączone wysiłki mające zmusić władze do zawarcia nowego porozumienia są najlepszym sposobem na zahamowanie prób rozwiązań siłowych. Przedstawiał wizję narastającej kampanii lokalnych dywersji pod centralnym kierownictwem, które miałyby „w ciągu kilkunastu tygodni" doprowadzić do decydującej konfrontacji z wojskowym reżimem. Zalecał też publiczną deklarację mającą zagwarantować strategiczne i wojskowe interesy ZSRR.

Autorem drugiego artykułu, zatytułowanego *Walka pozycyjna*, był Zbigniew Bujak, szef warszawskiego regionu Solidarności, wciąż jeszcze pozostający na wolności. Bujak krytykował przeprowadzoną przez Kuronia analizę, twierdząc, że nie docenia ona siły państwa

---

[9] Ta analogia była jednak nieco przesadzona. Nikt w wojennej Warszawie nie mógłby otwarcie szydzić z Gestapo, a potem żyć wystarczająco długo, żeby móc o tym opowiadać.

[10] Jacek Kuroń, *Tezy o wyjściu z sytuacji bez wyjścia*, Zbigniew Bujak, *Walka pozycyjna*, Wiktor Kulerski, *Trzecia możliwość*. Pełne teksty ukazały się w „Informacja-Solidarność" (Montreal), z 21 maja 1982, nr 3; przekłady angielskie w „Committee in Support of Solidarity – Reports" (New York), nr 1.

wojskowo-policyjnego i że może doprowadzić tylko do gwałtownej akcji odwetowej władz. Proponował natomiast silny, zdecentralizowany ruch wykorzystujący wiele strategii i stosujący zasadę „unikania otwartych konfrontacji z rządem". Wzywał swoich zwolenników do podejmowania wszelkich niezależnych działań społecznych, kulturalnych i gospodarczych bez odwoływania się do oficjalnych organów państwowych. Komitety samopomocy, nieformalne ugrupowania o charakterze związków zawodowych, podziemne wydawnictwa, niezależne kręgi literackie i artystyczne, podziemne stowarzyszenia oświatowe – wszystko to stanowiłoby fundament „podziemnego społeczeństwa". Bujak nie obiecywał szybkiego zwycięstwa i jako ostateczności nie wykluczał możliwości powstania; uważał jednak, że długi okres ciężkiej i odpowiedzialnej pracy najlepiej przygotuje naród do tego, co go czeka.

Artykuł trzeci nosił tytuł *Trzecia możliwość* i był podpisany przez Wiktora Kulerskiego, jednego z towarzyszy Bujaka z warszawskiego podziemia. Kulerski był równie krytyczny wobec tezy Kuronia, ale opierał swoje wnioski na założeniu o „stopniowym rozkładzie systemu". Ponieważ bezpośredni opór umacnia aparat rządowy, najlepszym sposobem będzie go ignorować. Opowiadał się za „ewolucją, a nie rewolucją". Podzielał pogląd Bujaka na nieformalny, zdecentralizowany „ruch pluralistyczny", a jednocześnie przedstawiał obraz sytuacji, w której dotknięty zgnilizną reżim komunistyczny stopniowo się rozpadnie, a rząd będzie sprawował władzę nad pustymi sklepami, ale nie nad rynkiem; nad miejscami pracy, ale nie nad poziomem życia ludzi; nad państwowymi mediami, ale nie nad informacją; nad wydawnictwami, ale nie nad ważnymi wydawnictwami; nad usługami pocztowymi i telefonicznymi, ale nie nad systemem komunikacji; nad szkołami, ale nie nad systemem oświaty[11]. Kulerski zdawał sobie sprawę, że sukces tego programu, który oznaczałby, iż ostatecznie rząd zachowa władzę nad pustą skorupą niesklonnych do współpracy instytucji, być może zmusi Związek Sowiecki do interwencji. A w takim przypadku – twierdził Kulerski – Polacy byliby o wiele lepiej wyszkoleni w sztuce walki o przetrwanie, niż gdyby przyszło im spędzić całe życie na daremnym oporze.

Wszystkie te trzy artykuły są odzwierciedleniem argumentów, które wysuwano w działaniach ruchu oporu z czasu wojny – na początku okupacji hitlerowskiej w latach 1939–1940. Odpowiednikami zwolenników wczesnej konfrontacji, stopniowej mobilizacji i sztuki społecznego przetrwania byli doradcy Armii Krajowej. Stan wojenny generała Jaruzelskie-

[11] Zob. Wiktor Kulerski, *Trzecia możliwość*, „Tygodnik Mazowsze" 1982, nr 8, s. 4.

go przyjęto po prostu jak kolejną rundę w niekończącej się walce przeciwko obcemu uciskowi, a przeważająca opinia – jak zawsze – oznaczała oczekiwanie kampanii trwającej raczej lata niż tygodnie czy miesiące.

Rzeczywiste znaczenie podziemnego ruchu oporu można najwyraźniej dostrzec z przeciwnej strony muru – oczyma komisarzy wojskowych, którzy musieli sobie z nim radzić. Szczęśliwym przypadkiem obszerne przemówienie na ten temat, wygłoszone w lutym 1982 roku przez pułkownika Wiślickiego, komisarza wojskowego sprawującego nadzór nad personelem Polskiego Radia i Telewizji, zostało w tajemnicy nagrane i opublikowane. Pięknie ujawnia ono naturę problemu:

> Niektórzy towarzysze mówią, że ta Solidarność to był taki papierowy tygrys, który został zlikwidowany jednej nocy z 12 na 13 grudnia, przestał być groźny, przestał funkcjonować. I na tle tego przekonania występowały takie wypowiedzi, że w zasadzie zwyciężyliśmy, że czas już święcić zwycięstwo, skrócić albo odwołać stan wojenny, że wszystko jest w porządku. Towarzysze takie stanowisko reprezentowali, szczególnie ci towarzysze, którzy rozsiedli się w gabinetach pod palmami na swoich fotelach... pod ochronnym parasolem wojska. Otóż taka ocena sytuacji jest wysoce błędna..., jest wysoce szkodliwa...
>
> Jeśli ktoś z was pyta, jak długo trwać będzie stan wojenny w Polsce, to wydaje mi się, że odpowiedź jest prosta, jednak to, co prowadzi do jej realizowania, jest niesłychanie trudne. Otóż stan wojenny w Polsce trwać będzie dotąd, dokąd nie odrodzi się Partia. Przy czym nie mam tutaj na myśli biurokracji partyjnej... ale mam na myśli Podstawowe Organizacje Partyjne w zakładach pracy... Nie może być mowy o jakimś pluralizmie politycznym, o tej czy innej opozycji, mniej czy bardziej zorganizowanej. Dlatego też przesłanki do likwidacji stanu wojennego zaistnieją tylko wtedy, kiedy Partia będzie mogła przejąć polityczne kierownictwo zakładami pracy. A stąd wynika, że stan wojenny trochę w tym kraju potrwa. Zaakceptowanie to nie jest sprawa miesięcy, tylko to jest sprawa lat... i na to przynamniej wojsko jest przygotowane...
>
> Ostatnio w sposób wyraźny obserwujemy, że aktywizują się elementy antysocjalistyczne wewnątrz kraju. Po szoku, jakim było wprowadzenie stanu wojennego – zresztą na marginesie muszę stwierdzić, że jego wprowadzenie odbyło się w sposób lepszy, niż przewidywaliśmy... przy tak małych ofiarach i są one wielokrotnie niższe od przewidywanych. Przeciwnik zaczyna się organizować...

Koncepcji [ruchu] związkowego jeszcze w tej chwili nie ma. Jedno wiadomo, że nie może to być ruch związkowy organizacji regionalnych... Premier powiedział w Sejmie, że takie będą związki, jaka będzie wola klasy robotniczej... Ja bym podchodził ostrożnie do tego hasła, bo mam poważne wątpliwości, czy dla funkcjonowania państwa byłoby korzystne tworzyć związki zgodne z wolą klasy robotniczej.

Ale co obserwujemy teraz? Obserwujemy, że Solidarność... zaczyna się coraz bardziej organizować i te organizacje zaczynają funkcjonować. Bujak w wywiadzie dla jednej z amerykańskich stacji TV telewizji powiedział, że chodzi o organizowanie małych grup wielkiego oporu. Oporu biernego, nie czynnego... Chodzi przede wszystkim o zwalnianie tempa pracy, gdyż jeżeli jest ono odpowiednio stosowane, nie może powodować... bo wiadomo, że jeżeli zostanie zorganizowany strajk, to w ten czy inny sposób będzie on złamany. Powiedzmy, zakład zaczyna, przyjeżdżają oddziały ZOMO, żeby strajk złamać, to po prostu w takim wypadku Bujak i Spółka radzą przestać strajkować i przystąpić do pracy. Po jakimś czasie ZOMO odjeżdża, to z powrotem – strajk. Są wskazówki dotyczące pewnego działania wizualnego, które ma uzmysłowić, że Solidarność funkcjonuje: gaszenie świateł o określonej porze, zapalanie świeczek. Kolejnym kierunkiem jest ostrzeganie przed współpracą. Wzywają na przykład do zbierania dowodów przeciwko, jak oni to nazywają, kolaborantom... Instruuje się członków Solidarności, w jaki sposób mają się zachowywać, aby utrudnić funkcjonowanie reżimu wojskowego... Sytuacja jest wysoce skomplikowana. Naprawdę daleko jeszcze, aby święcić zwycięstwo.

Pyta głos z sali: „Dlaczego nie złapano jeszcze Bujaka? Co właściwie robi to nasze cholerne MSW?". Ja nie mam żadnych danych od towarzyszy, którzy się tym zajmują... No bo jak oni SĄ w klasztorze? To trzeba by zrobić inwazję na ten klasztor. Posłać tam kompanię całą albo batalion i rozwalić to wszystko. I nie wiemy, czy reperkusje wewnętrzne i międzynarodowe korzyści byłyby warte Bujaka... Zresztą gdybyśmy mieli jasność, przekonanie... jakie będą związki zawodowe i co będzie z Solidarnością, to wtedy byłoby także zdecydowane działanie w jedną lub drugą stronę. Ale jak nie ma tej koncepcji, to nie wiadomo, czy ten cholerny Bujak nie będzie jeszcze kiedyś potrzebny... absolutnie nie jestem przekonany...

Głos z sali: „Towarzyszu, dlaczego milicja nie aresztuje tych ludzi, którzy gaszą światło i zapalają świeczki?". To nie jest taka prosta sprawa. Po pierwsze, to jest zjawisko występujące dosyć szeroko, a po drugie, Jaruzelski wyraźnie powiedział, że obowiązuje stan wojenny, ale nie zostało zawieszone żadne prawo w Polsce. To jakim prawem.

Będziecie wchodzić do mieszkań i pytać ludzi, dlaczego gaszą światło? Gaszą, bo im się chciało, gaszą, bo im to wolno... No tak, towarzysze, wolno. No jaka jest podstawa prawna? Nie ma żadnej podstawy. No a w Świdniku wychodzą sobie na spacer. Spokojnie spacerują i co im możecie zrobić?...

Albo mówicie o weryfikacji. Prowadzimy weryfikację wszędzie, no i co z tego?... Weryfikacja niesłychanie bulwersuje środowisko, a poza tym ja nie wiem, czy naukowiec pracujący na uniwersytecie... nie będzie dla nas mniej niebezpieczny niż ten sam naukowiec wyrzucony poza ramy uniwersytetu i organizujący się poza nim, już bez naszej kontroli... Nie wiem i takich pytań jest wiele.

Kolejna sprawa... to sprawa Kościoła. Otóż ja uważam, że Kościół to jest bomba z opóźnionym zapłonem. Dla mnie jest pewne, że działalność Kościoła traktowana globalnie jest w tej chwili zdecydowanie antypaństwowa. Istnieją jednak różnice zdań w hierarchii kościelnej. Najbardziej, że tak powiem, spolegliwy jest Glemp, który chce iść na pewne rozmowy z rządem... Macharski reprezentuje stanowisko bardziej skrajne, chociaż też nie radykalne. Natomiast ten jak on się nazywa, no, ten Gulbinowicz z Wrocławia, to już jest sama ekstrema w Kościele... I ci trzej ludzie nie przypadkowo byli u papieża... (...) No, może wrócę jeszcze do listu pasterskiego z 19 stycznia, który odczytywany był we wszystkich kościołach, był to list niesłychanie wredny, nawołujący wręcz do zbrojnych wystąpień. Może nie bezpośrednio, ale można tak interpretować... Szopki w kościołach mają w tej chwili charakter wyłącznie polityczny. Nie wiem, czy ta bomba z opóźnionym zapłonem wybuchnie, zadziała, ale musimy być uważni, bo oni są bardzo sprytni[12].

[12] Zapis ze spotkania aktywu PZPR Radia i Telewizji z komisarzem wojskowym płk. Wiślickim z połowy lutego 1982, w: *Ślepota*, wybór M. Radecka (Magda Leja), Wydawnictwo CDN, Warszawa 1982 (Muzeum Wolnego Słowa).

Tak brzmiał w 1982 roku autentyczny głos wojskowego reżimu. Reżim nie oczekiwał, że uda się szybko przywrócić władzę partii, nie udawał, że ma poparcie społeczne, nie miał pojęcia, jak przezwyciężyć opór. Chociaż pułkownik Wiślicki był sceptyczny co do tego, czy premier rzeczywiście chce spełnić życzenia klasy robotniczej, najwyraźniej nie miał ochoty odwoływać się do najostrzejszych środków represji. W kwestiach praktycznych, takich jak aresztowania dysydentów czy przeprowadzanie weryfikacji (podpisywanie lojalek), okazał się klasycznym polskim lawirantem. W najostrzejszych słowach mówił o Kościele, ale nie miał żadnych pomysłów, jak sobie z nim poradzić. Kilkakrotnie przywoływał ironiczną historyczną paralelę hitlerowskiej okupacji. Z każdego zdania przebijała charakterystyczna postawa wojskowego reżimu Jaruzelskiego – mieszanka twardego języka ze sporą dozą praktycznej powściągliwości; Wiślicki szykował się na długą służbę.

Zaledwie pół roku po ogłoszeniu stanu wojennego tocząca się w podziemiu walka między reżimem i ruchem oporu zbliżała się do impasu. Spośród trzech różnych programów proponowanych przez przywódców Solidarności w marcu projekt Kuronia szybko okazał się niedobry. Propozycje Bujaka i Kulerskiego, oparte na strategiach biernego oporu, były trafniejsze. Mijało lato i jesień, demonstrantów rozpędzano bez nadmiernego użycia siły, czołowych aktywistów podziemia wyłapywała milicja (Frasyniuka aresztowano we Wrocławiu 5 października) i w miarę rozwoju tych wydarzeń strategia przeżycia proponowana przez Kulerskiego okazywała się najbardziej realistyczna. Generał Jaruzelski osobiście wyraził kondolencje rodzinie chłopaka zastrzelonego w listopadzie w Nowej Hucie przez milicyjnego szpicla i był to wyraz jego wrażliwości na relację ze społeczeństwem, ale nie zmiany frontu. Przywódcy podziemnego ruchu oporu, podobnie jak wojskowi komisarze, którymi gardzili, szykowali się na długą służbę. Ich ojcowie przetrwali o wiele dotkliwszy stan wojenny z lat 1939–1945, a ich przodkowie – oblężenie trwające przez cały XIX wiek. Wierzono zatem, że przetrwają i oni.

Przez cały czas obawiano się głównie, że zdławienie najpierw pokojowej opozycji, a potem biernego oporu okaże się inauguracją epoki terroryzmu. Komunistyczne władze, które same uciekły się do przemocy, naraziły Polskę na możliwość odpłaty tą samą monetą. Była to logiczna konsekwencja. Bóg świadkiem, że w nagłówkach światowych gazet znalazło się wystarczająco wielu terrorystów, żeby wypełnić głowy sfrustrowanych młodych Polaków różnymi pomysłami, a w historii Polski też ich nie brakowało – później czczono takich ludzi jako bohaterów narodowych, których przykład mógł otoczyć terroryzm aurą szacunku należ-

nego patriotom. Różnica między terrorystami i bojownikami o wolność nie miała nic wspólnego z naturą ich działań, za to mnóstwo wspólnego z punktem widzenia ich wrogów lub wielbicieli, a polskie społeczeństwo, doprowadzone do rozpaczy przez nieustępliwy reżim, pozostałoby ludzkie tylko wtedy, gdyby jego odwieczna wrogość wobec terroryzmu mogła się przemienić w podziw dla bojowników o wolność. Gdyby miało się okazać, że spisek porucznika Piotra Wysockiego mający na celu zabójstwo wielkiego księcia Konstantego w 1830 roku był wielkim patriotycznym czynem, trudno byłoby potępiać analogiczną próbę spisku mającego na celu zamach na życie sowieckiego ambasadora w latach 1984 czy 1985. Gdyby rozgrzeszyć „żandarmów" z podziemia z czasu powstania styczniowego – morderców, którzy zadźgali nożami lub powiesili agentów carskiej policji – to w latach osiemdziesiątych trudno byłoby oświadczyć młodym ludziom, że zrobiliby źle, gdyby poderżnęli gardła agentom SB czy członkom ZOMO; jeśli było w porządku, że Ignacy Hryniewiecki rzucił granat, od którego zginął car Aleksander II (a także sam zamachowiec), to równie w porządku byłoby, gdyby jakiś współczesny młody Polak spróbował podłożyć ładunek wybuchowy w limuzynie pana Andropowa. To są bohaterowie, których gloryfikują komunistyczne podręczniki, i byłoby gorzką ironią, gdyby jakiś polski student rzeczywiście miał sobie to wziąć poważnie do serca.

Natomiast przed terroryzmem musi się pojawić „wywłaszczenie", ponieważ każdy terrorysta musi najpierw zdobyć fundusze na finansowanie swojej działalności. Tu Polska ma mnóstwo ludowych bohaterów – od Robin Hooda Tatr Janosika, który nękał osiemnastowiecznych Austriaków, po ludzi nam współczesnych. Jednym z dwóch najwybitniejszych „wywłaszczycieli" wschodnioeuropejskiej historii najnowszej był Józef Wissarionowicz Dżugaszwili (później znany jako Stalin), którego śmiały napad na dyliżans w Tbilisi przyniósł napastnikom furę carskiego złota, a młodej partii bolszewickiej największy w jej dziejach zastrzyk gotówki; drugi to Józef Piłsudski, którego słynny napad na pociąg w Bezdanach pod Wilnem dostarczył funduszy na utworzenie zalążka jego polskich Legionów. Obu napadów dokonano w tym samym roku 1908; wtedy też, pośród innych aktów terroryzmu, zamordowano namiestnika Galicji. W naszym stuleciu nie da się nie zauważyć zamachów politycznych, a wiele z nich zdarzyło się we wschodniej Europie. Arcyksiążę Franciszek Ferdynand w roku 1914, prezydent Narutowicz w roku 1922, ambasador sowiecki w Warszawie Piotr Wojkow w roku 1927, Aleksander, król Jugosławii, w roku 1934, przywódca polskich socjalistów Tadeusz Hołówko w roku 1931, minister spraw wewnętrznych pułkownik

Bronisław Pieracki w roku 1934 – wszyscy oni padli ofiarą politycznego terroryzmu. Podczas II wojny światowej komunistyczna Gwardia Ludowa wzbudziła gniew przywódców głównego nurtu ruchu oporu, podejmując kampanię przypadkowych aktów terroru, co jawnie przeczyło rozkazom kierownictwa Armii Krajowej, nakazującym ograniczenie działań zbrojnych do celów wojskowych i akcji eliminowania wybranych nazistowskich zbrodniarzy. Na przykład zamach bombowy dokonany przez oddział GL w warszawskiej kawiarni Wehrmachtu Cafe Club w 1942 roku wywołał bestialski odwet SS i spowodował śmierć setek niewinnych polskich zakładników, nie przynosząc w zamian żadnych wymiernych korzyści politycznych.

Nic dziwnego, że mając w szafie wszystkie te szkielety, wojskowi przywódcy byli dość niespokojni, jeśli idzie o terroryzm. Okazali ogromny niepokój podczas dziewięćsetnej rocznicy śmierci świętego Stanisława, a w roku 1982 nie dopuścili do udziału papieża w obchodach tej rocznicy w Częstochowie. Żywiąc podobne obawy, zamknęli Teatr Dramatyczny w Warszawie z powodu wystawienia tam dramatu T.S. Eliota *Morderstwo w katedrze*, utworu, który – w kontekście rzekomego udziału Sowietów w podjętej niewiele wcześniej próbie zamordowania papieża – wydawał się wręcz nachalnie aktualny. Ale znając ich przewrotną mentalność, można przypuszczać, że musieli być mile zaskoczeni, kiedy w latach 1980–1981 dziesięć milionów członków Solidarności, mających szeroki dostęp do dynamitu przemysłowego i dysponujących wiedzą techniczną, ani razu nie uciekło się do użycia środków wybuchowych czy sabotażu, a w roku 1982 przypadki terroryzmu ograniczyły się do nielicznych bezkrwawych uprowadzeń. Według komunistycznych komisarzy brak przemocy ze strony członków podziemnego ruchu oporu można było uznać za oznakę słabości, natomiast według społeczeństwa, które pozostawało wierne nauce Kościoła, należało go uznać za dowód poczucia odpowiedzialności i przewagi moralnej.

6. Dylemat intelektualistów

Polska inteligencja, która zawsze dostarczała ruchom opozycyjnym intelektualnego wsparcia i udzielała im swojego głosu (choć nie zawsze wspomagała je hartem ducha i siłą mięśni), w latach 1980–1981 licznie opowiedziała się po stronie obozu solidarnościowego. W myśl najsurowszej polskiej tradycji nie da się oczywiście być jednocześnie inteligentem i zwolennikiem rządzącego reżimu, ale w okresie trwania Rzeczypospo-

litej Ludowej rozróżnienie między prawdziwą inteligencją i wykształconymi „intelektualistami" dość się zatarło. Upowszechnianie się wyższego wykształcenia spowodowało powstanie zupełnie nowej społecznej warstwy profesjonalistów w dziedzinie nauk ścisłych i techniki, wprawdzie zatrudnionych na państwowych posadach, ale na takich stanowiskach, które nie powodowały konfliktów moralnych i politycznych, jakie były udziałem pisarzy, artystów czy nauczycieli. (Na przykład zawodowy matematyk jest z całą pewnością osobą o wysokim wykształceniu, trudno jednak stwierdzić, czy jest on, czy też nie jest inteligentem, chyba że przypadkiem poprzedził swoją dysertację stosownym cytatem z wielkiego matematyka Jurija Andropowa). Co więcej, ponieważ komunistyczne państwo dokładało szczególnych starań, aby móc kontrolować i organizować wszelkie przejawy życia kulturalnego, włącznie z ustalaniem honorariów, wynagrodzeń i emerytur dla działaczy kultury, liczebność warstwy ludzi wykształconych, którzy mogli sobie pozwolić na finansową niezależność w stylu wolnej od napięć i stresów inteligencji z dawnych lat, gwałtownie zmalała. Wielu wykształconych Polaków, którzy się uważali za śmietankę polskiej inteligencji, musiało mimo to szukać zatrudnienia na stanowiskach państwowych albo wstępować do kontrolowanych przez partię związków i stowarzyszeń.

Pojawienie się Solidarności pokazało, jak słaba była kontrola partii nad warstwą ludzi wykształconych, nie mówiąc już o inteligencji. Większość sektorów świata nauki i kultury opowiedziała się po stronie obozu solidarnościowego, najwcześniej jak się dało. Ideały Solidarności okazały się atrakcyjnie nie tylko dla tradycyjnych katolickich intelektualistów, skupionych wokół „Więzi" czy krakowskiego „Tygodnika Powszechnego", ale także dla bardziej otwartych środowisk obozu komunistycznego – na przykład klubu Doświadczenie i Przyszłość. Komórki Solidarności działające w instytutach badawczych i jednostkach uniwersyteckich przyciągały równie licznych członków jak te, które powstały w zakładach przemysłowych. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich kierowane przez znanego z bezkompromisowości Stefana Bratkowskiego, później zdegradowanego i usuniętego z partii, od samego początku walczyło o program odnowy. Polski Pen Club nie potrzebował reformy, natomiast oficjalny Związek Literatów odbył pierwszą od dziesiątków lat burzliwą i naprawdę demokratyczną konferencję. Niezależne Zrzeszenie Studentów (NZS) dostarczyło Solidarności najliczniejszych i najbardziej entuzjastycznych członków. Nawet Związek Nauczycielstwa Polskiego, awangarda oficjalnej oświaty podporządkowanej komunistycznej ideologii, został zmuszony – przez swoich własnych członków – do odrzucenia programu

centralnej kontroli i stworzenia pozorów niezależności. Trudno byłoby o lepszy dowód siły ideałów Solidarności niż mnogość kierowanych przez komunistów organizacji, które musiały udawać, że przyjmują demokratyczne procedury – tylko po to, aby się utrzymać przy życiu. Ogólnie rzecz biorąc, mimo trzydziestu lat komunistycznego monopolu w dziedzinie oświaty można było zauważyć bez poważniejszych wątpliwości, że nowa i bardzo liczna klasa ludzi wykształconych bardzo bierze sobie do serca ideały dawnej inteligencji.

Tak więc w efekcie grudniowego zamachu stanu linie frontu wojennego oddzielającego dysydencką inteligencję od kolaboranckich intelektualistów zarysowały się o wiele ostrzej niż kiedykolwiek przedtem, od czasu epoki stalinowskiej. Podziemna prasa solidarnościowa regularnie publikowała „listę kolaborantów"; trafiały na nią nazwiska pisarzy, aktorów i artystów, którzy w czasach wojskowego reżimu jak gdyby nigdy nic pracowali w swoich zawodach. Byłoby łatwo wyciągnąć z tego wniosek, że podział klasy ludzi wykształconych wyglądał bardzo prosto: wyalienowani patrioci po jednej stronie i karierowicze z aparatu państwowego po drugiej. Z pewnością warto było wtedy sięgać do lektury *Emigrantów* Mrożka i przyjrzeć się portretowi intelektualisty zamkniętego w małpiej klatce czy do wiersza Herberta *Pan Cogito*, z jego obrazem „najniższego kręgu piekieł" – schronienia oficjalnych artystów Belzebuba.

Podziały nie rysowały się jednak aż tak prosto, ponieważ na szeroko rozciągniętej skali – od pełnej alienacji po pełny konformizm – sytuowała się ważna kategoria inteligentnych ludzi honoru, którzy nie byli ani beznadziejnie wyalienowani, ani też przesadnie konformistyczni. Przeciwnicy z obu krańców skali uważali tych „ugodowców" i zwolenników kompromisów za najgorszego gatunku dwulicowe chorągiewki na wietrze. W swoich własnych oczach natomiast byli realistami, tarczą broniącą polskiej kultury przed wszelkimi odmianami ekstremizmu. Ich punkt widzenia wyraził najlepiej na początku 1982 roku godny uwagi artykuł, opublikowany w tygodniku „Polityka" pod tytułem *Odejść czy pozostać*. Z „Polityki", będącej jeszcze organem wicepremiera Mieczysława Rakowskiego, odeszła właśnie połowa jej dziennikarzy, których sumienie nie mogło znieść hańby dalszej służby reżimowi. Dołączyli do ekipy „Polityki" najpewniej z podziwu dla doświadczenia Rakowskiego jako elastycznego i otwartego redaktora prasowego, a teraz, kiedy Rakowski pojawił się w charakterze prawej ręki generała Jaruzelskiego, odeszli zniesmaczeni. Autorem artykułu przedstawiającego dylemat dziennikarzy był Daniel Passent, felietonista, który pozostał przy Rakowskim i który swoją własną filozofię wykładał ze szczerością i wigorem:

Dopóki dotychczasowy układ stosunków międzynarodowych i polityczny podział świata na Wschód i Zachód nie zostanie zmieniony, dopóty nie ma co emigrować wewnętrznie lub za granicę, nie ma co umywać rączek, tylko trzeba działać... Pracy oczekują od nas czytelnicy... część wolałaby zapewne, aby gazeta nie ujrzała światła dziennego, (...) inni natomiast będą ją czytać nadal, poszukując, ba, oczekując, że pismo pozostanie wierne sobie, a więc że zachowa rozsądny umiar, linię pracy organicznej i poszukiwania wspólnego języka ze społeczeństwem...

Od końca XVIII wieku, a przynajmniej od Wielkiej Emigracji, inteligencja polska stawała wobec dylematu podobnego do tego, który przeżywamy dziś. 13 grudnia Polska ani się nie narodziła, ani nie umarła. Gdyby wszyscy łamali pióra, bojąc się oskarżenia o współpracę z silniejszym i o kolaborację z władzą – bylibyśmy dziś pustynią kulturalną, zaś oaza wolności mieściłaby się wyłącznie na emigracji. Wszyscy nie możemy być pochowani na cmentarzu Père Lachaise. „Dwa zestawione wyżej stanowiska ścierają się od z górą stu lat w publicystyce i w historiografii. Spór to bezprzedmiotowy, ponieważ obie strony mają rację" – pisał prof. Stefan Kieniewicz w *Powstaniu styczniowym* (PWN 1972, s. 744). Z jednej strony zawsze byli ludzie gniewni i niepokorni, którzy ostrzyli kosy i potrafili spędzić 40 lat na zesłaniu. Jeden z nich, Walery Wróblewski, pisał po powstaniu: „Nie rozumiem pracy organicznej zwanej, to jest legalnej, to jest kompromisowej, to jest targowickiej..." Podobnego zdania był Jarosław Dąbrowski... A jednak nie kto inny tylko wybitny humanista polski, Julian Klaczko, pisał, że tacy jak Dąbrowski w 1863 r. „łono własnej matki niedawno jeszcze rozszarpali i kąpiele ducha brali w krwi bratniej" (...) „Niech przed Bogiem, krajem i potomnością odpowiedzą lekkomyślni sprawcy tych nieszczęść" – pisał inny autor krakowski. – „Niech spadnie na ich sumienie krew najzacniejszej polskiej młodzieży, łzy tylu ojców i matek w królestwie..., bo próżno na samego nieprzyjaciela składać odpowiedzialność; spada ona na tych, co z obcego natchnienia i dla obcych w części celów wywołali walkę nierówną, bez przygotowania, broni, doradców, sprzymierzeńców"...

Krótko mówiąc, nie jest w interesie społecznym, aby prasa w Polsce przestała wychodzić, albo żeby jeszcze bardziej ograniczać jej różnorodność. Trzeba działać na rzecz powrotu wojska do koszar... trzeba dopominać się o wolność dla kolegów po piórze i nie tylko. Nie wolno pochylać się nisko, ale nie można też siadać

z założonymi rękoma i czekać, aż załatwią to za nas inni, gdyż wcale nie wszyscy chcą to załatwić.

Trzeba ocalić z okresu posierpniowego tyle, ile na to zasługuje, lub mniej – ile było i jest realne. (...) Nie powinno naszego głosu zabraknąć w chórze tych, którzy będą (...) bronić prawdziwych pisarzy i uczonych przed hucpą politycznych cwaniaków i arywistów. Kto to będzie robił, jeśli my weźmiemy sobie wygodne posady rzeczników spółek polonijnych, redaktorów pism całkowicie apolitycznych...

W tym kraju posiekanym przez wojny, powstania i najazdy, na przemian burzonym i budowanym od podstaw, istnieje jakaś potrzeba ciągłości, każda instytucja, szkoła, pismo, apteka czy wydawnictwo, które istnieje dłużej niż jedno pokolenie – należy do rzadkości. Ciągłość istnienia „Polityki" jest argumentem za tym, aby ją wydawać. Tak, byłoby wygodniej czekać na normalizację, (...) ale kto ma przywracać nasze życie w normalne koleiny, jeśli wszyscy założą ręce? (...)

W realnej, możliwej do przewidzenia przyszłości Polska może być tylko socjalistyczna i zespolona z krajami Układu Warszawskiego – to zaś, jak ją urządzimy w tych ramach i w tych granicach, zależy odrobinę i od nas. Chyba że się obrazimy i wycofamy, czekając aż wybije godzina bardziej sprzyjająca. Tylko kto będzie dzwonnikiem i komu będzie bił ten dzwon?[13]

Passent był sympatykiem, choć nie członkiem, Solidarności. Był także członkiem partii. Zaledwie na kilka tygodni przed ogłoszeniem stanu wojennego uczestniczył w Londynie w programie radia BBC, z przekonaniem przepowiadając rychłe odrodzenie się partii politycznych w Polsce. Nie robił tajemnicy z tożsamości „wroga". Mimo to za czasów generała Jaruzelskiego utrzymał dawne stanowisko. Doskonale wiedział o swoich poprzednikach sprzed stu i dwustu lat. Był „ugodowcem" najczystszej krwi – jak sam mówił, utytłanym w moralnym błocie, ale wciąż kurczowo trzymającym się wiary w cnotę pozytywizmu – jeszcze długo po tym, jak większość jego pozytywistycznie nastawionych kolegów tę wiarę porzuciła. Zasłużył sobie na etykietę „kolaboracjonisty", którą mu nadali przeciwnicy jego postawy; natomiast u wdzięcznego reżimu niewątpliwie cieszył się reputacją godnego zaufania towarzysza. W ciągu poprzednich dwudziestu lat ci ugodowcy, ci realiści tworzyli prawdopodobnie więk-

[13] Daniel Passent, *Odejść czy pozostać*, „Polityka" 1982, nr 1.

szość wśród intelektualistów związanych z oficjalnymi kręgami; w roku 1982 byli głosami wołających na puszczy. Ale mają taki sam wkład w tradycję polskich intelektualistów jak romantycy, powstańcy, dysydenci czy lojaliści.

Wśród samych lojalistów trafiali się bowiem tacy, którzy chlubili się swoją inteligencją. Reżim także miał swoich oswojonych intelektualistów. Niektórzy z nich, jeśli byli gotowi propagować oficjalną ideologię, mogli robić piękne kariery albo jako profesorowie na partyjnych uczelniach, albo w mrocznych akademickich zagajnikach w rodzaju Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu czy Ośrodka Badań Historii Stosunków Polskich-Radzieckich. Byli zapewne najbardziej pogardzanym elementem ludności, ponieważ mówiąc to wszystko, co mówili i co zawierało poglądy tak sprzeczne z poglądami całego polskiego społeczeństwa, nie mogli się tłumaczyć niewiedzą. Inni sprzedawali własne umysły zupełnie świadomie i cynicznie, po to, aby móc korzystać z dobrodziejstw zarezerwowanych dla uprzywilejowanej elity. W tym dobranym towarzystwie pracownicy urzędu cenzury stanowili wewnętrzną intelektualną gwardię, skwaśniałą śmietankę, której życiowym zadaniem było przechytrzyć resztę społeczeństwa. W tych rzadkich momentach, kiedy cenzor mówił otwarcie o swojej pracy, stawało się oczywiste nie tylko to, że gra bywała frapująca dla żywego umysłu, ale także to, że cenzorzy czuli się nieskończenie wyżsi ponad swoich politycznych „panów i władców", podobnie jak ponad przeciętnych obywateli:

> Za moich czasów przy Mysiej [siedziba Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk] cenzor z zasady nie rozumiał tego, co czyta; można było puścić jakiś artykuł, ponieważ przeciętny czytelnik też by go nie zrozumiał. Sądzimy, że jesteśmy inteligentniejsi od przeciętnego czytelnika. (...) Głupców się nie zatrudnia (...) A całkiem często im wyżej człowiek wchodzi, tym bardziej się robi liberalny. Cenzor coś wykreśla, a główny cenzor to przywraca[14].

Tak wyglądają szczere wynurzenia młodego człowieka, który brał udział w protestach studentów w 1968 roku i który nadal starał się utrzymywać kontakty z dawnymi kolegami. Opisywał siebie jako „w zasadzie dobrego i uczciwego faceta", który „robił coś dosyć paskudnego".

---

[14] *Inside a Censor's Mind – an interview with K-62: On the practice of thought control*, „Encounter" (London), grudzień 1981, t. 57, nr 6, s. 8–15.

Inteligencja nie jest zatem gwarancją uczciwości. Przeciwnie: zaostrza ból moralnych wyborów. Polscy intelektualiści, chociaż bardziej przekonująco racjonalizowali swoje postawy, nie wykazywali się większą cnotą od innych. Jak każda inna grupa społeczna, mieli swoich opozycjonistów, swoich pozytywistów i swoich służalczych lojalistów. Ale w ich przypadku – ponieważ skłonni byli mówić o tym, co robią – dylemat moralny był szczególnie dotkliwy.

7. Role historyczne

Historia tak bardzo ciąży na świadomości Polaków, że jeśli się chce w pełni docenić polski kryzys, trzeba w pełni przeanalizować sposób, w jaki główni aktorzy sceny politycznej postrzegali swoje role w kontekście tradycji narodowej. Niemal każdy w Polsce zgłasza roszczenia do patriotyzmu i wobec tego fakt, że tak wielu samozwańczych patriotów może się ze sobą tak radykalnie nie zgadzać, dowodzi istnienia nie tylko wielkiej grupy pseudopatriotycznych uzurpatorów, ale także poważnych rozbieżności w opiniach szczerych patriotów o samych sobie i o swoich przeciwnikach. Nie trzeba zbyt głębokich analiz, żeby dostrzec zasadnicze różnice w sposobach widzenia samych siebie komunistycznego establishmentu, niekomunistycznej opozycji i Kościoła. Wszyscy ci rodzimi aktorzy różnili się poglądami od głównego impresaria i samozwańczego suflera polskiego teatru politycznego, czyli ZSRR.

Mówiąc o komunistycznym establishmencie, trudno być pewnym, że po wydarzeniach z lat 1980–1981 zachował on jakikolwiek spójny pogląd na temat swojego miejsca w historii czy swojej roli w budowaniu przyszłości narodu. Establishment świetnie zdawał sobie sprawę, że jest ostatnią linią obronną Polski przed sowiecką inwazją – stąd też jego uparte „patriotyczne" złudzenia; wiedział też z długiego doświadczenia, że trzeba utrzymać zewnętrzne formy służalczości w stosunku do Moskwy i „pełną braterską zgodę". Jednocześnie zaś nikt, nawet najbardziej ślepi urzędnicy zagrzebani we wnętrznościach aparatu biurokracji, nie mógłby uwierzyć w to, co im mówiono w szkole partyjnej: że są najświetniejszymi przedstawicielami polskiego proletariatu. To był jeden z mitów, które Solidarność unicestwiła raz na zawsze. Polski ruch komunistyczny wrócił do punktu wyjścia z 1945 roku – obejmował niewielką i słabą grupę karierowiczów i wielbicieli komunizmu, utrzymywanych przy władzy przez siły wojskowe, zawstydzonych własną fatalną opinią wśród ludzi i trzęsących się ze strachu przed gniewem swoich panów. Większość kariero-

wiczów z pewnością nie miała żadnego jasnego obrazu przeszłości i przyszłości i mogła tylko mieć nadzieję na dalsze odroczenie egzekucji. Ich kariery niemal dobiegły kresu w 1981 roku i wiadomo było, że sytuacji nie poprawi następna runda kryzysu. Mogli się tylko modlić – ponieważ większość z nich pamiętała, co ich katolickie matki radziły im robić w chwilach, gdy rozstrzygały się sprawy życia i śmierci – aby Bóg pozwolił im dosiedzieć na stołkach do dnia, w którym osiągną wiek emerytalny. Mniejszość złożona z wielbicieli idei – na przykład Gomułka i jego towarzysze z końca wojny – musiała raz jeszcze zabrać się ostro do pracy, planując i marząc w iście pionierskim duchu, że jeszcze za ich życia uda się odbudować fundamenty socjalistycznego społeczeństwa. W ich oczach – podobnie jak w oczach ojców założycieli komunizmu w Polsce na początku wieku albo stalinowców w Rosji w 1929 roku – wrogo nastawione społeczeństwo potrzebowało nie mniejszej, lecz w i ę k s z e j dawki socjalizmu. Zapał i wiedza naukowa partii wybrańców muszą zrekompensować apatię i ignorancję nieszczęsnej ludności. Jeśli stają im na drodze kułacy, panowie czy reakcyjny kler, musi ich zmieść niepokonana siła rewolucyjnej machiny.

W tym momencie szło o to, czy komunistyczne eksperymenty podejmowane w Polsce w 1945 roku (albo w Rosji w roku 1929) można choćby spróbować powtórzyć w nowych okolicznościach lat osiemdziesiątych. W roku 1945 bieg wydarzeń był zdecydowanie korzystny dla komunistów. Mogli zacząć pracować nad społeczeństwem już zradykalizowanym w wyniku nędznych przedwojennych warunków życia i udręki okrutnej wojny, ale jak dotąd jeszcze w znacznym stopniu nieuprzemysłowionym, niezurbanizowanym i niewykształconym; mieli sowieckiego patrona, który się pławił w blasku chwały niedawnych zwycięstw Armii Czerwonej nad znienawidzonymi hitlerowskimi okupantami, i mieli atrakcyjną teorię – przekaz pełen optymizmu i zapowiadający postęp, którego nigdy jeszcze nie wypróbowano w praktyce. Przede wszystkim zaś mieli zasoby chętnych i gorliwych młodych rekrutów, synów i córek pozbawionego korzeni chłopstwa i uchodźców z lat powojennych, którzy rozpaczliwie potrzebowali wykształcenia, pracy i zachęty. W latach osiemdziesiątych nie istniał żaden z tych plusów. Los się odwrócił. Polskie społeczeństwo nie było już prymitywnym, niedouczonym chłopskim społeczeństwem z lat czterdziestych. Na pierwszy plan wysunęło się nowe pokolenie, na którym większe wrażenie robiły pokojowe katastrofy polityki komunistów niż wojenne sukcesy Armii Czerwonej i które wiedziało, czym jest w praktyce „budowa socjalizmu". Jakakolwiek próba ponownego przeprowadzenia w Polsce eksperymentu komunistycznego musiałaby znaleźć oparcie w polskiej

młodzieży – po to, aby zasilić zdruzgotaną partię, pomnożyć szeregi Wojska Polskiego, przywrócić do życia ospałą biurokrację. Tymczasem właśnie polska młodzież masowo biegła do Solidarności. Dla komunistów to było straszne, ale polska młodzież nie szukała autorytetu ani u Lenina, ani na lewicy, natomiast wzorem do naśladowania byli dla niej Piłsudski, Poniatowski i Jan Paweł II. Polski komunizm nie miał zbyt wspaniałej przeszłości, a i jego przyszłość zdecydowanie ziała pustką.

Ruchu „odnowy" w łonie partii nie porzucono jednak w wyniku grudniowego zamachu stanu. „Odnowa" stała się jednym z tych nielicznych sloganów z lat 1980–1981, które były wspólne dla partii i Solidarności; kilka razy użył go sam generał Jaruzelski. Na Zachodzie zazwyczaj interpretowano to hasło jako znak, że partia potrafi się zreformować i że „gołębie" i „liberałowie" w jej władzach osiągną prawdziwy kompromis z masami. Tę rozbrajająco naiwną opinię, która strasznie upraszczała ruch odnowy, mogli wyrażać tylko ludzie nieznający języka leninizmu. Zgodnie z leninowską zasadą prymatu partii „odnowa" oznaczała odnowę partyjnej dyktatury; „reforma" – jakąkolwiek zmianę prowadzącą do umocnienia pozycji partii, a „kompromis" – tymczasowe ustępstwo pozwalające partii na odzyskanie „wiodącej roli" w przyszłości. (Wszelka zmiana, która nie prowadziła do umocnienia partii, nazywała się „rewizją"). Większość zachodnich obserwatorów miała krótką pamięć. Zapominali – albo też nigdy nie wiedzieli – że najbardziej radykalnym reformatorem w historii komunizmu był Józef Stalin. Zaczynając w roku 1929 od wprowadzenia planów pięcioletnich i kolektywizacji rolnictwa i przechodząc w roku 1934 do okresu czystek, Stalin realizował największy być może w dziejach świata program reform, działając przy tym w ramach tradycyjnych rosyjskich reform autokratycznych – innowacji narzucanych odgórnie siłą. Ta tradycja, stanowiąca dokładne przeciwieństwo zachodniego, liberalnego pojęcia reform wprowadzanych za ogólną zgodą i przy wzajemnych ustępstwach, jest stara jak sama Rosja i była naturalną filozofią najbardziej nieliberalnych, represyjnych i czynnie dyktatorskich elementów społeczeństwa w sowieckim stylu. W Rosji carskiej hołdował jej Piotr Wielki i kochała ją Ochrana. W ZSRR była inspiracją dla najbardziej zapatrzonych w przyszłość przedstawicieli radykalnej elity. Jej najświetniejszym adeptem był Jurij Andropow, ambasador sowiecki na Węgrzech, szef Wydziału Łączności z Bratnimi Partiami Krajów Socjalistycznych KC KPZR, a od maja 1982 roku – sekretarz generalny KPZR. Jak na to wskazują mistrzowskie posunięcia Andropowa w stosunku do kadaryzmu na Węgrzech czy reżim Honeckera w Niemczech Wschodnich, była to tradycja niezwykle elastyczna i oparta na połącze-

niu terroru politycznego (w pierwszej fazie) z modernizacją gospodarczą (w drugiej fazie). Na krótką metę chodziło po prostu o zdławienie opozycji przez wprowadzenie zasady konsumeryzmu i względnego dobrobytu w celu zablokowania oporu, na dłuższą metę natomiast – o takie umocnienie totalitaryzmu, aby stał się potężny, nowoczesny i skuteczny w działaniu. W polskim ruchu komunistycznym ten typ reformy wyszedł z mody po latach pięćdziesiątych; w pewnym stopniu zdyskredytowała go próba wprowadzenia konsumeryzmu bez terroru w wykonaniu kiełbasianych (*sic!*) paluchów Gierka. Jednak w zaistniałych okolicznościach musiała powrócić do łask. Nic też dziwnego, że jej pierwszym zwolennikiem został Stanisław Kania, który wkroczył do gabinetu pierwszego sekretarza KC partii prosto z Wydziału Administracyjnego KC, gdzie zajmował się sprawami policji, bezpieczeństwa i służb wojskowych, i we wrześniu roku 1980 zaczął lansować hasło odnowy.

Mogłoby się zatem wydawać, że główna linia podziału w łonie komunistycznego establishmentu w Polsce przebiegała nie między bezkompromisowymi „jastrzębiami" i umiarkowanymi „gołębiami" w takim sensie, w jakim ten podział rozumiano na Zachodzie, ale raczej między bezkompromisowymi, radykalnymi reformatorami ze szkoły sowieckiej z jednej strony i umiarkowanymi „lawiranckimi" reformatorami z niereformowalnej szkoły polskiej z drugiej strony. Ponieważ aparat partyjny w Polsce praktycznie się załamał, absolutnie nikt w PZPR nie mógł się sprzeciwiać zmianom takiego czy innego rodzaju. Pozostawało tylko pytanie, jaki rodzaj reform należało przyjąć. Tych towarzyszy, którzy się opowiadali za demokratyzacją w zachodnim rozumieniu i którzy zyskiwali sobie rzesze zwolenników wśród szeregowych członków partii z powodu podejmowanego eksperymentu w dziedzinie „struktur poziomych", szybko wyłączono z działania jako kontrrewolucjonistów i antyleninowców. (Ludzie ci, wspierający ideę powiązania partii z Solidarnością przez przynależność do obu organizacji jednocześnie, albo zdegustowani opuścili szeregi partii, albo zostali poddani czystce). Radykalnych zwolenników odnowy także sprawdzano – po części dlatego, że Kania okazał się w głębi serca niegodnym zaufania lawirantem, ale głównie dlatego, że większość towarzyszy obawiała się gniewu ludu. Gdyby rzeczywiście miało nadejść zwycięstwo neostalinowskiej odnowy, w partii wywołałoby ono otwarty bunt i stałoby się zapalnikiem niekontrolowanego wybuchu – niedających się opanować demonstracji, masowego oporu wspieranego przez część partii i wojska, a w efekcie – powodem do sowieckiej interwencji. Krótko mówiąc, dostarczyłoby najbardziej wiarygodnego scenariusza dla kolejnego polskiego powstania.

W tym kontekście zaś ważne jest, aby przyjrzeć się wojnie na symbole. Wiadomo, że w sierpniu 1981 roku „nieznani sprawcy" weszli na cmentarz na warszawskich Powązkach i usunęli stamtąd nowy, siedmiotonowy obelisk upamiętniający ofiary zbrodni w Katyniu. Wiadomo, że komunistyczna organizacja ZBOWiD zażądała pomnika wystawionego ich własnym ofiarom, poległym podczas wojny domowej z lat 1945–1947, i że gdyby jakiś „nieznany sprawca" postanowił przywrócić pełną nazwę Pałacowi Kultury lub wyretuszować pomniki Feliksa Dzierżyńskiego, byłoby wiadomo, w którą stronę zmierzają bitwy toczone w łonie partii.

Na rozległym froncie niekomunistycznej opozycji na szczególną uwagę zasługują dwie pionierskie organizacje opozycyjne, Konfederacja Polski Niepodległej (KPN) i Komitet Obrony Robotników (KOR), których utworzenie w połowie lat siedemdziesiątych poprzedziło, a w pewnym sensie także antycypowało, narodziny samej Solidarności. Konfederacja Polski Niepodległej, która ujawniła się w 1979 roku, była ideą Leszka Moczulskiego i następczynią wcześniejszych pionierskich ugrupowań – Ruchu i Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO). Była nowszą emanacją starych tradycji narodowców i potencjalną duchową ojczyzną wielu klerykałów i dawnych narodowych demokratów. Kamieniem węgielnym programu KPN – przedstawionym w pracy Moczulskiego *Rewolucja bez rewolucji* – stała się naczelna idea nacjonalistów: mistyczne zjednoczenie Kościoła z Narodem; choć może się wydać interesujące, że opowiadając się po stronie zasady unikania przemocy, tekst Moczulskiego był jednocześnie hołdem złożonym Piłsudskiemu i jego koncepcji „nakazu moralnego". Główny problem teoretyczny polegał na oderwaniu się od partyjnego poglądu na nacjonalizm, podebranego w 1945 roku narodowym demokratom; żeby móc to zrobić, musiano się posunąć do kategorycznego odrzucenia zasady zależności Polski Ludowej od ZSRR. Wobec tego KPN stała się pierwszym celem bezpośrednich represji komunistycznej milicji. Natomiast najwyraźniej zyskała sobie spore poparcie, szczególnie wśród młodzieży katolickiej, która nie wiedziała zbyt wiele na temat nieszczególnej reputacji, jaką cieszyli się endecy z powodu swojej nietolerancji i antysemityzmu. Przywołując duchy zarówno Dmowskiego, jak i Piłsudskiego, KPN wyraźnie składała pokłon idei połączenia obu wątków przedwojennej opinii publicznej.

W odróżnieniu od KPN-u Komitet Obrony Robotników, utworzony w 1976 roku jako reakcja na rozpaczliwą sytuację robotników w Radomiu i Ursusie, był nowszą emanacją polskich tradycji socjaldemokratycznych. Jego czołowi członkowie, jak Jacek Kuroń czy Adam Michnik,

często mieli zdecydowanie radykalną lub marksizującą przeszłość, a kilku zaliczało się do rozczarowanych byłych członków rządzącej partii. Gałąź KOR-u kierowana przez Adama Michnika, autora zbioru tekstów *Kościół, lewica, dialog*, cieszyła się możliwością bezpośredniego dostępu do prymasa i do „postępowych kręgów" w łonie episkopatu. Skutkiem było błyskawiczne uzgodnienie poglądów z Wałęsą i z głównym nurtem Solidarności. Dążenie do połączenia się z Solidarnością stało się tak silne, że we wrześniu 1981 roku na zjeździe Solidarności w Gdańsku jeden z założycieli KOR-u, Edward Lipiński, oficjalnie ogłosił zakończenie pracy Komitetu jako odrębnej organizacji. Działalność KOR-u była przedmiotem wielkiego podziwu zachodniej prasy, która zapewne przeceniała jego wpływy na ogół ludności. Dzięki bohaterskiej inicjatywie KOR-u zmierzającej do podjęcia otwartej walki o prawa robotników, w czasie gdy takich rzeczy otwarcie się nie robiło, stał się on godnym poprzednikiem Solidarności, ale możliwość szerszych wpływów ograniczały podejrzenia o marksistowskie powiązania oraz wewnętrzne podziały. Kuronia oczerniano, oskarżając go o „kryptokomunizm", a Michnik musiał znosić ataki ze strony własnych kolegów, którzy twierdzili, iż „chowa się pod sutannami księży".

Wszystkie te komplikacje wskazują na fakt, że dysydencką opozycję z lat siedemdziesiątych należy traktować jako jedną całość i że zarówno KPN, jak i KOR, ze wszystkimi niejasnymi rozłamami, rywalizacjami, odłamami, odegrały swoją rolę w ożywianiu szerokiej panoramy rodzimej polskiej polityki. Wyrok więzienia dla Moczulskiego w lipcu 1981 roku i zapowiedziane procesy z oskarżenia o zdradę dla Kuronia i Michnika są wymownym świadectwem wagi tego wspólnego wyzwania rzuconego fałszywemu panowaniu komunistów.

Solidarność bez wątpienia widziała siebie w roli dziedzica tradycji wszystkich bojowników o wolność narodu, powiernika wszystkich ich duchowych dokonań. Miała niemal dziesięć milionów członków i szeroki wachlarz ideałów i zasad, częściowo wzajemnie ze sobą sprzecznych, ale w jej szeregach byli przedstawiciele wszystkich głównych kierunków i tendencji narodowej tradycji. Jako organizacja związkowa, uważała się za kulminację stuletniej walki o prawa robotników i o socjalizm. Szczególną wagę przywiązywała do pamięci o robotnikach zabitych lub prześladowanych w niedawnych walkach z komunistycznym państwem i z jej inicjatywy wzniesiono dwa ogromne pomniki – pierwszy w Gdańsku, ku czci robotników zamordowanych w 1970 roku, a drugi w Poznaniu, w hołdzie ofiarom rozruchów z roku 1956. Pamiętała też o ruchach robotniczych z okresu przedwojennego, o niezależnych

przedwojennych związkach zawodowych, o przedwojennej robotniczej partii Stronnictwo Pracy, o dawnej PPS, nawet o zamordowanej KPP. W pojemnych murach świątyni polskiego socjalizmu witała wszystkich – od większościowego ugrupowania chrześcijańskich socjalistów z jednej strony po eksmarksistów, marksistów i marksistów-leninistów z drugiej. Silna więź Solidarności z chrześcijańskim socjalizmem i wobec tego także z Kościołem katolickim widoczna była od samego początku, kiedy obrazy Matki Boskiej zawisły na bramie Stoczni im. Lenina, a 17 000 uczestników strajku uklękło w letnim słońcu, uczestnicząc we mszy świętej. Szef Solidarności, Lech Wałęsa, który ostentacyjnie podpisywał Porozumienia Gdańskie wielkim długopisem ozdobionym portretem papieża, był gorliwym katolikiem, regularnie chodzącym do kościoła – prawdziwym synem polskiego tradycyjnie katolickiego proletariatu. Patronatu szukał przede wszystkim u kardynała Wyszyńskiego i oczywiście u Jana Pawła II, który w czasie wojny pracował jako robotnik w kamieniołomach i w fabryce chemikaliów i który był autorem – już jako papież – encykliki na temat praw robotników *Laborem exercens* (1981). Dawni marksiści i przedstawiciele środowisk dawniej współpracujących z władzą w szeregach Solidarności byli postaciami najwybitniejszymi wśród jej intelektualistów: doradcy Wałęsy z KOR-u, jak Jacek Kuroń czy Tadeusz Mazowiecki – redaktor „Więzi", który poświęcił ćwierć wieku na budowanie mostu między socjalizmem i katolicyzmem i który objął redakcję „Tygodnika Solidarność". Grupę marksistów-leninistów tworzyła niemal bez wyjątku milionowa rzesza członków partii komunistycznej – 11 procent członków Solidarności i 30 procent członków PZPR – którzy usiłowali pogodzić przynależność do obu rywalizujących ze sobą organizacji. W szerszej perspektywie Solidarność uważała się za kontynuatorkę wojennego ruchu oporu, szczególnie Armii Krajowej, której symboliczną kotwicę i hasło „Polska walcząca" wykorzystywano w wielu publikacjach i na wielu pomnikach. Biało-czerwone opaski noszone przez działaczy Solidarności zapożyczono bezpośrednio od Armii Krajowej z czasu powstania warszawskiego. Solidarność uważała się także za kontynuatorkę polskiej tradycji reformatorskiej. Zobowiązała partię i rząd do uhonorowania Konstytucji 3 maja, organizując pierwsze od 1939 roku uroczyste obchody jej rocznicy. Widziała się nawet w roli kontynuatorki walki polskiej szlachty z absolutyzmem. „Nic o nas bez nas" stało się jednym z ulubionych haseł wypisywanych w latach 1980–1981 na plakatach i transparentach.

Solidarność rzeczywiście z wielką powagą traktowała swoją rolę strażniczki historii narodu. Wśród jej czołowych działaczy znalazło się kilku wybitnych historyków – Geremek, Jedlicki, J.J. Lipski, Modzelewski, Juzwenko, Kłoczowski – po jej protektoratem odbywały się też liczne wykłady i dyskusje na wszystkie zakazane tematy. Pod egidą Solidarności na fabrycznych podwórkach i na stadionach piłkarskich dziesiątki tysięcy polskich robotników zbierało się w pełnym entuzjazmu oczekiwaniu, żeby po raz pierwszy w życiu wysłuchać prawdziwych relacji na temat Bitwy Warszawskiej, paktu sowiecko-hitlerowskiego, masakry w Katyniu czy losów Armii Krajowej. Mówcy Solidarności z wszelką pewnością wykładali taką historię Polski, jaką sami znali, ale również sami historię tworzyli.

Pod ochronnym parasolem Solidarności pojawiło się całe spektrum orientacji politycznych, ożywiając zdławione tradycje wcześniejszych polskich partii. Na przykład Solidarność Wiejska przywróciła do życia poglądy głównego nurtu ruchu ludowego (PSL), o którym nie słyszano od 1947 roku. Byli socjaliści, chrześcijańscy demokraci, nacjonaliści, radykaliści ludowi i całkiem sporo zagorzałych komunistów. W chwili ogłoszenia stanu wojennego w grudniu 1981 roku restauracja wszystkich tradycyjnych partii politycznych – PPS, SP, SN, PSL, a może także jakiejś niezależnej partii komunistycznej – była tylko sprawą kilku nadchodzących tygodni.

Gdy Solidarność została zawieszona, a jej przywódcy internowani, skierowane ku historii myśli jej członków automatycznie zwróciły się od wspomnień konstruktywnych działań politycznych ku głęboko zakorzenionym w pamięci ludzi historycznym klęskom i represjom. Skoro polskiemu opozycjoniście nie było już wolno działać otwarcie, musiał wybierać: albo przyłączyć się do kolaborantów, albo ponieść konsekwencje odmowy takiego posunięcia. Testem stały się słynne weryfikacje – deklaracje lojalności czy też raczej braku lojalności wobec Solidarności, którymi w pierwszych miesiącach stanu wojennego zaatakowano wszystkich opozycjonistów. Tak jak dawnych zwolenników reżimu postawiono w obliczu dylematu „wypisać się czy nie wypisać", tak teraz przeciwnicy obecnego stanęli wobec dylematu „podpisać czy nie podpisać". Problem był stary jak najnowsza historia Polski: badanie sumień zorganizowane przez UB w latach pięćdziesiątych, przez Gestapo i NKWD podczas II wojny światowej, przez Ochranę i niemiecką żandarmerię w czasie I wojny światowej, przez służby bezpieczeństwa wszystkich państw rozbiorowych na przestrzeni XIX wieku, przez agentów carycy Katarzyny i Piotra Wielkiego w wieku XVIII.

Podpisać czy nie podpisać? W najczystszej formie refleksje na ten temat sformułował pewien działacz Solidarności internowany w ośrodku w Białołęce; w marcu 1982 roku tekst opublikował „Tygodnik Mazowsze":

> Zatem wolność jest na odległość ręki. Wystarczy kilka machnięć piórem na deklaracji lojalności... Przecież tak łatwo można zmienić zakratowane okno z mocno zaznaczonym konturem kolczastego drutu na „wolność". Otworzą się więc przed Tobą stalowe wrota „Białołęki" i (...) ujrzysz ulice swego rodzinnego miasta, po których spacerują wojskowe patrole i jeżdżą czołgi. (...) Zobaczysz (...) czujne oko szpicla wyławiające z tłumu osobników podejrzanych o „naruszenie przepisów stanu wojennego". Usłyszysz słowa znane Ci dotąd tylko z książek historycznych: „Łapanka", „Volkslista", słowa odarte dziś z dostojnej patyny czasu, słowa pulsujące złowrogim rytmem dnia dzisiejszego...
>
> Czasem próbują Cię nastraszyć. Mojemu koledze, robotnikowi warszawskiej fabryki, obiecywano 15 lat więzienia, drugiemu grożono sprawą za szpiegostwo, trzeciego przesłuchiwano po rosyjsku, czwartemu kazano wyjść z celi i zakomunikowano mu, że jedzie w głąb Rosji (a zaprowadzono go na prześwietlenie). Wszystko to jednak da się wytrzymać. Myślę wręcz, że łatwiej to wytrzymać niż skomplikowaną moralnie i politycznie sytuację z tamtej strony drutów...
>
> Młodą dziewczynę – żonę działacza Solidarności – uwięziono, odrywając od chorego niemowlęcia, które – zapowiedziano to – postanowiono umieścić w domu dziecka. Podpisała deklarację. Mojego kolegę oderwano od umierającej na raka samotnej matki i zapowiedziano, że „mamusi pies z kulawą nogą nie poda herbaty". Podpisał deklarację... Decyzja zależy zawsze od indywidualnego głosu rozumu i sumienia; trudno tu jakikolwiek wybór potępiać... Każda deklaracja lojalności jest złem – deklaracja na Tobie wymuszona jest złem, do którego Ciebie przymuszono, tyle że czasem mniejszym złem. Ów akt zasługuje więc czasem na zrozumienie, zawsze na współczucie, nigdy – na pochwałę...
>
> Jeszcze niewiele wiesz...
>
> Jeszcze nie wiesz, co ta wojna oznacza; jeszcze nie wiesz, w jaki sposób szturmowane będą fabryki i huty, stocznie i kopalnie... jedno wszakże wiesz: taka deklaracja byłaby zaparciem się samego siebie, przekreśleniem sensu własnego życia; byłaby zdradą ludzi, którzy Ci zaufali, zdradą kolegów rozsianych po więzieniach, ska-

zanych i internowanych, zdradą przyjaciół ściganych i ukrywających się, zdradą tych wszystkich, którzy będą Cię bronić: ulotką w Krakowie i Gdańsku, wystąpieniem publicznym w Paryżu i Nowym Jorku... Jeszcze nic nie jest definitywne, jeszcze masz drogę otwartą, jeszcze sam możesz wybrać, ale już wiesz, czujesz to instynktownie, że rezygnacja z godności nie jest ceną, którą przystoi płacić za otworzenie więziennej bramy. I którą płacić warto. Sprzeczne z rozsądkiem jest zawieranie jakichkolwiek umów z ludźmi, którzy samo pojęcie umowy traktują nader dowolnie, którzy własne zobowiązania nagminnie łamią, dla których kłamstwo jest chlebem powszednim. Przecież nie spotkałeś jeszcze nigdy człowieka, który by nie czuł się oszukany przez funkcjonariuszy SB, jeśli miał z nimi do czynienia... Twoja kapitulacja nie jest dla nich po prostu sukcesem zawodowym – jest ich racją istnienia.

Toczysz więc z nimi filozoficzny spór o sens własnego życia, o odebranie sensu ich życiu, o nadanie sensu każdemu człowieczemu istnieniu. Prowadzisz spór Giordana Bruno z inkwizytorem, dekabrysty z policmajstrem, Łukasińskiego z carskim aniołem zagłady, Ossietzkiego z blondynem w gestapowskim mundurze, Mandelsztama z członkiem partii bolszewickiej odzianym w uniform z błękitnym wyłogiem NKWD, toczysz spór, który nigdy się nie skończy... Innymi słowy: wygrywasz nie wtedy, kiedy zdobywasz władzę, lecz kiedy dochowujesz wierności sobie.

Rozsądek powiada Ci również, że jeśli podpiszesz deklarację lojalności, to dajesz bat w ręce Funkcjonariuszy. Będą tym batem wymachiwać i grozić, by Cię skłonić do kolejnego oświadczenia, do zgody na współpracę. Deklaracja lojalności przeobraża się w ten sposób w cyrograf diabelski... Jeśli nie chcesz się bać, nie wchodź w żadne układy z Funkcjonariuszem...

Pamiętasz o historii swojego narodu. Pamiętasz, że w ramach tej historii deklaracja lojalności złożona w więzieniu zawsze była hańbą, a wierność sobie i narodowej tradycji – cnotą. Pamiętasz o ludziach, których torturowano i więziono długie lata, a nie podpisywali takiej deklaracji... Zwłaszcza że również inni kołaczą się po Twoich wspomnieniach... Myślisz więc ze zgrozą i przerażeniem o tych ludzkich strzępach, o ludziach potrzaskanych przez policyjną machinę i widzisz swoją przyszłość jako wciąż otwartą możliwość...

Ale wiesz przecież, że to wszystko nic nowego, że tym Funkcjonariuszom machającym Ci przed nosem nakazem zwolnienia

nie będziesz chciał tłumaczyć, że to właśnie oni są niewolnikami i z tej niewoli nie wyzwoli ich żaden nakaz zwolnienia; nie będziesz im tłumaczył, że ... ci działacze robotniczy, profesorowie i pisarze, studenci i artyści, znajomi i nieznajomi, że ci właśnie ludzie konstytuują narodową i ludzką wolność i za to wypowiedziano im wojnę; nie będziesz chciał temu Funkcjonariuszowi... tłumaczyć sensu eseju Rozanowa opisującego najistotniejszy spór europejskiej kultury poprzez antagonizm człowieka dzierżącego knut i człowieka okładanego knutem...

Przecież o to toczy się walka: Funkcjonariusze chcą z nas wydusić deklarację rezygnacji z nadziei. Funkcjonariusze rozumieją, że ten, kto deklaruje lojalność wobec systemu przemocy i kłamstwa, ten wyrzeka się nadziei na Polskę, w której kłamstwo i przemoc będą w niełasce. Te deklaracje mają z nas uczynić złajdaczonych serwilistów, którzy nie będą się buntować w imię wolności i godności. Zatem odmawiając konwersacji z Funkcjonariuszem, odmawiając zgody na współpracę, odrzucając status konfidenta i donosiciela, wybierając człowieczą kondycję więźnia politycznego – chronisz nadzieję...

Wiesz, jak dojmujące jest uczucie samotności. Wydaje Ci się, że wobec tej machiny policyjno-wojskowej uruchomionej w grudniową noc – jesteś bezsilny. Wiesz wszakże, stojąc osamotniony, skuty kajdanami, z gazem łzawiącym w oczach naprzeciw wymachujących pistoletami Funkcjonariuszy, widzisz to jasno pośród ciemnej, bezgwiezdnej nocy, dzięki swemu ulubionemu poecie, że „lawina bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach". I chcesz być tym kamieniem, który odwróci bieg wydarzeń.

Choćby to miał być jeden z kamieni rzuconych na szaniec[15].

„Zagozda" to pseudonim Adama Michnika, znanego doradcy Solidarności. Michnik nie miał zamiaru iść na kompromis z reżimem wojskowym. Świetnie wiedział o swoich poprzednikach z ubiegłych stuleci. Był polskim „idealistą", romantykiem najczystszej krwi – takim samym jak ci, którzy robili wszystkie polskie powstania.

Kościół rzymskokatolicki nie jest organizacją polityczną, ale często bywa skazany na odgrywanie politycznej roli. Od czasu rozbiorów zawsze interweniował u władz obcych mocarstw, a status jedynej prawowi-

[15] Andrzej Zagozda [Adam Michnik], *Dlaczego nie podpisujesz...*, „Tygodnik Mazowsze" 1982, nr 7, s. 1, 4.

tej instytucji narodowej cieszącej się prawdziwym autorytetem obligował hierarchów do podejmowania pośrednictwa między partią i narodem. Hierarchii nie musi się jednak utożsamiać z Kościołem, a instytucjonalne interesy hierarchów nie muszą być zawsze zbieżne z interesami wiernych. Prymas i jego biskupi nie muszą postrzegać swojej roli tak samo, jak postrzegają ją ich owieczki. Napięcia we wzajemnych stosunkach stały się widoczne wkrótce po objęciu urzędu prymasa przez następcę Stefana Wyszyńskiego arcybiskupa Józefa Głempa. Wielu katolików krytykowało nowego prymasa zarówno za jego początkowe milczenia w sprawie ogłoszenia stanu wojennego, jak i za to, że w 1982 roku nie zdołał przywrócić kiełkującego trójstronnego dialogu narodowego. Ludzie zdawali sobie sprawę, że sam arcybiskup Glemp nie ma możliwości, aby zmusić reżim do podjęcia rozmów, ale równocześnie mieli poczucie, że istnieje potrzeba zajęcia twardszego stanowiska. Obawiali się zwłaszcza, iż prymas może stracić szacunek niecierpliwej polskiej młodzieży. W gruncie rzeczy hierarchia Kościoła stanęła wobec największego wyzwania od trzydziestu lat. Wyczuwała wrogie naciski zachęcanego przez Moskwę partyjnego betonu, który (i słusznie) uważał Kościół za główną przyczynę upadku „polskiego socjalizmu". Musiała też przewidywać możliwość zawieszenia porozumień zawartych w 1956 roku między Kościołem i państwem, a także największy od czasów Stalina atak na przywileje Kościoła. W tej sytuacji miała do wyboru albo obrać kurs zgodny z kierunkiem wiejących wiatrów politycznych i zaryzykować utratę poparcia ludzi – tak jak to się stało na początku XIX wieku, albo – idąc za przykładem kardynała Wyszyńskiego, który wolał więzienie od upokorzenia – rzucić się w oko cyklonu i zaryzykować burzliwą przeprawę. Na szczęście – z punktu widzenia katolicyzmu – Kościół w Polsce był w roku 1982 silniejszy niż przed stu laty, a w osobie Jana Pawła II znalazł admirała i doświadczonego sternika. Było rzeczą nieprawdopodobną, żeby Watykan Jana Pawła II zachował się tak jak niegdyś za pontyfikatu Grzegorza XVI czy Piusa IX.

Tak więc na polskiej scenie pozostał jeden aktor: ZSRR. Mówi się, że rolę Kremla napisano częściowo na podstawie ideologii marksistowsko-leninowskiej, a częściowo opierając się na tradycji rosyjskiego imperializmu. Wynikała częściowo ze sposobu postrzegania własnych obowiązków jako „pierwszego państwa socjalistycznego", a częściowo z poczucia dumy jako potomka carów. Kreml musiał patrzeć na Polskę Ludową z ogromnym niesmakiem. Z punktu widzenia Kremla bratni system, który utracił kontrolę nad swoim narodem, a wcześniej wiarę w socjalizm, potrzebował szybkiej pomocy. Dotknięty gangreną członek bloku sowieckiego

stwarzał zagrożenie zarazą dla wszystkich innych członków, a zatem należało go zdiagnozować, mając na względzie powszechną higienę, a potem zastosować szybkie chirurgiczne leczenie. Sojusznik Rosji, który nie okazywał wdzięczności za jej straszliwe poświęcenia, zasługiwał na karę. Było możliwe, że nowi przywódcy okażą się bardziej elastyczni i że się odżegnają od niefortunnych precedensów. Ale tylko śmiałe zerwanie z rosyjską i leninowską tradycją, tylko pełna wyobraźni wizja konsekwencji dla wszystkich innych interesów ZSRR mogłyby skłonić Kreml, żeby raz na zawsze zostawił Polskę w spokoju.

8. Kościół – powszechny

Przez całą epokę rozbiorową wielu Polaków uważało rezerwę Watykanu w zajmowaniu stanowiska wobec spraw polskich za skandal i zdradę. Z wyłącznie polskiego punktu widzenia było rzeczą niepojętą, że namiestnik Chrystusa w Rzymie nie udziela w godzinie potrzeby swoim wiernym w Polsce większego wsparcia i pociechy. Natomiast z perspektywy Rzymu sprawa była o wiele bardziej skomplikowana. Pomijając już konserwatywną filozofię administracji kościelnej Watykanu i brak zdecydowania kolejnych starzejących się papieży, trzeba sobie zdawać sprawę, że Kościół rzymskokatolicki miał w Europie Wschodniej szerokie spektrum interesów i że na listach priorytetów Watykanu pierwsze miejsce rzadko przyznawano Polsce. Na przykład w XVIII wieku najsilniejsze więzy wciąż łączyły Watykan z cesarskim dworem w Wiedniu, a zaangażowanie Marii Teresy i Józefa II kazało Rzymowi wierzyć, że rozbiory Polski – choć godne ubolewania – rzeczywiście posłużą jako środek wzmocnienia wpływów Kościoła katolickiego w tym rejonie. W wieku XIX naturalna sympatia Watykanu dla Metternicha i potrzeba ustanowienia skutecznych relacji z Sankt Petersburgiem – czego świadectwem były niekończące się negocjacje w sprawie konkordatów z lat 1847 i 1883 – nieuchronnie zepchnęły sprawy polskie na dalszy plan. *Kulturkampf* Bismarcka w Niemczech dowiódł – jeśli w ogóle potrzebowano jeszcze dowodów – że imperia Europy Wschodniej stanowią ogromną potęgę i że konflikt z państwem może mieć opłakane skutki dla katolickiego kleru, dla majątku Kościoła, dla szkół należących do Kościoła i dla ogólnej pozycji Kościoła. Polacy spodziewali się, że Watykan wykaże się taką odwagą jak oni sami, nie jest jednak niczym dziwnym, że Rzym na ogół wybierał powściągliwość. I na takim tle należy oceniać podejście Watykanu do problemów Polski w ostatnim okresie jej historii.

Watykan lat osiemdziesiątych nie był Watykanem z XIX wieku, a polski papież na tronie świętego Piotra spowodował ożywienie we wszystkich aspektach spraw dotyczących Kościoła w Europie Wschodniej. Jednak – jak w czasach dawniejszych – wizja Kościoła jest rozległa i trzeba zwracać uwagę na wiele sprzecznych ze sobą względów. „Papa Wojtyła" nie jest wyłącznie papieżem Polaków.

Wybór Jana Pawła II trzeba przypisać, przede wszystkim, jego uczestnictwu w Drugim Soborze Watykańskim i reputacji, jaką sobie wtedy zdobył w Rzymie jako zaufany współpracownik papieża Pawła VI. Już na samym początku pontyfikatu pokazał, że jego misją jest zrealizowanie ideałów *Vaticanum II*. Wobec tego utrzymując wiele z tradycyjnej katolickiej nauki w kwestiach moralności i etyki, jednocześnie bezzwłocznie zaczął wprowadzać do Kościoła zasady większej elastyczności w sprawach teologii, szerszej kolegialności w łonie episkopatu i zacieśniania więzi z innymi Kościołami chrześcijańskimi oraz realizować swój bezprecedensowy program podróży do wszystkich części świata. Na początku dały się słyszeć niedoinformowane głosy wyrażające obawę, czy przypadkiem papiestwo nie wpadło w ręce dogmatycznego, prowincjonalnego polskiego księdza. Wkrótce okazało się, że kardynał Wojtyła, arcybiskup krakowski, jest jednym z najskuteczniejszych, najbardziej charyzmatycznych następców, jakich kiedykolwiek miał święty Piotr. Nawet przeciwnicy Jana Pawła II musieli z żalem przyznać, że Karol Wojtyła z Wadowic – poeta, dramaturg, filozof, poliglota, aktor, narciarz, piłkarz, robotnik, naukowiec i duchowny – jest człowiekiem wielu talentów, przywódcą Kościoła powszechnego godnym tego urzędu. Nie każdy potrafił uwierzyć, że zamach na jego życie z 13 maja 1981 roku, dokonany przez tureckiego bandytę Mehmeta Alego Agcę, był dziełem samotnego fanatyka. Sowieckie imperium stało w obliczu wyzwania, któremu niełatwo było stawić czoła. Nie miało większego znaczenia, czy aresztowanie w Rzymie bułgarskich agentów podejrzanych o udział w planowaniu zamachu na papieża ostatecznie doprowadzi do wyroku skazującego czy też nie. Pozostaje faktem, że Związek Sowiecki miał oczywisty interes w usunięciu ze sceny polskiego papieża. Słusznie czy niesłusznie, wielu ludzi w Europie Wschodniej uważało, że są oczywiste powody po temu, aby wierzyć, iż spiskiem kierowało KGB, którego dowiedziona wcześniejsza działalność w takich sprawach nie przedstawiała obrazu bez skazy.

Pod nowym kierownictwem *Ostpolitik* Watykanu uległa subtelnej zmianie pod względem rozłożenia akcentów. Nie było deklaracji wojny przeciwko blokowi sowieckiemu, nie było donośnych głosów potępienia ateizmu i komunizmu w duchu encykliki papieskiej *Divini Redemptoris*

z 1937 roku (nawiasem mówiąc, niewątpliwie inspirowanej przez wcześniejsze doświadczenia Piusa XI z Polski lat 1919–1920). Jak pokazała doniosła w swoim znaczeniu wizyta papieża w ojczyźnie w 1979 roku, a także jego eleganckie debaty z najwyższymi urzędnikami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, istniała należyta gotowość do „oddania cesarzowi, co cesarskie", bez względu na to, co uważano za należne cesarzowi. Ale atmosfera rezygnacji – a niektórzy powiedzieliby: polityki ustępstw – jaka na początku charakteryzowała relacje Watykanu ze Wschodem za pontyfikatu Pawła VI, szybko się rozwiała. Polski papież, umocniony własnymi doświadczeniami z czasów, gdy był obywatelem komunistycznego reżimu, tchnął nową energię i nową ufność w działalność Kościołów katolickich w całym bloku sowieckim. Trwożliwych hierarchów – na przykład w Czechosłowacji czy na Węgrzech – nawoływano do większej odwagi. Prześladowany Kościół na katolickiej Litwie – tuż obok granicy z Polską – zyskał silne poparcie. Z odizolowanymi katolickimi wspólnotami w innych częściach ZSRR – na Ukrainie, w Kazachstanie czy na Syberii[16] – nawiązano kontakty i dyskretnie udzielano im pomocy. Kontynuując wcześniejszą politykę papieża z archidiecezji krakowskiej, poparcie rozszerzono także na katolickich unitów. Ofensywę Watykanu na Wschód wyraźnie prowadzono w myśl zasad pokoju i miłosierdzia. Watykan po raz pierwszy udzielił zdecydowanego poparcia ruchom ekumenicznym. Na brytyjskich i amerykańskich obserwatorach największe wrażenie wywarły zapewne pod tym względem przemówienia Jana Pawła II w Irlandii i Ameryce, a także niezapomniana scena w katedrze w Canterbury z 29 maja 1982 roku. Papież pochodzący z kraju, który Anglicy i Amerykanie uważają często za twierdzę fanatycznego papizmu, w sposób zdumiewający zademonstrował łatwość i wdzięk, z jakimi katolicy i protestanci powinni łagodzić istniejące między nimi rozbieżności. Główny nacisk nowo odkrytego watykańskiego ekumenizmu był jednak skierowany nie tyle na Kościoły protestanckie, ile na prawosławie, gdzie schizma datowała się z o wiele wcześniejszego okresu. Także i tu Europa Wschodnia, łącznie z Polską, gdzie istnieje niewielki rodzimy Kościół prawosławny, była bezpośrednio zaangażowana.

[16] Wspólnoty te, w dużej części złożone z osób o polskich korzeniach, wywodziły się od ludzi skazanych na wygnanie i deportowanych przez rząd carski i rząd komunistyczny. W Irkucku jest katolicka katedra. Według doniesień w samym Kazachstanie około 500 000 katolików deportowanych z Ukrainy w latach 1935–1936 i od tego czasu pozbawionych opieki duszpasterskiej wciąż jeszcze zachowało odrębną tożsamość religijną i etniczną.

Należy wreszcie pamiętać, że Watykan ostatecznie uwolnił się od swoich europejskich predylekcji i rzeczywiście zwrócił się ku krajom Trzeciego Świata. W ciągu pierwszych czterech lat swojego pontyfikatu Jan Paweł II okazywał szczególne względy Azji, Afryce, a przede wszystkim Ameryce Łacińskiej: odwiedził Japonię, Filipiny, Pakistan, Guam, Zair, Kenię, Ghanę, Wybrzeże Kości Słoniowej, Dominikanę, Meksyk, Bahamy, Brazylię i Argentynę, a także Irlandię, Stany Zjednoczone, Francję, Niemcy Zachodnie i Wielką Brytanię. Co to musiało być za przeżycie dla chłopaka z Wadowic, kiedy w Brazylii dzieci odtańczyły mu na powitanie krakowiaka, a chór odśpiewał *Góralu, czy ci nie żal*. Ale zaangażowanie w sprawy Trzeciego Świata niosło ze sobą komplikacje. Establishment watykański, z jego zupełnie jednoznaczną postawą wobec komunistycznej odmiany totalitaryzmu, musiał teraz na nowo przemyśleć swoje stanowisko wobec niekomunistycznych dyktatur, których władcy często byli kojarzeni z katolicką hierarchią, ale którzy stosowali metody równie pozbawione współczucia jak metody komunistów. W szczególności Watykan musiał szukać zrozumienia u przedstawicieli radykalnego kleru Trzeciego Świata, którzy wyznawali teologię wyzwolenia i nie ukrywali swoich sympatii dla stosujących przemoc powszechnych ruchów oporu. Tu polski papież stanął w obliczu delikatnej kwestii politycznej. Jeśli w XIX wieku błędem Watykanu było potępienie powstań katolickiej Polski przeciwko tyranii, to jak można uznać, że dziś jest rzeczą stosowną potępianie walk wyzwoleńczych katolickich narodów Ameryki Łacińskiej?

Wszystko to wskazuje, że kryzys polski stał się istotny dla problemów Kościoła katolickiego w najodleglejszych zakątkach świata. Nie tyle z powodu osoby polskiego papieża, ile bardziej z powodu bezprecedensowej reklamy i rozbudzonego w świecie zainteresowania ojczyzną papieża, Polska stała się papierkiem lakmusowym zarówno w sensie ogólnym, w sprawach relacji między Kościołem i państwem, jak i w szczególności, w kwestii polityki Watykanu wobec ucisku politycznego. I wobec tego umocniła się zwykła powściągliwość Watykanu. Jan Paweł II otwarcie powitał powstanie Solidarności i przyjął Wałęsę jak syna. Ale kiedy Solidarność została zdławiona, a Wałęsę aresztowano, nie było żadnych papieskich fajerwerków, żadnej ekskomuniki, żadnych ostrych słów – jedynie modlitwy, konsultacje i konfidencjonalna korespondencja. Watykan utrzymał wcześniejsze wezwanie do dialogu i narodowego pojednania w Polsce. Wciąż nalegał – w czasie gdy reżim wojskowy odrzucał wszelkie negocjacje – że Kościoła nie da się całkowicie wyłączyć z rejestru polskich spraw. Ukuto żartobliwe powiedzonko: „Bez Glempu nie ma postępu". Pod koniec 1982 roku Kościół zdołał nawet namówić

generała Jaruzelskiego, żeby się spotkał z arcybiskupem Glempem w celu ustalenia wstępnych planów wizyty papieskiej przewidzianej na lato 1983 roku. Ale w zasadniczej kwestii politycznej jego pozycja pozostała bez zmian. W Polsce – podobnie jak w Irlandii, Indonezji czy Argentynie – powszechny Kościół Chrystusowy nie akceptował przemocy. Słowa Kościoła – tak jak polska literatura odzwierciedlająca najsilniejsze tradycje – zawierały naukę cnót należących nie do sfery władzy politycznej, lecz do sfery duchowości.

9. Regres gospodarczy

Mimo całego rozwoju i postępu technicznego regres gospodarczy był w dziejach Polski zjawiskiem częstszym niż gospodarczy postęp. Prawdziwy upadek gospodarczy Polski zaczął się w drugim dwudziestopięcioleciu XVII wieku i od tego czasu trwał, z niewielkimi tylko przerwami. W połowie XVIII wieku dawna Rzeczpospolita spadła już na sam dół tabeli ligi europejskiej, a w wieku XIX Galicja konkurowała z Sycylią i południową Irlandią o tytuł najbardziej zacofanego z najbiedniejszych rejonów Europy. W wieku XX dwie wojny światowe dokonały spustoszenia na tak olbrzymią skalę, że odrodzenie gospodarcze opóźniło się o całe dziesięciolecia. W okresie międzywojennym produkcja przemysłowa nigdy nie osiągnęła wskaźników z roku 1913, a w PRL-u po trzydziestu latach odbudowy i planowania socjalistycznego polska gospodarka znowu chorowała tak bardzo, że wydawało się, iż nie ma szans na jej uzdrowienie. Klęska gospodarcza była normą; krótkie okresy względnego powodzenia – zaledwie incydentami.

Mimo to z punktu widzenia neutralnego obserwatora historia polskiej gospodarki nie poddaje się żadnym prostym wyjaśnieniom. W racjonalnych kategoriach ekonomicznych nie da się wytłumaczyć, dlaczego kraj tak bogaty w zasoby, mający rozległe obszary urodzajnej ziemi, zakłady przemysłowe, potencjał energetyczny, złoża mineralne i wykwalifikowaną siłę roboczą miał zostać zepchnięty na dno nędzy. Rzeczą jeszcze dziwniejszą były opinie większości zachodnich analityków, którzy katastrofę w Polsce przypisywali zwykłym przyczynom gospodarczym. „Ekonomizm", czyli przekonanie, że stan gospodarki determinuje wydarzenia polityczne, panoszył się w większości komentarzy z tego okresu i podzielali go zarówno ekonomiści zachodni, jak i komunistyczni. Raz po raz można było przeczytać, że powstanie Solidarności w 1980 roku, a także powszechny bunt przeciwko partii były spowodowane przez poważ-

ne błędy w polityce gospodarczej z lat siedemdziesiątych, a nie po prostu przez nie podsycane. Analitycy, których wiedza o wydarzeniach w Polsce obejmowała raptem dziesięć czy piętnaście lat, oświadczali, że najważniejszy klucz do kryzysu w Polsce tkwi w nadmiernym nagromadzeniu kapitału inwestycyjnego przez Gomułkę, w zbytniej zależności Gierka od zagranicznych pożyczek albo w takim czy innym, lub jeszcze innym, braku natury ekonomicznej. Te różnorodne opnie powstawały *à la mode*, ale wszystkie odwracały gospodarczego kota politycznym ogonem. Analiza ekonomiczna wnosi oczywiście bardzo istotny wkład w ogólny obraz sytuacji. Natomiast opisuje ona poszczególne elementy kryzysu, zamiast je wyjaśniać. Nie wystarczy odkryć, że reżim komunistyczny w Polsce popełnił wszystkie poważne błędy, jakie się wymienia w podręcznikach ekonomii. Trzeba jeszcze zadać sobie pytanie, d l a c z e g o te błędy popełniono. A tu odpowiedź nieodmiennie tkwi w dominującej sferze polityki.

Pełny opis gospodarczych deformacji w Polsce wymagałby średnich rozmiarów encyklopedii, ale do zilustrowania skali katastrofy wystarczy krótki przegląd kilkunastu najbardziej spektakularnych faktów.

W roku 1980 polskie rolnictwo nie produkowało już żywności w ilości wystarczającej, aby wyżywić naród. Po dziesięcioleciach oficjalnego gnębienia rolników i zaniżania cen dostaw dominujący sektor prywatny stopniowo redukował sprzedaż artykułów żywnościowych. Rolnicy indywidualni, którym skromne dochody nie pozwalały na zakup odpowiednich narzędzi i sprzętu, tracili motywację do wprowadzania na rynek nadwyżek wytwarzanych produktów. Niewielki, ale faworyzowany państwowy sektor rolnictwa kolektywnego, który pochłonął 80 procent państwowych inwestycji w rolnictwo, był tak mało wydajny, że dostarczał zaledwie niecałą jedną czwartą ogółu produkcji żywnościowej.

Struktura cen i zarobków była groteskowo niezrównoważona. Z powodu obaw partii przed powszechnym buntem większość cen na żywność zamrożono na trzynaście lat na poziomie z 1969 roku. W roku 1980 dopłaty do żywności pochłaniały już od jednej trzeciej do połowy budżetu państwa. Jednocześnie zaś, podejmując niefortunną próbę udobruchania polskich konsumentów, podniesiono wynagrodzenia, nie zwracając uwagi na podaż towarów, na które te większe pieniądze można by było wydać. W 1980 roku 20 procent indywidualnych dochodów pozostawało bez pokrycia w (niedostępnych) towarach, ale na skutek nacisków Solidarności pensje podniesiono jeszcze bardziej. Przeciętne wynagrodzenie w sektorze publicznym wzrosło z 5200 złotych miesięcznie w roku 1980 do 7250 złotych miesięcznie w roku 1981. Polakom płacono bezwartościową walutą. W sytuacji dotkliwych braków zmuszani byli do

przymusowego oszczędzania. Depozyty bankowe gwałtownie rosły. Inflacja – zarówno jawna, jak i ukryta – zaczęła się wymykać spod kontroli.

Zbyt ambitna polityka inwestycyjna, na początku lat siedemdziesiątych, pochłaniająca ponad 30 procent dochodu narodowego, oznaczała realizację nieudanych i nieproduktywnych przedsięwzięć. Lwia część środków szła na realizację hasłowych projektów komunistów – przemysł ciężki, wspólne interesy polsko-sowieckie (na przykład Huta Katowice), Państwowe Gospodarstwa Rolne, supernowoczesne, ale niepotrzebne pokazowe zakłady produkcyjne, uzbrojenie. W roku 1980 program inwestycji reżimu gierkowskiego zdążył już pochłonąć wszystkie zasoby na następne dziesięciolecie, nie pozostawiając miejsca na żadne inne plany.

Zagraniczne pożyczki, zaciągane z przeznaczeniem na modernizację polskiego przemysłu, nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Pożyczano coraz więcej, żeby sobie ułatwić spłaty wcześniejszych zobowiązań. W 1980 roku niewyobrażalny zagraniczny dług Polski w wysokości 27 miliardów dolarów, zaciągnięty w zachodnich konsorcjach bankowych i u zachodnich rządów, przekroczył całkowity dług zagraniczny ZSRR. W roku 1981 wysokość spłat wyniosła 160 procent sumy dochodów Polski w twardej walucie. Polska nie ogłosiła niewypłacalności, ale w sensie technicznym była bankrutem. Zmiana systemu spłat stała się nieunikniona.

Handel zagraniczny, ściśle związany z programem zagranicznych pożyczek, przeżywał poważny regres. Ponieważ nie było pieniędzy na zakup importowanych materiałów, części zamiennych i technologii, polski przemysł nie mógł produkować towarów eksportowych. Nastąpił zastój w dostawach zarówno na Zachód, jak i na rynki krajów członkowskich RWPG. Zagraniczni kontrahenci stracili zaufanie. Eksport węgla, podstawowego artykułu przynoszącego dochód w dewizach, spadł z 41 milionów ton w 1979 roku do 15 milionów ton w roku 1981. Handel żywnością, który do roku 1973 stanowił część polskiego eksportu, upadł tak, że w latach 1976–1981 trzeba było importować 40 milionów ton drogiego zboża, głównie z USA. Wobec niemożności zaciągania dalszych kredytów na pokrycie deficytów handlu Polska musiała anulować kontrakty na zakup wielu podstawowych towarów.

Produkcja przemysłowa spadła do niespotykanego dotąd poziomu. Zakłady przemysłowe stały bezczynnie albo z powodu zepsutego sprzętu i zredukowanych dostaw, albo z braku jakichś drobnych elementów potrzebnych do masowej produkcji. Połowa taboru środków transportu nie nadawała się do użytku. Mnożyły się wąskie gardła i braki na rynku. Kraj mający miliardy hektarów pięknych lasów nie potrafił produkować

zapałek[17], rzekomo dlatego, że nie było kleju, żeby przyklejać do patyczków główki z siarką. Nie można było robić butów, ponieważ brakowało kleju do przyklejania wierzchów do podeszew. Nawet produkcja węgla – radość i duma reżimu Gierka – spadła z 201 milionów ton w 1979 roku do 163 milionów w roku 1981. Przemysł budowlany, z ogromnym opóźnieniem w planach budownictwa mieszkaniowego, praktycznie rzecz biorąc, stanął w miejscu. Wskaźniki dochodu narodowego po raz pierwszy od czasu wojny osiągnęły wartości ujemne. W roku 1980 nastąpił spadek o 12 procent, a w roku 1981 – o prognozowane – 17–18 procent. Oficjalni rzecznicy, zmuszani przecież do oficjalnego optymizmu, nie przewidywali, aby przed rokiem 1990 udało się powrócić do poziomu z roku 1978.

Wahaniom ulegały dostawy energii. Mimo potężnych zapasów węgla Polska nie umiała sprostać zapotrzebowaniu na energię elektryczną. Przerwy w dostawach prądu były w latach 1980–1981 na porządku dziennym; w roku 1982 udawało się im zapobiegać tylko w wyniku zmniejszonego zapotrzebowania przemysłu znajdującego się w stanie zastoju. Występowały natomiast przerwy w dostawach gazu dla indywidualnych gospodarstw domowych. Import ropy naftowej, w znacznym stopniu zależny od łaskawości ZSRR, popadł w poważne tarapaty. Ograniczenia dostaw energii elektrycznej w międzynarodowej sieci, obejmującej Czechosłowację i Niemcy Wschodnie, spowodowały niedobory w produkcji RWPG.

Zasoby siły roboczej, zawsze rozmieszczane nieefektywnie, teraz znajdowały się w stanie beznadziejnej dezorganizacji. System, który szczycił się fikcyjnym całkowitym brakiem bezrobocia, nie dbał o mobilność na rynku pracy i okazał się niezdolny do przystosowania się do warunków wzrastającego kryzysu. Liczba rąk do pracy w kluczowych obszarach realizacji nowych projektów przemysłowych była niewystarczająca, przy jednoczesnej znacznej nadwyżce siły roboczej w tradycyjnych sektorach. Przez całe dziesięciolecia komunistyczni dyrektorzy płacili milionom robotników za to, że pracowali mało lub nie pracowali wcale. Teraz stanęli w obliczu poziomu oficjalnego bezrobocia przewyższającego wszelkie wskaźniki w krajach Zachodu.

---

[17] Według przybliżonych obliczeń ponad 11 milionów hektarów polskich lasów powinno dostarczyć ilość drewna wystarczającą na to, żeby każdy z 36 milionów mieszkańców kraju mógł co sekundę zapalać kolejną zapałkę bez przerwy przez 39 lat, 153 dni, 11 godzin i 46 minut; nawet wtedy w zapasie zostałoby jeszcze 1728 miliardów zapałek. Mimo to zapałek brakowało.

Nie publikowano żadnych danych na temat wojskowego sektora gospodarki. Trudno sobie jednak wyobrazić, żeby ta największa świętość komunistycznego planowania mogła się uchronić przed powszechnymi dolegliwościami.

W kategoriach ludzkich największą ofiarą padła stopa życiowa Polaków. W połowie lat siedemdziesiątych polskim konsumentom pozwolono wierzyć, że długie lata wyrzeczeń nareszcie przyniosą im zasłużoną nagrodę. Podniesione pensje, lepsza jakoś artykułów gospodarstwa domowego – lodówek czy telewizorów – na które było ich stać, pierwsze samochody rodzinne, zadowalające dostawy żywności i odzieży, powolna poprawa warunków mieszkaniowych i – po raz pierwszy – niewielka nadwyżka środków, które można było przeznaczyć na rozrywki i podróże – wszystko to stwarzało złudzenie dobrobytu. Przeciętna polska rodzina zjadała mniej więcej tyle samo mięsa co rodzina brytyjska czy francuska – ponad 70 kilogramów rocznie na głowę. Ludzie nie mieli się dowiedzieć, że ich krótkotrwały dobrobyt kupiono za cenę niezabezpieczonych pożyczek i że nie wspierały go odpowiednie wskaźniki produkcji. Smak ostatecznego rozczarowania stał się zatem jeszcze bardziej gorzki. Krótki okres racjonowania cukru w 1975 roku był ostrzeżeniem o nadchodzących poważniejszych problemach, ale główną katastrofę udało się powstrzymać do 1980 roku. Potem wszystkie podstawowe artykuły konsumpcyjne – mięso, masło, alkohol, tytoń, środki czystości, benzyna, obuwie, a nawet bielizna – były ściśle racjonowane, przy zachowaniu minimalnego poziomu przyznawanych racji. Polacy, którzy zachowali pamięć poprzednich okresów, porównywali swoją nędzę z warunkami z epoki stalinowskiej czy nazistowskiej okupacji.

Czarny rynek rozkwitał oczywiście jak nigdy przedtem. Akcje milicyjne podejmowane przez reżim wojskowy przeciwko „kontrrewolucyjnym spekulantom" nie miały żadnego sensu, skoro oficjalna gospodarka nie była w stanie zaspokoić najbardziej podstawowych potrzeb.

Wobec wszystkich tych objawów katastrofy gospodarczej rzecznicy partii komunistycznej musieli wreszcie przyznać, że istniejący system gospodarczy rzeczywiście przestał funkcjonować. Centralne organy planowania i zarządzania zachowywały zwykłe pozory, ale przedsiębiorstwa rolne, przemysłowe i usługowe nie reagowały już na rozkazy. Reformy gospodarcze stały się już nie tylko pożądane, lecz wręcz konieczne.

W roku 1980 warunki do przeprowadzenia takich reform w Polsce były już jednak najgorsze z możliwych. Nie widziano perspektyw poprawy sytuacji w handlu światowym ani recesji na Zachodzie. Zarówno w łonie rządzącej partii, jak i w zdezorientowanym społeczeństwie brakowało

powszechnej zgody co do pożądanego kierunku zmian. Nie widać też było oczywistego sposobu pogodzenia rodzimych osobliwości gospodarczych w Polsce z doktrynerskimi wymogami bratnich narodów sojuszniczych. Zabrakło nawet solidnych podstaw statystycznych do podejmowanych działań, ponieważ w styczniu 1981 roku dawny szef Głównego Urzędu Statystycznego przyznał, że oficjalne statystyki systematycznie fałszowano[18]. Co więcej, badania długoterminowych tendencji w Europie Wschodniej wykazywały stopniowe pogarszanie się sytuacji w całym bloku sowieckim. Trudności występujące w Polsce zmniejszały zdolność jej socjalistycznych sojuszników do udzielenia skutecznej pomocy. Związek Sowiecki, sam będąc w krytycznej sytuacji gospodarczej, mógł jedynie rozważać możliwość zwiększenia pomocy dla Polski kosztem zredukowania pomocy dla innych sojuszników w potrzebie. Zmniejszanie dostaw Polski do RWPG zmniejszało możliwości dostaw RWPG do Polski. Faktyczne bankructwo Polski zrujnowało wiarygodność kredytową bloku sowieckiego w oczach zachodnich wierzycieli. Tak zwany sowiecki parasol mający stanowić zabezpieczenie pożyczek okazał się mocno przemakalny. A co ważniejsze, czas pracował na niekorzyść reform. Wszyscy eksperci są zgodni, ze między wprowadzeniem reform i rzeczywistą poprawą sytuacji musi upłynąć określony czas. Początkowa faza, w której odbywa się transformacja systemu, nieuchronnie łączy się z chaosem, improwizacją, występowaniem „problemów natury technicznej" i spadkiem wydajności. Innymi słowy, polski program reform zapoczątkowany w 1982 roku (kiedy produkcja spadła o 15 procent) musiał wywołać wzrost trudności w latach 1983, 1984 i 1985, a wyniki mogły stać się widoczne dopiero w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Wtedy jednak pojawiłyby się nowe naciski demograficzne, pociągające za sobą tendencje do zmniejszania uzyskanych korzyści. Ogromne wahania najwyższych i najniższych wskaźników struktury demograficznej w Polsce, spowodowane wysoką śmiertelnością w czasie wojny i zadziwiającym kompensacyjnym skokiem demograficznym w latach pięćdziesiątych, sprawiły, że równowaga między liczbą ludności w wieku produkcyjnym i nieprodukcyjnym ulegała poważnym zachwianiom. W dodatku – dość pechowo – w dziesięcioleciu 1980–1990 odnotowano gwałtowny wzrost liczby urodzin (pokolenie wyżu demograficznego z lat pięćdziesiątych zaczynało rodzić własne dzieci), podczas gdy jednocześnie dojrzało pokolenie niżu demograficznego z lat sześćdziesiątych. Wzorce demograficzne dla narodu polskiego

[18] M. Ellmann, B. Simatupang, *Odnowa in Statistics*, „Soviet Studies" (Glasgow) 1982, t. 34, nr 1, s. 111–117.

pozwalały przewidywać, że w latach osiemdziesiątych wystąpi maksymalna rozbieżność między liczbą ludzi do wykarmienia i zdolnością gospodarki do zapewnienia tym ludziom żywności. Reforma gospodarcza musiała postępować, ale bez oczywistych szans powodzenia.

Debata na temat reform gospodarczych toczyła się burzliwie przez cały rok 1980 i 1981, nie przynosząc jednak żadnych istotnych efektów. Solidarność opracowywała całą masę projektów; niektóre były sensowne, inne mniej, a już sama ta obfitość zaciemniała obraz zasadniczej spójności postaw. Solidarność była przeświadczona, że fundamentalnym warunkiem wstępnym powodzenia wszelkich programów naprawy gospodarczej jest zgoda społeczna. Żadnej zmiany nie da się zastosować w praktyce, dopóki nie pozwoli się „społeczeństwu" na udział w jej ustanawianiu i realizacji. Reformy narzucane z góry, nawet najwspanialsze, skazane były na niepowodzenie, po prostu dlatego, że naród stracił całe zaufanie do partii i jej umiejętności rządzenia. Przeświadczenie to, mimo że bardzo sensowne, stanowiło kamień obrazy dla partyjnego betonu, który był w stanie zablokować jego akceptację; budziło natomiast żywą sympatię wśród tych członków partii, którzy należeli do Solidarności i którzy walczyli w tej sprawie długo i wytrwale podczas najróżniejszych posiedzeń komisji do spraw reformy i sejmowych dyskusji. W efekcie projekty ustaw o reformie gospodarczej poddawano niezliczonym kolejnym poprawkom, co powodowało opóźnienia; tymczasowego programu reform nie udało się zatwierdzić przed wprowadzeniem stanu wojennego.

Ogólnie rzecz biorąc, w atmosferze znacząco zmienionej pod wpływem liberalnej postawy Solidarności komuniści nie mieli odwagi wysuwać silnych argumentów, które byłyby oparte na tradycjach gospodarczych ich własnego ruchu. Ukazujące się od czasu do czasu artykuły przypominały hasła komunizmu z lat wojennych, które przeprowadziły bolszewików przez rosyjską wojnę domową, a które komisarze generała Jaruzelskiego mieli wcielać w życie w 1982 roku. Pojawiały się sporadyczne wzmianki na temat leninowskiego NEP-u z lat 1921–1928, kiedy to ustępstwa na rzecz metod kapitalistycznych umożliwiły bolszewikom przywrócenie dobrobytu do czasu porządnego przygotowania programu radykalnych transformacji gospodarczych. Kilku autorów z nazwiska wymieniało Stalina – niewielu, bo taka polityka była już zdyskredytowana nawet w kręgach partyjnych, ale w miarę pogłębiania się kryzysu coraz częściej słyszało się słowa krytyki pod adresem nieudanej polityki partii, przy czym używano argumentu, że „socjalizmu było zbyt mało, a nie zbyt wiele". Tłumacząc tę tezę na normalny język, oznaczało to wezwanie do odrodzenia stalinowskich doświadczeń z lat pięćdziesiątych.

Najczęściej jednak mówiono o „kadaryzmie". Wielu towarzyszy w Polsce, a także wielu komentatorów na Zachodzie na serio rozważało problem, czy droga Polski do wyzdrowienia przypadkiem nie biegnie równolegle do drogi, którą z powodzeniem poszedł Kádár na Węgrzech po roku 1956. Model węgierski zawierał szereg idei bardzo atrakcyjnych dla ludzi ograniczających się w swoim myśleniu do sfery gospodarczej. Decentralizacja zarządzania, stworzenie bodźców do efektywnej pracy, redukcja przestarzałego przemysłu ciężkiego oznaczającego straty energii, „reindustrializacja" gospodarki z naciskiem na rozwój przemysłu lekkiego, nowoczesne technologie, przetwórstwo żywności, rewitalizacja rolnictwa przez zakładanie autonomicznych spółdzielni – wszystkie te pomysły oraz szereg dodatkowych włączano w toczące się debaty. Niewiele jednak można było zdziałać w sytuacji, w której decyzyjne organy partii szybko popadały w stan całkowitego paraliżu.

Wreszcie 1 stycznia 1982 roku, pod przykrywką stanu wojennego, wprowadzono pakiet reform gospodarczych, a w latach 1981–1982 sejm przyjął kilkanaście związanych z tym programem ustaw. Punkty, które były sprzeczne z dekretami stanu wojennego – na przykład autonomia przedsiębiorstw kontrolowanych przez komisarzy wojskowych – trzeba było przenieść w stan zawieszenia, ale poczyniono pewien postęp w opanowywaniu szalejącego chaosu i w budowaniu fundamentów odnowy. Oferenci pakietu – na przykład profesorowie Bobrowski i Sadowski – wyjaśniali, że reformy opierają się na trzech zasadach: centralnym planowaniu nakładów na gospodarkę, niezależności samorządnych i samofinansujących się przedsiębiorstw oraz należytym przestrzeganiu reguł handlu i mechanizmów rynkowych w prowadzeniu polityki gospodarczej[19]. Kluczowy element, ustawa o przedsiębiorstwach, został przegłosowany już wcześniej, jesienią 1981 roku, po przejęciu władzy przez generała Jaruzelskiego. Ustawa ta przewidywała cały wachlarz przedsiębiorstw różnych rodzajów – od ogromnych, zintegrowanych pionowo z całym przemysłem ciężkim, po małe i zróżnicowane przedsiębiorstwa mieszane w sektorach przemysłu lekkiego i usług; zawierał też projekt samorządów – ogólne zgromadzenia pracowników, rady pracowników oraz – po uzyskaniu przyszłej zgody – „samorządy pracownicze". Swoboda przedsiębiorstw w zarządzaniu własnymi budżetami, w rozdzielaniu zysków, zaciąganiu pożyczek czy dystrybucji wynagrodzeń pracowników miała

[19] Zob. *Current Problems of the Polish Economic Reform.* Teksty wystąpień profesorów Czesława Bobrowskiego i Zdzisława Sadowskiego na spotkaniu z ambasadorami i ministrami spraw zagranicznych w Warszawie w czerwcu 1982 roku.

dać zarządom poczucie rzeczywistej odpowiedzialności oraz – jako produkt uboczny – ożywić dogorywający system bankowości. Ustawa o planowaniu społeczno-gospodarczym z 1982 roku nakreślała ramy procedur pozwalających na koordynację centralnego planowania z autonomicznymi przedsiębiorstwami poprzez kontrakty i kontrolę rynku. Państwo zachowywało władzę w sprawach obrony kraju, zaopatrzenia kryzysowego i zobowiązań międzynarodowych. Ustawa o cenach definiowała trzy nowe kategorie cen: ceny stałe na towary konsumpcyjne, ustalane według podstawowych wskaźników kosztów utrzymania, ceny kontrolowane na artykuły przemysłowe, ustalone w oparciu o koszty produkcji z planowanym marginesem wzrostu, oraz ceny umowne, ustalane na podstawie umów między partnerami handlowymi. Co najciekawsze, w miejsce dawnych „zjednoczeń branżowych" utworzono biura komisarzy rządowych, wiążąc w ten sposób centralne ministerstwa z przedsiębiorstwami przemysłowymi. Liczbę ministerstw zajmujących się gospodarką radykalnie zredukowano, a biurom komisarzy przekazano zaledwie jedną piątą personelu administracyjnego zatrudnionego w dawnych zjednoczeniach. W pierwszym stadium swych trudnych narodzin pakiet reform gospodarczych sprawiał wrażenie poważnego ataku wymierzonego w tradycyjną komunistyczną gospodarkę kontrolowaną.

Jednocześnie zaś reżim wojskowy nie wahał się przed wprowadzaniem autorytarnych środków mających na celu złagodzenie najgorszych skutków braku równowagi w gospodarce. We wszystkich sektorach gospodarki mianowano komisarzy wojskowych, którzy mieli za zadanie likwidować wąskie gardła za pomocą apodyktycznych poleceń oraz przywracać dyscyplinę pracy. Opornych robotników należało arbitralnie zwalniać. Wszystkie twierdze Solidarności – kopalnie na Śląsku, Nową Hutę, Hutę Katowice i Hutę Warszawa, stocznie Gdańska i Szczecina oraz zakłady zbrojeniowe w Radomiu i Stalowej Woli – oficjalnie zmilitaryzowano, poddając nieposłusznych robotników takim samym karom jak buntowników i dezerterów. Przestępstwa gospodarcze – sabotaż, nieobecność w pracy czy podżeganie do strajku – przekazywano sądom wojskowym. Trwająca miesiąc kampania propagandowa zapowiadała ludziom wielkie podwyżki cen, które wprowadzono 1 lutego 1982 roku wraz z kompensacyjnymi podwyżkami płac. Podwyżki cen, w powszechnym odczuciu spóźnione o kilkanaście lat, wynosiły przeciętnie 300 procent. Cena cukru podskoczyła z 11 na 46 złotych za kilogram, cena masła – z 68 na 240; szynki – ze 120 na 360. Rekompensaty w postaci podwyżek płac obliczano według skali stopniowej: od 700 złotych miesięcznie dla najmniej zarabiających do 300 złotych miesięcznie dla dobrze zara-

biających robotników. Hojne specjalne dodatki w wysokości 1400 złotych miesięcznie miano wypłacać górnikom, plus dodatek w wysokości 1000 złotych na każde dziecko. Te zmiany, dziesięciokrotnie drastyczniejsze od podwyżek z 1976 roku, które wywołały poważne rozruchy, przyjęto bez uśmiechu, ale i bez pomruków protestu. Również 1 lutego weszła w życie skorygowana Karta górnika. Poza specjalnymi dodatkami do pensji Karta przewidywała prawo do emerytury po zaledwie dwudziestu pięciu latach pracy pod ziemią, pomoc dla młodych małżeństw w otrzymywaniu mieszkań i potwierdzenie tradycyjnych górniczych stopni, tytułów, mundurów i świąt. Można by powiedzieć, że to niewielka rekompensata za utratę prawa do pięciodniowego dnia pracy, uzyskanego za czasów Solidarności, oraz za ponowne wprowadzenie znienawidzonego systemu czterobrygadowego. Przynajmniej na krótką metę udało się jednak osiągnąć bezpośrednie cele. Górnicy wrócili do pracy, a przewidziany na 1982 rok plan wydobycia 190 milionów ton zaczął wyglądać na możliwy do zrealizowania.

Oficjalni rzecznicy musieli dać wyraz ostrożnemu optymizmowi, ale w oczach obserwatora z zewnątrz częściowa i improwizowana reforma z lat 1981–1982 wyglądała jak prowizoryczna naprawa: coś więcej niż kosmetyczna poprawka, ale mniej niż remont generalny. Nie było żadnych oznak gruntownych przemian. Polska wciąż znajdowała się w kleszczach regresu gospodarczego, bez bliskich perspektyw radykalnych zmian.

10. Stanowisko zagranicy

Od czasu gdy nieszczęścia Polski stały się w połowie XVIII wieku przedmiotem zagranicznych komentarzy, zarówno jej krytycy, jak i sympatycy stworzyli fascynujący korpus skrzydlatych słów. W liście do brata Fryderyk Wielki zapowiadał, że wraz z innymi państwami rozbiorowymi spożyje „jedną hostię – Polskę", Voltaire wygłosił swój słynny żart, mówiąc: *un polonais – un charmeur, deux polonais – une bagarre, trois polonais – c'est la Question Polonaise*, zaś Burke stwierdził uroczyście, że „z naszej perspektywy Polska może być traktowana jako kraj z Księżyca". Po powstaniu listopadowym Richard Cobden ogłosił, iż los, jaki spotkał Polskę, mógł się przytrafić tylko społeczeństwu „zaniedbanemu, dotkniętemu zgnilizną, niezorganizowanemu, ignoranckiemu i niereligijnemu"; Lamartine przyznał w nieco skromniejszym tonie, że „kochamy Polskę... ale przede wszystkim kochamy Francję". W XX wieku Wiaczesław Mołotow nazwał Polskę „pokracznym bękartem traktatu wersalskiego";

J.M. Keynes – „gospodarczym niepodobieństwem, którego jedynym przemysłem jest szczucie Żydów"; a David Lloyd George miał podobno powiedzieć, że nie dałby jej Górnego Śląska tak samo, jak „nie dałby małpie zegarka". W 1939 roku Adolf Hitler nazywał Polskę „śmiesznym państwem, w którym (...) sadystyczne bestie dają upust swoim perwersyjnym instynktom", „ulubionym pokojowym pieskiem zachodnich demokracji, którego w ogóle nie można uznać za kulturalny naród", „tak zwanym państwem, pozbawionym wszelkich podstaw narodowych, historycznych, kulturowych czy moralnych". W tym samym czasie pewien poseł we francuskim Zgromadzeniu Narodowym pytał z niejakim znużeniem, czy Francuzom znów każe się „umierać za Gdańsk".

W tym barwnym zbiorze cytatów polonofobowie zdecydowanie górują nad polonofilami. Natomiast jeśli nie brać pod uwagę animozji Niemców i Rosjan, wywodzących się po prostu ze zwykłego złego sąsiedztwa, trudniej jest wyjaśnić, dlaczego ludzie pokroju Keynesa czy Lloyda George'a tak dokładnie się zgadzali z ludźmi pokroju Hitlera czy Mołotowa. A jeszcze ciekawsze jest, że do niedawna wiele z dawnych postaw można było odnaleźć na łamach pism „The Economist", „Guardian" czy „New York Times". Niewielu ludzi na Zachodzie byłoby skłonnych przyznać wprost, że Solidarność jest destrukcyjną organizacją wichrzycieli, którzy zasłużyli na swój los, liczni natomiast wyrażali pogląd, że Solidarność „dostała się w ręce ekstremistów" lub „nie potrafiła trzymać się z daleka od polityki". Miliony ludzi życzyłyby sobie, żeby Polska – razem z Irlandią Północną, Libanem i Salwadorem – po prostu poszła na dno morza. Przynamniej jeśli idzie o sprawę polską, zwolennicy sceptycyzmu Voltaire'a z pewnością byli liczniejsi od naśladowców optymizmu Rousseau.

Pierwsza kategoria zachodnich sceptyków kierowała się interesami handlowymi. Byli pod wrażeniem decyzji zachodnich banków, które w ciągu dziesięciu lat przekazały krajom bloku sowieckiego 80 miliardów dolarów – osiem razy więcej niż wyniosła ogólna suma wypłacona Europie Zachodniej w latach powojennych w ramach planu Marshalla – oraz faktu, że efekty okazały się tak skromne. Obawiając się, iż te gigantyczne pożyczki Zachodu mogą nie zostać nigdy spłacone, trzymali się kurczowo nadziei na stabilizację i instynktownie patrzyli z podejrzliwością na każdą przemianę w Europie Wschodniej, która zagrażała dalszą destabilizacją już i tak zdestabilizowanego rejonu. Byli naturalnymi sojusznikami komunistycznych rządów, w których pokładali niezachwianą ufność, i – na zasadzie przeniesienia – także sojusznikami wszystkich, którzy krytykowali przeciwników komunizmu. Ich postawą kierowały

czyste instynkty ludzi biznesu. Ponieważ komunistyczne rządy państw bloku sowieckiego były ich kontraktowymi klientami, najlepiej było zapomnieć o rozbieżności między ich własnymi zasadami wolnych przedsiębiorstw kapitalistycznych i zapiekłą wrogością komunistów wobec kapitalizmu. Wrodzony komercjalizm stał się bardzo charakterystyczny dla wielkich demokracji Zachodu, będących jednocześnie największymi na świecie narodami handlowców. Demokracje żyją handlem i gdyby pozwolono demokratycznym skrupułom wtrącać się do handlu, demokraci utraciliby swoje zyski. Gdyby partnerzy handlowi światowych demokracji przypadkiem okazali się tyranami, byłoby to godne ubolewania, ale los ludzi zapełniających więzienia tyranów bezpośrednio tyranów nie interesuje. Tak czy inaczej, przeciwnicy tyranów z pewnością złamali prawo, a jako wichrzyciele zakłócający pokój prawdopodobnie zasłużyli na swój los. Jest rzeczą charakterystyczną, że najbardziej typowym przedstawicielem tego sposobu myślenia był Richard Cobden, „apostoł wolnego handlu" i pionier brytyjskiego liberalizmu; jego pejoratywne uwagi o Polsce znaleźć można w broszurze propagującej rozszerzanie stosunków z carską Rosją. Arcyliberał stał się partnerem arcyautokraty. Biznes to biznes. Jakie byłyby poglądy Cobdena na kryzys w Polsce, można się przekonać, przeglądając uwagi uczniów Cobdena z późniejszego okresu. Wywieraliby naciski na rząd polski, aby w dogodnym momencie uwolnił Wałęsę, i namawialiby Kościół do uspokajania społecznych nastrojów. Ale ich głównym priorytetem byłby powrót do zwykłych interesów. Mogliby może mieć słabość do Polski i do jej romantycznych wichrzycieli, ale nie kiwnęliby palcem, żeby im pomóc. Mogliby powtórzyć za Lamartine'em: „Kochamy Polskę, ale przede wszystkim kochamy nasz gazociąg".

Drugą kategorię zachodnich sceptyków wobec Polski stanowili powiązani z bankierami ludzie, których główną troską było utrzymanie ustanowionej władzy. Wywodzili się zazwyczaj z prawego skrzydła zachodniej opinii publicznej i jako filary prawa i porządku w swoich krajach nie widzieli powodu, żeby podżegać ludzi zakłócających pokój za granicą. Dopóki Solidarność nie uciekała się do przemocy (czyli zawsze) i dopóki polskie władze sankcjonowały prawo do strajku, skłonni byli popierać „ciekawy eksperyment", ale z chwilą ogłoszenia stanu wojennego, kiedy udzielanie poparcia Solidarności przestało być legalne, poczuli, że czas położyć kres wszelkim sprzeciwom wobec polskiego rządu. Od tego momentu wszelki opór w Polsce uznawano za „destrukcyjny", a wszystkie komentarze na Zachodzie nadal krytykujące polski rząd określano jako „nieodpowiedzialne". Ludzie, którzy śmieli wywierać naciski na polski rząd, organizując protesty, byli w ich przekonaniu winni niepotrzebnego podgrzewania

atmosfery, podczas gdy ci, którzy w dalszym ciągu ostrzegali przed niebezpieczeństwem sowieckiej interwencji, najwyraźniej kierowali się mentalnym obrazem tysięcy młodych Polaków mordowanych pośród scen gwałtu i przelewu krwi. Komentatorzy należący do tej kategorii, a nie brakowało ich w konserwatywnych kręgach na Zachodzie, szczególnie w superautorytarnej Japonii, często byli tymi samymi ludźmi, którzy bezustannie ostrzegali przed sowieckim zagrożeniem i ponaglali Zachód do umacniania wałów obronnych chroniących przed złem komunizmu.

Trzecia kategoria zachodnich sceptyków obejmowała sympatyków stanowiska socjalistycznego i lewicowego. Mimo dowodów świadczących o czymś przeciwnym wciąż żywili oni przekonanie, że reżimy bloku sowieckiego mają w gruncie rzeczy charakter socjalistyczny i że wszelki jawny opór wobec tych reżimów musi być w jakiś sposób „antysocjalistyczny". Widzieli naturalnie, że rządy w sowieckim stylu mają mnóstwo wad i że traktują swoich przeciwników z większą bezwzględnością niż rządy kapitalistyczne. Ale w ich oczach należało wobec tego tym bardziej utrzymywać kontakty z kolegami z Europy Wschodniej i namawiać ich do łagodzenia metod. Wychodząc od właśnie takich założeń, brytyjski Kongres Związków Zawodowych upierał się przy utrzymywaniu stosunków z oficjalną polską Centralną Radą Związków Zawodowych aż do chwili jej rozwiązania i nie podjął formalnych kontaktów z Solidarnością aż do czasu jej formalnego uznania. Demokratyczni socjaliści o takich poglądach, a było ich wielu w brytyjskiej Partii Pracy czy w zachodnioniemieckiej SPD, chętnie organizowali strajki i akcje przeciwko przejawom zła w ich własnym (kapitalistycznym) społeczeństwie, ale wykazywali mniej chęci wspierania analogicznych działań w Polsce. Zachodni komuniści mieli podobnej natury wyrzuty sumienia. Chcieli się solidaryzować z polskimi robotnikami, ale jednocześnie uznawali prawo dyktatury polskiego proletariatu do tłumienia siłą przejawów dysydenctwa. Ostatecznie popierali jednocześnie PZPR i Solidarność. Najszczęśliwsi ze wszystkich byli zachodni trockiści. Traktując z taką samą pogardą polską marionetkę Związku Sowieckiego i „zdominowaną przez kler Solidarność", z rozkoszą szydzili równocześnie z obu stron polskiego konfliktu. Wydawało im się, że cały polski kryzys jest wynikiem spisku zachodnich kapitalistów oddanych idei finansowania ucisku krajów Europy Wschodniej przez ZSRR. Z tego też powodu ukuli skandowane podczas demonstracji dźwięczne hasło: „*Western banks – Russian tanks – out!*" (Precz zachodnie banki i rosyjskie tanki!).

W oczach znoszących cierpienia Polaków pokaz tych intelektualnych wygibasów stałby się pewnie komiczny, gdyby nie były one tak obraźliwe.

Prosty umysł nie mógł ich pojąć. Polacy obserwowali zachodnich bankierów, tych mandarynów kapitalizmu, podchodzących w rękawiczkach do komunistycznych bonzów. Widzieli zachodnich demokratów, tych elokwentnych obrońców wolności i sprawiedliwości, solidaryzujących się w Polsce ze zdeklarowanymi adeptami totalitarnej dyktatury i rządów wojskowych; widzieli zachodnich socjalistów, tych czempionów walki w obronie ludzi pracy w swoich krajach, wahających się, czy udzielić pomocy ludziom pracy w Polsce w zdobywaniu tych samych praw, które w Europie Zachodniej czy w USA są uważane za najzwyklejszą rzecz na świecie. I zastanawiali się, dlaczego tak jest i dlaczego zawsze tak było.

Trzeba uważać, żeby zbytnio nie uprościć obrazu opinii publicznej Zachodu, i trzeba niestety przyjąć, że brak spójności jest jednym ze skutków wolności słowa. Z pewnością byli na Zachodzie bankierzy, którzy szczerze ubolewali nad własną polityką w Europie Wschodniej, i to nie tylko z przyczyn praktycznych. Byli zachodni parlamentarzyści, zarówno na prawicy, jak i na lewicy, którzy konsekwentnie popierali sprawę polską, i byli przywódcy robotników w USA, socjaliści w Europie i eurokomuniści we Francji i we Włoszech, którzy niezmordowanie udzielali poparcia Solidarności. Ale mimo to pozostawało wiele do wyjaśnienia. Bojaźliwość wobec Polski wynikała w znacznej mierze ze stanowiska nie polityków o mocno ustalonych poglądach, reprezentujących agendy rządowe, lecz intelektualistów, członków świata akademickiego, komentatorów radiowych i telewizyjnych oraz niezależnych dziennikarzy, którzy przecież nie musieli zachowywać ostrożności. A mimo to uparcie postrzegali proces „normalizacji w Europie Wschodniej" w sposób odpowiedni dla wykładowcy Wyższej Szkoły Partyjnej w Pradze czy w Berlinie Wschodnim, a „stabilizację" uważali za równoznaczną z monopolistyczną władzą partii. Wydawało się, iż tym, czego im brakuje, jest świadomość moralnego elementu w polityce. Sugerowali, że skoro system komunistyczny w Europie Wschodniej ma do dyspozycji przytłaczającą siłę, to jest w jakiś sposób rzeczą niewłaściwą rzucać mu wyzwanie. Dawali do zrozumienia, że skoro z każdej próby rzucenia wyzwania władzy sowieckiej Polska wychodzi pobita, to Polska ponosi winę za to, że jest bita, a Polacy – zamiast się przeciwstawiać swoim dręczycielom – powinni raczej posłusznie biciu się poddawać. Sugerowali, że kłopoty Polski nie mają prawa zakłócać ich własnego dobrostanu. Nade wszystko zaś nie umieli dostrzec żadnego związku między losami Polski i losami ich własnej ojczyzny. (Ci spośród niemieckich socjaldemokratów, którzy sugerowali, że wolność Polski należy poświęcić w interesie pokoju w Europie, przynajmniej wykazywali się cnotą uczciwości). Ale na ogół, jak wskazywał Stanisław Barańczak,

„zaprzeczają oni istnieniu jakiejkolwiek wspólnoty interesów między już bitym a jeszcze nie bitym... Miejmy nadzieję – powiadają – że potwór zadowoli się jedną ofiarą, a tymczasem my będziemy mogli posyłać jej paczki żywnościowe"[20].

To interesujące zjawisko. Ale po dwustu latach „tragicznych powtórek" Polacy wciąż się nie nauczyli pokornie schylać karku i unikać bicia, które ich raz po raz spotykało, a opinia powszechna na Zachodzie, ogólnie rzecz biorąc, wciąż się nie nauczyła doceniać ich za to, że powstają, aby stawić opór.

Jeśli idzie o bezpośrednich sąsiadów Polski – ZSRR, Niemcy Wschodnie i Czechosłowację – ze zautomatyzowanych strumieni informacji ich cenzurowanych mediów trudno było wyłowić jakieś prawdziwe opinie. Wiele należało wydedukować na zasadzie informacyjnej osmozy. Oczywiście w Pradze i w Berlinie Wschodnim – najbardziej narażonych na złapanie bakcyla – rozbrzmiewał stały chór antypolskich doniesień, godny Beneša z 1939 roku czy Bismarcka z roku 1863. Ludziom niezainteresowanym musiało się wydawać, że Czesi i neo-Prusacy niewiele się nauczyli i że wcale nie mają ochoty się uczyć. Jesienią 1980 roku zamknęli granice przed polskimi gośćmi i turystami i nie mieli zamiaru ich otwierać.

Postawa Sowietów była bardziej niejednoznaczna. W krytycznych momentach – późną jesienią 1980 roku czy w czerwcu 1981 roku, kiedy Komitet Centralny KPZR poczęstował polskich towarzyszy podsumowaniem swojej ostrej opinii – władze sowieckie urządzały publiczny pokaz gróźb i insynuacji. Zachodni dziennikarze w Związku Sowieckim badający autorytatywne wypowiedzi przysłowiowych rosyjskich taksówkarzy czy fryzjerów donosili, że tradycyjne rosyjskie uprzedzenia wobec Polski nie uległy zmianie. W oczach wielu zwykłych Rosjan Polacy byli nieuleczalnie wrodzy w stosunku do Rosji i gdyby ich pozostawić samych sobie, z pewnością utworzyliby rząd złożony z antysowieckich fanatycznych klerykałów. Sowiecka inwazja na Polskę nie wypełniłaby moskiewskich rynsztoków strumieniami łez. Także sowiecka partia musiała się zapewne umocnić w swoich tradycyjnych rosyjskich poglądach na temat polskiego „nieuleczalnego braku odpowiedzialności". Z punktu widzenia partii nigdy nie istniała żadna alternatywa dla kierowanego przez komunistów rządu w Warszawie, chociaż można było mieć wrażenie, że polscy komuniści wiecznie bawią się w kotka i myszkę ze swoimi sowieckimi zwierzchnikami. Z jakiegoś powodu polski komunizm musiał się

[20] Stanisław Barańczak, *Tragic repetitions*, „The New Republic" (Waszyngton DC), 15 listopada 1982.

zawsze gruntownie różnić od wszystkich innych komunizmów, a w tak zwanym społeczeństwie socjalistycznym w Polsce musiało się aż roić od kułaków, księży i dysydentów. Bez żadnej wątpliwości komunistyczni przywódcy w Polsce okazywali się pozbawionymi entuzjazmu, niekompetentnymi oszustami. Przywódców przedwojennej KPP trzeba było rozstrzelać za ich trockizm; Gomułkę trzeba było odsunąć od władzy za jego nacjonalistyczne odchylenia i zasługiwał na to, żeby go odsunąć od władzy jeszcze raz. Bierut zafundował sobie ciężki zawał serca w bardzo źle wybranym momencie, a Gierek, najlepszy polski przyjaciel Breżniewa, szybciutko oddał kraj w zastaw zachodnim kapitalistom. Kania, prawa ręka KGB, nie miał najmniejszego zamiaru iść w ślady wielkiego Dzierżyńskiego, a Jaruzelski, którego awans w 1960 roku zyskał poparcie, ponieważ umacniał kontrolę partii nad wojskiem, okazał się „bonapartystą". Nie było wątpliwości, że przeciętny sowiecki towarzysz uważał cały polski naród, od góry do dołu, za niereformowalny. Ale w pierwszych latach po kryzysie z sierpnia 1980 roku nic nie wskazywało, żeby Kreml przyjął jakąś konsekwentną linię polityczną. Zdarzały się długie okresy, kiedy sowiecka prasa, zaabsorbowana innymi nieznoszącymi zwłoki kryzysami w kraju lub za granicą, relegowała wiadomości z Polski z pierwszych stron. Stwarzano wrażenie, że polski kryzys to burza w szklance wody, chaos na lokalną skalę, jak zamieszki w Estonii czy skandale w Azerbejdżanie, i że można będzie go zlikwidować, kiedy się okaże niewygodny. Gdy nastąpił grudniowy zamach stanu i sowieccy towarzysze dowiedzieli się, że polska partia komunistyczna ostatecznie się załamała, nie było zbyt wielu oznak żalu czy jawnej paniki. Marszałek Kulikow zjawił się w Warszawie, aby osobiście nadzorować ostatnie przygotowania, i musiał być całkiem zadowolony z działań Jaruzelskiego. Jaruzelski szybko uzyskał jawną aprobatę Kremla. Sowieckich komentatorów reakcje Zachodu i amerykańskie sankcje interesowały o wiele bardziej niż szczegóły na temat wydarzeń w Polsce. Krótko mówiąc, uczucia Sowietów wobec Polski były pewnie przygnębiająco niezróżnicowane, natomiast poglądy Sowietów na temat praktycznych sposobów działania wydawały się mniej spójne, pozostawiając pewien margines na elastyczność reakcji.

11. Światowe reperkusje

Podczas każdego kryzysu w dziejach nowożytnej Europy sprawa polska okazywała się kością niezgody w sporach między wielkimi mocarstwami. W latach 1814–1815 podczas kongresu wiedeńskiego niemal

doprowadziła do wojny między członkami Świętego Przymierza. W latach 1919–1920, podczas konferencji pokojowej w Paryżu – Polacy, Niemcy i Rosjanie nie brali udziału w decydujących negocjacjach – narobiła sporo złej krwi w stosunkach między Wielką Brytanią i Francją. W latach 1943–1945, podczas spotkań przedstawicieli państw sprzymierzonych, była, jak się powszechnie uważa, jednym z głównych powodów nasilającej się zimnej wojny. Aristide Briand nazwał Polskę „reumatyzmem Europy", prezydent Roosevelt oświadczył, że sprawa polska „przyprawia świat o ból głowy". Raz jeszcze, po przyzwoitej przerwie liczącej czterdzieści lat, najnowszy polski kryzys stał się ogniskową napięć między Wschodem i Zachodem oraz przedmiotem retorycznego maratonu rozgrywanego między dwoma światowymi supermocarstwami. Nasuwa się pytanie, dlaczego zaledwie średnich rozmiarów kraj, który w ciągu minionych czterdziestu lat podjął na arenie spraw międzynarodowych zaledwie dwie niezależne inicjatywy mniejszej wagi[21], miałby skupiać na sobie aż tyle uwagi. Odpowiedź brzmi, że konsekwencje polskiego kryzysu dotyczyły wszystkich problemów Związku Sowieckiego. Nie tylko Stany Zjednoczone, ale także sam Kreml miał powody podejrzewać, iż Polska okaże się piętą achillesową całego bloku sowieckiego.

Wojskowy zamach stanu w Polsce niewątpliwie podniósł znaczenie interesów wojskowych we wszystkich krajach Układu Warszawskiego i przyprawił o dreszcze wszystkie bratnie partie. Jeśli się wydarzył w Polsce, wbrew wszelkim regułom leninizmu, to było do pomyślenia, że może się zdarzyć w Rumunii, w Niemczech Wschodnich i – co najbardziej przerażające – w samym ZSRR. Wszędzie tam, gdzie aparat partyjny był słaby i skorumpowany, gdzie sektor wojskowy musiał rywalizować w walce o kurczące się zasoby gospodarcze, gdzie komunistyczny establishment stawał w obliczu powszechnych zamieszek, marszałkowie i generałowie wiedzieli, że nadarza im się okazja przejęcia władzy. Ambicje wojska w krajach bloku sowieckiego, tradycyjnie bezwzględnie tępione, teraz były zdecydowanie podsycane. W Związku Sowieckim marszałkowie dobrze pamiętali, w jaki sposób partia potraktowała dwóch wielkich dowódców Armii Czerwonej, Tuchaczewskiego i Żukowa, i z pewnością nie planowali podobnego losu dla siebie. A teraz błysnęła im nadzieja.

Nie było żadną tajemnicą, że gospodarka bloku sowieckiego nieuchronnie wkracza w stadium ograniczenia rozwoju. Co więcej, niektórzy

[21] Plan Rapackiego z 1957 roku dotyczący utworzenia strefy bezatomowej w Europie oraz wstrzymanie się Polski od głosu na Ogólnym Zgromadzeniu ONZ 21 listopada 1956 roku podczas głosowania nad wnioskiem potępiającym interwencję ZSRR na Węgrzech.

zachodni eksperci twierdzili, że po roku 1980 PKB w ZSRR zaczęło wykazywać regres. W tym kontekście kryzys w Polsce wydawał się szczególnie niebezpieczny. Na krótką metę Polska miała prowadzić stały drenaż sowieckich rezerw finansowych i dewizowych. Czy mu się to podobało czy nie, Związek Sowiecki musiał udzielać Polsce pożyczek wystarczających do zapewnienia polskich dostaw dla RWPG i Układu Warszawskiego oraz dostarczać wystarczająco dużo obcej waluty, aby uchronić ją przed ogłoszeniem niewypłacalności długu zaciągniętego na Zachodzie. W obu tych przypadkach rząd sowiecki stanął w obliczu trudnego wyboru między wspieraniem Polski w większym zakresie, niż było go stać, a przyjęciem programu cięć w handlu w ramach RWPG i w spłatach zachodnich kredytów bloku sowieckiego. Na dłuższą metę sytuacja Polski otwierała przed ZSRR jeszcze bardziej niepokojące perspektywy. Gdyby z jakiegokolwiek powodu Związek Sowiecki stanął w obliczu konieczności interwencji w Polsce, ogromny ciężar jej długów, niedoborów produkcji i chaosu organizacyjnego powiększyłby własne obciążenia ZSRR. W takim przypadku wszelkie perspektywy odrodzenia gospodarczego Związku Sowieckiego w dającej się przewidzieć przyszłości musiałyby zostać skutecznie zniweczone.

Wobec ogólnego kryzysu gospodarczego w krajach bloku sowieckiego pierwszorzędne znaczenie miały wydatki na cele wojskowe. ZSRR rozpaczliwie pragnął dorównać USA pod względem militarnym, ale żeby to osiągnąć, musiałby wydać dwa do trzech razy więcej, niż wynosił jego PKB. Równocześnie zaś sowieccy przywódcy chcieli dać swoim od dawna cierpiącym obywatelom jakąś większą nagrodę za ich trudy. W latach siedemdziesiątych narody ZSRR poznały radość korzystania z telewizji, prywatnych samochodów i własnych łazienek. Ale wobec kurczącej się gospodarki rywalizujące ze sobą żądania sektorów wojskowego i cywilnego okazały się w sposób oczywisty niemożliwe do pogodzenia. W jednym ze swoich ostatnich przemówień, w listopadzie 1982 roku, Breżniew ze szczególnym naciskiem publicznie zapewnił marszałków, że dostaną wszystko, czego im trzeba. Był to zawoalowany sposób przyznania, iż marszałkowie obawiają się cięć w zaopatrzeniu. Z punktu widzenia marszałków istniało kilka dróg do wyboru. Mogli pokornie przyjąć redukcję swojego budżetu – zdaniem niektórych zachodnich ekspertów nie do uniknięcia – ale mogli też nie zrobić nic i poczekać, aż przygasające obietnice Breżniewa wypełnią jego następcy. Mogli się nawet zgodzić na cięcia wydatków na zbrojenia strategiczne w nadziei, że fundusze zostaną przeznaczone na broń konwencjonalną. A rozumując bardziej realistycznie, mogli też dowieść, że oni sami oraz ich budżet są koniecznością – na

przykład popychając Kreml do jakiejś kosztownej militarnej awantury. Biorąc pod uwagę głęboko zakorzenioną sowiecką manię na punkcie bezpieczeństwa narodowego i prestiżu wojskowego, mogli też równie dobrze wyobrazić sobie wybuch jakiegoś skromnego i dającego się opanować konfliktu, który stałby się najlepszym gwarantem ich zagrożonego zaopatrzenia. Przecież partyjni przywódcy nie mogliby odmówić ich prośbie, jeśli w grę miałaby wchodzić opinia niezwyciężonej dotąd sowieckiej armii. A gdzie, jeśli nie w Europie Wschodniej armia sowiecka mogłaby przeprowadzić szybką, cieszącą się poparciem i zwycięską kampanię, nie ryzykując przy tym odwetu ze strony USA? Gdyby wszystko inne zawiodło, to w przypadku przedłużających się cięć w budżecie wojskowym sowieccy marszałkowie mogliby się posunąć do tego, aby pójść za przykładem generała Jaruzelskiego i dać swoim nędznym przywódcom politycznym nauczkę, jaka im się dawno należała. W tym kontekście można by sobie zadać pytanie, czy *démarche* generała Jaruzelskiego w Polsce nie powinno się uznać za swego rodzaju próbę, wspieraną przez jego wojskowych kolegów z Układu Warszawskiego i stanowiącą przygotowanie do analogicznych przyszłych wydarzeń w ich własnych krajach. Jest rzeczą oczywistą, że pozycja KPZR w Związku Sowieckim była bez porównania silniejsza niż pozycja PZPR w Polsce. W roku 1980, pomimo niepewności co do sukcesji po Breżniewie, nie istniały żadne oznaki bezpośredniego udziału marszałków w bieżących wydarzeniach. Ale nawarstwiające się w latach osiemdziesiątych problemy musiały odcisnąć swoje piętno. Każda kolejna katastrofa w rolnictwie, każda chybiona inwestycja w przemyśle, każdy wybuch zamieszek wśród mniejszości narodowych, każdy kryzys w Europie Wschodniej, każda konfrontacja ze Stanami Zjednoczonymi nieuchronnie umacniały pozycję wojskowych. Można jedynie snuć przypuszczenia, nie wydaje się jednak nieprawdopodobne, żeby jeszcze w tym samym dziesięcioleciu, w którym generał Jaruzelski przejął władzę w Warszawie, jakiś sowiecki marszałek, zainspirowany tym posunięciem, zrobił to samo na Kremlu.

Natomiast w bliższej perspektywie kryzys w Polsce zagrażał podstawowym planom strategicznym ZSRR. W odróżnieniu od sytuacji na Węgrzech w 1956 roku, kiedy inwazji dokonały dywizje sowieckie stacjonujące w pobliskim rejonie wojskowym na Ukrainie, i w odróżnieniu od sytuacji w Czechosłowacji w roku 1968, kiedy nie oczekiwano oporu ludności, interwencja sowiecka w Polsce poważnie zakłóciłaby układ sowieckich wojsk stacjonarnych i rezerw wojskowych. Eksperci wojskowi różnili się w swoich poglądach, ale podczas gdy okupacja nie stawiającej oporu Czechosłowacji wymagała użycia wojsk Układu Warszawskiego

w liczbie niemal pół miliona żołnierzy, okupacja wojowniczej Polski, z jej dwa razy większym terytorium i niemal dwukrotnie wyższą liczbą mieszkańców, wymagałaby sił jeszcze większych. Nawet gdyby Wojsko Polskie miało zachować neutralność, należałoby znaleźć oddziały, które mogłyby zastąpić piętnaście polskich dywizji rozlokowanych na linii frontu Układu Warszawskiego, a oprócz tego zebrać kolejne czterdzieści pięć do pięćdziesięciu dywizji potrzebnych do zajęcia Polski i rozmieszczenia wojsk na jej obszarze. Armia sowiecka musiałaby wycofać znaczące siły z granicy z Chinami oraz zmobilizować część rezerw. Decydowałaby się na operację zakrojoną na skalę o wiele szerszą niż jakiekolwiek przedsięwzięcie wojskowe od czasu II wojny światowej. Ponadto koncentrując tak liczne wojska na zachodnich granicach, znacznie zmniejszyłaby kontrolę wojskową na wschodzie. Każdy, kto zna sowiecką literaturę dotyczącą problemów strategicznych, wie, jak bardzo wrażliwi są sowieccy przywódcy wojskowi na sytuacje wymagające jednoczesnych działań na dwóch frontach. Praktycznie rzecz biorąc, oznaczało to, że sowieccy wojskowi niechętnie zaangażowaliby się w Polsce, chyba że przedtem na mocy jakichś wcześniejszych układów z Chinami zabezpieczyliby sobie tyły na wschodzie. Jak zwykle, napięcia chińsko-sowieckie działały na korzyść Polski. Jak zwykle, jakaś konkretna umowa między ZSRR i Chinami dotycząca wzajemnej redukcji sił zbrojnych w Azji wzbudziłaby niepokój w Warszawie. Istnieje jeszcze jeden istotny wzgląd. Polska była najważniejszym obszarem strategicznym w Europie Wschodniej – głównym mostem Armii Czerwonej prowadzącym do linii frontu Układu Warszawskiego w Niemczech. Gdyby sytuacja w Polsce miała się pogorszyć na tyle, że musiano by uznać konieczność inwazji sowieckiej, problemu nie dałoby się rozwiązać za pomocą jednej szybkiej operacji. Potężny kontyngent wojsk sowieckich byłby uwiązany w Polsce na długie lata, jeśli nie na dziesięciolecia. Zdemoralizowane resztki Wojska Polskiego – podobnie jak wojsko czechosłowackie po roku 1968 – byłyby uznane za niezdolne do działań na froncie, a siły szturmowe Układu Warszawskiego z dnia na dzień utraciłyby jedną trzecią swojej zdolności bojowej. Mimo znacznych przesunięć sił sowieckich na zachód sowiecki układ wojskowy w Europie uległby znacznemu osłabieniu. Zdolność Armii Czerwonej do elastycznej reakcji na nagłe sytuacje na innych obszarach zostałaby zredukowana proporcjonalnie do tej utraty sił. Związek Sowiecki nie mógł sobie pozwolić, żeby polski obszar strategiczny wypadł z układanki, ale nie mógł też sobie pozwolić na bezterminową okupację Polski.

Tak więc, o ile rozważane w kategoriach wojskowych bezpośrednie skutki konfliktu polsko-sowieckiego byłyby niewątpliwe, o tyle jego

wpływ na pozycję Sowietów w Europie Wschodniej mógłby się okazać nieobliczalny. Zwycięstwo wojskowe Sowietów mogłoby się szybko zmienić w polityczną katastrofę. Działanie RWPG zostałoby zakłócone w tym samym stopniu co działanie Układu Warszawskiego, a reputacja Związku Sowieckiego jako pokojowego, przyjaznego sojusznika byłaby bezpowrotnie zniweczona. Inwazja na Węgry w 1956 roku znacznie osłabiła ruch komunistyczny na świecie; inwazja na Czechosłowację w roku 1968 stworzyła „eurokomunizm" i spowodowała ucieczkę wielu partii zagranicznych spod sowieckiej kurateli; inwazja na Polskę, trzecia w tej serii, byłaby ostatecznym ciosem zadanym całemu sowieckiemu sojuszowi. Bratnie partie żyłyby w strachu przed dewiacyjną polityką i budziłaby w nich głęboki sprzeciw konieczność ponoszenia coraz większych nakładów wojskowych. Sowieckie marzenie o lojalnej, przepojonej wdzięcznością i zamożnej Europie Wschodniej, radośnie dostarczającej ZSRR wszelkich towarów, usług i żołnierzy, jakich tylko zechciałby zażądać, zostałoby na zawsze unicestwione.

Co najważniejsze, losy Polski w latach 1980–1982 były blisko związane z najistotniejszą kwestią tamtego czasu: rozbrojeniem atomowym. Cała ludzkość potrzebowała nuklearnego rozbrojenia, aby sobie zapewnić przetrwanie. Stany Zjednoczone musiały je wprowadzić, żeby uniknąć zbędnych wydatków i żeby utrzymać zaufanie swoich demokratycznych sojuszników; ZSRR potrzebował go najpilniej ze wszystkich, z powodu obaw, że jego spowalniająca gospodarka i słabująca technologia nie dotrzymają kroku pełnemu nowego wigoru amerykańskiemu programowi zbrojeń. Główny wysiłek Związku Sowieckiego w kierunku unowocześnienia uzbrojenia dokonał się pod kierunkiem Breżniewa w ciągu dwudziestu lat po kryzysie kubańskim z 1961 roku, było jednak rzeczą wątpliwą, czy następcy Breżniewa mu dorównają. W czasie gdy kryzys polski zbliżał się do katastrofy, negocjacje sowiecko-amerykańskie nie wskazywały na to, aby dokonywał się prawdziwy postęp. Rozmowy w sprawie redukcji zbrojeń prowadzone w Genewie w ramach układów INF (*Intermediate Nuclear Force*) i START wlokły się tak samo jak wcześniej w Wiedniu rozmowy MBFR (*Mutual and Balanced Force Reductions*) w sprawie broni konwencjonalnej. Moskwa była tak samo podejrzliwa wobec „opcji zero" prezydenta Reagana jak Waszyngton wobec sowieckich prób podziału sojuszu NATO i wykorzystania planu jednostronnego rozbrojenia w ramach ruchu pokojowego. Ale czas uciekał, a kiedy po nieudanej próbie osiągnięcia porozumienia miano do końca 1983 roku rozmieścić w Europie Zachodniej amerykańskie Pershingi 2 i rakiety Cruise, coraz bardziej naciskano na sowieckich negocjatorów, na-

kłaniając ich do podejmowania prób osiągnięcia kompromisu. W takim kontekście sowiecka inwazja na Polskę mogła się okazać zgubna dla sprawy o fundamentalnym znaczeniu, jaką były strategiczne i ekonomiczne interesy ZSRR. Pojawienie się sowieckich czołgów w Warszawie nie oznaczałoby niczego dobrego dla kampanii pokojowej. Zwolennicy jednostronnego rozbrojenia zostaliby rozbrojeni z dnia na dzień. Amerykańscy negocjatorzy nie bardzo mogliby kontynuować rokowania rozbrojeniowe ze swoimi sowieckimi odpowiednikami. Związek Sowiecki unicestwiłby ostatnią troskliwie pielęgnowaną nadzieję na trwałą równowagę strategiczną. Życie człowieka na Ziemi zrobiłoby krok naprzód na drodze do własnej zagłady.

W roku 1977, na kilka lat przed pojawieniem się Solidarności, pewien emerytowany brytyjski generał napisał futurystyczny tekst literacki o „Trzeciej wojnie światowej"[22]. Akcję książki postanowił rozpocząć od wydarzeń w Polsce, gdzie bunt robotników doprowadził do sowieckiej inwazji, pochód wielkich sił zbrojnych Sowietów wywołał niepokój NATO, a incydenty na linii frontu w Niemczech sprowokowały powszechną pożogę. Nie trzeba przyjmować spekulacji poczciwego generała ze wszystkimi szczegółami, żeby się zorientować, iż Polska nie jest jakąś nieważną Rurytanią, którą się nie warto przejmować. Burke nie miał racji. Polska jednak nie leży na Księżycu. Jak mieli się nauczyć Castlereagh, Lloyd George, Chamberlain i Churchill, Polska leży w centrum spraw europejskich. Bardziej niż większość innych krajów jest „ułomkiem kontynentu, częścią lądu"[23], a jej problemy mogą się okazać problemami dla całego świata.

12. Złowrogie precedensy

Polakom spoglądającym wstecz na własną historię przypominały się w 1983 roku liczne rocznice i precedensy. Weterani z czasu wojny odnotowali czterdziestą rocznicę śmierci generała Sikorskiego. Literaci wspominali stulecie śmierci Cypriana Norwida. Cały naród obchodził rocznicę zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem. Komuniści w setną rocznicę narodzin swojego ruchu, liczoną od procesu Proletariatu Waryńskiego w 1883 roku, prywatnie pamiętali, że minęło zaledwie trzydzieści lat od śmierci Stalina i tylko czterdzieści lat od chwili, gdy

[22] John Hackett, *The Third World War*, London 1977.
[23] John Donne, *Medytacja XVII*.

zerwanie Stalina z polskim rządem w Londynie wyznaczyło początek ich kariery. Natomiast publicznie woleli się przyłączyć do świętowania rocznicy odsieczy wiedeńskiej Sobieskiego, którą wszystkie agendy oficjalnych mediów czuły się zobowiązane celebrować aż do znudzenia. Jak zwykle, działacze dysydenccy planowali przechytrzyć policję w nadziei na zorganizowanie obchodów rocznic Konstytucji 3 maja, powstania Solidarności 31 sierpnia, inwazji Armii Czerwonej na Polskę 17 września i odzyskania niepodległości 11 listopada. Jeśli tylko nie zaistniały jakieś nieprzewidziane okoliczności, z niepokojem przyglądali się oficjalnym pochodom 1 maja (Święto Pracy), 22 lipca (popierane przez komunistów święto narodowe) i 7 listopada (rocznica drugiej rewolucji w Rosji w 1917 roku). A bez względu na to, co mogłoby się dziać, jedno nie ulegało wątpliwości: w dniu Wszystkich Świętych, 1 listopada, cmentarze w Polsce musiały się zapełnić tłumem ludzi i płonących świec – naród czcił pamięć swoich zmarłych.

Także w roku 1984 – gdyby tylko nie zaistniały jakieś nieprzewidziane okoliczności – jeszcze raz mogła się powtórzyć ta sama historyczna rywalizacja między reżimem i narodem. Cały sowiecki blok zerkał przez ramię, sprawdzając, czy się nie okaże, że Orwell i Amalrik mieli rację. Poza tym komuniści skupili się na czterdziestej rocznicy PKWN, natomiast ogół społeczeństwa wolał rocznicę bitwy pod Monte Cassino i pierwszego wydania *Ogniem i mieczem* oraz czterechsetną rocznicę śmierci Jana Kochanowskiego.

Jak zwykle, Polacy przywoływali dawne wspomnienia, sięgając pamięcią do historii w poszukiwaniu precedensów, które mogłyby rozjaśnić ich obecne bolesne położenie. Proponowano lata 1926, 1830 i 1863, i 1791 – i może także 1772 i 1733.

Wydarzenia roku 1926 przywoływali ci, którzy chcieli obsmarować reżim milicyjny pędzlem przedwojennej sanacji. Porównanie milicyjnego przewrotu generała Jaruzelskiego z grudnia 1981 roku z przewrotem majowym Piłsudskiego z 1926 roku podobało się wprawdzie mniejszości tradycyjnych nacjonalistów – „postendeków" – dla których Piłsudski i Jaruzelski byli jednakowo ohydni, ale nie znalazło szerszego odzewu. Podczas gdy w 1926 roku Piłsudski cieszył się istotnym powszechnym poparciem – także komunistów – w roku 1981 Jaruzelski miał poparcie bardzo niewielkie. Piłsudski chciał obalić skorumpowany polityczny establishment, natomiast Jaruzelski działał na rzecz jego utrzymania i odnowy. Piłsudski, przy wszystkich swoich wadach, jest dziś bohaterem narodowym. Jaruzelski, bez względu na motywy, jakimi się kierował, jest dziś na ogół uważany za symbol narodowej hańby. Piłsudski był symbolem nie-

podległości narodowej i uwolnienia się od rządów Rosji, natomiast w Jaruzelskim widziano ucieleśnienie podległości Polski.

Wydarzenia z roku 1830 rozważali ci, którzy dostrzegali duże podobieństwo między sytuacją Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i sytuacją Królestwa Kongresowego. Oba państwa utworzono po zakończeniu wielkiej wojny w Europie, ponieważ dyplomacja rosyjska nie czuła się na siłach ponownie zatwierdzić warunki wcześniejszego rozbioru. Oba trzeba uznać za państwa klienckie Rosji, choć obu przyznano odrębną polską administrację i odrębne polskie wojsko. Oba rozczarowały swoich obywateli pogwałceniem swobód obywatelskich mimo istnienia modelowej konstytucji, a jednocześnie oba naraziły się rosyjskim władcom, praktykując to, co według rosyjskich standardów było nadmiernym liberalizmem. W takim kontekście delegalizację Solidarności w latach 1981–1982 i wprowadzenie stanu wojennego można porównać do likwidacji Towarzystwa Patriotycznego i odbywających się potem procesów o zdradę z lat 1827–1828. Innymi słowy, było to wydarzenie, które samo w sobie nie wywołało powstania, natomiast unicestwiając nadzieje narodu, stworzyło atmosferę, w której mogły się narodzić myśli o buncie i powstaniu. Można przypuszczać, że konserwatywny establishment musiał być rozdarty między potrzebą utrzymania porządku i odmową Rosji udzielenia aprobaty wobec koniecznych ustępstw. Generał Jaruzelski stanął w obliczu dylematu podobnego do tego, który musiał rozwiązać generał Chłopicki, pierwszy dyktator z 1830 roku. Po latach burzliwych sprzeciwów polski ruch opozycyjny groził całkowitym obaleniem istniejącego układu. Rzekome oświadczenia działaczy Solidarności na temat potencjalnego buntu, zarejestrowane na taśmach z grudnia, można by uznać za odpowiednik nieudanego spisku Wysockiego w „noc listopadową". Oba wybuchy powstrzymały siły porządkowe, ale każdy doprowadził do długiego okresu niepewności, kiedy poczucie lojalności polskiego wojska wystawiono na największą próbę i kiedy, po stosownych deliberacjach, rosyjski pan i władca postanowił dać Polakom nauczkę. Historycy pamiętają, że moment, od którego nie było już odwrotu podczas tragedii z lat 1830–1831, to nie „noc listopadowa" (spisek Wysockiego został zdławiony w ciągu zaledwie kilku dni, i to przez władze polskie), ale demonstracja, która odbyła się w Warszawie 25 stycznia jako wyraz poparcia dla rosyjskich dekabrystów i która zainspirowała sejm, aby w napadzie entuzjazmu zagłosował za detronizacją cara. Reżim wojskowy miał istotne powody, żeby się obawiać patriotycznych demonstracji. Gdyby historycy działający jako doradcy komunistów należycie odrobili lekcję, wiedzieliby, że nie można zbytnio polegać ani na bliżej nieokreślonej

lojalności wojska, ani na bliżej nieokreślonej tolerancji Rosjan. W każdym historycznym porównaniu nie będą się zgadzać liczne szczegóły, ale precedens powstania listopadowego, który pokazuje, że konspiracja na niedużą skalę jest mniej niebezpieczna niż blokada reform przez panujący establishment, musiał sobie zyskać wielu zwolenników, a w tym przypadku implikacje, jakie nasuwa odrębność struktury wojskowej Polski, są szczególnie istotne.

Wydarzenia z lat 1863–1864, czy też raczej z lat 1861–1864, są jeszcze bardziej przekonujące. Tym razem brakowało wprawdzie odrębnego polskiego kompleksu wojskowego, natomiast były masowy patriotyczny ruch zwolenników reform i rządzący establishment, który się zobowiązał do wprowadzenia pewnej wersji reformy. Powstanie styczniowe było klasyczną ilustracją maksymy, że system absolutny nigdy nie okazuje się słabszy niż wtedy, gdy próbuje dogonić czas. Można pokazać wyraźne paralele między Solidarnością lat 1980–1981 i „patriotycznymi" latami 1861–1862 z jednej strony, a z drugiej strony – między przywódcami ruchu odnowy w PZPR i reformatorskimi skłonnościami polskich ministrów Aleksandra II. Solidarnością wstrząsały spory między skrzydłem umiarkowanym i skrzydłem radykalnym, rozłam w ruchu patriotycznym z lat sześćdziesiątych XIX wieku wywołały walki „białych" z „czerwonymi". Generał Jaruzelski wkroczył na scenę, żeby utrzymać reformy w takich granicach, w jakich byłyby one do przyjęcia dla Moskwy; margrabia Wielopolski, lojalny zwolennik cara-reformatora, wkroczył na scenę, żeby utrzymać reformy w takich granicach, w jakich byłyby one do przyjęcia dla Sankt Petersburga. Jaruzelski i Wielopolski sprowokowali takie same gwałtowne spory o jakościowe i ilościowe wymiary swojego patriotyzmu. Obaj zdecydowali się balansować na ostrzu noża, między pragnieniami polskiego narodu i żądaniami jego rosyjskich władców. Wielopolski stracił kontrolę – nie wtedy, kiedy wprowadził stan wojenny i zakazał jawnych demonstracji ruchu patriotycznego, ale wtedy, kiedy spróbował użyć siły przeciwko podziemnej konspiracji swoich przeciwników. Można by wykazać, że podczas gdy branka Wielopolskiego przyniosła porażkę, *coup* Jaruzelskiego okazał się zaskakująco udany. Na płaszczyźnie faktów jest to niewątpliwie prawda. Natomiast w kategoriach psychologicznych skutki branki z 1863 roku i stanu wojennego z lat 1981–1982 łatwiej poddają się porównaniom. Nawet gdyby polityka Wielopolskiego okazała się równie skuteczna jak polityka Jaruzelskiego, to i tak po pewnym czasie margrabia stanąłby twarzą w twarz z rozwścieczonymi i sfrustrowanymi ludźmi. Kiedy główny minister cara w Polsce – mimo że był w pewnym sensie reformatorem – „wypowiedział wojnę

własnemu narodowi", oddał dość pokojowo nastawiony ruch opozycyjny w ręce zwolenników czynnego oporu. Nieodpowiedzialne użycie siły przez władze sprowokowało równie gwałtowną reakcję zrozpaczonych i upokorzonych ludzi[24].

Jeśli idzie o lata dziewięćdziesiąte XVIII wieku, porównania z niedawnym kryzysem w Polsce są tak uderzające, że niemal nie wymagają komentarza:

> Wyobraźmy sobie duży kraj w środku Europy. Dawniej bogaty i niezależny, dziś jest tylko lichym rosyjskim protektoratem. Jego gospodarka jest w ruinie, kultura upada; rządzi nim skorumpowana oligarchia, która pobiera wynagrodzenie i instrukcje od obcych ambasadorów. Wydaje się, że nic nie może powstrzymać dążenia kraju do samounicestwienia.
>
> Lecz nagle zdarza się cud. Naród się budzi. Ludzie chcą mieć prawo decydowania o przyszłości swego kraju. Reprezentowani przez nowe pokolenie działaczy i myślicieli, domagają się zasadniczych reform demokratycznych i libertariańskich. A co jeszcze bardziej zadziwiające, udaje im się niektóre z nich wprowadzić w życie. Postępowe koła na Zachodzie przyklaskują, ale rządy są z lekka zaniepokojone perspektywą naruszenia europejskiej równowagi sił. Rosyjscy protektorzy grożą krajowi otwartą inwazją, a miejscowa oligarchia jest upokorzona i wściekła. Popierana przez swych zagranicznych sponsorów, ostatecznie znajduje jedyne rozwiązanie, jakie jej pozostaje: knuje spisek i wypowiada wojnę własnemu narodowi. Wszystkie wcześniejsze reformy i demokratyczne ustawy zostają zniesione, w kraju zaczyna się okupacja, europejskie rządy po cichu wydają westchnienie ulgi: porządek zostaje przywrócony, równowaga sił jest nienaruszona.
>
> W tym miejscu czytelnik może zapytać: ale jaki ma sens raz jeszcze opowiadać znaną historię Solidarności? Czytelnik się myli. Streściłem historię lat 1791–1793: historię demokratycznych reform ucieleśnionych w Konstytucji 3 maja i ich unicestwienie przez konfederację polskich magnatów popieranych i finansowanych przez carycę Katarzynę Wielką, historię, która doprowadziła do drugiego rozbioru Polski[25].

---

[24] Zob. Henryk Wereszycki, *Spór o powstanie styczniowe*, „Odra" 1963, nr 5, s. 33–40.

[25] Stanisław Barańczak, dz. cyt.

Nie trzeba dodawać, że logiczny wniosek z tej alegorii brzmi, iż PRL znalazła się na granicy zagłady. Po jednym czy dwóch bohaterskich powstaniach przeciwko przeważającym siłom Rosji państwo polskie miało zostać zniszczone. Przez analogię z rozbiorami większa część terytorium Polski skończyłaby jako szesnasta republika sowiecka, Niemcy Wschodnie dostałyby stosowną rekompensatę w postaci Szczecina, a Czechosłowacja – w postaci Cieszyna.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa przywódcy polityczni nie zwracają większej uwagi na historyczne precedensy. Zawsze mają poczucie, że ich własne trudne położenie jest czymś jedynym w swoim rodzaju; nie wydaje się prawdopodobne, żeby przywódcy w Warszawie i w Moskwie kierowali się świadomością polskiej tradycji. Ale nawet zakładając, że gdzieś tam w mrocznych marmurowych zakamarkach Domu Partii czy Kremla drzemały jakieś mętne wspomnienia przeszłych konfliktów polsko-rosyjskich, nie może być żadnej gwarancji, iż przywódcy sowieckiego świata poszliby za ich głosem. Przecież polska tradycja już w 1791 roku była stara, a na dworze w Sankt Petersburgu z całą pewnością znaleźli się ludzie, którzy pamiętali wydarzenia z lat 1768–1772 i 1733–1734. Jednak takie wspomnienia, nawet jeśli ktoś byłby skłonny je rozważyć, nie powstrzymały ani carycy Katarzyny przed wydaniem rozkazu, aby Polskę zniszczyć, ani konfederatów targowickich przed jego wykonaniem.

Ale ostatecznie, jak powiedział jeden z polskich przyjaciół, unicestwienie zgniłego państwa polskiego to jeszcze nie koniec wszystkiego, prawda?

* * *

Nawet najbardziej skrótowy opis polskiego kryzysu z lat osiemdziesiątych XX wieku ukazuje jego powiązania z zadziwiającą mnogością innych spraw: pozycją wojska i samorządów pracowniczych w reżimach komunistycznych, losami intelektualistów i podziemnej opozycji, trudną do opanowania katastrofą gospodarczą, rywalizującą autopercepcją elit komunistycznych, opozycji i Kościoła, reperkusjami w krajach RWPG, wpływem na politykę wewnętrzną ZSRR, na wydarzenia w dalekich Chinach, Japonii i Afganistanie, na stosunki między Wschodem i Zachodem i na niezwykle istotną dla całego świata kwestię rozbrojenia atomowego[26]. Z perspektywy historyka najbardziej wymowne są jednak punkty zbież-

[26] Najpełniejszy przegląd bieżących problemów można znaleźć w: *Policy and Politics in Contemporary Poland: Reform, Failure, Crisis*, red. Jean Woodall, London 1982.

ne w poglądach ludzi żyjących w odległych od siebie epokach – piszącego w 1835 roku Richarda Cobdena i późniejszych o 150 lat europejskich „liberałów", francuskiego ministra Lamartine'a w roku 1848 i rzeczników zachodnich rządów roku 1982, a przede wszystkim Polaków z roku 1780 czy 1880 i ich potomków z roku 1980. Wydaje się, że zachodni uczestnicy polskiego dramatu na ogół nie mają świadomości długiego rodowodu póz, jakie przyjmują, podczas gdy większość Polaków jest bardzo świadoma ciągłości swojego trudnego losu. Na poprzednich stronicach zwróciliśmy szczególną uwagę na trzy postacie, które nie należą do historycznego pierwszego planu, szczegółowo przytaczając ich opinie. Pułkownik Wiślicki – komisarz wojskowy, Daniel Passent – ugodowy dziennikarz, i Adam Michnik – więzień polityczny, znaleźli się w różnych obszarach kryzysu dzięki szczególnym okolicznościom. Komisarz był agentem oficjalnego aparatu represji, więzień należał do tych, którzy stawiali opór, dziennikarz, który nie pochwalał ani represji, ani oporu, był zdecydowany pozostać na stanowisku i odegrać swoją rolę w „ratowaniu tego, co było do uratowania". Wiślicki, Passent, Michnik – to autentyczni ludzie roku 1982. To nie *dramatis personae* jakiegoś podziemnego kabaretu ani nie stereotypy jakiegoś wymyślonego, schematycznego modelu polskich zachowań. Ich poglądy zostały wyrażone otwarcie i z myślą o szerokiej publiczności, utrwalone w tekstach, które każdy mógł sobie przeczytać. A mimo to nie trzeba szczególnie bogatej wyobraźni, żeby dostrzec w nich trzech typowych przedstawicieli polskich tradycji politycznych o niezwykle długim rodowodzie, zrodzonych z podległości Polski wobec obcej potęgi – trójdzielnej tradycji kolaboracji, ugody i oporu lub też – używając terminów pochodzących z innych okresów – tradycji lojalizmu, pozytywizmu i romantyzmu. Siła tej historycznej ciągłości stwarza pokusę, aby ją opisywać jako coś bardziej uchwytnego niż jedynie echa przeszłości.

ROZDZIAŁ 7

POZA HISTORIĄ

Refleksje z połowy lat osiemdziesiątych XX wieku

Nierzadko można podejrzewać, że eksperci są po to, żeby komplikować rzeczy proste, a w sprawie kryzysu w Polsce każdy, kto próbuje spojrzeć na sprawy z szerszej perspektywy i zredukować mnogość wydarzeń do listy prostych i zrozumiałych stwierdzeń, ryzykuje oskarżenie o śmiertelne przestępstwo „nadmiernego upraszczania", „nieuzasadnionych uogólnień" albo – co najgorsze – „schematyzacji". Każdego, kto się odważy wysunąć ostrzeżenie, iż w pewnych okolicznościach historia naprawdę może się w Polsce powtórzyć, łatwo źle zrozumieć, przypisując mu sąd, iż owa historia istotnie się powtórzy, a nawet oskarżyć o przywiązanie do perspektywy kolejnej polskiej krwawej łaźni. Wszystko, co wygląda na wyraźnie sformułowaną opinię albo co wkracza na niepewny grunt prognoz i prawdopodobieństwa, w kołach akademickich uważa się powszechnie za pozbawione niezbędnego *modicum* wieloznaczności.

Nikt nie mógłby oczywiście zaprzeczyć, że konsekwencje polskiego kryzysu są niezwykle złożone i że wykraczają one daleko poza sprawy bezpośrednio dotyczące bloku sowieckiego. Ekonomiści, socjologowie, antropologowie, historycy, prawnicy, politolodzy, religioznawcy, badacze literatury, ludzie sztuki, dyplomaci i eksperci w sprawach wojskowych – wszyscy oni mogą wnieść własny cenny wkład i nikt rozsądny nie mógłby twierdzić, że jakakolwiek pojedyncza dyscyplina może mieć monopol na zdolność pełnego zrozumienia. Nie znalazłoby uzasadnienia twierdzenie, że skutki polskiego kryzysu są oczywiste albo z góry określone. Losy Polski utrzymują się w niebezpiecznym stanie chwiejnej równowagi i pochopne byłoby przewidywanie, w którą stronę ostatecznie przechyli się szala. Jednakże jeśli bez końca roztrząsać drobniejsze szczegóły, łatwo dojść do przekonania, że niczego nie da się zrozumieć i niczego nie da się powiedzieć na pewno. Specjaliści są tak bardzo przywiązani do swoich subtelnych odcieni szarości, że czasem przeczą istnieniu bieli i czerni.

Na przykład prosty fakt ucisku politycznego, który miliony Polaków mogą instynktownie rozpoznać, okazuje się czymś o wiele bardziej ulotnym dla wielu komentatorów z kręgów akademickich – z bardzo wielu dziwnych powodów: ponieważ przydziały mięsa w ZSRR są niższe niż w Polsce (i rzeczywiście), ponieważ jawna przemoc jest bardziej

dotkliwa w Ameryce Środkowej i Afryce Południowej niż w Europie Wschodniej (i rzeczywiście) albo polityka Rosji wobec Polski w latach osiemdziesiątych była mniej surowa niż polityka w latach pięćdziesiątych i czterdziestych XX wieku, w latach osiemdziesiątych XIX wieku, w latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku czy w jakimkolwiek innym czasie (i rzeczywiście). Co więcej, na ogół nie bierze się pod uwagę konsekwencji długotrwałego ucisku politycznego. Podczas gdy większość komentatorów przyjmuje chyba pogląd, że braki gospodarcze mogą doprowadzić społeczeństwo do rozpaczy i politycznego buntu, tylko niewielu uwzględnia fakt, iż podobne skutki może wywołać przedłużająca się odmowa spełnienia oczekiwań natury politycznej, zwłaszcza w społeczeństwie, którego tradycje kulturalne zawsze oznaczały idealizację indywidualizmu i wolności sumienia. Z tego powodu uważa się, że najbardziej oczywistym lekarstwem na choroby Polski jest odrodzenie gospodarcze. W tej kwestii zachodni bankierzy i komunistyczni apologeci są w znacznej mierze zgodni. Zapewne nie są im znane pisma de Tocqueville'a ani myśl, że ulepszenia gospodarki, jeśli się je wprowadza bez uwzględniania reformy politycznej albo w jej miejsce, mogą w gruncie rzeczy przyspieszyć konflikt społeczny, zamiast mu zapobiec. Ludzie niekoniecznie buntują się wtedy, kiedy panujące warunki są najgorsze z możliwych i kiedy każdy strzęp ich energii idzie na utrzymanie przy życiu własnych rodzin. Z takim samym prawdopodobieństwem mogą się zbuntować później – kiedy warunki materialne ulegają poprawie i kiedy maleją bieżące niepokoje, natomiast tępy i zdyskredytowany *ancien régime* uparcie podąża swoimi gorszącymi, autokratycznymi ścieżkami. Innymi słowy, korelacja między nędzą gospodarczą i wybuchem politycznym nie ma charakteru bezpośredniej zależności. Autorzy politycznych prognoz nie mogą tracić z oczu zasad psychologii społecznej i elementarnych spraw ludzkiej natury – podobnie jak wykresów i statystyk przedstawianych przez autorów analiz ekonomicznych. Niezreformowany system komunistyczny w Polsce stanie prawdopodobnie w obliczu największego ryzyka powszechnego wybuchu dwa lub trzy lata od momentu, w którym gospodarka osiągnie najniższy poziom. A wtedy będzie można wysunąć całkiem logiczny argument, że w swoim własnym interesie przywódcy państwa polskiego powinni jak najdalej odwlekać świt dnia ekonomicznej poprawy.

Jednakże w ostatecznym rozrachunku żadne kalkulacje oparte wyłącznie na wewnętrznej dynamice wydarzeń w Polsce nie uwzględniają faktu o zasadniczym znaczeniu: od lat 1944–1945 centrum kontroli nad sprawami Polski leżało nie w Warszawie, lecz w Moskwie. Dawna polska dewiza o nadrzędnej roli stosunków z zagranicą nie straciła aktualno-

ści. Pytania o politykę polskich przywódców, o wydajność lub brak wydajności polskiej gospodarki, o opór lub brak oporu polskiego narodu są ważne, ale nie można ich uznać za pytania o pierwszorzędnym znaczeniu. Kluczowe kwestie dotyczą płynnych granic tolerancji Sowietów wobec Polski, a także reakcji Kremla na wszelkie przesunięcia na polskiej scenie. Ostateczną odpowiedzialność za losy Polski przekazano spadkobiercom Stalina w sowieckim Politbiurze, i to ich decyzje – lub brak ich decyzji – okaże się decydujący dla nowej rundy kryzysu. Przywódcy sowieccy nie są wszechpotężni i nie mogą zaaplikować uniwersalnego lekarstwa na dolegliwości Polski, natomiast mają ogromne możliwości mówienia „nie" i stosowania środków przymusu. Mogą zdecydować albo o poparciu, albo o odsunięciu polskiego przywódcy; mogą zignorować porażki polskiej gospodarki albo zażądać zmian; mogą przyjąć możliwość powszechnych niepokojów w Polsce albo te niepokoje stłumić; mogą zostawić Polaków, żeby się kisili we własnym sosie, albo zainterweniować przy użyciu potężnych sił militarnych. Mogą wystąpić z jasno zdefiniowanym pakietem środków politycznych i gospodarczych, ale mogą też nadal – oddając hołd pamięci Breżniewa – odwoływać się do wspomnień, polegać na groźbach, inercji i próbach przebrnięcia przez kłopoty. Jeżeli – i dopóki – istniejące struktury bloku sowieckiego nie zostaną poddane transformacji lub demontażowi, Polska nie zdoła się wyzwolić spod sowieckiej kurateli. Warszawa w dalszym ciągu będzie zależna od kaprysów politycznych władców, a dla Moskwy w dalszym ciągu będzie sprawą delikatną nieodpowiedzialne zachowanie jej krnąbrnego klienta.

Napisano wiele, zwracając uwagę na te cechy kryzysu, które można było obserwować w odniesieniu do większości nieszczęśliwych konfliktów polsko-rosyjskich z okresu minionych 300 lat. Nieustępliwy rosyjski władca, służalczy polski rząd, zniechęcone społeczeństwo, załamanie gospodarcze, rosnące pokolenie zniweczonych nadziei, bezdenna przepaść dzieląca postawy Rosjan i Polaków – można uznać, że wszystko to wskazuje, iż polska historia z pewnością się powtórzy, a przyszły gwałtowny konflikt jest rzeczą nieuniknioną. Może jest to fałszywa wskazówka, ale mimo to nie należy jej odrzucać jako wytworu czystej fantazji. Żaden współczesny problem nie może być dokładną rekonstrukcją podobnych problemów z przeszłości. Zawsze wchodzą w grę jakieś nowe czynniki, a wynik zawsze musi się pod pewnymi względami różnić od wcześniejszych precedensów. Balast historii jest jednak w Polsce naprawdę ogromny i mimo najlepszych intencji indywidualnych przywódców ciężar sowieckiego ucisku wbudowanego w panujący system potrafi wciągnąć swoje ofiary w trzęsawisko gwałtownej rozpaczy. Nie wszystko jeszcze

zostało stracone. Natomiast rzeczą optymistów jest wyjaśnić, dlaczego historia może się nie powtórzyć – tak jak jest rzeczą pesymistów usprawiedliwić obawy, że jednak się powtórzy.

Polski kryzys, który się wyłonił w 1980 roku, rozwijał się w ideologicznym i międzynarodowym środowisku mało przypominającym kontekst ostatniego powstania z 1944 roku, nie mówiąc już kontekście lat 1920, 1905, 1863, 1830, 1794, 1791, 1768 czy 1733. Główna nadzieja optymistów leży zapewne w przekonaniu, że nowe czynniki okażą się silniejsze w działaniu niż dawne i że będą one dla konfliktu raczej hamulcem niż ostrogą.

Po pierwsze, postęp techniczny ostatnich lat sprawił, że wszystkie międzynarodowe konflikty rozgrywają się w oślepiającym blasku medialnego rozgłosu i wśród powodzi błyskawicznie przekazywanych informacji. Istnienie wywiadu satelitarnego i sieci komunikacyjnych powoduje, że przebieg każdych poważniejszych zamieszek czy walk mogą na bieżąco śledzić niewidzialni obserwatorzy i jeśli owi obserwatorzy sobie tego zażyczą, można je natychmiast pokazać na ekranach telewizyjnych całego świata. Jeśli się weźmie pod uwagę ogrom wchodzących w grę zadań logistycznych, widać jasno, że Armia Czerwona nie mogła dokonać inwazji na Polskę w sytuacji takiego samego zaskoczenia, jakie udało jej się osiągnąć podczas inwazji na Czechosłowację w 1968 roku, a koszty liczone w kategoriach propagandy i prestiżu byłyby odpowiednio wysokie.

Po drugie, co może bardziej istotne, Związek Sowiecki działał w sytuacji polskiego kryzysu przy nieobecności czynnika niemieckiego – po raz pierwszy od niemal dwóch stuleci. W 1944 roku powstanie warszawskie skierowane było zarówno przeciwko Niemcom, jak i przeciwko Rosjanom, a we wszystkich powstaniach w wiekach XVIII i XIX poparcie rządu pruskiego stanowiło istotny warunek wstępny działań ze strony Rosjan. W latach osiemdziesiątych XX wieku nie było już ani Prus, ani zjednoczonych Niemiec. Nie można już było użyć starego rosyjskiego pretekstu, że inwazji na Polskę dokonuje się po to, żeby ją uratować przed Niemcami. Od 1970 roku, kiedy Niemcy Zachodnie zrezygnowały z wszelkich roszczeń do ziem leżących poza granicą na Odrze i Nysie, Polska nie musi się obawiać niemieckiego rewanżyzmu, a jeszcze mniej – perspektywy niemieckiego poparcia dla sowieckiej interwencji. Związek Sowiecki działałby bez pełnego zabezpieczenia flanki od strony Niemiec, za to z pełnym prawdopodobieństwem maksymalnego zwiększenia napięć między Układem Warszawskim i NATO. Uczucie niepewności Rosji wobec Niemiec – to ciężkie brzemię na barkach sowieckich przywódców,

wciąż nękanych wspomnieniem lat 1941–1943, niewątpliwie działało jako czynnik hamujący sowieckie plany wobec Polski.

Warunki wewnętrzne panujące w ZSRR nakładają poważne ograniczenia na kształt sowieckiej polityki. Większość zagranicznych obserwatorów jest zgodna co do tego, że ZSRR wszedł w lata osiemdziesiąte XX wieku, stojąc w obliczu całego układu wzajemnie ze sobą powiązanych niepowodzeń, które należy przypisywać raczej samej naturze systemu niż szczegółowym planom czy konkretnym błędom. W listopadzie 1982 roku nowy sekretarz generalny partii Jurij Andropow porzucił wygodny rytuał samozadowolenia z minionej epoki Breżniewa; nie ukrywał też rozmiarów i trudności narosłych problemów. Chociaż zachodni świat cierpi z powodu mnóstwa własnych dolegliwości, przyczyny niepokoju w krajach Zachodu są tak różne, jak różne są wolne społeczeństwa, które je generują. Natomiast wygląda na to, że Związek Sowiecki został dotknięty galopującą chorobą systemu, której postępu nie dałoby się powstrzymać bez wprowadzenia długotrwałych i fundamentalnych zmian. Może z wyjątkiem wydatków na wojsko okazało się, że wszystkie cele wytyczone w 1961 roku przez Chruszczowa po to, aby ZSRR mógł w ciągu dwudziestu lat przegonić Stany Zjednoczone, leżały daleko poza zasięgiem najśmielszych marzeń najbardziej optymistycznych spośród sowieckich planistów. Jedenasty plan pięcioletni na lata 1981–1985 zakładał roczny wzrost produktu materialnego netto o zaledwie 3,4 procent (w porównaniu z 13,1 procent na lata 1951–1955 i 8,6 procent na lata 1961–1965), ale plany już od dawna przestano wykonywać. Spadające – czy wręcz ujemne – tempo wzrostu gospodarczego, gwałtowny ubytek zasobów siły roboczej, poważne zakłócenia równowagi demograficznej, ogromne różnice między regionami, cyklicznie powracające klęski w rolnictwie, brak równowagi postępu technicznego, przestarzała baza przemysłowa, niedostatki systemów łączności, niedostępność źródeł energii, metody produkcji, których sukces ilościowy nie rekompensował tradycyjnych niedostatków jakości, a także szeroki wachlarz towarzyszących tym czynnikom problemów społecznych – od alkoholizmu i przestępczości po nastrój zniechęcenia wśród młodzieży – wszystko to wskazywało, że nadchodzi sowiecki marazm. W szczególności wydaje się niemożliwe, żeby ZSRR – nierozwinięty kraj z politycznymi i wojskowymi ambicjami supermocarstwa – mógł bez końca wytrzymywać równocześnie swój rozdmuchany budżet wojskowy (około 15 procent PKB) i skromne inwestycje w poprawę standardów życiowych ludności cywilnej. Dawnego *menu* z epoki Breżniewa: „dużo broni i odrobina masła", nie dało się już serwować. A co gorsza, przywódcy z epoki po Breżniewie musieliby

zmienić priorytety, uwzględniając potrzeby mieszkańców swojego kraju, którzy są lepiej wykształceni, bardziej zurbanizowani, bardziej przyzwyczajeni do konsumeryzmu, mają większą świadomość spraw dotyczących narodowości i mniejszości narodowych i są mniej sterroryzowani niż którekolwiek z wcześniejszych pokoleń w nowożytnej historii Rosji. Według standardów sowieckich ludziom jeszcze nigdy nie było tak dobrze, ale wydaje się, że te dobre czasy zaczynały się już kończyć. Zbieżność kryzysu w Polsce z szerszym, ogólniejszym kryzysem sowieckiego systemu jako całości nie polepsza oczywiście perspektyw wielkoduszności Sowietów wobec Polski. Mogłoby przynieść skutek wręcz odwrotny i skłonić otoczony murem obronnym i przewrażliwiony Kreml do podjęcia środków karnych. Można jedynie stwierdzić, że stosunki sowiecko-polskie wkroczyły w czas burz lat osiemdziesiątych wśród powodzi problemów po obu stronach i że na początkową ostrożność Kremla niewątpliwie duży wpływ miała sytuacja w kraju.

Na froncie zagranicznym przywództwo sowieckie musiało rozważyć wszystkie „za" i „przeciw" swojej polityki wobec Polski w świetle własnych ogromnych globalnych zobowiązań. W odróżnieniu od lat 1944–1945, kiedy rozdzierany wojną i wyczerpany Związek Sowiecki był nieporównanie słabszy od USA, czy w czasie wcześniejszych polskich kryzysów z XVIII i XIX wieku, kiedy Rosja była tylko jednym z kilku ważniejszych mocarstw w Europie, ZSRR uczestniczyło w bezprecedensowej strategii o światowym zasięgu. Trwająca czterdzieści lat okupacja Europy Wschodniej jest zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju. Chociaż niektóre aspekty polskiego kryzysu przywodzą na pamięć wcześniejsze etapy rosyjskiej polityki wobec „ochrony przed Europą", inne elementy, w tym powiązania ZSRR z pozostałymi krajami członkowskimi RWPG i Układu Warszawskiego oraz jego konfrontacja ze Stanami Zjednoczonymi, stały się czymś zupełnie nowym. Jak kiedyś półżartem stwierdził Henry Kissinger, ZSRR był jedynym krajem na świecie otoczonym przez wrogie państwa komunistyczne, a jego zachowanie wobec jednego z nich musiało wpłynąć na stosunki ze wszystkimi pozostałymi. Relacje Związku Sowieckiego z USA, po krótkim okresie flirtu z koncepcją *détente* Breżniewa w latach siedemdziesiątych, wykroczyły poza stadium, w którym zamiast odpowiedzialnego zachowania byłoby można przyjąć pokojową retorykę. Sowiecka inwazja na Afganistan w 1979 roku zakończyła okres próbny *détente*, a Waszyngton wyraźnie użył przykładu Polski jako testu dla sprawdzenia przyszłych zamiarów ZSRR. Sowieccy przywódcy z pewnością mieli dotkliwe poczucie niesprawiedliwości, kiedy kazano im płacić za ich strategiczne awantury drożej niż Amerykanom za awantury amery-

kańskie, ale skoro rzucili wyzwanie amerykańskiej supremacji, rozpaczliwie domagając się równowagi militarnej i szacunku w kwestiach polityki, nie mieli innego wyjścia, jak tylko przełknąć swój gniew. We wszystkich dziedzinach, poza zbrojeniem, szczęście im nie dopisywało. W dawniejszych czasach carowie mogli traktować Polskę jak część swojej czysto regionalnej, europejskiej strategii, a w latach 1944–1945 Stalin potrafił z mistrzowską finezją wykorzystać szczególne okoliczności panujące pod koniec II wojny światowej, w ostatnich miesiącach epoki sprzed nalotu na Hiroszimę. W roku 1956 czy 1968 Związek Sowiecki był w stanie sam zdyscyplinować Węgry i Czechosłowację, częściowo z powodu odwracających uwagę świata działań Zachodu w rejonie Kanału Sueskiego i Wietnamu, ale w znacznej mierze dlatego, że nie trzeba było rozważać żadnych bezpośrednich reperkusji dla interesów Zachodu. W latach osiemdziesiątych rozrósł się rejestr sowiecko-amerykańskich sporów, a stawki w grze o losy Polski odpowiednio się podniosły. W sposób nie mający precedensu we wcześniejszej historii Polska znalazła się nie tylko w centrum strategicznych planów sowieckich w Europie, ale również w centrum napięć na skalę światową.

Wreszcie, w świecie trwającym niepewnie w cieniu bomby atomowej wszystkie międzynarodowe kryzysy zdradzają niebezpieczne skłonności, o których dawniej nie było słychać. Nikomu nie może sprawiać przyjemności potrząsanie atomową szabelką, ale Polacy, ze wszystkimi swoimi wolnymi od przemocy metodami działania, denerwowali przeciwnika, który ma broń atomową i który nigdy nie sprawiał wrażenia wrażliwego i delikatnego. Trzeba tu choćby wspomnieć o pewnych przedsięwzięciach, które skłaniają do trzeźwego myślenia. Skoro w 1944 roku Stalin mógł wydać Armii Czerwonej rozkaz, aby wstrzymała pochód i przyglądała się biernie, jak w powstaniu warszawskim ginie więcej ludzi, niż było ofiar pierwszej bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę; skoro Harry S. Truman mógł się zdecydować – w czasie gdy Stany Zjednoczone nie były już bezpośrednio zagrożone przez Japonię – poświęcić życie około 350 000 japońskich cywilów po to, aby uratować życie jeszcze większej liczbie amerykańskich żołnierzy, to nie wydaje się zupełnie nie do pomyślenia, że przyparci do muru sowieccy przywódcy mogliby rozważyć selektywne użycie broni atomowej, aby postawić na nogi swoje rozpadające się wschodnioeuropejskie imperium. Poparta wiarygodnym autorytetem opinia brzmi, że przywódców bratnich partii zapraszano w przeszłości do osobistego udziału w sowieckich próbach nuklearnych, a taka lekcja w przypadku żadnego z nich nie mogła pójść na marne. Z punktu widzenia sowieckich marszałków, pod których rozkazami młodzi żołnierze

otrzymaliby niewdzięczne zadanie stłumienia w Polsce buntu na szeroką skalę, lista priorytetów mogła wyglądać całkiem inaczej niż listy zachodnich obserwatorów o gołębich sercach. To zaś sprawia, że dążenie do rozbrojenia nuklearnego staje się tym pilniejsze. Bo zza stosunkowo nieważnych perspektyw lokalnego użycia tak zwanej taktycznej broni nuklearnej w Europie Wschodniej wyłania się o wiele straszliwsza perspektywa międzykontynentalnego starcia nuklearnego na pełną skalę. Nie trzeba szczegółowo studiować scenariusza sir Johna Hacketta, żeby się zgodzić, iż możliwość konfliktu nuklearnego, przyspieszona przez jakąś lokalną wojnę w Europie, rzeczywiście istnieje. Świat dostał dobre ostrzeżenie w postaci tragedii w Sarajewie w 1914 roku czy w Gdańsku w roku 1939; nie można jednak z całym spokojem przyjmować, że zniecierpliwienie w Europie Wschodniej zostało wyciszone za sprawą trzydziestu lat sowieckiego ucisku. Jeśli ma się uniknąć możliwej eksplozji, zarówno w stanowisku obozu sowieckiego, jak i w stosunkach między mocarstwami nuklearnymi, pilnie trzeba odważnej i denerwującej operacji rozbrojenia. W epoce nuklearnej przywódcy polityczni – podobnie jak ich generałowie i marszałkowie – muszą sobie zdać sprawę, że wszelkiego rodzaju ambicje polityczne wiążą się z ryzykiem, które nie pozostaje w żadnej proporcji do ewentualnych korzyści. Bo nie jest to tylko zabawa z ogniem, ale zabawa w rozszczepianie jądra atomu.

W takim kontekście nie należy zatem składać głównego ciężaru odpowiedzialności za wygaszenie polskiego kryzysu i uniknięcie nieobliczalnej katastrofy wyłącznie na barkach Polaków. W ostatecznym rozrachunku odpowiedzialność ponosili polityczni władcy Polski, a sukces zależał w znacznym stopniu od ich chęci rozpoczęcia w dobrej wierze dialogu z prawdziwymi przedstawicielami polskiego społeczeństwa. Podejmowanie przez skorumpowaną i zdyskredytowaną partię dalszych prób utrzymania władzy za wszelką cenę mogłoby jedynie sprowokować nowe konflikty, a niezbędnym warunkiem postępu jest modyfikacja zbankrutowanego porządku politycznego i jego błędnej ideologii. Żaden najbardziej nawet zdyskredytowany system polityczny nie oddaje łatwo ani cząstki władzy, a w bloku sowieckim takie próby były szczególnie niebezpieczne i nieznane skądinąd. Ale polegać w nieskończoność na brutalnej sile oznacza tyle, co tylko odsuwać nadejście strasznego dnia, natomiast utrzymywać ludność dużego kraju w nędzy i rozpaczy to tyle, co doprasząć się odwetu. Najgorszym oskarżeniem przeciwko polskiemu reżimowi jest to, że w 1981 roku – przy aprobacie ZSRR – jako pierwszy uciekł się do stosowania politycznej przemocy. Każdą następną powtórkę takiego postępowania – chyba że będzie to doraźna próba uspokojenia nastro-

jów przed wprowadzeniem politycznych ustępstw – trzeba uznać za przepis na pewną tragedię.

W kontekście przywództwa politycznego w Moskwie w epoce pobrežniewowskiej opcje dotyczące Polski były więc nieco ograniczone. Nietrudno zrozumieć, dlaczego Breżniew okazywał taką powściągliwość przez szesnaście miesięcy istnienia Solidarności i dlaczego następcy Breżniewa zastanowiliby się dwa razy nad ewentualnym rozpoczęciem bardziej aktywnej polityki. Parzące dotknięcie polskiej pokrzywy, jedno z najniebezpieczniejszych, z jakimi Kreml musiał się zmierzyć w ostatnich latach – jest słusznie traktowane z pewną ostrożnością.

Pierwsza opcja, zawsze najbardziej atrakcyjna dla gorliwych polityków, oznaczałaby nierobienie niczego: zostawić reżim wojskowy w Polsce w spokoju i mieć nadzieję na stopniową poprawę sytuacji. W grudniu 1981 roku Jaruzelski z pewnością zasłużył się Kremlowi i nie można pochopnie lekceważyć jego powiązań z sowieckim kompleksem wojskowym. Jest natomiast mało prawdopodobne, żeby reżim wojskowy w Polsce zdołał bez końca utrzymywać obrany kurs albo – wobec konieczności stawienia czoła niechętnej i rozżalonej ludności – przywrócił choćby odrobinę dobrobytu. Wcześniej czy później Kreml musiałby zażądać użycia bardziej radykalnych środków.

Opcją drugą, szeroko dyskutowaną w tamtych latach, byłaby polska odmiana „kadaryzmu" – połączenie ortodoksyjnej polityki komunistycznej z elastyczną i łatwo poddającą się decentralizacji gospodarką, uwzględniającą mechanizmy zachęty do pracy i działania rynku. W rolnictwie oznacza to wspieranie spółdzielni raczej niż Państwowych Gospodarstw Rolnych, a w przemyśle – przyznanie pierwszeństwa nie dawnej komunistycznej sztandarowej produkcji żelaza i stali, lecz rozwojowi sektorów konsumpcji i usług. Skoro sekretarzem generalnym KPZR został Jurij Andropow, zwolennicy kadaryzacji mogli znów nabrać otuchy. Jako ambasador sowiecki w Budapeszcie w dziesięcioleciu po roku 1956 Andropow był powszechnie uważany za twórcę sukcesu Kádára na Węgrzech. Trzeba jednak mieć poważne wątpliwości, czy kadaryzację dałoby się łatwo przeszczepić na polski grunt. Zachodni analitycy często zapominają, że reformy gospodarcze Kádára zostały wprowadzone na Węgrzech dopiero po dłuższym okresie czystek politycznych, które szalały w kraju przez pięć czy sześć lat po stłumieniu powstania z 1956 roku. Przyjęta formuła stanowiła sumę terroru politycznego i liberalizacji w dziedzinie gospodarki, przy czym liberalizacji gospodarczej nie można było wprowadzić bez politycznego terroru. Na Węgrzech reformy Kádára powitano z radością, ponieważ dostrzegano w nich krok na drodze odwrotu od

wcześniejszych represji. Natomiast w Polsce, po Solidarności, uważano by je za posunięcie prowadzące do wzmocnienia prześladowań i wobec tego mogłyby się łatwo spotkać z oporem. Węgierscy chłopi z radością przyjęli spółdzielnie rolnicze, ponieważ stanowiły zmianę na lepsze w stosunku do wcześniejszej kolektywizacji. Natomiast chłopi polscy, którzy są właścicielami 76 procent areału ziem uprawnych, niewątpliwie uznaliby przymusowy system spółdzielni rolniczych za pierwszy krok w kierunku wywłaszczenia. Krótko mówiąc, warunków politycznych i społecznych sprzyjających kadaryzacji w Polsce po prostu nie było. Jest rzeczą wątpliwą, czy można by tego rodzaju politykę rozważać bez uwzględniania sowieckiej interwencji, a sowiecka interwencja na długie lata unicestwiłaby wszelkie nadzieje na pokojowe reformy.

Trzecia opcja polegałaby na wywieraniu nacisku na polskich towarzyszy, aby ich skłonić do posuwania się w kierunku neostalinizmu na sowiecką modłę. W prasie sowieckiej i w kręgach zwolenników stalinizmu w polskiej partii pojawiło się wiele komentarzy głoszących, że kłopoty Polski są wynikiem nie nadmiaru, lecz zbyt małej dozy socjalizmu. Po zdławieniu Solidarności byłoby rzeczą naturalną, gdyby znów wypłynęli na powierzchnię dawni dogmatycy, domagając się powrotu starych dobrych lat pięćdziesiątych – do atakowania Kościoła, do likwidacji prywatnego rolnictwa i do walki z korupcją i tolerancją polityczną. Taki program mógłby się spotkać z życzliwym przyjęciem na kremlowskich korytarzach, natomiast brzmiał jak anatema w uszach większości polskich komunistów i całego polskiego narodu. Restalinizacja byłaby w Polsce oczywistym sprzymierzeńcem sowieckiej interwencji, ale jako polityka zmierzająca do zapobiegania polskiemu kryzysowi środkami politycznymi byłaby też czymś jeszcze bardziej niebezpiecznym niż kadaryzacja. Oznaczałaby bezpośredni atak na pozycję reżimu wojskowego i stałaby się najskuteczniejszym środkiem wyrwania ludzi z dotychczasowej apatii i stworzenia atmosfery korzystnej dla połączenia sił i podjęcia otwartego buntu.

Ostatnia opcja wymagałaby zatem od ZSRR wyreżyserowania w Polsce akcji ideologicznego odwrotu w zamian za uzyskanie gwarancji jego interesów strategicznych i wojskowych – innymi słowy, zastosowania ograniczonej wersji „półfinlandyzacji". Gdyby reżim wojskowy miał być oceniany wyłącznie jako środek tymczasowy, gdyby zarówno kadaryzacja, jak i restalinizacja zostały wykluczone jako rozwiązania niepraktyczne i gdyby cenę sowieckiej interwencji uznano za zbyt wysoką, wtedy, zgodnie z logiką rządzącą sytuacją w Polsce, Kreml nie miałby wyboru i musiałby całkiem spisać na straty komunistyczny eksperyment w Polsce oraz

pozwolić Polakom na prowadzenie swoich spraw wewnętrznych w zgodzie z takim czy innym nowym planem, który by sobie sami wymyślili. Absolutnie koniecznym warunkiem wstępnym byłaby dalsza przynależność Polski do RWPG i Układu Warszawskiego, a także gwarancja istnienia sowieckich linii łączności z Niemcami Wschodnimi. Polska nie jest Finlandią i nigdy nie mogłaby aspirować do tak dużej autonomii, jaka jest udziałem Finów, ale przystanek w połowie drogi prowadzącej do fińskiego rozwiązania stwarzałby zapewne najmniejsze ryzyko i jednocześnie najlepszą szansę wypracowania skutecznego kompromisu między interesami polskimi i sowieckimi. W końcu właśnie tego domagali się najbardziej odpowiedzialni, najbardziej przewidujący ludzie Solidarności.

Nie trzeba podkreślać, że rozwiązanie problemu polskiego kryzysu, którego głównym elementem byłoby uzyskanie od Sowietów politycznych ustępstw, odbiegało od wszystkiego, co stanowi rosyjską tradycję polityczną. Zachodni analitycy zazwyczaj nie zauważają, że reforma w rosyjskiej wersji niesie ze sobą konotacje dokładnie odwrotne w stosunku do tego, co się kojarzy z zachodnim, liberalnym znaczeniem tego pojęcia. Reformę zazwyczaj wprowadzał w Rosji autokrata – car albo partia – a głównym celem było wzmocnienie żywotnych sił autokracji. Taka reforma jest narzucana z góry, jeśli trzeba, przy użyciu metod przymusu, i z konieczności ogranicza się do sfery społecznej i gospodarczej. Celem nie jest złagodzenie dyktatury, lecz jej umocnienie, nie promowanie ustępstw politycznych, lecz zapobieganie im. Nie jest przypadkiem, że najwięksi reformatorzy i innowatorzy w historii Rosji – od Piotra Wielkiego po Józefa Stalina – byli jednocześnie największymi tyranami. W umysłach ludzi Zachodu reformator-despota jest pojęciem zawierającym wewnętrzną sprzeczność, natomiast dla Rosjan to rzecz najnormalniejsza w świecie.

Oficjalne sowieckie źródła nie dostarczały zbyt wielu wskazówek dotyczących rzeczywistego stanowiska przywódców na Kremlu. Autoryzowane sowieckie komentarze na temat sytuacji w Polsce, publikowane z myślą o powszechnym odbiorze, były – całkiem dosłownie – niewiarygodne. Przeczyły wielu stwierdzeniom, nawet tym zawartym w polskiej prasie komunistycznej. Można było oczekiwać, że, na przykład, będą propagować opinię, iż Solidarność działała wbrew interesom polskiej klasy robotniczej. Zamiast tego przeczyły opinii, że miała ona jakikolwiek związek ze szczerymi aspiracjami mas polskiego społeczeństwa. Nie tylko głosiły, że Solidarność sprowadza ludzi na manowce, ale udawały, że istnieje ona tylko jako ogniwo jakiegoś międzynarodowego kapitalistycznego spisku. Zazwyczaj przypisywały problemy w Polsce takim czy innym

bezimiennym „siłom antysocjalistycznym" i – jak w Afganistanie – rzekomej interwencji Zachodu w wewnętrzne sprawy niepodległego socjalistycznego państwa. Wyrażając raz za razem determinację utrzymania „nierozerwalnego braterskiego sojuszu narodu polskiego i narodów sowieckich", stwarzały wrażenie, że reżim komunistyczny w Polsce należy chronić przede wszystkim i za wszelką cenę, bez względu na pragnienia i uczucia polskiego narodu. Nie było żadnych wskazówek co do poglądów na implikację polskiego kryzysu dla szerszej polityki i strategii całego bloku sowieckiego; żadnych oznak, które by świadczyły, że choćby rozważa się jakiś nowy kurs o większym znaczeniu[1].

Jest chyba rzeczą rozsądną zakładać, że autorzy sowieckiej polityki musieli z troską patrzeć w przyszłość i że gdzieś pod pokładami tajności i milczenia ktoś w sowieckim aparacie biurokratycznym musiał układać plany na wypadek ewentualnych przyszłych wydarzeń. Dwa zasadnicze pytania dotyczą, po pierwsze, oceny szans zwolenników innowacji w walce z biurokratyczną inercją wewnątrz samego Kremla, a po drugie, decyzji innowatorów w sprawie wyboru między prześladowaniami i odwrotem. Po polskiej stronie obrońcy *rapprochement* z Rosją z pewnością zawsze musieli sobie zadawać te dwa pytania. Starając się ustawić stosunki rosyjsko-polskie na jakiejś solidniejszej i sprawiedliwszej płaszczyźnie, a jednocześnie uznając pierwszoplanowość rosyjskich interesów, rzadko mogli mieć pewność, że zwolennicy ugody w Rosji zdołają przezwyciężyć wewnętrzną opozycję przeciwko zawarciu porozumienia; nie byli też pewni, czy jeśli stary porządek się załamie, rosyjski niedźwiedź ruszy w przód czy w tył. Niedoszłych ugodowców tak często atakowano, że muszą przyjmować postawę sceptyczną wobec szans na jakikolwiek łatwy układ. Ponadto, ponieważ podczas ostatniej prawdziwej konfrontacji z Polską w 1956 roku Rosjanie rzeczywiście się wycofali, przy następnej okazji mogliby się obawiać, że Kreml zdecyduje się na atak, aby sobie zrekompensować wcześniejsze straty.

W tym kontekście warto przypomnieć refleksję pewnego polskiego przywódcy, który bardzo dobrze znał Rosję i który wiązał wielkie nadzieje z rosyjsko-polską ugodą. Dokonawszy przeglądu nagromadzonych problemów społecznych i gospodarczych, szczególnie powtarzających się kryzysów w rolnictwie i rosnącej nieudolności aparatu biurokratycznego, podjął on zasadniczą kwestię „przyszłości Rosji" i miejsca, jakie miałaby

[1] Np. A. Siergiejew, *The hypocritical intrigues around Poland*, „Mieżdunarodnaja żizń" (Moskwa) 1982, nr 4, s. 67 i n.; J. Nikołajew, W. Biełyszew, *The unshakeable alliance of two fraternal peoples*, tamże, nr 5, s. 92 i n.

w tej przyszłości zajmować Polska. Doszedł do wniosku, że przeszkody na drodze do zasadniczej poprawy sytuacji bynajmniej nie są nie do przezwyciężenia. Chociaż zadowalające rozwiązanie problemów samej Rosji zależeć musi w znacznej mierze od polityki Rosji wobec jej europejskich „kresów", a szczególnie wobec Polski, to na drodze do sensownego kompromisu leżą natura systemu politycznego i brzemię tradycyjnych rosyjskich postaw:

> Jeżeli przyszłość Rosji była zawsze wielką zagadką, to tem większą jest ona teraz... Niepodobna zaiste przewidzieć wyjścia z położenia, w jakiem się państwo znalazło...
>
> Trzymając się wszakże realnych zagadnień politycznych dzisiejszego położenia, musimy za punkt wyjścia wziąć jeden rys zasadniczy rozwoju historycznego państwa rosyjskiego. Mianowicie jest to rozwój idący na zewnątrz, a nie na wewnątrz.
>
> Państwo się rozrasta niesłychanie szybko, z małego księstewka moskiewskiego w ciągu pół tysiąca lat urasta w olbrzymie imperjum, stanowiące szóstą część świata... Jednocześnie nie postępuje ono należycie w rozwoju swych instytucyj, w organizacji społeczeństwa i jego wytwórczości, zastosowanej do wzrostu zaludnienia. Cała praca wewnętrzna skierowana jest do udoskonalenia machiny państwowej, przystosowanej do zadań rozwoju zewnętrznego...
>
> Rezultatem tego rozwoju musiał być szybszy wzrost zadań państwowych niż środków do podołania im... Państwo coraz bardziej musiało się stawać przysłowiowym „kolosem na glinianych nogach"... Machina rządowa, istniejąca sama w sobie, nie oparta o odpowiednie instytucje społeczne, nie przymuszona do liczenia się z potrzebami i dążeniami społeczeństwa, rozrastając się szybko pod względem swych rozmiarów, nie mogła się tak szybko doskonalić, jakby tego wymagały wyrastające przed nią zadania. Jasnym jest, że taki kierunek rozwoju musiał prędzej czy później doprowadzić do impasu...
>
> (...) groźną dla przyszłości jest tzw. kwestja „kresów"... Zmiana poglądu na kwestję polską, i w ogóle na kwestję „kresów", trudną jest do pomyślenia, nie tylko gdy idzie o biurokrację, ale o bardzo szerokie sfery społeczeństwa rosyjskiego.
>
> Według utrwalonego w wymienionych sferach przekonania, wszystko, co granice państwa rosyjskiego obejmują, jest „własnością narodu rosyjskiego, zdobytą jego krwią"... Zdają się tam nie wiedzieć tego, że Rosji, takiej wielkiej, jaką jest ona w swych

dzisiejszych granicach, nie zbudowała samorzutna energja narodu rosyjskiego, jego twórcza praca, jego genjusz rodzimy, ale ta szczególna organizacja machiny państwowej, która sam naród rosyjski traktowała jako podbity... Ta organizacja... nie zajmowała się hodowaniem sił społeczeństwa rosyjskiego i budowaniem zdrowych podstaw jego bytu, (...) ale rozszerzaniem granic państwa i doskonaleniem narzędzi do trzymania w swym ręku ziem zagarniętych; do życia ich kosztem. Ta organizacja, jak wszelkie tego rodzaju organizacje w dziejach ludzkości, na podbojach wyłącznie byt swój opierające, skazana była na prędki upadek.

Ta organizacja stopniowo rozprzęgła się, utraciła dawną sprawność, a jednocześnie władza jej utraciła urok potęgi i powagę w samym narodzie rosyjskim. Czyż tak osłabiona będzie ona zdolna podołać tym wielkim zadaniom państwowym, które za wielkiemi dla niej były wtedy, gdy czuła się silną? (...) Dzisiejsze (...) stanowisko [państwa rosyjskiego] w Polsce – to nie panowanie, to właściwie tylko okupacja wojskowa... Przyznanie Polakom samoistności i odrębnego ustroju autonomicznego... to tylko zorganizowanie prawidłowych rządów i stworzenie warunków normalnego życia na miejsce dzikiej okupacji...

Dla wielu Rosjan, zwłaszcza dla tak zwanej prawicy rosyjskiej, kwestja tego zasadniczego zwrotu w polityce kresowej, w szczególności w polskiej, jest przy wszystkim innym jeszcze kwestją dumy narodowej. Tak się oni zrośli z wytworzonym przez biurokrację złudzeniem, że cały obszar państwa jest naprawdę Rosją, że (...) odwrót w polityce „kresowej" równa się dla nich narodowej hańbie...

Ale chorobliwa megalomanja, żyjąca złudzeniami i halucynacjami, była zawsze rysem narodów zbliżających się do upadku... Taką właśnie megalomanję widzimy w poglądach szowinistycznych żywiołów rosyjskich na kwestję polską. Tymczasem od stosunku Rosji do kwestji polskiej w znacznej mierze jej własna przyszłość zależy[2].

Można by pomyśleć, że nacisk na polskie aspekty rosyjskich problemów, dość zrozumiały u polskiego komentatora, jest nieco przesadny; a jeśli tak wygląda prorosyjski polski pogląd, to można się przerazić

[2] Roman Dmowski, *Niemcy, Rosja i kwestia polska*, część 4, A. Gmachowski i Ska, Częstochowa 1938. http://geopolityka.net/roman-dmowski-niemcy-rosja-kwestia-polska-czesc-4/

na myśl o tym, co mógłby powiedzieć Polak o nastawieniu antyrosyjskim. Ale większość niezależnych analityków spraw sowieckich dostrzegłaby związek przyczynowy między ekspansywną polityką strategiczną i nadmiernym rozszerzeniem sfery zobowiązań politycznych i gospodarczych. Natomiast rzeczą naprawdę interesującą jest, że Dmowski pisał o nieuchronnym upadku Imperium Rosyjskiego ponad siedemdziesiąt lat temu, a nie o nieuchronnym kryzysie w bloku sowieckim w roku 1981 czy 1982.

Niestety – obierając w tym miejscu pesymistyczny kurs – wszystko wskazywało na to, że pojawienie się Jurija Andropowa po osiemnastu latach breżniewowskiej inercji zwiastowało zdecydowany wysiłek w kierunku ożywienia istniejącego systemu raczej niż ponowne rozważenie fundamentalnych sowieckich priorytetów, podejmowane w atmosferze odprężenia. Gdyby Andropow rzeczywiście zdołał umocnić swoją pozycję, można by się było spodziewać, że będzie raczej radykalnym innowatorem w rosyjskim stylu niż liberalnym reformatorem na modłę zachodnią. Jako były szef KGB (do maja 1982 roku) Andropow dysponował oczywiście lepszymi źródłami pewnych informacji niż którykolwiek inny sowiecki przywódca; jego zaletą było też duże doświadczenie w sprawach zagranicznych. Wydawało się, że ma elastyczny umysł, sposób bycia rzeczowego polityka i gotowość do podejmowania eksperymentów. Znajomość Węgier, powiązań fińsko-karelskich i doświadczenie w pracy na stanowisku szefa wydziału KPZR do spraw stosunków z bratnimi partiami musiały sprawić, że w pełni doceniał siłę nacjonalizmów i wielką różnorodność europejskiej sceny wydarzeń. W tej mierze był więc zdolny do traktowania polskiego problemu z opartą na wiedzy inteligencją i wyobraźnią. Jednakże ze względu na charakter jego kariery – najpierw jako przedsiębiorczego aparatczyka z czasów stalinowskich, a później jako bezlitosnego i zręcznego likwidatora sowieckiego ruchu dysydenckiego – musiał się przyzwyczaić do wszelkiego rodzaju podstępów i chytrości, nie nauczył się natomiast wielkodusznych politycznych gestów. Od byłego szefa KGB, następcy Berii, Jeżowa i Dzierżyńskiego, doprawdy nie można było oczekiwać, że nagle się okaże kryptoliberałem. Co najwyżej można się było spodziewać, że się wykaże powściągliwością. Dopóki Andropow nie umocnił swojego chwytu na sowieckim establishmencie i dopóki nie wydano jeszcze żadnego ostatecznego oświadczenia w sprawie Polski, nie sposób było niczego sensownie przewidzieć. Można było jedynie stwierdzić, że ustępstwa natury politycznej wobec Polski oznaczałyby przyjęcie kierunku odwrotnego wobec ogólnego kierunku prawdopodobnych reform w samym Związku Sowieckim i że wprowadzenie polityki

preferencyjnej wobec Polski wymagałoby od sowieckiego przywódcy ogromnej wyobraźni. Tragiczne dziedzictwo stosunków rosyjsko-polskich jest tak samo silne w Moskwie jak w Warszawie. Można mieć pewność, że każda propozycja porzucenia dawnych struktur ustroju komunistycznego w Polsce i odcięcia liny trzymającej na uwięzi polskie galery spotkałaby się z instynktowną niechęcią konserwatywnych towarzyszy na Kremlu. Wobec mnogości wewnętrznych problemów ZSRR oraz wobec stałego wzrostu sił sowieckiego kompleksu wojskowego i KGB przy najmniejszej wzmiance o dalszych niepokojach w Polsce przywództwo sowieckie miałoby silną pokusę, żeby zrezygnować z ostrożności i użyć siły. Mniejsza o Andropowa; w górnych warstwach sowieckiej elity z pewnością można znaleźć sporo ludzi zgadzających się w pełni ze świętej pamięci marszałkiem Żukowem, który w chwili nieuwagi podczas pewnego przyjęcia w ambasadzie brytyjskiej wyraził przekonanie, że Polska jest wiecznym dokuczliwym utrapieniem i że „powinniśmy ją pacnąć jak muchę".

Niełatwo dokładnie określić miejsce Polski w sowieckim kryzysie. Podzielona Europa jest zaledwie jednym z kilku większych obszarów, gdzie panuje napięcie i gdzie nierozwiązane problemy stają się coraz bardziej palące: nie da się orzec z całą pewnością, czy przywódcy Kremla nadal będą przyznawać priorytet swoim interesom w Europie, usuwając na drugi plan zagrożone interesy na zdestabilizowanym Bliskim Wschodzie, w nieprzewidywalnym świecie muzułmańskim i w obliczu nieubłaganego wzrostu potęgi Chin i Japonii. Można tylko powiedzieć, że dla Europy w taki czy inny sposób nadejdzie czas rozliczenia oraz że Polska jest jednocześnie najważniejszym ogniwem łączącym Sowietów z Europą i ich piętą achillesową.

Tymczasem jednak moralny dylemat Polski był nadal taki sam jak w XIX wieku. Żaden z elementów równania nie przedstawiał się oczywiście dokładnie tak samo jak wtedy. Rząd miał taką samą złą opinię jak zawsze, dysponował natomiast o wiele większym zapleczem technicznym, logistycznym i organizacyjnym i mógł z o wiele większą precyzją dostosowywać swoje reakcje do skali oporu społeczeństwa. Nie był już w sytuacji, w której musiałby się poddać opozycji lub zawołać na pomoc Kozaków, żeby dokonali na niej masakry. Pozycja Kościoła wzrosła, wzrósł także jego wpływ na masy. W efekcie hierarchia mogła się pochwalić o wiele większym niż jej poprzednicy sukcesem w utrzymywaniu ludzi na drodze powściągliwości i unikania przemocy. Natomiast opozycja była rozdarta między pogardą dla państwa i szacunkiem dla Kościoła. W latach 1980–1981 przechodziła wczesne stadia romantycznego, idealistycznego wzrostu; grudniowy zamach stanu zadał jej ogłuszający cios. Jest jednak

rzeczą nie do pomyślenia, żeby miała w nieskończoność trwać powalona z nóg. Każdy dzień bez szczerego dialogu między trójką zapaśników na polskiej scenie przyspieszał dzień ostatecznego wybuchu. Gdyby ludzie młodego pokolenia nabrali przekonania, że pokojowe metody zalecane przez Kościół nie skłaniają reżimu do poważnego traktowania ich aspiracji, to wcześniej czy później sięgnęliby do polskiej tradycji powstańczej, drzemiącej za kulisami. Polacy, jak zawsze, stali w obliczu moralnego wyboru o niewyobrażalnych proporcjach.

Właśnie w tym sensie Polska jest symbolem moralnych celów w życiu Europy, ostrzeżeniem o niebezpieczeństwach, które zagrażają całemu światu. Polska znalazła się z powrotem w swojej zwykłej sytuacji klęski politycznej i chaosu gospodarczego, ale przy wszystkich trudnościach była czymś więcej niż tylko przedmiotem zaciekawienia i litości. Raz jeszcze, podczas krótkiego interludium Solidarności, dowiodła, że jest skarbnicą moralnych ideałów i dawnych wartości, które mogą przetrwać każdą liczbę katastrof militarnych i politycznych. Na dłuższą metę losy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie mają większego znaczenia; PRL przegniła do szpiku kości. Natomiast losy samych Polaków muszą u wszystkich budzić najwyższe zainteresowanie. Losy Polski na arenie europejskiego konfliktu są jednym z niewielu wskaźników losów, jakie mogą spotkać resztę kontynentu. Dla każdego europejskiego kraju jest wielką pokusą udawanie, że istnieje on jako samoistna wyspa i że nawet jeśli Polskę zmyją fale, ich własny dom będzie bezpiecznie stał dalej. Ale to największa z iluzji. Cierpienia Polski zagrażały podmyciem lądu. Dzwon nad Wisłą bił nam wszystkim. Albowiem Polska jest miejscem, w którym rywalizujące ze sobą kultury i filozofie naszego kontynentu ścierają się ze sobą w najostrzejszej formie, w którym napięcia europejskiego dramatu rozgrywają się na ciele i systemie nerwowym wielkiego narodu. Polska nie jest po prostu grudką ziemi, nie jest nawet jakimś odległym przylądkiem; Polska jest sercem Europy.

ROZDZIAŁ 8

WYZWOLENIE: 1983–1999

Na przełomie XX i XXI wieku pierwszy raz od sześćdziesięciu lat Polska stała się wolnym krajem. Była pełnoprawnym członkiem zachodniej wspólnoty: należała do NATO, kandydowała do członkostwa w Unii Europejskiej, miała liberalną demokrację z obiecującą gospodarką rynkową. Co najważniejsze, żyła w nowej atmosferze pokoju i współpracy ze wszystkimi sąsiadami. Jej odrodzenie się silnie wspierały zjednoczone Niemcy. Ustanowiono zdrowe relacje z demokracjami skandynawskimi. Bliska więź płynąca ze wspólnoty celów umacniała powiązania z przyjaciółmi i sąsiadami w Europie Środkowej – zwłaszcza z Republiką Czeską i z Węgrami, które miały takie same aspiracje. Korzystną postawę wsparcia i zachęty przyjęto wobec innych krajów byłego Związku Sowieckiego i bloku sowieckiego – od krajów bałtyckich po Słowację, której trudna sytuacja wciąż jeszcze wyglądała na bardziej problematyczną niż sytuacja Polski. Dołożono szczególnych starań, aby zdobyć zaufanie takich państw jak Litwa i Ukraina, których relacje z Polską na przestrzeni dziejów były pełne napięć.

Jedynym niewielkim źródłem regionalnych niepokojów była enklawa rosyjska w obwodzie kaliningradzkim, na północno-wchodniej granicy Polski. Ten odizolowany okręg wojskowy, rozpaczliwie przeludniony i zaniedbany, dawny Königsberg w Prusach Wschodnich, był kompletnie odcięty od reszty Federacji Rosyjskiej. Odbijał od spokojnego skądinąd klimatu jak ostatnia jątrząca się rana. Stanowił problem dla całego NATO i dla Niemiec w tym samym stopniu co dla Polski. I nie był sprawą palącą.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Polska miała cały tłum młodych ludzi, dla których ustrój komunistyczny, podobnie jak cała długa walka z komunizmem, były melodią zapomnianej lub na wpół zapomnianej przeszłości. Ci młodzi wiedzieli o takich wydarzeniach jak wybór papieża Wojtyły, narodziny Solidarności czy zamach generała Jaruzelskiego tylko z opowieści swoich rodziców. Dla najmłodszego pokolenia dorosłych nazwisko Lecha Wałęsy jest niemal tak odległe jak nazwiska Sikorskiego, Piłsudskiego czy Kościuszki. Co więcej, demokracja zachęca do krótkiej pamięci. Wielu Polaków miało ochotę o wszystkie bieżące braki

winić aktualnie rządzących polityków. Tylko niewielu z nostalgią oglądało się za siebie – tak jak to miało miejsce w Rosji – na utracone horyzonty komunizmu, choć kilka grup społecznych, na przykład emeryci, rolnicy czy bezrobotni, skarżyło się gorzko na skąpe korzyści płynące z nowego porządku. Ich niepokój był całkiem realny. Ale zrobiliby lepiej, gdyby spojrzeli dalej w przyszłość. Życie w nowej Polsce bynajmniej nie było doskonałe. Natomiast większość trudniejszych do rozwiązania problemów politycznych, społecznych i gospodarczych należało przypisywać nie polityce ostatnich lat, lecz minionym dziesięcioleciom fatalnych rządów komunistów. W latach dziewięćdziesiątych Polska wciąż jeszcze płaciła za zniszczenia, jakich dokonały II wojna światowa i epoka PRL-u. Okresu trzech generacji wyzysku i ucisku nie dałoby się zrównoważyć z dnia na dzień.

Prawdziwym cudem był oczywiście fakt, że niemal czterdziestomilionowy naród zdołał się wydostać z komunistycznego bagna bez przemocy i po stosunkowo nielicznych konfliktach. Aby wyjaśnić to niezwykłe osiągnięcie, trzeba się przyjrzeć moralnemu dziedzictwu Solidarności, która od początku głosiła ewangelię unikania przemocy, ugodowej strategii większości komunistów, a także długim, powolnym, gradualistycznym procesom, dzięki którym nadeszło wyzwolenie. Można wyróżnić trzy odrębne fazy. W latach 1983–1989 reżim Jaruzelskiego nie zdołał przywrócić do życia dawnego systemu komunistycznego i zamiast tego niechętnie zwrócił się ku bezprecedensowej polityce kierowanego partnerstwa z demokratyczną opozycją. W latach 1989–1990, gdy blok sowiecki jako całość zaczął się rozpadać, eksperyment Polski w dziedzinie partnerstwa się załamał i demokraci triumfowali. Po roku 1990, kiedy komunistyczna ideologia została całkowicie zdyskredytowana, wszystkie odcienie polskiej opinii publicznej połączyły siły w dziele tworzenia nowego porządku. Pokiereszowany, ale nie pokonany, naród polski zrzucił kajdany i zaczął smakować słodycz obiecanej ziemi wolności i niepodległości.

1. Śmiertelna choroba PRL-u, 1983–1989

Z perspektywy czasu wydaje się niewątpliwe, że komunizm w sowieckim stylu cierpiał na chorobę o wiele cięższą, niż na to wyglądało z pozoru. Większość zachodnich obserwatorów nie dostrzegła jej symptomów aż do czasu, gdy pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęła się w ZSRR zadziwiająca kariera Michaiła Gorbaczowa oraz jego feralna polityka *głasnosti* i *pierestrojki*. Ale taki polityczny *sophistiqué* jak członek tajnego

wewnętrznego kręgu bloku sowieckiego, generał Jaruzelski, zapowiedź nieszczęścia musiał widzieć znacznie wcześniej. Prawdę powiedziawszy, są wszelkie powody, żeby przypuszczać, iż Jaruzelski, blisko związany z Andropowem, o wiele wcześniej niż Gorbaczow, działał za przyzwoleniem Sowietów na to, aby użyć Polski jako laboratorium w celu wypróbowania strategii, którą mogli zastosować wyłącznie członkowie uprzywilejowanej, dobrze poinformowanej elity KGB. Większość Polaków była zbyt wściekła na Jaruzelskiego, żeby jasno widzieć, do czego generał zmierza, a tak czy inaczej ratowanie komunizmu było ostatnią rzeczą, której mogliby sobie życzyć. Natomiast o ile Gorbaczow okazał się fałszywym prorokiem komunizmu, o tyle Jaruzelski był pseudo-Janem Chrzcicielem[1].

Na nieszczęście dla Jaruzelskiego gra o władzę w łonie sowieckiego przywództwa, konieczny element sukcesu państwa satelickiego, nie toczyła się w sposób w pełni zadowalający. Jurij Andropow zmarł w Moskwie w lutym 1983 roku, po niespełna roku sprawowania urzędu. Następca Andropowa, Konstantin Czernienko, był podstarzałą miernotą, a jego dychawiczna inercja kazała widzieć w Breżniewie istny wulkan dynamizmu. Gorbaczow, który wspiął się na szczyt w marcu 1985 roku, nie spieszył się z odkrywaniem kart i w pierwszym okresie za priorytet uznał redukcję międzynarodowych napięć. Wobec tego dopiero najwcześniej w 1987 roku można było uznać, że Jaruzelski działa ręka w rękę z rzeczywiście odpowiadającym mu sowieckim przywódcą. Do tego czasu patowa sytuacja Jaruzelskiego zdążyła się już bardzo rozwinąć, a Gorbaczow zbliżał się do punktu, w którym europejscy satelici ZSRR stracili swoją dawną użyteczność.

Impas Jaruzelskiego wynikał z konsekwencji jego własnego triumfu. Przeprowadzając najbardziej imponujący wojskowy zamach stanu w dwudziestowiecznej Europie, całkowicie rozbroił demokratyczną opozycję. Ale równocześnie zniweczył zaufanie polskich komunistów i nadwyrężył cywilne struktury, za których pośrednictwem niegdyś działała PZPR. Nie chcąc w nieskończoność używać wojska jako zastępczego rządu w zgodzie ze strategią, która byłaby sprzeczna z ideologicznymi zasadami jego partii i która osłabiłaby wojskową gotowość kraju, wbrew wszystkiemu mógł jedynie mieć nadzieję, że zmaterializują się jacyś nowi sprzymierzeńcy i pomysłowi pomocnicy. Tymczasem jednak mnożyły się realne problemy Polski, eksperyment z PRON-em okazał się nieudany. Produkcja przemysłowa w dalszym ciągu była katastrofalnie niska.

---

[1] Na temat okresu 1978–1990 zob. Jacek Kuroń, Jacek Żakowski, *PRL dla początkujących*, Wrocław 1997, rozdz. IV: *Ostatnia szansa PRL*, s. 207–282.

Majstrowanie przy mechanizmach rynkowych nie zdołało usunąć potężnego balastu centralnego planowania gospodarczego. Dług zagraniczny nadal był druzgocąco wysoki. Międzynarodowe sankcje oznaczały blokadę perspektyw na dalszą międzynarodową pomoc. A co stało się być może najbardziej niepokojące, podziemna opozycja budowała swój własny i bardzo realny świat, całkowicie oderwany od zatwierdzonych przez rząd agend. Jaruzelski niewątpliwie miał w ręku narzędzia skutecznych represji. Mógł pozamykać tajne drukarnie, ponownie aresztować działaczy i dla przykładu wydać kilka wyroków śmierci. Ale – podobnie jak później Gorbaczow – wiedział, że dawne komunistyczne metody zbankrutowały i że system można przywrócić do życia tylko za sprawą pewnej dozy powszechnej współpracy. Wobec tego powstrzymywał się od stosowania radykalnych środków. Nękał nielegalne podziemie, ale pozwalał mu istnieć. Aby błysnąć blaskiem odbitej chwały, zaprosił polskiego papieża do złożenia w Polsce drugiej wizyty w czerwcu 1983 roku. Natomiast w październiku tego samego roku musiał przełknąć gorzką pigułkę, kiedy jego główny więzień, Lech Wałęsa, dostał Pokojową Nagrodę Nobla. Dla przywódcy politycznego rozpaczliwie szukającego powszechnego uznania był to potężny cios.

Tym razem świat zewnętrzny był o wiele lepiej poinformowany o sprawach polskich niż kiedykolwiek przedtem. W latach 1980–1981 odwiedzały Polskę światowe media. Ojczyzna Jana Pawła II i Lecha Wałęsy przestała być dziwnym, nieznanym krajem. Zachodni intelektualiści, tradycyjnie życzliwe nastawieni do silnej grupy prosowieckich sympatyków komunizmu, mogli wreszcie zobaczyć rzeczywistość na własne oczy i w przeważającej większości porzucali dawne sympatie. Fala powodziowa książek i filmów o Polsce zmiotła panującą wcześniej obojętność i ignorancję. Tylko niewielka garstka wojujących lewicowców mogła jeszcze udawać, że Solidarność jest dziełem sabotażystów i prowokatorów. W krajach anglojęzycznych szeroką popularnością cieszyły się takie książki jak *The Polish Revolution* Timothy'ego Gartona Asha, będąca kroniką wydarzeń z lat 1980–1981, czy moje *God's Playground* (*Boże igrzysko*), opisujące podstawowe tło historyczne[2].

Polacy także zyskali dostęp do szerszej informacji niż dawniej. Byli też bardziej gotowi na jej przyjęcie. Mając za sobą doświadczenie okresu, który Gorbaczow określiłby jako *głasnost'*, nie zamierzali łatwo rezygno-

[2] Timothy Garton Ash, *The Polish Revolution: Solidarity*; wydanie poprawione, London 1999; Norman Davies, *God's Playground: A History of Poland*, t. 1–2, Oxford 1981, Columbia, N.Y., 1982.

wać. Wobec tego, mimo cenzury i zagłuszania, jak nigdy przedtem zdawali sobie sprawę, że świat zewnętrzny interesuje się ich losem. Po 1980 roku bardzo wzrosła powszechna świadomość istnienia takich pism emigracyjnych jak „Kultura", wydawana w Paryżu przez Jerzego Giedroycia. Bardzo szczególną rolę odgrywało sponsorowane przez USA Radio Wolna Europa w Monachium oraz polskojęzyczne programy BBC, Radio Vaticana, Deutsche Welle, Radio France Internationale i innych rozgłośni. Czterdzieści lat wcześniej naziści rutynowo rozstrzeliwali każdego Polaka przyłapanego na posiadaniu radia. W latach 1944–1945 sowieckie NKWD wydawało licencje tylko słuchaczom, którzy sobie na to zasłużyli. W latach osiemdziesiątych – kiedy radio było w każdym domu – takie metody byłyby zupełnie niepraktyczne[3].

Podziemna Solidarność przyznawała ważne miejsce wojnie informacyjnej. Ponieważ była wyłączona z większości obszarów działalności politycznej, z całą determinacją skoncentrowała się na „drugim obiegu" – polskim odpowiedniku rosyjskiego *samizdatu*. Poczynając od okresu stanu wojennego, do końca lat osiemdziesiątych tajnie drukowano i kolportowano całą ogromną sieć biuletynów, czasopism i książek. Odważni ludzie ryzykowali wolnością, żeby w tych akcjach uczestniczyć. Najpierw chodziło po prostu o zapewnienie ludziom orientacji w bieżących wydarzeniach. Ale działalność szybko się rozrosła, przybierając rozmiary zmasowanego ataku na wszystkie aspekty komunistycznej ideologii – w filozofii, religii, historii, teorii politycznej, gospodarce i wszelkich gatunkach literatury. Wśród chętnie wybieranych autorów byli Polacy z kręgów emigracyjnych i katolicy – obok wszystkich zakazanych zachodnich klasyków – od Orwella i Poppera do Arendt, Sołżenicyna i Teilharda de Chardin.

Jako ilustracja celów tego ruchu i panującej wokół niego atmosfery mogą zapewne posłużyć dzieje jednego spośród dziesiątków tysięcy tytułów. Książka *Orzeł biały, czerwona gwiazda*, po raz pierwszy wydana w Londynie, opowiada o zwycięstwie Polaków nad Armią Czerwoną w wojnie polsko-bolszewickiej z lat 1919–1920. W oficjalnych mediach temat ten przez długi czas stanowił tabu. Wobec tego podjęła go pewna dzielna tłumaczka z Gdańska, która dziesięć lat wcześniej opłynęła świat dookoła na jednoosobowym jachcie. Z autorem skontaktowała się telefonicznie z Paryża jakaś nieznajoma osoba. Zadała dość niekonwencjonalne pytanie: „Czy pan się zgodzi, żeby pana książka została wydana bez pana zgody?". (Drugi

[3] O Radiu Wolna Europa, zob. Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański), *Wojna w eterze*, Kraków 2000.

obieg starał się chronić swoich autorów, oświadczając, że nie ponoszą oni odpowiedzialności za nielegalne wydania). Potem tłumaczka zaczęła pracować nad tekstem pod pseudonimem. Pierwsza próba druku napotkała poważną przeszkodę, kiedy do mieszkania tłumaczki wpadli milicjanci i wpakowali ją do więzienia. Druga próba zakończyła się nocnym wtargnięciem milicji do tajnej drukarni i konfiskatą wszystkich egzemplarzy. Ale próba trzecia uwieńczyła sukcesem triumfalną podróż, po sześciu latach sztuczek, wybiegów i niewiarygodnej determinacji. Autor przebywający akurat w Kalifornii dostawał na bieżąco informacje od tajemniczej korespondentki, która, jak się okazało, była siostrą tłumaczki. Jedyną możliwą reakcją był niekłamany podziw. Tacy ludzie musieli zwyciężyć[4].

Niejednoznaczną postawę władz ujawnił tragiczny los księdza Solidarności Jerzego Popiełuszki, wikarego w parafii Świętego Stanisława Kostki w Warszawie. Po zawieszeniu stanu wojennego ksiądz Popiełuszko zaczął organizować w swojej parafii cotygodniowe „msze za ojczyznę". Wściekłość milicji rosła proporcjonalnie do liczby uczestników tych nabożeństw. Pewnej ciemnej nocy w październiku 1984 roku trzej agenci Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zorganizowali zasadzkę na samochód buntowniczego księdza, udusili go i wrzucili ciało do zbiornika wodnego. Ale spartaczyli robotę. Znalazł się świadek. Ochroniarz księdza Popiełuszki, były spadochroniarz, wyskoczył z jadącego samochodu. Był świadkiem zasadzki i sam umknął przed tymi, którzy ją zorganizowali. Wkrótce zaczęły się rozchodzić wieści o morderstwie. Nikt nie wierzył w zwyczajową oficjalną formułę o „nieznanych sprawcach". Odnalezienie zmasakrowanego ciała księdza Popiełuszki stało się początkiem powszechnych zamieszek. Generał Jaruzelski został zmuszony do działania[5].

Nie sposób przecenić wagi decyzji Jaruzelskiego. Pierwszy raz w dziejach Rzeczypospolitej Ludowej wydał rozkaz, że agenci komunistycznego reżimu powinni publicznie odpowiedzieć za swoje postępki. Trzech winnych morderstwa milicjantów postawiono przed sądem i skazano na kary długoletniego więzienia. W społeczeństwie, w którym komunistycznych dyktatorów nigdy nie pociągano do odpowiedzialności, takie wydarzenie stanowiło kamień milowy. Było obliczone na przypodobanie się ludziom i w zamierzeniu autorów miało być drobnym ochłapem rzuconym w celu

---

[4] Norman Davies, *Orzeł biały, czerwona gwiazda*, tłum. Urszula Karpińska (Teresa Remiszewska), Przedświt, b.d., oryginał: *White Eagle – Red Star: The Polish-Soviet War, 1919–1920*, London 1972.

[5] Zob. Grażyna Sikorska, *A Martyr for the Truth: Jerzy Popiełuszko*, London 1985; Roger Boyes, John Moody, *The Priest Who had to Die*, London 1986.

wyciszenia większych żądań. Ministrowie i wyżsi urzędnicy, którzy usankcjonowali tę zbrodnię, nie byli przesłuchiwani. Jaruzelski, który wcześniej przywrócił instytucję Trybunału Stanu do rozpatrywania spraw dawnych przywódców partyjnych, przyjął mało wiarygodną pozę bojownika o sprawiedliwość. Mimo to nastąpiło bardzo istotne przesunięcie układu sił. System najwidoczniej zaczynał się rozpadać. Komuniści porzucili postawę nieomylności. Od tego czasu żaden sługa reżimu nie mógł już mieć pewności, że nie da się ruszyć partyjnej tarczy obronnej. Zbrodniczy reżim przyznał się do zbrodni, a nie tylko do błędów czy „środków nieodpowiednich w sensie społecznym". Co więcej, rządy na Zachodzie stały się mniej lękliwe. Brytyjski minister przebywający z wizytą w Warszawie złożył wieniec na grobie księdza Popiełuszki, pokazując w ten sposób, po której stronie leżą sympatie zewnętrznego świata. Kiedy pani Thatcher ostatecznie odwiedziła Gdańsk w 1988 roku, oblegały ją tłumy.

Sprawa Popiełuszki w Warszawie zbiegła się z pojawieniem się w Moskwie Gorbaczowa. Przez następne miesiące i lata te dwa wątki się ze sobą przeplatały. W miarę jak zimna wojna za granicą stopniowo przygasała, w kraju rozmywało się usprawiedliwienie dla komunistycznej dyktatury. Podczas gdy sowiecki sekretarz generalny coraz mocniej zachęcał do *głasnosti*, dawna praktyka tłumienia wszelkiej dyskusji stawała się coraz trudniejsza do utrzymania. Najpierw w szeregach partii rządzącej, a następnie w całym społeczeństwie umacniało się przekonanie, że nie da się uniknąć dalekosiężnych reform.

W latach osiemdziesiątych Kościół katolicki w Polsce zdobył sobie nieporównywalny z niczym szacunek. Był rzeczywiście pasterzem narodu, ochraniającym wszystkich ludzi, w tym niekatolików, i odpierającym wszelkie oficjalne próby ograniczenia jego wpływów. Status Kościoła ogromnie zyskał po dwóch wizytach papieża, w 1979 i 1983 roku, i z powodu gotowości „księży Solidarności" do cierpienia za sprawę. Sieć parafii kierowanych przez nieustraszonych duchownych zapewniała schronienie wszystkim, którzy go potrzebowali, obejmowała patronat nad wydarzeniami kulturalnymi, które nie mogły się odbywać w oficjalnych miejscach; księża głosili stanowczo doktryny unikania przemocy i „mistrzostwa duchowego". Bohaterów było mnóstwo, ale – poza księdzem Popiełuszką – należałoby wymienić parafie w Podkowie Leśnej pod Warszawą, w Stalowej Woli czy w krakowskich Mistrzejowicach. Program budowy nowoczesnych kościołów, rozpoczęty w latach siedemdziesiątych, kontynuowano w okresie największej nędzy gospodarczej, dając w ten sposób w niemal każdym mieście i w każdej wsi fizyczne świadectwo energii życiowej współczesnego Kościoła.

Nie byłoby krzywdzące dodać, że hierarchia Kościoła była mniej zdecydowana niż szeregowi księża. Nowy polski prymas, arcybiskup Józef Glemp, bał się, że utraci partnerstwo z rządzącą partią ustanowione za czasów jego poprzednika, i wobec tego często wydawało się, że lawiruje. Niektórym spośród młodych księży, którzy popadli w polityczne tarapaty, oferowano nieco mniej niż serdeczne wsparcie. Ale mimo to jako instytucja Kościół pozostał twardą skałą w swojej determinacji propagowania alternatywnej wersji przyszłości narodu. A Rada Prymasowska, złożona z ludzi Kościoła i z ludzi świeckich, konsekwentnie działała jako najpotężniejsze forum mediacyjne.

Literatura polska lat osiemdziesiątych nie zawierała zbyt licznych dzieł o wielkim znaczeniu. Najbardziej szanowane nazwiska – poety Zbigniewa Herberta czy prozaika Tadeusza Konwickiego, należały do twórców, którzy wyrobili sobie pozycję już wcześniej. Zjadliwa powieść Konwickiego *Mała apokalipsa* (1980) była ostatnią poważniejszą pozycją wydawniczą, jaka się ukazała przed ogłoszeniem stanu wojennego. Opisując fikcyjny upadek społeczny i polityczny, stwarzała w umysłach czytelników mocne przekonanie, że istnieje możliwość takiego obrotu spraw. Główna strategia podziemia polegała na zapoznaniu publiczności czytelniczej z autorami tworzącymi za granicą lub zakazanymi przez cenzurę. Przyznanie literackiej Nagrody Nobla za rok 1980 mieszkającemu w Kalifornii Czesławowi Miłoszowi nadało mu status bohatera. W jego wierszach można było wyczuć wspaniały smak zakazanego owocu, a jego druzgocące studium *Zniewolony umysł* (1953) całkowicie dyskredytowało kulturowe i psychologiczne mechanizmy komunizmu. Podobną rolę odegrali towarzysze Miłosza na emigracji – Leszek Kołakowski i Gustaw Herling-Grudziński. Wszyscy znaleźli się w kategorii osób, które cenzura uważała za „nieistniejące": nie wolno było o nich wspominać nawet po to, żeby ich zdyskredytować. Trzytomowe dzieło Leszka Kołakowskiego *Główne nurty marksizmu* (1978) obalało komunistyczne roszczenia do monopolu na cnotę w myśli socjalistycznej. Pisarstwo polityczne Herlinga-Grudzińskiego, który przeżył Syberię, najskuteczniej zniweczyło panującą iluzję na temat historii sowieckiej. Jedną z kilku prac mających zachęcić do dialogu z reżimem Jaruzelskiego był esej *Kościół, lewica, dialog* Adama Michnika (pierwsze wydanie 1977).

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych reżim Jaruzelskiego niemal całkowicie porzucił względy ideologiczne, przyjmując postawę czysto pragmatyczną. Pewien członek Politbiura, stanąwszy 1986 w obliczu naiwnego pytania amerykańskiego studenta o to, czy „jest komunistą czy nie", dosłownie nie potrafił odpowiedzieć ani „tak", ani „nie". Ale nadzie-

je na osiągnięcie consensusu politycznego w wyniku sukcesu gospodarczego – stara marksistowska iluzja – były bez przerwy niweczone. Istniejący system nie był w stanie przynieść sukcesu gospodarczego, a nielegalna opozycja nie miała ochoty rozważać uczestnictwa w polityce na możliwych wtedy warunkach. Od roku 1985 przywódcy Solidarności – na przykład Adam Michnik w swoim *Liście z Kurkowej* – starali się propagować ideę dialogu. Ale nie byli w stanie robić tego skutecznie w sytuacji, w której nadal nie przestrzegano ich praw indywidualnych ani zbiorowych. Opozycja była zbyt słaba, żeby obalić reżim, ale jeszcze dość silna, żeby mu nie pozwolić na żaden ogólny postęp. W efekcie padała jedna inicjatywa za drugą. Na przykład w maju 1987 roku wydano ustawę zachęcającą do konsultacji społecznej. Przymusowe referendum stawiało pytania o stanowisko wobec polskiego modelu dogłębnej demokratyzacji, umacniania samorządów, rozszerzenia zakresu praw obywatelskich. To tak jakby pytać o powszechną ocenę szarlotki. Ale nawet tu nie udało się uzyskać większości. W tym samym roku 1987 mianowano rzecznika praw obywatelskich. Ale nie było praw obywatelskich, o których byłoby warto mówić. Ponadto oficjalna, kierowana przez komunistów organizacja związkowa, Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych (OPZZ), założona w 1984 roku, żeby załatać dziurę, jaka pozostała po zdelegalizowanej Solidarności, zaczynała się burzyć. Grożono strajkami. Reżim ponownie szybko zbliżał się do punktu, w którym w sierpniu 1980 roku rozpoczął się kryzys. Czołowi politycy rozpaczliwie próbowali przepchnąć reformy. Ale nie mieli koniecznego do tego powszechnego poparcia.

Impas osiągnął punkt szczytowy pod koniec lata 1988 roku. Kiedy zaczęły się strajki – w Gdańsku i w innych miejscach kraju – z odległych pustkowi przywołano ni mniej, ni więcej, tylko samego Lecha Wałęsę, aby przekonał strajkujących, że powinni przestać. Wygrał on w ten sposób poręczenie, że odbędą się negocjacje. Wtedy premier podał się do dymisji, ponieważ nie mógł już sobie poradzić z OPZZ. Przed reżimem Jaruzelskiego stanęło widmo politycznego bankructwa. Z najwyższą niechęcią komuniści przyjęli fakt, iż będą się musieli podzielić władzą. W pewnym momencie Jaruzelski musiał postawić partię wobec perspektywy swojej własnej rezygnacji. Ostatecznie ci, którzy się wahali, zostali przekonani, że skondensowana dyktatura jest już nie do pomyślenia i że dialog z Solidarnością stał się nieunikniony. Datę pierwszego spotkania uczestników Okrągłego Stołu, przedstawicieli komunistycznego rządu i solidarnościowej opozycji, ustalono na 6 lutego 1989 roku.

2. Śmierć polskiego komunizmu, 1989–1990

Obraz osłabionego totalitarnego reżimu, który dobrowolnie rozpoczyna negocjacje ze swoimi przeciwnikami, nie jest obrazem bez precedensu. W Polsce będącej częścią rzymskokatolickiego świata dobrze znany jest przykład Hiszpanii, a o procesie rokowań, któremu zmarły reżim faszystowski zawdzięczał swój zgon, nieraz dyskutowano w kręgach polskiej opozycji. W końcu problemy postkomunizmu nie różniły się aż tak bardzo od problemów postfaszyzmu. Polscy komuniści mieli, rzecz jasna, różne pomysły. Nie ma zbyt wielu powodów, żeby twierdzić, iż prąc do dialogu z Solidarnością, grupa skupiona wokół Jaruzelskiego uważała, że poddaje władzę. Przeciwnie: ci ludzie zamierzali wykorzystać Solidarność do swoich własnych celów i pójść na pewne ograniczone ustępstwa, nie wypuszczając z rąk steru rządów. Byli przecież mocno przyzwyczajeni do taktyki kooptowania osób „bezpartyjnych" i rozbrajania krytykujących poprzez włączanie ich do układu. Z ich punktu widzenia prawdziwe pytanie dotyczyło tego, czy przywódcy Solidarności zgodzą się na podległość, czy też kolejny raz spróbują zdobyć niepodległość. Partyjny beton był oczywiście pełen podejrzeń. Ale i twardogłowi zdawali sobie sprawę, że nie obejdzie się bez zmian. Niektórzy sądzili, iż Korea Południowa prezentuje atrakcyjny model kapitalistycznej gospodarki powiązanej z autorytarną polityką.

Należy też podkreślić, że na początku 1989 roku Polacy działali sami. Jak dotąd żaden inny komunistyczny kraj nie wykazywał jawnych oznak niezadowolenia i żadna partia rządząca nie zrezygnowała ze swojej „wiodącej roli". *Pierestrojka* Gorbaczowa w Rosji miała bardzo ograniczone cele, na które polscy towarzysze już się zgodzili. Natomiast w dziedzinie polityki ten gatunek kierowanego przez partię pseudopluralizmu, który, jak się wydaje, preferował Gorbaczow, działał w PRL-u od ponad trzydziestu lat. Układu Warszawskiego nadal nie kwestionowano. RWPG istniała. Ogromne sowieckie oddziały dalej stacjonowały albo na terenie Polski, albo w bezpośrednim sąsiedztwie jej granic. Zasępieni towarzysze z Czechosłowacji i Niemiec Wschodnich byli bardzo zaniepokojeni. Kiedy w końcu uczestnicy Okrągłego Stołu zebrali się w podwarszawskiej Magdalence, stało się rzeczą zrozumiałą, że wszyscy będą się starali zachować ostrożność.

Nie powinno się też zapominać o ciągłym, choć niezbyt dużym zagrożeniu oficjalnym terrorem. W ciągu dwóch tygodni, jakie dzieliły formalną zgodę PZPR-u na rozmowy z Solidarnością od otwarcia pierwszego posiedzenia w Pałacu Namiestnikowskim wyznaczonego na 6 lutego,

wydarzyły się dwa paskudne morderstwa polityczne. Obie ofiary „nieznanych sprawców" to duchowni. Jeden, ksiądz Stefan Niedzielak, był kapelanem organizacji Rodzin Katyńskich. Drugi, ksiądz Stanisław Suchowolec, pełnił służbę kapelana białostockiej Solidarności. Tajna policja dawała do zrozumienia, że nie podoba jej się to, co się dzieje.

W ciągu miesięcy rozmów w Magdalence – podobnie jak w ciągu miesięcy przed rozmowami – zdarzył się niejeden impas. Drużynie komunistów przewodzili generał Czesław Kiszczak, prawa ręka Jaruzelskiego i minister spraw wewnętrznych, młody Aleksander Kwaśniewski, członek prezydium rządu Mieczysława Rakowskiego, oraz profesor Janusz Reykowski, przewodniczący zespołu do spraw reform politycznych. Pracowali w cieniu trzech potężnych członków Komitetu Centralnego – Stanisława Cioska, Andrzeja Gduli i sekretarza KC Kazimierza Cypryniaka. Na czele delegacji strony solidarnościowej stali powszechnie szanowany doradca Solidarności Tadeusz Mazowiecki oraz przewodniczący kilku zespołów powołanych do prowadzenia negocjacji – Bronisław Geremek, Jacek Kuroń, Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk i Lech Kaczyński. Podczas sesji plenarnych okrągły stół musiał pomieścić ponad sto osób. Wałęsa, który wcześniej był bardzo aktywny i nawiązywał tajne kontakty decydujące o rozpoczęciu oficjalnych rozmów, teraz stał się cieniem Jaruzelskiego, pozostając za kulisami rozmów. Obie strony musiały znosić silne naciski swoich własnych kolegów. Partyjny beton oskarżał Jaruzelskiego o zaprzedanie się pogardzanej opozycji, a część bezkompromisowych członków opozycji – na przykład KPN czy Solidarność Walcząca – atakowała Wałęsę, oskarżając go o przygotowywanie „oszukańczego układu". Czynnikiem decydującym była jednak zgoda, żeby negocjatorzy Solidarności mieli odtąd dostęp do oficjalnych mediów. Dzień po dniu – pierwszy raz od 1980 roku – twarze Mazowieckiego, Geremka, Kuronia i innych działaczy opozycji ukazywały się na ekranach państwowej telewizji. Nie byli już „agitatorami" i „wichrzycielami". Byli inteligentnymi, pełnymi determinacji ludźmi, ze spokojem wyrażającymi opinie, z którymi zgadzały się masy. W miarę upływu czasu powstawała atmosfera, w której komuniści zmuszeni byli pójść w ustępstwach dalej, niż zamierzali na początku rozmów.

Najpierw negocjatorzy strony partyjnej zaproponowali bardzo ograniczony podział władzy. Ponownie zalegalizowana Solidarność zostałaby zaproszona do uczestnictwa w podobnym do PRON-u i kierowanym przez partię froncie oraz otrzymałaby 30 procent mandatów na kierowanych przez partię listach wyborczych. Ta propozycja – dość wspaniałomyślna według komunistycznych standardów – nie miała szans

powodzenia. Wobec tego w kolejnej fazie Solidarność miała otrzymać 35 procent mandatów z list wyborczych zarezerwowanych w wolnych wyborach dla kandydatów bezpartyjnych. W zamian jednak komuniści domagali się znacznego wzmocnienia prezydentury, przy czym urząd pozostawałby oczywiście pod kontrolą partii, a do uprawnień prezydenta należeć miała władza rozwiązywania nieposłusznego Zgromadzenia Narodowego. Ta dalej idąca propozycja wciąż jeszcze oznaczałaby przyznanie Solidarności roli w znacznej mierze „dekoracyjnej". Wtedy jednak Kwaśniewski wystąpił z pomysłem, żeby wyższa izba zgromadzenia, senat, zrzeszała senatorów wybranych w całkowicie wolnych wyborach. Strona solidarnościowa miała ochotę ulec tej pokusie, natomiast koledzy Kwaśniewskiego wpadli w popłoch. Zanim pomysł utworzenia wolnego senatu wrócił jako ostateczna oferta, nastąpił długotrwały impas. Negocjatorzy strony solidarnościowej widzieli, że ich partyjno-rządowi partnerzy rozpaczliwie dążą do zawarcia układu. Wobec tego przyjęli strategię sugerowania, że skorygowane propozycje zostaną przyjęte pod warunkiem uzyskania zgody na długą listę dodatkowych ustępstw. Ostatecznie osiągnęli o wiele więcej, niż mogli byli marzyć. Dostali nie tylko obietnicę relegalizacji Solidarności, ale także 35 procent mandatów w sejmie i wszystkie mandaty w senacie, uzyskane w następstwie wolnych wyborów. A to był dopiero początek. Wybierany w wyborach większościowych senat miał prawo wetowania wszystkich ustaw. Solidarność uzyskiwała legalny dostęp do mediów i prawo wydawania własnej „Gazety Wyborczej" – zaledwie drugiego (po „Tygodniku Powszechnym") niezależnego pisma w dziejach PRL-u. Wszystkie niezależne organizacje artystyczne i zawodowe, zlikwidowane po ogłoszeniu stanu wojennego, miały teraz zostać reaktywowane. Wszyscy działacze polityczni pozbawieni pracy po roku 1981 mieli uzyskać ponowne zatrudnienie. A co może najważniejsze – choć często się o tym nie pamięta – złożono deklarację, że w ciągu najdalej czterech lat wszystkie wybory w Polsce będą w pełni wolne. Wszyscy wiedzieli, że komunistyczny etos zezwala na łamanie niewygodnych obietnic. Mimo to w zaistniałej sytuacji ograniczone wolne wybory zdecydowano się przeprowadzić w 1989 roku jako pierwszy krok na drodze ku mającej nadejść szerszej demokracji. Porozumienie podpisano 4 kwietnia. Dwa tygodnie później ponownie zarejestrowano Solidarność. Aby świat mógł się dowiedzieć o sukcesie, Lech Wałęsa i jego doradcy pojechali do Rzymu po publiczne błogosławieństwo papieża[6].

[6] Zob. Krzysztof Dubiński, *Magdalenka. Transakcja epoki: notatki z poufnych spotkań Kiszczak – Wałęsa*, Warszawa 1990; Bronisław Geremek, *Rok 1989*, Warszawa 1990.

Polskie wybory z 4 czerwca 1989 roku stały się bezprecedensową sensacją. Skoro tylko jedna trzecia mandatów zgromadzenia miała pochodzić z wyboru, nie było szans, żeby PZPR straciła w wyniku tych wyborów władzę. Natomiast ich znaczenie psychologiczne było potężne. W pierwszej rundzie głosowania Solidarność znalazła się na czele 252 z 261 list mandatów, o które mogła się ubiegać. Jeszcze bardziej emocjonujący był fakt, że na tych częściach list wyborczych, które były zamknięte dla kandydatów Solidarności, test zdało pomyślnie zaledwie dwóch spośród pięćdziesięciu kandydatów popieranych przez PZPR. Dawna reguła, mówiąca, że każdy kandydat musi otrzymać co najmniej 50 procent głosów, została wprowadzona w czasach, gdy komunistyczna machina potrafiła gwarantować poparcie w granicach ponad 90 procent. Teraz wolni od zahamowań wyborcy użyli jej, aby radośnie wykreślić z kart prawie wszystkie nazwiska wskazywanych przez partię kandydatów. W pierwszych wolnych wyborach od 1939 roku poparcie dla komunistów znalazło się w przedziale między 3 i 4 punktami procentowymi. Tego samego dnia rząd komunistyczny w Chinach dokonał masakry na placu Tiananmen.

W drugiej rundzie głosowania dwa tygodnie później wszyscy – poza jednym wyjątkiem – kandydaci Solidarności uzyskali potwierdzenie swojego zwycięstwa. (Ten jedyny, który przegrał, w mieście Pile – dawniej Schneidemühl – nie zadbał, żeby na plakacie wyborczym mieć zdjęcie z Wałęsą). Solidarność całkowicie zdominowała senat. 19 lipca generałowi Jaruzelskiemu udało się przewagą jednego głosu zostać wybranym na prezydenta.

Latem 1989 roku wciąż trwały gorączkowe manewry polityczne. Przed zaprzysiężeniem Jaruzelskiego na urząd prezydenta redaktor naczelny „Gazety Wyborczej" Adam Michnik ukuł zdumiewające hasło: „Wasz prezydent, nasz premier". Solidarność przechodziła od przyjęcia zgody na symboliczną obecność w Zgromadzeniu Narodowym do przejmowania rzeczywistej władzy w rządzie, i pomagało jej w tym kilka czynników. Po pierwsze, przejście Jaruzelskiego na fotel prezydencki i zastąpienie go na stanowisku pierwszego sekretarza przez Mieczysława Rakowskiego wskazywało, że najwyższy urząd w państwie już nie należy do partii komunistycznej. Po drugie, Wałęsa dowiedział się, że satelickie partie PZPR – ludowe PSL i SD – nie chcą już ślepo wypełniać rozkazów komunistów. Nagle wyłoniła się perspektywa kierowanej przez Solidarność koalicji z ZSL i SD mającej szanse na zdobycie w sejmie większej liczby mandatów niż PZPR. Monopol komunistów został zagrożony. Wreszcie, 16 sierpnia, rzecznik sowieckiego Ministerstwa

Spraw Zagranicznych przekazał oświadczenie, które nie miało sobie równych. „Nie ingerujemy – oświadczył – w wewnętrzne spawy Polski. Polacy muszą sami rozwiązywać swoje problemy". Gorbaczow przemówił. Szok nie byłby większy, gdyby Watykan oświadczył, że nie zamierza ingerować w sprawy polskiego Kościoła. Komunistyczny premier Czesław Kiszczak natychmiast podał się do dymisji. 24 sierpnia sejm powołał na urząd premiera Tadeusza Mazowieckiego. Katolicki kraj po raz pierwszy od dokładnie pięćdziesięciu lat miał katolickiego premiera.

Pamiętając o lawinie wzbierającej w innych krajach bloku sowieckiego, należy przywiązywać należytą wagę do dokładnego opisu sytuacji w Polsce w czasie premierostwa Mazowieckiego. Jeśli ją właściwie zrozumieć, okaże się, że stanowi ona daleko idące wyjaśnienie niezwykłej – i można by powiedzieć: nietypowej – powściągliwości, jaka odróżniała wydarzenia w Polsce od wydarzeń zachodzących w krajach sąsiednich. Zagraniczni komentatorzy skłonni byli mówić, że Solidarność „zwyciężyła" albo że komunizm upadł. Nie mieli racji. Nie potrafili zrozumieć – tak jak nigdy nie umieli zrozumieć zachodni obserwatorzy reżimów w sowieckim stylu – że dwoisty układ partia-państwo nie bardzo przypominał zachodnie formy rządów i że pozycja premiera państwa nadal podlegała kontroli. Mimo iż bardzo wypadli z łask, komuniści wciąż jeszcze trzymali stery. Do konstytucji nie wprowadzono poprawek znoszących zapisy o wiodącej roli partii ani o obowiązkowym sojuszu z ZSRR. Prezydent Jaruzelski, nadal partyjny dygnitarz, był głównodowodzącym wojska, mógł rozwiązać sejm i mógł zdymisjonować premiera. Większość najważniejszych ministerstw – w tym Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Obrony i Spraw Wewnętrznych, kontrolujące różne wewnętrzne siły bezpieczeństwa – wciąż pozostawała w rękach komunistów. Kraj wciąż był okupowany przez Armię Czerwoną. Wciąż działała cenzura. Wciąż grasowała tajna policja, której agenci zaledwie miesiąc wcześniej dokonali mordu na kolejnym księdzu – Sylwestrze Zychu.

Wobec tego Mazowiecki był politycznym zakładnikiem, obezwładnionym niewidzialnym kaftanem bezpieczeństwa. Kiedy zajął swoje miejsce w Radzie Układu Warszawskiego jako jedyny jej członek niekomunista od czasu założenia tej organizacji, jego obecność wielu wprawiła w osłupienie. Ale niewielu zewnętrznych obserwatorów zdaje sobie sprawę, jak bardzo był ograniczany. Ale był też doświadczonym politykiem i upartym guzdrałą. Nie miał zamiaru zbyt dramatycznie prężyć muskułów. Jego polityczna kariera zatoczyła okrąg, wracając do pseudopluralizmu końca lat pięćdziesiątych; jego nadzieje zbyt wiele razy gasły. Nie miał zatem wygórowanych ambicji. Jego celem była konsolidacja zdo-

byczy Solidarności, a nie domaganie się dalszych. Solidarność zwyciężała w grze. Ale ostateczne zwycięstwo wciąż jeszcze pozostawało irytująco poza zasięgiem jej rąk.

Wobec tego w ostatnich miesiącach 1989 roku, kiedy węgierscy towarzysze przyznawali się do przegranej, padał mur berliński, Czechosłowację ogarnęła aksamitna rewolucja, a Rumuni w potokach krwi obalili Ceauşescu, Polska zachowywała dziwny spokój. Na froncie politycznym przywódcy Solidarności z radością pozostawili sprawy ich biegowi. Wiedzieli, że każda katastrofa, której ruch komunistyczny doświadczał za granicą, podkopuje fundamenty polskiej partii. Co więcej, zdawali sobie sprawę, że na froncie gospodarczym problemy Polski szybko stają się krytyczne. W swoim inauguracyjnym przemówieniu Mazowiecki wyraził poparcie dla gradualistycznego podejścia do społecznej gospodarki rynkowej na wzór Niemiec Zachodnich. Był to zdecydowany postęp wobec kompromisu „socjalistycznej gospodarki rynkowej" omawianej podczas obrad Okrągłego Stołu. Natomiast we wrześniu początek galopującej inflacji przekonał rząd o potrzebie terapii szokowej. Głównym terapeutą miał zostać młody ekonomista Solidarności o neoliberalnych poglądach profesor Leszek Balcerowicz.

29 grudnia 1989 roku wprowadzono istotne zmiany do konstytucji. Zniesiono ideologiczną marksistowską preambułę, z zapisem o wiodącej roli PZPR i tak zwanej kierowniczej roli klasy robotniczej. Przywrócono dawną nazwę kraju „Rzeczpospolita Polska". Orzeł w herbie odzyskał koronę, a jako główna zasada legalizacji powrócił „suwerenny naród". Tak więc teoretycznie dawny „socjalistyczny" ład przestał istnieć. Praktycznie natomiast wiele rzeczy nadal pozostało nietkniętych. Generał Jaruzelski zachował urząd prezydenta wraz ze wszystkimi szerokimi prerogatywami, ustanowionymi w poprzednich miesiącach.

Plan Balcerowicza wszedł w życie 1 stycznia 1990 roku. Wprowadzał z dnia na dzień gruntowne zasady gospodarki kapitalistycznej oraz nową wymienialną walutę. Zniesiono zasadę scentralizowanej kontroli rządu nad wszystkimi sektorami gospodarki. Do prywatyzacji zachęcano na wszystkich płaszczyznach gospodarki, choć przede wszystkim w sektorach finansowym i przemysłowym. Zahamowano hiperinflację. Powróciło zaufanie. Ruszyły zagraniczne inwestycje. Stworzono możliwości pomocy międzynarodowej, głównie ze strony Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Ciężkie czasy oczywiście się nie skończyły. Produkcja wciąż spadała. Wzrastało bezrobocie. Handel zagraniczny był niemal całkowicie sparaliżowany. Stopa życiowa gwałtownie spadła. Zwrot zaczął się dopiero w połowie następnego roku, 1991, po części dlatego, że

przestała funkcjonować RWPG. Ale powróciła nadzieja, najważniejsze ze wszystkich dóbr[7].

Plan Balcerowicza zadał partii *coup de grâce*. Wszystkie bez wyjątku komunistyczne podręczniki wychwalały doktrynę, w myśl której polityka jest napędzana przez gospodarkę, a organizacje polityczne są odbiciem stosunku ich członków do środków produkcji. Wobec tego partie komunistyczne miały sens tylko wtedy, kiedy sprawowały monopolistyczną kontrolę nad wszystkimi gałęziami życia gospodarczego. A ten monopol został właśnie utracony. Siódmy i ostatni pierwszy sekretarz PZPR, Mieczysław Rakowski, był inteligentnym, ale pozbawionym skrupułów oportunistą najgorszego gatunku. Tego długoletniego wydawcę wysokiej klasy propagandowego tygodnika „Polityka" często kreowano na Zachodzie na elastycznego zwolennika polityki umiarkowania; znalazł przyjaciół wśród członków kilku zagranicznych partii socjaldemokratycznych. Jednak w Polsce pamiętano mu pewien wyższości stosunek do klasy robotniczej, a szczególnie zajadłe jątrzenie wśród pokonanych uczestników strajku w Gdańsku w 1982 roku. Nic dziwnego, że w latach 1989–1990 kurczowo trzymał się władzy – najpierw jako premier, a potem jako pierwszy sekretarz – w czasie gdy wielu jego równie inteligentnych kolegów opuszczało tonący statek. Ale nawet on nie potrafił uchronić załogi przed rozbiciem[8]. Nieuchronnie nadszedł dzień, w którym zwołano ostatnie posiedzenie Komitetu Centralnego. Wygłoszono przemówienia o wspaniałych tradycjach. Towarzysze wstali i odśpiewali *Międzynarodówkę*, najostatniejszy raz. Wprowadzono sztandary, potem je wyprowadzono, jak powiedziałby Marks, na śmietnik historii. Nikt z obecnych na tym spotkaniu nie zadał sobie trudu, żeby przypomnieć, jak straszliwe nieszczęścia partia spowodowała.

Skoro załatwiono się z partią, układ wynegocjowany między Solidarnością i PZPR podczas rozmów Okrągłego Stołu przestał być potrzebny, ale Mazowiecki, wierny swojemu ślubowaniu, czuł się zobowiązany do przestrzegania obranego kursu. 28 lutego 1990 roku zatwierdzono ustawę wprowadzającą pluralizm polityczny i prawo tworzenia partii politycznych. Po półtora roku przygotowań miało to ostatecznie doprowadzić do w pełni demokratycznych wyborów parlamentarnych; odbyły się w październiku 1991 roku. Zanim do tego doszło, wciąż pozostawał do rozwiązania naglący problem generała Jaruzelskiego, któremu wprawdzie partyjna platforma usunęła się spod nóg, ale który nadal rezydował

---

[7] Zob. Leszek Balcerowicz, *800 dni. Szok kontrolowany*, Warszawa 1992.

[8] Mieczysław F. Rakowski, *Jak to się stało*, Warszawa 1991.

w pałacu prezydenckim. Lech Wałęsa, nie ukrywający własnych ambicji co do prezydentury, dał do zrozumienia, że bieżąca sytuacja jest nie do zniesienia, i rozpoczął realizację programu politycznego „przyspieszenia". Opinia publiczna zaczynała się niecierpliwić sytuacją, w której trudności gospodarcze sięgały szczytu, a demokracja posuwała się w ślimaczym tempie. Po długim zwlekaniu Jaruzelski wyraził zgodę na skrócenie swojej kadencji i próżnię polityczną wypełniła we wrześniu informacja o mających nastąpić za dwa miesiące powszechnych i bezpośrednich wyborach nowego prezydenta.

Za czasów rządu Mazowieckiego państwowa cenzura straciła zapał do działania. Jednym z rezultatów stało się zniesienie kilku długowiecznych historycznych tematów tabu. W grudniu 1989 roku dyrektor Państwowego Muzeum w Auschwitz przyznał, że podawana wcześniej liczba czterech milionów ofiar była sfałszowana. Ogłoszono realistyczne liczby szacunkowe: między 1,2 i 1,5 miliona ofiar, w większości Żydów. Wieści te, które wysuwały na pierwszy plan tragedię Żydów, stały się jednocześnie potwierdzeniem faktu, że tylko w tym jednym obozie zginęło kilkaset tysięcy więźniów, którzy nie byli Żydami. Przygotowano grunt pod gorszącą i długotrwałą konfrontację między katolikami i Żydami w sprawie właściwego sposobu opłakiwania ofiar obozu[9]. W marcu 1990 roku, w pięćdziesiątą rocznicę masakry w Katyniu, prezydent Jaruzelski oficjalnie odebrał od prezydenta Gorbaczowa dokumenty świadczące o tym, że masowego mordu około 25 000 polskich oficerów dokonało w 1940 roku sowieckie NKWD, a nie w roku 1941 niemieckie SS[10]. Polską opinię publiczną nie bardzo to zdziwiło – z wyjątkiem faktu, że jakiś rosyjski przywódca wreszcie zgodził się przyznać do historycznej zbrodni. Ale cała sprawa wzbudziła nowe niepokojące pytania. Ilu spośród szacunkowej liczby 20 milionów ludzi zaginionych na terytorium ZSRR podczas II wojny światowej było polskimi obywatelami – Polakami, Ukraińcami i Żydami?[11] Ilu ludzi spośród tych milionów było ofiarami nie nazistowskiej okupacji, lecz stalinowskiego terroru? Dawna komunistyczna fikcja głosząca, że wszystkie zbrodnie wojenne i wszystkie zbrodnie przeciwko ludzkości należy przypisywać faszystom, rozwiała się w pył.

---

[9] Władysław Bartoszewski, *The Convent at Auschwitz*, London 1990.

[10] Wśród najnowszych publikacji dotyczących Katynia trzeba wymienić: Allen Paul, *Katyń: The Untold Story of Stalin's Polish Massacre*, New York 1991; Vladimir Abarinov, *The Murderers of Katyn: A Russian Journalist Investigates...*, New York 1993.

[11] Norman Davies, *Neither 20 million, nor Russians, nor war dead*, „Independent", 29 grudnia 1987.

Wybory prezydenckie przeprowadzono w dwóch etapach – 25 listopada i 9 grudnia. Ich przebieg był niemal farsą. W pierwszej turze Wałęsa musiał się zmierzyć z dwoma rywalami z byłej opozycji – Tadeuszem Mazowieckim i Leszkiem Moczulskim, z dwoma członkami byłej koalicji komunistycznej, Włodzimierzem Cimoszewiczem i Romanem Bartoszcze, oraz z naprawdę przedziwnym kandydatem, Stanisławem Tymińskim. Mówiono, że ten ostatni jest przedsiębiorcą z Kanady, choć wśród kanadyjskich Polaków był całkowicie nieznany. Niemal na pewno był dżokerem wrzuconym do gry przez tajną policję. Nie mając absolutnie żadnych rekomendacji, przedstawił się jako zwolennik „trzeciej drogi" i ku najwyższemu zdumieniu wszystkich zebrał więcej głosów niż wszyscy inni kandydaci, z wyjątkiem Wałęsy. Przedmiotem drwin stał się zwłaszcza Mazowiecki – bohater 1989 roku. W drugiej turze Wałęsa pokonał Tymińskiego przyzwoitą, ale nie powalającą przewagą głosów. Frekwencja wyniosła tylko 53 procent. Nie było powodu do ekstatycznych uniesień. Powszechne rozczarowanie czaiło się tuż za rogiem. Wałęsa uczcił zwycięstwo, natychmiast rozwiązując rząd i zatwierdzając nowy gabinet, na czele ze swoim młodym kolegą z Gdańska Janem Krzysztofem Bieleckim.

Do ustalenia pozostał jeszcze ostatni szczegół. Rząd polski na uchodźstwie przez cale długie pięćdziesiąt jeden lat utrzymywał płomień legalności. W swojej londyńskiej siedzibie kolejni prezydenci na uchodźstwie przekazywali sobie kaganek, który im po raz pierwszy powierzono w 1939 roku. Przyglądali się z oddali wszystkim nieszczęściom kraju – okupacji nazistowskiej i okupacji sowieckiej, przejmowaniu władzy przez komunistów w latach 1944–1948, polskiemu październikowi 1956 roku, skandalom roku 1968, rozruchom na Wybrzeżu, wzrostowi i upadkowi Solidarności w latach 1980–1981, początkowi i końcowi stanu wojennego i upadkowi komunizmu. Ale teraz ostatni w tej linii, srebrnowłosy prezydent Ryszard Kaczorowski, przyleciał z Londynu do Warszawy, wioząc z sobą przedwojenne insygnia prezydenckie. Był to gest bardzo wspaniałomyślny i wysoce symboliczny. Rząd na uchodźstwie dobrowolnie postanawiał honorowo zakończyć karierę. Dzięki temu ostatniemu aktowi Wałęsa mógł 22 grudnia 1990 roku objąć urząd, niosąc symbole władzy swoich demokratycznych poprzedników. Było tak, jakby PRL nigdy nie istniała. I to właśnie był prawdziwy moment wyzwolenia Polski.

3. Trzecia Rzeczpospolita, po roku 1990

Nagły, katastrofalny i pokojowy upadek imperium jest czymś, czego Europa nie zaznała nigdy przedtem. Imperia kolonialne zachodnich potęg rozpadły się po 1945 roku pośród mniejszych lub większych aktów przemocy. Ale wielkie imperia, które niegdyś zajmowały olbrzymie połacie terytorium Europy, zazwyczaj upadały pośród wojennych trudów. Imperium francuskie Napoleona upadło w 1815 roku po czterdziestu wielkich bitwach; imperia: rosyjskie (w roku 1917), austro-węgierskie i niemieckie (w roku 1918), upadły podczas I wojny światowej. Imperium nazistowskie walczyło aż do chwili swojego kompletnego unicestwienia w 1945 roku. Ale imperium sowieckie umierało, stojąc, niby ogromny dinozaur, który przestał być zdolny do życia.

Polska należała do najbardziej zewnętrznego kręgu państw satelickich podbitych przez Armię Czerwoną w latach 1944–1945. Zawsze miała większe pole manewru niż kraje z wewnętrznego kręgu – państwa bałtyckie czy Ukraina, którą Armia Czerwona podbiła w latach 1919–1921 i która w roku 1923 została zamknięta w granicach ZSRR. Była to sytuacja o wiele korzystniejsza niż położenie republik autonomicznych – Czeczenii lub Tatarstanu, które Rosjanom kazano uważać za „ich". (W oczach Polaków straszliwy los Czeczenii zasługiwał na gorące współczucie, ponieważ kazał im myśleć o tym, co mogło się przydarzyć w Polsce w jakichś innych mniej sprzyjających okolicznościach).

Polska miała jednak wiele szczególnych problemów. Była zdecydowanie największym z sowieckich państw satelickich, a jednocześnie – w opinii Moskwy – najmniej bezużytecznym. Wolność ogłosiła w roku 1990, kiedy Związek Sowiecki trwał jeszcze w nienaruszonym stanie i kiedy jedynie Gorbaczow blokował możliwość kary z rąk Sowietów. Ponadto, z powodów historycznych, Polskę słusznie podejrzewano o prozachodnie skłonności, a – z powodu Solidarności i polskiego papieża – beton uważał ją za ogólne zagrożenie. Jednak dobry początek, jakim były rozmowy Okrągłego Stołu oraz plan Balcerowicza, kazał sądzić, że Polska ma największe szanse na szybkie przejście do nowego skutecznego systemu. Istniały gotowe alternatywne elity. Było bardzo niewielu ideowych komunistów skłonnych podjąć walkę na tyłach. Była wielka grupa dobrze wykształconych młodych ludzi, gotowych podjąć ryzyko i przejąć inicjatywę. Było ogromne poparcie od wielkich polskich społeczności za granicą, zwłaszcza w USA; były życzliwe postawy wśród zachodnich sąsiadów Polski, zwłaszcza w Niemczech.

Pierwsza ważna próba nowo zdobytej niepodległości Polski nadeszła na początku 1991 roku, kiedy rząd sowiecki wysunął zaskakującą propozycję przywrócenia do życia dawnej organizacji RWPG. Nazwano ją „RWPG bis", a jej powstanie pokazało, że blisko półtora roku po upadku muru berlińskiego Moskwa wciąż jeszcze żywiła nadzieję na uratowanie swojego wschodnioeuropejskiego imperium. Z punktu widzenia Polski moment był wysoce niekorzystny. We wczesnych fazach gospodarczej terapii szokowej wprowadzanej w ramach planu Balcerowicza nade wszystko potrzebne były spokój i stabilizacja. Konfrontacja z Moskwą mogła mieć tragiczne skutki. Wobec tego Sowieci pokrzykiwali i grozili. Obawiając się o swój plan, Balcerowicz doradzał uległość. Ale młody polski premier Jan Krzysztof Bielecki wytrzymał nerwowo, zaryzykował gniew Moskwy i odmówił. Niebezpieczeństwo minęło dopiero w sierpniu 1991 roku, kiedy zamach sierpniowy w Moskwie na dobre położył kres sowieckiej władzy.

Ostatecznie transformacja przebiegała o wiele mniej boleśnie, niż można się było spodziewać. We wczesnych latach 1991–1992, kiedy Polska była najbardziej bezbronna, ZSRR się rozpadał i – pomimo ciągłej obecności wielkiego kontyngentu sowieckiego wojska – nie był zdolny do ingerencji. Gospodarcza terapia szokowa okazała się błogosławieństwem. Niemal natychmiast opanowano hiperinflację. Nowy złoty trzymał się mocno. Produkcja zaczęła wzrastać w drugiej połowie 1991 roku i wkrótce osiągnęła rekordowy poziom 4,5, a w końcu 6 procent rocznego wzrostu. Ogromny dług zagraniczny kraju, od lat siedemdziesiątych ciążący Polsce niby młyński kamień, do roku 1995 został spłacony. Sprywatyzowane banki i sektor finansowy stanęły na wysokości zadania. Międzynarodowy Fundusz Walutowy był pod wrażeniem i obiecywał pomoc. Zagraniczne inwestycje stale rosły i były korzystnie rozłożone wśród pewnej liczby państw-inwestorów. Obawy o natychmiastową niemiecką dominację okazały się nieuzasadnione. Wiele rzeczy oczywiście się nie udało. Rolnictwo oparte na produkcji chłopskiej niezbyt szybko stawało na nogi i rodzimą produkcję zastępowała tania żywność z importu. Rozmontowywanie niepotrzebnych gigantów przemysłu ciężkiego nie przebiegało zgodnie z oczekiwaniami. Na przykład Stocznia im. Lenina w Gdańsku – symbol rewolucji Solidarności – nie zdołała się przystosować do nowych warunków i zbankrutowała. Kwitły natomiast stocznie w Szczecinie. Na każdą porażkę przypadały dwa lub trzy sukcesy. Mimo wysp utrzymującego się pesymizmu znikła depresja minionych dziesięcioleci. Jeśli przyjąć wzrost PKB na mieszkańca za wskaźnik odrodzenia gospodarczego, do roku 1996 Polska wyraźnie stanęła na czele wszystkich krajów post-

komunistycznych, a w kategoriach stabilizacji mierzonej inflacją znalazła się wśród krajów osiągających najlepsze wyniki[12].

Reorganizacja polityczna trwała dłużej. Zarówno obóz solidarnościowy, jak i koalicja komunistyczna rozpadły się na rywalizujące ze sobą grupy. W pierwszym rozłam dokonał się w 1990 roku w wyniku zażartego sporu między silniej nacjonalistycznym Wałęsą i silniej liberalnym Mazowieckim, którego zwolennicy założyli wpływową Unię (najpierw Demokratyczną, później – Wolności). Drugie ugrupowanie rozpadło się na drobne kawałki. Zarówno SD, jak i PSL, korzystając z wolności, na dobre zerwały powiązania z komunistami i uległy rozbiciu na mniejsze frakcje. Wielu dawnych członków nomenklatury z dnia na dzień nawróciło się na kapitalizm. Jako ludzie mający swobodny dostęp do funduszy oraz możliwości szerokich kontaktów objęli główne stanowiska w bankowości i sprywatyzowanym przemyśle, stając się w ten sposób natychmiast elementem konserwatywnym w ramach nowego ładu. Zdruzgotane szczątki zlikwidowanej PZPR zreformowały się jako Sojusz Lewicy Demokratycznej (SLD) pod wodzą Aleksandra Kwaśniewskiego, który zasłynął za sprawą Magdalenki. Członkowie tego ugrupowania postkomunistycznego, jedynego, które stworzyło jawną organizację, musieli znosić złośliwości swoich przeciwników, a ci nie oszczędzali niczyich uczuć, nazywając PZPR „płatnymi zdrajcami, pachołkami Rosji". Nienawróceni twardogłowi nie mieli odwagi publicznie pokazywać twarzy, choć przez pewien czas istniały oznaki świadczące, że dawna tajna policja dalej prowadzi zakulisową działalność w pewnych gałęziach służby zagranicznej i obywatelskiej.

Było rzeczą zadziwiającą, że to właśnie w Polsce nigdy nie przeprowadzono czystek w stosunku do przestępczego elementu komunistycznego reżimu. Pod tym względem Polska droga do demokracji różniła się od drogi zarówno Niemiec, jak i Czechosłowacji. W krytycznej fazie, kiedy możliwa była zdecydowana akcja, premier Mazowiecki przyjął politykę „grubej kreski" oddzielającej czas teraźniejszy od przeszłości. „Gazeta Wyborcza" przestrzegała przed „polowaniem na czarownice". I nie zrobiono nic. Gdy w 1992 roku rząd zażądał dostępu do teczek, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zdążyło już wyprodukować listę byłych współpracowników, na której u samej góry znalazło się nazwisko prezydenta Wałęsy! Wałęsa odpowiedział, oskarżając o to samo pewnego wybitnego doradcę rządowego i dymisjonując rząd. W ten sposób zaprzepaszczono wielką szansę. Poważna operacja skończyła się fiaskiem. Winni cieszyli

[12] George Blazyca, *The Politics of Economic Transformation*, w: *Developments in Central and East European Politics 2*, red. Stephen White i in., Basingstoke 1998.

się wolnością. Polskie społeczeństwo nigdy nie zostało oczyszczone – nawet symbolicznie. Pojednanie walczących obozów odbywało się w sposób doraźny i przypadkowy, bez koniecznego ustalenia i upowszechnienia demokratycznych kryteriów.

Znaczna zwłoka nastąpiła także w procesie tworzenia prawdziwie demokratycznej konstytucji. Przez osiem lat Trzecia Rzeczpospolita musiała funkcjonować w ramach prawnych skonstruowanych dla radykalnie odmiennych warunków. Prawom PRL-u brak było prawowitości. Jednak nie można ich było zmienić z dnia na dzień. Minęło siedem lat, zanim osiągnięto pożądane rezultaty. Pierwszy krok podjęto w 1992 roku, przyjmując tak zwaną Małą Konstytucję, która regulowała procedury wyborcze. Krok drugi odnotowano w roku 1995, powołując Komisję Konstytucyjną Zgromadzenia Narodowego, która dwa lata później złożyła raport ze swoich prac. Ostateczna ustawa konstytucyjna stała się kością wielkiej niezgody, jednocząc SLD i Unię przeciwko ugrupowaniom prawicowym, które uznały nową konstytucję za „antynarodową" i „antychrześcijańską". Zdaniem biskupów konstytucji brakowało „ducha". Została jednak przegłosowana i zatwierdzona na mocy referendum o niskiej frekwencji. Ograniczała władzę prezydenta sprawowaną według ustaleń z 1989 roku oraz umacniała pozycje sejmu i premiera. Odpolitycznia wojsko i sądownictwo. A co najważniejsze, ustanawiała opartą na ustalonych zasadach demokrację parlamentarną[13].

Pewien stopień politycznego niepokoju był rzeczą nieuniknioną. Na uspokojenie nastrojów wpływała jednak mnogość wyborów – prezydenckich, parlamentarnych, senatorskich i samorządowych, a także częste zmiany rządu. Żadna z frakcji nie miała zdecydowanej przewagi – jedynym oczywistym zwycięzcą była dość cyniczna, chaotyczna odmiana demokracji. Zgodnie z przewidywaniami pewnego wybitnego socjologa polityczne wahadło musiało się wychylać „to w stronę liberalizmu, to w stronę socjalizmu". „Kierunek ku liberalizmowi (...) powoduje zryw gospodarki – pisał Ralf Dahrendorf. – Musi powstać opozycja wobec kosztów społecznych wzrostu gospodarczego"[14]. Decydujący moment nadszedł w listopadzie 1995 roku, podczas drugich wyborów prezydenckich. Lech Wałęsa, swego czasu bohater narodu, nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań. Ten urodzony populista i zręczny dysydent nie zdołał opanować sztuki piastowania wysokiego urzędu i przez pięć lat był prezydentem nie-

[13] Zob. Judy Batt, Katarzyna Wolczuk, *Redefining the State: The Constitutional Process*, w: tamże, s. 83–102.

[14] Ralf Dahrendorf, *Reflections on the Revolution in Europe*, New York 1990, s. 71–72.

przewidywalnym, arbitralnym, czasami małostkowym. Stworzył dwór złożony z doradców o wątpliwej reputacji, w którym – słusznie lub nie – jego kierowcę i spowiednika uważano za bardziej wpływowych niż jego ministrów; utracił też zaufanie swoich dawnych kolegów z Solidarności. Gdy więc przywództwo Wałęsy stanęło w obliczu decydującej próby, Solidarność podzieliła się między Wałęsę i Kuronia, a obu prześcignął były komunista Aleksander Kwaśniewski, który wygrał w drugiej turze stosunkiem 52 do 48 procent. Na pierwszy rzut oka ten wynik wydawał się szokujący. Kraj, który stanął na czele walki z komunizmem, wpadł w ręce polityka, który zaczynał karierę w obozie komunistycznym. Natomiast po namyśle trzeba było ten wynik uznać za dość sensowny. Głosowanie pokazało uczciwą rywalizację. Nowy prezydent był kompetentny i ugodowy. Wytyczywszy krajowi strategiczną drogę do członkostwa w NATO i w Unii Europejskiej, nie podjął żadnych działań, które mogłyby prowadzić do odrodzenia komunizmu, a w Moskwie postrzegano go jako godnego pogardy zdrajcę. W pewnym momencie przeprosił – było to coś, czego nigdy nie zrobił żaden przywódca rosyjski – za ekscesy dawnego reżimu. Sukces Kwaśniewskiego zbiegł się z powszechnie wyrażanymi wątpliwościami na temat społecznych konsekwencji reformy. Wałęsa miał zapewnione miejsce w historii. Natomiast jego przegrana w wyborach 1995 roku pokazała, że nowej demokracji trzeba nowych wartości.

Trzy kolejne wybory parlamentarne – w październiku 1991 roku, we wrześniu 1993 roku i we wrześniu 1997 roku – odbyły się w czasie, gdy jak w kalejdoskopie następowały po sobie kolejne partyjne fuzje i przegrupowania, zadziwiając wyborców i doprowadzając do powstania całej serii krótkotrwałych i stosunkowo nieskutecznych rządów koalicyjnych. Polityka polska szybko doprowadziła do powstania takiej samej powszechnej apatii, jaka jest zjawiskiem dobrze znanym na Zachodzie. Ale ta parada przesuwek i machinacji – podobnie jak we Włoszech – nie pozwalała dostrzec faktu o większym znaczeniu: administracja państwowa działała, kraj prosperował. W latach 1991–1997, w ciągu siedmiu lat, siedmiokrotnie zmienił się rząd. Urząd premiera sprawowali:

Jan Krzysztof Bielecki (styczeń 1991 – grudzień 1991)
Jan Olszewski (ZChN) (grudzień 1991 – czerwiec 1992)
Waldemar Pawlak 1. (PSL) (czerwiec 1992 – lipiec 1992)
Hanna Suchocka (UD) (lipiec 1992 – październik 1993)
Waldemar Pawlak 2. (PSL) (październik 1993 – marzec 1995)
Józef Oleksy (SLD) (marzec 1995 – luty 1996)
Włodzimierz Cimoszewicz (SLD) (luty 1996 – październik 1997).

W tej grze w komórki do wynajęcia nietrwałe koalicje pierwszego wolnego sejmu przegrały podczas drugiej kadencji ze stosunkowo stałą koalicją z SLD na czele. Ale parada premierów trwała nadal. Bezbarwny przywódca ludowy Waldemar Pawlak zastąpił atrakcyjną przedstawicielkę świata nauki Hannę Suchocką, aby samemu ustąpić fotela komuniście w starym stylu Józefowi Oleksemu. Potem jednak ujawniono, że Oleksy zadawał się z byłymi towarzyszami z KGB, więc zrezygnował z urzędu, oddając fotel premiera technokracie w nowym stylu Włodzimierzowi Cimoszewiczowi. Naprawdę ważne było jednak to, że nikt nie kwestionował pochodu ku pełnej demokracji i gospodarki rynkowej i że dwóch prezydentów o bardzo odmiennych powiązaniach utrzymywało w ryzach piętrzącą się profuzję partii politycznych. Obaj prezydenci – Wałęsa i Kwaśniewski – musieli współistnieć z nieprzyjaznymi rządami.

Jedną z cech lat dziewięćdziesiątych można dostrzec, analizując proces porządkowania centroprawicowego sektora politycznego spektrum. Ludzi, którzy naiwnie wyobrażali sobie, że zwycięstwo Solidarności i jej lojalnego katolickiego przywódcy Lecha Wałęsy automatycznie doprowadzi do powstania Rzeczypospolitej zdominowanej przez „wartości chrześcijańskie", czekał wstrząs. Trzeba było nieco czasu, zanim hierarchowie Kościoła zorientowali się, iż Kościół nie może dyktować wydarzeń politycznych, jak to miało miejsce w dawnej Irlandii, oraz że bezpośrednia ingerencja kleru może przynieść skutki odwrotne do zamierzonych. Zarówno lewe skrzydło spektrum, zdominowane przez SLD, jak i centrum zdominowane przez Unię szybciej zebrały się do działania. Natomiast ugrupowania prawicowe straciły dużo czasu na bezsensowne walki wewnętrzne. Wspólną sprawę odnalazły dopiero w efekcie zwycięstw prezydenta Kwaśniewskiego w połowie lat dziewięćdziesiątych. W roku 1997 Kościół katolicki wciąż jeszcze sprzeciwiał się propozycjom konstytucyjnym, uważając je za zbyt świeckie; starał się też przeforsować swoje stanowisko w sporze o referendum w sprawie aborcji. Ale w wyborach parlamentarnych odbywających się w tym samym roku nowe koalicyjne ugrupowanie centroprawicowe Akcja Wyborcza Solidarność ostatecznie zdołało odnieść zwycięstwo. Powstały w efekcie rząd Jerzego Buzka, „technokraty" i protestanta bez partyjnej przeszłości, cechował się zdrowym rozsądkiem i brakiem ideologicznej gorliwości. Tysiąclecie zakończyło się pod znakiem tandemu prezydent Kwaśniewski i premier Buzek.

Niezdolność polskiego Kościoła do wykorzystania nowych warunków wywoływała sporo komentarzy. Dawna autorytarna postawa nie uległa żadnym istotnym zmianom i wzajemne zaufanie kleru i laikatu niewątpliwie się zmniejszyło. Zwłaszcza ludzie młodzi nie chcieli już bezmyślnie iść

za przewodnictwem księży. Ciągłe domaganie się datków finansowych od parafian było źle widziane w latach kryzysu, a gorliwość hierarchów w dążeniach do odzyskania własności kościelnej stanowiła niezbyt budujący przykład. Można zacytować jednego z komentatorów: wydawało się, że Kościołowi „brak ducha świętego Franciszka"[15]. Demokracja sprzyjała przypływowi pluralizmu wyznaniowego i politycznego i zbyt wiele uwagi poświęcano mnogości pozbawionych znaczenia sekt i nieznanych wyznań. Sekta Moona nie mogła zwyciężyć tam, gdzie przegrali staliniści. A mimo to Kościół wykazywał niewielkie zainteresowanie chrześcijańskim ekumenizmem. Dialog żydowsko-katolicki przynosił marne efekty. Rozliczne sprzeczne interesy kładły się cieniem na wymianie poglądów między konserwatywnymi i liberalnymi obozami w Kościele. W latach dziewięćdziesiątych szybki rozwój Radia Maryja, nieoficjalnej rozgłośni o ogólnokrajowym zasięgu, serwującej niezdrową mieszaninę tradycyjnej dewocji i pełnej urazy ksenofobicznej polityki, sprzyjał rozbudzaniu niepokojów. Dwie wizyty uwielbianego, lecz bardzo wyraźnie osłabionego chorobą papieża – na Kongresie Eucharystycznym we Wrocławiu w 1997 roku i w kilku polskich miastach w czerwcu roku 1999 – emanowały aurą mijającej epoki.

W latach dziewięćdziesiątych literatura polska odrzuciła ograniczenia poprzednich dziesięcioleci. Zniesiono państwową cenzurę. Jak powiedziano w 1918 roku, wreszcie można było pisać o budzącym się dniu, nie składając w ten sposób politycznej deklaracji. W efekcie nastąpił nie tyle wybuch geniuszu, ile wybuch literackiej różnorodności. Ze wszystkich stron pojawiały się zaniedbywane dotychczas tematy. Niektóre dotyczyły historii – zwłaszcza sowieckich gułagów, żydowskiego Holokaustu i życia Polaków za granicą; żadnego z tych wątków nie można było właściwie omawiać za rządów komunistów. Inne – problemy płci czy tożsamości regionalnej – były politycznie neutralne. Polski feminizm zadebiutował pisarstwem takich autorek jak Olga Tokarczuk. Za sprawą utworów Pawła Huelle i Stefana Chwina narodziła się odrębna „szkoła gdańska", z wyraźną żydowską komponentą. Rozwinęło się silne zainteresowanie życiem i historią mniejszości niemieckiej na Śląsku. Podziemne ugrupowania literackie wyszły na powierzchnię. W przypadku jednego z nich, bruLionu, jako skutek nastąpiło przejście z pozycji anarchistycznej lewicy na pozycję ekstremistycznej nacjonalistycznej prawicy[16].

---

[15] Kazimierz Dziewanowski, w: *Der Polnische Katholizismus vor und nach 1989*, red. Nicolaus Lobkowicz, Leonid Luks, Köln 1998, s. 120.

[16] Zob. Julian Kornhauser, *Postscriptum. Notatnik krytyczny, obrazy współczesności*, Kraków 1999.

Jedną z książek, które doczekały się swojego czasu, było *Boże igrzysko*, pod koniec dziesięciolecia uznane za jedną z „książek tysiąclecia". Był to antynacjonalistyczny i antyideologiczny przegląd wydarzeń historycznych, z podkreśleniem pierwszorzędnego znaczenia kultury. Polskie tłumaczenie *Bożego igrzyska* ukazało się najpierw w 1989 roku, w okrojonej przez cenzurę wersji – mówienie źle o Iwanie Groźnym było wciąż jeszcze uważane za rzecz niedopuszczalną. Pełna wersja, wydana w 1996 roku, została oficjalnie rekomendowana do użytku w szkołach i na wyższych uczelniach i znalazła bardzo wielu czytelników. Biorąc pod uwagę obsesję Polski w sprawach historii, było czystą ironią, a także powodem zakłopotania dla autora, że ten szczególny dowód uznania przypadł w udziale cudzoziemcowi. Dystans okazuje się pomocny[17].

Literatura głównego nurtu pozostawała jednak w rękach twórców o ustalonej pozycji. Najlepiej sprzedającym się poetą był ksiądz Jan Twardowski, autor wierszy stylowych, moralizatorskich i konwencjonalnych. Największa sława stała się natomiast udziałem Wisławy Szymborskiej (1923–2012), która w 1996 roku dostała Nagrodę Nobla za twórczość poetycką z okresu datującego się od lat pięćdziesiątych. Poza Szymborską panteon literacki zapełniali starsi autorzy przedwojennego pokolenia – Miłosz, Herbert, Różewicz. Różewicz pisał o banalności tak zwanego okresu przejściowego:

robią więc to i owo
i tak dalej
po końcu tamtej epoki
i na początku nowej epoki

nie tylko artyści

coś się skończyło
nic się nie chce zacząć
może się już zaczęło[18].

Jednak na dłuższą metę najważniejszym wydarzeniem dziesięciolecia była zmiana orientacji stosunków Polski z zagranicą. Większość zasług w tym zakresie należy do trzech kolejnych ministrów spraw za-

[17] Norman Davies, *Boże igrzysko. Historia Polski*, tłum. Elżbieta Tabakowska, t. 1, Kraków 1989; t. 1–2, Kraków 1996.

[18] Tadeusz Różewicz, *Opowiadanie dydaktyczne III*, „Tygodnik Powszechny" 2000, nr 2.

granicznych – specjalisty w dziedzinie prawa międzynarodowego profesora Krzysztofa Skubiszewskiego, bohatera wojennego podziemia profesora Władysława Bartoszewskiego oraz historyka średniowiecza i przez długi czas doradcy Solidarności profesora Bronisława Geremka. W ciągu niecałych dziesięciu lat główny sojusznik Związku Sowieckiego został przemodelowany na w pełni akceptowanego członka zachodniej wspólnoty. Ta zmiana była nie byle jakim osiągnięciem. Podwaliny tworzono w czasie, gdy standardowy kontyngent sowieckiego wojska stacjonował jeszcze w polskich koszarach, utrzymując się – między innymi – ze zorganizowanej kradzieży używanych niemieckich samochodów. Ostatnie obce oddziały opuściły kraj dopiero w 1994 roku, pozostawiając za sobą zdewastowane miasta garnizonowe – na przykład Legnicę. Nie brakowało także przeszkód natury praktycznej. Pewien minister, oskarżony na początku lat dziewięćdziesiątych o powiązania z NATO, opisywał archaiczny telefon do rozmów międzynarodowych, który stał w jego biurze i był połączony obwodem zamkniętym wyłącznie z centralą w Moskwie. Aby się skontaktować z przedstawicielem Polski w Brukseli, minister musiał szukać ulicznej budki telefonicznej.

Atmosfera wśród społeczeństwa była oczywiście absolutnie przychylna zmianom. Nie sprzeciwiało im się żadne znaczące ugrupowanie polityczne. Przynależność Polski do bloku wschodniego była przymusowa. Zyskała sobie ona jednak odrobinę przychylności dzięki wspomnieniom II wojny światowej – czy też raczej wybranym wspomnieniom nazistowskiego ucisku, które komuniści starali się utrzymać wszelkimi sposobami. Wiedząc, że Polska została rozszarpana na kawałki do spółki przez Hitlera i Stalina, wielu myślących Polaków przyjęło, iż przynależność do wschodniego bloku nie stwarza wprawdzie idealnej sytuacji, ale nie jest też najgorszym z możliwych scenariuszy. Jednak w miarę jak wyczerpywały się zasoby czasu wojny, ubywało argumentów za kurczowym trzymaniem się sojuszu z Sowietami. Niemcy Zachodnie, które w latach osiemdziesiątych i na początku lat dziewięćdziesiątych przyjęły niemal milion polskich uchodźców, całkowicie utraciły wcześniejszą złą reputację. Nie tylko nie były już straszakiem komunistycznej propagandy, ale stały się – przynajmniej dla młodszego pokolenia – ziemią obiecaną. Odżyły polskie historyczne resentymenty wobec Rosji, ale odżyło także poczucie jej powiązań z przedhitlerowskimi i przedpruskimi Niemcami.

Członkostwo w NATO nie wzbudzało zatem wielu obaw. Wiązał się z nim po prostu długi proces ubiegania się o status kandydacki, „kompatybilizacji", czyli przeprowadzenia nowego szkolenia i zapewnienia nowego wyposażenia, a w końcu stopniowej integracji. Najtrudniejsza była

chyba reedukacja kadry oficerskiej. Ludzie wykształceni w sowieckich akademiach nie zawsze gładko przechodzili do natowskiej doktryny wojskowej, fundamentalnie defensywnej, a także nie było im łatwo się pogodzić z brakiem instrukcji pochodzących od przepotężnej wojskowo-politycznej machiny.

Otwarty opór nadszedł zatem z zewnątrz: z Rosji. Mimo upadku ZSRR rzekomo demokratyczni przywódcy w Moskwie nie byli skłonni uznać swobody działania swoich dawnych podwładnych. Mówili o byłych republikach sowieckich jako o „bliskiej zagranicy", gdzie często dalej stacjonowały ich wojska; w sensie psychologicznym nadal uważali wszystko, co leżało na wschód od Odry, za swoją „strefę wpływów". Upadek komunizmu nie zakończył tyrad Rosji o uprawnionych podbojach kupowanych za cenę krwi legionów Stalina. Przez całe lata dziewięćdziesiąte Moskwa sapała i kręciła nosem, paranoicznie uskarżając się na ekspansję NATO na wschód i na rzekome zagrożenie interesów rosyjskich. Niechętnie wzięła udział w programie Partnerstwo dla Pokoju, zainicjowanym w 1994 roku jako wspierana przez NATO organizacja, do której należały Polska oraz inne byłe kraje bloku sowieckiego i którą założono w celu ukazywania nieagresywnych planów nowego układu bezpieczeństwa. Na szczęście proces przystępowania Polski do NATO dobiegł końca przed pojawieniem się na scenie Władimira Putina i przed ponownym przyjęciem przez Rosję postawy bardziej tradycyjnej i jawnie militarystycznej. Fakt wstąpienia Polski do NATO spotkał się z decydującym poparciem podczas głosowania w amerykańskim Kongresie w 1997 roku, a przypieczętowały go formalne uroczystości w Brukseli i w Warszawie 12 marca 1999 roku.

Natomiast wolniej dojrzewały starania Polski o przyjęcie do Unii Europejskiej. Mimo że zdecydowanie popierały je wszystkie polskie rządy z lat dziewięćdziesiątych, napotkały kilka przeszkód. Ze strony polskiej trzeba było stanąć w obliczu sprzeciwu sektora o silniejszym nachyleniu nacjonalistycznym, który dostrzegał w Unii głodnego drapieżnika, przyglądającego się łakomie z trudem wywalczonej niepodległości Polski, a także podejrzliwości pewnych kręgów kościelnych, które uważały Unię za wcielenie nowej formy demonicznego materializmu. W samej Unii Polska zderzyła się ze strategiczną decyzją przyznania pierwszeństwa starej agendzie z Maastricht, która postulowała „pogłębianie" istniejącej Unii, zamiast nowej agendy, przewidującej jej rozszerzenie na wschód. Komisja Europejska nie uważała „pogłębiania" i „rozszerzania" za rozwiązania alternatywne. Ale punkt ciężkości niewątpliwie się przesunął. Zwłoka we wprowadzaniu reformy Wspólnej Polityki Rolnej oraz pośpiech we wpro-

wadzaniu wspólnej waluty w jedenastu na aktualnych piętnaście krajów członkowskich nieuchronnie skomplikowały przygotowania oczekujących na przyjęcie państw kandydujących. Tak czy inaczej, przyjęcie czterdziestu milionów Polaków, z wielką warstwą chłopską i PKB wynoszącym zaledwie jedną trzecią dochodu najuboższego kraju Unii, nie było sprawą prostą. Musiało stanowić wyzwanie o wiele większej miary niż niedawne wejście do Unii dziewięciu milionów bogatych Szwedów, ośmiu milionów Austriaków czy pięciu milionów Finów.

W takim kontekście pocieszająca była wiadomość, że podczas swojej ostatniej kadencji w funkcji kanclerza Niemiec Helmut Kohl odwiedził Uniwersytet Jagielloński i mówił zebranym studentom o swoich nadziejach i obawach. Przyrównał „prastare europejskie miasto Krakau" do własnej ojczyny nad Renem, która za czasów jego młodości wciąż jeszcze cierpiała z powodu długotrwałego dziedzictwa wojny, nienawiści i powtarzających się inwazji. Przesłanie kanclerza nie trafiło w próżnię. Mimo to jednak wniosek Polski o członkostwo w Unii posuwał się raczej spacerowym kroczkiem niż szybkim galopem. Złożony formalnie w 1994 roku nie miał przynieść owoców aż do roku 2003 – podobnie jak wnioski Węgier, Słowenii, Estonii i Republiki Czeskiej. A ponieważ ze wschodu powiały zimniejsze wiatry, tempo zaczynało wyglądać na niebezpiecznie niewystarczające. Gdyby – jak utrzymywali retorzy z Komisji Europejskiej – rozszerzenie Unii na kraje dawnego bloku sowieckiego było „politycznym imperatywem", Unia nie mogłaby sobie pozwolić na bierne oczekiwanie, podczas gdy kraje kandydujące będą się starały przymierzać do pokonania wciąż rosnącego muru *acquis communitaire*. Unia musiałaby zadziałać energicznie i przystosować się do potrzeb kandydatów. Przełom tysiącleci nie przyniósł jednak pod tym względem żadnych szczególnych wydarzeń.

Polska wkroczyła w XX wiek tylko jako pojęcie historyczne. W sensie politycznym uważano ją powszechnie za straconą sprawę. *Verloren ist verloren*. Polskie społeczeństwo, podzielone między trzy państwa rozbiorowe, trwało wstrząsane spazmami szybkiej modernizacji i nie spodziewano się, że zdoła w nieskończoność opierać się naciskom germanizacji i rusyfikacji. Polskie państwo odrestaurowane w 1918 roku zostało zniszczone zaledwie dwadzieścia jeden lat później. Minęło następne pięćdziesiąt lat, zanim znów nadeszło wyzwolenie.

Tak więc przez całe stulecie najbardziej poruszającym i aktualnym ze wszystkich utworów literackich pozostał tekst napisany dokładnie w roku 1901 przez krakowskiego malarza i dramaturga Stanisława

Wyspiańskiego. W jego sztuce zatytułowanej *Wesele* jest scena, w której Poeta rozmawia z pewną młodą dziewczyną:

POETA
Po całym świecie
możesz szukać Polski, panno młoda,
i nigdzie jej nie najdziecie.
PANNA MŁODA
To może i szukać szkoda.
POETA
A jest jedna mała klatka –
o, niech tak Jagusia przymknie
rękę pod pierś.
PANNA MŁODA
To zakładka
gorseta, zeszyta troche przyciaśnie.
POETA
– – – A tam puka?
PANNA MŁODA
I cóz za tako nauka?
Serce – ! – ?
POETA
A to Polska właśnie[19].

[19] Stanisław Wyspiański, *Wesele. Dramat w 3 aktach*, akt 3, sc. 16, Kraków 1982.

DODATKI

DODATEK I

Władcy Polski

Trzecia Rzeczpospolita

Prezesi Rady Ministrów/Premierzy	Prezydenci
2014– – Ewa K opacz	2010– – Bronisław Komorowski
2007–2014 – Donald Tusk	2005–2010 – Lech Kaczyński
2006–2007 – Jarosław Kaczyński	1995–2005 – Aleksander Kwaśniewski
2005–2006 – Kazimierz Marcinkiewicz	1990–1995 – Lech Wałęsa
2004–2005 – Marek Belka	1989–1990 – Wojciech Jaruzelski
2001–2004 – Leszek Miller	
1997–2001 – Jerzy Buzek	
1996–1997 – Włodzimierz Cimoszewicz	
1995–1996 – Józef Oleksy	
1993–1995 – Waldemar Pawlak	
1992–1993 – Hanna Suchocka	
1992 – Waldemar Pawlak	
1991–1992 – Jan Olszewski	
1991 – Jan Krzysztof Bielecki	
1989–1991 – Tadeusz Mazowiecki	

Polska Rzeczpospolita Ludowa (1944–1989)

Pierwsi Sekretarze KC PZPR	Prezydenci
1981–1989 – Wojciech Jaruzelski (I sekretarz KC PZPR, minister obrony narodowej, szef PRON-u itd.)	
1989–1990 – Mieczysław Rakowski	
1980–1981 – Stanisław Kania	
1970–1980 – Edward Gierek	1972–1985 – Henryk Jabłoński (przewodniczący Rady Państwa)

1956–1970 – Władysław Gomułka

1956 – Edward Ochab

1944–1956 – Bolesław Bierut
(I sekretarz KC PZPR)

1970–1972 – Józef Cyrankiewicz
(przewodniczący Rady Państwa)

1968–1970 – Marian Spychalski

1952–1964 – Aleksander Zawadzki
(przewodniczący Rady Państwa = prezydent)
1947–1952 – Bolesław Bierut
(prezydent Rzeczypospolitej Polskiej))
1944–1947 – Bolesław Bierut
(prezydent KRN)

Premierzy

1988–1989 – Mieczysław Rakowski
1985–1988 – Zbigniew Messner
1981–1985 – Wojciech Jaruzelski
1980–1981 – Józef Pińkowski
1980 – Edward Babiuch
1970–1980 – Piotr Jaroszewicz
1954–1970 – Józef Cyrankiewicz
1952–1954 – Bolesław Bierut
1947–1952 – Józef Cyrankiewicz
1945–1947 – Edward Osóbka-Morawski
(przewodniczący PKWN, premier Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej, premier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej)

Władze Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie (1939–1990)

Prezydenci

1989–1990 – Ryszard Kaczorowski
1986–1989 – Kazimierz Sabbat

Premierzy

1986–1990 – Edward Szczepanik

1979–1986 – Edward Raczyński
1972–1979 – Stanisław Ostrowski
1947–1972 – August Zaleski
1939–1947 – Władysław Raczkiewicz

1976–1986 – Kazimierz Sabbat
1972–1976 – Alfred Urbański
1970–1972 – Zygmunt Muchniewski
1965–1970 – Aleksander Zawisza
1955–1965 – Antoni Pająk
1955 – Hugon Hanke
1954–1955 – Stanisław Cat-Mackiewicz
1954 – Jerzy Hryniewski (Mikołaj Dolanowski)
1950–1953 – Roman Odzierzyński
1949–1950 – Tadeusz Tomaszewski
1947–1949 – Tadeusz Bór-Komorowski
1944–1947 – Tomasz Arciszewski
1943–1944 – Stanisław Mikołajczyk
1939–1943 – gen. Władysław Sikorski (2.)
1940 – August Zaleski
1939–1940 – gen. Władysław Sikorski

Druga Rzeczpospolita (1918–1939)

Prezydenci

1926–1939 – Ignacy Mościcki

Premierzy

1936–1939 – gen. Felicjan Sławoj Składkowski
1935–1936 – Marian Kościałkowski-Zyndram
1935 – płk Walery Sławek (3.)
1934–1935 – Leon Kozłowski
1933–1934 – Janusz Jędrzejewicz
1931–1933 – płk Aleksander Prystor
1930–1931 – płk Walery Sławek (2.)
1930 – Józef Piłsudski (2.)
1930 – płk Walery Sławek
1929–1930 – Kazimierz Bartel (3.)
1929 – Kazimierz Świtalski
1928–1929 – Kazimierz Bartel (2.)
1926–1928 – Józef Piłsudski
1926 – Kazimierz Bartel

	1926 – Wincenty Witos (3.)
	1925–1926 – Aleksander Skrzyński
1922–1926 – Stanisław Wojciechowski	1923–1925 – Władysław Grabski (2.)
	1923 – Wincenty Witos (2.)
1922 – Gabriel Narutowicz	1922–1923 – gen. Władysław Sikorski
	1922 – Julian Nowak
	1922 – Artur Śliwiński
	1922 – Antoni Ponikowski
	1920–1921 – Wincenty Witos
	1920 – Władysław Grabski
	1919–1920 – Leopold Skulski
	1919 – Ignacy Jan Paderewski
1918–1922 – Józef Piłsudski (Naczelnik Państwa)	1918–1919 – Jędrzej Moraczewski
	1918 – Ignacy Daszyński (premier Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej)

Okres rozbiorów (1795–1918)

Rosja	**Austria**	**Prusy**
Okupacja niemiecka (1915–1918)	cesarz-król Karol (1916–1918)	Wilhelm II, cesarz Niemiec, król Prus (1888–1918)
car Mikołaj II (1894–1917)	cesarz Franciszek Józef (1848–1916), król Węgier (od 1867)	
car Aleksander III (1881–1894)		
		Wilhelm I, król Prus (1861–1888), cesarz Niemiec (od 1871)
car Aleksander II (1855–1881), król Polski		
car Rosji Mikołaj I, król Polski (1825–1855)		król Prus Fryderyk Wilhelm IV (1840–1861)

cesarz Ferdynand I
(1835–1848)

car Rosji Aleksander I
(1801–1825), król Polski
(1815–1825)

Franciszek II, cesarz
rzymski, król Niemiec
(1792–1806), cesarz
Austrii jako Franciszek I
(1804–1835)

car Paweł I (1796–1801)

król Prus Fryderyk
Wilhelm III
(1797–1839)

caryca Katarzyna
(1763–1796)

cesarz Leopold II
(1790–1792)

cesarz Józef II
(1780–1790)

król Prus Fryderyk
Wilhelm II (1786–1797)

Maria Teresa
(1740–1780), arcyksiężna,
królowa Austrii, Czech
i Węgier (od 1740),
cesarzowa (od 1745)

król Prus Fryderyk II
(1740–1786)

Rzeczpospolita Obojga Narodów (1569–1795; królowie elekcyjni)

1764–1795 Stanisław August Poniatowski
1736–1763 August III Sas, elektor saski
1733–1736 Stanisław Leszczyński
1709–1733 August II Mocny
1704–1709 Stanisław Leszczyński
1697–1704 August II Mocny, elektor saski
1674–1696 Jan III Sobieski
1669–1673 Michał Korybut Wiśniowiecki
1648–1668 Jan Kazimierz Waza
1632–1648 Władysław IV Waza
1587–1632 Zygmunt III Waza

1576–1586 Stefan Batory, książę Siedmiogrodu
1575–1576 Anna Jagiellonka
1573–1574 Henryk Walezy, później król Francji (1574–1589)

Polska i Litwa (1386–1572)

1548–1572 Zygmunt August, król Polski, wielki książę litewski
1507–1548 Zygmunt I Stary, król Polski, wielki książę litewski
1501–1506 Aleksander Jagiellończyk, król Polski, wielki książę litewski (1492–1506)
1492–1501 Jan Olbracht, król Polski
1444–1492 Kazimierz IV Jagiellończyk, król Polski (1447–1492), wielki książę litewski (1440–1492)
1434–1444 Władysław III Warneńczyk, król Polski (1434), król Węgier (1440–1444)
1386–1434 Władysław Jagiełło, wielki książę litewski (1377–1401), król Polski (1386–1434)
1432–1440 wielki książę litewski Zygmunt
1430–1432 wielki książę Świdrygiełło
1392–1430 wielki książę Witold

Królestwo Polskie (do roku 1386)

1384–1386 Jadwiga Rex (Jadwiga Andegaweńska), król Polski (1385–1399)
1370–1382 Ludwik Węgierski, król Węgier (1342–1382), król Polski (od 1370)
1333–1370 Kazimierz III Wielki, król Polski
1306–1333 Władysław Łokietek, król Polski (od 1320)
1305–1306 Wacław III, król Czech i Polski
1297–1305 Wacław II, król Czech, król Polski (od 1300)
1295–1296 Przemysł II, król Polski
1250–1253 Przemysł I (książę wielkopolski)
1288–1290 Henryk IV Probus (książę krakowski)
1279–1288 Leszek Czarny
1243–1279 Bolesław V Wstydliwy (książę sandomierski)
1241–1243 Konrad Mazowiecki
1238–1241 Henryk II Pobożny (książę śląski)
1231–1238 Henryk I Brodaty (książę śląski)

1228–1231 Władysław III Laskonogi (książę wielkopolski)
1202–1227 Leszek Biały (książę sandomierski)
1194–1202 Mieszko III przywrócony do władzy
1177–1194 Kazimierz II (Kazimierz Sprawiedliwy, książę sandomierski)
1173–1177 Mieszko III, (Mieszko Stary, książę wielkopolski), zdetronizowany
1146–1173 Bolesław IV Kędzierzawy (książę mazowiecki)
1138–1146 Władysław II Wygnaniec
1102–1138 Bolesław III Krzywousty
1079–1102 Władysław I Herman
1058–1079 Bolesław II Szczodry, książę polski, król Polski (od 1076)
1034–1058 Kazimierz I Odnowiciel
1025–1034 Mieszko II, król Polski
992–1025 Bolesław I Chrobry, książę polski, król Polski (od 1025)
zm. 992 Mieszko I, książę polski

DODATEK II

Tabele genealogiczne

Dynastia Piastów (tabela genealogiczna, ważniejsze postaci i związki)

Dużymi literami zaznaczono imiona królów i książąt senioralnych tworzących linię sukcesji. Daty oznaczają okresy panowania (w okresie rozbicia dzielnicowego -- zasiadania na tronie krakowskim).

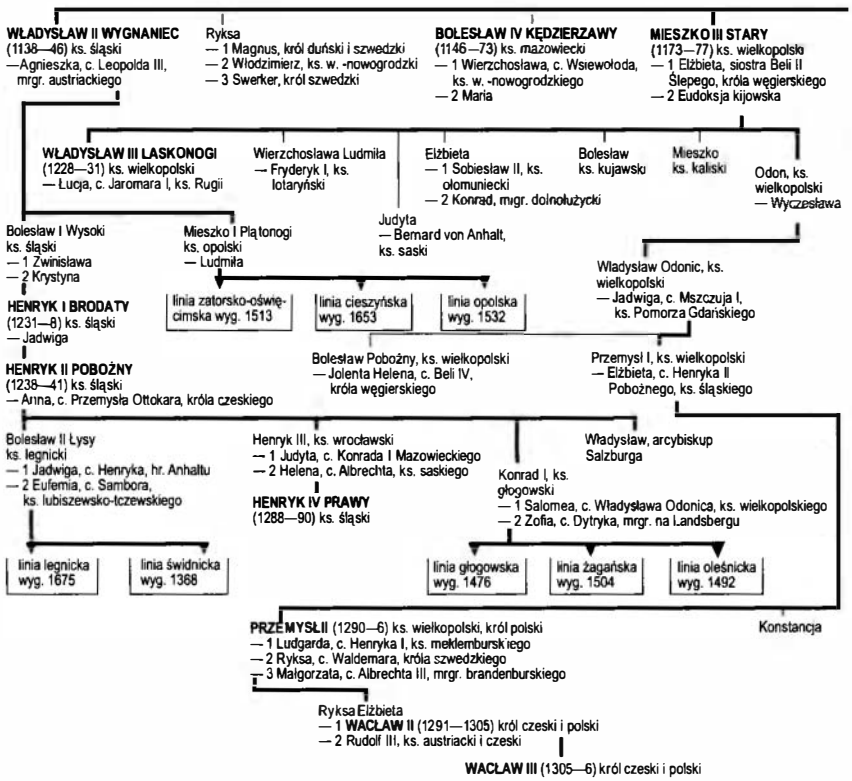
WŁADYSŁAW II WYGNANIEC
(1138—46) ks. śląski
—Agnieszka, c. Leopolda III, mrgr. austriackiego
Ryksa
— 1 Magnus, król duński i szwedzki
— 2 Włodzimierz, ks. w. -nowogrodzki
— 3 Swerker, król szwedzki
BOLESŁAW IV KĘDZIERZAWY
(1146—73) ks. mazowiecki
— 1 Wierzchosława, c. Wsiewołoda, ks. w. -nowogrodzkiego
— 2 Maria
MIESZKO III STARY
(1173—77) ks. wielkopolski
— 1 Elżbieta, siostra Beli II Ślepego, króla węgierskiego
— 2 Eudoksja kijowska
WŁADYSŁAW III LASKONOGI
(1228—31) ks. wielkopolski
— Lucja, c. Jaromara I, ks. Rugii
Wierzchosława Ludmiła
— Fryderyk I, ks. lotaryński
Elżbieta
— 1 Sobiesław II, ks. ołomuniecki
— 2 Konrad, mrgr. dolnołużycki
Bolesław ks. kujawski
Mieszko ks. kaliski
Odon, ks. wielkopolski
— Wyczesława
Bolesław I Wysoki
ks. śląski
— 1 Zwinisława
— 2 Krystyna
Mieszko I Plątonogi
ks. opolski
— Ludmiła
Judyta
— Bernard von Anhalt, ks. saski
Władysław Odonic, ks. wielkopolski
— Jadwiga, c. Mszczuja I, ks. Pomorza Gdańskiego
HENRYK I BRODATY
(1231—8) ks. śląski
— Jadwiga
linia zatorsko-oświęcimska wyg. 1513
linia cieszyńska wyg. 1653
linia opolska wyg. 1532
HENRYK II POBOŻNY
(1238—41) ks. śląski
— Anna, c. Przemysła Ottokara, króla czeskiego
Bolesław Pobożny, ks. wielkopolski
— Jolenta Helena, c. Beli IV, króla węgierskiego
Przemysł I, ks. wielkopolski
— Elżbieta, c. Henryka II Pobożnego, ks. śląskiego
Bolesław II Łysy
ks. legnicki
— 1 Jadwiga, c. Henryka, hr. Anhaltu
— 2 Eufemia, c. Sambora, ks. lubiszewsko-tczewskiego
Henryk III, ks. wrocławski
— 1 Judyta, c. Konrada I Mazowieckiego
— 2 Helena, c. Albrechta, ks. saskiego
HENRYK IV PRAWY
(1288—90) ks. śląski
Władysław, arcybiskup Salzburga
Konrad I, ks. głogowski
— 1 Salomea, c. Władysława Odonica, ks. wielkopolskiego
— 2 Zofia, c. Dytryka, mrgr. na Landsbergu
linia legnicka wyg. 1675
linia świdnicka wyg. 1368
linia głogowska wyg. 1476
linia żagańska wyg. 1504
linia oleśnicka wyg. 1492
PRZEMYSŁ II (1290—6) ks. wielkopolski, król polski
— 1 Ludgarda, c. Henryka I, ks. meklemburskiego
— 2 Ryksa, c. Waldemara, króla szwedzkiego
— 3 Małgorzata, c. Albrechta III, mrgr. brandenburskiego
Konstancja
Ryksa Elżbieta
— 1 WACŁAW II (1291—1305) król czeski i polski
— 2 Rudolf III, ks. austriacki i czeski
WACŁAW III (1305—6) król czeski i polski

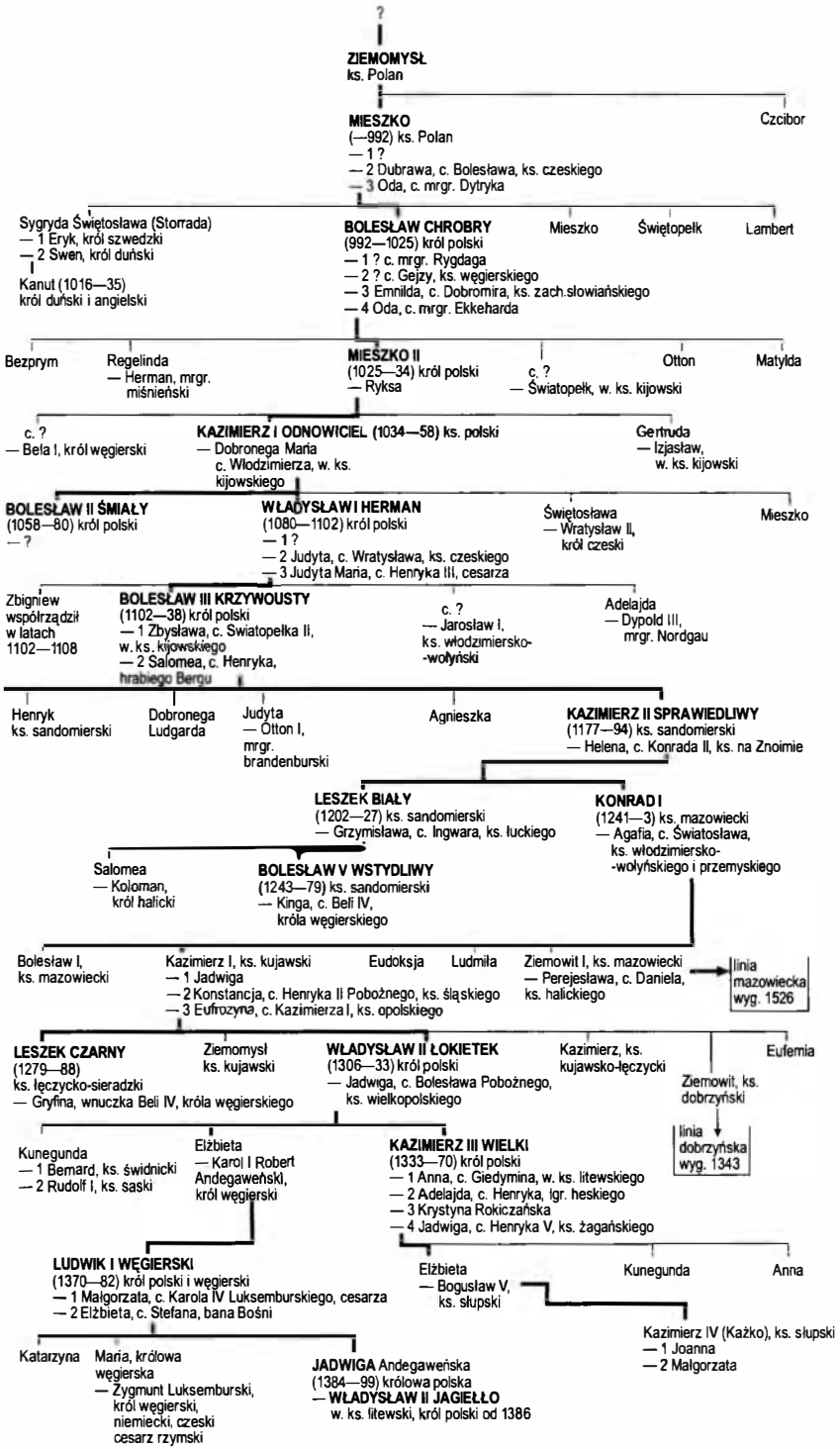
?
ZIEMOMYSŁ
ks. Polan
MIESZKO
(—992) ks. Polan
— 1 ?
— 2 Dubrawa, c. Bolesława, ks. czeskiego
— 3 Oda, c. mrgr. Dytryka
Czcibor
Sygryda Świętosława (Storrada)
— 1 Eryk, król szwedzki
— 2 Swen, król duński
Kanut (1016—35)
król duński i angielski
BOLESŁAW CHROBRY
(992—1025) król polski
— 1 ? c. mrgr. Rygdaga
— 2 ? c. Gejzy, ks. węgierskiego
— 3 Emnilda, c. Dobromira, ks. zach.słowiańskiego
— 4 Oda, c. mrgr. Ekkeharda
Mieszko
Świętopełk
Lambert
Bezprym
Regelinda
— Herman, mrgr. miśnieński
MIESZKO II
(1025—34) król polski
— Ryksa
c. ?
— Światopełk, w. ks. kijowski
Otton
Matylda
c. ?
— Bela I, król węgierski
KAZIMIERZ I ODNOWICIEL (1034—58) ks. polski
— Dobronega Maria
c. Włodzimierza, w. ks. kijowskiego
Gertruda
— Izjasław, w. ks. kijowski
BOLESŁAW II ŚMIAŁY
(1058—80) król polski
— ?
WŁADYSŁAW I HERMAN
(1080—1102) król polski
— 1 ?
— 2 Judyta, c. Wratysława, ks. czeskiego
— 3 Judyta Maria, c. Henryka III, cesarza
Świętosława
— Wratysław II, król czeski
Mieszko
Zbigniew
współrządził w latach 1102—1108
BOLESŁAW III KRZYWOUSTY
(1102—38) król polski
— 1 Zbysława, c. Światopełka II, w. ks. kijowskiego
— 2 Salomea, c. Henryka, hrabiego Bergu
c. ?
— Jarosław I, ks. włodzimiersko-wołyński
Adelajda
— Dypold III, mrgr. Nordgau
Henryk
ks. sandomierski
Dobronega Ludgarda
Judyta
— Otton I, mrgr. brandenburski
Agnieszka
KAZIMIERZ II SPRAWIEDLIWY
(1177—94) ks. sandomierski
— Helena, c. Konrada II, ks. na Znoimie
LESZEK BIAŁY
(1202—27) ks. sandomierski
— Grzymisława, c. Ingwara, ks. łuckiego
KONRAD I
(1241—3) ks. mazowiecki
— Agafia, c. Światosława, ks. włodzimiersko-wołyńskiego i przemyskiego
Salomea
— Koloman, król halicki
BOLESŁAW V WSTYDLIWY
(1243—79) ks. sandomierski
— Kinga, c. Beli IV, króla węgierskiego
Bolesław I, ks. mazowiecki
Kazimierz I, ks. kujawski
— 1 Jadwiga
— 2 Konstancja, c. Henryka II Pobożnego, ks. śląskiego
— 3 Eufrozyna, c. Kazimierza I, ks. opolskiego
Eudoksja
Ludmiła
Ziemowit I, ks. mazowiecki
— Perejesława, c. Daniela, ks. halickiego
linia mazowiecka wyg. 1526
LESZEK CZARNY
(1279—88)
ks. łęczycko-sieradzki
— Gryfina, wnuczka Beli IV, króla węgierskiego
Ziemomysł
ks. kujawski
WŁADYSŁAW II ŁOKIETEK
(1306—33) król polski
— Jadwiga, c. Bolesława Pobożnego, ks. wielkopolskiego
Kazimierz, ks. kujawsko-łęczycki
Eufemia
Ziemowit, ks. dobrzyński
linia dobrzyńska wyg. 1343
Kunegunda
— 1 Bernard, ks. świdnicki
— 2 Rudolf I, ks. saski
Elżbieta
— Karol I Robert Andegaweński, król węgierski
KAZIMIERZ III WIELKI
(1333—70) król polski
— 1 Anna, c. Giedymina, w. ks. litewskiego
— 2 Adelajda, c. Henryka, lgr. heskiego
— 3 Krystyna Rokiczańska
— 4 Jadwiga, c. Henryka V, ks. żagańskiego
LUDWIK I WĘGIERSKI
(1370—82) król polski i węgierski
— 1 Małgorzata, c. Karola IV Luksemburskiego, cesarza
— 2 Elżbieta, c. Stefana, bana Bośni
Elżbieta
— Bogusław V, ks. słupski
Kunegunda
Anna
Kazimierz IV (Kaźko), ks. słupski
— 1 Joanna
— 2 Małgorzata
Katarzyna
Maria, królowa węgierska
— Zygmunt Luksemburski, król węgierski, niemiecki, czeski cesarz rzymski
JADWIGA Andegaweńska
(1384—99) królowa polska
— WŁADYSŁAW II JAGIEŁŁO
w. ks. litewski, król polski od 1386

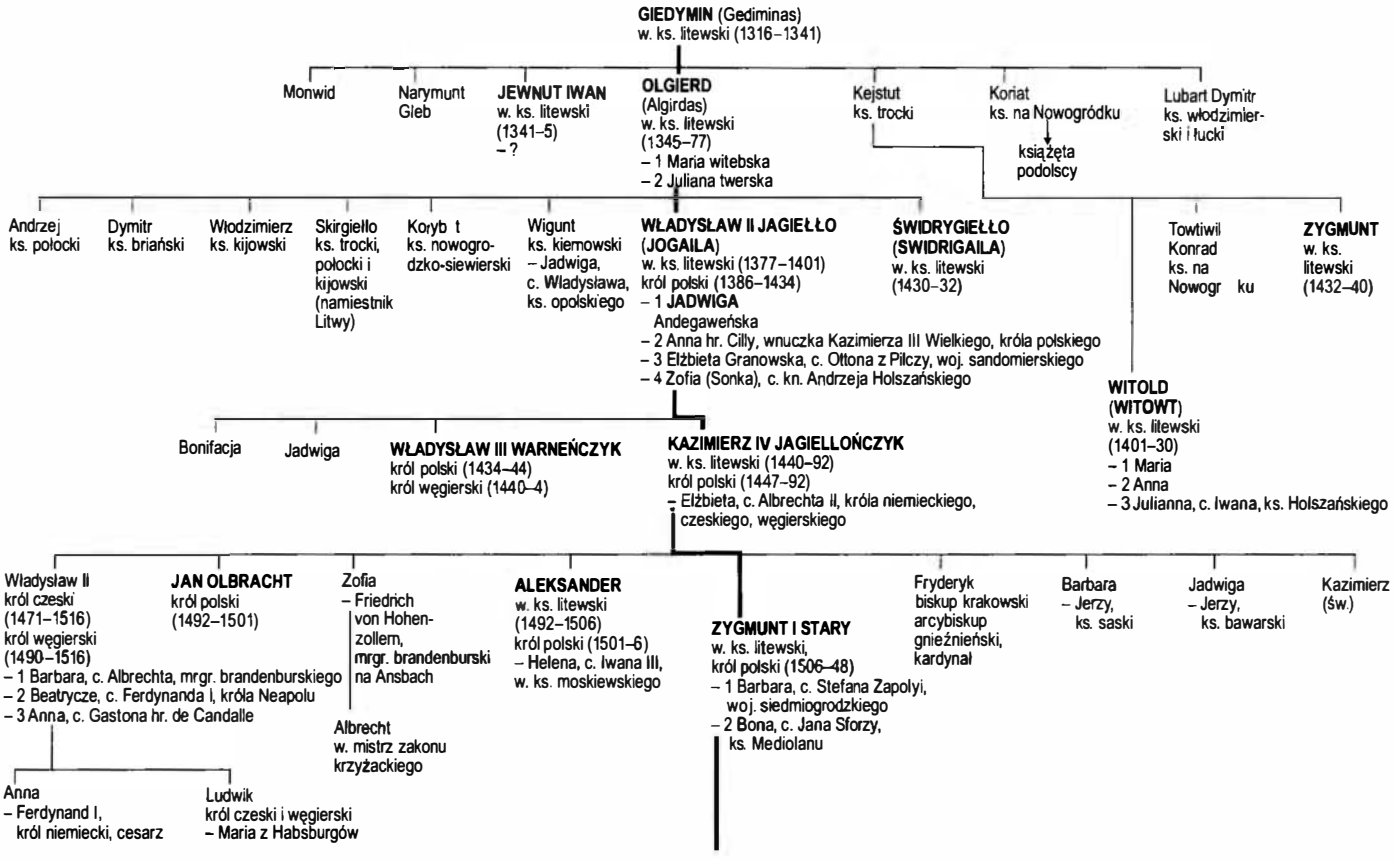
GIEDYMIN (Gediminas)
w. ks. litewski (1316–1341)
Monwid
Narymunt Gleb
JEWNUT IWAN
w. ks. litewski
(1341–5)
– ?
OLGIERD
(Algirdas)
w. ks. litewski
(1345–77)
– 1 Maria witebska
– 2 Juliana twerska
Kejstut
ks. trocki
Koriat
ks. na Nowogródku
książęta podolscy
Lubart Dymitr
ks. włodzimierski i łucki
Andrzej
ks. połocki
Dymitr
ks. briański
Włodzimierz
ks. kijowski
Skirgiełło
ks. trocki, połocki i kijowski (namiestnik Litwy)
Koryb t
ks. nowogrodzko-siewierski
Wigunt
ks. kiemowski
– Jadwiga, c. Władysława, ks. opolskiego
WŁADYSŁAW II JAGIEŁŁO
(JOGAILA)
w. ks. litewski (1377–1401)
król polski (1386–1434)
– 1 JADWIGA Andegaweńska
– 2 Anna hr. Cilly, wnuczka Kazimierza III Wielkiego, króla polskiego
– 3 Elżbieta Granowska, c. Ottona z Pilczy, woj. sandomierskiego
– 4 Zofia (Sonka), c. kn. Andrzeja Holszańskiego
ŚWIDRYGIEŁŁO
(SWIDRIGAILA)
w. ks. litewski
(1430–32)
Towtiwil
Konrad
ks. na Nowogr ku
ZYGMUNT
w. ks. litewski
(1432–40)
WITOLD
(WITOWT)
w. ks. litewski
(1401–30)
– 1 Maria
– 2 Anna
– 3 Julianna, c. Iwana, ks. Holszańskiego
Bonifacja
Jadwiga
WŁADYSŁAW III WARNEŃCZYK
król polski (1434–44)
król węgierski (1440–4)
KAZIMIERZ IV JAGIELLOŃCZYK
w. ks. litewski (1440–92)
król polski (1447–92)
– Elżbieta, c. Albrechta II, króla niemieckiego, czeskiego, węgierskiego
Władysław II
król czeski
(1471–1516)
król węgierski
(1490–1516)
– 1 Barbara, c. Albrechta, mrgr. brandenburskiego
– 2 Beatrycze, c. Ferdynanda I, króla Neapolu
– 3 Anna, c. Gastona hr. de Candalle
JAN OLBRACHT
król polski
(1492–1501)
Zofia
– Friedrich von Hohenzollern, mrgr. brandenburski na Ansbach
Albrecht
w. mistrz zakonu krzyżackiego
ALEKSANDER
w. ks. litewski
(1492–1506)
król polski (1501–6)
– Helena, c. Iwana III, w. ks. moskiewskiego
ZYGMUNT I STARY
w. ks. litewski,
król polski (1506–48)
– 1 Barbara, c. Stefana Zapolyi, woj. siedmiogrodzkiego
– 2 Bona, c. Jana Sforzy, ks. Mediolanu
Fryderyk
biskup krakowski
arcybiskup gnieźnieński,
kardynał
Barbara
– Jerzy, ks. saski
Jadwiga
– Jerzy, ks. bawarski
Kazimierz
(św.)
Anna
– Ferdynand I, król niemiecki, cesarz
Ludwik
król czeski i węgierski
– Maria z Habsburgów

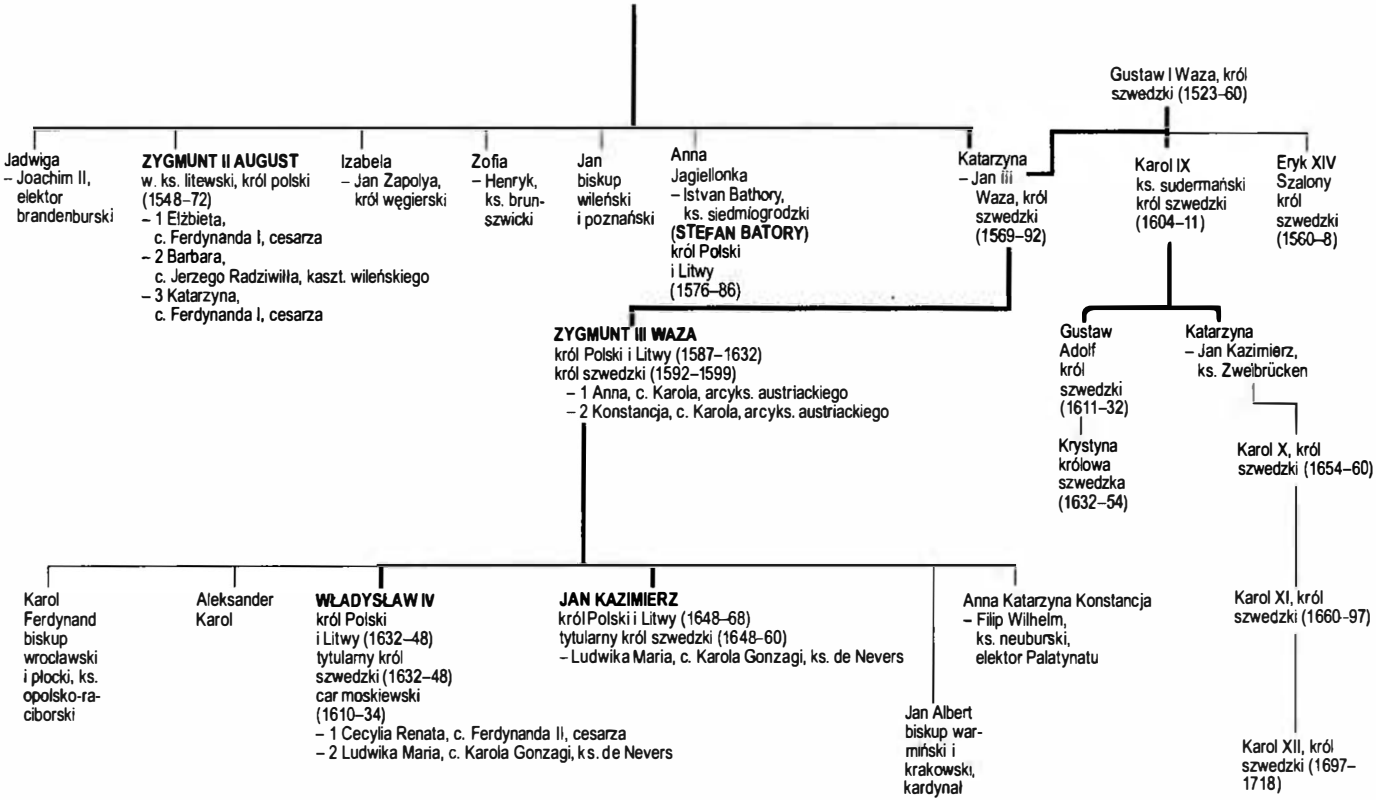
Gustaw I Waza, król szwedzki (1523–60)
Jadwiga – Joachim II, elektor brandenburski
ZYGMUNT II AUGUST w. ks. litewski, król polski (1548–72) – 1 Elżbieta, c. Ferdynanda I, cesarza – 2 Barbara, c. Jerzego Radziwiłła, kaszt. wileńskiego – 3 Katarzyna, c. Ferdynanda I, cesarza
Izabela – Jan Zapolya, król węgierski
Zofia – Henryk, ks. brunszwicki
Jan biskup wileński i poznański
Anna Jagiellonka – Istvan Bathory, ks. siedmiogrodzki (STEFAN BATORY) król Polski i Litwy (1576–86)
Katarzyna – Jan III Waza, król szwedzki (1569–92)
Karol IX ks. sudermański król szwedzki (1604–11)
Eryk XIV Szalony król szwedzki (1560–8)
ZYGMUNT III WAZA król Polski i Litwy (1587–1632) król szwedzki (1592–1599) – 1 Anna, c. Karola, arcyks. austriackiego – 2 Konstancja, c. Karola, arcyks. austriackiego
Gustaw Adolf król szwedzki (1611–32)
Katarzyna – Jan Kazimierz, ks. Zweibrücken
Krystyna królowa szwedzka (1632–54)
Karol X, król szwedzki (1654–60)
Karol Ferdynand biskup wrocławski i płocki, ks. opolsko-raciborski
Aleksander Karol
WŁADYSŁAW IV król Polski i Litwy (1632–48) tytularny król szwedzki (1632–48) car moskiewski (1610–34) – 1 Cecylia Renata, c. Ferdynanda II, cesarza – 2 Ludwika Maria, c. Karola Gonzagi, ks. de Nevers
JAN KAZIMIERZ król Polski i Litwy (1648–68) tytularny król szwedzki (1648–60) – Ludwika Maria, c. Karola Gonzagi, ks. de Nevers
Anna Katarzyna Konstancja – Filip Wilhelm, ks. neuburski, elektor Palatynatu
Karol XI, król szwedzki (1660–97)
Jan Albert biskup warmiński i krakowski, kardynał
Karol XII, król szwedzki (1697–1718)

Dynastie Jagiellonów i Wazów (tabela genealogiczna, ważniejsze postaci i związki)

Dużymi literami zaznaczono imiona władców sukcesji litewskiej, polskiej i polsko-litewskiej.
Daty oznaczają okresy panowania.

DODATEK III

Nazwy geograficzne

Klucz do wschodnioeuropejskich nazw geograficznych leży w umiejętności przyporządkowania każdej nazwie odpowiedniego kontekstu – czasowego, geograficznego i politycznego. Zasady rządzące użyciem większości historycznych nazw ziem polskich można sprowadzić do kilku głównych kategorii:

1. Nazwy lokalne występujące w języku mieszkańców danych miejsc; w przypadku zróżnicowania etnicznego w użyciu może być kilka wariantów. Np. Wilno (polski), Vilnius (litewski), Wilna (białoruski).

2. Oficjalne nazwy występujące w języku aktualnych władz administracyjnych:

Królestwo Polskie – łacina, polski
Wielkie Księstwo Litewskie – łacina, białoruski, polski
niektóre miasta królewskie – niemiecki, łacina, polski
austriacka Galicja – niemiecki, łacina, po roku 1869 polski
Królestwo Prus – niemiecki
imperium carskie – rosyjski
ZSRR, 1922–1991 – rosyjski, ukraiński, łotewski, litewski, białoruski itd. w poszczególnych republikach

Nazwy geograficzne zmieniają się wraz ze zmianą władz. Na przykład: Varsovia (łacina); Warszawa (polski) do roku 1795; Warschau (niemiecki), 1795–1807; Warszawa, 1807–1864; Варшава (rosyjski), 1864–1915; Warszawa, 1916–1939; Warschau, 1939–1945; Warszawa od roku 1945.

Akcje generalnych zmian nazw geograficznych podejmowano w Prusach i w Rosji pod koniec XIX wieku, w ZSRR – w latach 1939–1941 i potem w roku 1945; władze polskie prowadziły podobną kampanię w latach 1918–1921 i ponownie w latach 1945–1946. Zmianie nazw geograficznych na zachodnich Ziemiach Odzyskanych po II wojnie światowej towarzyszyły akcje przesiedlania ludności, a nowe nazwy nie zawsze odpowiadały wcześniejszym lub historycznym. Na przykład: Wrocław (polski, od roku 1945); Breslau (niemiecki, 1526–1945, za panowania Austrii i Prus);

Vraclav (czeski, w okresie panowania czeskiego w latach 1335–1526); Vratislavia (łacina); Wratislaw (średniowieczny zachodniosłowiański, przed rokiem 1335).

3. Nazwy polityczne. Zwyczaj nadawania miastom nazw będących nazwiskami wybitnych postaci albo politycznymi hasłami jest równie stary jak sama polityka. W Polsce sięga czasów co najmniej Kazimierza Wielkiego, który nazwał swoim imieniem Kazimierz – modelowe miasto satelickie pod Krakowem. Rzecz dziwna, miasto Augustów, założone przez Zygmunta Augusta, było w pewnym okresie znane jako Zygmuntowo. Prywatni dobroczyńcy – magnaci czy giganci przemysłowi – zapewniali sobie miejsce w historii, nadając swoje imiona zakładanym przez siebie fundacjom. Na przykład Frampol (1702) został podobno założony przez niejakiego Franciszka Butlera, Żyrardów (1833) – przez właściciela zakładów tekstylnych, francuskiego przemysłowca Philippe'a Girarda.

Od wieku XIX wyraźniejsze stawały się wpływy polityki rządowej:

Königshütte (1797–1921) – obecnie Chorzów
Nowogieorgijewsk (1833–1915) – obecnie Modlin
Iwangorod (1842–1915) – obecnie Dęblin
Alexandrowo (1855–1915) – obecnie Aleksandrów Kujawski
Hindenburg (1915–1945) – obecnie Zabrze
Gotenhafen (1939–1945) – obecnie Gdynia (przed 1920: Gdingen)
Stalinogród (1953–1955) – obecnie Katowice

4. Nazwy polskie. Jak większość języków, język polski ma swoje własne formy nazw geograficznych. Używa się ich w polskojęzycznych tekstach i atlasach, bez żadnej sugestii, jakoby te miejsca miały jakiekolwiek związki z Polską – w sensie etnicznym czy politycznym. Na przykład: Londyn, Waszyngton, Rzym, Paryż, Lipsk, Drezno, Kijów, Wiedeń, Władywostok.

5. Obcojęzyczne wersje nazw polskich. Na przykład: Vistula – Wisła, Varsovie – Warszawa, Cracovia – Kraków itd. Może się więc zdarzyć, że jedna nazwa ma wiele możliwych wariantów: Polska – Polen – Polin – Pol'sza – Polonia – Pologne – Poland – Bulanda…

Warto pamiętać, że nazwy miejscowe podlegały w krajach bloku sowieckiego surowej cenzurze. W polskich źródłach usuwano wszystkie nazwy niemieckie, a w źródłach sowieckich – wszystkie dawne nazwy polskie. Według przyjętej oficjalnie zasady nazwy współczesne były jedyną formą „poprawną" i to nawet w odniesieniu do wcześniejszych okresów historycznych.

Indeks osób

(nie obejmuje *Dodatków*)

Abarinov Vladimir 501
Acton lord (sir John Emerich Edward Dalberg) 370
Ağca Mehmet Ali 431
Akino Yutaka 18, 129
Albertrandi Jan 357
Albrecht Hohenzollern, wielki mistrz krzyżacki, książę pruski 316, 317
Aleksander I Karadziordziewić, król Jugosławii 411
Aleksander I, car 187, 188, 204, 213, 219, 259, 286
Aleksander II, car 192, 208, 221, 268, 286, 411, 458
Alfieri Vittorio 200
Alfred Wielki, król Wessexu 308
Amalrik Andriej 333, 456
Amin Idi („Dada") 27
Anders Władysław 92, 112, 113, 119, 123, 130
Andropow Jurij 20, 21, 52, 64, 65, 411, 413, 420, 469, 473, 479, 480, 487
Apollinaire Guillaume (Kostrowicki) 282
Arciszewski Tomasz 110, 111
Arendt Hannah 489
Arnold Stanisław 71
Ascherson Neal 43, 270
Askenazy Szymon 334
Asnyk Adam 228
August II Mocny, król Polski 234, 320, 325, 326
August III, król Polski 320, 321, 324, 327, 366
Bach-Zelewski Erich von dem 102
Balcerowicz Leszek 499, 500, 503, 504
Balicki Zygmunt 160
Banach Stefan 175
Barańczak Stanisław 447, 448, 459
Barbara Radziwiłłówna, królowa polska 316
Barraclough Geoffrey 307
Bartoszcze Roman 502
Bartoszewski Władysław 96, 501, 511
Bashevis Singer Isaac 340
Batory Stefan zob. Stefan Batory
Batt Judy 506
Baudouin de Courtenay Jan 175, 284
Bauer Yehudah 95
Baykowski Karol 298, 299
Bazylik Cyprian 318
Beauvois Daniel 191, 283
Beck Józef 150, 152, 161, 177, 178
Becket Tomasz, św. 313
Beddie James Stuart 88
Begin Menachem 112, 162
Bellay Joachim du 317
Bellegarrigue Anselme 319
Bem Józef 207, 261, 395
Beneš Edvard 98, 114, 168, 448
Beniowski Maurycy 280
Beria Ławrientij 68, 479
Berling Zygmunt 69, 119, 120
Berman Jakub 68
Beseler Hans von 138
Bielecki Jan Krzysztof 502, 504, 507
Bielecki Tadeusz 110, 115
Bielski Marcin 343, 349

Biełyszew W. 476
Bieńkowski Władysław 74, 75
Bierut Bolesław 32, 34, 64, 68, 73, 118, 120, 377, 449
Biskupski Maksymilian Mirosław 404
Bismarck Otto von 195, 206, 268, 296, 430, 448
Blake William 294
Blazyca George 505
Blücher Gebhard von 268
Bobińska Celina 71
Bobiński Stanisław 115
Bobrowski Czesław 441
Bobrzyński Michał 156, 230
Bogusławski Wojciech 357
Bohomolec Franciszek 327, 328, 357
Bohusz-Szyszko zob. Szyszko-Bohusz
Bolesław Chrobry, król Polski 308, 344
Bolesław III Krzywousty, książę polski 308
Bolesław Śmiały, król Polski 244
Bona Sforza, królowa Polski 316, 336
Borejsza Jerzy 71, 118
Borkowski-Dunin zob. Dunin-Borkowski
Boston Gillian 22
Boyes Roger 490
Boy-Żeleński Tadeusz zob. Żeleński-Boy
Bór-Komorowski Tadeusz zob. Komorowski
Brandes Georg 274
Brandys Kazimierz 71
Braniccy, ród magnacki 321
Branicki Franciszek Ksawery 366
Bratkowski Stefan 74, 413
Breżniew Leonid 20, 21, 52, 53, 56, 62, 64, 65, 449, 451, 452, 454, 467, 469, 470, 473, 487
Briand Aristide 450
Brodziński Kazimierz 224
Bromke Adam 223
Broniewski Władysław 176
Bruno Giordano 427
Brus Włodzimierz 377
Brusiłow Aleksiej 138
Brzeziński Zbigniew 159, 365
Buchner Wojciech 221
Buckle Henry 230
Budionny Siemion 143
Bujak Zbigniew 405, 406, 408, 410, 495
Bułharyn Jan Tadeusz 203
Burke Edmund 329, 443, 455
Buzek Jerzy 508
Byron lord (George Gordon Byron) 193, 238, 257, 400

Car Stanisław 271
Carlyle Thomas 350
Carter Jimmy 365
Castlereagh lord (Robert Stewart lord Castlereagh) 188, 259, 455
Ceaușescu Nicolae 395, 499
Chamberlain Houston Stewart 342
Chamberlain Neville 455
Chateaubriand François René de 200
Chęciński Michał 391
Chlebowski Bronisław 284
Chłapowski Dezydery 210
Chłopicki Józef 208, 214, 457
Chmielnicki Bohdan 325
Chmielowski Piotr 284
Chodźko Leonard 240
Chopin Fryderyk 281
Chruszczow Nikita 34, 35, 63, 64, 364, 469
Churchill Winston 99, 105, 107, 111, 114, 128, 259, 455
Chwin Stefan 509
Chwistek Leon 175
Ciechanowski Jan M. 102
Cieszkowski August 226
Cimoszewicz Włodzimierz 502, 507, 508
Ciołkosz Adam 110

Ciosek Stanisław 495
Cobden Richard 350, 443, 445, 461
Comte August 230, 379
Conrad Joseph (Korzeniowski) 281
Corazzi Antonio 214
Croce Benedetto 200
Cromwell Thomas 65
Curie Ewa 287
Curie Maria zob. Skłodowska-Curie
Curzon George N. 99, 103, 128
Cyceron 357
Cypryniak Kazimierz 495
Cyrankiewicz Józef 31
Cywiński Bohdan 289
Czajkowski Michał (Sadyk Pasza) 245, 261
Czapiewski Edward 229
Czarniecki Stefan 324
Czarnowski Stefan 215
Czartoryscy, ród magnacki 321
Czartoryski Adam Jerzy 187, 188, 190, 214, 219–221, 226, 235, 258, 278, 280, 338, 368
Czechowski Jan 118
Czernienko Konstantin 20, 21, 487
Czołgosz Leon 208
Czyngis-chan 64

Dahrendorf Ralf 506
Dalajlama XIV 28
Dalbor Edmund 359
Daniells Roy 238
Dante Alighieri 241, 244
Dantyszek Jan 356
Daszyński Ignacy 149, 156
Davies Norman 13, 18, 21, 23, 142, 161, 178, 192, 488, 490, 501, 510
Dawid Jan Władysław 289
Dąbrowska Maria 176
Dąbrowski Jan Henryk 185, 208
Dąbrowski Jarosław 208, 415
Defoe Daniel 290, 350, 351
Dembowski Edward 207
Denikin Anton 142
Denisko Joachim 207
Dickens Karol 246
Dirlewanger Oskar 101
Disraeli Benjamin 67
Długosz Jan 349
Dmochowski Franciszek 357
Dmowski Roman 110, 137, 139, 145, 153, 154, 156–173, 212, 232, 234, 250, 293, 344, 364, 422, 478, 479
Domeyko Ignacy 281
Donne John 455
Doroszewski Witold 203
Dostojewski Fiodor 200
Drucki-Lubecki Franciszek Ksawery 190, 212–215, 226, 227, 235, 268, 368
Drukier Bolesław 376
Drzymała Michał 404
Dubček Aleksander 60
Dubiński Krzysztof 496
Duchiński Franciszek 344
Dunajewski Albin 358
Dunin-Borkowski Jerzy 255
Dunin-Borkowski Józef 255
Dygasiński Adolf 284
Dzierżyński Feliks 115, 143, 203, 422, 449, 479
Dziewanowski Kazimierz 116, 509
Dżilas Milovan 67
Dżugaszwili zob. Stalin

Eden Anthony 128
Ehrenberg Gustaw 210, 211
Eliot Thomas S. 91, 412
Ellmann M. 439

Fedorowicz J.K. 184, 335
Feliński Alojzy 290

Feliński Zygmunt Szczęsny, św. 358
Ferdynand zob. Franciszek Ferdynand
Finder Paweł 116
Floryan Władysław 294
Franciszek Ferdynand, arcyksiążę 411
Franciszek z Asyżu, św. 509
Franco Francisco 146
Frank Hans 138
Franko Iwan 345
Frasyniuk Władysław 19, 410, 495
Frey-Bielecki Jan 384
Freytag Gustav 237
Fryderyk Barbarossa, cesarz 311
Fryderyk Wielki 224, 327–329, 443

Gałczyński Konstanty Ildefons 176
Garczyński Stefan Florian 255
Garibaldi Giuseppe 208
Garliński Józef 97, 113
Garton Ash Danuta 18
Garton Ash Timothy 488
Gaszyński Konstanty 255
Gaulle Charles de 111, 114
Gdula Andrzej 495
Geremek Bronisław 425, 495, 496, 511
Gibbon Edward 332
Giedroyc Jerzy 22, 489
Giedymin, wielki książę litewski 314
Gierek Edward 39–41, 45, 64, 68, 73, 75, 81, 369, 377, 378, 388, 391, 397, 421, 435, 437, 449
Giertych Jędrzej 157
Gimbutas Marija 307
Glemp Józef 19, 44, 81, 409, 429, 433, 434, 492
Gnatowskl Jan 250
Gobineau Joseph Arthur de 342
Goldman zob. Borejsza
Gołuchowski Józef 225, 226
Gombrowicz Witold 176
Gomulicki Wiktor 284
Gomułka Władysław 31, 32, 34–36, 38–40, 64, 68, 73, 116, 118, 120, 128, 234, 364, 369, 376–378, 419, 435, 449
Gorbaczow Michaił 21, 486–488, 491, 494, 498, 501, 503
Gorki Maksym 200
Gosławski Maurycy 255, 256
Goszczyński Seweryn 255
Grabski Władysław 110, 147
Gross Irena zob. Grudzińska-Gross
Gross Jan Tomasz 91, 95
Grudzińska-Gross Irena 91
Grünbaum Izaak 156
Grzegorz XVI, papież 358, 429
Grzegorz z Sanoka 337
Gulbinowicz Henryk 409
Gumkowski Janusz 95
Gurowski Adam 280
Gustaw II Adolf, król Szwecji 324
Gzowski Casimir 281

Habsburgowie, dynastia 196, 265, 316, 325, 355, 363
Hackett John 455, 472
Hadow Maria 91
Hahn Hans Hennig 220
Haller Józef 137, 261, 263, 281
Hammurabi, król Babilonu 312
Handelsman Marceli 334
Hayasaka Makoto 363
Haydn Franz Joseph 290
Hebda Michał 391, 392
Hegel Georg Wilhelm Friedrich 226, 303
Heine Heinrich 200
Henryk I Ptasznik, król Niemiec 237
Henryk Walezy, król Polski i Francji 320, 336, 361
Herbert Zbigniew 414, 492, 510
Herling-Grudziński Gustaw 492
Hilberg Raul 96

Himmler Heinrich 237
Hirszowicz Maria 67
Hitler Adolf 88, 90, 92, 94, 101, 102, 104, 150–153, 177, 178, 444, 511
Hlond August 37, 359
Hobbes Thomas 65
Hochhuth Rolf 98
Hoene-Wroński Józef Maria 225, 226
Hoffman Paweł 71
Hoffmann Ernst Theodor Amadeus 266, 267, 340
Hohenzollernowie, dynastia 324
Hołówko Tadeusz 411
Homer 215
Honecker Erich 420
Hornberg, inspektor szkolny 286, 287
Horwitz Maksymilian 115
Hozjusz Stanisław 356
Hryniewiecki Ignacy 208, 411
Huelle Paweł 509
Humphries Catherine 22
Hurko Josif (Osip) 270, 286, 368
Husák Gustáv 51

Iranek-Osmecki Kazimierz 96
Iriye Akira 98
Irving David 98
Ito Takayuki 18, 72, 76, 98
Iwan III, wielki książę moskiewski 316
Iwan IV Groźny, car 316, 510
Iwaszkiewicz Jarosław 176
Izaak z Trok 340

Jadwiga Andegaweńska, król Polski, św. 217, 314
Jagiellonowie, dynastia 12, 314–316, 318, 319, 341, 360
Jagiełło zob. Władysław II Jagiełło
Jan II Kazimierz Waza, król Polski 320, 325
Jan III Sobieski, król Polski 297, 320, 321, 324–326, 360, 361, 455, 456
Jan Paweł II (Karol Wojtyła), papież, św. 37, 42, 81, 282, 402, 420, 424, 429, 431–433, 485, 488, 496
Jandołowicz Marek 235, 243
Janik Michał 280
Janion Maria 194, 205, 254, 255, 299, 400
Janko z Czarnkowa 349
Jankowski Jan Stanisław 110, 113, 121
Janosik (Juraj Jánošík) 411
Januszkiewicz Maria 91
Jaracz Stefan 175
Jaroszewicz Piotr 367
Jarra Eugeniusz 354
Jarry Alfred 198
Jaruzelski Wojciech 19–21, 46–49, 51, 52, 64, 68, 73, 174, 270, 379, 381, 387–389, 395, 396, 406, 407, 409, 410, 414, 416, 420, 434, 440, 441, 449, 452, 456–458, 473, 485–488, 490–495, 497, 499–501
Jastrun Mieczysław 71
Jażdżewski Konrad 307
Jedlicki Jerzy 425
Jefferson Thomas 217
Jezierski Franciszek 357
Jeżow Nikołaj 479
Jędrzejewicz Janusz 165
Jędrzejewicz Wacław 159, 165
Johnson A. 381
Johnson Samuel 289, 348
Józef II, cesarz 213, 327, 430
Jóźwiak Franciszek („Witold") 119
Justynian, cesarz bizantyjski 312
Juzwenko Adolf 425

Kacewicz George 98
Kaczorowski Ryszard 123, 502
Kaczyński Lech 495

Kádár János 51, 441, 473
Kaden-Bandrowski Juliusz 176
Kalecki Michał 175
Kamieński Henryk 207
Kania Stanisław 45, 46, 421, 449
Kant Immanuel 149, 226
Kaps Johannes 103
Karamzin Nikołaj 304
Karłowicz Jan 76, 207
Karol X Gustaw, król Szwecji 324
Karol XII, król Szwecji 324
Karol Wielki, cesarz 308
Karpińska Urszula (Teresa Remiszewska) 490
Karpiński Franciszek 349
Kasprowicz Jan 176
Katarzyna II, caryca 224, 286, 327–329, 355, 366, 425, 459, 460
Kazimierz III Wielki, król Polski 308, 310–312, 314, 349
Kazimierz IV Jagiellończyk, król Polski 316
Kermisz Joseph 96
Keynes John Maynard 178, 444
Kieniewicz Stefan 256, 415
Kijowski Andrzej 257
Kipling Rudyard 200
Kipp Jacob 269
Király Béla 192
Kissinger Henry 470
Kiszczak Czesław 47, 495, 498
Kitowicz Jędrzej 349
Klaczko Julian 415
Kleiner Juliusz 242
Kluz Stanisław 104
Kłoczowski Jerzy 425
Kniaziewicz Kazimierz 208
Koc Adam 150, 161
Kochanowski Jan 317, 323, 349, 456
Kochanowski Piotr 323
Kochowski Wespazjan 323, 349
Kohl Helmut 513
Kolbe Maksymilian, św. 132
Kołakowski Leszek 71, 377, 378, 492
Kołłątaj Hugo 71, 328, 357
Komar Wacław 384
Komorowski Tadeusz („Bór") 101, 102
Konarski Stanisław 327, 357
Konopnicka Maria 236, 401
Konrad, książę mazowiecki 311
Konstanty, wielki książę 190, 213, 214, 411
Konwicki Tadeusz 492
Kopański Stanisław 111, 112
Kopernik Mikołaj 297, 317
Korboński Andrzej 102
Korfanty Wojciech 156
Kornhauser Julian 509
Korzeniewicz Maria 241
Korzon Tadeusz 196, 230, 334
Kossakowski Józef Kazimierz 357, 366
Kossakowski Szymon 357
Kostrzewa Maria 115
Kościuszko Tadeusz 185, 207–209, 217, 272, 330, 331, 358, 369, 395, 403, 485
Kot Stanisław 110
Kotek-Agroszewski Stanisław 118
Kott Jan 71
Kozicka Dorota 250
Kozicki Stanisław 157
Kozietulski Jan 235–237, 243
Krak, legendarny władca 308
Krasicki Ignacy 328, 357
Krasiński Adam Stanisław 358
Krasiński Wincenty 204, 205, 208, 214
Krasiński Zygmunt 193, 204, 205, 400
Kraszewski Józef Ignacy 197, 228–230
Kromer Marcin 349
Kryłow Iwan 286
Krzyżanowski Julian 17
Ksenofont 21, 112

Kserkses, szachinszach perski 66
Kubiak Hieronim 45
Kukiel Marian 112
Kulczycki John K.J. 286
Kulerski Wiktor 405, 406, 410
Kulikow Wiktor G. 52, 383, 449
Kuraś Józef (kpt. „Ogień") 104, 105
Kuroń Jacek 41, 42, 74, 405, 406, 410, 422–424, 487, 495, 507
Kwaśniewski Aleksander 495, 496, 505, 507, 508
Kwiatkowski Eugeniusz 165

Lamartine Alphonse 443, 445, 461
Lane Arthur Bliss 129
Lange Oskar 68, 71, 128
Lechoń Jan 176
Ledóchowski Mieczysław 358
Lelewel Joachim 226, 227, 230, 244, 280, 283, 333
Lenin Włodzimierz 63, 64, 139, 140, 142, 143, 369, 396, 397
Leński Juliusz 115
Leszczyński Stanisław zob. Stanisław Leszczyński
Lewak Adam 363
Lewin Zofia 96
Linde Samuel Bogumił 348
Lipiński Edward 42, 423
Lipski Jan Józef 425
Lis Bogdan 19
Lisicki Henryk 221
Litwinow Maksim 152
Lloyd George David 166, 178, 444, 455
Lobkowicz Nicolaus 509
Lot Ferdynand 332
Loth Edward 175
Lowit Thomas 59
Lubecki zob. Drucki-Lubecki
Lubomirscy, ród magnacki 321
Lubomirski Jerzy 323, 325, 326
Lubrański Jan 337
Lucas Richard 131
Luciani Georges 344
Ludwik XIV, król Francji 64
Ludwik XV, król Francji 327
Ludwik Węgierski, król Węgier i Polski 314
Luks Leonid 509
Luksemburg Róża 115
Lustiger Jean-Marie 282
Luter Marcin 317, 336

Łaski Jan 337
Łęczycki Mikołaj 356
Łubieński Władysław 357
Łukasiewicz Jan 175
Łukasiński Walerian 427
Łyżwiński zob. Żymierski

Macaulay Thomas 304
Macharski Franciszek 81, 409
Maciejowski Wacław 297
Maczek Stanisław 111, 113
Magnuszewski Dominik 255
Maistre Joseph de 205
Malinowski Bronisław 282
Malinowski Ernest 281
Mandelsztam Osip 427
Mao Zedong 60, 364
Margules Józef 120
Maria Teresa, cesarzowa 224, 329, 430
Marks Karol 67, 226, 303, 304, 332, 500
Marshall George Catlett 105, 444
Massalski Ignacy 366
Mastny Vojtech 98, 114, 128
Matejko Jan 197, 245
Maternicki Jerzy 285
Matuszewicz Marcin 349
Mazowiecki Tadeusz 81, 424, 495, 498–502, 505
McKinley William 208

Metternich Klemens 188, 206, 296, 430
Micewski Andrzej 157
Michał Wiśniowiecki, król Polski 320
Michelet Jules 304
Michnik Adam 19, 41, 422, 423, 428, 461, 492, 493, 497
Mickiewicz Adam 17, 193, 203, 210, 219, 224–227, 238, 240, 241, 244–246, 248, 252, 253, 255–257, 261, 278, 283, 291, 293, 294, 297, 331, 364, 367, 400, 401
Mickiewicz Aleksander 257
Mierosławski Ludwik 207
Mieszko I, książę polski 12, 308, 310, 312, 344, 345, 360
Miklošič Franc 343
Mikołaj I, car 189–191, 203, 204, 214, 221, 286, 296, 364
Mikołaj Mikołajewicz, wielki książę 136
Mikołajczyk Stanisław 31, 110, 111, 121, 127, 130
Mill John Stuart 230
Miłkowski Zygmunt 229, 230
Miłosz Czesław 176, 402, 492, 510
Minc Hilary 119, 377
Mochnacki Maurycy 225, 238
Moczar Mieczysław („Mietek") 74, 119, 387
Moczarski Kazimierz 122
Moczulski Leszek 422, 423, 502
Modrzejewska Helena (Modjeska) 281
Modzelewski Karol 74, 425
Mohyła Piotr 338
Mołotow Wiaczesław 88, 89, 94, 128, 152, 153, 178, 443, 444
Monteskiusz 223
Montgomery Bernard 112, 114
Moody John 490
Moon Sun Myung 509
Moorhouse Roger 22
Morawska Ewa T. 279
Morawski Kajetan 114
Mościcki Ignacy 273
Mrożek Sławomir 414
Mussolini Benito 146

Nabielak Ludwik 239, 255
Nabuchodonozor, król Babilonii 64
Nagai Yonosuke 98
Nagy Imre 36, 60
Nałkowski Wacław 250
Namier Lewis 167, 282
Napoleon Bonaparte, cesarz Francuzów 185, 187, 188, 204, 207–209, 213, 220, 236, 260, 261, 264, 268, 361, 393, 503
Naruszewicz Adam 328, 349, 357
Narutowicz Gabriel 147, 411
Niedzielak Stefan 495
Niemcewicz Julian Ursyn 217, 221, 228, 278, 328
Nietzsche Fryderyk 149, 200
Nikołajew J. 476
Norwid Cyprian 270, 401, 404, 455
Nowak Jan (Zbigniew Jeziorański) 102, 113, 489
Nowosilcow Nikołaj 213
Nowotko Marceli 116
Nowowiejski Feliks 401

Ochab Edward 119
Ochorowicz Julian 230, 284
Okoń Eugeniusz 156
Okulicki Leopold 121, 122
Oleksy Józef 507, 508
Oleśnicki Zbigniew 337
Olszewski Jan 507
Opaliński Krzysztof 323
Opaliński Łukasz 323
Orwell George 456, 489
Orzeszkowa Eliza 229, 247–249

Osóbka-Morawski Edward 69, 117, 120, 128, 367
Ossietzky Carl von 427
Ostrowski Stanisław 123
Ostrowski Teodor 357
Otton III, cesarz 311, 312

Paderewski Ignacy Jan 107, 110, 137, 145, 156, 281, 401
Papczyński Stanisław, bł. 357
Pasek Jan Chryzostom 349
Paskiewicz Iwan 189, 192, 270, 368
Passent Daniel 414, 416, 461
Patterson Sheila 123
Patton George 114
Paul Allen 501
Pawelec Andrzej 142
Paweł I, car 286
Paweł VI, papież 431, 432
Paweł Włodkowic 337
Pawlak Waldemar 507, 508
Perry Mathew 332
Peszke Michael Alfred 111
Petrarca Francesco 317
Piasecki Bolesław 69, 369
Piast, legendarny władca 307, 308
Piastowie, dynastia 12, 165, 307, 308, 310–312, 314, 318, 360
Piekałkiewicz Jan 113
Pieracki Bronisław 412
Pietrzak Jan 404
Pigoń Stanisław 293
Piłsudska Aleksandra z d. Szczerbińska 292
Piłsudska Wanda 159
Piłsudski Bronisław 280
Piłsudski Józef 11, 13, 82, 107, 110, 115, 117, 137, 139, 140, 142, 143, 145, 147–153, 156–174, 207, 232, 234, 237, 259, 261–264, 270, 271, 292, 293, 341, 344, 359, 364, 368, 369, 381, 395, 396, 411, 420, 422, 456, 485
Pinochet Ugarte Augusto 381
Piotr, apostoł, św. 431
Piotr Wielki, car 324–326, 362, 420, 425, 475
Piskozub Andrzej 307
Pius IX, papież, bł. 429
Pius XI, papież 432
Piwiński Leon 243
Plater Adam 209
Plater Cezary 209
Plater Emilia 209, 210
Plater Ludwik 209
Plater Michał 209
Plater Stanisław 209
Plater Władysław 209
Platerowie de Broel, rodzina 209
Platon 66, 335
Plikus Mikołaj 381
Podhorski Zygmunt 285
Podoski Gabriel 355, 357, 366
Pol Pot 27
Pol Wincenty 255
Polonsky Antony 128, 166, 376
Pomerantz-Meltzer Róża 156
Poniatowski Józef 185, 187, 204, 208, 209, 235, 330, 395, 420
Poniatowski Michał Jerzy 354, 355
Poniński Adam 366–368
Popiełuszko Jerzy 20, 490, 491
Popławski Jan Ludwik 160, 165, 344
Popper Karl 489
Potoccy, ród magnacki 321
Potocki Stanisław Kostka 190, 285
Potocki Stanisław Szczęsny 203, 366
Potocki Wacław 323
Prchal Eduard 98
Proudhon Pierre 319
Prus Bolesław 196, 228–230, 246, 247, 284
Przerwa-Tetmajer Kazimierz 176
Przesmycki Zenon 176

Przybyszewski Stanisław 176, 198
Puacz Edward 102
Pułaski Kazimierz 243
Puszkin Aleksandr 200
Putin Władimir 512
Puzyna Jan 358
Pużak Kazimierz 110

Raczkiewicz Władysław 107, 123
Raczyński Edward 123
Radecka Maria (Magda Leja) 409
Radkiewicz Stanisław 68
Radziwiłł Janusz 324
Radziwiłłowie, ród magnacki 321
Radziwiłłówna Barbara zob. Barbara Radziwiłłówna
Rakowski Mieczysław F. 74, 75, 368, 414, 495, 497, 500
Rapacki Adam 450
Ratajski Cyryl 110, 113
Reagan Ronald 454
Redliński Edward 248
Rej Mikołaj 318, 346, 357
Repnin Nikołaj 329
Reszke Jan D. 281
Reykowski Janusz 495
Reymont Władysław 176, 229
Ribbentrop Joachim von 88, 94, 152, 153, 178
Robespierre Maximilien de 378
Rokossowski Konstanty 32, 35, 52, 114, 120, 203, 270, 377, 381, 384, 387
Rola-Żymierski zob. Żymierski
Rołów-Miałowski Karol 281
Romanowowie, dynastia 212, 332
Rommel Erwin 268
Roosevelt Franklin Delano 99, 114, 128, 259, 450
Ross Johnson A. 381
Rostworowski Karol Hubert 176
Rousseau Jean-Jacques 371, 444
Rozanow Wasilij 428
Różewicz Tadeusz 510
Rudnytsky Ivan L. 344
Ruryk, wódz Waregów 308
Rydz-Śmigły Edward 151
Rzewuski Henryk 204, 205
Rzewuski Seweryn 366
Rzymowski Wincenty 118

Sabbat Kazimierz 123
Sadowski Zdzisław 441
Sanders Irwin T. 279
Sanguszko Roman 279
Sapieha Adam Stefan 37, 358
Sapiehowie, ród magnacki 322
Sarbiewski Maciej 323
Sarnicki Stanisław 318
Sawczuk Włodzimierz 381
Schaff Adam 71
Schiller Leon 175
Scott Walter 217
Serejski Marian 304
Seyda Marian 115, 160
Seyda Zygmunt 160
Siemaszko Zbigniew S. 102, 104
Siemieński Lucjan 245, 255
Sienkiewicz Henryk 197, 229, 230, 237, 249, 252, 284
Siergiejew A. 476
Sikorska Grażyna 490
Sikorski Władysław 89, 92, 97, 98, 107, 110, 111, 114, 115, 127, 130, 148, 455, 485
Simatupang B. 439
Siwak Albin 45
Siwicki Antoni 120
Siwicki Florian 47
Skarga Piotr 322, 323, 349
Skiernowicz Joan S. 227
Składkowski Felicjan Sławoj 151
Skłodowska-Curie Maria 282, 286

Skowronek Jerzy 184, 363
Skórkowski Karol 358
Skrzetuski Józef Kajetan 357
Skrzetuski Wincenty 357
Skrzypek Stanisław 91
Skubiszewski Krzysztof 511
Sławek Walery 150, 161
Sławoj Składkowski zob. Składkowski
Słomka Jan 272, 273
Słonimski Antoni 176
Słoński Edward 285
Słowacki Juliusz 17, 193, 225, 241–246, 255, 264, 278, 283, 291, 297, 358, 400, 401, 403
Smolar Eugeniusz 12
Smolar Nina 12
Smoleński Władysław 196, 230, 231, 334
Sobieski zob. Jan III Sobieski
Sokrates 66
Sołżenicyn Aleksandr 489
Sommerstein Emil 69
Sonntag Raymond James 88
Sorel Albert 223
Sosabowski Stanisław 112
Sosnkowski Kazimierz 110
Sowiński Józef 235, 395
Spencer Herbert 228, 230
Spengler Oswald 333
Spychalski Marian 119
Staff Leopold 176
Stalin Józef 29–32, 34, 64, 71, 75, 88, 90–92, 97–99, 102–105, 107, 112–117, 127, 128, 143, 151, 152, 172, 173, 177, 178, 259, 364, 376, 397, 411, 420, 429, 440, 455, 456, 467, 471, 475, 511, 512
Stanisław August Poniatowski, król Polski 212, 227, 234, 320, 321, 327, 328, 357, 366, 368
Stanisław Leszczyński, król Polski 216, 234, 320, 327, 361
Stanisław ze Szczepanowa, św. 312, 313, 412
Stankiewicz Władysław J. 238
Staroń Stanisław 96
Starowolski Szymon 323
Staszic Stanisław 190, 215–217, 228, 328, 357
Stefan Batory, król Polski 320, 321, 324, 336
Strzelecki Paweł 281
Strzyżewski Tomasz 61
Stypułkowski Zbigniew 122
Suchcitz Andrzej 18
Suchocka Hanna 507, 508
Suchowolec Stanisław 495
Supiński Józef 230
Suworow Aleksandr 213, 330, 331
Sword Keith 277
Szczawińska Jadwiga 289
Szczepanowski Stanisław 276
Szczepański Maciej 367
Szczerbińska Aleksandra (Ola) zob. Piłsudska Aleksandra
Szela Jakub 254
Szewczenko Taras 340
Szujski Józef 230
Szyllerowa Hanna 287
Szymanowski Karol 175
Szymborska Wisława 510
Szyszko-Bohusz Zygmunt 111

Ściegienny Piotr 358, 404
Świdziński Karol 227, 228
Świerczewski Karol („Walter") 68, 120
Świętochowski Aleksander 228, 229, 284
Świtkowski Piotr 357

Tabakowska Elżbieta 161, 510
Taborsky Edward 114

Takakura Shiori 18
Talleyrand-Périgord Charles M. 188, 259
Tasso Torquato 323
Taylor Alan John Percivale 142
Teilhard de Chardin Pierre 241, 489
Temistokles 66
Tennyson Alfred 236, 237
Tetmajer zob. Przerwa-Tetmajer
Thatcher Margaret 491
Thomas William 277
Thompson Carlos 98
Thoreau Henry 319
Tito Josif (Broz) 31, 60, 395
Tocqueville Alexis de 466
Tokarczuk Olga 509
Tołstoj Lew 200
Tomicki Piotr 337
Tomski Michaił 397
Towiański Andrzej 225, 241
Toynbee Arnold 332
Traugutt Romuald 192, 208, 395
Treitschke Heinrich von 304
Trocki Lew 143
Truman Harry S. 471
Tuchaczewski Michaił 143, 450
Tukidydes 21
Tupalska Antonina („Tupcia") 286
Tushnet Leonard 96
Tuwim Julian 176, 348
Twardowski Jan 510
Twardowski Samuel 323
Tymiński Stanisław 502

Ugedej-chan 363
Ujejski Kornel 290
Unszlicht Józef 115
Urban Wincenty 360

Vico Giambattista 332
Voltaire zob. Wolter

Wacław, książę czeski, św. 316
Wajda Andrzej 253, 399
Walewska Maria 187
Walicki Andrzej 225
Wallenrod Konrad 235, 239, 380
Wałęsa Lech 19, 43, 46, 48, 49, 81, 234, 365, 389, 402, 403, 423, 424, 433, 445, 485, 488, 493, 495–497, 501, 502, 505–508
Wandycz Piotr S. 114, 183, 260
Warski Adolf 115
Waryński Ludwik 122
Wasilewska Wanda 68, 117
Wasilewski Leon 160
Wasilewski Zygmunt 160
Watson James L. 123
Wazowie, dynastia 320, 324, 336, 361
Ważyk Adam 71
Wereszycki Henryk 459
Werfel Roman 71
Wergiliusz 244
Wernyhora 244, 245, 254
Wettinowie, dynastia 320, 326, 327, 336
Weydenthal Jan B. 115
Weygand Maxime 111
White Stephen 505
Wielopolski Aleksander (margrabia Gonzaga Myszkowski) 192, 212, 219–222, 227, 228, 368, 369, 458
Wierzyński Kazimierz 176
Wilhelm I, król pruski, cesarz niemiecki 237
Wilson Thomas Woodrow 136
Wincenty à Paulo, św. 355
Wiślicki, płk 407, 409, 410, 461
Wiśniewski Jan 384
Wiśniowiecki Michał zob. Michał Wiśniowiecki
Witkiewicz Stanisław Ignacy 175
Witos Andrzej 69, 118

Witos Wincenty 107, 146, 148, 156, 158, 160
Władysław I Łokietek, król Polski 308
Władysław II Jagiełło (Jogaila), wielki książę litewski, król Polski 314, 316
Władysław IV, król Polski 320, 324
Wojciechowski Stanisław 148, 160
Wojkow Piotr 411
Wojtyła Karol zob. Jan Paweł II
Wolan Andrzej 318
Wolczuk Katarzyna 506
Wolter (Voltaire; François Marie Arouet) 327, 340, 443, 444
Woodall Jean 460
Worcell Stanisław 280
Wordsworth William 200
Wostokow Aleksandr 343
Wójcik Zbigniew 175
Wroński zob. Hoene-Wroński
Wrotnowski Antoni 229
Wróblewski Walery 415
Wyslouch Bolesław 344, 345
Wysocki Piotr 411, 457
Wyspiański Stanisław 198, 232, 245, 253, 513, 514
Wyszyński Stefan 33, 37, 44, 81, 424, 429

Zagozda Andrzej zob. Michnik
Zajączek Józef 208, 369
Zaleski August 110, 123
Zaleski Józef Bohdan 255
Zaloga Steven J. 111
Załuski Andrzej Stanisław 357
Załuski Józef Andrzej 357
Zambrowski Roman 119, 377
Zambrzycki Władysław 267
Zamoyscy, ród magnacki 321
Zamoyski Adam 142
Zamoyski Jan 317, 318, 338
Zaremba Zygmunt 110
Zawadzki Aleksander 68, 120
Zawodny Janusz Kazimierz 102
Zebrzydowski Mikołaj 323
Zeldin Jesse 18
Zgorzelski Czesław 248
Ziejka Franciszek 245, 344
Znaniecki Florian 277
Zola Émile 200
Zubrzycki Jerzy 123
Zych Sylwester 498
Zygmunt I Stary, król Polski 316
Zygmunt II August, król Polski 316, 318, 336, 341
Zygmunt III Waza, król Polski 320, 322, 355

Żakowski Jacek 487
Żeleński-Boy Tadeusz 288
Żeromski Stefan 175, 176, 229, 262
Żmigrodzka Maria 194, 254, 255, 299
Żółkiewski Stanisław 324
Żółkiewski Stefan 71
Żukow Gieorgij 114, 119, 450, 480
Żychliński Ludwik 208
Żymierski Michał („Rola") 69, 118, 120

Spis map i rysunków

Mapa 1. Historyczne ziemie polskie 24
Mapa 2. Polska Rzeczpospolita Ludowa (1983) 54
Mapa 3. Okupacja niemiecka (1939–1945) 93
Mapa 4. Powstawanie Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej (1918–1921) 141
Mapa 5. Królestwo Kongresowe i powstanie listopadowe (1830–1831) 189
Mapa 6. Europa Wschodnia (ok. 1880) 200
Mapa 7. Państwo pierwszych Piastów (X i XI w.) 309
Mapa 8. Polska za panowania Kazimierza Wielkiego (1333–1370) 313
Mapa 9. Królestwo Jagiellonów (ok. 1500) 315
Mapa 10. Polska i Litwa – największy zasięg terytorialny (1634–1635) 320
Mapa 11. Rozbiory Polski (1772–1795) 330
Mapa 12. Zmiany terytorialne państwa polskiego 370

Rys. A. Przesiedlenia ludności (1936–1956) 108–109
Rys. B. Podział na grupy społeczne (1921) 144
Rys. C. Państwa sukcesorzy Rzeczypospolitej Polski i Litwy (1772–1945) 186
Rys. D. Języki słowiańskie 339
Rys. E. a. Podział na stany społeczne w Polsce i na Litwie (XVI w.) 353
b. Wyznania religijne Polski i Litwy (1660) 353